Wydawca: Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Krasnosielckiej

Krasnosielcki Zeszyt Historyczny

Nr 13-14 ISSN 2080-024X **czerwiec 2013 rok**

dodatek specjalny do miesięcznika „Wieści znad Orzyca” Nr 6(74)

www.tpzk.pl www.naszkrasnosielc.tpzk.pl

Wprowadzenie

Szacunek, wiedza i pracowitość to słowa klucze do niniejszego wydania Krasnosielckich Zeszytów Historycznych.

Nie sposób streścić, nawet pokrótce wszystkich teksów tu zamieszczonych. Wystarczy zerknąć jednak na prawy skraj strony, by zobaczyć kto dzieli się z Tobą Czytelniku swoim życiem, pasją, szacunkiem, wiedzą … wręcz samym sobą.

Choć wszystkie teksty tu zamieszczone w jakiś sposób zawsze dotykają Ziemi Krasnosielckiej - tematem, opowieścią, pochodzeniem autora… to coraz bardziej pokazują, że Ziemia ta, tak naprawdę to ludzie w jakiś sposób z nią związani i zauroczeni.

Patriotyzm kiedyś oznaczał dla Polaków walkę o wolność i niezależność, dziś na szczęście może oznaczać pracę, szacunek dla prawa, szacunek dla innych. Spójrzmy proszę na teksty w tym 104 stronicowym opracowaniu z wielkim szacunkiem, a może oprócz wielu doznań zagości w Waszym umyśle potrzeba pracy nad własnym opracowaniem czyjejś historii i podzieleniem się owocami tej pracy np. na łamach Zeszytów? Zachęcam.

Dziękując wszystkim autorom tekstów oraz tym którzy współtworzyli to wydanie, pragnę mocno podziękować tym, którzy życzliwie sfinansowali ich druk, co stanowi jedyny koszt ich wydania. Dziękuję zatem szczególnie Ante Markota właścicielowi USA Enterprise, Bankowi Spółdzielczemu w Krasnosielcu, a szczególnie Prezesowi Zarządu Romanowi Chrzanowskiemu, Andrzejowi i Mirosławie Borkowskim, Joannie i Rafałowi Rzepka Marzannie i Krzysztofowi Klukom oraz Arkadiuszowi i Agnieszce Lipka – wsparliście bezinteresownie coś naprawdę ważnego.

Redaktor wydania, *Sławomir Rutkowski*

Niniejszy numer Krasnosielckich Zeszytów Historycznych jest współfinansowany ze środków Powiatu Makowskiego w ramach realizacji przez Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Krasnosielckiej zadania publicznego pod tytułem "Opracowanie i druk czterech numerów Krasnosielckich Zeszytów Historycznych".

Wspomnienia Henryka Sikory cz. II
str. 2
Henryk SIKORA

Fragment wspomnień Ludwika z rodu Brzezińskich Lata 1928 - 2012)
str. 34
Ludwik BRZEZIŃSKI

Udział duchowieństwa katolickiego z powiatu makowskiego w powstaniu styczniowym str. 61
Dariusz Wojciech BUDNY

Operari - sperae!
Działalność … ks. Kardynała Aleksandra Kakowskiego …
str. 68
ks. Marek MAKOWSKI

Cezary Kocot (1929 – 2013)
str. 74
Tadeusz KRUK

Moje Kurpi poznawanie
str. 80
Tadeusz KRUK

Warszawska Nekropolia Powstańców Styczniowych str. 86
Wojciech TRĄBCZYŃSKI

Działania wojenne w roku 1915.
… w rejonie powiatów przasnyskiego i makowskiego
str. 88
Zbigniew LORENC

Panorama społeczno-polityczna pow. makowskiego
po zakończeniu II wojny światowej. cz. IV
Polska Partia Socjalistyczna w pow. Makowskim (1945 – 1948) str. 97
Wojciech ŁUKASZEWSKI

Kilka uwag do historii Krasnosielca
str. 99
Adam A. PSZCZÓŁKOWSKI

Scytowie i Sarmaci
str. 100
Paweł WŁODARSKI

Wspomnienia Henryka Sikory. Mój pamiętnik

cz. II

Henryk SIKORA

Wprowadzenie

Niech słowa napisane 35 lat temu będą najlepszym wprowadzeniem do drugiej odsłony wspomnień Henryka Sikory.

Redaktor wydania, Sławomir Rutkowski

„Wstęp

Towarzystwo Miłośników Ziemi Makowskiej w 1968 r. zwróciło się do kilkudziesięciu osób w podeszłym wieku o spisanie wspomnień lub życiorysów. Na apel odpowiedziało tylko kilka osób. Wpłynęło kilka życiorysów i dwa wspomnienia od Czesława Zabielskiego i Henryka Sikory zamieszkałych w Makowie.

Sekretarz Towarzystwa Marian Gadomski osobiście rozmawiał kilkakrotnie z Ob. Henrykiem Sikorą, który mu opowiadał o swoich przeżyciach z okresu międzywojennego i z czasów okupacji hitlerowskiej. Ob. Gadomski zachęcał go również do spisania tych wspomnień.

Po kilkunastu dniach w Powiatowej i Miejskiej Bibliotece w Makowie, gdzie Dyrektorem był M. Gadomski, a siedzibę miało Towarzystwo zjawił się Pan H. Sikora i przyniósł pierwsze dwa wspomnienia p.t. „Amy Johnson" i „Św. Rozalia". Był zażenowany i zwierzył się, że chyba już nie będzie więcej pisał, bo w domu mu mówią „co ty za głupoty wypisujesz?".

Marian Gadomski przekonał Pana Sikorę, że to co da się dziś ocalić od zapomnienia za lat kilka lub kilkanaście będzie cennym świadectwem historii tych ziem i obyczajów ludzi. /Dodam, że zaopatrzył p. H. Sikorę w papier podaniowy/.

W marcu 1969 r. pan Sikora przyniósł dalsze cztery fragmenty wspomnień i przekazał je na własność Towarzystwa. Od tej pory nie widzieliśmy u nas autora, tego inteligentnego i sympatycznego człowieka. Po niedługim czasie dowiedzieliśmy się, że zabrał go wymieniony we wspomnieniach syn Leszek do Pułtuska.

Za każdym razem, kiedy pan Henryk Sikora był w bibliotece zawsze z nim rozmawiałam, czytałam jego wspomnienia i pochwalałam, lecz on zawsze był jakiś niepewny i zażenowany.

Uważam, że wspomnienia te, a szczególnie o historii Szelkowa i sytuacji w czasie okupacji hitlerowskiej są cennymi świadectwami życia ludzi w naszej pięknej ziemi, tym cenniejsze ponieważ nie ma specjalnych opracowań ani literatury na ten temat.

Maków Maz. dn. 9.VIII. 1978 r.
Lucyna Kacprzycka"

Z Krasnosielca do Szelkowa

Z przeniesieniem się z Krasnosielca do Szelkowa nie miałem kłopotu. Samochód ciężarowy pod przewóz rzeczy dostarczył przedsiębiorca przewozowy Kasel, rzeczy należycie ułożyli na platformie sąsiedzi robotnicy, pod przewóz mnie z żoną i dziećmi, powozu dostarczył poczciwy Szlaski z Piekiełka. I jedni, i drudzy żadnej zapłaty przyjąć nie chcieli.

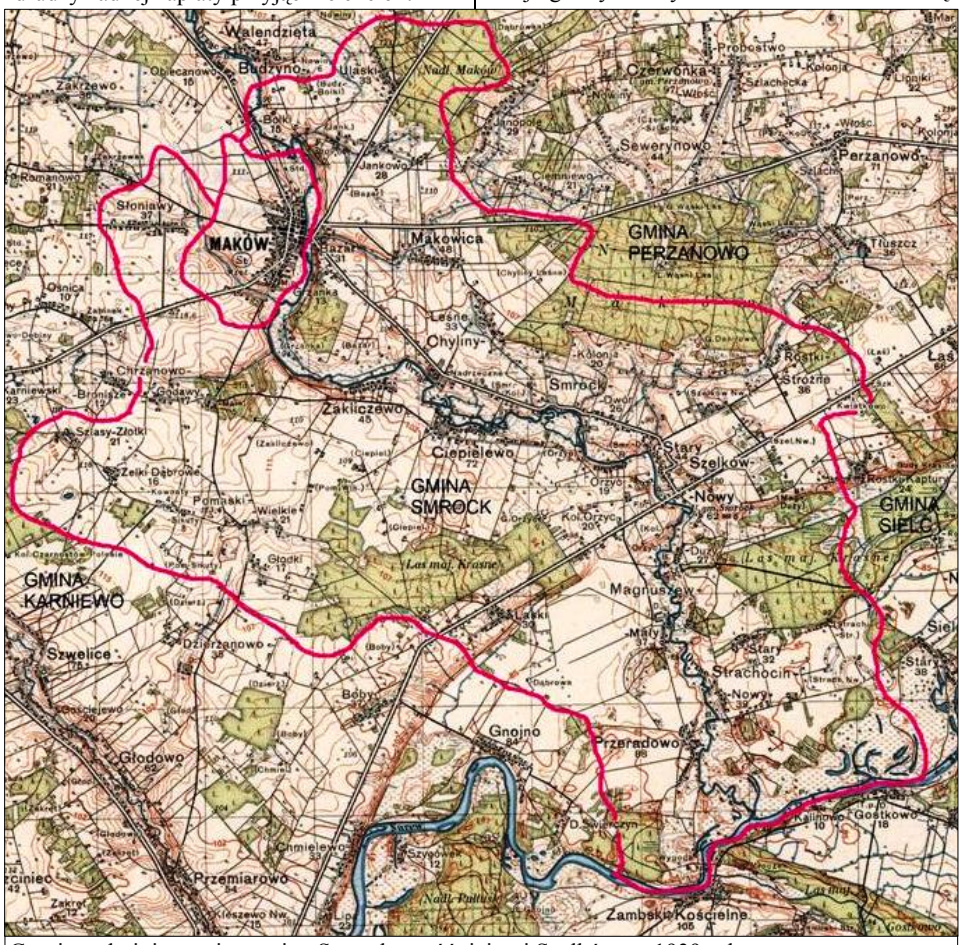

Granice administracyjne gminy Smrock w późniejszej Szelków, w 1939 roku.
Mapa uzyskana od Krzysztofa Kacprzyckiego

W dniu 1 marca 1934 rozpocząłem pracę w Szelkowie. Zamieszkałem w mieszkaniu służbowym, które opóźniła rodzina dawnego mojego szefa, sekretarza Juliana Krajewskiego. Krajewski przebywał już w szpitalu. Trzeba zaznaczyć że ja nastałem do Szelkowa na sekretarza po Krajewskim, a opróżnione przeze mnie stanowisko w Krasnosielcu objął Krajewski Piotr, również dawny mój zwierzchnik jeszcze z gminy Sielc.

Po wyborach do rad gromadzkich odbyły się wybory rad gminnych, które wybrały wójtów i ławników. Gdy objąłem służbę sekretarza gminnego w Szelkowie, wójtem gminy był już wybrany na to stanowisko Henryk Chrzanowski grubszy gospodarz rolny z Chrzanowa–Mark.

Chrzanowo–Marek był to dawny majątek Chrzanowskich, podzielony między braci. Na majątku tym gospodarzyli każdy na swojej części oddzielnie Henryk i Marian Chrzanowscy. Wójt gminy Henryk Chrzanowski uważał się więc za ziemianina. Aspiracje jego społeczne szły wysoko pragnąc zdobyć sobie smaczną pozycję wśród społeczeństwa powiatu, stale kręcił się przy władzach powiatowych, różnych instytucjach jak; syndykat rolniczy, K.K.O. /od redaktora wydania: Komunalna Kasa Oszczędności/, Sejmik powiatowy, powiatowe organizacje rolniczo-oświatowe itp., lubiał bywać jak się powiada w wyższych sferach.

Starał się być demokratą, lecz nie bardzo mu się to udawało, bowiem nie mógł nie uwolnić się od tej zaśniedziałości szlacheckiej, która cechowała jego sąsiadów z Pomask-Sikut i innych wiosek szlacheckich. Usilnym swoim zabiegom zawdzięczał, że piastując mandat wójta gminy, wybrany został na posła do Sejmu R.P. Miejsce jego na stanowisku wójta gminy, zajął z wyboru Edward Dorocki - rolnik z Ulask, działacz społeczny na niwie spółdzielczości.

Henryk Chrzanowski - poseł do Sejmu II RP 5-ej kadencji w latach 1938-39.
Urodzony w 1892 roku.
Wg strony www Sejmu RP zginął we wrześniu 1939 roku w okolicach Chrzanowa.
Wg ustaleń Pana Piotra Wiesława Matejuka m.in. w rozmowie z synem Henryka Chrzanowskiego – Jerzego Chrzanowskiego, zginął w marcu 1944 roku po wejściu na minę, na terenie własnej posesji w Chrzanowie. Akt zgonu dostępny w Urzędzie Stanu Cywilnego w Makowie.

Współpraca moja z wójtem Chrzanowskim układała się dobrze. Obaj mieliśmy szeroką inicjatywę w dziedzinie pracy społecznej, a także w dziedzinie wykorzystania dla szalwarków przy naprawie dróg gminnych /od redaktora wydania: szalwark, właściwie „szarwark" to nałożona przez lokalną administrację na mieszkańców obowiązkowa praca/. Wójtowi Chrzanowskiemu zawdzięczać należy to, że droga gminna Maków-Romanowo obok Słoniaw, została zabrukowana i polepszona.

W czynie społecznym wznieśliśmy w Szelkowie okazały jak na Szelków dom ludowy, w którym mieściły się świetlica związku młodzieży wiejskiej, przedszkole, biblioteka gminna i sala ze sceną. Na koszt budowy składały się dochody z urządzonych różnych imprez rozrywkowych, majówek i zabaw wieczornych. Osiedla doprowadziliśmy do stanu jak najbardziej estetycznego, a szczególnie teren przy siedzibie zarządu gminnego.

Pewnego razu przejeżdżał przez Szelków premier Sławoj Felicjan Składkowski. W szybkim przejeździe mignęły mu się; drewno z rozebranego mostu i roboty szalwarkowe, w należytym stanie utrzymane zabudowania gminne i malowane parkany. Samochód zatrzymał się już poza gminą. Meldujący się

Od lewej: córka Henryka Chrzanowskiego, żona Henryka Chrzanowskiego, Henryk Chrzanowski, Jerzy Chrzanowski, Andrzej Matejuk, Maria Matejuk, Piotr Wiesław Matejuk.
Zdjęcie udostępnione przez Piotra Wiesława Matejuka.

Premierowi na szosie komendant posterunku policji, widocznie podał premierowi nazwiska moje i wójta i poinformował go o naszych pracach społecznych, bo niedługo po tym odzna-

Sławoj Felicjan Składkowski – piłsudczyk,
Premier rządu RP w latach 1936-1939/

czeni zostaliśmy krzyżami zasługi: Chrzanowski srebrnym, ja brązowym. Chrzanowski miał pretensje, że nie nadali mu krzyża złotego. Żalił się nieraz, że nie wyróżniają go tak jak powinni, za jego zasługi w pracy społecznej w powiecie. Zawsze miał aspiracje wyższe.

Tak jak każdy, Henryk Chrzanowski miał też swoje wady. Był pyszałkowaty, chciwy materialnie, a poza tym okrutny babiarz. W swojej szlacheckiej ambicji nie mógł się pogodzić z tym, że ich szlachciców zaliczają do chłopów. - Jak to może być, powiada do mnie, - przecież nazwa chłop jest dla nas ubliżająca? Niema już różnic stanowych tłumaczę mu, społeczeństwo dzieli się teraz na chłopów, robotników i inteligencję, poza tym na wieśniaków i mieszczan. Perswazje moje nie trafiły mu do przekonania.

Gabinet swój w budynku zarządu gminnego uparł się, że musi mieć taki sam jak Starosta. A więc zakupił i nowe meble, dywany i kozetkę. Te luksusowe jak na gminę urządzenia były solą w oku dla radnych zazwyczaj skąpych w dysponowaniu funduszami gminnymi, a szczególnie kozetka była przedmiotem złośliwych uwag pod adresem wójta.

Pietraszko i Olszewski - rozdwojenie osobowości

Pomocnikiem sekretarza był początkowo Stanisław Olszewski niezły spryciarz i entuzjasta, poza tym bardzo tchórzliwy i naiwny, trzymał on sztamę z Pietraszką kierownikiem miejscowej mleczarni. Obaj pili, politykowali i łazili za babami. Pietraszko zdaje mi się Białorusin pochodził z Kresów Wschodnich, był zwolennikiem ustroju radzieckiego, nad polskich wodzów wywyższał zawsze generałów radzieckich. Nieraz będąc w towarzystwie Pietraszki zwracałem mu uwagę na jego zbyt głośne o tym swoje zdania, które zasłyszane przez gorliwych zwolenników prorządowych, mogą być dla niego w konsekwencji nie miłe i nawet groźne.

Dom Ludowego w Szelkowie w okresie PRL. Zdjęcie udostępnione przez Krzysztofa Kacprzyckiego.

Pietraszko tak opanował naiwnego w wierzeniach o życiu pozagrobowym Olszewskiego, że ten uwierzył, że nieboszczyk, inżynier drogowy Gron, suwa się bo barierach mostu na rzece w Szelkowie. Olszewskiego trudno było namówić na spacer nocny na most, a Pietraszko w kułak się z tego śmiał. Pietraszko ciągle bajał Olszewskiemu o różnych zjawach pozagrobowych, upiorach i innych strachach, a Olszewski naiwnie, czy udając tylko naiwnego mu wierzył.

W związku z tym miałem zabawne wydarzenie z Olszewskim. Pewnego razu nocną porą w lecie wracamy na rowerach od wójta Chrzanowskiego z Chrzanowa–Mark. Po dobrze zakropionej kolacji u wójta, jedzie nam się niesporo po piaszczystej drodze na Zakliczewo. Noc piękna księżycowa. Jedziemy jeden za drugim i bajdurzymy sobie to o tym, to o owym. Olszewski wspomina o jakichś zasłyszanych od Pietraszki zjawach i upiorach, ja przytakując mu opowiadam urojone zdarzenia, jak mi kiedyś w nocnej porze chyba duchy zamienione to w konia, to w psa lub inne zwierzę zastępowały drogę. Olszewski chrząka dla dodania sobie odwagi, ale widzę jak mu czapka rośnie na głowie.

Jadąc tak wzdłuż plonującego łanu żyta, na którym posuwają się dwa nasze cienie w odblasku księżyca, zauważam ze zdumieniem że wokół cienia mojej głowy promieniuje jakby koło, to znaczy od brzegu cienia wokół głowy widocznej jaśniejszy pas jak dalej na łanie żyta. Coś jakby świetlista aureola otaczała cień mojej głowy, podczas gdy jego głowa niema takiej aureoli. Zwracam na to uwagę Olszewskiemu. Olszewski zdumiony tym zjawiskiem patrzy z wyraźnym strachem na mnie, zsiada z roweru i pyta: Panie sekretarzu, co to może być? Sadowiąc się pod polną gruszą dla odpoczynku namyślam się co by tu odpowiedzieć, bo i dla mnie to zjawisko jest ciekawe i niewytłumaczalne. Aha... już mam. Panie Olszewski, widzi pan nie każdy ma w sobie utajone nadprzyrodzone moce, a ja je mam. Ten znak aureoli na ziemi mojej głowy to znak, że ja się w tej chwili rozdwajam względnie, że jestem rozdwojony. Co, co? pyta z wystraszoną miną. Operując różnymi zwrotami naukowymi, których sam dobrze nie rozumię, a zaczerpniętymi z różnych czytanych dzieł o spirytyzmie i rozdwojeniach jaźni człowieczej, mówię to znaczy, że jeden ja jestem tu i siedzę pod tą gruszą obok pana, a drugi ja jestem w tej chwili w domu i śpię smacznie w łóżku. Nie może to być na to Olszewski. A może to być, i tak jest - odpowiadam, przy tym robię tragiczną minę i patrzę w księżyc. Po chwili jakby nie było Olszewskiego przy mnie, zaczynam drgać, upiornie wzdychać i rzęzić i od czasu do czasu wyrzucać z siebie tajemnicze wyrazy zaczytane kiedyś w powieściach hinduskich czy egipskich. Na raz wpatrzony w księżyc nieruchomieję dając pozór nieprzytomności. Nieznacznie zerkam obok i widzę jak przerażony moim stanem Olszewski raptem wstaje, jednym skokiem wsiada na rower i rozpaczliwie pedałuje po piachu i nie odwracając głowy w moją stronę pędzi na rowerze jakby go kto gonił, w stronę Ciepielowa. Ja nie mając już towarzystwa w dalszej drodze wołam za nim. Stój pan! Poczekaj wariacie. Z piachu na lepszą drogę pomknął jak strzała i tyle go już tej nocy widziałem.

Po przybyciu do domu, powiedziałem żonie. Gdyby się Olszewski o mnie rano pytał powiedz mu, że nigdzie nie byłem i śpię od wieczora. Istotnie Olszewski przed 8 rano zajrzał do mieszkania z zapytaniem, czy pan Sekretarz już przyjechał? A gdzież miał być? pyta żona, przecież jak się wczoraj wieczorem położył tak jeszcze śpi. W kancelarii obojętnie, jak gdyby nic przywitałem się ze zdumionym Olszewskim i usiadłem przy swoim biurku. Nie pamiętam już jak sobie to zdarzenie komentowali Olszewski z Pietraszką, dosyć że obaj od tego zdarzenia z tajemniczymi minami obserwowali mnie.

Dłuższy czas mieliśmy z tego uciechę w gminie, Olszewski nie ufając w to, że to był żart, a ja do dziś mając ciekawość, co by to było ta aureola wokół mej głowy, czyżby głowa moja wydawała jakieś promieniowania? Wszystko możliwe, człowiek nie wie jeszcze jakie ma w sobie pierwiastki promieniotwórcze, czy jakieś inne, może postęp nauki to w przyszłości wyjaśni.

Stan materialny w Szelkowie układał nam się dobrze. Żona w swoim gospodarstwie domowym chowała krowę, świnie i moc drobiu. Uprawialiśmy poza tym kawał pola gminnego.

Moja Dziunia

Dziunia /od redaktora: Dziunia to zdrobnienie od Jadwiga /Jadziunia/ z początku nie mogła się przyzwyczaić do nowego woźnego i nieraz pytała: Tatusiu dlaczego Książak w Szelkowie nazywa się Wołyniec? Sądziła, że w każdej gminie woźny powinien nazywać się Książak, tak jak w Krasnosielcu.

Dziunia otaczana przez nas miłością macierzyńską, chowała się dobrze. Miała wówczas kilka lat, jak raz wybrałem się z nią na ciastka do Pułtuska. Wbiłem ją w pompę mówiąc, że w nowym płaszczyku wygląda jak jakaś jaśnie wielmożna pani. Podobało jej się to, to też z pompą jaka jaśnie pani przystoi, wsiadła ze

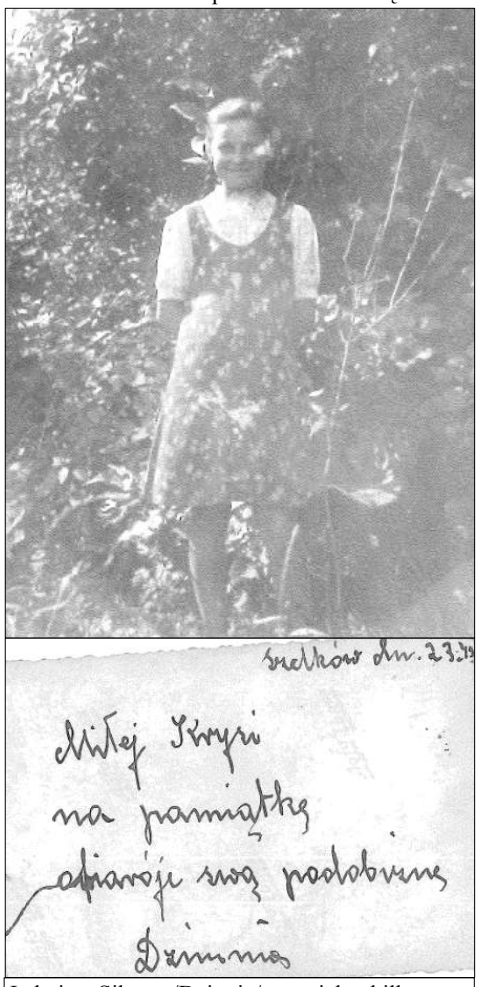

Jadwiga Sikora /Dziunia/ w wieku kilkunastu lat oraz jej dedykacja z rewersu tego zdjęcia dla koleżanki Krysi. Zdjęcie udostępnione przez Waldemara Jaźwińskiego.

mną do autobusu P.K.P. /od redaktora wydania: Polskie Koleje Państwowe. W okresie przedwojennym Polskie Koleje Państwowe oprócz przewozów kolejowych organizowały również – w naszym dzisiejszym rozumieniu, przewozy autobusowe./, którym odbyliśmy podróż do Pułtuska. W Pułtusku jaśnie pani z dostojnością rozsiadła się w cukierni i zajadała słodycze. Na żądanie mojej jaśnie pani, musiałem oprowadzać ją po mieście od cukierni do cukierni i skupywać różne łakocie. Przed wyjazdem z Pułtuska spotkaliśmy się z Heleną Chełstowską - cioteczną siostrą Dziuni. Helena namówiła Dziunię, ażeby u niej na noc została, a na drugi dzień tatuś po nią przyjedzie.

Dziunia z Heleną odeszły na mieszkanie Heleny (Helena była uczennicą seminarium i mieszkała na tak zwanej stancji), ja udałem się na przystanek autobusowy. W autobusie jadąc do Szelkowa rozmyślam nad tym, jakby tu po Dziunię jutro wyjechać, autobus z nagła tuż przy wyjeździe z miasta hamuje, słyszę jak pasażerowie na przodzie autobusu siedzący mówią: Jakieś dziecko stanęło na środku szosy i machaniem ręką zatrzymało autobus. Dziecko myślę? Konduktor otwiera drzwi i wprowadza do wnętrza owo dziecko. Patrzę, a to moja Dziunia. A to co? - pytam. Dziunia odpowiada że nie chciała nocować w Pułtusku i dlatego wybiegła na szosę. Zatrzymała autobus, bo chciała z tatusiem do mamusi wrócić. Cieszyło mnie to, że dzieciak taki roztropny.

Pewnego razu Dziunia nucąc sobie zaś pod nosem zebrała w podołek swego fartuszka kilkanaście dopiero co wylęgłych się kurczaków i wybiega z sieni do szosy w chwili kiedy przystawał na przystanku autobus. Zdążając za Dziunią, by ją odwieść od pojazdu, ażeby się nie dostała pod koła, słyszę jak Dziunia otwierając podołek mówi do kurcząt. Kulcaki, kulcaki zobacta pekape (P.K.P), a tu kurczaki pac, pac, na ziemię.

Rozkoszny to był dzieciak i niezwykle ciekawy i roztropny. Nie raz podglądałem ją co robi. Raz Dziunia stoi przy parkanie i przez sztachety spogląda na podwórze szkolne, na którym pierwszaki z panią bawią się i nucą „mało nas, mało nas do pieczenia chleba, tylko nam, tylko nam Halinki potrzeba". Jakąż zachwyconą minę miała w ten czas Dziunia, tak przywarła do sztachet, jakby przez wąską szparę chciała się dostać do dzieci. Hm... od małego ciągnie ją do szerszego towarzystwa, zdradzała już też uczucia humanitarne i pomocy sąsiedzkiej, bo o to raz widzę jak klęczy przed odwróconą do niej tyłem koleżanką i podciera jej dupinkę papierkiem. Czy to nie chęć pomocy bliźniemu w potrzebie. Te objawiane od małości cechy współtowarzystwa i współczucia bliźniemu, jakżeż ciężko doświadczały ją w przyszłym jej życiu.

Dziunia w Szelkowie w początkowych latach swojego życia ciężko zapadła na chorobę kokluszu. Nie mogliśmy z żoną przeboleć tego jak to dziecko ulegając ostrym atakom męczyło się. Wszelkie stosowane środki lecznice nie pomagały. Za radą ludzi i starszych, by dziecku zmieniać powietrze, ja przez wiele dni woziłem Dziunię po okolicznych lasach. Codziennie rano brałem Dziunię na ramę roweru i jazda w las. W lesie zagrzebywałem chusteczkę w mrowisko i dawałem ją wąchać dziecku. Po tych naszych wycieczkach leśnych coraz to w innym lesie, choroba pomału przeszła i Dziunia ku naszej radości wróciła do zdrowia. Dziunia nigdy nie zaznała braku pieszczot ze strony ojca, czy matki, a darzył ją też miłością swą braterską jej braciszek Oleś.

Mój Lesiek

Oboje dzieci nasze uczęszczały do szkoły podstawowej w Szelkowie. Lesio /od redaktora: właściwe imię Aleksander/ później za radą ciotki Piechuckiej na rok przed wybuchem II wojny światowej uczęszczał do szkoły w Pabianicach, gdzie pod okiem wujostwa Piechuckich przerobił wyższe klasy.

Pamiętam przeżycia jednej wigilii Bożego Narodzenia. Drogi były tak zawiane śniegiem, że wszelka komunikacja ustawała. Spodziewaliśmy się syna w przeddzień wigilii, a najpóźniej w dzień wigilii rano. Gdy w dzień wigilijny Leśka jeszcze nie było, opanowała nas uzasadniona trwoga. Słyszymy, że dzieci ze szkół na święta nie przyjeżdżają względnie, że wiele dzieci nie przyjeżdża ze względu na zasypanie dróg śniegiem i ciągłe zawieje śnieżne. Że Lesio z Pabianic wyjechał, tego jesteśmy pewni, ale jak od ostatniej stacji kolejowej Nasielsk dojedzie - tego nie wiemy. Doszła nas wieść, że wiele młodzieży szkolnej jadącej na święta ze szkół w Warszawie, dotarła do Pułtuska, gdzie koczuje zdana na łaskę losu. W wigilię od popołudnia grzęznę w zaspie śnieżnej na szosie wypatrując od strony Pułtuska sań z dziećmi, łudząc się nadzieją że może w którychś saniach ujrzę Leśka. Sań tych niewiele, a wreszcie już nic nie widać od strony Pułtuska.

Zrozpaczony po prostu o los dziecka, w porozumieniu z żoną wynajmują starego Golona z koniem i malutkimi sankami. Zabieram ze sobą kożuch i derki, i opatuleni przed zawieją śnieżną ruszamy już w wieczór z Golonem do Pułtuska. Można sobie wyobrazić jazdę naszą. Pudło sanek wraz z nami to w górze, to na łeb w dole. Sanki jak korab na wzburzonych falach morza przewalają się po zaspach z góry na dół. Zadymka wreszcie ustaje. Po długim czasie takiej mozolnej jazdy stajemy wreszcie w Pułtusku. Miasto wielce też zawiane śniegiem, w oknach już jarzą się pozapalane choinki. Ciarki przechodzą mnie po skórze na myśl gdzie syn mój i w jakich okolicznościach spędzał będzie wieczór wigilijny a jak to zniesie jego matka.

Wreszcie znajduję Leśka w grupie uczniów nie pamiętam już gdzie a zdaje mi się, że w poczekalni P.K.P. Zziębnięty i utrudzony rozciera sobie uszy. Na mój widok zaraz zraźniał, otucha wstąpiła w niego, bo już był beznadziejnie przygnębiony. Od stacji kolejowej dostał się trochę pieszo, trochę na zabranego do Pułtuska, gdzie oczekiwał okazji w dalszą drogę, ale jakaż mogła być o tej porze okazja. Wyjeżdżając do Pułtuska intuicyjnie czułem, że go muszę gdzieś czy to na drodze, czy w jakimś osiedlu na trasie Nasielsk–Pułtusk znaleźć i intuicja nie omyliła mnie. Jak słyszałem w Pułtusku, wielu uczniów utknęło w zaspach na drodze. Leśka ułożyliśmy z Golonem w sankach na derkach i jazda na łubudu łubudu, z powrotem do Szelkowa.

W Szelkowie na widok syna matka od razu zraźniała. Dziunia mało sobie z tej przygody główkę zaprzątała, doglądała choinki. I tak razem szczęśliwi, że wszyscy jesteśmy w domu, przystąpiliśmy do kolacji. Leśkowi nie przeszła ta podróż łatwo, bowiem nabawił się zaziębienia, szczególnie narzekał na zęby i uszy, tak że niewesołe miał święta.

Zbyszek Błociszewski

Pracował w gminie oprócz pracownika praktykant Zbyszek Błociszewski. Zaciekawiła mnie jego osoba. Był to przystojny i inteligentny młodzian, a świetnie prezentował się w mundurze strzeleckim; piastował bowiem godność komendanta miejscowego związku strzeleckiego. Co pana skłoniło - mówię pewnego razu, do bytności w Szelkowie i na tak niskim stanowisku praktykanta w zarządzie gminnym? Błociszewski opowiedział mi, że jego ojciec pochodzi z rodziny ziemiańskiej, matka spokrewniona jest z hrabią Rommerem szefem protokółu dyplomatycznego w Warszawie. Pochodzą z Kresów Wschodnich i wyemigrowali stamtąd, nie chcąc żyć w ustroju

Od lewej: Jadwiga Jaźwińska z domu Sikora, Barbara Napiórkowska – kuzynka, Aleksander Sikora, Marcela Sikora, Waldemar Jaźwiński, Cezary Piechucki – brat cioteczny Aleksandra. Zdjęcie wykonane w Chrzanowie w czerwcu 1962 r., udostępnione przez Waldemara Jaźwińskiego.

związku radzieckiego. Ojciec Błociszewskiego wysoki przystojny starzec o wyglądzie prawdziwego dawnego szlagona „mocium panie", był rządcą folwarku dzierżawionego przez Wierniewicza w Magnuszewie, matka z synem mieszkali w wynajętej chałupie w Szelkowie /od redaktora wydania: szlagon inaczej: elegant, pięknis, fizdrygant, przystojniak/. Pani z domu Rommerów widocznie nie chciała mieszkać wraz z mężem na małym folwarku, duma widocznie jej na to nie pozwalała. Biżuteria i inne wartościowe przedmioty z dawnej świetności na pewno były już dawno spieniężone, to też musiały starczyć skromne posady męża i syna.

Panie.. mówię do Błociszewskiego: Ja jakbym miał wuja dygnitarzem przy rządzie w Warszawie, na pewno bym w Szelkowie nie siedział a piastował już dawno stanowisko jakiegoś wyższego urzędnika, a nawet Starosty na powiecie. Jedź pan do wuja w Warszawie. Skłoń mu się i poproś, a zobaczysz, że ci się los i twoim rodzicom odmieni. Błociszewski słuchając z niedowierzaniem mojej rady zauważa: ale czy wuj zechce mnie przyjąć, może nie będzie chciał sobie biednego krewniaka przypomnieć i głowy sobie nim zaprzątać? Popróbuj pan radzę, kupić, nie kupić - potargować można – powiadam. Najwyżej pana nie przyjmie i nic pan na tym nie straci.

Nie wiem już czy za moją taką poradą, czy w wyniku narady z rodzicami, Zbyszek jak mógł wyelegantował się i ruszył do hrabiego Rommera.

Po powrocie z Warszawy pytam no i jak? Zbyszek opowiada: W urzędzie rady ministrów, czy w ministerstwie spraw zagranicznych miałem trudności, woźni nie chcieli dopuścić mnie do gabinetu. Z uwagi na pilne sprawy jakimi zaprzątnięty był wuj, dopiero w mieszkaniu prywatnym lokaj wpuścił mnie do wuja.

Po zaprezentowaniu się hrabiemu jako jego kuzyn, Rommer przyjął mnie z życzliwością następnie zapoznał z jego żoną i córką.

Po kolacji państwo Rommerowie wzięli mnie ze sobą do teatru, wypytywali o matkę i ojca oraz o nasze obecne powodzenie. Ja prosiłem wuja o wystaranie się dla mnie jakiejś intratniejszej posady. Dobrze odpowiedział Rommer, rozejrzę się za tym. Na drugi dzień wujowi składał wizytę nowo mianowany na województwo warszawskie wojewoda Nakonieczni-koff–Klukowski. Wuj przywołał mnie i w rozmowie z wojewodą napomknął o mojej prośbie.

Na jakim stanowisku chciałby pan pracować, pyta mnie wojewoda - a pan co na to pytam? Ja chciałbym zostać pomocnikiem sekretarza gminnego odpowiedział na to Błociszewski. A wuj i wojewoda co na to ? - pytam. Zaczęli się śmiać ze mnie - odpowiada Błociszewski. I mieli z czego - mówię. Aleś pan frajer powiadam, toć z takiej okazji trzeba było skorzystać, trzeba było prosić o posadę jakiegoś komisarza, inspektora lub coś innego i śmiałem się i ja z naiwnego Zbyszka.

Rommer widocznie nie zapomniał o swoich kuzynach, bo rodzina Błociszewskich niedługo po tym wyjechała z Szelkowa, ale nie wiem już na jakie stanowisko ten dobry w zasadzie i dobrze wychowany chłopak trafił.

Henryków Zarząd Gminny

Henryk Chrzanowski dla podkreślenia swoich korzeni szlacheckich w rozmowie używał zawsze przysłówka „kochanku". Radziwiłł używał przysłówka „panie kochanku", Chrzanowski tylko „kochanku". Było to ze strony Chrzanowskiego lubowanie się w przysłówkach dawnych magnatów. Lubiał się też popisywać różnymi gestami magnackimi zaczytanymi na pewno z książek powieściowych.

Tak się złożyło, że twarz zarządu gminnego względnie jego biura stanowiło trzech Henryków, bo:

Wójt gminy Henryk Chrzanowski
Sekretarz Henryk Sikora
Zast. Sekr. Henryk Bobiński

Można sobie wyobrazić jak wyglądał dzień imienin tej trójki. Rano złożyliśmy sobie wzajemne życzenia. Wójt mówi, do mnie. - Widzu już kochanku, niedługo muszę jechać do domu, bo spodziewać się gości, a więc, ażeby nasze imieniny jako tako oblać, wypijemy sobie w biurze ćwiartkę, ja sobie pojadę, a wy się sami zabawiajcie. Z początku poszła skromnie ćwiartka, za nią naturalnie druga i trzecia, bo każdy Henryk musiał od siebie postawić, a gdy Bobiński rozwinął swój niewyczerpany repertuar różnych komicznych pomysłów, wójt żecze do woźnego Wołyńca - zamknij drzwi od zewnątrz do biura, a przed tym kochanku masz tu pieniądze i przynoś co potrzeba. Przyniesiony ładunek składał się z różnych wódek, piwa, lemoniady i zakąsek. I zaczęła się robota na całego. Praktykantom dobrze już pijanym kazaliśmy iść do domu, a sami „dawaj"... Bobek już zaczyna taniec z przysiadami, woźny błędnymi oczyma wodzi, rad by Bobkowi w tańcu pomagać, ale mu nogi nie pozwalają. Wójt Chrzanowski „Kochanku", tłucze puste butelki szklanki i kieliszki rzucając je w kąt gabinetu. Pod oknami przechodzi i nasłuchuje Wołyńcowa, gdzie też jej mąż Marian się zapodział. Czasem wyjrzy moja żona i prędko się schowa rada temu, że ta Henrykowska Sjesta imieninowa odbywa się w biurze, a nie w naszym mieszkaniu. Do drzwi wejściowych od frontu dobija się miejscowy proboszcz pragnąc coś załatwić. Odpowiedzi na pytanie o wójta lub sekretarza nie potrzeba; bowiem przez otwarte lufciki u okien słyszy podniesiony gwar Henryków, odchodząc od zamkniętych drzwi spogląda na szyld u góry i zauważa, że w tym dniu napis na szyldzie winien brzmieć nie Zarząd gminny gminy Smrock w Szelkowie, lecz Zarząd gminny gminy Smrock w Henrykowie.

Po wyczerpującej sjeście imieninowej, naszej orgii pijackiej wójt odjeżdża bryczką. Wołyńcowa gania Mariana, swego męża, dookoła podwórza i okłada go miotłą, ja ze zdumieniem patrzę na stos szkła w kącie gabinetu i nie mogę się doliczyć ile właściwie butelek poszło. Takie to były wspólne nasze imieniny za wójta „Kochanku".

Dobra szkoła

Przyjęliśmy na praktykę w biurze gminnym kilku młodych chłopaków synów gospodarzy z okolicznych wiosek. Byli nimi Lasko Tadeusz z Ciepielewa syn Sołtysa, który od razu wszedł na początkowo skromną pensję, Bolek Dąbrowski z Jankowa, Marian Sosnowski z Chylin i przez niedługi czas Bartniczak z Ciepielowa. Ja jako sekretarz nie żałowałem nikomu wiedzy fachowej, książek rachunkowy i innych akt nie zamykałem przed pracownikami, jak to czynili starzy sekretarze, a przeciwnie każdy miał do wszystkiego dostęp, jeśli tylko okazywał chęci. Życzliwie każdemu udzielałem wszelkich informacji i wskazówek, to też krążyła opinja, że kto pod ręką Sikory pracuje, wychodzi w przyszłości na dobrego pracownika. Może tak i było, bo Lasko, Dąbrowski i Sosnowski byli po wojnie pracownikami Starostwa, posiadali już taką rutynę w pracy biurowej, Bartniczak poświęcił się służbie wojskowej w lotnictwie i często wspominał, że wiele mi zawdzięcza, z tych - Dąbrowski Bolek dziś jest kierownikiem referatu budżetowo–gospodarczego w Prezydium P.R.N. /od redaktora wydania: Powiatowa Rada Narodowa/. Ci i inni praktykanci też i z gminy Krasnosielc często wspominają mnie życzliwie, jako dobrego nauczyciela w administracji.

Pragnąc Dąbrowskiego i Sosnowskiego jako tako choćby jednorazowo wynagrodzić postanowiliśmy z wójtem wypłacić im z zaoszczędzonych kredytów budżetowych na wydatki osobowe, gratyfikacje po 50 złotych.

Chłopcy z zadowoleniem gratyfikacje podjęli i zapewniwszy nas że pieniędzy na byle co, nie zmarnują w podniosłym nastroju udali się rzekomo do swoich domów. Jakież było też zdziwienie, gdy na drugi dzień rano, czy może tego samego dnia przed wieczorem ujrzałem ich w rowie przy szosy na Smrocku leżących z siniakami i guzami na głowach kompletnie jeszcze pijanych. A więc dobra szkoła pod każdym względem nie poszła w las.

Pan z pana Bobiński z Bobina

Na czoło godnych popijania kompanów wysuwali się z pośród nauczycieli Kierownik Szkoły Szmidt, nauczyciel z Przeradowa Gomelewski i nieodłączny nigdy od gminy emeryt, dawny sekretarz gminy Józef Olkowski. Kiedy Olkowski wszedł do biura wiadomym już było, że ćwiartka pewna. Nic nie mówił tylko kładł na stole złotówkę, myśmy dokładali i zaczynało się. Nie wiem czy w którejś z gmin było inaczej. Picie wódki pracowników z mieszkańcami było we wszystkich gminach powszechne, a okazji było zawsze sporo, to Zaduszki, to zagrabki, to zapusty itd., a trudno było odmawiać gospodarzom, którzy by się za odmowę obrazili. W takiej sytuacji każdy pracownik gminy miał sposobność wejścia na drogę nałogowego alkoholika. Ja chociaż lubiłem wypić, nie dałem się jednak nałogowi.

Dotychczasowy pomocnik mój Stanisław Olszewski przeszedł na inną gminę, a na jego miejsce przyszedł starszy ode mnie wiekiem z Płoniaw pan z pana Henryk Bobiński z Bobina. Z nawyków do kieliszka i z animuszu szlacheckiego, podobny do Tomka Perzanowskiego. Tak jak Tomek zawsze podkreślał, że jest panem z pana Perzanowskim z Perzanowa, tak samo mój ówczesny zastępca wypiwszy sobie, zawsze zaznaczał, że jest panem z pana Bobińskim z Bobina. Była to pocieszna postać. Ku-

lawy, utykający na jedną nogę, gdy sobie podpił i zaczął z przysiudami tańczyć, było z czego ze śmiechu boki zrywać. Nieraz do rozpuku ubawiliśmy się wyczynami „Bobka".

W pracy Bobiński był nieocenionym pracownikiem. Robota paliła mu się w rękach, interesantów załatwiał w mig. To jedno, że lubiał sobie popić, a napijał się zawsze na wesoło, urządzając zawsze śmieszne i nieszkodliwe dla otoczenia śmieszne sceny. Miał syna w gimnazjum i dwie córki uczennice Szkoły Powszechnej. Żona jego Eufemia, zwana przez niego Femutką, nie miała siły na utemperowanie męża. Jednej z niedziel chciałem do niego zajść w pewnej sprawie do mieszkania, a mieszkał w domu wynajętym niedaleko kościoła. Będąc już przy ścianie domu, usłyszałem dobywające się z wewnątrz mieszkania pokrzykiwania Bobka. Hej, ...ha...uhaha, i brzęk naczyń. Zza węgła wychodzi pani Fema i wstrzymując mnie przed wejściem do mieszkania radzi: Niech pan nie wchodzi, bo mój Heniek odprawia z sołtysem ze Strachocina swoje pijackie nabożeństwo. Zaglądając do okna widzę jak pan z pana „Bobek" z Bobina, tańczy na stole spychając na ziemię flaszki, szklanki i kieliszki, a sołtys i ktoś tam jeszcze tańczą kozaka z przysiadami na podłodze.

Natura Bobińskiego czuła się w swoim żywiole. Chwilę stałem pod ścianą nasłuchując. Bobek, gdy oknem ujrzał swą żonę krzyczał Femia ja cię kocham, Femnitka nie gniewaj się.

Pewnego razu Bobek upiwszy się w Makowie zaczął rozrabiać w restauracji Jadczaka. Podczas jego wrzasków do restauracji weszli nowy, nieznany jeszcze wicestarosta, rejent Bargielski i ktoś jeszcze. Vicestarosta dowiedziawszy się, że pijany jest pracownikiem gminnym, miał zamiar zawołać policjanta. Towarzyszący wicestaroście goście odwiedli go od tego zamiaru i przedstawili mu osobę Bobka w dobrym świetle, opowiadając o jego różnych wesołych a nieszkodliwych wyczynach. O tym, że jest on znany w powiecie każdemu i jako wesoły zwolennik Bachusa cieszy się ogólną sympatią. Wicestarosta wobec tego zwrócił się do Bobka z łagodną perswazją, ażeby już ze względu na późną porę jechał do domu, do żony i dzieci. Na wspomnienie żony, to jest Femci, Bobek rozczulił się ze łzami w oczach dał się z restauracji wyprowadzić, a rozczulony też wicestarosta pragnąc spełnić dobry uczynek względem bliźniego – kolegi, wyprowadził Bobka na Bazar, prosząc go by wsiadł na rower i ruszył w stronę Szelkowa. - Dobrze panie Starosto, tylko sobie trochę na rowie posiedzę zanim wsiądę na rower. Zadowolony wicestarosta wrócił do restauracji chwaląc się przed kompanami ze swego dobrego uczynku.

Towarzystwo zasiedziało się na dłużej przy koniakach i czarnej kawie i już zapomniało o Bobku, gdy w wejściu ukazuje się Bobek. - Tak pana prosiłem, żebyś pan pojechał do żony i dzieci, a pan tu? Zwraca się do przysiadającego się do stolika Bobka wicestarosta, a Bobek na to: Coś pan chciał żebym ja siedział na rowie, a wy żebyście tu pili sami beze mnie? to mówiąc nalewa sobie w szklankę koniaku i wypija. Na takie dictum towarzystwo rozchodzi się pozostawiając intruza samego przy stoliku, tymczasem policjant odprowadza na posterunek pozostawiony na ulicy rower Bobińskiego.

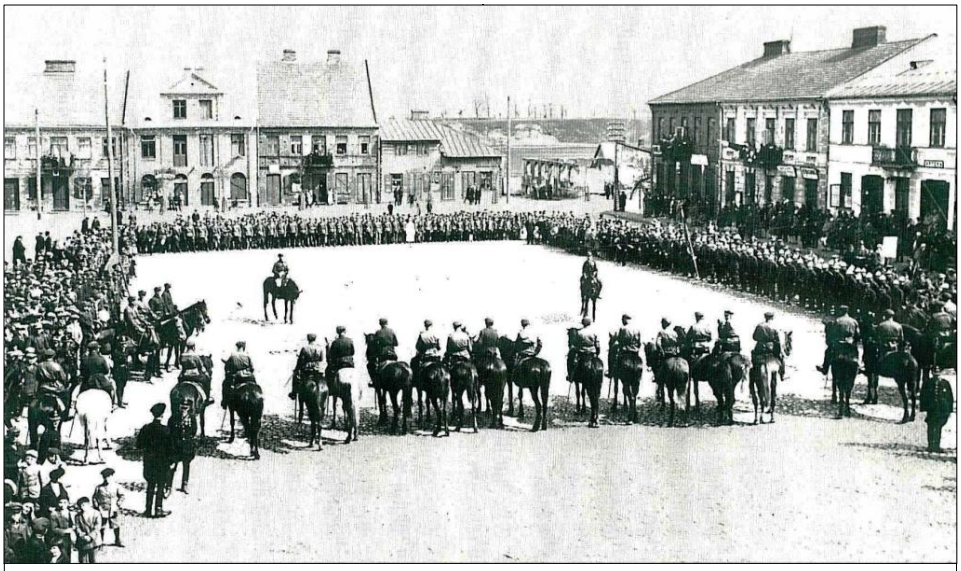

Rynek w Makowie lata 30. XX wieku. Zdjęcie z publikacji „Ocalić od zapomnienia" Powiat Makowski strona 22.

Bobek po odśpiewaniu kilku skocznych piosenek, na prośbę Jadczaka opuszcza wreszcie restaurację i na ulicy ze zdumieniem stwierdza brak roweru. Wali prosto na posterunek i zgłasza kradzież roweru, żąda ażeby policja natychmiast odnalazła jego rower. Policjanci którzy dobrze Bobińskiego znali śmiejąc się mówią: Heniu a cóż ty chcesz od nas? Z wicestarostą popijałeś, a od nas żądasz żeby ci rower pilnować? i dalej kpili z niego. Zawiedziony Bobiński dowiedziawszy się gdzie wicestarosta mieszka wali do niego wśród nocy dobija się do mieszkania, a na zapytanie vicestarosty, który otworzył okno czego potrzebuje, Bobek drze się na całą ulicę: Te starościaku „oddaj rower". Przyczajeni w oddali policjanci zabrali Bobińskiego sprzed mieszkanie vicestarosty, zaprowadzili na posterunek, położyli na łóżko w pokoju przyległym do posterunku, by się przespał. Jak mi później opowiadali mieli nie małą z nim pociechę. Bobek chrapał już na dobre, gdy policjanci w obawie ażeby się nie uwolnił chcieli go rozebrać. Spodnie z niego powiadają ściągnęli, rozzuli, ale marynarki zdjąć nie mogli. Bobek w marynarce w kieszeni wewnętrznej miał ćwiartkę wódki tak kurczowo trzymał ręką za tę kieszeń, że nijak nie można było zdjąć z niego marynarki.

Rano około godziny 10 zdziwiony tym, że Bobińskiego jeszcze w biurze niema, a posłałem go wczoraj służbowo do Makowa, dzwonię na posterunek policji w Makowie i pytam czy go tam wczoraj nie widzieli, bo jestem w obawie czy mu się jako kalece coś złego w drodze nie przytrafiło, a chodziło mi bardziej o papiery urzędowe, które ze sobą zabrał i miał je z powrotem przywieźć.

Posterunek odpowiada, że Bobek przed chwilą wyruszył na rowerze w stronę Szelkowa. Czekam od godziny 12, Bobka niema. Nareszcie wsiadam na rower i jadę do Makowa dowiedzieć się, co jest z Bobkiem, a zwłaszcza z papierami, które winien przywieźć. Jadąc pomiędzy Smrockiem a Chalinami ujrzałem Bobka na rowie przy szosie smacznie śpiącego. Nogę założył pomiędzy ramy swego roweru ażeby mu kto roweru podczas snu nie zwędził, a przy nim widzę wypróżnioną ćwiartkę po wódce.

Taki to był Bobek mój pomocnik pan z pana Bobiński z Bobina. Czasem zazdrościłem mu jego niefrasobliwej natury. Ten człowiek ni-

Urzędnicy makowskiego starostwa, ok. 1930-35 r. Zdjęcie z publikacji „Ocalić od zapomnienia" Powiat Makowski strona 24.

czym się nie przejmował, wszystko przechodziło mu łatwo, nie miał żadnych zmartwień, a jedynymi istotami dla niego które kochał, była Femcia i wódka. Zabrakłoby tu miejsca na opisanie jego komicznych wyczynów, streszczę się, że był to chłop wesoły, sprytny i jako pracownik, bardzo dobry. Jakżeż boleśnie doświadczyło go życie podczas okupacji hitlerowskiej o czym w następnych rozdziałach będę pisać, tymczasem wspomnę o pewnym wydarzeniu w jego życiu w Szelkowie, które jak się później okazało miało związek z wydarzeniami podczas okupacji.

Pewnego razu zjawiła się w zarządzie gminnym żandarmeria wojskowa pytając o Bobińskiego. Oficer żandarmerii i wachmistrz z maszyną do pisania zamknęli się z Bobińskim w gabinecie wójta, jeden zaś z żandarmów pozostał w kancelarii ogólnej chyba po to, żeby nikt pod drzwiami gabinetu nie podsłuchiwał. Po więcej może jak godzinie czasu, Bobiński wyszedł z gabinetu w stanie znacznego zdenerwowania. Żandarmi przeprosiwszy mnie za zajęcie lokalu odjechali. Co to było pytam Bobińskiego? Nic złego odpowiada Bobiński, przesłuchanie w pewnej sprawie w której ja żadnego udziału nie miałem i nie mam. Wiedząc, że takiego rodzaju przesłuchania otaczane są zazwyczaj tajemnicą, więcej nie nalegałem na Bobińskiego, by mi coś bliższego o tym powiedział. Powoli, przeszło to w zapomnienie. Po roku może czasu napotkałem w którymś z czasopism codziennych taką oto wzmiankę: Mieszkaniec Ostrołęki Pszczółkowski (imienia nie pamiętam) przyłapany został na szpiegostwie na rzecz Niemiec i wyrokiem Sądu skazany został na powieszenie. Zaciekawiło mnie to nazwisko, szukam w pamięci i znajduję. Aha... do Bobińskich przyjeżdżał na wakacje z Ostrołęki uczeń gimnazjalny o nazwisku Pszczółkowski, który Bobińskiego nazywał wujem, przychodził też do biura by widzieć się z wujem. Czyżby to z tych Pszczółkowskich? Czyżby to synek szpiega Pszczółkowskiego? Grzebię dalej w pamięci. Niestety, tak to był młody Pszczółkowski syn szpiega z Ostrołęki. Bobińskiego siostra była zamężna za Pszczółkowskim i mieszkała w Ostrołęce. No stało się myślę, sprawiedliwości stało się zadość, że szpiega powiesili, ale to dziwne, ze takie czysto zhańbiło się zdradą swej ojczyzny. Teraz dopiero zrozumiałem cel przesłuchania Bobińskiego przez żandarmerię wojskową, szukali widać związków rodzinnych, czy ktoś z bliższej lub dalszej rodziny szpiega nie maczał też rąk w aferze. Nigdy z Bobińskim na ten temat nie rozmawiałem nie chcąc mu tym sprawiać przykrości. Nie pamiętam już, w którym roku Chrzanowski wybrany został na posła do Sejmu R.P., pamiętam tylko, że początkowo był wójtem tylko, następnie wójtem i posłem i w roku 1938, czy też na początku 1939 r. Już tylko posłem, aż do wybuchu wojny, zaś na stanowisko wójta wybrany został Edward Dorocki.

Dar dla wojska

W pracy raczej społecznej, której zawsze poświęcaliśmy wolny czas, zainicjowaliśmy ufundowanie przez gminę daru dla wojsk w postaci karabinu maszynowego. Zebrawszy potrzebną sumę z darów, ofiar, składek i dochodów z imprez rozrywkowych. Zakupiliśmy karabin maszynowy, w imieniu gminy, zaś gromada wsi Pomaski samorzutnie od siebie zakupiła coś kilkanaście masek przeciwgazowych. Zakupy takie były symboliczne; bowiem gotówkę wpłacało się na konto odnośnego Komitetu organizacji obrony Kraju, a zakupiony w ten sposób sprzęt dostarczała w dniu uroczystego przekazania jednostka wojskowa.

Browning wz. 1928. Produkowany w Polsce na licencji firmy belgijskiej FN – taki właśnie karabin mógł być przekazany wojsku. Zdjęcie ze zbiorów Zbigniewa Żebrowskiego.

W taki sposób znalazł się na rynku w Makowie karabin maszynowy i maski gazowe, gdzie nastąpił akt przekazania przedstawicielowi 13 p.p. /od redaktora wydania: 13 Pułk Piechoty, służył w nim niejeden mieszkaniec powiatu pułtuskiego i makowskiego, w tym m.in. Władysław Kocot/. Przy licznej publiczności kompania honorowa 13 p.p. sprezentowała broń, orkiestra odegrała hymn narodowy. Wójt gminy odczytał zredagowany przeze mnie podniosłej treści akt woli mieszkańców gminy ufundowania wojsku karabinu maszynowego. Nastąpiły przemówienia, podziękowania za ufundowany dar, odśpiewanie roty i na tym się wielce jednak podniosła uroczystość skończyła.

Pamiętam, bo głęboko mi w pamięci utkwiło przemówienie miejscowego rabina, który jako ostatni z mówców zabrał głos. I dziś w pamięci widzę uduchowiony wyraz twarzy rabina patrzącego w górę jakby do Boga i wyrzekającego m.in. te słowa: „I przyjdzie wróg na tę naszą ziemię ukochaną jedną drogą, a smagnięty biczem bożym uchodzić będzie pamięci wszystkimi drogami, i ukochana nasza ojczyzna znów wolną będzie". Czyż nie głęboka intuicja rabina, czy nie przewidywała niedługo po tym nadchodzącej burzy dziejowej. Jakżeż uduchowiony rabin przewidywał trafnie to wszystko, co nie długo i po latach nastąpiło.

Utartym w Polsce zwyczajem wszelkie czyny, czy to społeczne czy też z obowiązku wypływające były zawsze poświęcane i oblewane. Czy to wybudowana szkółka na wsi, remiza strażacka, mostek na drodze, czy co innego, obowiązkowo było uroczyście poświęcane, a po tym mniej już uroczyście oblewane myśli zapijane.

Tak też było i z naszym karabinem maszynowym. Nie pamiętam już czy był poświęcany, ale pamiętam że był opijany w lokalu miejscowego stowarzyszenia kulturalno–oświatowego „Lutnia" w Makowie.

Zaproszeni oficerowie, przedstawiciele władz społeczeństwa na stojąco raczyli się trunkami i zakąskami. Mnie nie podobała się taka na stojąco robota, to też usiadłem sobie, przy stoliku. W tej chwili jak na zawołanie przysiadło się do mnie kilku oficerów podzielają mój pogląd, że lepiej się je i pije na siedząco niż na stojąco.

Przechodzący przez pokój Starosta doktór Łazarz, filuternie w moją stronę zauważył: Panie Sikora nie rozpijaj pan panów oficerów. Aluzja ta rzuconą była raczej w stronę oficerów, którzy raczej mnie mogli rozpić, a nie ich. Starosta przy tej uwadze filuternie roześmiał się, znał on dobrze oficerów z 13 p.p.

Wśród gości w drugim pokoju mignęła mi się postać rabina w rozmowie z wojskowymi i innymi entuzjastami jego na rynku przemówienia. Biedny rabin nie zwyczajny do wódki jak się przyglądałem musiał wychylać częste toasty, a jego współwyznawcy czatując w korytarzu na schodach pilnowali swego duchownego, aby mu się co złego nie stało. Skutek częstowań rabina był taki, że go Żydkowie na rękach zupełnie pijanego z „Lutni" wynieśli i do domu zanieśli.

Tak to wyglądało wręczenie w Makowie karabinu maszynowego przez gminę Smrock.

Ofiarność społeczeństwa dla Wojska dla obrony Kraju była powszechna i wielka. Ileż to karabinów maszynowych i innego sprzętu ofiarowywano Wojsku w małym kraju. Ileż to razy ten symboliczny karabin maszynowy, który był przedmiotem uroczystości w Makowie wędrował z miasta do miasta. Był to już weteran uroczystościowy.

Niestety, i ta wielka ofiarność społeczeństwa nie pomogła, gdy Kraj ulec musiał najazdowi wroga. Zawdzięczając to błędnej polityce jego ówczesnych rządów.

Ćwiartka w aktach

Stosunki towarzyskie utrzymywałem w Szelkowie z nauczycielstwem, a szczególnie z pp. Rybeczkami. Pani Rybeczkowa była to bardzo sympatyczna niewiasta rodem z Białegostoku, pan Rybeczko z Małopolski wschodniej. Oboje uczyli w Szelkowie. Gdy pani R. była miłą i naturalną w towarzystwie, pan R. utrzymywał sztywność mając się za coś wyższego od innych, pozował zawsze na wielkiego człowieka, zapominał o tym, że wywodzi się spośród galicyjskiego chłopstwa. Utrzymywaliśmy jednak przyjacielsko–sąsiedzkie stosunki towarzyskie. P. R. był czasem złośliwy. Pamiętam z czasów kiedy byłem jeszcze pomocnikiem sekretarza w Szelkowie, jak p. R. puścił pogłoskę że w gminie zawsze popijają wódkę. Wyrabianie takiej opnji mnie i sekretarzowi nie było dla nas przyjemne.

Jan Rybeczko – nauczyciel Powszechnej Szkoły w Szelkowie w latach 1924 – 1939.
Zdjęcie z publikacji „Ocalić od zapomnienia" Powiat Makowski strona 192.

Przyznam że ja i sekretarz pijaliśmy często skrycie wódkę w biurze. Kiedy Krajewski zaczął sobie pod nosem coś mruczeć i ziewał głośno, oznaczało to że ma ochotę wypić. Ile przynieść pytam? Ćwiartka wystarczy. Ćwiartka stała w takim razie w szafie z aktami. Gdy nikogo w biurze obcego nie było, podchodziliśmy do szafy, aby sobie kropnąć po jednym dla podniety w dalszej pracy. Przy takim popiciu Sekretarz Krajewski, gdy nam nikt nie przeszkadzał, lubiał opowiadać o sobie jak był w Rosji, gdzie go rewolucja zastała, jakie miał tam wydarzenia itp. Ja nawzajem, opowiadałem mu o sobie o swoich podczas wojny przeżyciach itd.

Podczas takiej pogawędki przy szafie, w razie, gdy ktoś obcy wszedł do kancelarii szafę się przymykało i tak schowany przed okiem interesanta bywał nasz bufet. Rybeczko niezauważony przez nas wszedł raz do pierwszej kancelarii i stamtąd podpatrzył nasze umizgi do szkła w szafie, i to mu wystarczyło by puścić nieszkodliwą dla nas, ale niepotrzebną i złośliwą pogłoskę.

Helena Rudnicka i Józefa Rybeczko – nauczycielki Powszechnej Szkoły Podstawowej w Szelkowie w 1922 - 1925. Zdjęcie z publikacji „Ocalić od zapomnienia" Powiat Makowski strona 192.

Pewnego razu raczymy się obaj z sekretarzem kieliszkami przy szafie, a Rybeczko podczas pauzy w szkole przechadza się pod oknami zarządu gminnego. Zamknij pan szafę mówi Krajewski, bo Rybeczko gotów jest wejść i zobaczy. Nic nie szkodzi odpowiadam. Przynieś pan w szklance trochę wody, to zobaczy pan jak się Rybeczko da nabić w butelkę. Krajewski przyniósł wodę, którą wlałem do opróżnionej już ćwiartki. Uszykowałem małą kanapkę na zakąskę i mówię do Krajewskiego: Zaraz zobaczy pan wesołą scenkę. Wyszedłem na ganek i zagaduję do Rybeczki, chłodno dziś prawda? A chłodno odpowiada Rybeczko. Nie zaszkodziłoby tak po jednemu na rozgrzewkę, a... nie szkodziłoby - mówi Rybeczko. A może by tak profesor jednego? Owszem, ale gdzie bo zaraz przerwa się kończy. Chodź pan... i wprowadzam go do biura, otwieram szafę, nalewam 3 kieliszki wody, Rybeczko na widok butelki ręce z zadowoleniem zaciera bierze kieliszek i ... no to cyk ... ażeby nam się dobrze działo. Z rozmachem jakby to był spirytus golnął sobie kielich wody. Ja mu podsuwam kanapkę, a ten gniewnie na nas spojrzawszy, oburzony wyszedł trzaskając drzwiami. My obaj w śmiech. Aleś mu pan dał powiada Krajewski.

Po godzinie podczas drugiej przerwy Rybeczko spaceruje przed gminą nie patrząc nawet na budynek gminy. Ja podchodzę do niego i mówię: a co panie profesorze! Piją w gminie wódkę? Zmierzył mnie gniewnym spojrzeniem i ruszył do szkoły. Pełno było z tego śmiechu wśród nauczycielstwa niejeden przyznał mi: - Dobrześ mu pan zrobił.

Szelków, 1938 rok. VI Oddział Powszechnej Szkoły Podstawowej w Szelkowie. Siedzą od lewej: Jan Rybeczko, Józefa Rybeczko, Zofia Olkowska, kierownik szkoły – Edward Szmidt i Czesław Kwiatkowski. Zdjęcie z publikacji „Ocalić od zapomnienia" Powiat Makowski strona 196.

Wizytacje Wojewodów

W czasie naszego z wójtem Chrzanowskim urzędowania w Szelkowie, mieliśmy dwie wizytacje z ramienia wojewodów. Pierwszy wizytował gminę wojewoda Inżynier Twardo.

Nie budowaliśmy mu bramy triumfalnej na powitanie, tak jak utarty zwyczaj nakazywał; bowiem inż. Twardo nie życzył sobie tego, będąc poglądów bardziej postępowych i rzeczywiście, bo na cóż ta pompa? Telefonem ze Starostwa powiadomiono nas, żeby się do wizytacji przyszykować. Poza wizytacją zarządu gminnego Wojewoda miał wysłuchiwać też postulatów miejscowej ludności i w tym celu zgromadziły się przed gminą przedstawicielstwa związków i organizacji społecznych, a także rady gminnej. Przygotowaliśmy chleb na tacy i sól by wojewodę staropolskim obyczajem przywitać, na górce za miastem postawiliśmy strażaka aby dał nam sygnał, gdy się pojazd z wojewodą od strony Pułtuska ukaże.

Tak przygotowani z zapięciem wszystkiego - jak to się mówi na ostatni guzik, oczekujemy przyjazdu dostojnika. Naraz odzywa się dzwonek telefonu. Ze Starostwa nadają, że trasa przejazdu wojewody została zmieniona, wojewoda na Maków będzie jechał przez Karniewo a nie przez Szelków. Jeszcze lepiej powiadamy uniknie się w ten sposób niespodzianki, jakie mogą się przytrafić podczas wizytacji. Tymczasem naczelnik ochotniczej straży pożarnej, rządca folwarku Magnuszew, patrząc na przygotowany chleb powitalny proponuje wypić po jednym pod ten chlebek i wyciąga z kieszeni flaszeczkę. Panie Łysakowski powiadam, a co będzie, gdy będziemy mieć napoczęty chleb, a wojewoda nadjedzie? Poczekajmy trochę mówię. Niema co czekać na to Łysakowski, a wójt już posłał po wędlinę. Ano trudna rada, na upór lekarstwa niema powiadam i otwieram szafę.

Po chwili wójt ja i naczelnik straży Łysakowski posilamy się przy otwartej tradycyjnie szafie. Nie zdążyliśmy przełknąć, gdy wpada strażak i melduje, że od strony Pułtuska jedzie limuzyna. Ja mimo sprzeciwu ze strony kompanów zamykam szafę, a w niej niedopitą wódkę i zakąski, posyłam do piekarni po cały chleb. Woźny tylko co zdążył dopaść z chlebem, przed gminę zajechała limuzyna z wojewodą. Wójt zdążył wyjść na ganek z chlebem i solą i już wita wojewodę. Wojewoda nie wchodzi do biura, tylko zagląda w obejścia budynku gminnego i sąsiadującej z nim szkoły, następnie wita się przed gminą z poszczególnymi przedstawicielstwami wysłuchuje ich sprawozdań i postulatów. Po tym dopiero wchodzi do biura przyjmuje sprawozdanie wójta z działalności zarządu gminnego.

Po wyczerpaniu wszystkich spraw wchodzących w zakres wizytacji wojewoda zwraca się do swego sekretarza, czy inspektora i mówi: a teraz może zobaczymy jak Sekretarz gminy prowadzi księgowość i inne urządzenia biurowości. Słysząc to na moment struchlałem wiedząc, że trzeba będzie otwierać szafę i z niej wyjmować książki i teczki z aktami... a w szafie? na pierwszym miejscu flaszka, kieliszki i zakąska. Zagadnięty przez wojewodę jego Sekretarz spogląda na zegarek i mówi do wojewody: Nie mamy na to czasu panie wojewodo, odetchnąłem, życząc w duchu sekretarzowi wojewody: obyś długo żył... Wojewoda wnętrza mojej szafy biurowej nie widział, ale za to widział je Starosta.

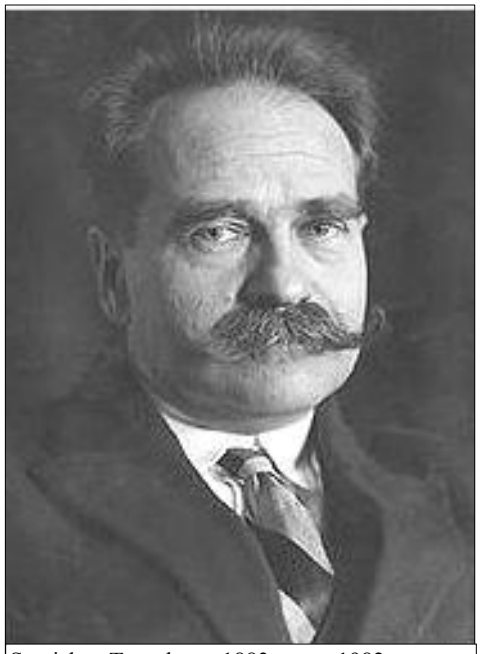

Stanisław Twardo ur. 1883 r. zm. 1982 r.
W okresie od 28 listopada 1927 r. do 3 lipca 1934 r. wojewoda warszawski.
Dane i zdjęcie za Wikipedią.

Starosta zaraz widocznie po wizytacji w Makowie odprowadzał wojewodę do granicy powiatu, bo w drodze powrotnej zahaczył o Szelków i wstąpił do zarządu gminnego. Wódki nie miałem z kim wypić, bo wójt zaraz po wizytacji wyjechał, to też stała dalej w szafie nie dokończona w towarzystwie kieliszków i kanapek. Starosta spacerując po kancelariach pyta jak poszło? Dobrze powiadam i relacjonuję mu przebieg wizytacji. W pewnej chwili otwiera niedomkniętą szafę i pyta - a to co?, „niedokończone dzieła" - chciałem powiedzieć, ale mówię: przygotowany posiłek powizytacyjny dla wójta i dla mnie. Starosta śmiejąc się mówi: No.. dobrze, dobrze, ale niech pan to uprzątnie z urzędowej szafy. Był w humorze, na pewno i jemu wizytacja dobrze przeszła.

Drugim razem wizytował zarząd gminny wojewoda Nakoniecznikoff–Klukowski, były minister rolnictwa i reform rolnych

Bronisław Nakoniecznikoff-Klukowski
ur. 17.10.1888 r. zm. 7.01.1962 r. w okresie od 6 lipca 1934 r. do 5 lutego 1938 r. wojewoda warszawski. Dane i zdjęcie za Wikipedią.

Tu musiała być wielka pompa. W przeddzień przyjazdu nakazano budować triumfalną bramę powitalną. Wójt Chrzanowski osobiście dopilnowywał urządzenia bramy, plecienia wieńców przez wynajęte do tego kobiety, oraz uporządkowania placu przed gminą.

Zawsze byłem przeciwny wszelkim bramom triumfalnym, wychodząc z tego pojęcia, że takie bramy urządzane z musu nie były przecież wyrazem jakiegoś entuzjazmu ze strony społeczeństwa dla dygnitarza państwowego, lecz zwyczajną niepotrzebną i fałszywą maskaradę. Co innego, gdyby taka brama samorzutnie z dobrej woli była przez społeczeństwo miejscowe wzniesiona. A tu wójt nagania mężczyzn i kobiety do robienia bramy, wreszcie ludzie aby zarobić kilka złotych bramę budują nie wnikając nawet w to dla kogo ta brama i komu to potrzebne.

Przyglądając się bramie pozwalam sobie na humorystyczne i złośliwe docinki na temat bramy i jutrzejszego powitania władzy. Wójt Chrzanowski zwraca mi uwagę, że może kto posłyszeć i zrobić donos, wskazuje mi też na kręcącego się na rowerze nieznanego w Szelkowie osobnika. Panie Henryku ... widzisz kochanku, ten gość to może tajniak specjalnie tu przysłany w przeddzień przyjazdu wojewody. Przyglądając się owemu osobnikowi, przyznałem wójtowi rację.

Na drugi dzień po ceremoniale powitania przy bramie wojewoda raczył wejść do biura zarządu gminnego. Obserwując go zauważyłem, że na ręku miał wskazówki których przez czas wizytacji nie zdejmował, nie wszystkim przedstawicielom społeczeństwa podawał ręką i rozsiadał się w pierwszej kancelarii przy stole zdmuchnąwszy uprzednio rzekomy pył ze stołu. Napompowany powagą urzędową wyglądał jak chiński bóg. Nie była to sympatyczna postać. Duże przeciwieństwo było pomiędzy nim a dawnym wojewodą inż. Twardo, a nawet pomiędzy nim a wojewodą hrabią łotewskim Sołtanem. Na tych widać było inteligencję, dużą kulturę i życzliwość w zetknięciu się z mieszkańcami gminy wiejskiej, zaś Nakoniecznikoff był uosobieniem gburowatości i wzgardliwego ustosunkowania się do miejscowego społeczeństwa gminy.

Słyszałem, że który ze starostów spóźnił się na odprawę u wojewody, musiał stać przy drzwiach do końca odprawy, a jednemu staroście który na swoje usprawiedliwienie podał że spóźnił się dlatego że mu samochód w drodze nawalił odpowiedział: Jak ja panu koła do dupy przysadzę, to drugim razem będzie pan biegiem gnał na odprawę.

Grono delegatów różnych organizacji społecznych, rada gminna, ławnicy i inni w cichym skupieniu oczekują oderwania się włodarza województwa. Chiński bóg po wytarciu binokli żąda wreszcie składania mu sprawozdań z działalności wywołując z listy poszczególne przedstawicielstwa jak: Koło Młodzieży, Związek Strzelecki, Ochotnicza Straż Pożarna, spółdzielnia mleczarska, Koło Gospodyń Wiejskich itd. Sprawozdania z działalności organów ustrojowych gminy pozostawia na końcu.

W kolejności sprawozdań, ja jako prezes miejscowego związku Strzeleckiego złożyłem mu sprawozdanie z działalności tego związku. Wysłuchał, pytań nie zadawał i burknął pod

nosem „dziękuję”.

Umówiliśmy się z wójtem, że ja będę zdawał sprawozdanie z przebiegu i wyników robót szarwarkowych na drogach gminnych, on zaś, to jest wójt złoży sprawozdanie z wykonania budżetu gminy, budowy szkoły w Pomaskach i z innych dziedzin działalności zarządu gminnego. Kiedy zacząłem zdawać sprawozdanie z szacunków, wojewoda warknął na mnie, sprawozdanie w tej dziedzinie winien składać wójt a nie sekretarz. Znużony takim grubiańskim obejściem się ze mną wysunąłem się z pośród obecnych i wyszedłem sobie na szosę przed gminą. Byłem tak wzburzony, że postanowiłem nie wchodzić już do biura chociażby mnie wojewoda wzywał. Po chwili podchodzi do mnie wójt ze słowami. Panie Henryku co robisz kochanku, wracaj do biura, bo może i na pewno będziesz tam potrzebny. Kategorycznie odmówiłem wyrażając to, że nie jestem parobkiem jaśnie pana wojewody tylko pracownikiem samorządowym, z którym wojewoda lepiej obejść się powinien. Byłem istotnie bardzo urażony w swej godności osobistej.

Przypuszczając, że wizytacja już się kończy bo widzę, że delegacje już z budynku gminy wychodzą, podchodzę bliżej i obserwuję gromadę bezrobotnych wyrobników z tak zwanych górek. Do gromady tych biedaków wyszedł wójt i coś im klaruje. Gromada głośno domaga się dopuszczenia jej delegacji do wojewody. Zaciekawiony, co z tego będzie wchodzę na korytarz i zaglądam do kancelarii. Wójt gminy oznajmia wojewodzie, że jeszcze jest jedna delegacja miejscowych bezrobotnych robotników, która prosi o posłuchanie. Na to wojewoda pamiętam dobrze, dosłownie powiedział: Co bezrobotni? Wiązać ich sznurami i pakować do kryminału”. Zdumiałem się... takie było ustosunkowanie się jaśnie pana do ludzi wyrobników dotkniętych klęską bezrobocia.

Po wizytacji często zastanawiałem się nad tym, dlaczego nie podobała się wojewodzie moja twarz, przecież on mnie nie zna i nigdy przed tym styczności ze sobą nie mieliśmy, aż po pewnym czasie wylazło szydło z worka, a było to tak:

Wójtowi Chrzanowskiemu podobał się budynek zarządu drogowego w Szelkowie, w którym zamieszkiwał inżynier drogowy Kiźniewicz, zaś sam zarząd drogowy, którego Kiźniewicz był kierownikiem mieścił się na Bazarze pod Makowem. Kiźniewicz dojeżdżał sobie z Szelkowa do pracy na Bazar samochodem, a budynek drogowy w Szelkowie zajmował jako willę na mieszkanie dla siebie i swej rodziny. Wójt gminy wysunął na radzie gminnej taką koncepcję, ażeby w budynku zarządu drogowego umieścić biura zarządu gminnego, a dotychczasową siedzibę zarządu gminnego przerobić na szkołę.

Rada gminna podjęła pozytywną w tej sprawie uchwałę domagając się przekazania budynku państwowego gminie, a że w kwestiach nieruchomości państwowych decyzje należały do urzędu wojewódzkiego, uchwała rady gminnej znalazła się na biurku wojewody. Zrozumiałym jest, że inżynier Kiźniewicz dobrze deptał przy wojewodzie, ażeby uchwałę rady gminnej uchylić, gdyż nie uśmiechało mu się opuszczenie wygodnej willi i zamieszkanie w jakiejś ruderze w Makowie. Ażeby zbić motywy uchwały rady gminnej, urobił w wojewodzie opinję, że przeniesienie siedziby zarządu gminnego do budynku drogowego jest zachcianką sekretarza gminnego, który chciałby mieć lepsze przy zarządzie gminnym mieszkanie. I to ubodło wojewodę do mnie, a że obaj tak wojewoda jak i Kieniewicz pochodzili z Kresów wschodnich i pozostawili tam swoje majątki, do których poza granicą, na teren Związku Radzieckiego powrócić nie mogli, to też wspierali się wzajemnie na „obczyźnie”, pragnąc nic nie uronił z wygód, jakie kiedyś mieli. O tym wszystkim dowiedziałem się od pracowników wydziału powiatowego.

Wojewoda na uchwałę rady gminnej nie odpowiedział i sprawa pomału poszła w zapomnienie, tym bardziej że gmina nie mając funduszów na przeróbkę budynku gminnego na szkołę nie kwapiła się więcej tą sprawą. Echo tej sprawy odbiło się jeszcze raz po niedługim od wizytacji wojewódzkiej czasie, mianowicie kiedy tenże sam wojewoda wpadł niespodziewanie do naszego biura.

Było to w upalny letni dzień przed godziną 3 po południu. W biurze poza mną i Bobińskim nie było nikogo. Bobiński w pierwszej kancelarii sennie dłubał sobie w nosie wyglądając oknem na szosę, ja w drugiej kancelarii czytałem gazetę. W pewnej chwili usłyszałem szum motoru przed gminą. Bobiński kuśtykając, pokazuje się w drzwiach do mnie i struchlałym głosem oznajmia: Panie Sekretarzu, pewnie do nas premier zajechał. Po chwili wchodzi wojewoda Nakoniecznikoff–Klukowski i zwracając się do mnie pyta: Pan mnie zna? Tak jest panie wojewodo, odpowiadam i ogarnia mnie nie miłe, raczej jakieś nienawistne uczucie. Wojewoda rozsiadł się za moim biurkiem i żąda okazywania mu kolejno: księgi uchwały rady gminnej, zarządu gminnego, ksiąg kasowych, budżetu itd. w końcu kontroli inspekcyjnej.

Wszystko kolejno, bez zwłoki wyciągam z szafy i szuflad biurka i kładę przed nim. Wojewoda przegląda księgi, wreszcie dłużej interesuje się księgą uchwał rady gminnej i widzę jak zatrzymał się nad uchwałą dotyczącą omawianego wyżej przeniesienia zarządu gminnego do budynku drogowego. - Jak z tą sprawą, pyta? Sprawa utknęła odpowiadam, bo nie mamy funduszów na przeróbkę budynku gminnego na szkołę, wreszcie budynek gminny jest już stary i nie wiem czy opłaciłoby się go przerabiać. - A mieszkanie ma pan dobre? Pyta. - Tak jest, odpowiadam, nie narzekam i dodaję: W sprawie przeniesienia zarządu gminnego do budynku drogowego chodziło panu wójtowi gminy o rozwiązanie kwestii pomieszczenia klas szkolnych, bowiem dzieci przybywa i stary budynek szkolny nie może już dzieci pomieścić. Pomruczał sobie nad tym wreszcie biorąc do ręki rozłożone przeze mnie na biurku czasopismo „Samorząd”, które przed jego przybyciem sobie czytałem zagaduje mnie o różne sprawy z życia związku zawodowego pracowników samorządowych i pyta jak ja się zapatruję na polemiczne starcie prezesa naszego związku Pacholczyka z posłem Polakiewiczem. Wymijająco odpowiedziałem mu, że jeszcze tej polemiki dobrze nie przestudiowałem, a w duchu pomyślałem sobie, po co wyrażać mam swoją opinję o rządach sanacyjnych, kruk krukowi oka nie wykole.

Po niedługiej pogawędce, to o tym to o owym na tematy czysto gminne, żywej wagi, łaskawie podając mi rękę opuścił biuro. Przed odjazdem przyglądał się jeszcze obu budynkom gminnemu i szkolnemu, ale ja już nie wychodziłem do asysty.

Więcej styczności z tym wojewodą nie miałem, miałem natomiast styczność podczas okupacji z podpułkownikiem Nakoniecznikoffem–Klukowskim, o czym w dalszych rozdziałach pamiętnika postaram się napisać. Nie znam pokrewieństwa wojewody z podpułkownikiem, może to byli bracia.

Prace przed budową nowego mostu w Szelkowie. Rozbiórka starego – drewnianego i wykonanie przeprawy tymczasowej, 1959/60 rok. W tle po lewej stronie budynek budynek zarządu drogowego. Zdjęcie z publikacji „Ocalić od zapomnienia” Powiat Makowski strona 204.

O wojewodzie Klukowskim czytałem po wojnie w prasie wzmiankę, że trudzi się skupem jelit zwierzęcych i sprzedażą flaków na kiełbasy. Czy przyszło kiedyś możnemu panu na myśl, że będzie takimi rzeczami handlował, albo czy spodziewał się słynny w Polsce przedwrześniowej premier generał Felicjan Sławoj Składkowski, że będzie musiał kiedyś zarabiać na swój byt na stanowisku naczelnika jerozolimskiej Straży Pożarnej w Palestynie?

Przysłowie mówi: „Nie szarp się, bo nie wiesz co ci na koniec wyjdzie”.

Kobieta z talentem

Zabawne i śmieszne zdarzenie mieliśmy obaj z wójtem Chrzanowskim podczas naszego urzędowania w Szelkowie. Nie pamiętam już którego to roku było. Pewnego dnia jesienną porą, zjawia się jakaś nieznajoma i zapłakana niewiasta, i pytając czy to ja jestem sekretarzem oznajmia, że chce mi zwierzyć pewną tajemnicę.

Zaciekawiony wprowadzam ją do gabinetu wójta, którego jeszcze w biurze nie było i sam na sam pytam o co chodzi. Jestem nieszczęśliwą i prześladowaną przez sąsiadów kobietą. Dlaczego pytam? Kobieta coraz sobie popłakując opowiada: Pochodzę z … (nie pamiętam już, z którego powiedziała) powiatu. Jestem wdową, mąż mój pracował w Ameryce w kopalni i tam został zasypany kończąc życie. Współczuję wdowie i słucham dalej: Mąż mój był asekurowany na życie i mnie po nim jako żonie przypada duża asekuracja, wymieniła przy tym sumę coś zdaje mi się ze trzydzieści tysięcy dolarów. Bank w Warszawie chce mi tę sumę wypłacić, ale ja podjęłam tylko trzy tysiące dolarów, które chcę gdzieś w pewnych rękach ulokować, może w kasie gminnej, a boję się sumy tej nosić przy sobie żeby mnie sąsiedzi nie okradli, a może by i przy tym zabili. Jestem samotna bez żadnej rodziny, zdrowia już nie mam, chciałabym przy jakich porządnych ludziach dożywać, którym bym po tym za ich dobre serce ten spadek po mężu, a też i majątek jaki posiadam (30 morgów gdzieś w łomżyńskiem) zapisała. Na dowód tego, że z życiem jej jest nie najlepiej i dobre serca mogą niedługo na tę fortunę czekać, poczęła omdlewać. Ja zaniepokojony tym, że może mi baba możliwie na serce w biurze bez świadków wykitować, przeprowadziłem ją z biura do mieszkania, żona postawiła herbatę. Kobieta po wypiciu herbaty poczuła się jakby lepiej i poczęła od nowa w obecności mojej żony swą historię opowiadać i prosić dalej o opiekę nad nią i nad jej pieniędzmi. Odpowiedziałem jej na to, że musi poczekać, aż wójt do gminy nadjedzie że obaj nad tą sprawą naradzimy się i coś ustalimy.

Przeprowadziłem bogaczkę z powrotem do gabinetu, wójt już bowiem był obecny, powiedziałem wójtowi o co chodzi, i wyszedłem na chwilę do mieszkania. Pytam żony - co ty na to? A żona z uśmiechem: I ty jej wierzysz? Bałwanie, przecież ona łże jak najęta, to widać z jej oczu. - Dlaczegoż miałoby to być nieprawdziwe powiadam, przecież ta historia może być prawdopodobna, znam z gazet podobne wypadki. Oj, oj. Stuknij się w głowę powiada żona ja widzę po niej że to jakaś oszustka. Opinję żony potwierdziła będąca w tym dniu u nas jej siostra Kazimiera. Ciekawym co wójt na to powiadam i wyszedłem do biura. W gabinecie zaszlochana niewiasta spowiada się ze wszystkiego wójtowi, który współczująco jej wysłuchuje. W oczach wójta widzę błyski zadowolenia poparte nadzieją na łatwy i znaczny kąsek.

Po spowiedzi wyciągam wójta na stronę i pytam szeptem i co pan na to? Wójt równie szeptem odpowiada: Kochanku, tu trzeba kuć żelazo póki gorąco i wbić co trzeba, żeby złoty ptaszek nie wyfrunął, zwabiony przez kogo innego. Udzieliła się i mnie opinja wójta. Wójt posłał po lemoniadę i ciastka. Rozłożył to na biurku przed nieznajomą i zaprasza do posilenia się, będąc też chyba w obawie żeby mu złoty ptaszek nie wykopyrtnął. W międzyczasie pyta: a gdzie masz kochana te 3 tysiące dolarów, któreś z banku podjęła, daj ja je schowam, bo to niebezpiecznie taką sumę wozić ze sobą. Szlochająca biedaczka odpowiada: gdym zdążając tu przechodziła przez Różan, złożyłam te dolary księdzu proboszczowi różańskiemu na przechowanie. O, to szkoda - powiada wójt, i wskazując na kasę ogniotrwałą dodaje - o tu miałabyś je bezpiecznie i stąd wydawałbym ci po trochu na każde żądanie. - Czyżby? pomyślałem.

Zabawne jak się później okazało było i to, jak wójt wyszedł przed gminę i zagadnięty przez Chrzanowskiego z Sikut, czy prędko do Chrzanów jedzie odpowiedział: Jedź, jedź kochanku ja muszę jeszcze pozostać dłużej w gminie, powiem ci tylko, że i mnie słoneczko zabłysnęło (Słoneczko w postaci dolarowej darowizny).

Wójt Chrzanowski jak powiedział, że należy kuć żelazo póki gorące, tak też i czynił. Telefonicznie wyprosił od Kieniewicza limuzyny, limuzynę tę z listem posłał do Makowa po rejenta Bargielskiego i oczekując na rejenta zabawia jak może swoją przyszłą ofiarodawczynię. Rejent Bargielski ze swoimi niezbędnymi przyborami do aktu notarialnego wkrótce przyjechał. Aby nie zwracać czyjejś uwagi w biurze przenieśliśmy się do mojego mieszkania. Bargielski wysłuchał kobiety, upewnił się że jest zdrowa na umyśle, i zwrócił się do kobiety i do nas o ułożenie warunków darowizny. Wójt Chrzanowski zobowiązuje się do dochowania ofiarodawczyni (nie pamiętam już jej nazwiska) u siebie do śmierci, gdzie tylko chyba ptasie mleka będzie je brakowało, spadkodawczyni zobowiązuje się w zamian oddać wójtowi wszystkie pieniądze w dolarach jakie ma w banku warszawskim i te które u proboszcza w Różanie zdeponowała, ponadto zapisuje mu na własność nieruchomość złożoną z 30 morgów ziemi i zabudowań (nie pamiętam już gdzie ta nieruchomość być miała, ale zdaje mi się że gdzieś w powiecie ostrołęckim czy łomżyńskim). Gdy tak obustronne zobowiązania zostały ułożone, a o mnie żadnej wzmianki nie było, pomyślałem z oburzeniem, a ja to co wosk, czy patyk i odzywam się: a jak ze mną? Na to wójt widzisz kochanku, ty nie masz majątku tak jak ja i nie będzie na czym u ciebie dolarów zapisać. Wreszcie ta pani u mnie będzie dożywać, a nie u ciebie. Wreszcie jak już wszystko dojdzie do skutku dostaniesz część tych dolarów, jakie są na przechowaniu u proboszcza w Różanie. Widzę jak moja żona przysłuchując się rozmowie dusi się od śmiechu. Wójtowi, który odszedł na chwilę od stołu żona w kącie pokoju perswaduje niedorzeczność tego wszystkiego, wreszcie śmiejąc się prawi - co wy wyprawiacie wariaty, przecież to wszystko lipa, Na to wójt gniewnym tonem: Najlepiej będzie jak się kobiety do tego w trącać nie będą. Dobrze powiada żona, zobaczymy co dalej będzie. Rejent Bargielski z powagą, jaka temu stanowisku przystoi oświadcza, że przystępuje do sporządzenia wstępnego aktu i wyjaśnia że ostateczny akt sporządzony zostanie po zebraniu odnośnych dowodów jak tytuły własności, metryki itp. Wtrąciłem się mówiąc: Moim zdaniem należało by przystąpić do wstępnego aktu po upewnieniu się czy depozyt dolarowy rzeczywiście się u proboszcza w Różanie znajduje. Na to wójt - masz rację panie sekretarzu. Bargielski udał, że to mu obojętne, a jednak w nas trzech przeważyła chęć ujrzenia zielonych papierków. Ja sobie myślę, że jeżeli te dolary będą, nie odstąpię od przyrzeczonej mi części wychodząc z założenia że lepszy wróbelek w ręku, jak później nieuchwytna wrona. Wójt zaraz telefonicznie poprosił Kieniewicza o samochód i niebawem jechaliśmy we czworo, to jest ja, wójt, rejent i spadkobierczyni do Różana.

Z uśmiechem patrzyłem jak wójt Chrzanowski karmi swoją przyszłą podopieczną cukierkami orzeźwiającymi, jak jej się przymila, jak obiecuje złote dla niej u niego na dożywociu góry, a podopieczna ciągle rzekomo mdleje. Odwróciłem wreszcie od nich wzrok i delektowałem się szybką i wygodną jazdą. Bargielski siedzący obok kierowcy też zamyślony patrzył w dal.

Po przybyciu do Różana Chrzanowski w obawie ażeby mu złota kokoszka czasem nie zmarła, bo całą drogę zdradzała ku temu tendencje, najpierw zaprowadził ją do lekarza, który dał jej jakiś zastrzyk, po czym podprowadził ją pod plebanię, w tym celu ażeby weszła do proboszcza i odebrała dolarowy depozyt, sam zaś oczekiwał na jej powrót trochę z dala od plebanji. Ja z Bargielskim siedzieliśmy sobie w samochodzie i gwarzyliśmy o tym wydarzeniu.

Macie chłopcy wyjątkowe szczęście mówi Bargielski .... taki wypadek zdarza się chyba jeden na tysiąc. – Rzeczywiście, odpowiadam. Henio Chrzanowski czuje się uszczęśliwiony. No nic ciągnę dalej, ale zabawimy się panie rejencie za pańską fatygę. Ja osobiście na większy kąsek nie lecę, niech pan Chrzanowski się babą i jej majątkiem martwi, zgodzę się i na kilkaset dolarów i to wystarczy dla mnie, tak jakby z nieba spadło. Ale pobawić się z tej okazji musimy tylko nie w Makowie, a gdzieś dalej. A gdzieżby pan sobie życzył pyta rejent. Zakopane lub Krynica odpowiadam. Niezły pomysł zauważa rejent. Ale co to tak długo Heniusia Chrzanowskiego niema. Nic dziwnego odpowiadam. Pora późna, weszli na plebanię i gwarzą sobie, zresztą podejdę pod plebanię i dowiem się.

Rozmowie naszej z uwagą przysłuchiwał się kierowca samochodu Józio Olender. Staliśmy samochodem na skraju rynku. Wysiadam z wozu i pomału idę uliczką w dół w kierunku plebanji. Na placu przed plebanią cicho, nikogo nie widać, w oknach plebanji widać mdłe światło. Podchodząc bliżej widzę wójta stojącego w mroku drzew. Wójt zauważywszy mnie zbliża się do mnie. I co pytam? A no nic mówi, ta cholera poszła na plebanję i zasiedziała się z księżulkiem i chyba nie myśli wracać, pewnie klechy urabiają ją na swoją stronę. I na pewno urobią odpowiadam, jak baba dewotka, to łatwo da się im namówić. Chrzanowski przekonany, że tak być może powiada zaczekaj tu kochanku, a ja tam pójdę. Podszedł do drzwi plebanji i wali we drzwi, aż się echo na ulicę rozchodzi, a ja nie chcąc być widzem, a po tym świadkiem awantury umykam do samochodu. - Jak tam, pyta rejent. Nie wiem odpowiadam, ale chyba będzie awantura, bo wójt chce po prostu wtargnąć na plebanię i siłą odbić babę, którą możliwe, że księża przekabacają na swoją stronę. Hm...możliwe - mruczy rejent.

Po następnej chwili oczekiwania ponownie idę w stronę plebanji. Wójt energicznie zdąża ku mnie, widzę że jest mocno zdenerwowany. - No jak tam pytam? Wszystko pewnie przepadło odpowiada, wyobraź pan sobie, że klechy nie chcą mnie puścić do środka, pewnie ta cholera baba już im pieniądze zlegowała, ale niedoczekanie ich udam się tam z policją i zdąża w kierunku posterunku policji, a ja za nim.

Podobno jak się później dowiedziałem, a wersja ta wyjść mogła od księży, że Chrzanowski nie dopuszczony do środka plebanii wymyślał przez drzwi księżom, że babę wbrew jej woli przetrzymują, chcąc od niej wyłudzić pieniądze, na plebanii zrobiło się widniej, snadź księża zerwali się z łóżek, uchylone nieco drzwi by poznać kto zacz dobija się nocą do plebanji wójt nogą wstrzymywał od zatrzaśnięcia i dopiero ochłodziła go wystająca z uchylonych drzwi lufa rewolweru wysunięta przez któregoś odważniejszego księdza.

Wójt z fuzją, ja w zamyśleniu zbliżamy się do posterunku i natrafiamy po drodze na idącego od strony Sielunia posterunkowego Narewskiego. Zatrzymujemy go, a wójt wzywa do okazania mu pomocy względem niesfornych księży. Zorientowany pokrótce Narewski ciekawie uśmiecha się i mówi: a no widziałem tę panią która niedawno szybko zdążała szosą w stronę Sielunia, właśnie stamtąd z obchodu nocnego wracam. - Niemożliwe prawi wójt, przecież widziałem jak wchodziła na plebanię. – Możliwe, odpowiada Narewski, tylko jedną furtką weszła, a drugą tą od tyłu wyszła i poszła sobie dalej. - Jak to, na to wójt, to pan ją zna? I to bardzo dobrze powiada posterunkowy. - I co pan na to? - Ano nic, odpowiada Narewski dodając „oszustka". Chyba grom nie poraziłby lepiej Chrzanowskiego, jak to wypowiedziane przez Narewskiego słowo „oszustka".

Cały gmach marzeń i projektów użycia, bądź co bądź pokaźnego spadku runął w jednym memencie. Kierowca podprowadza wóz pod posterunek. Chrzanowski krzyknął: gonimy ją. Narewski odradza pogoń twierdząc, że aczkolwiek baba jeszcze do Sielunia nie doszła, ale zawsze czując pogoń za sobą zejdzie ze światła reflektoru samochodowego, kryjąc się w rowie lub za przydrożnym drzewem. Mimo wszystko gonimy - rzecze wójt. Ja nie oponuję, bowiem zachęcająco przedstawia mi się perspektywa nocnej przejażdżki, a może i ciekawa przygoda. Jadąc w kierunku Sielunia wójt zemści i przyrzeka sobie, że kości babie połamie.

Spod Sielunia zawróciliśmy, ponieważ baby nie było. Przystając w Różanie, proponuję wejście do restauracji Zawadzkiej, w której się jeszcze świeciło. Wójt z oburzeniem odrzuca moją propozycję, a rejent Bargielski żywo ją popiera mówiąc: Nie martw się Heniu, może się jeszcze jaka okazja pomyślna zdarzy, tymczasem plewać na to, co było chodźcie chłopy na wódkę, ja dziś na to kino stawiam. Nie chce mi się już i wódki tak mnie ta cholera uraczyła - mówi wójt. Nie przejmuj się. Jak tu się kochanku nie przejmować, jak ja przeżyję ten wstyd jak się ludzie o tym wszystkim dowiedzą.

W restauracji przyrzekaliśmy sobie nie puścić o tym wszystkim ani pary z ust, może to wszystko bez rozgłosu jakoś przejdzie. W oczach kierowcy Olendra zauważyłem chichotliwe ogniki i pomyślałem: no ten chyba całą parę z ust wypuści, bo już dobrze orientuje się w czym rzecz. Zrezygnowany wójt kropi dłonią w stół mówiąc pal je diabli, nalewajcie.

Było to z soboty na niedzielę. W niedzielę urządzaliśmy zabawę taneczną w sali szkolnej. Po przyjeździe do Szelkowa i rozstaniu się z wójtem przypilam wójtowi: Przyjedź pan, aby na zabawę, bo sam ze wszystkim nie dam sobie rady. Dobrze, przyjadę odpowiedział.

Niedziela i zabawa przeszły jako tako, Olender trochę pary puścił wśród swoich znajomych, a nie bez tego że i swego szefa Kiźniewicza z przebiegiem całej tej historii nie zaznajomił. Cała wrzawa na ten temat rozpoczęła się w Makowie dopiero w poniedziałek. Trzeba trafu, że w niedzielę parafię makowską wizytował biskup w Płocku. Na przyjęciu u proboszcza makowskiego przy biskupie komentowano sobie wydarzenia z ubiegłej nocy na plebanji różańskiej, boć obecni w Makowie przy biskupiej wizytacji księża rożańscy nie omieszkali zapoznać otoczenia z wypadkami jak to jakiś bandyta mieniący się wójtem gminy Smrock, usiłował wtargnąć do mieszkania księży, obecnych sterroryzować, odbić jakąś wiekową kobietę i zabrać złożone przez nią na przechowanie w znacznej sumie dolary.

Wszyscy już spośród gości proboszcza makowskiego wiedzieli, że bohaterem całej tej szopy był wójtem Chrzanowski, i że padł on ofiarą przebiegłej oszustki, która wyprowadziła go „w pole", to też humorystycznie sobie szczegóły tej wyprawy po dolary komentowali, a że Chrzanowski powszechnie był w powiecie znany ze swej skłonności do wywyższania się i chęci dorobku, uwagi pod jego adresem padały raczej z pobłażliwości jak ze złośliwości.

W poniedziałek od rana dzwonek telefonu w zarządzie gminnym odzywa się co chwila: Tu mówi Wydział Powiatowy, to Starostwo, to Komenda Policji, i szereg różnych abonentów telefonicznych. Wszystkim na pytanie o wójta odpowiadam: wójta jeszcze w biurze niema. Proszę panu wójtowi złożył moje gratulacje z osiągniętych sukcesów dolarowych i panu składam takie gratulacje także. Ja śmiejąc się odpowiadam każdemu i dobrze, dobrze od niejednego znajomego wójta pada przez telefon: a poproś pan wójta w moim imieniu niech zarezerwuje dla mnie trochę dolarów, chciałbym od niego pożyczyć itp.

W całym Makowie, znajomi i przyjaciele wójta Chrzanowskiego pili w restauracjach na to konto i śmieli się do rozpuku. Chrzanowski, chodził jak struty, a czym więcej się denerwował i opryskliwie odpierał natrętów, tym więcej się z niego śmieli, nie dając mu spokoju. Ja mniej byłem nagabywany, bo nie rzucałem się a przeciwnie, wraz z ciekawskimi śmiałem się. Po pewnym czasie wszystko, tak jak i inne sporawy przeminęło i ucichło, pozostało jednak w pamięci starych dawnych naszych kumpli, którzy dziś jeszcze sobie o tym z uśmiechem wspominają.

Chrzanowski, pod względem chęci wybicia się majątkowo miał już nie jednego pecha. Słyszałem z opowiadania, jak w którychś wyborach do Sejmu koniecznie chciał się dostać na listę kandydatów na posłów. Nawiązał w tym celu kontakty z działaczami BBWR, w którym nie brak było różnej maści oszustów i wydrwigroszów. Ci tak go omotali obiecując poselstwo, że o mało ze swojej fortuny majątkowej nie zjechał wystawiając na grube sumy weksle, jako udział w rentownej przyszłej jakiejś Spółce, w której miał zajmować intratne stanowisko. Nawet mu w tej sprawie urządzili w jakiejś pierwszorzędnej restauracji warszawskiej spotkanie z rzekomym wicemistrzem. W roli kontrahenta oprócz Chrzanowskiego występował też przyjaciel jego – Wiszowaty, inwalida, właściciel hurtowni wyrobów monopolowych w Makowie. Dla pozoru w otoczeniu luksusowej restauracji, że są nie byle kim tytułowali się: Chrzanowski hrabia, a Wiszowaty baronem i tak to ci nasi magnaci, upojeni perspektywą intratnego interesu podpisali w restauracji weksle panu wicemistrowi, głośna była ta afera, podczas gdy pracowałem jeszcze w Krasnosielcu. Coś więcej słyszałem o tym. Afera została przez czynniki rządowe zatuszowana i z wielkim trudem unieważnione zostały weksle Chrzanowskiego. W takim świetle opinja publiczna powiatu nie była więc zaskoczona aferą oszustki.

Nie mógł sobie Chrzanowski tego pośmiewiska darować. Pocieszałem go jak mogłem. Pewnego razu humorystycznie powiadam. Wie pan wójt... na całym tym zdarzeniu dolarowym mogliśmy jednak porządnie zarobić. - W jaki sposób, pyta wójt? Powiadam, że gdyby tak cały przebieg tego zdarzenia był sfilmowany i gdybyśmy ten film nagrali w kinie w Makowie, zobaczyłby pan ile by nam za bilety wstępu wpłynęło. To prawda odrzekł i smutnie roześmiał się. Wracając do oszustki, z opowiadań różnych osób okazało się, że ta przebiegła kobieta nie jednego już w podobny sposób nabrała. Jakiś stary kanonik z Ostrołęki łaził z babą po wielu bankach warszawskich za jej dolarami, to znów student przerwał naukę oczekując na ożenek z nią i zdobycie majątku i dolarów i wiele innych podobnych zdarzeń. Ciekawe jest to jednak, że w żadnym wypadku kobieta ta nie nadużyła nikogo znacznie materialnie. Moim zdaniem, była to kobieta chora psychicznie na jakąś manję, po prostu w urojenie swoje wierzyła, że to prawda. Czytając dzieła naukowe z dziedziny psychiatrii, pamiętam że są takie typy z urazami psychicznymi.

Włamania

W czasie mojego urzędowania na stanowisku sekretarza w Szelkowie, zaszły dwa przykre wypadki - mianowicie dwa włamania do biura zarządu gminnego i rozprucia kas pancernych. Pierwszy wypadek miał miejsce za wójta Chrzanowskiego, a drugi zdaje mi się, bo już dokładnie nie pamiętam, za wójta Dorockiego.

W pierwszym wypadku włamywacz dostał się do wewnątrz przez zbyt rzadką kratę w oknie od strony podwórza. Rozpruł kasę tak zwanym hakiem, ale nie opłaciła mu się ta robota, gdyż w kasie znalazł pięć złotych z groszami, natomiast ja osobiście zostałem poszkodowany; bowiem złodziej zabrał z szuflady mojego biurka około 200 zł.

Włamanie nastąpiło z niedzieli na poniedziałek. W sobotę podjąłem z osobistej książeczki oszczędnościowej z miejscowej agencji pocztowej 300 zł. Uregulowałem z tego jakieś długi, a resztę włożyłem do biurka przezornie przed żoną, aby mi tej gotówki czasem nie zahaczyła. Gotówkę tę przeznaczyłem na osobiste „drobne wydatki". W sobotę wypłacaliśmy z wójtem robociznę za roboty przy budowie

domu ludowego. W niedzielę w dzień widziałem na Szelkowie znanego mi robotnika z górek - Seweryna, spacerującego z jakimś nieznanym osobnikiem, widziałem ich też obu na polu od strony podwórza gminnego. Nie interesowało mnie to, bo cóż mogło mnie interesować. Nie przypuszczałem, że Seweryn wówczas orientował swojego gościa w rozkładzie zabudowań gminnych, a także poszczególnych kancelarii.

W niedziele do późnych godzin wieczorowych bawiłem z żoną i dziećmi w gościnie u państwa Ryboczków, gdy wróciliśmy późną już porą od Ryboczków, nie zauważyliśmy nic podejrzanego ani w podwórzu ani też w mieszkaniu. Wejście moje z mieszkania do biura było od kuchni. Utartym zwyczajem drzwi od kuchni do biura przed ułożeniem się do snu zawsze zamykałem na klucz, a przed tym zawsze przeglądałem biuro w tym celu czy się coś nie tli od ogarków papierosowych, czy okna zamknięte itd. Tego wieczoru po przyjściu do domu miałem początkowo też zamiar sprawdzenia pod tym względem pomieszczeń biurowych, ale jakiś głos wewnętrzny podszeptywał „nie chodzi tam", i dobrze zrobiłem, że nie poszedłem, bo gdybym wszedł na pewno dostałby w łeb. Włamywacze nie lubią świadków przy swojej robocie. Ułożyliśmy się do snu w pokoju sypialnym od szosy, więc w oddaleniu od miejsca rabunku o 3 pokoje i naturalnie śpiąc po niezgorszym przyjęciu u sąsiadów, nic nie słyszeliśmy co się w kancelarii robi.

Nie słyszał też nic woźny Wołyniec, który mieszkał w oddzielnym budynku. Rano widząc włamanie i rozprucie kasy powiadomiłem policję w Makowie, bo w Szelkowie wówczas przejściowo posterunku policji ze względów oszczędnościowych nie było i podzieliłem się z policją obserwacją moją z niedzieli odnośnie Seweryna i nieznanego osobnika. /od redaktora wydania: Poseł Chrzanowski złożył jedyną swoją interpelację poselską, a dotyczyła ona przywrócenia, zniesionego wcześniej posterunku Policji Państwowej w gminie Smrock. www.sejm.gov.pl „Wójt gminy Smrock, prezes Okręgowego Tow. Organizacji i Kółek Rolniczych w Makowie Mazowieckim, prezes Rady Spółdzielni "Rolnik", czł. spółdzielni "Społem" i wielu organizacji społecznych, współpracownik czasopism rolniczych. Odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi, złożył w dniu 15 lutego 1939 roku interpelację do Ministra Spraw Wewnętrznych w sprawie zniesienia posterunku Policji Państwowej w gm. Szelków Nowy powiat makowski"/. Policja zrobiła zdjęcie odcisków palców zauważonych na gładkiej powierzchni kasy, a z popiołu wysypanego ze ścianek kasy wyciągnęła część gazety pt. „Ostatnie wiadomości" z sobotnią datą. „Przyciśnięto Seweryna do muru" - w mętnych swoich zeznaniach wskazał, że osobnik w niedzielę spacerował, udał się do wioski Orzyc, gdzie miał jakoby narzeczoną. Policja trafiła pod wskazany adres, a była to chałupka jakiegoś wyrobnika (nie pamiętam już nazwiska) i w mieszkaniu znalazła drugą część gazety „Ostatnie wiadomości", gazeta nosiła plamy oliwy, z tego wniosek, że włamywacz wyjechał z Warszawy w sobotę, w kupioną gazetę „Ostatnie wiadomości" zawinął naoliwione narzędzia i tak się znalazł początkowo na Orzycu, następnie w zmowie z Sewerynem przystąpił do roboty. Włamywacza policja ujęła śpiącego na strychu chałupki na Orzycu.

Byłem na sprawie sądowej jako świadek, podziwiałem nie gorszą od adwokackiej krasomówczość oskarżonego. Nader sprytnie bronił się. Na rozprawie sądowej okazało się, że był to spec kasiarz recydywista kilkakrotnie za nie takie jak w Szelkowie włamania karany. Nazywał się Romanow. Sąd mu wlepił 3 lata więzienia. Dziwnym się wydawało, że taki spec nie zachował przy robocie zwyczajnych środków ostrożności, jak odciski palców i gazeta. Widocznie nie przypuszczał, że na prowincji mogli go tak szybko wykryć. Według mojego mniemania sypał go przed policją Seweryn, zawiedziony w swej części z podziału łupu, któremu jednak policja nie wytoczyła oskarżenia ze względów konfidencjonalnych.

Drugie włamanie odbyło się przez wejście do biura wydłubaną dziurą w starym i zlasowanym murze. Włamywacz ani grosza w kasie nie znalazł, zabrał tylko obligacje pożyczki państwowej. Obligacje chciał sprzedać w jednym z banków warszawskich. Pani, która w okienku odbierała obligacje, sięgnęła wpierw po wykaz obligacji skradzionych w kraju. Gość to zauważył i pozostawiając obligacje w ręku pani z okienka i swój kapelusz na podstawce przy okienku - czmychnął.

Po kapeluszu policja doszła kto zacz. A wiecie kto to był? Syn komendanta powiatowego policji państwowej w Pułtusku, student. Rozprawy sądowej chyba nie było, bo niedługo po tym wybuchła II wojna światowa.

Rozmowa na moście

Na niedługo przed wojną poseł Chrzanowski wycofał się z wójtostwa, a miejsce jego zajął z wyboru Edzio Dorocki, chłopek–roztropek z Ulask, nadzwyczaj lubiący kiełbasę i parskający śliną przy ożywionej rozmowie, skądinąd zasłużony działacz na niwie spółdzielczości, aktywny członek zarządu spółdzielni „Społem" w Makowie. Pracowałem z nim bez trudności do chwili wybuchu wojny światowej.

Dzieci uczęszczały do szkoły. Oleś w Pabianicach, Dziunia w Szelkowie. Oleś na wakacjach, choć młody jeszcze chłopak, bo 14 lat liczący, już pomagał wujowi swemu w robotach polnych w Chrzanowie.

Żona poświęcała się pracy w gospodarstwie domowym, chowając krowę, świnię i drób. Życie płynęło normalnie, warunki bytowe układały się pomyślnie, tylko na horyzoncie politycznym zbierały się już chmury, był to rok 1939.

Bobiński Henryk jak zawsze nie gardził kieliszkiem i upijał się ku uciesze innych. Razu pewnego pijany rzucał kożuszkiem w błoto i wykrzykiwał, że swoją Femutkę kocha wiecznie i nad życie. Chcąc go uspokoić i naprowadzić na drogę do domu, wziąłem go pod rękę i perswadując prowadzę, gdy zauważył, że zmierzam w stronę jego mieszkania, wyznał mi się i skierował się w stronę mostu na rzece. Tam w obawie, ażeby nie zleciał z mostu do wody przytrzymałem go i dalej perswadując, ażeby się uspokoił i poszedł do domu. Przy tym dodałem, że takie upicie się może doprowadzić do śmierci, jakiegoś wypadku - ot na przykład może pan zlecieć z mostu do wody i utopić się, a może pana złapać atak sercowy i klapa.

- Ja bym miał umrzeć? Pyta. A jak pan chciał? A co by było jakbym ja umarł pyta?
– Pogrzeb, odpowiadam. - A jak by to było? Zachęcony jego pytaniami i pilną uwagą do tego co mówię, odmalowałem mu wizję jego pogrzebu. – Ot, powiadam, byłby duży pogrzeb. Na pogrzebie byłoby moc ludzi i wszyscy koledzy samorządowcy z całego powiatu jak sekretarze, pomocnicy, wójtowie, pracownicy wydziału powiatowego itd. Widząc, że Bobiński oparty o poręcz mostu pilnie słucha, maluje mu dalej świetności jego pogrzebu. W kondukcie pogrzebowym będą nieśli dużo wieńców, orkiestra będzie grała: W mogile ciemnej śpij na wieki, księża będą zawodzić swoje „Salve Regina" itd.

- I co dalej pyta, gdy ja przerwałem, - a no cóż, ja jako pana zwierzchnik wygłoszę nad

Most na Orzycu w Makowie tuż po zakończeniu II wojny światowej. Zdjęcie z publikacji „Ocalić od zapomnienia" Powiat Makowski strona 17.

grobem żałobne przemówienie... a co pan będzie mówił? Ja tłumiąc śmiech zaimprowizowałem mowę pogrzebową, w której podkreśliłem zasługi zmarłego, jego sumienności i pracowitości w wykonywaniu obowiązków względem państwa, rodziny, wreszcie zacytowałem pożegnania zmarłego: Żegnam się kochana Femutko, żono najdroższa, żegnam was dzieci, koledzy przyjaciele itd. Cytując te pożegnania widzę, że Bobek z cicha popłakuje, aż wreszcie rozszlochał się na dobre. Wystawił twarz, wysmarknął nos i czeka na dalszy przebieg swojego pogrzebu. Ja namyślając się co by tu jeszcze mu odmalować ciągnę. - Po pogrzebie będzie naturalnie stypa pogrzebowa, w której wezmą udział wszyscy koledzy, będzie naturalnie moc wódy i innych napojów i zakąsek, koledzy będą popijać zdrowo i wychwalać zmarłego. Widzę, że przy odmalowaniu mu wielkiej popijawy Bobek się rozmarzył, z lubością słucha improwizacji nie czekając, aż skończę przezywa mi i pyta: Panie szefie, a ja będę mógł tam być? – Gdzie, pytam. No na tej konselacji - odpowiada. Parsknąłem śmiechem i odpowiadam, ależ proszę bardzo, aby tylko mógł pan z grobu wstać, ale by się wszyscy ucieszyli...

Zamiłowanie Bobka do narodowego napoju było tak wielkie, że i po śmierci chciałby się jeszcze napić. Bobiński pomału wytrzeźwiał zgodził się już sam pójść do domu. Na pożegnanie poddałem mu piosenkę: U mazura taka dusza, chociaż umrze, to się rusza". Dłuższą chwilę po jego odejściu słyszałem jeszcze wśród ciszy nocnej śpiew zdążającego do domu Bobka: umarł Jacek umarł, już leży na desce, gdyby mu zagrali, podskoczyłby jeszcze.

Frak panie kochanku

Pewnego razu wójt Chrzanowski, który wówczas już posłował do sejmu, zwierza się do mnie: Będę miał psiakrew znaczny wydatek osobisty. Cóż tam znów pytam. Widzisz kochanku, muszę sobie sprawić frak. Zrobiłem zdziwioną minę i ciągnę - Hm... no tak nie zawsze przystoi posłowi obracać się w wyższych sferach w tużurku. - No widzisz, powiada..., ale taki frak, nie myśl sobie to kupa forsy. - No to po co ten wydatek? - Widzisz kochanku, jako poseł zaproszony będę na bal noworoczny na zamku i muszę się pokazać. - No racja, powiadam.

Patrząc na zadumanego wójta przedstawiam sobie wizję tego balu, w której już widzę znanego na całym powiecie wodzireja w tańcach Henia Chrzanowskiego, jak uwija się na Sali zamkowej w swoim fraku wśród wydekoltowanych dam i jak wodzirejąc pokrzykuje w stronę prezydenta, to znów marszałka: - Z życiem, panie Ignacy, z życiem. Panie Edwardzie, odbijemy, - to znów: panie do środeczka, panowie dokoła itd., tak jak zwykle wykrzykiwał na zabawach w Makowie i po wioskach. Stłumiłem śmiech, a wójt wyrwany z zadumania, bo widocznie w zadumie też przechodził jakąś wizję pyta: No i jak panie Henryku? Ano trudna rada, frak trzeba już w Warszawie obstalować. Wizja moja, a może też i jego do urzeczywistnienia nie doszła, na przeszkodzie stanął Hitler.

Soliński „Wujku"

U państwa Bobińskich zamieszkiwał jako sublokator i tam się stołował pan Soliński, emerytowany nauczyciel, właściciel kamienicy w Pułtusku. Pani Bobińska przyhołubiła go do siebie, licząc na to, że kamienica kiedyś jej się dostanie. W ten sposób Bobiński miał jak to się mówi przyjaciela domu. Soliński edukował panią Bobińską na większą damę, ucząc ją wszelkich form i zasad dobrego tonu w towarzystwie, a nawet uczył ją sztuki pływania podczas wspólnej kąpieli w Orzycu. Bobiński przeciw przyjacielowi domu nic nie miał, a przeciwnie rad był temu, że Fema odwróciła od niego uwagę, więcej czasu poświęcając edukacji, to też Bobek miał więcej luzu w swych pohulankach.

Soliński był to typ starego kawalera, złośliwego zrzędy, któremu się nigdy nic nie podobało, sam się uważał za coś, a kogoś za nic. Nie przeszkadzało mu to składać sąsiadom wizyt, na których wykorzystywał proszone obiady czy podwieczorki. Był inteligentem o szerszych horyzontach wiedzy, ale ta jego inteligencja wypaczona trochę, była jego starokawalerskim dziwactwem, grymasem i chimerami. Za byle co się obrażał, a już we wściekłość prowadzało go to - jak ktoś go nazwał „wujem". Nie wiem dlaczego go to słowo tak bodło.

Chłopcy w Szelkowie tak go pozbadli, że gdzie go tylko ujrzeli z ukrycia wołali „wuju". Soliński klął zemścił, ale to nic nie pomagało, a przeciwnie dawało chłopcom bodźca do dalszego wprawiania Solińskiego w złość, ku uciesze chłopaków, a także i starszych.

Zabawnie o tym opowiada mój Lesiek: Pewnego razu gromadka chłopców, a wśród nich i mój Lesiek, zauważyli w dali nadchodzącego Solińskiego. Lesiek dał komendę chłopakom. „Wszyscy pod most, Soliński idzie". Komendy dwa razy nie trzeba było powtarzać, chłopcy zaraz znaleźli się pod mostem i uczepiając się przęseł warowali tuż pod podłogą mostu oczekując Solińskiego. Zamyślony Soliński spacerkiem wchodzi na most. Za pierwszymi krokami po moście, spod podłogi mostu wydobywa się słodko wypowiedziane „Wuju". Soliński stanął jak wryty, upatrując dokoła skąd by ten głos mógł dochodzić. Nie widząc nikogo zdenerwowany kroczy dalej, a tu drugie słodziutkie „wuju", Pohamować się już nie zdołał począł uderzając laską w most najrozmaitszymi przekleństwami wymyślać niewidocznym „łobuzom", a gdy go złość już trochę minęła sądząc, że na tym koniec, kroczy dalej i gdy zbliża się do drugiego brzegu mostu nie oczekiwanie słyszy spod podłogi cichutkie „wuju", a potem chóralne i głośnie okrzyki pod całą podłogą mostu „wuju, wuju, wuju". Już szybko w ponownym zdenerwowaniu i ze złością złorzecząc, umykał z mostu by wyrwać się z kręgu tej wesołej napaści chłopaków.

Soliński sypiał w lecie przy otwartym oknie, a że sen nie zawsze mu dopisywał, usypiał dopiero nad ranem. Pasterz wiejski trąbką oznajmiał mieszkańcom, że wypędza bydło na pastwisko. Złośliwi chcąc mieć ranną ucieczkę ze Solińskiego, grosze dawali pastuchowi, a ten głośno co rano trąbił pod oknem Solińskiego. Stary kawaler zrywał się z pościeli i stając w oknie złowieczył pastuchowi. Tak i inaczej zabawiano się we wsi ze starym dziwakiem.

Raz dziwak ujrzał mnie w towarzystwie wójta, i niektórych z gospodarzy w szynku u Krzyczkowskiego, puścił takie powiedzonko: Przechodząc obok domu Krzyczkowskiego, widziałem przez okno jak szajka zbirów częstując się wódą i krwawymi ochłapami mięsa o czymś rozprawia, a herszt szajki (tzn. ja) w tej rozprawie przewodzi, pewnie dzieląc trupy. Nie gniewało mnie to złośliwe powiedzenie, bo wiele dziwakowi należało wybaczyć.

To też drugim razem przy podobnym naszym powiedzeniu u Krzyczkowskiego, widząc Solińskiego przez okno, zaprosiłem go do wewnątrz. - Wchodzi pan do szajki, mamy tu krwawe ochłapy. Soliński na widok trochę gdzie niegdzie krwawego, ale smakowitego salcesonu z chęcią do szajki się przysiadł, a za kołnierz też nie wylewał, i przepraszając za Szajkowskie pomówienie, wychwalał nas jako przyzwoitych przyjaciół, wchłaniając salceson i wysuszając do kropli kieliszki. Tacy to są ludzie dziwacy.

Wójt i Wójcik

W drugiej połowie sierpnia wydarzenia na arenie międzynarodowej dawały znać, że coś niezwykłego się święci. Pilnie czytywałem prasę, śledziłem w niej różne posunięcia dyplomatyczne, tak polskie jak i państw ościennych i dochodziłem do wniosku, że międzynarodowy wrzód nabrzmiewa i prędzej czy później musi pęknąć. Wierzyłem w siłę Polski i pomoc jej zachodnich sprzymierzeńców, to też nie przewidywałem katastrofy. Wszelkie zarządzenia związane z sytuacją wykonywaliśmy pilnie w gminie, było to naszym patriotycznym obowiązkiem, nakazem chwili.

Pod koniec sierpnia pełniliśmy dyżury nocne przy telefonie, organizowaliśmy ochronę linii telegraficznych i telefonicznych wzdłuż szos, dawaliśmy baczenie na obcych osobników kręcących się po gminie i tu zdarzył się nam ciekawy wypadek:

Samochód obcy, to jest ze znakami rejestracyjnymi zagranicznymi, zatrzymał się przy moście, a jeden z pasażerów wysiadł i zszedł pod most. Natychmiast zbliżyłem się do samochodu, zapisałem znaki rejestracyjne i posiałem kogoś na posterunek policji z żądaniem natychmiastowego przybycia policji na miejsce i zatrzymania samochodu. W między czasie osobnik spod mostu wyszedł i samochód ruszył w stronę Warszawy. Nadałem o tym telefonogram do Starostwa, policja ze swej strony sporządziła odpowiedni protokół.

Za jakieś dwa dni kiedy wyszliśmy przed ganek budynku ja i wójt Dorocki, żegnając odjeżdżającego motocyklem posła Chrzanowskiego, ujrzeliśmy po przeciwnej stronie szosy przechadzającego się tam i z powrotem nieznanego osobnika, który stale obserwował plac przed zarządem gminnym, skąd wyjeżdżali rowerowi posłańcy na wioski z kartami powołania rezerwistów do wojska. Zaintrygował nas ten osobnik. On nas obserwuje, a my jego. Co za ptaszek - mówimy do siebie, czego on tu wącha. Wójt Dorocki skinął na owego osobnika i tonem srogo urzędowym woła: ej! panie, pozwól no pan tu bliżej, gdy nieznajomy przechodził przez szosę zbliżając się do nas ja wymknąłem się do biura i zatelefonowałem na posterunek mówiąc do komendanta posterunku:

Panie Sachoń przyjedź pan zaraz do gminy, mamy podejrzanego ptaszka, tylko prędzej, bo może nam odfrunąć. Już idę odpowiedział Sachoń. W tym czasie wójt Dorocki indaguje nieznajomego kto zacz czego chce w Szelkowie itd. Nieznajomy daje mętne odpowiedzi, że oczekuje na autobus, pyta wójta, co tu u was słychać, podobno macie mobilizację komu i co rozwożą w teren sprzed gminy posłańcy na rowerach, i jeszcze chce gawędzić, ale wójt ostro przerywa mu żądając wylegitymowania się, przy tym dodaje: ano to z pana taki ptaszek, zaraz z panem zrobimy porządek. Ja wycofałem się do biura znów do telefonu, by ponaglić. Sachonia, w tym wójt Dorocki wprowadza osobnika do gabinetu trochę jakby zmieszany i oznajmia. Panie Henryku, to jest pan Starosta, a osobnikowi przedstawia mnie jako sekretarza gminy.

Nie zdążyłem otrząsnąć się ze zdumienia, gdy wchodzi Sachoń i bez ceregieli kładzie rękę na ramieniu osobnika zwracając się do mnie: To pewnie ten - prawda? Na to nieznajomy: Jestem starostą i okazuje Sachoniowi legitymację. Sachoń początkowo niedowierza, lecz po chwili upewniwszy się co do autentyczności legitymacji, stuka obcasami i melduje się przepisowo nowemu staroście. Starosta każe mu wyjść oznajmując, że wkrótce na posterunek przybędzie, i zwraca się do nas z żądaniem przedstawieniami sytuacji w gminie.

Wiedzieliśmy, że Starosta Łazarz odszedł, ale nie wiedzieliśmy, że na jego miejsce przyszedł nowy nazwiskiem Wójcik. Podczas gdy ja zajęty byłem telefoniczną rozmową z posterunkiem policji, pomiędzy wójtem a Wójcikiem przed budynkiem zarządu gminnego toczył się następujący dialog:

Dorocki: Kto pan jest?

Starosta: Jestem Wójcik.

Dorocki: Tylko bez żartów i głupich kawałów.

Starosta gniewnie wyjmuje legitymację

Dorocki: Co się pan tak szarpie? Pan jest wójcik, a ja wójt rozumie pan?

Po obejrzeniu legitymacji Dorocki: Bardzo Pana przepraszam, ale nic nie wiedzieliśmy o nowej nominacji na Starostę.

Starosta: Nic nie szkodzi, prowadzi pan do biura.

Sprytnie urządził się Starosta. Pozostawił samochód swój z dala od gminy, a sam korzystając z tego, że go nikt jeszcze w Szelkowie nie zna, myszkował i podpatrywał gminę, czy czegoś niewłaściwego nie złapie. Po złożeniu Staroście naszego sporządzenia, Starosta Wójcik pochwalił nas za dobre nad wszystkim czuwanie, a będąc już poinformowany w Starostwie o moim meldunku w sprawie podejrzanego samochodu na moście i osobniku pod mostem wyraził uznanie, a na nasze pytanie co za goście byli pasażerami samochodu odpowiedział że Francuzi, pracownicy fabryki zbrojeniowej we Francji.

I teraz rozwiązał mi się w głowie zagadka - po co osobnik z samochodu właził pod most? Po prostu za swoją potrzebą. Po wyczerpującej z nami w różnych sprawach rozmowie Starosta żegnając się zagadnął: Jadę do następnej gminy, tylko nie uprzedzajcie przez telefon o tym swoich w tej gminie kolegów.

Po wyjściu Starosty Dorocki do mnie: Heniu zadzwoń zaraz do Rzewnia i powiedz im, że zaraz zobaczą nowego Starostę, bo widzisz Stańkowski i wójt Napiórkowski może akurat chlają, i Starosta złapie ich na tym uczynku. Zadzwoniłem, ale sekretarza i wójta nie było, a jak się później okazało, Stańkowski z wójtem akurat wracali już z gminy nieźle podpici.

Dojeżdżając z drogi bocznej do traktu Rzewnickiego Stańkowski ujrzał na trakcie obłok kurzu. Stać powiada furmanowi, a do wójta wójcie pewnie jakaś władza do nas jedzie, Co ci się widzi? Pewnie bydło pędzą. Stańkowski był jednak bystrzejszy zeskoczył z wozu i ściągnął wójta i obaj hyc w krzaczki. W tej chwili przejechał traktem samochód ze Starostą. Posłaniec z gminy wysłany na skutek mojego telefonu spotkał ich w krzaczkach. Wójt z sekretarzem dowiedziawszy się, że był telefon i że naprawdę starosta przyjechał, najpierw wyparskali się w przydrożnym rowku, czy studzience, doprowadzili do ładu fizjonomie swoje i ubiory, dopiero ruszyli w stronę gminy. Nieobecność swoją w biurze usprawiedliwi obecnością swoją na terenie gminy w punkcie poboru koni do wojska. W naszej gminie w punktach poboru koni asystował w imieniu zarządu gminy Bobek.

Wieczorem tego dnia widziałem pędzone w stronę Różana watachy pobranych u gmin koni i przeszedł mnie dreszcz... Snułem niewesołe refleksje na temat mobilizacji ludzi i zwierząt. Późną już porą wysłuchiwaliśmy u Tyma audycji radiowych. Zwięzłe i optymistyczne komunikaty radiowe głosiły, że wszystko jest w porządku, że należy zachować w obliczu wydarzeń całkowity spokój i pogodę ducha. Audycje z Warszawy przerywane były przez stacje radiowe niemieckie, które w ohydny sposób oczerniały naczelne władze polskie. Mówiono na nasz sztab generalny, że to operetka, że wszyscy ministrowie i generałowie to banda nieuków i łobuzów, a na marszałka Rydza-Śmigłego, że to jest operetkowy laluś itd. Nie można było słuchać tych oszczerstw, to też wyłączaliśmy radio.

Pogotowie mobilizacyjne

Któregoś dnia przed 1 września ogłoszono powszechną mobilizację. Zorganizowaliśmy w gminie dobrą sieć posłańców, którzy przywożone z Makowa, również przez posłańców na motocyklach, a afisze o mobilizacji i karty powołań dla rezerwistów natychmiast rozwozili do poszczególnych sołtysówna terenie gminy na rowerach.

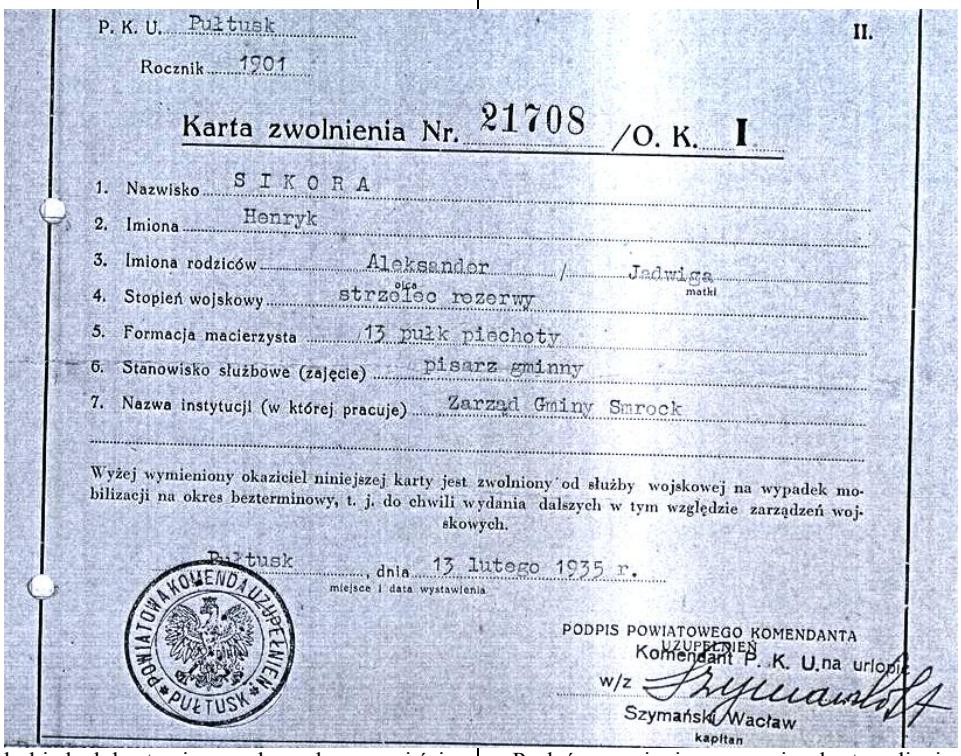

P. K. U. Pułtusk II.

Rocznik 1901

Karta zwolnienia Nr. 21708 /O. K. I

1. Nazwisko SIKORA
2. Imiona Henryk
3. Imiona rodziców Aleksander / Jadwiga matki
4. Stopień wojskowy strzelec rezerwy
5. Formacja macierzysta 13 pułk piechoty
6. Stanowisko służbowe (zajęcie) pisarz gminny
7. Nazwa instytucji (w której pracuje) Zarząd Gminy Smrock

Wyżej wymieniony okaziciel niniejszej karty jest zwolniony od służby wojskowej na wypadek mobilizacji na okres bezterminowy, t. j. do chwili wydania dalszych w tym względzie zarządzeń wojskowych.

Pułtusk, dnia 13 lutego 1935 r.
miejsce i data wystawienia

POWIATOWA KOMENDA UZUPEŁNIEŃ * PUŁTUSK *

PODPIS POWIATOWEGO KOMENDANTA UZUPEŁNIEŃ
Komendant P. K. U. na urlopie
w/z
Szymański Wacław
kapitan

Posłańcy gminni rowerowi rekrutowali się przeważnie z młodych chłopaków. Ci chłopcy nad podziw szybko i sprawnie spełniali swoje zadania, bez zwłoki i rozwozili po gminie karty powołania, i dzień i noc utrzymywali pogotowie swe przed gminą nie bacząc na porę, wypoczynek czy posiłek. Zdumiony byłem zapałem chłopaków i podziwiałem ich poświęcenie się dla sprawy.

Nie mogę tu nie uczynić wzmianki o jednym takim posłańcu, a był nim Matuszewski z Szelkowa chłopiec liczący do 14 lat. Tenże Matuszewski mógł być przykładem jak należy spełniać zadania związane z bezpieczeństwem kraju. Postanowiliśmy z wójtem w swoim czasie podać Matuszewskiego do odznaczenia.

Przykładem wielką wagę do ochrony wzdłuż szos linii telegraficznych i telefonicznych, a także mostków i przepustów na drogach. Druty telegraficzne i telefoniczne mogły być przez miejscowych Niemców zrywane, a mostki i przepusty podminowywane. Na terenie powiatu w niektórych wioskach od dawna zamieszkiwali koloniści niemieccy, to też należało się z ich strony spodziewać dywersji.

W naszej gminie wypadków dywersji nie było, ale były w innych częściach powiatu. Dopełnienia nocnych dyżurów przy słupach telegraficznych na szosach, wyznaczani byli starsi mieszkańcy w kolejności swych domostw. Objazdowy posłaniec zameldował mi, że na odcinku szosy Orzyc-Laski, nikt nie pełni dyżuru. Zajrzałem do kontrolki dyżurów i stwierdziłem, że dyżur ten ma pełnić mieszkaniec Szelkowa, Żyd Paliwoda. Chłopcy natychmiast przyprowadzili Żyda do kancelarii. Żyd Paliwoda stanowczo odmówił pełnienia straży na

szosie w nocy tłumacząc, że ma żonę i dzieci i nie myśli narażać się na ewentualny napad na niego ze strony niemieckich dywersantów. Po grubszej awanturze Żyda wyrzuciłem za drzwi i wyznaczyłem do Stróży kogo innego, zastanowiło mnie stanowisko Żyda. Czyżby sprzyjał III Rzeszy? Oburzenie moje tym bardziej było uzasadnione, że kilkunastoletni chłopcy z takim zapałem poświęcają się nałożonym nań obowiązkiem, a taki Żyd Paliwoda, chłop zdrowy jak koń, odmawia wyznaczonej mu powinności. Postanowiłem na Paliwodę sporządzić doniesienie karne do Starostwa. Nie doszło jednak do tego, niedługo po tym Paliwoda ze swą rodziną na własnej skórze doświadczył dobrodziejstwa Niemców.

W dzień widziało się przepełnione autobusy zdążające w różne strony z rezerwistami powołanymi do wojska. Odjeżdżający znajomi rezerwiści machając czapkami przez okna autobusów, żegnali się z wylegającą na szosy ludnością. W oczach mężczyzn widziało się zapał i niezłomność w walkach w nadchodzącej wojnie, w oczach kobiet łzy za swoimi ojcami, mężami, synami, braćmi.

Tak jak w 1914 r. widziałem pociągi uwożące rezerwistów ku polom walk żołnierzy, tak teraz widzę autobusy pełne niezmordowanych jeszcze żołnierzy. Tamci w 1914 podążali bić się za cesarza, i jechali pod przymusem, ci jadą z ufnością w zwycięstwo zmierzyć się z wrogiem za swoją ojczyznę. W dniach mobilizacji nie widziało się wśród ludzi defetyzmu, paniki ni rozpaczy, a przeciwnie zapał do obrony i wiarę w zwycięstwo.

Ja nie podlegałem powołaniu do służby wojskowej, ponieważ jako sekretarz gminny niezbędny w czasie wojny w administracji gminnej, zostałem z urzędu z powinności wojskowej reklamowany /od redaktora: tzn. zwolniony z obowiązku stawienia się w ramach mobilizacji/.

W napięciu i oczekiwaniu na dalsze wypadki spełnialiśmy, my pracownicy gminni swoje obowiązki. Ciągłe pomiędzy nami dyskusje: Czy i kiedy wybuchnie wojna, czy Hitler zdecyduje się na uderzenie, kto pierwszy zacznie itd. opinje nasze i mieszkańców Szelkowa były różne: To, że Hitler zlęknie się mobilizacji w Polsce i nie uderzy, to że dojdzie do porozumienia, że z jednej i drugiej strony to są tylko demonstracje i wzajemne straszenie się. Inne opinie wyrażają pogląd, że wojna, gdy wybuchnie niedługo potrwa, bo dobrze uzbrojone i wyćwiczone wojska polskie wtargną na teren Niemiec, a silne lotnictwo polskie zbombarduje Berlin i Niemcy ulegną itp. Przysłuchujący się tym dyskusjom stary robotnik z Orzyca (nazwiska już nie pamiętam) podchodzi do mnie i pyta: Co sekretarz na to powie? Czy Polska tak mała wobec państwa niemieckiego zdoła pokonać Niemcy, które są potęgą?

Zastanawiałem się nad pytaniami i odpowiadam. Prorokować się będą rzeczywiście trudno tu powiedzieć, tak czy tak. Trzeba mieć tylko wiarę we własne siły i słuszność sprawy odpowiadam. Moim zdaniem ciągnę dalej. Polska nie da się Niemcom pobić, ja wierzę w zapał żołnierzy polskich i w zapał całego Narodu do obrony, czego dowodem są ot choćby te małe chłopaki - pokazują na grupkę chłopców przy rowerach, gotowych w każdej chwili do wyruszenia w drogę i mówię, że w razie wtargnięcia wroga w obręb naszego kraju, takie nawet chłopaki pokażą co potrafią, gdy broni nie będą mieli, gryźć będą i tak powinni robić wszyscy poza wojskiem. Stary robociarz z niedowierzaniem patrzył na mnie westchnął i nic dalej nie mówił. Widziałem w obliczu jego dalszy niepokój.

Dumając nad tym co powiedziałem, na myśli mi przyszły wypowiedziane kilka dni temu słowa siostry mojej żony Rozalii Chełchowskiej z Gosiów, która w rozmowie ze mną na temat ewentualnej, wojny powiedziała: „Mówię Ci Heniu, zobaczysz jak Niemiec kiedy uderzy, szedł będzie przez Polskę i bił żelazem i niszczył wszystko co mu tylko wejdzie, dobra nasza armia dobra, ale Niemcowi rady nie da" wzdrygnąłem się na przypomnienie tego, i namyśl mi przyszło to, dlaczego Polska odmówiła przyjęcia od Czechosłowacji uzbrojenia i samolotów, kiedy Prezydent Masaryk proponował to naszemu Prezydentowi Mościckiemu? Gdybyśmy te broń wówczas przyjęli od braci Czechów, jakżeż znacznie powiększyło by się nasze uzbrojenie. Niestety krótkowzroczna polityka naszego rządu nie dopuściła do tego i olbrzymie uzbrojenie armii czeskiej wraz z dużymi i słynnymi na całą Europę czeskimi fabrykami broni przeszło w łapy Hitlera.

Na cóż się zdała ta głupia fanfarada z odebraniem Zaolzia od Czechów, gdy dziś już i wszystko jest niepewne? Dalej nurtowało mnie to zagadnienie, dlaczego Polska odwróciła proponowaną przez związek Radziecki pomoc w razie ataku? A czy można zawierzyć Sojusznikom z zachodu?

Odpowiedzi na te dręczące mnie wówczas pytania znalazłem dopiero w czasie i po wojnie, a dokładne na to wszystko odpowiedzi szukać należy w książce Dygata pt. „Przepustka do historii!". Książkę tę łatwo znaleźć dziś w każdej bibliotece publicznej /od redaktor: najprawdopodobniej chodzi o pozycję nie Dyganta a Zbigniewa Załuski/.

Pełen wątpliwości, co do swych opinii i niepokoju oczekiwałem wówczas zdaniem moim nieuniknionego wybuchu wojny, a wybuch ten nie wiem dlaczego, tak jakoś intuicyjnie wyczuwałem na 1 września.

W nocy z 31 sierpnia na 1 września upewniwszy się, że pracownik mój zdaje się, że Bobiński czuwa przy telefonie, udałem się do mieszkania Tyma by posłuchać radia. U Tyma przy radiu zostałem kilka osób. Chciwie słuchają. Z radia rozlegają się żołnierskie piosenki wojskowe. Radio kończąc audycję życzy słuchaczom dobrej nocy. Włączając raptem radio niemieckie i propaganda Goebbelsa zaczyna znów chlustać pomyjami na Polskę. Uciekłem od Tyma, nie chcąc słuchać szkalowań.

Noc spokoju, księżycowa. Na szosie spokój, gdzie niegdzie wychyla się ktoś pełniący wartę. Od strony Różana jadą duże kryte samochody ciężarowe. Kilka tych samochodów przystaje na chwilę i rusza dalej w stronę Pułtuska. Na pewno wojskowe myślę, jakieś grube ładunki czegoś wiozą: Nie jest myślę, tak źle, wojsko nocą coś do obrony ku Warszawie przewozi.

Jakie niemiłe było moje zdziwienie, gdy podchodząc do samochodu ujrzałem cywilną obsługę, ach to nie wojsko, tylko jakaś cywilna na pewno spółka handlowa przewozi towary. I znów mnie opętały czarne myśli. Stojąc przed gminą, patrzę w gwieździste pogodne niebo i pytam się sam siebie w duchu. Jakież nas losy spotkają, mnie, żonę i dzieci w zawierusze, która się zbliża: Na myśl przychodzą przechodzone w pierwszej wojnie światowej udręki. Nie daj Boże, byśmy przechodzić mieli teraz to samo. Lesiek ma uczęszczać do gimnazjum handlowego w Pułtusku, jutro zaczyna się rok szkolny. Przyjęcia do szkoły na razie odłożone. Co to będzie dalej. Co będzie i patrzę w twarz księżyca, jakbym od niego oczekiwał odpowiedzi. Księżyc obojętnie patrzy na świat.

Znużony kilkoma następującymi po sobie niewyspanymi nocami, ułożyłem się w domu do snu.

Wojna wybucha! 1 września 1939 r.

Wstając ze snu rano, zewsząd słyszę głosy wojna... wojna...

Żołnierze niemieccy niszczą polskie przejście graniczne we wrześniu 1939 r. Wikipedia.

Na twarzach widzę lęk i przerażenie, na twarzy żony zdenerwowanie i zaniepokojenie, na twarzach dzieci smutna ciekawość. To już i koniec naszego spokojnego życia, koniec nadziei na dobre i szczęśliwe wychowanie dzieci i na spokojną starość. Nieznany dalszy los jak miecz Damoklesa wisi nad głową. Wszystko dalsze nieznane, niepewne, zagadkowe. U Tyma słuchają przez radio orędzia prezydenta. Widzę łzy w oczach, twarze wyrażają zaciętość i mocną wolę walki.

Stało się to co przewidywano. Karta historii poczyna się przechylać na drugą stronę.

Na Szelkowie gromadzą się, żywo komentujący wydarzenia. Autobusy dalej mkną w różne strony z rezerwistami. Wszystko pod broń... Do broni głoszą porozklejane na ścianach afisze z podobizną eleganckiego marszałka. Czyżbyś ty był operetkowym marszałkiem, jak głosi niemiecka propaganda pomyślałem.

Telefon ze Starostwa: Wszystko ma iść dalej normalnie i bez żadnej paniki orędzie prezydenta i inne zarządzenia w drodze. Radio nadaje o uderzeniach wroga, o bombardowania polskich miast nawołuje do spokoju i zwalczania paniki. Audycje przerywane spostrzeżeniami służby przeciwlotniczej: Halo, halo! Uwaga, nadchodzi itd. Płyną z radia melodie piosenek żołnierskich.

W górze na niebie ukazują się wysoko punkciki, dochodzi szum silników. Ludzie patrzą uparcie w górę. To nasze łosie odzywa się ktoś, nie to pewnie czeskie... O, o, lecą na zachód, teraz będzie Niemcom gorąco. Szły całe eskadry niemieckie po bombardowaniu obiektów gdzieś w Białostockiem, a naiwni pocieszali się jak mogli.

Drugiego września od strony Makowa ciągną sznury samochodów ciężarowych i wozów konnych obładowanych uchodźcami i ich rzeczami, pędzą długie gromady tucznych świń, bydła i koni. Wszystko z miejscowości przygranicznych pędzą w stronę Narwi, do przeprawy na rzece we wsi Zamski.

Ze starostwa otrzymuję telefon, że jestem odpowiedzialny za stan łódek na Narwi, że łódki mają być związane przy drugim brzegu rzeki. Aha... pomyślałem zaczyna się paniczny bałagan w biurach. Ja mam odpowiadać za stan łódek na Narwi, jak jestem w Szelkowi, a gdzież służba dróg wodnych lub inna? Jak to masy świni i bydła przewiezione będą na drugi brzeg rzeki? Chyba jest ktoś nad tym, kto tego dopilnuje. Uciekinierzy mówią, że Niemcy wchodzą już do powiatu przasnyskiego. Rano dzwoniłem do sekretarza gminy Krasnosielc, jeszcze odzywał się mówiąc, że nie wie co robić, a Niemcy już są w Jednorożcu. Po południu już Krasnosielc nie odzywał się. Na pytanie telefoniczne do Starostwa co robić? Odpowiadają. Siedzieć na miejscu, nigdzie się nie ruszać i oczekiwać dalszych rozkazów, akta związane z mobilizacją zniszczyć.

Goniec z Urzędu Skarbowego w Makowie przyjechał motocyklem zabrać gminne księgi zbiorcze podatku gruntowego i ewidencje gruntów, wydałem. - Na co wam, pytam? Z całego powiatu wszystkie księgi podatkowe wywiezione będą w bezpieczne i pewne miejsce - usłyszałem w odpowiedzi.

Po południu na podwórze gminne zajeżdża pełna fura uchodźców. To znajomi z Krasnosielca, państwo Gajewscy, nauczyciele, nauczycielki. Dziękuję za przybycie, mówię witając się z gośćmi. Prosiłem państwa kiedyś na odpust do Św. Rozalii i dobrze się składa, bo odpust jutro, to jest czwartego września. O ironjo, jakiż to będzie w tym roku odpust. W mieszkaniu bałagan, bo żona spakowała już część rzeczy do wyjazdu z dziećmi w bezpieczniejsze, z dala od szosy miejsce... do Chrzanowa. Goście rozkwaterowali się w mieszkaniu, jak mogli. Żona piekła kurczaki na godziwą kolację dla gości. Co ma zostać dla Niemca, lepiej dziś je zjemy. Ja również będąc tego zdania powyciągałem z szafy nalewki na wiśniach. Obfita i dobrze zakupiona kolacja położyła nas wszystkich, gdzie kto mógł w dobry sen. Ja przed spaniem zapakowałem w skrzynię księgi kasowe gminy i gminnej kasy pożyczkowo-oszczędnościowej, którą praktykant Tadek Lasko i woźny wynieśli i zakopali w obejściu kierownika szkoły Szmidta, na górce za rzeką.

Raniutko, goście z Krasnosielca wyjechali dalej. Nauczycielstwo kierowało się do Garwolina, takie dyrektywy mieli od swoich władz. Pytam żonę dokąd pojedziemy? Rano odpowiada: Ja z dziećmi jadę do Chrzanowa, a stamtąd o ile rodzina zdecyduje się na ucieczkę, pojadę z matką, bratem i siostrami tam gdzie i oni. Byłem na rozdrożu nie wiedziałem co robić.

Ponieważ byłem w wieku wojskowym i zdatnym do służby wojskowej, a odroczenie moje wobec opuszczenia gminy traci na swej aktualności postanowiłem udać się za Narew i tam zgłosić się do najbliższej P.K.U., celem włączenia mnie do szeregów wojska. W biurze wszyscy pracownicy z wójtem na czele w komplecie. Dzwonimy do Starostwa, by się czegoś dowiedzieć. Starostwo nie odpowiada. Wójt Dorocki twierdzi, że z Makowa już zwiali i nie mamy na co czekać. Wypłacił z kasy gminnej wszystkim pracownikom i sobie pensje za wrzesień, byłby dał też zaliczki i na październik, ale gotówki zabrakło i oświadczył: Ja jadę w mojego jednego konia za Narew, a wy panowie zażądajcie podwody i również udajcie się tam gdzie i wszyscy, to jest na Narew i dla dodania otuchy dodaje: Front pewnie oprze się na Narwi, za Narwią poczekamy i na pewno niedługo na swoje stanowiska wrócimy. Daj Boże myślę..., ale jakiż tu będzie front, gdy ani jednego żołnierza polskiego nie widać, a do Narwi w prostej linii będzie 3-4 km.

Żegnam się z żoną i dziećmi, które już siedzą na wyładowanej rzeczami furmance i odjeżdżają do Chrzanowa. Za serce targa boleść. Nie umiemy sobie poradzić, czy w ogóle jechać, czy jechać razem. Furmanki jedna na drugą z uciekinierami toczą się w stronę Pułtuska, w dali gdzieś zapewne pod Mławą dudnią armaty. Z mieszkańców Szelkowa pozostaje na miejscu biedota, wyrobnicy i ci którzy nie mają środków lokomocji i nic do stracenia. W naszym mieszkaniu pozostają tylko meble, resztę żona zabrała ze sobą.

Od Sielunia zjawił się goniec na motocyklu, który rozwoził po powrocie urzędowe papiery. Pytam go co i jak tam w terenie. Do Sielunia powiada ryzyko dojechać, Krasnosielc już podobno zajęli Niemcy, nie wiem czy uda się spokojnie dotrzeć do Makowa.

Ucieczka przed Niemcami

Przed gminę zajeżdża w parę koni wyznaczony na podwodę dla nas Władysław Olkowski z wioski Orzyc – Prędzej Panowie, prędzej Panowie, chciałbym was odwieźć na Narew, póki Niemcy się tu nie ujawnią i wrócić do żony i dzieci. Bobiński i Lasko ładują na podwodę maszynę do pisania i swoje tobołki, ja zwlekam jeszcze czekając nie wiadomo na co. Żona Bobińskiego już wyruszyła z dziećmi oddzielnie furmanką. Zjawia się komendant posterunku policji Sachoń, ale już w cywilnym ubraniu. Ja powiada wyrywam od razu na Kresy wschodnie, tam skąd pochodzę. Pożegnał się i uamknął. My niewiele myśląc siadłwszy na furmankę: jazda w stronę Pułtuska.

Ze łzami w oczach żegna nas Wołyńcowa - żona woźnego, który został kilka dni temu zmobilizowany, a jego miejsce objął stary … (zapomniałem już nazwiska). Proszę ich ażeby mieli baczenie na biura gminne i moje meble w mieszkaniu.

W drodze do Pułtuska w górze nad nami przelatują eskadry samolotów z czarnymi krzyżami. Lecą w stronę Warszawy. Zapobiegliwy Bobiński wyciąga ze swego tabołka wódkę i proponuje po jednym. Już mi nie w głowie była wódka, ale aby zabić w sobie niespokojne rozmyślania wypiłem. - Skądżeś pan tę wódkę tak rano zdobył? - pytam. - Panie szefie, odpowiada Bobiński, ta pocieszycielka strapionych musi być. - Może ma rację, pomyślałem. Jakże można się wybierać w nieznane bez wódki? Ja już wczoraj postarałem się o ten zapas na drogę. – Wojna, wojną powiada, ale!

Pułtusk okolony zasiekami z drutów kolczastych, rowami przeciwczołgowymi i kozłami też przeciwczołgowymi. W murze cmentarza na rogatkach miasta widnieją otwory dla karabinów maszynowych, kręci się trochę żołnierzy. Na warcie przed bramą cmentarną stoi zmobilizowany późniejszy wójt gminy Perzanowo Emil Olkowski. Z twarzy jego wyczytuję lęk, wzrokiem sięga na pola w stronę Ciechanowa wypatrując widocznie, czy nie ukazuje się już tyraliera Niemców.

Wjazd do Pułtuska zatarasowany furmankami uciekinierów. Przez zator przepycha się od czasu do czasu limuzyna z wojskowymi, aż skóra cierpnie na samą myśl jakby teraz nadleciały samoloty nieprzyjacielskie i zaczęły bombardować. Stoimy, nie można się przepchnąć ku miastu, gdzieś w pobliżu wystartował nagle samolot prując powietrze tuż nad nami. Widzę na skrzydłach samolotu szachownicę ułożoną z kolorów czerwonego, białego. Odetchnąłem... to nasz samolot pomknął w stronę Warszawy. Gospodarz Olkowski ze łzami w oczach prosi, żeby go już z podwody zwolnić. Bobiński oponuje. Ja już każę złazić z wozu i zabierać rzeczy. Na szczęście spotkawszy furmankę z żoną Bobińskiego - przesiedliliśmy się.

Zakorkowanie na szosie wreszcie obluźniło się i przepchnęliśmy się dalej. Wyjeżdżając z miasta przejechaliśmy na drugą stronę Narwi i około południa stanęliśmy w miejscowości Obryte. Bobińscy zatrzymali się u jednego gospodarza, który znał Szelków i niektórych w nim mieszkańców. Ja i Tadeusz Lasko udaliśmy się do miejscowego zarządu gminnego zasięgnąć jakich wieści. Idąc w stronę gminy słyszymy w dali w kierunku Warszawy głuche detonacje. Odgłosy wybuchów bomb przybliżają się... już widać nad lasami czarne kłęby dymów znoszące się po wybuchu bomb, oraz warkoty silników samolotowych. Ktoś obok mówi: Bombardują Nadleśnictwa, inny radzi kryć się w zaroślach.

Na drodze od strony wschodu ukazuje się oddział wojska naszego. Żołnierze maszerują na czele kapitan na koniu. Czekamy aż oddział się zbliży. Widzę jak żołnierze objuczeni tornistrami i granatami zapasem z wysiłkiem brną w piachu. Pot ciurkiem spływa z twarzy, twarze wymizerowane, nadzwyczaj zmęczone. Podobno, aż od Białegostoku maszeruję na obronę Pułtuska. Żal mi było umęczonych marszem

podczas spiekoty dnia żołnierzy, poza tym w myślach oburzało mnie to, że sznury samochodów ciężarowych i limuzyn unoszą uchodźców, a wśród nich żony oficerów z pieskami i nawet wazonikami kwiatów a żołnierz musi dziesiątki kilometrów maszerować, jakby go nie można było z miejsca na miejsce zarekwirowanymi pojazdami przewozić.

Na ten widok, niewesołe refleksje kołatały się w głowie. W Zarządzie gminnym w Obrytem zastaliśmy pracowników przy normalnej pracy. Mocno zdziwili się, że my ewakuujemy się z Szelkowa. My im na to: Poczekajcie jeszcze z jeden dzień, to uwierzycie, a gdzie wasz wójt i sekretarz? Pojechali na odprawę do Pułtuska. Wójt i sekretarz niebawem wrócili. Przywieźli widocznie odpowiednie dyrektywy, bo personel począł zdziwiony zamykać rozłożone na stołach księgi i akta i pakować agendy biurowe /od redaktora: agendy tzn. dokumenty/.

Bobiński ze swą rodziną już na dobre rozgościł się u owego gospodarza. Gdy Tadek Lasko i ja weszliśmy na kwaterę Bobińskiego już wódka stała na stole i zaczynało się zakrapianie. Siedząc przy stole, widzę jak gospodarz domu obrzuca mnie i Laskę nieufnymi spojrzeniami. Patrzy na nas spode łba. Rozmowa toczy się na temat ujętych w okolicy dywersantów miejscowych, to znaczy okolicznych kolonistów niemieckich. Przysuwam się do Bobińskiego i szeptam „dlaczego ten stary tak spode łba patrzy na mnie i Tadka Laskę?". Bobiński na to: On jest głupi na punkcie tych dywersantów, każdego kogo nie zna uważa za dywersanta. Odwołał Bobiński starego na bok i tłumaczy mu kto my jesteśmy. Stary patrzy nieufnie na nas i widać nie daje się przekonać.

Ha trudno pomyślałem. Panie Tadku - mówię do Laski, musimy sobie gdzie indziej nocleg znaleźć, bo tu nam nie radzi. Rodzina gospodarza widać innego była jak on zdania, zaczęła nas przypraszać żeby na nocleg zostać. Bobiński nie żałował wódki, a skąd ją czerpał nie wiem, to też pomału ponure oblicze gospodarza zaczęło się rozjaśniać.

trzymaj sukinsyna na muszce

Pośród nas komentowaliśmy sobie zdarzenie jakie miał stary Tym z Szelkowa tego dnia, o czym ktoś z uciekinierów kręcących się w obrytym nas powiadomił. Otóż Tym z Szelkowa zacny i patriotyczny człowiek mający syna swego Wacława w wojsku w stopniu kapitana dyplomowanego, wyprawił rodzinę swoją wozem do Ostrówka za Narew, a sam z aparatem radioodbiorczych, którego mu było żal w Szelkowie zostawić podążał za rodziną pieszo, gdy przeprawił się łódką przewoźnika za Narew od razu wpadł w objęcia patroli wojskowej złożonej z kilku naszych żołnierzy, która penetrowała nadnarwiańskie chaszcze. Tym przedzierając się przez krzaki z aparatem radiowym pod pachą słyszy nakaz: Stój, ktoś ty! Przestraszony Tym stanął jak wryty, nie spodziewając się takiego okrzyku i odpowiada. - Ja Tym. - A co masz pod pachą? - Aparat radiowy, odpowiada. – Aha, mamy ptaszka - mówi żołnierz mierząc karabinem w Tyma. No tak ... zgadza się mówi drugi żołnierz: Nazwisko niemieckie. Stacja radiowa pod pachą, dywersant psia jego mać. Tym drżąc ze strachu poczyna przekonywać żołnierzy, że nie jest żadnym dywersantem, ale to nic nie pomaga. Żołnierze każą mu iść na przód, a sami z wymierzonymi w niego karabinami podążają za nim, jeden z nich mówi do drugiego: trzymaj sukinsyna dobrze na muszce i w razie czego pal mu w łeb. Tyma uratowali od nieszczęścia uciekinierzy na drodze, którzy przekonali żołnierzy o jego niewinności. Trzeba dobrze uważać pomyślałem sobie, żeby jaka idiota w dalszej mojej drodze nie wzięła, mnie, czy nas obu, to jest mnie i Tadka Laskę za podejrzanych, wszak panika i głupota mogą być przyczyną nieszczęścia w drodze.

Z Obrytego na drugi dzień rankiem ruszyliśmy do Rząśnika. Bobińscy zostali w Obrytem. Ja i Lasko znaleźliśmy się w Rząśniku, gdzie spotkaliśmy wiele rodzin z naszej gminy, a także Wójta Dorockiego i ojca Tadka, to jest Starego Laskę sołtysa wsi Ciepielewo.

W Rząśniku mieszkańcy prawie w każdym domu bili świnie, mięso solili i magazynowali w beczkach, zakopywali też zboże. Przezorni, czynili zapasy na czarną godzinę. Przez wieś przyjechał na koniu, ledwie trzymającym się na nogach, równie zmęczony żołnierz oglądając się w stronę zarośli nad Narwią. Był to żołnierz z patroli konnej, od którego nic nie mogliśmy się dowiedzieć. Po chwili od strony Narwi ujrzeliśmy kilku galopujących na koniu żołnierzy. Dorocki chciał ruszyć furmanką dalej, ale mu klacz zachorowała. Powiedział do nas ruszajcie dalej, nie oglądajcie się na mnie, bo mąż i ja dalej nie pojadę. Zdecydowaliśmy się z Tadkiem Laską na nocleg w Rząśniku.

O spaniu nie było mowy. Nasłuchiwaliśmy tylko czy Niemcy się nie przybliżają. W nocy obserwowaliśmy łunę pożaru w stronie Różana, to miasto Różan wzniesione na wzgórku nad wielką Narwią płonęło. Słychać też było odgłosy armat, a rano też grzechot karabinów maszynowych. A więc Różan broni się pomyślałem, natomiast od Różana wzdłuż Narwi w stronę Pułtuska żadnej wrzawy bojowej nie słychać. Jasnym dla nas już było, że na Narwi oporu nie będzie i trzeba ruszać dalej ażeby zdążyć za Bug, może na Bugu nasi stawią opór, a my za Bugiem zgłosimy się do służby wojskowej. Zaraz rano nie czekając na nic, ja i Lasko z walizkami w ręku ruszyliśmy droga polną na wschód z myślą dotarcia do Wyszkowa i dalej na Bug.

Drogą wloką się gromady uciekinierów

Drogą wloką się gromady uciekinierów pieszo i furmankami. Do furmanek poprzywiązywane są krowy, dzieci pędzą też przy wozach świnie. Każdy ucieka ze swym dobytkiem i rodziną ale dokąd? Nikt nie wie, aby tylko oddalić się od najeźdźców, a po tym może Bóg da, że nasi wroga odeprą i znów się wróci do swych gniazd. Tak każdy myśli.

Ja dziwię się tylko, dlaczego nie widać nigdzie naszego wojska? A może wojsko koncentruje się na linii Bugu? Tak rozmyślając wleczemy się za gromadami uciekinierów. W pewnej chwili słyszymy w górze ryk motorów i widzimy kilka samolotów niemieckich zniżających lot nad drogą pełną ludzi. Samoloty przemknęły nad naszymi głowami, w dali na przedzie drogi usłyszeliśmy z samolotów trzaski karabinów maszynowych. Ludzie w popłochu rozbiegli się po polu. Samoloty wypuściwszy kilka serii pocisków karabinów maszynowych pomknęły dalej. Na szczęście ofiar w ludziach tym razem nie było.

… podarłem na strzępy mój … pamiętnik

Wówczas to podarłem na strzępy mój niesiony w walizce pamiętnik z różnymi zapisami, w którym zapisywałem wszystkie zdarzenia oraz spisałem wszystko z mojej przeszłości.

Zniszczyłem też różne dokumenty osobiste a m.in. zaświadczenie Wojskowego Biura Historycznego o mojej przynależności do P.O.W. w roku 1918. Ponieważ w pamiętniku opisywałem naszą działalność peowiecką w związku z rozbrajaniem Niemców w roku 1918, nie chciałem by przy ewentualnej rewizji osobistej dokonanej przez Niemców, którzy mogli nas dogonić, znaleźli przy mnie dowody wrogiej przeciw nim kiedyś działalności.

Zmęczeni dotarliśmy do tak zwanych pulw. Pulwy to duże tereny łąk na dawnych bagniskach. Wśród uciekinierów spostrzegam Władysława Ogonowskiego z Szelkowa, siedzącego na wyładowanej tobołami swojej furze. Ogonowski z nienawiścią przygryza mi: „Takżeście wyrządzili, wy legioniści z waszym marszałkiem, że my musimy się tułać obecnie jak bydło." Nie umiałem mu na to odpowiedzieć nie zdążając zebrać myśli, pomyślałem tylko: a wy cudacy lepiej byście wyrządzili na pewno byście Polskę bez strzału wrogowi oddali. Minęliśmy furę Ogonowskiego i poszliśmy dalej. Wśród uciekinierów dowiedziałem się, że na pulwach są uchodźcy z wiosek położonych pod Różanem. Serce żywiej zabiło mi.

Pewnie tam w dolinie na pulwach jest moja rodzina to jest moja żona z dziećmi i rodzeństwem. Panie Tadeuszu zwracam się do Laski: Złap pan od któregoś z odpoczywających uciekinierów roweru i zjedź pan w dolinę, może tam się pan czegoś o mojej rodzinie dowie. Lasko w mig to uczynił. Po długiej chwili nie widząc wypatrywanego z drogi powrotnej Tadzia począłem się niepokoić o niego. Miałem już gorzkie wyrzuty sumienia, że chłopaka na pulwy posłałem tym bardziej, że stamtąd dochodziły odgłosy wystrzałów, gdy tak stoją wpatrując się w krzaki, z których spodziewałem się że powinien nadjechać Lasko, z innego miejsca wyskakuje z krzaków. Boże dzięki, pomyślałem z ulgą. No i jak? Pytam. Nigdzie pańskiej rodziny nie widać i nic o nich tam nie słychać, - a te strzały, pytam? - A cholera je wie, odpowiada Tadek, może to patrole Niemców, a może to jeszcze nasi patrolom ich odgryzają się. Ruszyliśmy dalej.

Wieczorem odpoczywaliśmy pod lasem przy wsi chyba Poświętne. Zmrok już zapadł. Powietrze ciepłe, duszne, aż się nie chce wstawać ze mchu pod lasem, a nogi zbolałe i mam wrażenie stopy poodparzane. Nagle opodal w pierwszych drzewach lasu błysk i wybuch. Zerwaliśmy się na nogi nie widząc czy uciekać i w którą stronę. Po chwili słyszymy w lesie rozmowę po polsku. Podchodzimy bliżej i roz-

poznajemy to kapral, jeszcze nie Niemcy. To my powiada spowodowaliśmy wybuch ślepego granatu dając tym umówiony sygnał naszej patroli. Wchodzę w rozmowę z kapralem. Kapral niechętnie machnął ręka i wyrzekł. Panie nie spodziewałem się takiej zasranej wojny. Oficerowie pozwiewali, a my tu w kilkunastu błąkamy się po lasach i nie wiemy co robić. Źle pomyślałem.

… docieramy do Wyszkowa

W dalszej naszej nocnej wędrówce przez las uczepiliśmy się jakiegoś sunącego po cichu po piaszczystej drodze taboru wojskowego. I tak uczepieni furmanek w chmurze unoszącego się z piaszczystej drogi pyłu docieramy do Wyszkowa. Drogę końcową oświetla nam pożar wyszkowskiego browaru piwnego. Przed mostem niemożliwy zator. Oficer stojący na moście przepuszcza według wykazu, do którego zagląda przyświecając sobie bateryjką. Poszczególne jednostki wojskowe. Obok duża grupa cywilnych mężczyzn uciekinierów proszących oficera o przepuszczenie przez most na drugą stronę Bugu ich jako wojskowych na ochotnika. Z kolei na most wjeżdża szwadron ułanów z noszonymi szablami w rękach. Jeden z grupy ułanów krzyczy w stronę uciekinierów: - Nie pchać się cywilna banda... my za nich walczymy, a oni jeszcze w cywilów się bawią... - Dużoś cholero nawalczył - odzywa się ktoś z grupy cywilnych, - jeszcześ Niemca nie widział, a już wiejesz. Incydent zażegnał oficer.

Czekamy swojej kolejki, gardła mamy zaschłe z pragnienia i kurzu, któregośmy się nałykali w drodze. Jak to będzie gdy się rozwidni i samoloty niemieckie nadlecą? Jatka odpowiada Laska. Naraz widzimy grupkę ludzi nadchodzących od strony palącego się browaru. Każdy ma po kilka butelek piwa, piją idąc. Biegniemy w stronę pożaru. Lasko wyprzedził mnie, ja już nie idę, ale kuśtykam, tak mnie nogi bolą. Nie doszedłem do browaru. Czekam. Naraz w świetle łuny widzę Tadka w drodze powrotnej obładowanego butelkami piwa. Jest piwo, co za rozkosz dla nas, na nasze wyschnięte gardła.

Popijając piwo czekamy dalej. Rozwidnia się. Teraz będzie bal myślę, jak tu nadleci eskadra samolotów wroga. Naradzamy się, że chyba cofniemy się do tego lasu, przez który wędrowaliśmy, tam będzie od nalotów bezpiecznie, gdy się już podnosimy z zamiarem osiągnięcia lasu, grupa cywilnych poruszyła się i bractwo gęsiego wali, na most. No nareszcie i my na końcu tej grupy dostaliśmy się na most i na drugą stronę Bugu.

Wyszków poprzedniego dnia był bombardowany. Wiele osób cywilnych padło na rynku i ulicach wiele domów strawiły pożary od bomb, a z nimi spłonął też błogosławiony przez nas browar piwny.

Po drugiej stronie Bugu widzę trochę żołnierzy obsługujących cysterny z benzyną na samochodach. Cysterny wyjeżdżają jedne w las, drugie wyjeżdżają z lasu. Ach pomyślałem... pewnie magazynują materiały pędne, może wreszcie nad Bugiem pewnie ustabilizuje się front.

… nalot

Ciągniemy dalej szosą na wschód. Gdzieś koło południa zatrzymujemy się na odpoczynku, ale gdzie tu odpocząć? A należałoby wymoczyć odparzone nogi i pożywić się jaką ciepłą strawą. W dali od szosy widzimy na polu samotną zagrodę złożoną z niewykończonego domku, chlewów i stodółki. Za zagrodą zaczyna się zagajnik. Widzimy jak kilka osób z tobołkami ciągnie gęsiego w stronę tego domku. Idziemy i my.

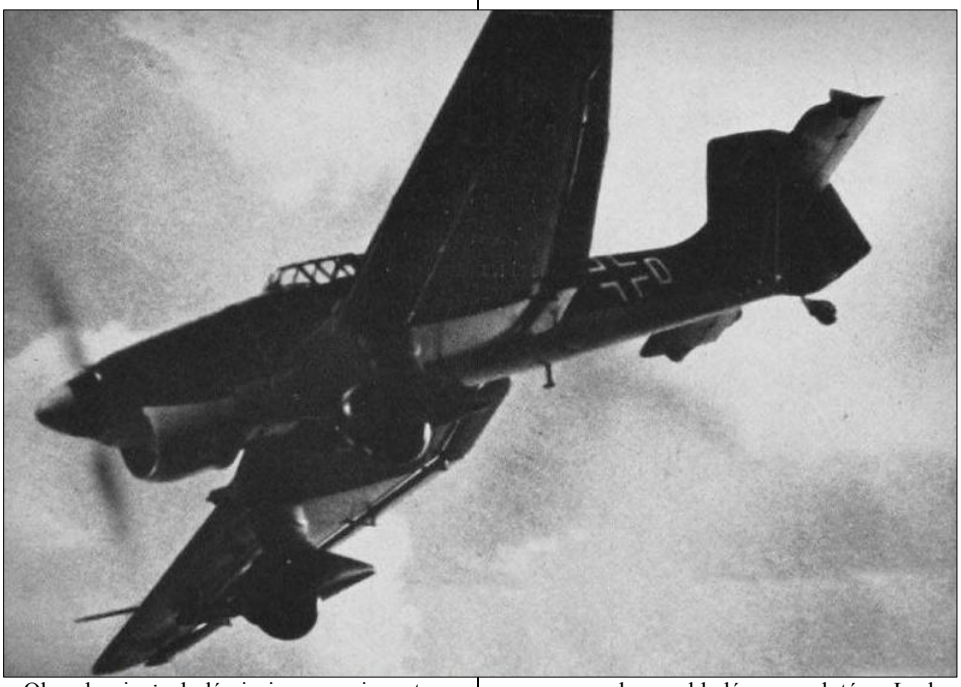

Okazało się że ludźmi ciągnącymi w stronę zagrody byli: Nosarzewski z żoną i córką z Makowa, oraz jakiś lotnik w mundurze ze swoją żoną. Rozkwaterowaliśmy się w niewyszykowanej izbie na ułożonych deskach i błogo odpoczywamy. Nad nami słychać ciągle warkot maszyn lotniczych. To eskadry niemieckie patrolują niebo. Chyba tu nie rąbnie, powiadamy do siebie, bo cóż mu przyszłoby z tej chałupy? Oj, oj panowie, odzywa się stara mieszkanka domu, przez zagajnik idzie tor kolejowy i oni tu się zawsze kręcą i spuszczają bomby. Lotnik powiada, że zagubił swoją jednostkę i nie wie gdzie jej szukać. Ja proszę gospodynię o sprzedanie mi garnuszka mleka.

Przez izbę przesunął się ponury, w starszym wieku gospodarz! Dziewczyna z drugiej części domu przynosi mi garnuszek mleka. Nie mogę mleka wypić, jest ono zielonawe i cuchnie. Mleko wylewam. Jacyż nie sympatyczni ci mieszkańcy tego domu powiada ktoś, tacy jak ich mleko odpowiadam.

W górę słychać warkot motorów. Nagle Nosarzewski zrywa się z desek i wydaje okrzyk: Zwiewamy stąd. Ależ panie teraz jest nalot - ktoś powiada. Niech sobie będzie, nalot ale my zwiewamy, to mówiąc ciągnie żonę i córkę ku wyjściu. My widząc jakąś w oczach Nosarzewskiego stanowczość i lęk, również wysuwamy się za nimi. Na dworze widzimy piekło w górze. Gromadę samolotów niemieckich atakuje jeden samolot polski, może ich było więcej, ale ja dostrzegam tylko jeden. Niemcy zrzucają na zagajnik bomby. Gęsiego szybko biegniemy w stronę grupy drzew na polu. Za nami słychać wybuch. Lasko biegnąc mówi: Panie obejrzyj się pan za siebie. Odwracam głowę i widzę jak w chmurce czarnego dymu fruwają belki domu, któryśmy przed chwilą opuścili.

Dobiegając do drzew widzę w dali w górze smugę dymu, a poniżej spadający samolot i zdaje mi się, że to polski. Samoloty odchodzą, nastaje chwila ciszy.

Dom, w którym przed chwilą odpoczywaliśmy bucha płomieniami ognia. Ciągniemy do widniejącej z dala szosy, a za nią zabudowań folwarcznych, w około, których widzę dużo bydła. Dochodząc do szosy, znowu samoloty w górze, znowu wybuchy i trzaski karabinów maszynowych z pokładów samolotów. Lasko wciąga mnie gwałtem pod rozłożyste duże drzewo przydrożne, po gałęziach tnie seria pocisków karabinowych, aż liście lecą. Samolot dalej ostrzeliwuje zabudowania folwarczne, bydło w popłochu rozbiega się po polach.

Po chwili cisza w górze, od strony folwarku słychać jęki rannych i okrzyki pomocy. Korzystając z chwilowej ciszy wolnej od nalotów, zbieramy się na szosie. Podjeżdża fura naładowana tobołami, wyjechała z krzaków z ukrycia. Na wozie rodzina sekretarza Matusiaka z Makowa, przy furze Matusiak. Naradzamy się co robić dalej, w którą stronę jechać. Szosą od strony Warszawy pojawia się ktoś na rowerze. Zatrzymujemy, pytając jak tam w Warszawie. Nic pocieszającego odpowiada rowerzysta, rząd już uciekł z Warszawy, za chwilę ujrzycie tłumy uchodźców warszawskich. Nowina ta była dla nas przygnębiająca. W oczach starego legionisty Nosarzewskiego ukazały się łzy. Nie pamiętam który to był dzień wojny.

… docieramy do Łochowa

Idziemy do osiedla. Zdaje mi się i na pewno tak jest to był Łochów. Domy przy szosie opuszczone, mieszkańców tych domów nie widać. Przy jednym z domów stoi porucznik z rozłożoną mapą i wydaje jakieś rozkazy kilku stojącym przed nim i jak widać wielce zdrożonym szeregowym. Opuszczając Łochów wchodzimy w las, tam rozkładamy się, ja i Lasko na zasłużony odpoczynek. Matusiak zabrał na furmankę Nosarzewskich i pojechał dalej. Nie prosiliśmy go o przysiadkę, bo z miny jego widać było, że nikogo już na wóz nie weźmie, to też obaj zdani byliśmy na łaskę do dalszego losu, no i na własne nogi.

Poczęło się zmierzchać. Zagon gryki pod lasem lśnił w mroku bielą jak płachta śniegu, dalej za zagonem zaczynały się krzaki. Wpatrujemy się spod lasu na ów zagon i krzaki.

W głowie mi dzwoni, jakieś czarne płatki migoczą, w oczach. To przemęczenie, znużenie na skutek przebytej pieszo drogi i kilku już nieprzespanych nocy. Przechodzą wśród krzaków przyleśnych jacyś mężczyźni. Zobaczywszy nas rozłożonych pomiędzy sosnami na skraju lasu, odskoczyli w bok - swój powiadamy na to, nie bójcie się. Po chwili jeden z nich podchodzi do nas i przypatrzywszy się nam mówi: Panowie nie dziwcie się, myśmy się oderwali od pierwszych patroli niemieckich i gonimy co sił w nogach. - Gdzie mogą być Niemcy? - pytamy. Na to oni: wszędzie już można się ich spodziewać, gdyż idą szeroką ławą.

W Wyszkowie była ostra z Niemcami potyczka i nasi wycofują się. Niechby ich trochę dłużej przy Bugu potrzymali, obyśmy mogli ujść dalej. Któryż to dzień wojny, myśl, zupełnie straciłem rachubę czasu. Lasko mi mówi: Panie szefie ciemno już na dobre korzystajmy z tego, że w nocy niema nalotów i prujmy dalej. Poczekaj mówię niech nogi trochę lepiej wypoczną. Leżeć dalej patrzymy na krzaki poza zagonem. - Panie, mówi Lasko we znakach coś się rusza. Wytężam wzrok, widzimy jakby przyczajonych w krzakach. Patrzę w jeden punkt i pewny jestem, że to podkradający się osobnik. Cisza wokół. Rzekomi osobnicy nie zbliżają się. Tfu mówię to zmęczona nasza wyobraźnia wpatruję w krzewach podkradających się Niemców. Śmiejemy się obaj wreszcie podnosimy się.

Wychodzimy na szosę. Na szosie rzadko już turkoczą furmanki. Jakiś żołnierz na koniu zdąża w stronę przeciwną szuka reszty kolegów ze swego oddziału. Po drodze spotykamy za pewną odległość leżące na zboczach drogi pociski armatnie nie wypalone. Co to ma znaczyć, pytam Laskę. Chyba Laskę. Chyba nasi artylerzyści, mówił Lasko po drodze, umyślnie gubią pociski by im było lżej. Ta odpowiedź nie trafiła mi do przekonania, to też rozmyślam dalej nad tą zagadką.

… dzieci

W dali widzimy duży zator na szosie. Dożo cywilnych furmanek z ludźmi i dziećmi oraz przywiązanymi do wozów krowami oczekuje ruszenie kolumny od przodu. Przemykając się rowami widzimy przesuwające się wolno tuż przy furmankach z ludźmi furgony wojskowe. Z furmanek słychać płacz dzieci i narzekania starszych. Wychodzimy na czoło kolumny, która już rusza.

Patrzę i własnym oczom nie wierzę. Na szosie gromada może do 30 dzieci, w wieku od kilku do 10 lat zbita w gromadę jakby stadko owieczek z główkami pochylonymi w dół, przynaglana do pośpiechu przez dwie niewiasty, które gromadkę tę spychają na brzeg szosy, by dać ważność przesunięcia się pojazdom, prawie biegiem zdąża na przód. Staram się przyjrzeć twarzyczkom tych dzieci. Oczy zapłakane, wyziera z nich lęk i jakoś rozpacz. O Boże! Na jakąż poniewierkę i tułaczkę wystawione są te niewinne dzieci. Były to dzieci z jakiegoś Sierocińca ewakuowane przez dwie wychowawczynie. I tu przyszedł mi na myśl widok wielu limuzyn z żonami oficerów walizkami i pieskami, które widziałem w Pułtusku i na szosie do Wyszkowa. Nawet dla dzieci nie znalazł się jakiś samochód ciężarowy lub choćby dobrze wymoszczona słomą furmanka. Nie widziałem wtedy jeszcze, że to martyrologii polskich dzieci dopiero początek.

Dzieci wchodzą zbitą gromadką na drewniany nieduży most. Stukot nóżek dziecięcych o deski mostu istotnie sprawia wrażenie, jakby to stadko małych owieczek przechodziło. Co to za rzeka? - pytam. Liwiec ktoś odpowiada. Nic mi to nie daje, bo tej rzeki nie znam i nie wiem po prostu gdzie jesteśmy i jaka miejscowość będzie przed nami. W uszach niemożliwie dzwoni, czarne płatki latają przed oczyma, wyczerpani jesteśmy do kresu. Słyszę zawołanie Heniu! Odwracam głowę, patrzę po furmankach, ktoby mnie wołał, ale nic nie spostrzegam. Ludzie siedzą na tobołach z głowami pospuszczanymi w dół, w ten sposób drzemią nabierając sił do dalszej wędrówki i przygód.

Na jednej furmance widzę kogo? Toć to Chełchowska Róża z Gosiów. Zdążam do zjeżdżającej furmanki łapię się za kłonicę i krzyczę hej Chełstowska! Niewiasta z wozu odwraca się do mnie w zamyśleniu. Ach to nie Chełstowska stwierdzam i puszczam kłonicę zepchnięty przez następną furmankę w rów. Co się ze mną dzieje, to mnie ktoś woła, to widzi mi się Chełstowska, naraz szeptem zatrzymuje się jakbym się miał wwalić w dół pod nogami. Lasko uderzył sobą o mnie i zatrzymał się. Uważaj pan tu dół. Jaki tam dół, tu niema dołu odpowiada Lasko i bierze mnie pod rękę. Ach to halucynacje tłumaczę sobie. Zmęczenie i niewyspanie robi swoje pomyślałem.

Zbliżamy się do jakiegoś osiedla. Przed murowanym domem, z którego spływa oknem na drogę blask lampy, stoi gromadka ludzi. Czekają, na chleb, który za chwilę mają przez okno sprzedawać. Nie pamiętam już, czy nabyliśmy tam czy nie bochenek chleba, bo tylko Laska przy okienku na chleb oczekiwał, ja zwaliłem się w rów po prostu bezwładny.

Dnieje już, podnosimy się z rowu i ruszamy dalej. Mijamy duży las ciągnący się wzdłuż szosy. Na brzegu lasu od pola widzę może szwadron ułanów. Ułanów ustawia jakiś stary już o siwym włosie na głowie oficer. Ułani na koniach ustawieni w jednej linii, tuż przy ścianie lasu. W górze słychać szum motorów lotniczych na szosie rozlegają się krzyki „Kryć się". Skaczemy w zarośla. Myślę gdzie też w tej chwili owa gromadka dzieci. Samoloty z łoskotem silników przelatują nad lasem i lecą dalej, na szczęście nie zauważyli ułanów pod lasem. Tą męczeńską drogą wleczemy się dalej. Lasy i lasy, wioski przydrożne wraz przejdzie nad głowami nalot niemieckich bombowców i tak w kółko.

Nie myślę już nie zdaję sobie z niczego sprawy, jestem nie czuły na głód. W pewnym momencie jakiś oficerek drze się do nas. Kryć się sakramenckie cywile i z rewolwerem w ręku grożąc nam ukrywa się w krzakach. Przykucnęliśmy pod jednym krzakiem i patrzymy jak bohater w mundurze patrzy przestraszony w górę. Samoloty z rykiem maszyn przeleciały i poszły dalej. Wychodzący- z zarośli kilku żołnierzy z kpiną mówi patrząc w stronę krzaka, w którym siedział jeszcze wystraszony oficer: On laluś myślał, że to na niego Niemcy nalot zrobili. W dali słychać było odgłosy wybuchających bomb zrzuconych na jakieś zabudowania.

… dziewczyna

Wstępujemy do jakiejś wieśniaczej chaty i prosimy o mleko. W kuchni nad wyraz piękna i młoda dziewczyna miąsi w dzieży ciasto na chleb. Dziewczyna głosem woła: Babciu: niech babcia poda tym panom mleko. Zgrzybiała starością babcia trzęsącymi się rękoma stawia na stół dwa kubki gorącego mleka. Rozsiadamy się przy stole i z lubością wchłaniamy zbawczy nektar. Babcia lituje się nad nami, że musimy tak wędrować. - A państwo zostają na miejscu i nie myślą uciekać? Pytam. Otwierają się drzwi od pokoju i stojąc w drzwiach wyparadowana paniusia rzecze: a dokąd tu wędrować i po co, kiedy Niemcy tuż tuż, po prostu niema gdzie.

Obserwując dziewczynę przy dzieży i paniusię w drzwiach, stwierdzam rażący kontrast pomiędzy obiema. Jedna naturalna, nie ubierająca swych wdzięków twarzowych w torbę szminki, , gromady pudru i w tej swojej naturalności istotnie piękna, druga naszminkowana i wymalowana, chociaż podobna do pierwszej - brzydka. Były to siostry. Paniusia wyszminkowana była żoną podoficera zawodowego, jej siostra panną. Lubując się widokiem dziewczyny przy dzieży myślę: Dziewczyno broń Cię Boże farbować swą piękną cerę, obyś nie zapatrzyła się na siostrę. Dziękując za mleko zbieramy się do wyjścia. Dziewczyna od chleba wdzięcznym głosikiem i życzliwie, co widać z jej chabrowych oczu zaprasza: Zostańcie panowie jeszcze, niedługo chleb upieczemy, to weźmiecie sobie panowie na drogę. Siostra dziewczyny obojętnie zaciągała się papierosem. Chwila niezdecydowania, wreszcie zrażony wzrokiem pani podoficerowej pociągnąłem Laskę ku wyjściu, rzucając wdzięczne spojrzenie w stronę pięknej dziewczyny. A może pani podoficerowa miała męża ukrytego w pokoju, który przezornie dla swego oddziału stał się zagubionym i dlatego była dla naszej dłuższej obecności w tym mieszkaniu niechętna.

Poszliśmy dalej ale już nie trzymaliśmy się szosy tylko drogami polnymi, leśnymi i różnymi, aby tylko na wschód obojętnie do jakiej miejscowości. Przystawaliśmy w poszczególnych wioskach, ale nic nie mogliśmy się dowiedzieć, mieszkańcy wiosek byli wystraszeni i nie bardzo chcieli wszczynać rozmów z nieznanymi im osobnikami. Mówię do Laski: Zmierzajmy jednak do jakiej szosy, zawsze na szosie dla nas będzie bezpieczniej, a tu mogą nas wziąć za jakich dywersantów i przypomniała mi się przygoda Tyma: „Te trzymaj dobrze na muszce tego sukinsyna".

Zaczym dotarliśmy do szosy zapadła już noc. Idziemy szosą, wzdłuż czarnego lasu. Szosa skręca w prawo. W dali za sobą mniej więcej w tej stronie którędy płynie Bug, widzimy ponad lasami wytryskujące w górę świetliste rakiety to czerwone, to zielone, to znów pomarańczowe. Czyjeż to wojska dają jakieś sygnały, nasze czy wroga? Nie umiemy sobie na to odpowiedzieć. Szosą jedzie kilka furmanek przesunęło się też kilka osobowych samochodów z zaciemnionymi światłami reflektorów.

Pod lasem widzimy zabudowania, dom, stodoła chlewy i kilka sągów drzewa w obejściu zabudowań. W oknach ciemno nigdzie żywej duszy, nawet psia buda pusta. Na zabudowania pada poświata iskrzących się na niebie gwiazd, tuż za zabudowaniami gęstnieje tajemniczo czarny las. Kładziemy się na sągu drzewa i zasypiamy.

Budzimy się, łoże do snu niewygodne, kanciaste szczapy wżynają się w ciało. Zmieniając to łoże kładziemy się w suchym rowie przy szosie i zasypiamy jak zarżnięci. Po jakimś czasie budzę się czując jakiś wstrętny fetor. To Lasko zmieniwszy pozycję swą podczas snu, wysunął swój zadek w okolicę mojego nosa i smrodzi zatruwając bezwietrzne, ciche powietrze. Najadł się za dnia rzepy z pól i dmucha dalej, ja odwróciłem się i zasypiam.

… wspomnienia

Budzi nas poranek. Przecieramy oczy i wyprostowujemy zdrętwiałe i zbolałe nogi. W dali widzimy jakieś solidne zabudowania i pałac. Pytamy kogoś, co to za miejscowość. Stara Wieś, otrzymujemy odpowiedź, pałac nie pamiętam już jakiego magnata. Usiadłem zamyślony i szukam w pamięci, gdzie ja słyszałem o Starej Wsi... ach już mam, te dwie panny które przed laty jechały z Lublina do Warszawy opowiadały mi o Starej Wsi. Siedzieliśmy w jednym przedziale wagonu kolejowego. Ja wówczas jechałem z Jarosławia z odwiedzin u matki i siostry, a pracowałem wówczas jeszcze w gminie Sielc, czy już w Szelkowie, dokładnie nie pamiętam. Pamiętam opowiadanie tych panien o nieszczególnym wypadku ich brata w Starej Wsi. Wylazł na dach jednego z budynków i poślizgnowszy się na oblodzonej blasze dachu zleciał i złamał sobie nogę. Panny te były dość inteligentne, a z opowiadań o sobie wysuwałem przypuszczenie, że są córkami jakiegoś oficjalisty z dworu w Starej Wsi.

Jakich to piosenek nauczyły mnie one wówczas w pociągu. Szukam w pamięci i mam je przypominając sobie jak rzewnie je nuciły:

Gdym był księżycem, szukałem Cię
W promiennym blasku w przecudnym śnie.
Tyś była błędną gwiazdką na niebie
A ja goniłem, szukałem Cię
Ganiałem długo za ocz twych blaskiem
Co tak zdradziecko ciągnęły mnie
Lecz gdym Cię dotknąć chciał swym uściskiem
Znikłaś mi gwiazdko, sam nie wiem gdzie.
Znikłaś mi gwiazdko tylko po tobie
Miłe wspomnienia zostają w śnie
Góry przeminą, wody przepłyną
Ja Cię nie ujrzę, ... ach gwiazdko nie.

Druga piosenka:
Siedzę samotny w zimową ciszę,
Dzwonki saneczek w oddali słyszę
Dzyń, dzyń, dzyń sanki mkną w śnieżną dal,
A ich dźwięk w sercu mym budzi lęk tęsknotę, żal.

One mnie to śpiewały... a ja im? Zaraz, zaraz już mam:
Dobija już do portu łódki, więc chryzantemy kwiat mi nuć
Tam znowu kiedyś się zejdziemy,
Szczęśliwa żyj pamiętaj mnie
I niechaj białe ręce twe
na grób mój złożą chryzantemy

Kolejna piosenka:
Majowa noc rozlała cudne wonie
Księżyca blask igrał na łonie fal
Czekałem Cię z nadzieją szczęścia w łonie
Czkałem Cię, a tyś nie przyszedł nie
Ten kącik nasz umaiłam kwiatami
Do ciebie szły smętne ++marzenia me
Minuty mnie zdawały się wiekami.
A jednak ty... ach tyś nie przyszedł, nie."

„Dziewczyna z dzbanem” ok. 1900 r. Apoloniusz Kędzierski. Wikipedia.

Pamiętam spędzony w pociągu przyjemny czas.

Na chwilę zapomniałem, że to wojna i ja siedzę w rowie wpatrzony w pałac Starej Wsi. Ocknąłem się z zadumy, sercem targnął jakiś ból i żal, gdzie moja Dziunia, gdzie Lesiek kochany, gdzie żona? Czy i oni tak męczą się w tułaczce jak ja? gdzieś w dali jakby dokoła słychać huki armat.

… docieramy do Węgrowa

Wchodzimy do Węgrowa mijając pod miastem zabudowania lecznicy zwierzęcej. Na mieście grupki osób zatrwożeni czegoś oczekują. zbliżamy się do kilku limuzyn stojących na rynku. Nie zdążyliśmy dojść, limuzyny ruszają przesuwając się obok nas. W oknach limuzyn mignęły się czapki generalskie a w jednej profil twarzy chyba Marszałka Rydza-Śmigłego. Nie jestem tego pewien, a jeśli tak było, to sławetny marszałek przenosił swe dowództwo na miejsce postoju w Brześciu.

W Węgrowie niema co robić. Wyłęknieni przechodnie uprzedzają, że lada chwila mogą pokazać się czołówki niemieckie. Nie wesoła perspektywa myślę i ruszamy na boczne drogi zaszywając się w lasy wychodząc z tego założenia, że bezpieczniej jest omijać trakty dróg bitych wystawionych zawsze na bombardowania. Lasem, docieramy do jakiegoś wzgórza na którym stoi chata i przytulone do siebie stodółka i chlewki. Nalot w górze, ryk silników samolotowych. Dopadam do chaty i kładę się. jak długi na ławie pod ścianą patrząc w górę na przelatujące samoloty. Gospodarz z jakieś kryjówki w podwórzu krzyczy do mnie: Panie zabieraj się pan z tej ławy, bo jak pana zobaczą to mi chałupę zbombardują. zrywam się z ławy i biegnę w stronę krzaków poza stodołę gdzie siedzi już zdyszany Laska. Nadchodzi druga fala nalotu i dokoła w las sypią się bomby. Po nalocie, gdyśmy zeszli z tego wzgórza w dolinę do lasu, oczom naszym przedstawił się okropny widok. Kilka koni wije się w męczarniach, posoka zalewa trawę, furmanki z uchodźcami który w lesie rozbili sobie obóz, poprzewracane słychać krzyki i jęki ludzkie i rozdzierający,

rozpaczliwy płacz dzieci. Mężczyźni ładują na wozy rannych, by zawieźć ich na opatrunek do Węgrowa.

Lasko mówi: Dobrze żeśmy się nie zatrzymali przy tym obozie uciekinierów, kto wie czybyśmy teraz stali na nogach. Tak odpowiadam: Dotychczas w nieszczęściu mamy jednak szczęcie. Ciągniemy dalej, głód kiszki skręca. Znów jakieś wzgórze z zabudowaniami, przy drodze karczma, na której widok żołądki nasze podchodzą do gardła upominając się o swoje. W karczmie na ogół przyzwoitej pełno gości. Szynkarz przypila: - prędzej panowie prędzej, bo ja chcę zwinąć swoje manatki. Widzę kosze pełne mięsa, chyba niejednego świniaka zdążył utłuc. Acz z niechęcią szynkarz podaje nam pieczone mięso i piwo, wódki już niema. W kąciku szynku przy małym stoliku, łapczywie spożywamy świnię, gospodarz nagli do pośpiechu. W pewnej chwili wpada do szynku uzbrojony cywil i głośno mówi do kilku mężczyzn: Nie znalazłem skurwysyna, przy tym widzę że jest wzburzony i mocno podenerwowany. Powiódł wzrokiem po izbie i na szczęście nie zatrzymał oczu na nas dwóch w tej okolicy nieznajomych. To nas nieco ośmieliło i pytając niektórych obecnych w izbie mężczyzn o co tu sprawa idzie dowiedzieliśmy się że ów uzbrojony łapał jakiegoś dywersanta, którego nie mógł dopaść w leśnych wertepach. Mrucząc do Laski. Tadziu spieprzajmy stąd żeby nie zdążyli wziąć nas za jakich dywersantów, i znów przypomina mi się przygoda Tyma „Trzymaj na muszce sukinsyna."

Mimo, że nogi odmawiają posłuszeństwa, wleczemy się dalej jak dwa dziady przez lasy i różne wertepy. Droga piaszczysta, nogi lgną w piachu, pot leje się ciurkiem z czoła i pleców, istna droga krzyżowa. Wtem stop ... las przecina tor kolejowy. Dumamy obaj jak tu niespostrzeżenie przejść przez tor, który może być z ukrycia i ktoś, kto go strzeże może posłać przechodzącym kulkę, a może już skądś Niemcy obserwują tor. Strach ma duże oczy, to też trudno było się nam na przejście toru zdecydować. Wreszcie decyzja... hyc, hyc i jesteśmy za torem. Wychodzimy z lasu, i tor skręcając, też za nami wychodzi z lasu. Idąc wzdłuż toru niezasłoniętego lasem, zbliżamy się do nędznych kilku chałup. Tam odpoczniemy powiadam. Wchodzimy do jednej chałupy w której zastajemy kilkoro wystraszonych dzieci i urągającego na wszystko mężczyznę wyglądającego na robotnika kolejowego. Mężczyzna zemści, ile tylko może krzyczy: Srać na takiego marszałka i na prezydenta, taka nie taka ich mać, zaprzedali skurwysyny biedny naród Niemcom, a sami uciekają gdzie pieprz rośnie, zwracając uwagę na nos krzyczy: Co nie mam może racji? Tak, tak na pewno, napiliśmy się z kubła przy kuchni wody i dziękując uprzejmie wycofaliśmy się na dwór. Gospodarz w dalszym ciągu wykrzykiwał na niefortunnych dostojników państwowych. Dobrze powiadam, że się nam co nie oberwało i poszliśmy dalej. Zaszyliśmy się znowu w lasy.

Wieczorem doszliśmy do przecinającej las szosy. Szosa dudni furmankami. Idziemy trochę szosą przeglądając furmanki czy czasem kogoś znajomego nie ujrzymy. Słychać, ktoś z jednej furmanki woła w naszą stronę. Podchodzimy i poznajemy pana Szmidta kierownika szkoły z Szelkowa. Siedzi ze swoją rodziną i z panią Krakowską z Orzyca wśród tobołów. Nie zapraszają, bo i tak konie już umęczone. Biegnąc przy furmance zamieniamy ze sobą zdania: Co i jak, dokąd itp. Bezradnie wzruszają ramionami, a sami nie wiedzą dokąd jadą, wymieniają miejscowości: Sokołów, Łosice, Międzyrzecz, Siedlce ale konkretnego nic nie mogą powiedzieć. Schodzimy do rowu, bo nadciąga kilka armat i furgonowe konie wojskowe - o mało że nas nie stratowały. Zapuszczamy się w las i staramy się iść równolegle z szosą. Wychodzimy do jakiejś wioski, ani żywego w niej ducha. W następnej wiosce ujrzeliśmy przez szczelinę w zasłoniętym oknie światło. Nieśmiało pukamy i wychodzimy do wnętrza. Przy stole dwóch podoficerów naszych przed nimi talerze z rosołem i mięsem. Podoficerowie studiują przy świetle lampy mapę szkolną, nami się nie interesują,... rosół stygnie, gospodarz i gospodyni, bo tylko dwoje ich staruszków w domu było bez proszenia stawiają przed nami rosół i mięsa. Jedźcie panowie mówi gospodyni, może i moich chłopaków też ktoś w niedoli wesprze. Po posileniu się i krótkim odpoczynku ruszamy dalej w ciemny las. Naraz słyszymy w dali strzał armatni, po chwili słychać nad lasem świst pocisku i pocisk rozrywa się wśród drzew nie daleko nas oświetlając na chwilę ciemność lasu. Słychać wystrzałów więcej, ale już pociski wybuchają gdzie indziej. Stoimy niezdecydowani, w którą stronę ruszać. Lasko mówi, że to artyleria niemiecka grzeje po szosie, po uciekinierach. Jakżeż opanuję, przecież pocisk nadleciał z przeciwnej strony, to jest tej w którą uciekinierzy zdążają. Czyżby wystrzały pochodziły z tych armat, które z wieczora widzieliśmy szosą przejeżdżające? Nie, na to Lasko, to strzały niemieckiej artylerii, a ten pocisk co się niedaleko nas rozerwał, to był błędny, widocznie artylerzysta też nie wyspany, strzela na chybił trafił. Zupełnie nam się już w głowach poprzewracało. Czyżby po wyjściu z tej chaty po tym rosole kierunki się nam odwróciły? Kołując tak po lesie nad ranem, wychodzimy do jakieś drogi, przy której są zabudowania. Przy zabudowaniach gromada uciekinierów odpoczywa na swych tobołach. Wskazują nam w dali zarysy miasta... To Sokołów Podlaski mówię...Panie Tadku: Z Węgrowa do Sokołowa jest prosta droga, gdybyśmy nią szli, już dawno bylibyśmy w Sokołowie, a my niepotrzebnie kołujemy po lasach i nadrabiamy drogi. Chyba tak, odpowiada Lasko, skołowacieliśmy już na czysto.

… docieramy do Sokołowa

Po dłuższym odpoczynku ciągniemy dalej na Sokołów. W Sokołowie sklepy porozbijane, stoją otworem nikogo nie widać, widocznie miasto już wyludniło się, w okolicy stacji kolejowej palą się resztki zbombardowanych zabudowań, na ulicach ściele się dym ze zgliszcz, gdzie niegdzie widzimy wyrwane bombami, a może pociskami armatnimi doły i padliny koni, nigdzie widać ani naszego, ani wroga. Co za wojna - mówię, naprawdę zasrana, tak jak ten kapral pod Wyszkowem powiedział. W jednym ze sklepów spożywczych znaleźliśmy dwie konserwy szprotek i kilka wafli. Choć nie duży, ale zawsze dobry posiłek na czarną godzinę. Już mi się w głowie pokręciło i pamięć nie dopisuję, a chciałbym tę marszrutę dokładnie opisać. Szkoda, że Lasko Tadek już nie żyje bo on mając lepszą jako młodszy ode mnie pamięć na pewno by mnie tu sprostował, a mam wątpliwości co do chronologii tej naszej tułaczej marszruty. Przecie dobrze przypominam sobie żeśmy przechodzili przez miejscowość Kamień czy Kamienna z piękną przy szosie szkołą i popiersiem Piłsudskiego, przed nią byliśmy też w Łosicach, gdzie w rozbitej apteczce szukałem na wszelki wypadek jodyny i bandaży, byliśmy też w którymś opuszczonym zarządzie gminnym itd. Nie wiem tylko czy to było przed naszym przyjściem do Sokołowa, czy po. Nie mam w tej chwili przed sobą szczegółowej mapy Podlasia, która by mnie nieco objaśniała i niektóre fragmenty wędrówki na pamięć przywiodła.

Tak czy inaczej, ciągnę swą opowieść dalej:

Z Sokołowa wyruszyliśmy wieczorem mając na uwadze, że lepiej podróżować nocą i przez to nie być narażonym na naloty. Złączyliśmy się z falą pieszych uchodźców. Wszyscy w milczeniu maszerują przed nami idzie dwóch księży w sutannach, ktoś mówi, że to mogą być przebrani za księży dywersanci, bo chód ich zdradza wojskowość. Możliwe pomyślałem. Znużeni, odczepiliśmy się od tej fali uchodźców i ułożyliśmy się w małych sośnikach na sen. Poranny ziąb poderwał nas na nogi. Szczękając zębami, na przełaj przez pola dotarliśmy do jakiejś chłopskiej kolonii. W otwartych wrotach stodoły ujrzeliśmy gospodarujących sobie obok wtłoczonego na klepisku wozu państwa Szmidtów z Panią z Krakowską. Tam dzięki pani Szmidtowej wymoczyliśmy sobie poodparzane nogi coś, niecoś zjedli i trochę pospali, po czym ruszyliśmy dalej i znów po spędzonej nie pamiętam już jak nocy tłuczemy się dalej. Wchodzimy na pastwiska tuż przy dużej rozwleczone wsi. Na pustkowiu odpoczywają uciekinierzy z Warszawy, kilku jakichś młodych cwaniaków i jedna młoda niewiasta. Niewiastą była żona warszawskiego robotnika, żadnego węzełka ze sobą nie miała, uciekła spod bombardowań, tak jak stała. Jej przygodni towarzysze warszawscy z wisielczą beztroską czynili jej intymne propozycje, proponując siano w bliskiej stodole. Nie mogąc się od natrętów młoda mężatka uwolnić, przysiadła się do nas oddając się jakby pod naszą opiekę. Dobrze widać była wygłodniała bo chciwie zajadała nasze szprotki z chlebem. Ze Łazami w oczach opowiadała swoje przeżycia mówiąc przy tym „ci panowie Boga w sercu nie mają, żeby mnie napastować. Niech się pani nie boi, nie damy pani zrobić krzywdy. Tak się złożyło, że nocowaliśmy wszyscy w stodole, to jest my obaj, owa niewiasta i chuligani warszawscy. Niewiasta zwinęła się w kłębek i zakopała w słomie, my obok niej, a warszawiacy nieco wyżej na słomie. Nie mieli jednak odwagi nieszczęśliwej zaczepiać i chrapocząc usnęli.

Ja długo nie mogłem zasnąć bo ciekawiły mnie hałasy na podwórzu domostwa. Ktoś po podwórzu ciągle z latarką chodził, to znów kilkakrotnie rozlegał się skrzyp studziennego żurawia. Gospodarz jak zdążyłem się za dnia z tabliczki domu zorientować nazywał się Iwaniuk, czy Antoniuk, a więc byliśmy już wśród Białorusinów na Podlasiu. Tajemnica nocnych krzątań po podwórzu, wyjaśniła się rano. Iwa-

niuk, czy Antoniuk zabijał w nocy barana. Gospodyni chciała nas rano poczęstować barszczem baranim, ale widok okrwawionej skóry baraniej w sieni odebrał nam apetyt. Warszawiacy poszli w swoją stronę, my w swoją a owa niewiasta została u tych Iwaniuków.

… dziad i baba

Przecinamy jakąś szosę, na której już żadnych pojazdów nie widać, wchodzimy do pięknie położonego pod lasem przysiółka. W sadku zagrody widzimy furgon wojskowy pełen wojskowego obuwia. Plutonowy sprzedaje wieśniakom nowiutkie żołnierskie obuwie, gdyśmy bliżej podeszli, na wozie już nic nie było. W jednej chałupie uraczyli nas miodem. Dowcipnie Lasko zagadał do jakiejś dziewczyny, coś jakby chciał tu pozostać i z nią się może ożenić z czego później wesoło śmieliśmy się. Dla odpoczynku wsiedliśmy przy drodze na balach sosnowych, opodal jakiejś pary chyba małżeńskiej. Para ta odziana była dosłownie w łachmany trzymając przy sobie brudne tobołki. Na pytanie ich odpowiadamy że jesteśmy z Makowa, na to oni: a zna pan Św. Rozalję? A znam odpowiadam. A jakżeż tam odpust pytają? Ano nie było w tym roku odpustu, komóż wreszcie W głowie dziś odpust u Św. Rozalii. Oj żeby nie ta wojna bylibyśmy w tym roku na odpuście mówi ona tak jak co roku bywamy. Ach to z tych, co na odpuście rzędami stoją przed kościołem za jałmużną, a po odpuście sobie w krzakach dobrze zakrapiane libacje. Spoglądam na twarze owego małżeństwa... młodzi jeszcze, na występy odpustowe na pewno po mistrzowsku umieją się ucharakteryzować na starych zgrzybiałych dziadów. Gdy tak dumam i nic nie mówię więcej, ów młody starzec żonkoś młodej starowiny beztrosko rozwalił się na balach i śpiewa sobie na kalwaryjską melodię:

Wszy portki zjadły, wszy portki zjadły
Koszulę gnidy
Wiatr w dupę wieje, wiatr w dupę wieje
To wszystko z bidy."

Ma rację, uśmiechnęliśmy się i pociągnęliśmy dalej. I znowu kołujemy i błądzimy, nie mając żadnego celu. Na szosie w stronę Siedlec widzimy samotną armatę z jaszczem pełnym pocisków. Samotna kobieta z dzieckiem przed chatą zatrzymuje nas i biada swej doli. Mąż w wojsku, a ona sama z dzieckiem i dobytkiem na ustroniu. Z rozmowy z nią przebijała u niej troska nie tylko o siebie, ale i o całą Polskę, miała wiele inteligencji. Żal mi jej było.

… docieramy do Siedlec prawie

Odchodzimy od złowrogiej szosy z której armata otworem swej lufy złowieszczo spoziera i znów wertepami, polami łąkami zbliżamy się do dużej wsi. W stronę tej wsi ciągną inną drogą pojedynczy uchodźcy. We wsi widzimy większy postój uchodźców przeważnie z Warszawy. Są tu sędziowie, prokuratorzy warszawskich sądów, urzędnicy, pocztowcy, skarbowcy itd. Chudzi z walizami, pledami, z maskami przeciwgazowymi itp. Podwórze jednego okazalszego domu roi się od uchodźców. My trzymając się z dala występujemy do jednej uboższej chaty prosząc o przyjęcie na odpoczynek i sprzedaż jakiego jadła. Usiedliśmy przy stole i czekamy. Dziewczyna podlotek wśibiła z sieni we drzwi i z rozdziawioną gębą pilnie się nam przygląda, wreszcie cofnęła głowę i drzwi zamknęła. Po chwili otwiera drzwi wścibia znowu głowę i mówi do kręcącej się po izbie starej niewiasty: Ciotko chodźcie no tu, gdy ciotka wyszła do sieni nie przymykając drzwi za sobą, słyszymy głos dziewczyny: Ciotko to na pewno szpony. O... źle myślę sobie i podszeptuję do Laski: Oni gotowi nas tu zrobić nas na szaro, a do myśli przypływa wspomnienie „Te... trzymaj sukinsyna na muszce". Gospodyni wymawia się, że niema nam co przyszykować, zadowoleni z tego spiesznie opuszczamy mieszkanie, żeby smarkula nie naprowadziła tu na nas jakich gorliwców, z którymi byłyby kłopoty, bowiem w opinię społeczną wrosło to, że dywersanci w znacznych liczbach poprzebierani to za księży, to za innych kręcą się wśród tłumów uchodźców dają samolotom znaki i w inny sposób paraliżują poczynania defensywne naszych wojsk. Mogliśmy być poczytani za takich, a nienawiść miejscowej ludności do wroga przy tym ciemnota ludzka mogła naprowadzić na nasze głowy nieszczęście. Tak rozmyślając wchodzimy na to podwórze gdzie najwięcej odpoczywa uchodźców – inteligentów z Warszawy.

Gospodarz domu przyglądając się nam pyta a panowie z jakich stron? Z Makowa Mazowieckiego odpowiadamy, a znacie panowie Brodowskiego z Makowa? Znamy dwóch Brodowskich braci, jeden jest felczerem w Makowie, drugi rolnikiem na Smrocku. O, to o felczera mi chodzi, jest on dla mnie kolegą z dawnych lat służby wojskowej jeszcze w wojsku rosyjskim. Gospodarz wymienił swoje nazwisko, już nie pamiętam jakie i prosi nas przesłanie Brodowskiemu, gdy się z nim spotkamy pozdrowień od niego. To było najlepsze wylegitymowanie się nasze, lepsze jak urzędowe legitymacje. Smarkula z rozdziawioną miną przysłuchiwała się naszej z gospodarzem rozmowie. Lasko do smarkuli: A widzisz sroko nie udało ci się. Dziewczyna pierzchła ze śmiechem.

Z uwagi na duży ścisk w podwórzu owego gospodarza, poszliśmy na sąsiednie podwórze do gospodarza pamiętam Soszyńskiego. Chata pod słomą, mieszkanie bez podłogi z ubitą na twardo ziemią jakby posadzką, przy tym roje much. Gospodarz acz biedny, poczciwy. Gospodyni smaży dla nas zamówioną jajecznicę na grubych skwarkach, widzę jak coraz wyrzuca z patelni natrętne muchy.

- Panie Soszyński zwracam się do gospodarza, my się od pana już nigdzie stąd nie ruszymy. Tutaj oczekiwać będziemy na dalsze wypadki, pan użyczy nam stodoły na nocleg, kartofli na jaką zupę, a my panu za wszystko zapłacimy. Dobrze dobrze, powiada Soszyński nie mi to nie przeszkodzi, a więc zastosowaliśmy się w podwórzu przy stodole, ja przede wszystkim moczę w cebrzyku nogi.

Nie pamiętam już jak się owa wieś nazywała, ale chyba Radzików lub Pióry Wielkie. Po wojnie opowiadałem o tym księgowym Spółdzielni Inwalidzkiej panu Klemensowi Piórze. Pióro z zaciekawieniem słuchał mojego opowiadania i uśmiechał się a czasem wtykał swoje sprostowanie co do nazw miejscowości w tamtych stronach i innych okoliczności mojego opowiadania. Ja zdumiony trafnością jego uwag pytam a skąd pan to wie? Ja stamtąd pochodzę odpowiada Pióro, są to rodzinne moje strony. Szkoda, że pisząc ten rozdział nie mam pod ręką pana Pióry, bo on by opowiadanie moje coś niecoś sprostował, ale trudno, w każdym razie ewentualne sprostowania nie zmieniłyby jednak całokształtu rzeczy.

Trzecim lokatorem Soszyńskiego stodoły był jakiś mechanik z Łodzi nazwiskiem Dominiczak. Przyjęliśmy go do swego grona. W stodole Soszyńskiego spędziliśmy chyba bity tydzień czasu. Ja należycie wypocząłem i podleczyłem nogi. Dniami łaziliśmy po wsi zbierając różne bardziej lub mniej dorzeczne nowiny, nocami spaliśmy snem sprawiedliwych zakopani do czubka głowy w słomie. W stronie południa nasłuchiwaliśmy dudnienia armat wieczorami obserwowaliśmy krwawe łuny na niebie. Gdzieś Polska jeszcze walczyła.

Do Siedlec od miejsca naszego postoju było nie pamiętam już ile, ale chyba do 20 km. Ze wsi codziennie ktoś ruszał do Siedlec na zwiady i przynosił najświeższe nowiny. Wielu spryciarzy wiejskich wypadało do Siedlec po łupy; bowiem miasto pozostawało bez władzy, a więc można było rozbijać sklepy i nosić stamtąd co się da. Niektóre obiekty Siedlec paliły się i to sprzyjało rabunkom . Pewnego dnia któryś z inteligentów warszawskich powracający z Siedlec z wywiadu, powiedział, że widział jak na rynku w Siedlcach walają się księgi biercze podatku gruntowego z powiatu Makowskiego, ach to zdążyli je jednak wywieźć z Makowa pomyślałem, a nie Lepiej było je zniszczyć lub zakopać do ziemi tak jak ja to zrobiłam z księgami i dokumentami kasowymi w Szelkowie?

Pewnego znów dnia wyczekujemy przy drodze na wieści z Siedlec. Patrzymy jakaś starowina z workiem na plecach zdąża ku wsi od strony Siedlec. Potknęła się przy nas, a spadający worek z pleców uderzył o kamień przydrożny, rozległ się brzęk i z worka wypłynęła ciecz roznosząc w powietrzu woń spirytusu. O babciu, to babcia takie dobre rzeczy przenosi ile jeszcze całych butelek ma babcia w worku? A dyć dwie tylko porwałam i grzebiąc w worku wyciąga półlitrową butelkę spirytusu. Dobra nasza ma babcia tu 5 złotych a spirytus nasz. Babcia nie sprzeciwiała się, wzięła forsę i spiesznie oddalała się. Cwana babcia mówi Dominiczak ona na pewno w roku ma kilka flaszek. Panie Soszyński. Wołam okazując mu spirytus, dziś u nas będzie uczta. Soszyński cmoknął językiem. Niema tu naszego Bobka mówię do Laski..., ten nie przepuścił by Babinę tak łatwo.

Do uczty przyłączył się gospodarz sąsiad kolega Brodowskiego przynosząc ze sobą spory kawał wędzonego boczku. Boczek prędko znalazł się na patelni w towarzystwie wbijanych przez poczciwą, acz wielce umorusaną gospodynię Soszyńską kurzych jajek. Wokół skwierczącej patelni wszczęła się wrzawa chmary much, które z radością atakując patelnię wpadały do smażących się jaj, dając im wygląd smakołyku z rodzynkami, dziatwa Soszyńskich chciwie obserwowała proces smażenia się boczku z jajami oblizując się językami. Nie wiem czy wszystkie muchy pani Soszyńska

zdołała wybrać z jajecznicy, ale to frajer, wódka ze spirytusu wszystko przepali. Saszyńska kładzie to wszystko na dużą miskę. Hola powiadam, najpierw dzieciom a później nam. Bachory z wdzięcznością spojrzały na mnie. Miał biedak Soszyński tego drobiazgu coś ze sześć sztuk. Z jajecznicą i wódką wynieśliśmy się do ogródka, bo by nam muchy w izbie spokojnie spożyć nie dały, i tak odbyła się ta nasza uczta, którą zawdzięczaliśmy owej babinie.

Nudy okropne, deprymująco na psychikę wpływa brak konkretnych i prawdziwych wiadomości. W stronę Warszawy i okolicach stolicy kanonady i łuny pożarów świadczą, a potwierdzają to różni zbiegowie z tamtych stron, że trwają zacięte walki. To podtrzymuje człowieka na duchu. Pewnego dni ze zgrozą dowiadujemy się, że Warszawa padła. Idziemy na wieś do gospodarza, który miał radio na słuchawki. W mieszkaniu dwóch młodych mężczyzn z których jeden trzyma słuchawki na uszach i coś drugiemu w narzeczu ukraińskim szepcze. Co nadają pytamy słuchającego radia. Bolszewicy przekroczyli granicę i zajmują wschodnie obszary Polski odpowiada po polsku. Bez boju? Pytam? Bez boju odpowiada wojsko polskie składa broń i zostaje internowane w głąb Rosji. Co więcej? Nic już, audycja przerwana mówi według mojego przekonania Ukrainiec i składa słuchawki, jak grom z jasnego nieba uderzyła z nas ta wiadomość. Ktoś z obecnych przy końcu audycji nadeszłych warszawiaków wyrzeka słowa „Rosja wsadza nam Polsce sztylet w plecy". Smutne refleksje snują się w umysłach naszych niewiadomo jaki przyjmą teraz wypadki. Smutni, zdeprymowani zaszywamy się w słomę w stodole Soszyńskiego.

Dochodzą nas wieści, że w Siedlcach są Niemcy, wyłapują mężczyzn, pchają ludzi za druty, a nawet po drogach rozstrzeliwują, że wszędzie okolica zajęta jest już przez Niemców, nie docierają tylko jeszcze do zapadłych w terenie leśnym wiosek, ale pomału wszędzie się zjawią. Słyszymy, że Niemcy odstąpili Siedlce bolszewikom, że bolszewicy wywieźli ze sobą biskupa, a Niemcy dowiedziawszy się o tym biskupa odbili, że z powrotem zajęli Siedlce itp. i wiele innych nie sprawdzonych fantazyjnych pogłosek.

… wracamy

Pewnej nocy nad ranem usłyszeliśmy warkot motorów samochodowych we wsi. Byli to Niemcy. Porozmawiali z sołtysem dali mu jakieś instrukcje i odjechali. W dzień uradziliśmy sobie, że niema co dłużej siedzieć w stodole, bo tak czy inaczej, prędzej czy później wpadniemy w ręce jak nie niemieckie, to bolszewickie lepiej już wracać w swoje strony. Zaopatrzeni w czarny razowiec na drogę, którego nam nie poskąpiła biedna Soszyńska, ruszyliśmy wśród drobnego a przenikliwego i zimnego deszczu w drogę powrotną do domu.

Nie pamiętam już ile dni trwała nasza droga do domu, ale chyba około tygodnia. Szliśmy szybciej, droga do domu była sporsza, trzymaliśmy się nadal z dala od szos idąc lasami i polami. W jednej wsi ujrzeliśmy na drodze samotny, przy którym nikogo nie było, samochód osobowy. Iść czy nie iść czy lepiej go krokami ominąć, ale ciekawość przemogła. Samochód

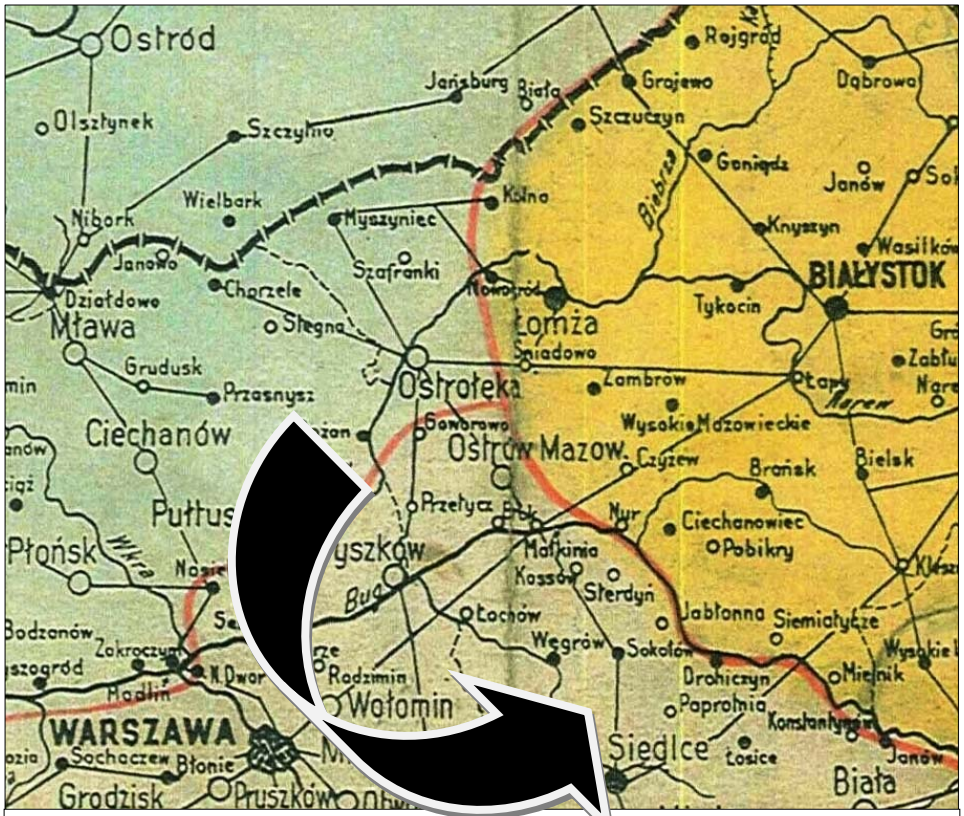

Szlak, jaki przemierzył we wrześniu 1939 roku Henryk Siko[illegible]. Na mapie zaznaczona jest granica dokąd doszły wojska radzieckie po ataku na Polskę w dniu 17 września 1939 roku oraz późniejsza granica obszaru Polski włączonego do Rzeszy Niemieckiej oraz Generalnego Gubernatorstwa. Mapa jest fragmentem mapy udostępnionej przez Piotra Wiesława Matejuka.

ma czołową szybę potrzaskaną pociskami karabinowymi. W szybie dziurki jak gwiazdki. Samochód obcy, przyglądamy się bliżej, niemiecki, siedzenia schlapane krwią, ale dostał gdzieś z krzaków i tu mu się skończyła wojna. Na drodze walają się jakieś szmaty i papiery z napisami. Strach nas obleciał, bo we wsi niema ani żywego ducha a usłyszany w dali warkot silnika samochodowego, który lada chwila mógł wyskoczyć z za zakrętu na widoczną drogę popchnął nas w gęsty las. W lesie słyszeliśmy jak kilka pojazdów przesunęło się drogą i stanęło we wsi. Umknęliśmy w sam czas, inaczej Niemcy mieliby dwóch zakładników więcej.

Głodno i chłodno wleczemy się jak możemy zaglądając po drodze do różnych domostw, to za szklanką mleka to za chlebem. W pewnym miejscu wychodząc z lasu natrafiliśmy na jakąś gajówkę. W mieszkaniu gajowy i jakieś ponure typy, z których wzroku nie wróżymy sobie nic dobrego, w podwórzu wóz naładowany na pewno jakimiś łupami z miasta, w mieszkaniu chyba podział łupów. Nie chcąc przeszkadzać, napiliśmy się wody i ruszyliśmy dalej. Jakie były nasze noclegi spytacie? W stogach siana, w rowkach przyleśnych, gdzie się dało. Znużeni wędrówką do niemożliwości, decydujemy się wreszcie wyjść na szosę. Był już zmrok kiedy osiągnęliśmy jakiś porządny domek przy szosie.

Mieszkanie czyściutkie, w pierwszej izbie uporządkowany warsztat szewski. Właściciele mieszkania starszych już dwoje ludzi przychylnie odpowiada na nasze pozdrowienie, proszę siadać i odpoczywać, snać tacy podróżni jak my nie byli tu nowością. W rozmowie przyznajemy się, że dotychczas wędrowaliśmy lasami i polami z dala od dróg bitych, ażeby nie napotykać Niemców i że do dziś jeszcze choćby jednego Niemca nie widzieliśmy. O... jest ich tu pełno słuchaj pan jak jadą szosą, taki ruch na szosie jest dzień i noc. Dobrze robiliście, że omijaliście szosy powiada gospodarz, a gospodyni wtrąca: oj panie, co się tu na tych szosach działo... Strzelali do niewinnych ludzi zabijali, łapali ludzi i wywozili gdzieś samochodami itd., - a teraz, pytamy? Teraz już spokojniej, już się tak nie wtrącają do cywilów, a państwu przykrości nie uczynili jakich? A cóżby mieli do nas dwojga starych? Zaglądali tu nieraz, szwargotali, robili rewizję ale cóż my poza tą chałupką, rzeczami, warsztatem szewskim i krówką w oborze mamy? Jakoś nam dali spokój.

Kobiecina poszła, wydoiła krówkę, zagrzała mleka, postawiła na stole chleb, ser i masło, i zaprasza. Prosimy, czem chata bogata.

Po kolacji wdajemy się w dłuższą z gospodarzem rozmowę na tematy polityki i ubiegłych wypadków. Z dyskusji wynika, że gospodarz z zawodu szewc nieźle oczytany jest w książkach, ma duży zasób wiadomości ogólnych, a z przekonań wyczuwam że jest niezłym socjalistą. Najlepiej jest trafić na takich ludzi pomyślałem. Przyjmę cię z otwartym sercem, ze zrozumieniem naszego położenia w drodze, bez obawy o konsekwencje za przetrzymanie u siebie nieznanych osobników, nakarmią, doradzą, wleją w człowieka otuchę, Ot, to jest dusza prawdziwego socjalisty. A jakżeż często w naszej tułaczce spotykaliśmy się w bogatszych domach z niechęcią, ze wzgardliwym czasem wzruszeniem ramion. Jakaż to piękna jest idea „Kochaj bliźniego jak siebie samego", wpływająca z nakazów wiary chrystusowej i z logiki socjalizmu. Smacznie nam się spało w pokoju na słomie na czystej pościeli. Rano ugoszczeniu śniadaniem, pożegnaliśmy zacnych ludzi. Ona na odchodnym uczyniła nad nami znak krzyża. Ach jakaż szkoda, że nie pamiętam już dziś ani nazwy miejscowości, ani też

nazwiska tych zacnych ludzi, przypominam sobie tylko, że było to na szosie wiodącej od Węgrowa.

Po wyjściu na szosę, skromniutko posuwamy się naprzód, mijają nas liczne pojazdy niemieckie zdążające to w jedną, to w drugą stronę, wreszcie widzimy Niemców. W limuzynach widać opasłe czasem gęby najeźdźców, mundury, feldgrau, brązowe i czarne.

Na jednym z przydrożnych budynków czytamy duże w języku polskim i niemieckim urozmaicone czarnym orłem ze swastyką - tak zwaną wroną, obwieszczenie oberkomanda den Wehrmacht. Wzywa się wszystkich uchodźców ze swoich miejsc zamieszkania do powrotu do swoich domów i zameldowania się tam miejscowym władzom. Ochronę osobistą i bezpieczeństwo zapewnia oberkomando den Wermacht. Poczuliśmy się nieco spokojniej. Przez nikogo nie zatrzymywani i niezaczepiani docieramy do Łochowa. W Łochowie chyba z pięćdziesięciu samochodów ciężarowych ustawionych na poboczu szosy, wyładowuje się wojsko. Żołnierze dostatnie odziani wypoczęci wyskakują z wozów, tworzą na szosie grupki, wesoło rozmawiają, śmieją się, palą coś entuzjastycznie do siebie wykrzykują. O, to wojsko myślę, oto sprawność przerzucania z miejsca na miejsce oddziałów wojskowych, oto organizacja wojny, nie tak jak u nas gdzie żołnierz obarczony ekwipunkiem z wywieszonym językiem robił po kilkadziesiąt kilometrów dziennie, upada z nóg ze zmęczenia, i szuka po lasach dowódców i sam wreszcie, acz rozpaczliwie, lecz mężnie z odwagą broni się i bije wroga.

… znowu docieramy do Wyszkowa

Docieramy wreszcie do Wyszkowa. Przed Wyszkowem, a raczej przed mostem na Brzegu na drodze do Wyszkowa, zwalamy się z nóg w rów nie możemy już iść dalej. Przysiadają do nas inni uchodźcy, toczy się rozmowa, powiadają, że w tym miejscu dużo Niemców natłukli nasi. Rozglądam się po terenie i widzę kilka kup blaszanek po polskich konserwach, pełno szmat i papierów oraz groby z brzozowymi krzyżami i polskimi hełmami na nich. Poręcze przydrożne strzaskane seriami karabinów maszynowych, szosy porozdzierane pociskami armatnimi. Rzeczywiście długo bronił się tu żołnierz polski, strzegąc przeprawy i osłaniając odwrót naszych wojsk. Nadciąga Matusiak furmanką z Nosarzewskimi.

Przysłuchuję się rozmowom: a co ci dała Anglia lub Francja? Czy ruszyły się jak but germańca deptał polską ziemią? Anglia to jest sprzedajna kurwa - ktoś odpowiada, a Francja niedołężna jak prostytutka, dodaje ktoś inny. Nie dziwię się, że tak dorodnych określeń używają nasi ludzie w stosunku do naszych sprzymierzeńców bo i prawda, nie kiwnęli nawet palcem w bucie, a Rosja, a Ameryka? Padają pytania. Ameryce się nie spieszy, a Rosja to kolos na glinianych nogach, jak się ruszy to się i zawali. Wtrącam się do rozmowy i żeczę: na nic Panowie wasze zdania o Rosji, tu rządzi kapitalizm, a Rosja jak się ruszy powali Niemca i sięgnie, czy kto chciał czy nie chciał jednym ramieniem po Londyn, drugim po Rzym.

Niemiecka wrona – jak mówili powszechnie na symbol III Rzeszy Polacy.
Gapa ta w istocie przedstawia orła (niem. Reichsadler, dosł. Orzeł Rzeszy) - wprowadzone w 1935 roku, wzorowane było na orłach legionów rzymskich. Godło przedstawiało czarnego orła trzymającego w szponach wieniec, wewnątrz którego znajdowała się swastyka. Wikipedia.

Tam rządzi idea komunizmu. Słuchacze zamilkli i przezornie odsunęli ode mnie. Jeden Nosarzewski zajrzał mi w oczy i poważnie spytał: - Tak mówisz bracie? – Tak, powiadam i wykładam mu: - Pierwsza wojna światowa obaliła w Europie trony i umocniła rewolucję proletariacką na obszarze jednej szóstej części świata, ta druga wojna rozszerzy komunizm na dalsze połacie Europy, a przyszła trzecia wojna światowa obejmie żagwiami nowej idei i ustroju cały świat. Nosarzewski inwalida i dawny legionista smętnie pokiwał głową i rzekł - może masz rację Heniu. Zdziwiłem się, skąd mi tak nagle przyszły do głowy tak śmiałe i daleko idące twierdzenia, a był to owoc, rozmyślań w dyskusji z gospodarzem tego domu, w którym tak dobrze spędziliśmy nocleg z oczytanym i nie głupim socjalistą szewcem.

Ruszamy wszyscy do mostu. Na tym brzegu widzimy grupę żołnierzy niemieckich, przez rzekę położony jest nowy drewniany most w miejsce wysadzonego w powietrze przez wojsko polskie starego mostu. Ten most położony jest prawie że na wodzie, a tamten stary wisiał wysoko w górze.

… Halt!

Dochodząc do mostu rozlega się sakramentalne „Halt". Następuje osobista rewizja. Każdego rewidują od stóp do głów i wyrzekają kto w porządku „frei", a kto podejrzany ustawiają pod strażą. Czekamy swojej kolejki, nareszcie przystępują do mnie. Zrewidowali walizkę przewrócili wszystkie moje kieszenie, dokładnie obmacali i mówią „frei". Ja odetchnąwszy usuwam się na bok i czekam na Laskę, co do którego przekonany jestem, że też będzie „frei", ale niestety u Laski w kieszeni znajdują kilka naboi do rewolweru, oho źle myślę. Przyskakuje kilku do Laski i drą się „rewolwer", gdzie go schowałeś? Lasko tłumaczy, że rewolweru nie ma, a te naboje znalazł w drodze i ot tak sobie schował do kieszeni. Nie, nie pomagało. Rozjuszeni żołnierze krzyczą, wrzeszczą, trzęsą nad głową struchlałego Laski rewolwerami, a jeden z nich krzyczy po polsku: No chłopaku będziesz sobie kopał dołek. U Niemców był zwyczaj, że kogo chcieli zastrzelić musiał sobie sam wykopać przed śmiercią grób. Lasko stoi jak skamieniały, Niemcy podchodzą do furmanki Matusiaka i krzyczą: On z wami jechał, pewnie rewolwer jest u was, każą zrzucać z wozu manatki do rewizji. Na furze wszczął się lament, kobiety płaczą, zapierają się że on wozem nie jechał, tylko szedł przy wozie i nic tu nie chował, ja poświadczam że tak było. Kobiety złorzeczą nam że po co szliśmy przy ich wozie i teraz ściągamy na ich głowy kłopot. Niemcy przysłuchują się tym złorzeczeniom i coś szwargoczą między sobą. Jeden z nich wskazując na moje spodnie mówi „du polnisze ułanem". Przyskoczyli do mnie i oglądają moje jasne zielone bryczesy uszyte z gabardziny wpuszczone w buty z cholewami a'la oficerki. Struchlałem i ja. Tłumaczę, że nie jestem żadnym ułanem, pokazuję legitymację na dowód, że jestem cywilnym pracownikiem gminnym. Nie wierzą. Wreszcie wpadam na pomysł i mówię, gdybym był ułanem i te spodnie byłyby wojskowe, to muszę być na spodniach na odwrotnej stronie materiału i na podszewce pieczęcie wytwórni wojskowej. Rozpinam spodnie, wyginam w pasie podszewkę na zewnątrz i pokazuję, że niema żadnych pieczęci wojskowych i są to spodnie czysto cywilne uszyte do butów na zamówienie. To ich widać chyba przekonało, bo poszwargotali coś do siebie i jeden z nich mówi abtreten.

Stoję i patrzę na otoczonego Laskę, ten blady jak ściana z żalem spogląda na mnie wyczekując, jakby pomocy ode mnie. Ja krzątając się przy zapinaniu spodni namyślam się, czym by tu się przyczynić, by Tadka od niechybnej zguby ochronić. Wkładam do ust papierosa i dając pozorze, że już odchodzę zwracam się grzecznie do jednego z żołnierzy palących papierosa „Bitte um Fuch" (proszę o ognia). Niemiec równie grzecznie podaje mi do przypalenia swojego papierosa, w tym trakcie łamaną niemczyzną na jaką mię stać był, powiadam: - To mój współpracownik z gminy, ale głupi chłopak, znalazł jakieś naboje w rowie i bezmyślnie schował je do kieszeni. Niemiec słuchając rozumnie patrzy mi w oczy, ja korzystając z tego ciągnę dalej: warto byłoby sprawdzić czyje są te naboje polskie, czy niemieckie bo jeśli niemieckie, to pewnym jest że je porzucone znalazł, bo skądże by je wcześniej miał, a pewny byłem że są to naboje niemieckie, bo Lasko w rowie podczas naszego odpoczynku oglądając je mruczał do siebie wymawiając zauważone na nabojach znaki niemieckiej firmy zbrojeniowej, nie zauważyłem tylko będąc zajęty rozmową jak je do kieszeni chował. Trafiłem Niemcowi do przekonania, bo podszedł do grupy żołnierzy i coś zaszwargotał, po czym wszyscy pilnie przyglądali się odebranym Lasce nabojom. Po widocznym naradzeniu się pomiędzy sobą przystąpili jeszcze raz do rewizji przy Tadku i nic już więcej podejrzanego nie znalazłszy, wyrzekli „wolny".

Z podziękowaniem i ukłonem, z duszą na ramieniu ruszyliśmy ku mostowi, na którym już do drugiego brzegu dojeżdżała furmanka Matusiaka. Widocznie furmanki nie rewidowali pomyślałem. Wchodząc na most widzę jak na drugim brzegu stojący jakby w oczekiwaniu na nas postacie wojskowe podnoszą do oczu lornetki. Mówię do Laski iść prosto i nie rozglądać się, patrzyć tylko przed siebie, bo lornetują nas. Rozmyślam i patrzę na umieszczoną na poręczy na środku mostu tablicę z napisem w stylu gotyckim „generale Kochler Bruckke", aha pomyślałem: Most imieniem generała Kel-

lera. Słyszę za sobą idącego Laskę i dwukrotne stuknięcie o podłogę mostu. Nie odwracając głowy pytam, co to panie Lasko? Cholera powiada Lasko jeszcze dwa naboje zostały mi w kieszeni i nieznacznie upuściłem je na most. Zapłacili sobie dranie. Za tę drugą rewizję u mnie powiada Lasko, bo mi z ręki zdjęli, taki dobry zegarki. Cicho na rany Boskie szepczę, nie mów pan już nic, wychodząc na drugi brzeg pod górę przyglądam się tym co nas lornetowali... oficerowie z trupieni główkami na czepkach. Nie tracąc rezonu przechodząc obok i patrząc im śmiało pytam o drogę do Pułtuska: - Der Weg nach Pułtusk? – Ja, odpowiada Niemiec, wskazując ręką kierunek. Teraz wierzę, że się nam udało, ale nie wiadomo co dalej będzie.

W Wyszkowie na dużym placu widać spęd ludzi... a jakiże zapędzają i nas do gromady. Po co pytamy wachmanów. Nie bójta się odpowiada jeden z mazurów - porobiła tu jedną robotę i pójdzieta sobie dalej. - Co za sobota, mówimy do siebie, zamiatanie ulic, czy usuwanie gruzów? Coś nam to nie przypada do gustu. Kręcimy się po placu wśród kilkudziesięciu już mężczyzn i upatrujemy, którędy by tu czmychnąć. Po mału nieznacznie wychodzimy za jakiś magazyn niema na szczęście nikogo i hajże w rumowiska jakiegoś zbombardowanego budynku, stamtąd na szosę i hyc na drugą stronę do rowu, a znowu w ogrody i w pole.

… do Narwi

Początkowo chcieliśmy iść szosą na Pniewo i Pułtusk, ale po namyśle odrzuciliśmy ten plan i postanowiliśmy ruszać przez pola i lasy w kierunku Zambska przy Narwi, gdzieś po drodze spotykamy Bartolda nauczyciela z Budzyna /od redaktora wydania: - jak dodaje Tadeusz Kruk „Wspomniany Stanisław Bartold (z Budzyna pod Makowem) w latach 1918-24 mieszkał i pracował w Drążdżewie, był kierownikiem szkoły. Jego żona Helena spoczywa na drążdżewskim cmentarzu, przeżyła zaledwie 26 lat/. Ten mocno przygnębiony zaborem Polski przez wroga i tylko w kółko powtarza jedno i to samo, co się stało, co się stało. Rozmawiając z Bartoldem zauważyłem, że Lasko mi gdzieś zniknął. Proponuję Bartoldowi wspólną podróż w kierunku Zambsk. Nie powiada, ja szukam swoich kompanów i razem z nimi ruszam na Pułtusk. Żegnając się z Bartoldem widzę jak Lasko zbliża się ku nam od strony widocznego pomiędzy drzewami murowanego domu. W drodze pytam gdzieżeś pan był do ciężkiej cholery, już się niepokoiłem o pana. Lasko mówi miał pan rewolwer służbowy? I śmieje się. Ja nagle przypominam sobie że przed wyjazdem z Szelkowa zostawiłem na biurku przykryty papierem rewolwer. Ja mówi Lasko ten rewolwer zabrałem i w drodze do Wyszkowa podczas naszej ucieczki za Bug na chwilę od taboru wojskowego przy, którym szliśmy odezwałem się i w pobliżu tego domu rzuciłem w gęste krzaki tarniny, ot i na to potrzebne mi były, te naboje niemieckie, które pewnie akurat by pasowały do tego rewolweru. A rewolwer jest w krzakach czy go przypadkiem wziął pan z sobą. A jakby pan chciał pyta Lasko? Tadziu! Tylko bez żartów, bo drugi raz sztuka może nam się nie udać. Lasko śmieje się zapewnia że rewolwer został i lepiej go jeszcze schował. Na cóż panu? Nic nie wiadomo, może się jeszcze przydać. A co się stało z maszyną do pisania? Lasko śmiejąc się odpowiada: a za co Bobek by pił jeszcze w Obrytem i dalej? Bobek by pił jeszcze w Obry tem i dalej?

Idąc tak drogą leśną Lasko zastanawia się dlaczego furmanka Matusiaka tak bezboleśnie przez most w Wyszkowie przeszła? I wreszcie dochodzi do takiej konkluzji. Matusiak miał na wozie jakiś grubszy łup, na pewno łup ten nabył z ograbionych sklepów gdzieś w Węgrowie. Sokołowie lub Siedlcach, a że wozu nie rewidowali bo na pewno dał Niemcom grubszą forsę w łapę. Może i tak mówię, a forsę mógł mieć, bo mógł nie zdać zainkasowanych tuż przed wojną podatków. Widzi pan panie Lasko, ludzie mają lepsze kiepeły jak my. My o chłodzie i głodnym pysku nawiewamy, a ludzie na tym krajoznawstwie chcieliby się wzbogacić, a pan jeszcze za rewolwerem się ugania.

Trzeba przyznać mówi Lasko, że jeszcze łagodnie się z nami obeszli, bo ja gdybym był na ich miejscu, furmankę bym przewrócił z góry dnem, a Niemiaszka, u którego znalazłby naboje, tak prędko bym nie puścił. Widzi pan to zależy jaki oddział pełnił służbę przy moście, słyszał pan od ludzi, że żołnierze z trupimi główkami na czapkach strzelają do ludzi jak do kaczek, a ci bez trupich czaszek odnoszą się do ludzi obojętnie. Ci co przy moście pełnią służbę i każdego rewidują są to żołnierze zwyczajni szeregowi mają na głowach furmanki, a podoficerowie okrągłe czapki. U jednych i u drugich nie widać było trupich główek na czapkach, a ci z drugiej strony mostu, którzy nas idących przez most lornetowali, ci mieli trupie główki na czapkach. Ja przypuszczam, że wojsko z trupimi główkami na czapkach to jest gwardia Hitlera, nie przebierająca w środkach, bo coś nie coś z naszej prasy o tym czytałem.

Tak snując przypuszczenia na temat organizacji machiny wojennej Hitlera doszliśmy już o dobrym zmroku do jakiejś wioski rozciągniętej wzdłuż drogi prowadzącej do szosy pułtuskiej. Prosimy jedną kobietę o nocleg. Ta z płaczem i trwogą w głowie poczyna nam opowiadać jak to wczoraj spędzili na plac kilkunastu ludzi obcych i miejscowych, wyprowadzili pod las kazali wszystkim uklęknąć i tak klęczących rozstrzelali. Panowie na Boga nie zatrzymujcie się we wsi i ruszajcie dalej, bo oni tu jeszcze przyjadą, a jeżeli panów u mnie zastaną, chałupę puszczą z dymem, a nas zakatrupią. Włosy zjeżyły nam się na głowach i dalejże w las. Szło nam się leśnymi wertepami dość szybko, a czy myśmy nie błądzili, któż to wie?

Nad ranem wychodzimy na jakąś małą wioskę zatrzymujemy się przed jedną przy dróżce chałupą u której drzwi od sieni były otwarte. Nieśmiało Tadek pierwszy ja za nim wchodzimy do izby. W izbie młoda kobieta jeszcze nie ubrana, łóżko tchnie jeszcze ciepłem pościeli, w kołysce śpiące dziecko. Paniusiu, Mo…że by tak chleba u pani byśmy dostali, zapłacimy. Kobieta wdziewając na siebie spódnicę mówi: zaraz, zaraz panowie tylko się ubiorę, chłop mój poszedł raniutko na wieś, jeszcze go niema, w głosie jej wyczuwa się trwogę. Spojrzała na nas wzięła nóż, podeszła do półki zdjęła bochen chleba i ukrajała pajdę tak na dwóch i pyta starczy? Starczy, starczy odpowiadamy i szukamy po kieszeniach pieniędzy którychżeśmy już nie mieli. Nie trzeba, nie trzeba mówi kobieta, a na nasze pytanie jak daleko jeszcze do Zambia względnie do Narwi, kobieta wyprowadzając nas z mieszkania przed sienią pokazuje o w tamtej stronie są Zambski, dalej w prawo Rząśnik, Poświętne i tak dalej, do Narwi już nie daleko. Tłumaczy nam jeszcze jak może którędy iść i żegna: niech panów Bóg prowadzi.

W drodze powiadam do Laski: Widzisz Tadziu gdzie można się pożywić, w nędznej chałupie można dostać kęs chleba, a spróbuj zastukać na przykład do tego oto domostwa wskazując na dom pod blachą i solidne zabudowania, na pewno ci nie otworzą, a nawet poszczują psem. Tak rozmyślam ten, kto sam głoduje, rozumie głodującego. Po chwili już nie mamy chleba tylko oblizujemy się. Chleb był bardzo dobry, pewnie onegdaj pieczony. Wychodzimy na zagony zapusty i inne warzywa. Nazrywaliśmy marchwi, położyliśmy się pod osłoną dużych główek kapusty i żujemy ten przysmak przyrody. Nad nami wzniesienie, a nad nim las. Po odpoczynku i różnych rozmyślaniach filozoficznych na temat przyrody i jej darów, którymi można sobie brzucho wyładować, ruszamy pod górkę w las, z którego roztacza się widok na nizinę nadnarwiańską pokrytą krzewinami leśnych drzewek. W dali od strony Pułtuska drożyną polną sunie wyciągnięty podłużnie tłum ludzi. Skoczyliśmy w krzaki i stąd obserwujemy co to za procesja.

Przyglądając się dobrze nie zauważamy żadnej eskorty, to jest niema nigdzie umundurowanych. Procesja się zbliża, my wychodzimy z krzaków i czekamy na dróżce. To... Żydzi, starcy, kobiety, młodzież i dzieci na rękach matek. Wszystko to wylęknione i pomęczone. Pytamy skąd i dokąd. My z Pułtuska mówią, Niemcy wygnali nas z miasta i kazali iść precz. A dokąd idziecie? Gdzie nas Bóg zaprowadzi - odpowiada starsza Żydówka. Tłum nie zatrzymując się szedł na Rząśnik, hen na pulwy, na bagniska.

… przez Narew

Zatrzymaliśmy się przy wiosce leśnej Cygany, czujemy już, że Narew blisko. Pytamy miejscowych chłopów jak tam z przeprawą, czy można i w którym miejscu przez Narew się przeprawić. Oj panowie za późno już. Jeszcze wczoraj przepuszczali dziś już przejście przez rzekę zamknięte, bo podobno na Narwi będzie granica pomiędzy Niemcami a Ruskami, kto tylko z tej strony zbliży się do rzeki, Niemcy z tamtej strony zaraz strzelają. Można się jeszcze przeprawić, ale z końmi, Niemcy z końmi przepuszczają. Dziś przeszło w gromadzie kilka koni, a byli tacy jak panowie, którzy chcieli dostać się na tamtą stronę, pouczepiali się ogonów końskich i tak rzekę szczęśliwie przepłynęli. Może się jeszcze ktoś trafi z końmi, to mogą panowie popróbować. Taka perspektywa nie uśmiechała się nam, szczególnie mnie. Lasko byłby się na tę przeprawę u ogonów końskich zdecydował, ale z uwagi na mnie zrezygnował.

Przechodzimy wzdłuż Narwi w pewnym oddaleniu i szukamy jakiegoś szczęśliwego miejsca, jednak na próżno. Po tamtej stronie słychać co pewien czas pojedyncze strzały. Patrząc górą ponad lasy po drugiej stronie rzeki przyglądam się okolicy zgadując, w którym miejscu po tamtej tronie może być np. Strachocin, dalej Drozdowo i inne przynarwiańskie wioski gminy Smrock i gminy Sielc. Aby tylko przedostać się przez rzekę i znaleźć, w którejś z tych wiosek, a do Chrzanowa, do swoich jużby było blisko. Przypuszczam, ze i żona z dziećmi znajdzie się w Chrzanowie, bo jeśliby miała beze mnie robić w Szelkowie, gdzie już niewątpliwie gmina administrują okupanci.

Czy aby szczęśliwie przebyli ucieczkę zadaję sobie pytania i na myśl przychodzi mi mała moja Dziunia i słuszny już chłopak Lesiek. Ogarnia mnie żal za rodziną, którą kiedyś zobaczę. Pocieszam się myślą, że o ile Rosjanie rzeczywiście staną „na Narwi", będzie można się na tamtą stronę przedostać, bo chyba okupanci uwzględnią to, że uciekinierzy powinni być kierowani do swoich miejsc zamieszkania. Tu znów nasuwa mi się obawa, że Rosjanie mogą wywieźć nas na swoje rozległe tereny, a stamtąd można się będzie dostać do kraju po latach, tak jak to bywało z uchodźcami podczas pierwszej wojny światowej. Tak zamyśleni obaj dochodzimy do Zambsk. W zetknięciu się z mieszkańcami Zambsk dowiadujemy się, że sytuacja jest nie wesoła; bowiem Niemcy penetrują po wsiach w poszukiwaniu za znaczniejszymi osobami. Wczoraj powiada jeden wieczorem najechało Gestapo do Zambsk i zabrało nauczyciela ze wsi, za drugim czynią poszukiwania, gestapowcom pomagają okoliczni koloniści niemieccy, którzy każdego społecznika polskiego dobrze znają i dziś każdego takiego czy to nauczyciela, księdza czy innego inteligenta wydają, jedni być może z osobistej nienawiści kończąc swe porachunki, inni z patriotyczności do nowej ojczyzny, a inni z nakazów i instrukcji jakie im daje gestapo.

Panowie nie kręćcie się po wsi lepiej jak się ukryjecie w jakiejś stodole to unikniecie podpatrywań ze strony kolonistów, którzy się po okolicy kręcą. – Usłużni takim radom poprosiliśmy jednego z mieszkańców, a był nim gospodarz – kowal nazwiskiem zdaje mi się Krzyczkowski, o pozwolenie ukrycia się w jego stodole. Wypoczywamy, opatrujemy poobcierane nogi i rozmawiamy z gospodarzem. Gospodarz dowiedziawszy się że jesteśmy pracownikami gminnymi z Szelkowa nieco przychylniej zaczął z nami rozmawiać wypytując się o Krzyczkowskiego Piotra mieszkańca Szelkowa. Odpowiedzi nasze co do jego pociota przyjmował z zadowoleniem, tylko nie mógł pogodzić się z tym, że ja jestem sekretarzem gminnym, bo on jak powiada dobrze wie, że sekretarzem gminy jest Krajewski. Upewniliśmy go, że Krajewski dawno już nie żyje, a na jego miejscu jest Sikora to znaczy ja, czemu dał wyraz wiary dodając że w Szelkowie już długie lata nie bywał.

Gospodarz upewniony już, że nie jesteśmy podejrzanymi, a znajomkami jego kuzyna z Szelkowa, zaprosił nas do mieszkania i poczęstował obiadem. Rosół kurzy z kartoflami dobrze nam smakował. Noc spędziliśmy w stodole, gdzie zastaliśmy już dobrze posłane miejsca do snu. Nie śpieszyło nam się wstawać, a słonce było już wysoko. Ktoś wpadł do obejścia i głośno oznajmił że już przez Narew na tamtą stronę puszczają. Rozkaz o nie przeprawianiu jakoby został cofnięty. Daliśmy temu wiarę, bo nie mogliśmy się z tym pogodzić, ażeby granica stanęła na Narwi a nie na Bugu i rzeczywiście jak się później o tym dowiedzieliśmy zaszła w dowództwach niemieckich pomyłka.

Na wieść o tym, na poczekaniu nazbierało się kilkanaście osób, powyłazili z ukrycia, z różnych stodół i zakamarków. Tak więc wszyscy gromadnie, acz z niepokojem jeszcze zbliżamy się do przeprawy ku rzece. Po tamtej stronie rzeki żołnierze niemieccy z karabinami i hełmami na głowach, przyglądając się nam poprzez rzekę nie reagują, ale spokojnie oczekują. Przewoźnik podjeżdża łódką do brzegu i zabiera po kilka osób. Myślę, do łódki nie pchamy oczekując następnej kolejki, tymczasem obserwujemy zachowanie się żołnierzy w stosunku do pierwszej grupki przeprawionych. Widzimy, że nie więcej jak tylko rewidują każdego i puszczają wolno. Z otuchą wsiadamy do łódki. W drodze myślę o moich rzekomo ułańskich spodniach, a do Laski szepczę: Rzucaj prędko w wodę naboje jakie może jeszcze masz po kieszeniach. Lasko uśmiecha się i odpowiada... niestety nie mam. Na drugiej stronie po szczegółowej rewizji naszych kieszeń i walizek zostaliśmy puszczeni wolno.

… już u siebie

Wchodzimy do pierwszej wsi Wygoda, należącej do gminy Smrock znajomi ludzie przyglądają się nam, a jedna kobieta uśmiechając się mówi do innych patrząc na mnie: A widzita nasz sekretarz żyje, a powiedzieli już ludziska, że go Niemcy za Narwią zastrzelili. W następnej wsi Przeradowo stacjonuje wojsko niemieckie artyleria. Czy aby tu kto nas nie zaczepi myślimy. Stefan leśnik ujrzał nas przez okno, wychodzi do nas... O.. to sekretarz żyje? Żyję jak pan widzi. Jakiemuś oficerowi w podwórzu Leśnik tłumaczy że są to urzędnicy naszej gminy sekretarz i pomocnik. Kilku Niemców przygląda nam się ciekawie, i u Leśnika kwateruje wojsko, na placu wiejskim stoją polowe armaty pokryte brezentami. Leśnik częstuje nas obiadem, rosół z kluskami i mięso.

Z rozmowy z Leśnikiem dowiaduję się, że w gminie sprawują funkcje wyznaczeni przez Niemców wójt gminy Frączek z Szelkowa i sekretarz nauczyciel Guckler z Ciepielowa. Obu znam dokładnie. Frączek to robociarz z górek w Szelkowie z wojska podoficer odznaczony krzyżem walecznych w wojnie 1920 r. Guckler o nazwisku niemieckim kierownik szkoły w Ciepielowie pochodzący rodem gdzieś z okolic Lwowa. Czy Guckler teraz pana puści na Stanowisko sekretarskie, wyraża wątpliwości Leśnik. Nie zależy mi na tym odpowiadam, abym się tylko dostał do Chrzanowa do rodziny, to sobie jakoś dam radę. Po obiedzie i dłuższym odpoczynku Leśnik nie pozwolił na to ażebyśmy szli dalej piechotą, założył konia do wozu odwiózł nas do drogi Ciepielowskiej, mnie zaś do samego Chrzanowa. Po drodze nikt nas nie zaczepiał.

… w końcu z rodziną

W Chrzanowie widzę również kwateruje wojsko, we wszystkich obejściach widać żołnierzy. Wjeżdżamy na podwórze. W oknach kuchni twarze domowników ciekawie spoglądają kto na podwórze wjechał, wreszcie słyszę radosne okrzyki: ojciec, ojciec wybiegła żona i dzieci, widzę w ich oczach łzy. Pożyjesz mówi żona, bo tu Cię już za nieżyjącego mieliśmy, rozeszła się pogłoska żeś został na ucieczce zastrzelony.

W kuchni witam się z bratem żony, siostrami i teściową, wszyscy obstąpili mnie zasypując pytaniami. Poza rodziną, w kuchni widzę dwóch żołnierzy niemieckich, jeden dogląda garnków na kuchni, drugi myje w miednicy oskubaną gęś mydłem. Dowiaduje się, że w domu to jest w pokoju kwaterują jakieś oficery, a ci w kuchni przyrządzają dla nich żarcia. Dla domowników wolny jest tylko alkierz i komora, kuchnia wspólna ponieważ obecni w kuchni dwaj żołnierze nie rozumieją polskiego języka, pytam jak się tu obchodzą. Jacyś nieźli ludzie słyszę, jestem członkiem tej rodziny, mężem tej oto wskazują niewiasty i ojcem tych oto dwojga dzieci. Przybyciem moim zaciekawieni byli oficerowie kwaterujący w pokoju, bo zaraz do kuchni wszedł któryś z nich, obejrzał mnie, a obecni żołnierze zaraportowali mu kim zacz. Ten starszy nie pamiętam już oficer, czy jakiś starszy podoficer przyjaźnie kiwnął mi głową i wyszedł do pokoju. Jak się zorientowałem była to jakaś jednostka wojskowa złożona z Bawarczyków, nie mieli na czapkach trupich czaszek ani na kołnierzach znaków S.S., toteż uspokoiłem. Przede wszystkim umyłem się, ogoliłem i zacząłem moczyć nogi. Na moje zapytanie jak się z nimi żołnierze obchodzą otrzymałem odpowiedź swoich - obchodzą się z nami dobrze. Żołnierzom powiedziano jak kto mógł, że się i rozlokowałem jak u rodziny.

Gdy jako tako doszedłem do siebie, ci dwaj kuchenni, że ich tak nazwę żołnierze stawiają na stole przedemną rosół, mięso, konserwy, jakieś inne jeszcze wojskowe smakołyki, zapraszają do jedzenia i współczują, że jestem taki podróżą zmęczony. Rozmawiam z nimi o tym to o owym, kalecząc niemiłosiernie język niemiecki, który znałem o tyle, o ile go się nauczyłem jeszcze w szkole ludowej w Radymnie, ale i to jakoś pomaga byśmy się dobrze zrozumieli. W pewnej chwili, gdy jeden z żołnierzy wyszedł, pytam drugiego, który mi się zaufańszym wydawał, ot tak z głupia franc - co to jest u was SS? Niemiec obejrzał się i z tajemniczą miną już nie mówił, ale na migi pokazuje, jak to się wisi na szubienicy, robi przy tym taką tragiczną minę swej twarzy że mimo woli człowieka śmiech porywa. Gdy mu potaknąłem na znak, że rozumiem, pytam dalej, a co to jest u was gestapo? Niemiec na wyraz ten jakoby zdrętwiał i z taką samą tragiczną miną posunął palcem po swej szyi i wydał z siebie chrapotliwe rzężenie na znak podrzynania gardła. - Ich wenstche, odpowiedziałem. Niemiec pogroził mi palcem i doradzał, żeby nawet takiej nazwy głośno nie wymawiać. Ja wiedziałem już przed tym, co oznacza formacja ze znakami SS i Gestapo, a ten Niemiec utwierdził mnie w tym że tych organizacji niemieckich należy się pod groźbą utraty życia wystrzegać.

Rozłożyłem się w alkierzu z Waldkiem na łóżko, ażeby odpocząć. Drzwi do kuchni często cichutko uchylały się i w szparze ukazywały się ciekawe oczka. To Dziunia chciawszy się upewnić, czy to naprawdę tatuś podglądywała mnie, a do mamusi zwracała się z pytaniem: Mamo to nasz tatuś?

Równy miesiąc byłem na ucieczce którą żartobliwie nazywałem wycieczką krajoznawczą, to też po takim czasie dla dziecka byłem już trochę obcy. W nocy, śpiąc w alkierzu krzyczałem mocno przez sen, obudzony przez kogoś z domowników nie wiedziałem gdzie jestem, za ścianą w pokoju, w którym kwaterowali niemieccy oficerowie słyszałem poruszenie i rozmowę, widocznie moje przez sen krzyki obudziły ich po chwili znowu cisza. Tyle przeżyć nabiło się w ten skołotany łeb, a ponadto widocznie przejedzenie się tłustymi mięsami, czyniło sen niespokojnym. Naradzamy się z żoną co dalej robić. Żona mi każe zostać w Chrzanowie nie martwić się o nic, to może jakoś wojnę przeżyjemy.

Nie uśmiechało mi się zostawać w Chrzanowie i leżeć po prostu bez czynnie, bo do pracy fizycznej w gospodarstwie zdatny nie jestem, a ciekawy byłem sytuacji w szerszym zasięgu, jak kształtować się będzie okupacja i jak potoczą się dalsze wypadki wojny. Chrzanowo pozostawiałem sobie jako punkt oparcia i materialne zaplecze.

Z opowiadań rodziny dowiedziałem się, że rodzina daleko nie uciekała. Spakowali na wóz niezbędne rzeczy i żywność i całą rodzinę wraz z moją żoną i dziećmi przekroczyli Narew i zatrzymali się w Ostrówku skąd nie widząc sensu dalszej ucieczki, bo przecież gospodarstwo w Chrzanowie osamotnione zostało, zawrócili z powrotem do domu i dobrze zrobili. Tak więc żona i dzieci nie byli na pulwach, co będąc w Rząśniku przypuszczałem, tylko ja nie potrzebnie odbyłem miesięczną wycieczkę krajoznawczą. Niema tego złego co bu na dobre nie wyszło, grunt że cały wróciłem, tylko na nogach od ciągłego marszu porobiły mi się teraz pęcherze jak kurze jaja.

Kwaterujący Niemcy pytają się mnie co teraz będę robił. Ja nie widząc jeszcze za co się wezmę odpowiadam im, że chciałbym pracować w swoim zawodzie. - No ja, ja - będzie panu dobrze w niemieckim państwie odpowiadają. Pomyślałem, ano zobaczymy.

Po dwu czy trzydniowym odpoczynku w Chrzanowie wybrałem się pieszo na zwiady do Szelkowa.

Okupacja
– praca moja na stanowisku kasjera gminy i działalność

Był to dzień 4 października 1939 r. Drogę z Chrzanowa do Szelkowa przebyłem pieszo (9 km) mijając ciągnące w stronę Różana kolumny pojazdów wojskowych i tabory konne. Zaszedłem do Franka Adrianiaka, ażeby przed moim udaniem się do Zarządu gminnego zasięgnąć wpierw języka. Franek przy kontuarze swego masarskiego sklepu we własnym domu, sprzedaje Niemcom wędliny. Niemcy przy stolikach spożywają polski szpek i wurst, a dziwnym to dla nich było jak mi mówił Franek, że potrzeba kartek żywnościowych i wszystkiego

Ul. Moniuszki w Makowie w okresie okupacji. Od lewej dom Państwa Michalskich obok budynek Poczty zniszczony w 1944 roku i fragment budynku Państwa Wolskich. Zdjęcie z publikacji „Ocalić od zapomnienia" Powiat Makowski strona 17.

można nabyć bez ograniczeń. Prawda, że Polska zasobna była w środku żywnościowe, a gdzieżby się wreszcie podziały te stada pędzonych na początku września tuczników, a więc interes Frankowi idzie dobrze i Niemcy są zadowoleni i Franek też, acz nie wiadomo dokąd ta sielanka będzie trwać myślę.

Co słychać w gminie pytam, jak tam moje mieszkanie z rzeczami. Co w gminie pyta pan? Ano nowy niemiecki zarząd, nie wie pan? Ten Bradziaga Frączek z górek jest wójtem, a pan Guckler z Ciepielowa sekretarzem. Trzęsą gminą łobuzy, aż się patrzeć nie chce, kradną i znęcają się nad ludźmi, jak tylko mogą. Żydowskie mieszkania okradli już na czysto, teraz biorą się za chłopów na wsi, pana na pewno do gminy nie puszczą, bo by im pan robotę psuł. A skąd do tego doszło że Frączek jest wójtem a Guckler sekretarzem? Ano kiedy Niemcy zajęli Szelków, zwołali mężczyzn i wśród nich szukali, któryby się na tymczasowego wójta nadawał. Wszyscy Dutki w miech chowają się jeden za drugiego, bo żadnemu nie zapachniało takie stanowisko w służbie dla Niemiec, aż się znalazł Frączek, który zagadał do nich po niemiecku, a niemiecki język umie trochę kaleczyć bo kiedyś na robotach w Prusach bywał. Nie wiem co Niemcy Frączkiem szwargotali, ale od tej chwili Frączek został panem nad całą gminą, tak że dziś już trudno do niego przystąpić, a Guckler na poczekaniu znalazł się zaraz, wiadomo nazwisko niemieckie i zarząd gminy w komplecie, teraz dopiero okazał się czym jest pan Guckler, taki dawny patriota, który na zebraniach przed wojną nieraz krzyczał precz z Niemcami i uczył dzieci „Nie rzucim ziemi", szydło z worka wylazło. Frączek, Frączek powiadam przecież to podoficer z wojska, odznaczony Krzyżem Walecznych. Tak panie Frączek zaraz jak tylko pierwsze patrole niemieckie weszły do Szelkowa wyszedł naprzeciw nim i był dla nich przewodnikiem i informatorem.

Przyszło mi na myśl wspomnienie jak byłem w Makowie przewodniczącym zebrania wyborczego do Senatu i wyczytując uprawnionych do głosowania by podchodzili do urny i składali swoje głosy, wyczytałem też nazwisko: Pan Franciszek Frączek kawaler Krzyża Walecznych, ot tacy i inni różnych tytułów wybierali Senat, a ludzie zdrowo myślący nie mając tytułów naukowych lub odznaczeń do głosu dopuszczeni nie byli. Frączka znałem dokładnie, był to robotnik drogowy, zamieszkiwał we własnym domku w Szelkowie na górkach, poza tym typ ciemniaka. Guckler był nauczycielem w Ciepielowie, tam się ożenił z panną Sadowską córką rolnika, i co do niego nie było nigdy zastrzeżeń odnośnie lojalności państwowej. W dawnym zarządzie gminnym, bo nie wiem jak obecny zwie się. Frączek wyniosły, i władczym spojrzeniem przyjął mnie, a Guckler przymilnie raczej obleśnie przywitał mnie patrząc na mnie z góry jak na intruza, poza tym przywitałem się z Bobińskim, który wcześnie ode mnie z ucieczki wrócił i przyjęty do pracy został. Frączek mówi do mnie: Za późno pan się sekretarzu zgłasza, jest już pan Guckler, nie trzeba było uciekać, bo Niemcy też ludzie, teraz dopiero będzie porządek, - Ano trudno, powiadam, wezmę się za inną robotę. Frączek i Guckler informują mnie że chcąc pracować, należy się zarejestrować w Makowie. Guckler dodaje, że wszyscy przedwojenni pracownicy polskiej administracji obowiązani są do zameldowania się w Landratsamcie, ano zobaczymy pomyślałem, wpierw się dowiem jak trawa rośnie.

Rzeczy moich, które zostały w mieszkaniu po naszym wyjeździe na ucieczkę dopilnowała Wołyńcowa. Zaszedłem do mieszkania, wszystko w porządku, tylko meble, sienniki i różne graty poprzewracane, bowiem jak twierdziła Wołyńcowa, mieszkanie moje było szczegółowo przez pierwszych Niemców rewidowane.

… Maków
- początek okupacji

Udaję się pieszo do Makowa z zamiarem zameldowania się w niemieckim Starostwie, o ile się wśród znajomych przekonam, że jest to konieczne. W drodze jadący do Makowa Wierniewicz, dzierżawca folwarku z Magnuszewa zabiera mnie do swego powozu. Obaj

w drodze wymieniamy zdania na temat naszej państwowej klęski i snujemy różne przypuszczenia na przyszłość. Wierniewicz jest zdania, że wszystko już bezapelacyjnie przepadło, ja mam zapatrywania bardziej optymistyczne. W Makowie widzę nowy most na rzece prowizorycznie pobudowany w miejsce wysadzonego w powietrze. Po mieście kręcą się jakby przyczajeni Żydzi, na rynku jest trochę furmanek ze wsi z płodami rolnymi na sprzedaż.

W Starostwie na korytarzu zetknąłem się z panną Wolską, dawną kierowniczką kancelarii naszego Starostwa, Wolska radzi mi zameldować się, zaznacza, że życzeniem polskich sfer państwowych jest, ażeby polscy pracownicy administracyjni wchodzili do administracji niemieckiej, ma to swój z punktu widzenia interesów ludności polskiej cel. Zrozumiałem, a pani czy tu pracuje? Ale skądże, odpowiada Wolska, Niemcy nie chcieli nas do pracy przyjąć (to znaczy i jej narzeczonego, czy może już męża Pętkowskiego) upatrzyliśmy sobie Czerwonkę i tam się zaczepimy o zarząd gminny. Od niej to dowiedziałem się, że dawny nasz Starosta Farenholc proponowanego przez Niemców stanowiska w Landratsamcie nie przyjął i trudni się obecnie drobnym handlem.

Zameldowanie moje przyjął jakiś urzędnik niemiecki, który rozmawiał ze mną po polsku z mazurskim akcentem. Kazał mi się zgłosić w zarządzie mojej gminy, gdzie otrzymam pracę.

Po wyjściu z Landratsamtu rozglądałem się po mieście, upatrując gdzieżby tu można się czym pożywić. Sklepy pootwierane restauracje też, każdy handluje ze znakiem zapytania co będzie dalej. Restauracje zapchane Niemcami, żrą i piją ubiegając się o ,,polska wódka", której jednak już po knajpek brakowało w rozmowie ze znanym krawcem Małachem, u którego stalowałem zawsze garnitury, pokłóciłem się. On, chociaż Żyd uparcie utrzymywał, że: - Uj, teraz będzie porządek i dobrobyt, nie tak jak za polskich czasów. Gdy mu zwróciłem uwagę, że jest głupi i widzi tylko koniec swojego nosa, hardo oburzył się i zmierzywszy mnie pogardliwym spojrzeniem poszedł dalej. Co u diabła z tym Żydem – pomyślałem, czy on na tyle naiwny i głupi? Niechby widział swoich ziomków wygnanych z Pułtuska na pulwy, za Rząśnikiem, a może to typ nadający się na niemieckiego szpicla, a może nadrabia miną chciawszy się przypodobać okupantom? I to możliwe i to. W rynku pokazują nieznajomi jakiegoś młodego chłopaka ze szpicrutą w ręku jak kręci się wśród furmanek i wali chłopów po plecach. Mówię, że to Polak z Wyszkowa, zaprzedał się Służbie Niemcom i kręci się i podsłuchuje i szpicluje, ot zwyczajny szpicel. Słyszę też, że na Bazarze ogrodzony jest plac drutem kolczastym, za którym jest wiele ludzi pod strażą okolicznych volksdentschów. Niektóre sklepy przyjęli już cywilni Niemcy m.in. i drukarni, w której nowy posiadacz dobrze mówi po polsku. Po ulicach spacerują młode rosłe Niemki jak rasowe klacze, szwargoczące ze sobą wesoło i odpowiadające na ukłony wojskowych, w skrócie Ha Hi (Heil Hitler). Zaczynam rozumieć, że okupant powoli, stopniowo zapuszcza w życie gospodarcze i społeczne swoje macki. Ze zgrozą dowiedziałem się też, o rozstrzelaniu pod górą na Bazarze jakoby zakładników. Ludzie mówią, że nawet Niemki były tą egzekucją oburzone. Nasłuchawszy się tego wszystkiego, postanowiłem czym prędzej się gdziekolwiek posilić i uciekać z Makowa bodajże gdzie pieprz rośnie.

Rynek w Makowie w okresie okupacji niemieckiej.
Zdjęcie ze zbiorów Piotra Wiesława Matejuka.

Most na Orzycu w Makowie w roku 1941. Zdjęcie z publikacji „Ocalić od zapomnienia" Powiat Makowski strona 32.

Nieśmiało zachodzę do jadłodajni prowadzonej przez żonę dawnego burmistrza Kosakiewicza. Wszystkie stoliki zajęte przez wojskowych, żandarmów i jeszcze jakichś umundurowanych Niemców. Kobiety uwijając się wnoszą na stoliki kotlety, bigosy i różne mięsne potrawy. Niemcy z apetytem i w dobrych humorach obżerają się. Miejsce przy stoliku użycza mi jakiś umundurowany Niemiec zaprasza po polsku. Był to jakiś urzędnik akcyzowy i według mnie mazur z Prus. Po posileniu się czym prędzej wydostałem się i chodu z Makowa. Wierniewicza w drodze powrotnej nie widziałem, to też drogę odbyłem pieszo. Wszystko jedno pomyślałem, ale w ten Wierniewicz niepotrzebnie się szwenda powozem.

Rachmistrz Sikora

Po ostatecznym naradzeniu się z żoną przystąpiłem do pracy w zarządzie gminnym w Szelkowie pod zwierzchnictwem opisanych już wyżej Frączka i Gucklera, do pracy zgłosił się też Tadek Lasko. Księgi kasowe wykopaliśmy bo takie było zarządzenie, że wszystkie księgi muszą być. Książki i dokumenty gminnej kasy pożyczkowo-oszczędnościowej oraz dużo weksli pożyczkobiorców zawiązałem i ukryłem w czapce przed kasą, sądząc że te nie będą potrzebne. Stanowisko moje było nie sekretarza lecz kasjera i rachmistrza pełniłem funkcje w krótkiej ławce szkolnej, bo biurka dla mnie zabrakło, zresztą zadowolony byłem z tego, że nie pełnię funkcji sekretarza, bowiem funkcja ta kazałaby mi współpracować z okupantem w różnych ich posunięciach politycznych, gospodarczych i społecznych, a tak to sobie siedzę z dala od tych spraw księguję tylko to co mi każą i wypłacam też to co mi każą. Dochodami na razie były grzywny, opłaty i pieniądze pochodzące ze sprzedaży mienia pożydowskiego. Należności inkasował wójt lub

sekretarz ja tylko od nich pieniądze do kasy przyjmowałem i w książkach zapisywałem. Zwierzchnicy należności omawiane inkasowali w terenie gminy w jaki sposób i ile, to już mnie nie obchodziło.

Gospodarze z gminy widzący mnie w biurze przy szkolnej ławce na szarym końcu, domyślnie kiwali głowami wyrażając mi współczucie, że tak potraktowany zostałem. Nie, nie szkodzi wesoło odpowiadam niektórym, przytaczając biblijne powiedzenia: „Ten kto poniżon, wywyższon będzie", ba ale gdzie i kiedy pomyślałem.

Przyjechała do mnie żona dowiedzieć się. Jakieś koszmarne wieczory i noce spędzaliśmy w mieszkaniu. Nie paląc światа patrzyliśmy oknami w ciemności podwórza, to drugi przed gminą (szosy). Od czasu do czasu słyszeliśmy krzyki i wrzaski i doprowadzonych do aresztu gminnego ludzi, czasem na podwórzu gminnym rewidowane furmanki, toboły podróżnych. To gwardia Frączka uwijała się w około różnych ludzi zdążających nocą ku Warszawie z żywnością, bądź powracających uciekinierów gwardią była tak zwana policja porządkowa rekrutująca się z różnych miejscowych szumowin, skąd inąd niezłych chłopaków, tylko otumanionych przez Frączka. Był już co prawda zainstalowany w Szelkowie posterunek niemieckiej żandarmerii, ale żandarmów początkowo było niewielu, to też miejscowe władze w osobach Frączka i żandarmów wyręczały się jeszcze dawnymi chłopakami, z których zrobili sobie organ pomocniczy. Ta durna z w postępowaniu z zatrzymanymi brutalna chciwa łupu policja porządkowa, grasowała po gminie, a nocami zaczajała się na drogach, a szczególnie przy gaju w Laskach na szosy ku Warszawie i wyłapywała przemykających uciekinierów i inne osoby zdążające do Warszawy z żywnością, czy też z innymi rzeczami, a wśród tych osób mogły być osoby ukrywające się i przez Niemców poszukiwane jak wojskowi, urzędnicy itd. Takich schwytanych banda prowadziła w nocy na podwórze gminne, tam rewidowała zabierała sobie co lepsze, a zmaltretowanych ludzi wsadzała do aresztu, do dyspozycji żandarmów. Trudno było po prostu patrzeć na te hece to też ze zgrozą spoglądaliśmy przez okno.

Jednego wieczoru zajechał na podwórze dobrze wyładowany parokonny wóz. Do mieszkania wszedł znany mi z gminy Krasnosielc administrator folwarku Drążdżewo Roman, z którym żyliśmy kiedyś po przyjacielsku. Widzę powiada żywność dla rodziny w Warszawie, jedzie też ze mną z bagażami hrabia Łoś. Poradź pan jakby tu bez uszczerbku przejechać dalej, bo podobno ten odcinek od Szelkowa do Pułtuska najgorszy. Nocą nie radzę jechać, lepiej do dnia powiadam, a tymczasem wóz wtoczyć na klepisko stodoły, a konie wprowadzić do pustego chlewa. Jak fura będzie stała dłużej na podwórzu zwabi policję porządkową, a nawet i żandarmów, i będziecie panowie mieli kłopot, a do dnia jak wszystko jeszcze śpi w najlepsze łatwiej wam będzie przemknąć niebezpieczny odcinek. Roman uczynił tak jak mu doradziłem.

Dłuższy czas siedzieliśmy w nieoświetlonym mieszkaniu rozmawiając o minionych wydarzeniach. W podwórzu zauważyliśmy kręcących się policjantów, którzy coś już zwąchali, ale widać nie mieli śmiałości do stodoły i chlewów zaglądać a raczej przez wzgląd na starego sekretarza złupienia wozu poniechali uważając że ktoś ze znajomych lub krewnych Sekretarza zajechał. Roman cichutko wymknął się do stodoły i tam na wozie nocował hrabia w wytartej jesionce drzemał do rana w pokoju na krześle. Chyba szczęśliwie do celu dojechali, bo nie słyszałem nic więcej o nich.

Mieszkanie moje chwilowo zajęte zostało przez wojsko, a ja już nie pamiętam gdzie, i u kogo noclegowałem.

Na terenie gminy wałęsało się w początkach okupacji wiele bezpańskiego bydła, trzody i koni. Miejscowi gospodarze naturalnie poprzyswajali sobie błąkające się sztuki, a zarządzenia niemieckie stanowiło, że kto sobie inwentarz przyswoił, musi za niego płacić na rzecz gminy, chyba że właściciel się znajdzie, któremu po udowodnieniu własności należy konia, czy krowę zwrócić.

Frączek i Guckler mieli pole do popisu, to też jeździli po wsiach wynajdywali bezpańskie sztuki, na miejscu taksowali i pobierali należności wystawiając gospodarzom pokwitowania względnie zaświadczenia w imieniu gminy, które stanowiły dowody nowej własności. Do kasy gminnej wpłacali tylko część, tak osiąganych utargów, resztę naturalnie zatrzymywali do spółki przy sobie. Trzeba trafu, że gospodarz z obcych okolic rozpoznał swego konia u jednego z gospodarzy w Przeradowie. Gdy nie mógł go odebrać, gdyż nowy posiadacz konia legitymował się zaświadczeniem gminy podpisanym przez Gucklera i Frączka, udał się z prośbą o interwencję do żandarmów niemieckich. Żandarmi przyszli z owym zaświadczeniem do gminy, a raczej do mnie, sprawdzić czy zainkasowana za konia kwota pieniężna została wpłacona do kasy gminnej. Pokazałem im książki kasowe, z których wynikało, że taka kwota nie wpłynęła do kasy. Nie kazali mi nic o tym nikomu mówić i udali się dalej na gminę. Po kilku dniach przynieśli pliki takich zaświadczeń względnie pokwitowań i sprawdzali, z których pokwitowań gotówka wpłynęła do kasy, a z których nie, przy tym okazało się, że za kilka koni, kilka krów poza tym za cenniejsze meble i maszyny do szycia, pozostałe po wypędzonych z Szelkowa Żydach, gotówka nie wpłynęła do kasy gminnej.

Jeszcze Polska nie zginęła

Guckler i Frączek przeczuwali, że coś niedobrego się koło nich kręci, przez kilka dni miny mieli nie wesołe, wreszcie z powrotem czuli się panami, tymczasem żandarmeria prowadziła dochodzenie. Nikt Gucklera i Frączka nie uprzedzał o tym, to znaczy nikt z badanych gospodarzy, a i ja nie miałem powodu do wynużeń przed nimi, że coś o tym wiem. Jednego popołudnia wyszedłem ze swojej kancelarii do kancelarii ogólnej, stanąłem opierając się o piec i obserwuję siedzącego przy biurku i zamyślonego Frączka. Gucklera słychać jak chrząka w przyległej kancelarii. Zbliża się godzina końca zajęć urzędowych. Przyglądając się Frączkowi, myślę co się też leżę w tym ciemnym zakrytym łbie? A może oblicza wysokość łupów ze sprzedaży koni i bydła, a może przemyśla nad jakąś wierno-poddańczą akcją wśród ludności na rzecz Niemiec, by się swoim chlebodawcom przypodobać?, bo o czymże mógł myśleć Frączek? Nareszcie podnosi się z za biurka i rozkazującym tonem zwraca się do mnie mówiąc „Sikora chodź ze mną" O... już na ty pomyślałem, coś nie bardzo i patrząc w jego przekrwione oczka rzuciłem pytanie: a dokąd? W dupę odpowiedział Frączek. Nie zbity z tropu i nie urażony mówię: ano jeśli tam to idę. Frączek mrugnął na Bobińskiego, by się szykował do wyjścia i zajrzał do Gucklera coś mrucząc do niego. Guckler widocznie odmówił pójścia w dupę, bo Frączek wyrzekł jak nie to nie!

Idziemy z Frączkiem, ale nie wiemy dokąd, patrzę na jego przypadzistą postać i gębę, która się cegły prosi i myślę dokądże nas ten łajdak prowadzi. Bobiński obok kuśtyka i nic się nie odzywa, jest zamyślony, i tak samo niepewny jak i ja. Po minięciu posterunku żandarmerii mieszczącego się w domu Sosnowskiego, nabraliśmy otuchy. Frączek zaprowadził nas do swojego domku na górkach. W mieszkaniu Frączka zastaliśmy folksdojcza Flemkego i niektórych z porządkowej policji, kompanów Frączka. W mieszkaniu jakieś meble których Frączek nigdy nie miał, są jakieś i walizy. Frączkowa na rozkaz męża stawia na stole kiełbasę na gorąco, jakąś pieczeń, przyprawy wreszcie litr autentycznej przedwojennej wódki. W takiej dupie pomyślałem można wytrzymać.

Zaczęła się biesiada. Frączek zbytnio na mnie i na Bobińskiego uwagi nie zwracał zagadany był z Flemkiem i swoimi kompanami. Flemkiego zapewniał, że jest lojalnym względem Rzeszy Niemieckiej, wszystkie polecenia Landrata wykonuje akuratnie, i że niema takiego w gminie, ktoby go mógł zastąpić itd.. itd. My z Bobińskim rozmawialiśmy z kompanami Frączka, też z górek, którzy w rozmowach nie podzielali zdań, ani stanowiska Frączka. Żałowali polskich czasów i nie widzieli dobroci dla siebie ze strony Niemców. At zwyczajni ciemni, nie uświadomieni Polacy wyrobnicy. Litr doganiał litra, ktoś wychodził, to znów ktoś z sąsiadów wchodził, wreszcie gdzieś około północy Frączek schlany już na dobre przeniósł się do drugiej izby, i po chwili rozwaliwszy się na pożydowskie bety, zachrapał.

Centralną osobą biesiady stał się Flemke. Zagadywany przez nas Flemke, a kurzyło nam się już nieźle z głów, zapewniał nas że jest przyjacielem ludności polskiej, że nikomu z Polaków krzywdy dotychczas nie uczynił i czynić nie myśli, my ostrzegaliśmy jego, że gdyby krzywdę czynił toby doczekał się rewanżu itp.

Flemke był to gminiak nasz, pochodzący ze wsi Ulaski znany przez nas dobrze i nie podejrzewamy przed wojną o wrogość przeciwko Polsce. Flemke wyznaczony został przez władze niemieckie na tak zwanego „gospodarza gminy", a ściśle instruktora rolnego, z ramienia Kresbanshaftu. Nie mając podejrzeń, że nas Flemke zadenuncjuje – zaintonowałem „Jeszcze Polska nie zginęła", a potym śpiewaliśmy polskie patriotyczne piosenki. Co wódka nie może. Ja przy „Jeszcze Polska nie zginęła" stanąłem na baczność i podałem Flemce komendę „wstać i śpiewać". Fleka posłusznie zastosował się do mojego rozkazu i darł gębę, aż szybki w oknie drgały. Ochoczo śpiewali też biesiadujący z nami wyrobnicy z górek. Frączkowa ze strachu przeżegnała się, chrapanie w drugiej izbie ucichło. Frączek z drugiej izby na nasze

śpiewanie nie odzywał się, a może śnił o tym jaki muzyka grała hymn państwowy, gdy go Krzyżem Walecznych odznaczali. Nad ranem spici jak bele opuściliśmy mieszkanie Frączka, Flemke pozostał.

Rano w biurze martwimy się z Bobińskim co z tego będzie. Wsio równo - mówi Bobiński, ale chociaż Volksdoutch musiał śpiewać na pana rozkaz, aby tylko nie zadenuncjował mówię, wreszcie. Nie tyle obawiam się Flemkiego, co Frączka, ale ten leżał spity jak nie żywy. Koło południa zjawia się niewyspany i jeszcze pijany Flemke, no jak tam panie Flemke dobrze wczoraj poszło? Czy wszystko porządku? Wszystko dobrze odpowiedział, tylko to źle, żeśmy za głośno ten hymn polski śpiewali. Nie zadenuncjuje - pomyślałem, bo sam ten hymn śpiewał. Na tym nasze obawy się skończyły.

Zdaje mi się, że na drugi dzień zjawili się w gminie żandarmi pytając o Frączka i Guckler a. Nie było ich dzisiaj odpowiadamy. Wieczorem dowiedzieliśmy się, że Guckler i Frączek siedzą już w pace, a rano mają być wywiezieni do więzienia w Pułtusku. Tak się też stało.

Już nie Wójt a Bürgemeister

Na stanowisko wójta gminy przybył mianowany volksdeutsch, rolnik z powiatu Ostrów Mazowiecka nazwiskiem Haffeman. Był to kolonista niemiecki urodzony w Polsce, którego rodzice, a może jeszcze dziady osiedlili się kiedyś w Polsce. Haffeman był to spokojny człowiek na ogół życzliwie odnosił się do ludności polskiej, dopóki pewnie nie przeszedł szkoły hitlerowskiej, zaś żona jego to była twarda Niemka i do polskości wrogo usposobiona. Zajęli połowę mojego mieszkania, wnieśli tam swoje bagaże. Haffeman żałował zawsze swojego gospodarstwa rolnego, które zostawił, nie pamiętam już dokładnie czy przed nową granicą ze Związkiem Radzieckim, czy nawet po tamtej stronie, czy na pewno pochodził z powiatu ostrowskiego, tego już dokładnie nie wiem, w każdym razie przybył z Kresów Wschodnich.

Haffeman już nie nazywał się urzędowo wójt, lecz Bürgemeister. Zapraszał mnie do siebie na wieczorne pogawędki. Razu pewnego rozglądam się u niego po ścianach i widzę porozwieszane portrety Hitlera i innych dostojników III Rzeszy. Patrząc na podobiznę Himmlera z głupia franc pytam - co to za generał? Haffeman cicho, tak żeby jego żona będąca w kuchni nie usłyszała powiedział mi, że to jest Himmler, że to jest człowiek zły, bo Führera namawiał, ażeby użyć gazów trujących przy oblężeniu Warszawy. Cichutko też przypili mi, ażeby przy jego żonie nic złego na dygnitarzy hitlerowskich nie mówić -To una, moja zuna porozwiesała fotografie".

Sekretarza nie było i stanowisko to nie zostało obsadzone, a funkcje sekretarza sprawował Haffeman. Ilość pracowników w zarządzie gminnych zwiększyła się. Przybyli: Zygmunt Kamiński z Tłucznic, Stanisław Karpiński z Makowa i Irena Popielarczykówna z Przeradowa; bowiem agendy zarządu gminnego zaczęły się powiększać. Haffeman przywiózł też z Makowa gminne księgi biercze podatku gruntowego, te które walały się na rynku w Siedlcach. Polecano nam księgi te uporządkować, to jest uaktualnić i przystąpić do poboru dawnych jeszcze polskich zaległości. Uaktualniając z Tadkiem Laską owe księgi biercze, odnotowaliśmy w nich datę jeszcze przedwojenną umorzenia podatku gruntowego, powołując się w adnotacjach o umorzeniu na nie istniejące decyzje Urzędu Skarbowego, jak i na nieistniejące protokoły nieściągalności. Tym sposobem wielu drobnym rolnikom uczyniliśmy ulgę.

Pożegnanie starosty Edwarda Farenholca, rok 1938. Zdjęcie z publikacji „Ocalić od zapomnienia" Powiat Makowski strona 24.

Grono nas pracowników w wolnych chwilach debatowało nieraz nad całością spraw tak ogólnych jak i nad tym, w jaki sposób omijać zarządzenia niemieckie, i być pomocą społeczeństwu. Patrzył na nas jak żywy z portretu zawieszonego jeszcze przed wojną, a nie zdjętego przez Niemców Marszałek Piłsudski. Inne portrety polskich dostojników państwowych Niemcy zaraz po wejściu do Szelkowa zniszczyli, zostawili tylko Piłsudskiego. Ciekawe czym się tak Piłsudski Hitlerowi przysłużył, że nawet jak od Niemców słyszałem i czym się tak Niemcy chełpili, na Wawelu przy trumnie Piłsudskiego długi czas stała niemiecka oficerska straż honorowa.

Wzmocniony też i ustabilizowany został posterunek żandarmerii w Szelkowie, a ta policja pomocnicza obywatelska złożona z szumowin przepędzona została, jak to się mówi na cztery wiatry. Nowo przybyli do Szelkowa żandarmi przyszli do gminy zapoznać się z zarządem gminnym. Komendantem był niemiejący ani słowa po polsku Grabowski, inni nazywali się Barczewski, Sowa, Wach i inni. Patrzyłem na nich, myślałem w duchu, przecież to Polacy – mazurzy z Prus wschodnich, czy można z nimi rozmawiać? Przyszłość pokazała, że są to ludzie oddani duszą i ciałem swojemu Führerowi. Nieraz my pracownicy Polacy w gronie swoim zastanawialiśmy się nad pochodzeniem tych ludzi i doszliśmy do wniosku, że są to Polacy mazurzy tylko zahukani i sterroryzowani przez niemieckość, w każdym razie należy ich się wystrzegać i nie wierzyć im.

Zgodnie z zarządzeniem władz niemieckich wszyscy mężczyźni narodowości polskiej obowiązani byli raz w tygodniu meldować się w zarządzie gminnym, naturalnie ci tylko, którzy byli w wieku wojskowym i służyli w wojsku Polskim, to znaczy rezerwiści. Każdy na dowód zameldowania się potwierdzone to miał w specjalnej karcie meldunkowej. Kancelaria sporządziła odpowiednie dla rezerwistów rejestry meldunkowe, w których odnotowywano spełnienie obowiązku meldunkowego. Rejestr sporządzano na podstawie osobistych zgłoszeń przy pierwszym meldunku. Uprzedzaliśmy rezerwistów, ażeby się nie afiszowali swoimi stopniami wojskowymi, ażeby podawali się za szeregowców. Wielu nie usłuchało nas i podawali swoje stopnie wojskowe jak kapral, plutonowy, sierżant itp. Nie przeczuwali, że kiedyś mogą być tropieni i zabierani do obozów.

Pierwszy i kilka następnych meldunków odbyło się wobec żandarmerii, następnie my już sami przykładaliśmy na kartach rezerwistom pieczątki na dowód zameldowania. Frekwencja meldujących się do meldunku w oznaczony dzień zaczęła spadać, gdyż każdy wiedział ze jeśli nie stawi się to i tak kiedy indziej w gminie pieczątkę mu przyłożą. Tak też i było. Niektórzy miesiąc i więcej nie meldowali się, a później od razu wszystkie rubryki puste w karcie kontrolnej zostały im przez nas postemplowane. Stopniowo meldowanie się rezerwistów zanikało, aż zanikło zupełnie, władze niemieckie już tym nie interesowały się wychodząc na pewno z tego założenia, że nic im to nie daje.

Ausweis bitte

Odnośnie ludności cywilnej w ogóle zaprowadzono obowiązek posiadania przez każdą osobę dorosłą tymczasowego ausweisu, to znaczy tymczasowego zaświadczenia tożsamości osoby z rysopisem, personaliami i odcinkiem palca, akcję zaopatrzenia ludności w takie dowody przeprowadzała żandarmeria, przy udziale personelu gminnego, który dowody wypełniał. Żandarmi odbierali odcisk palca i na dowodzie przykładali pieczęć z hitlerowską wroną z numerem ustalonej w tym celu jednostki żandarmerskiej, odtąd każdy dorosły mieszkaniec obszarów przyłączonych do III Rzeszy, składał się z ciała, duszy i tego ausweisu. Biada temu, który nie mógł się wykazać ausweisem, był bowiem podejrzany i w rezultacie powiększał grono więźniów obozów koncentracyjnych, lub ponosił drastyczne w najlepszym razie konsekwencje.

Dla zaopatrzenia w wyznaczonym terminie ludności w tymczasowe dowody tożsamości, gmina podzielona była na kilka obwodów. Mnie, Bobińskiego i Irenę Popielarczykównę wyznaczono do obwodu z punktem w Słoniawach, gdzie zaopatrywano w dowody ludność z wiosek położonych przy Makowie. Było to w grudniu 1939 r. Cały aparat to znaczy nas i żandarmów wraz z potrzebnymi drukami dostarczono do Słoniaw podwodą. Zaopatrywanie w dowody odbywało się u sołtysa Bartosiewicza. W miejscu gdzie jest znak wycięcia była okrągła pieczęć z orłem hitlerowskim. Wycięcie nastąpiło w Urzędzie Skarbowym (po wojnie) przy wymianie marek niemieckich na złote polskie. Postanowiliśmy gwizdnąć żandarmom pewną ilość, ile się da druków In blanco, wiedzą o tym, że bardzo nam będą potrzebne dla zaopatrywania w dowody osób takich, które się nie mogą na oczy żandarmom pokazać, oraz różnych z innych miast i okolic, a ukrywających się na terenie gminy. Zadanie nie lada. Dumamy nad tym, jakby tu odwrócić uwagę żandarmów od stolika, na którym leży stos druków i pieczęć: z drukami nie kłopot, bo są pod naszą opieką, gorzej z pieczęcią, którą żandarmi po skończonych czynnościach ze sobą zabierają i pieczęci tej nikomu do rąk nie dają. W zamiar nasz wtajemniczyliśmy sołtysa Bartosiewicza.

Nadspodziewanie udało się nam, a przebieg był następujący: gdy ludność przewaliła się już przez pokój w którym zaopatrywano w dowody tożsamości, utrudzeni żandarmi kazali pakować manatki. Jakby na zawołanie zjawia się sołtys i zaprasza na obiad zapewniając, że obiad jest gut, a wódka sehr gut. Na taką propozycję żandarmi zawahali się, a my czekamy na to, czy pakować manatki czy nie. Na to Sołtys - ja proszę niech panowie zaczekają jeszcze, przyjdą jeszcze po dowody moi znajomi, którzy dotąd nie mieli czasu. Chodźcie panowie na obiad a tu się zamknie na klucz. Mówiąc to, bierze dwóch żandarmów pod rękę i siłą wyprowadza na drugą stronę domu, po czym wraca do nas. My przez ten czas zdążyliśmy ostemplować całą kupę blankietów i dobrze je przy sobie schować. Wchodzimy do izby, w której na stole stoi już dobry obiad i wódka. Sołtys starszemu żandarmowi oddaje klucz od pokoju, w którym na stole została pieczęć i blankiety. Obiad przeszedł w dobrej atmosferze tym bardziej, że żandarmi dalecy byli od podejrzeń, a nam się sztuka udała.

Ach jak bardzo przydały nam się ostemplowane blankiety. Kilkadziesiąt osób, różnych zbiegów, poszukiwanych i podejrzanych w tym wielu warszawiaków otrzymało od nas legalne ausweisy. Wystarczyło tylko odpowiednio blankiet wypełnić i zaopatrzyć w odcisk palca i po krzyku. Gość zaopatrzony w taką palcówkę już nie wzbudzał podejrzeń i mógł do czasu swobodnie kręcić się po terenie.

Na wszelki wypadek pozostawiliśmy sobie kilka blankietów w rezerwie, które nam się później bardzo przydały.

W Makowie wtajemniczeni kierowali zbiegów do Szelkowa. Idźcie powiadają do Szelków, tam dostaniecie ausweis. Wielu ludziom udzieliliśmy w ten sposób pomocy i wielu wskutek tego uniknęło więzień lub obozów koncentracyjnych.

Drugim razem palcówki wydawaliśmy w drugim punkcie gminy zdaje mi się że w Zakliczewie. Tam byli obcy żandarmi, to znaczy nie Szelkowscy, a przydzieleni z innych posterunków. Jeden młody wiekiem żandarm przygadał się do mnie, pytając skąd ja znam język niemiecki. Ze szkoły odpowiedziałem, a skąd pan rodak pyta. Z Galicji odpowiadam, spod dawnej monarchii austriackiej. Na to żandarm już nieco przyjaźniej: Ja też pochodzę stamtąd, bo uchodziłem się w Neu Sandez, to znaczy w Nowym Sączu, nazywam się Górka. Mówi o tym do mnie naturalnie po niemiecku. O... to pan Polak mówię, - Aber wo? Ich bin deutsche, odpowiada. Ano tak myślę sobie ojciec Górka, na pewno był w wojsku austriackim zupakiem, to znaczy podoficerem zawodowym w Nowym Sączu urodził mu się syn, następnie mógł być przeniesionym w głąb Austrii i tam mały Górka w otoczeniu niemieckim zniemczył się, a w latach późniejszych przybył z okupacją do Polski, by ćwiczyć batem swoich rodaków) w imię idei Reichu niemieckiego.

Tu Górka w Szelkowie, Sowa, Barczewski, w Karniewie postrach okolicznej ludności żandarmi, Glomb czyli Głąb którego matka będąc u niego w odwiedzinach w chusteczce na głowie i różańcu na szyi upomniała: Nie bij ich syneczku, bo to twoi bracia, a wyrodny, zniemczały syneczek, o byle co bił i kopał każdego kto mu się pod rękę nawinął. O, losie polski. Ileż nieszczęść przyniosło rozdarcie Polski na trzy zabory. Ileż wynarodowień, ileż zaprzaństwa świadomego i może i nieświadomego a z winy zniemczenia.

Te tymczasowe dowody tożsamości, a nazywane przez nas palcówki, wymienione zostały w roku 1943 na kenkarty z fotografiami.

Henryk Sikora

Budynek, w którym w latach 1948 – 1951 mieściła się Gromadzka Biblioteka w Szelkowie. Zdjęcie z publikacji „Ocalić od zapomnienia" Powiat Makowski strona 207.

Od redaktora wydania

Ciekawi i wartościowi ludzie są wszędzie i zawsze, problemem jedynie jest ich dostrzeżenie - Henryk Sikora do nich z całą pewnością nalezy.

Jedni mówili o nim porządny człowiek, drudzy – fantasta, trzeci – człowiek władzy, czwarci – mądry, życzliwy i życiowy człowiek – ocen jest wiele, jednak niewielu pozostawiło po sobie tak mocnego jak On śladu - i w pamięci ludzkiej, i na piśmie, czego niezbitym dowodem jest niniejsza publikacja.

W świadectwo Henryka Sikory, ani przez chwilę nie wątpiłem – dla mnie jest ono prawdziwe. Być może bywa chwilami lekko „wypaczone" rzeczywistością czasów, w których przyszło mu żyć, jednak przebija przez nie człowiek myślący, wrażliwy, pełen spostrzeżeń i refleksji, bystry obserwator, człowiek życzliwy innym ludziom, jednocześnie świadomy i sprawny administrator.

Wspomnienia zakreślone w poprzednim wydaniu Krasnosielckich Zeszytów Historycznych przybliżają człowieka zanurzonego w Krasnosielckie urzędowanie - niniejsze natomiast pokazują ze znacznym dystansem tego, który doświadczył wygnania i wojny oraz obcej, upokarzającej okupacji.

Wdzięczność za utrwalenie przeszłości należy się głównie samemu Henrykowi Sikorze, ale również Waldemarowi Jaźwińskiemu - wnukowi Pana Henryka, który zdecydował się opublikować niniejsze wspomnienia, Piotrowi Wiesławowi Matejukowi, który odważnie szukał sposobu ich publikacji, Joannie Rzepka za żmudne przepisanie rękopisów i szeroką pomoc.

Kto przeczytał je raz, z pewnością powróci do nich co najmniej raz jeszcze, doświadczajac zarówno smutku - czytając o czasach wojennej tułaczki, jak i radości płynącej ze smakowania poczucia humory autora. Z całą pewnością jednak nie napotka sztywnego i nadętego języka notabla. Autor to człowiek pełen poczucia własnej wartości jednak bez cienia pychy, i niech to stwierdzenie będzie nam najlepszym przewodnikiem.

Sławomir Rutkowski

Fragmenty wspomnień Ludwika z rodu Brzezińskich. Lata 1928 – 2012

Ludwik BRZEZIŃSKI

Kolonia – taką nazwę nosiła jedna z wiosek w gminie Krasnosielc powiatu makowskiego województwa warszawskiego, w której żyła i mieszkała rodzina Czesława i Antoniny Brzezińskich. W rodzinie tej 4 listopada 1928 roku przyszedł na świat drugi z kolei syn, którym byłem ja. Nadano mi imię Ludwik, po dziadku Ludwiku Brzezińskim.

Rodzice moi posiadali gospodarstwo rolne o powierzchni siedem hektarów. Za czasów zaboru rosyjskiego czyli za carów ojciec mój, Czesław, ukończył cztery klasy szkoły. Był zdolnym człowiekiem. Czytał bardzo dużo książek, miał nawet własną bibliotekę, z której korzystali okoliczni mieszkańcy. Przed II wojną światową (lata 1925-1939) brał czynny udział w rozwoju postępu rolniczego i społecznego wsi. Organizował działalność rolników w Kółkach Rolniczych, zakładał i prowadził poletka doświadczalne roślin uprawnych zbóż i okopowych. Organizował również Bank Kasę Stefczyka w Krasnosielcu i Różanie, gdzie jednocześnie był ich księgowym.

Wioska Kolonia, w której się urodziłem i dorastałem, była jedną z większych w gminie, posiadała dwa przysiółki: Podnierówkę i Wypędzichę (liczyła ponad 150 numerów kominów). Poza tym prawie łączyła się z gminą osadą Krasnosielc. Stąd też i młodzieży było sporo. Ja, jako młody chłopak, większość czasu spędzałem w Krasnosielcu. Tu chodziłem do przedszkola, szkoły podstawowej i kościoła.

Dzieci wiejskie od najmłodszych lat musiały ciężko pracować w gospodarstwach swoich rodziców, a nawet w celach zarobkowych i odrobkowych u sąsiadów. Mimo tych ciężkich i trudnych warunków istniało dobrze zorganizowanie życie kulturalne. Wystawiane były jasełka i różne przedstawienia, organizowane przez wiejską ludność. Osobiście występowałem w roli diabła Kusego, a także śpiewałem piosenki na przeróżnych imprezach. Były to lata 1935-39, występowałem więc od czwartego do siódmego roku życia. Swój wolny czas od zajęć często lubiłem spędzać również w Osadzie Krasnosielc, gdyż często organizowano tam jarmarki, zawody sportowe czy odpusty. Dużo czasu spędzałem grając w grę „dwa ognie" i „gry w guziki". Przyciągała mnie tam też rzeka Orzyc, w której przez całe lato można było korzystać z kąpieli. Nie mało też czasu spędzałem na łowieniu ryb wędką (te hobby pozostało mi do dziś). Trzeba powiedzieć, że w okresie przedwojennym Orzyc był bardzo zarybioną rzeką. Ryby łowiłem na niemalże wszystko: ziemniaki, robaki, muchy, skoki, gryczaki, jętki, ćmy i wszystkie inne robactwo. Od tych przyjemnych zabaw – rozrywek trudno było się oderwać i wrócić na czas do domu, by kolejnie wypędzić krowy na pastwisko do Superunku czy Sulichny. Pamiętam dzień, gdy po

Czesław i Antonina Brzezińscy z synami: Ryszardem i Ludwikiem, 1930 rok

mojej pierwszej komunii świętej poszliśmy grać w guzy, wróciłem późnym wieczorem do domu. W progu domu czekał na mnie ojciec trzymając w ręku pas. – No – pomyślałem – będzie lanie – rozgrzeszanie. A że byłem dobrze wychowany, powiedziałem na powitanie „niech będzie pochwalony". Ojciec spojrzał na mnie i po pewnej chwili odpowiedział „na wieki wieków". Roześmiał się w duchu i zapiął pas na spodniach, a mnie się wtedy upiekło.

Rodzice moi chcieli mnie dobrze wychować i pokierować na mądrego człowieka. Już od 3 roku mojego życia posłali mnie do przedszkola – wówczas nazywało się ochronką. Do ochronki chodziłem chętnie, może dlatego, że po drodze wstępowałem do piekarni pana Łasiewicza i brałem bułkę (bez wiedzy rodziców) za 50 groszy na kredyt – co było w tamtych czasach smakołykiem. Mimo tego, że nie byłem gapowaty, a pani przedszkolanka mnie nie dopilnowała, wpadłem pod jadącą ulicą furmankę. Na szczęście tylko mocno się potłukłem.

Do szkoły podstawowej uczęszczałem w Krasnosielcu. Nauczyciele i wychowawcy twierdzili, że miałem dobry charakter, ale tylko w pisaniu. Uczyłem się nie najgorzej, ale piątki miałem tylko ze śpiewu i religii. Często jednak dostawałem od księdza Marka gumą za niewłaściwe zachowanie.

1 września 1939 roku wojna przerwała naukę w szkole podstawowej. Zdążyłem ukończyć cztery klasy i nastąpiła okupacja Polski przez Niemcy hitlerowskie. Miałem wtedy niespełna 11 lat. Wojna w Krasnosielcu rozpoczęła się, gdy wysadzono w powietrze mostek na Orzycu przez wojsko polskie przed zbliżającym się wojskiem niemieckim od strony Chorzel. Rano, jak tylko się rozwidniło, Niemcy przeprawili się już przez rzekę i zmechanizowane wojsko motocyklami i samochodami jechało szosą w kierunku Sielunia i Różana.

W Krasnosielcu Niemcy nie napotkali na żaden opór – oprócz wysadzenia mostu na Orzycu, o czym wcześniej wspomniałem. Szosa była w tumanie kurzu, a w powietrzu huczało od pojazdów i samolotów. Starsi mężczyźni uciekali przed nadchodzącym frontem, by nie dostać się do niewoli. Ja zostałem tylko z mamusią, bo tatuś ze starszym bratem też uciekli. Powrócili szczęśliwie po dwóch tygodniach. U nas było już w tym czasie dużo Niemców, którzy stanowili zaplecze frontowe. Byli to ci, którzy dobrze mówili po polsku, co ułatwiało nam wyjaśnianie nieraz bardzo trudnych sytuacji. Głównym moim zajęciem w lato stało się pasanie krów, a zimą odśnieżanie dróg, gdyż zimy były mroźne i śnieżne. I tak było do marca 1942 roku. Nadszedł jeden z najgorszych okresów w moim życiu.

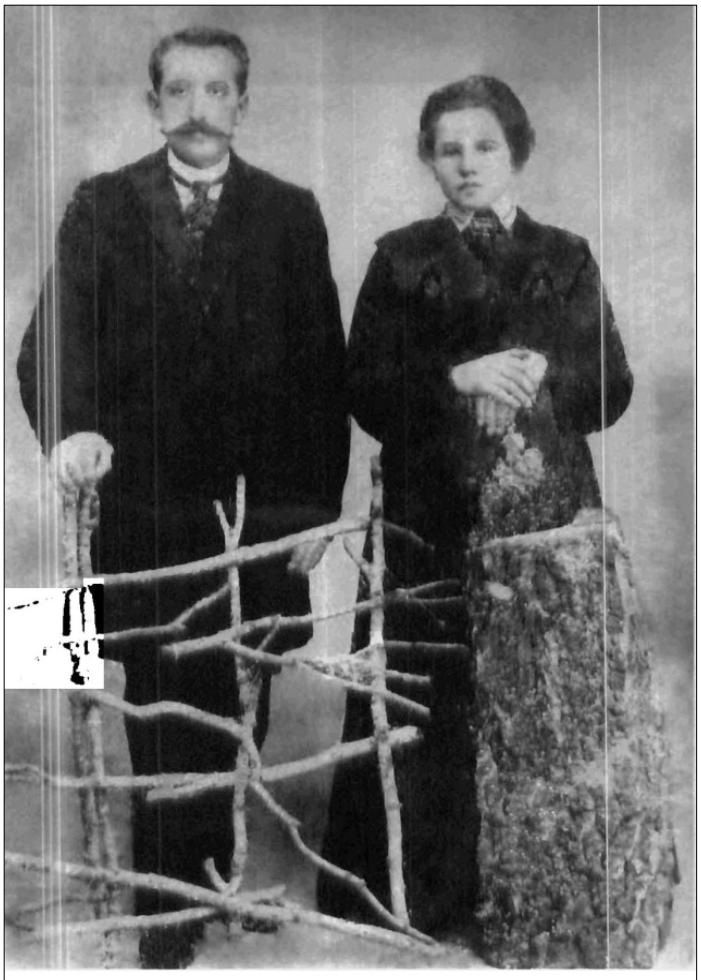

Dziadkowie Ludwika Brzezińskiego: Ludwik Brzeziński /senior rodu/ oraz jego żona Anna z domu Zduniak /z Przytuł/, 1901 rok.

Mając 13,5 roku życia zostałem objęty kontyngentem i wyznaczony przez sołtysa wsi na przymusowe roboty do Niemiec. Z całej gminy i okolic zebrano ponad dwieście młodszej i starszej młodzieży i zamknięto w barakach stojących na rynku w Krasnosielcu. Żandarmeria z psami obstawiła te baraki i nie pozwolili nikomu wychodzić. Nawet rodzicom nie wolno było się zbliżać, by mogli podać nam coś z odzieży czy żywności. Razem ze mną został zabrany mój starszy o dwa lata brat Ryszard. Było to 20 marca 1942 roku. O świcie dnia następnego podjechały samochody ciężarowe, na które nas załadowano. Płacz rodziców przerodził się w lament, a szum samochodów oraz krzyki żandarmerii stworzyły taki obraz i widowisko, którego się nie da nigdy zapomnieć. Samochody ruszyły i odjechały. W każdym samochodzie było dwóch żandarmów, jeden z tyłu a drugi z przodu. Wieźli nas drogą, z której było bobrze widać mój dom rodzinny, co jeszcze bardziej potęgowało żal i rozpacz.

Na czwartym kilometrze od Krasnosielca, w Pienicach, na zakręcie wyskoczył jeden z kolegów, któremu udało się uciec. Drugi zaś został w czasie skoku zastrzelony, gdyż był już wcześniej obserwowany przez żandarma Barezowskiego. Transport, w którym nas wieźli, zatrzymał się w Ostrołęce. Tam czekały na nas również baraki, w których przetrzymywano nas dwa dni. Pierwszego dnia zaprowadzono nas do łaźni. Zrobiono nam bardzo nieprzyjemną kąpiel, a ubrania i bieliznę zdezynfekowano na gorąco śmierdzącymi środkami chemicznymi, które zniszczyły całkiem wszystko to, co było skórzane. Z mojego kożuchowego serdaka została gała, którą nie dało się rozprostować. Następnego dnia mój szkolny kolega Zygmunt Studziński próbował uciec wyskakując przez okno. Jednak dogoniły go psy i ucieczka się nie udała. Został strasznie zbity przez żandarmów. Nie dawano nam ani jeść ani pić. Uprosiłem żandarma, który nas pilnował, żeby pozwolił mi pójść do stojącej obok baraku pompy po wodę. Niemiec zgodził się, ale kazał mi się rozzuć i zdjąć skarpety, żebym nie uciekł – był mróz i śnieg. Poszedłem boso i przyniosłem wiaderko wody, którą się troszkę pożywiliśmy.

Po dwóch dniach tj. 23 marca 1942 roku doprowadzili nas do stacji kolejowej w Grabowie, gdzie po załadunku do wagonów powieźli nas w nieznanym mi kierunku. Kilku starszych i odważniejszych kolegów wyskoczyło w czasie jazdy z pociągu i udało im się uciec – m.in. Klik sąsiad z mojej wioski. Po przejechaniu pociągiem godziny, może dwóch, nastąpiło silne zderzenie i pociąg zatrzymał się. Okazało się, że pociąg zderzył się z lokomotywą, która jechała z przeciwnej strony. Na szczęście ofiar wśród nas nie było – zginął maszynista, który prowadził pociąg. Zrobiło się straszne zamieszanie. Niemcy natychmiast obstawili wszystkie wagony. W wielkim pośpiechu kazano nam wyjść z wagonów i ustawić się czwórkami. Następnie poprowadzono nas przez las. Było już ciemno a nas dalej prowadzili. Dopiero jak wyszliśmy z lasu zobaczyliśmy, że idziemy do jakiegoś miasta, od którego odbijał blask oświetlenia elektrycznego. Po długim marszu, a śnieg był po kolana, zmęczeni doszliśmy do miasta. Umieszczono nas w salach budynku, który stał nad jeziorem i był ogrodzony siatką drucianą. W budynku tym przesiedzieliśmy do rana. Rano, po raz pierwszy od dwóch dni, dano nam zupę i czarna kawę. Wyszedłem na zewnątrz z trzema kolegami i tu spotkało nas pierwsze powitanie na terenie Prus Wschodnich. Grupa Niemców zaczęła nas obrzucać kamieniami i różnymi wyzwiskami, których nie wszystkie można było zrozumieć. Jak się dowiedzieliśmy miastem tym było Szczytno. Koło południa okoliczni Niemcy wybrali spośród nas okazalszych i silniejszych do roboty. Zapłacili za każdego po dziesięć marek i pojechali z nimi do swoich gospodarstw.

Pozostali, wśród których byłem ja i mój brat, zostaliśmy odprowadzeni na stację kolejową i powiezieni dalej. Następny postój mieliśmy w pięknym, dużym budynku stojącym w lesie. Była duża sala ze sceną, na której stał fortepian. Tu długo nie byliśmy, gdyż jak tylko przyjechaliśmy, Niemcy już na nas czekali. Z miejsca nastąpiła selekcja. Byliśmy ustawieni jak do odbioru defilady. Niemcy przechodzili się przed nami w tą i z powrotem. Upatrywali sobie odpowiednich osobników do roboty. Jedni brali tylko jednego, inni dwóch lub trzech i po opłaceniu po dziesięć marek za jednego kwitowali, zabierali i odjeżdżali. Ja nie miałem powodzenia i nie byłem potrzebny, gdyż byłem za młody – 13 lat i nieduży. W momencie, kiedy Niemiec wyciągnął z szeregu mojego starszego brata Ryśka, zrobiło mi się tak żałośnie, że zostanę sam i nie widomo kto i gdzie mnie zabierze i w jakim kierunku wywiezie. Rozpłakałem się prosząc Niemców, by wzięli mnie razem z bratem przynajmniej do jednej wioski. I tak też się stało, Niemcy usłuchali mojej prośby, a może się nawet zlitowali nad małym Ludwikiem. Po załatwieniu formalności wsiedliśmy z bratem do bryczki i podwieziono nas do stacji kolejki wąskotorowej w Mrągowie. Kolejką tą dojechaliśmy do wsi Wajsenburg, dwadzieścia kilometrów od Mrągowa. Tu nastąpiło rozstanie z moim bratem.

Rodzinny dom Czesława i Antoniny Brzezińskich

Był to marzec 1942 roku. Ja zostałem u baora, którego zabudowania były położone około trzysta metrów od szosy, a Ryśka powieźli dalej. Poczułem się już całkowicie samotny, wywieziony od matki i ojca, a teraz i bez brata. Pocieszeniem dla mnie było to, że w tym gospodarstwie był już jeden Polak, z którym mogłem porozmawiać i dowiedzieć się o wszystkich sprawach. Miejsce do spania dano mi na strychu. Pewnej nocy miałem sen, że uciekam i rzeczywiście musiałem uciekać, bo prosto z łóżka wpadłem w jakieś metalowe przedmioty i strasznie się potłukłem.

Niemcy – gospodarze traktowali mnie dobrze, wszelkie posiłki, śniadania, obiady i kolacje, podawali mi w ich mieszkaniu i dostawałem to samo, co sami spożywali. Praca moja, jaką mi przydzielono, to obrządek krów – zadawanie pasz i usuwanie obornika. Tego samego dnia, którego byłem przywieziony do Wajsenburga, napisałem i wysłałem list do rodziców, w którym poinformowałem, gdzie się obecnie znajduję. Po niespełna tygodniu otrzymałem paczkę i list od rodziców. W paczce była osuszona kiełbasa, masło i torebka cukru. W liście tatuś m.in. napisał tak: „ty jesteś na północy, a my na południu, gdzie świeci słońce, a w nocy z tyłu, za twoimi plecami jest na niebie wielki wóz". Mimo dziecinnego wieku zrozumiałem, że była to informacja i pouczenie jak się zachować, żeby mieć orientację w razie ucieczki, i że w domu na nas czekają. Nie zwlekając poprosiłem swoich gospodarzy, żeby pozwolili mi odnaleźć i odwiedzić brata.

Od lewej: Ryszard Brzeziński, Ludwik Brzeziński oraz Stefan Dębek z Krasnosielca Kolonii obecnie Nowy Sielc /ostatni z wymienionych to ojciec ks. Ryszarda Dębka, długoletniego kapelana Klubu Honorowych Dawców Krwi „Nadzieja" zmarłego w 2011 roku/. Zdjęcie z 1944 roku.

W niedzielę, po obiedzie, wyruszyłem na poszukiwanie starszego brata. Ponieważ nie wiedziałem, gdzie został przyjęty do pracy, chodziłem od jednego do drugiego gospodarstwa wypytując się o Ryszarda Brzezińskiego. Było to bardzo ciężkie i trudne, gdyż nie była to wioska o zwartych zabudowaniach, a jak to nazywano na planach lub koloniach. Jedno gospodarstwo

Ludwik Brzeziński, 12 lat

znajdowało się w odległości do trzech kilometrów od drugiego, a na dodatek duże śniegi. Wstępowałem do kilku gospodarstw, aż w końcu po kilku godzinach odnalazłem poszukiwanego brata.

Sprawiło to wiele radości. Odległość, jaka nas dzieliła, wynosiła dziesięć kilometrów. Było to bardzo duże gospodarstwo. Tej niedzieli odbywała się tu potańcówka dla Polaków i niewolników innych narodowości. Właśnie tam, na tej zabawie, stał pod ścianą brat i obserwował jak starsi tańczyli. Zbliżał się wieczór, a ja musiałem wracać do swojego pana. Nie było czasu na dłuższą rozmowę. Krótko powiedziałem o liście i paczce, którą otrzymałem od rodziców. Paczkę tę i list rodzice przysłali na mój adres, bo ja pierwszy napisałem do nich i podałem miejsce mojego pobytu. Następnie powiedziałem bratu, że musimy uciekać do domu. Ryszard, który był ode mnie starszy, bo miał już 15 lat, tłumaczył mi, że niebezpiecznie jest uciekać, gdyż jak nas złapią, to mogą rozstrzelać. Ale moja tęsknota za domem była silniejsza od strachu. W końcu brat się zgodził. Ustaliliśmy, że w przyszłą niedzielę o godzinie 13.00, po zjedzeniu obiadu, opuszczamy swoich gospodarzy i uciekamy. Był to kwiecień 1942 roku. Pogoda w tym dniu była piękna, słońce topiło warstwę śniegu. Z głównej drogi, która prowadziła z Mrągowa do Giżycka szybko zeszliśmy w pole w kierunku świecącego słońca czyli na południe. Jak pisał w liście tata. Słońcu zawdzięczaliśmy to, że było dla nas drogowskazem. Z drugiej zaś strony rozpuszczało śnieg, a woda moczyła nam nie tylko trzewiki, ale skarpety i spodnie do kolan. Było to bardzo dokuczliwe, nie można było suszyć mokrych rzeczy, gdyż nocą wszystkie marzły.

Krajobraz był przeźroczysty. Widoczny był cały horyzont. Białe tło śniegowe, na którym porozstawiane były pagórki porośnięte wysokimi świerkami, a doliny wypełniały się wodą z topniejącego śniegu. Pierwsza godzina po ucieczce i już pierwszy strach. W odległości do dwóch kilometrów ujrzeliśmy idącego człowieka. Skojarzyliśmy sobie, że zachodzi nam drogę i chcą nas złapać. Prawie biegiem dobrnęliśmy do kępy lasu i wdrapaliśmy się na świerki. Siedzieliśmy na nich bardzo cicho, aż do dobrego zmroku. Gdy wokół było cicho zeszliśmy i po zorientowaniu się o kierunku dalszego marszu, ruszyliśmy w drogę. Nocą strony świata rozpoznawaliśmy po gwiazdach i księżycu, a w dni pochmurne po pniach drzew i większych kamieniach. Przydała się nauka z pierwszych klas szkolnych, że na północnej stronie pni drzew i większych kamieni zachowuje się więcej wilgoci, co pozwala na porost mchów i porostów.

Ucieczka była trudna, odbywała się głównie nocą, ponieważ w dzień można było być łatwo zauważonym. W czasie jednej nocy zmyliliśmy drogę, a dlatego, że było duże zachmurzenie i nie było widać żądnych znaków na niebie. Całą prawie noc szliśmy w przeciwnym kierunku. Zorientowaliśmy się dopiero po rozwidnieniu. Było to dla nas bardzo przykre, bo straciliśmy sporo czasu i siły. Dni spędzaliśmy w gęstych zaroślach, jak najdalej od zabudowań. Brat miał przy sobie książkę Pan Tadeusz, którą czytał przy każdym odpoczynku. Ja natomiast próbowałem suszyć skarpety i spodnie, lecz nic z tego nigdy nie wychodziło, o tej porze roku powietrze było zbyt wilgotne i zimne.

Ludwik Brzeziński, w wieku 16 lat, 1944 rok.

Następną noc przeżyliśmy w ogromnych strachu. Musieliśmy przejść wysokim nasypem kolejowym, gdyż po obu stronach były jeziora. Idąc torami zauważyłem w odległości około stu metrów błysk zapalonego ognika – jakby od zapałki. Zatrzymaliśmy się. W tym momencie usłyszeliśmy, że ktoś się do nas zbliża. Zostaliśmy zauważeni – pomyślałem. Bez namysłu zsunęliśmy się z wysokiego nasypu w dół do samej wody jeziora. Dwie postacie podeszły do miejsca, z którego się zsunęliśmy i stanęły. Byli to Niemcy z karabinami. Na szczęście nie mieli psów, a noc była bardzo ciemna. Poszwargotali coś do siebie i odeszli. Leżąc nad jeziorem słyszałem tylko bicie swego serca i odchodzące kroki niemieckich butów. Po chwili, prawie na czworakach oddaliliśmy się od miejsca, gdzie życie nasze wisiało na włosku. W pośpiechu tej ucieczki weszliśmy w kilkukilometrowy czupel jeziora, co zmusiło nas do cofnięcia się o kilka kilometrów.

Z każdym dniem, a szczególnie każdej nocy, byliśmy coraz bardziej osłabieni. Tym bardziej, że głównym i jedynym naszym pożywieniem była osełka masła i torebka cukru. Chleba nie mieliśmy, a do picia była woda z topniejącego śniegu. To dzięki osełce masła i cukru przeżyliśmy trzy dni i trzy noce. Nie wiedziałem, jak daleko jeszcze mamy do domu i gdzie się znaj-

dujemy. Szliśmy dalej z myślą, że zbliżamy się do rodziców i rodzinnego domu. Była księżycowa noc, weszliśmy w las, przez który trudno się było przedrzeć. W dodatku śnieg mieliśmy po pas. W pewnym momencie doszliśmy do polanki, na której nastąpił głośny trzask gałęzi. Strach mocy nie ma.

W sekundzie czasu znaleźliśmy się na drzewie, była to niezbyt gruba i niewysoka sosna. Po uspokojeniu nerw i odejściu strachu, doszliśmy do wniosku, że było to stado zwierząt – dzikich świń lub jeleni. Nie czekając długo ruszyliśmy dalej. Musieliśmy się spieszyć, bo kończyło nam się jedzenie. W tym samym lesie napotkaliśmy jeszcze jedną przeszkodę. Była to zapora z drutu kolczastego. Nie było innej drogi, trzeba było przejść na drugą stronę czołgając się. Całe szczęście, że druty nie były pod napięciem elektrycznym. Ja mały i szczupły miałem większą szansę przedostania się pod drutami. Bratu było trudniej, bo był trochę tęższy. Ale nam obojgu udało się pokonać tą przeszkodę. Na drutach zostawiliśmy strzępy naszej odzieży, a na rękach mieliśmy podrapaną skórę. Poszliśmy dalej, całkiem głodni i coraz słabsi. Brat był silniejszy ode mnie, z trudem dotrzymywałem mu kroku. Głównym pożywieniem pozostała nam już tylko woda z topniejącego śniegu.

… biedni ludzie, ale bogaci w dobroć

W pewnym momencie naszej wędrówki usłyszałem pianie koguta i powiedziałem bratu, że to już Polska, bo kogut pieje po polsku. Sam nie wiedziałem czy to był żart czy fakt, że naprawdę weszliśmy na tereny polskie. Gdy wyszliśmy z lasu, ujrzałem zabudowania i domy drewniane ze słomianymi dachami. Dało to pewne przekonanie, że jest to naprawdę polska wieś. Ale strach jeszcze nas nie opuszczał. W odległości dwustu metrów ujrzałem człowieka, który zachodził nam drogę. Nie wiem czy z przekonania widzących drewnianych budynków krytych słomą, czy z osłabienia – nie próbowaliśmy uciekać. Człowiek ten był mężczyzną w starszym wieku. Zatrzymał nas i powiedział, byśmy się nie bali, że pewnie uciekamy z Niemiec. Potwierdziliśmy jego słowa. Powiedział, że z pewnością jesteśmy głodni i zabrał nas do swojego domu. Mieszkali w nim biedni ludzie, ale bogaci w dobroć. Poczęstowali nas ciepłą kapustą. Wysuszyliśmy sobie odzież, obuwie i skarpety. Trochę odpoczęliśmy i dziękując za posiłek ruszyliśmy czym prędzej do rodzinnego domu. Teraz już nie bałem się cywilów, a jedynie umundurowanych żandarmów. Ostatnią przeszkodą, jaka pojawiła się na naszej drodze, była rzeka Omulew, na której płynęła już kra. Jedynym miejscem przejścia był most we wsi Kopaczyska. Most ten był pułapką na uciekających z niemieckiej niewoli Polaków. Właśnie przed naszym przyjściem do Kopaczysk, żandarmi złapali na tym moście uciekającego mężczyznę. Po przywiązaniu go do konia poprowadzili na posterunek. Miejscowi ludzie skierowali nas na most i powiedzieli „szybko przechodźcie i uciekajcie, bo żandarmi zaraz tu wrócą". Stąd do domu droga była już prosta, chociaż zawsze niebezpieczna. Radość rosła z godziny na godzinę. Coraz bliżej – może się uda. No i udało się, bo słońce było jeszcze na niebie,

Wajsenburg – obecnie Wyszembork k/Mrągowa, miejsce przymusowych robót

gdy ujrzałem swój dom i pole, na którym rodzice sadzili ziemniaki.

Radość była duża, a płaczu jeszcze więcej, ale tym razem były to łzy szczęścia. Mimo tego, że ucieczka z Niemiec się udała i wróciliśmy do domu, to przebywanie z rodzicami nie było jednak możliwe. W każdej chwili mogli przyjść żandarmi, a za ucieczkę zawsze groziła śmierć. Musiałem się ukrywać. W tej sytuacji wyjechałem do wsi Szczeglin w gminie Sypniewo i u pana Henryka Rekosza – dobrego znajomego mojego taty – przebywałem do czasy, gdy była pewność, że Niemcy mnie nie poszukują.

Po powrocie do rodzinnego domu nie skończyły się kłopoty. Niemcy nie dali żyć spokojnie. Front radziecko–niemiecki od wschodu zbliżał się w coraz szybszym tempie. Niemcy ponownie rozpoczęli pobór i łapanki do kopania okopów. Nie ominęło to i mnie, zostałem wzięty do kopania rowów strzeleckich w górach we wsi Rawy i Olki. Kwaterowano nas w stodołach w Pienicach. Byłem blisko mojego domu, bo zaledwie w odległości trzech kilometrów. Jednak wachmani nie chcieli po pracy puszczać mnie na noc do domu. Bali się, że na drugi dzień nie wrócę. Pewnego dnia udało mi się przekonać wachmana – Niemca, który zgodził się puścić mnie na noc do rodziców. Pospieszyłem się, wykopałem swoją normę, było to dziesięć kroków rowu strzeleckiego, o szerokości sześćdziesiąt centymetrów i głębokości sto czterdzieści centymetrów. Wachman stwierdził, że robotę zrobiłem i kazał mi iść do domu. Zastrzegł surowo, że jutro rano muszę wrócić. „Dobrze" – odpowiedziałem i ruszyłem w stronę domu. Gdy przeszedłem około pięćdziesiąt metrów usłyszałem za sobą krzyk – „ucieka!". Obejrzałem się i ujrzałem biegnącego za mną jednego cywila. Człowiek ten kopał rów obok mnie. Dogonił mnie i chwycił za ramię wołając Niemca. Wachman w takiej sytuacji zaczął krzyczeć i kazał mi wrócić do roboty, mimo wcześniejszego pozwolenia pójścia do domu. Człowiekiem, który oddał mnie Niemcowi był Polak. Rakowski z sąsiedniej wioski Pienice. Było mi bardzo przykro, że Polak okazał się gorszy od Niemca.

Tej nocy, którą miałem przespać w domu, Niemcy podjechali samochodami, na które między innymi i ja zostałem załadowany. Przewieziono nas z Pienic na pruską granicę do miejscowości Pełty. Tu nadzór nad nami przejęło wojsko „SS". Kwatery mieliśmy w stodołach, w których nie było słomy. Oprócz własnego sukmanka nie było się czym przykryć. Po deszczowym dniu noc była okropna. Spało się w przemokniętym ubraniu i było bardzo zimno. Kolega mój Wacek Czajkowski zachorował i strasznie spuchł. Leżał w stodole bez żadnej pomocy medycznej przez kilka dni. Cudem wyszedł z tej choroby z życiem. W takich warunkach było naprawdę trudno wytrzymać, tym bardziej, że wszy tak się rozmnożyły, że człowiek był ścięty jak sito. Niemcy nie zwracali na to robactwo uwagi. Stosowaliśmy walkę z wszami we własnym zakresie. W czasie, gdy kopaliśmy okopy rozpalaliśmy ogniska. Nad płonącym ogniem strząsaliśmy wszy z bielizny i pozostałej odzieży. W ten sposób wszy były spalane. Po powrocie z roboty otrzymywaliśmy posiłek, zupę brukwianą, czarną kawę i pół kubka śmierdzącej wódki, która miała nas uchronić od wszelkich chorób.

Upłynęło dwa tygodnie, a ja jak zwykle tęskniłem za domem. Zupę na obiad dowozili nam do miejsca pracy. Pewnego dnia, po zjedzeniu, powiedziałem wachmanowi, że muszę iść do studni umyć menażkę. Niemiec zgodził się. Dołączyło do mnie jeszcze dwóch pracowników, z których jednym był Rumiński z Kogutkowa spod Pieńków. Studnia znajdowała się w gospodarstwie w odległości około stu metrów od okopów. Po umyciu naczyń zostawiliśmy je przy studni, a sami szybko udaliśmy się za stodołę i ile sił w nogach pobiegliśmy do zarośniętych krzewami łąk. Nie było słychać za nami strzałów, więc najwyraźniej nie zauważyli naszej ucieczki. Gdy pojawiłem się w domu była ogromna radość, a z drugiej strony jeszcze większy strach. Właśnie tej nocy SS-mani z Pełt przyjechali do Krasnosielca i złapali trzech uciekinierów z tych samych okopów, w których pracowałem ja. Między nimi był Waszkowski. Niemcy zabrali ich na miejsce ucieczki, sami sobie wykopali mogiły, nad którymi zostali rozstrzelani w czasie porannego apelu.

Rodzice mieli więcej kłopotu jak ja, co ze mną zrobić i gdzie mnie ukryć. Upłynęło parę tygodni, a ja nie miałem możliwości przebywa-

nia w domu. Kryłem się po różnych stodołach. W sąsiedztwie naszego gospodarstwa mieszkał Hazy, którego Niemcy ubrali w beżowy mundur, a my nazywaliśmy go foldojć. Co znaczyło, że był Niemcem. Chociaż trudno było go tak nazywać, bo nikomu nie szkodził. Z nim to właśnie mój ojciec dogadał się, żeby mnie więcej nigdzie nie wywozili, wtedy będę pasł u niego krowy. I tak się stało, byłem u foldojcia pastuchem. Okazało się jednak, że nie było mi pisane być przy rodzicach i w swoim domu. Nowy, nie wiadomo który już z kolei, pobór na okopy dosięgnął i mnie, nie pomógł i Hazy. Znalazłem się wśród dziesiątek mężczyzn, których załadowano na furmanki i wywieziono w kierunku Młynarzy.

Od matki dostałem na drogę chleb i gotowane jajka. Na jednym wozie ze mną jechał mój stryj Bolek. Było mi trochę raźniej, że jest obok mnie ktoś starszy z rodziny, choć ja miałem już wtedy 15 lat. Jazda w konie zdawała się strasznie długa. Konwój stanowił od dziesięciu do piętnastu wozów. Niemcy jechali na tych samych wozach z nami. Zbliżał się wieczór. Gdy dojeżdżaliśmy do wsi Długołęka pod Sieluniem rozglądałem się na wszystkie strony. Stryj to zauważył i zapytał, czy coś mi jest. Odpowiedziałem mu, że chcę uciekać. Powstrzymywał mnie w obawie, że mogą mnie zastrzelić. Jednak ja zdecydowałem, że będę z tej wsi uciekał. Oddałem stryjowi torbę z żywnością, a sam zsiadłem z wozu i skoczyłem przez rów. Skryłem się w zaroślach bzu, wysokich pokrzywach i chwastach pod płotem jakiegoś gospodarstwa wiejskiego. Słyszałem krzyki goniącego mnie Niemca – halt! stój! Wtuliłem się w gęste krzaki i pokrzywy. Starałem się siedzieć bez ruchu i jak najciszej. Było już szaro, w odległości dwóch metrów ujrzałem buty foldojcia. Doszedł do płotu i zatrzymał się. Rozmawiał trochę z żołnierzami niemieckimi, którzy kwaterowali na podwórku za płotem. Pomyślałem sobie, że znalazłem się w dobrym miejscu. Na szczęście był już dobry zmierzch. Niemiec odszedł, wozy odjechały, a ja odetchnąłem. Myśl o udanej ucieczce była tylko chwilowa. Gdy tylko zdążyłem się podnieść, usłyszałem – halt! Złapali mnie Niemcy, którzy kwaterowali w Długołęce, a byli poinformowani przez foldojcia, który nas konwojował. W ciemności zostałem wprowadzony do mieszkania, w którym przy biurku siedział gruby oficer niemiecki ze znakami „SS". Krótkie przesłuchanie, skąd jestem i dlaczego uciekałem. W tym momencie do mieszkania wprowadzony został starszy mężczyzna, który też próbował ucieczki i któremu nie udało się tak jak mi. Oficer zatelefonował gdzieś i długo rozmawiał. Zrozumiałem, że chodziło o to, co z nami ma zrobić. Z mieszkania zostaliśmy wyprowadzeni przed budynek, gdzie stał samochód osobowy. Było strasznie ciemno. Wsadzono nas do tego samochodu na tylne siedzenia. Z przodu, obok kierowcy, usiadł oficer wojskowy. Samochód ruszył, a siedzący z przodu oficer skierował w naszą stronę pistolet i tak głośno krzyczał, że głos ten pamiętam do dziś. Ja przytuliłem głowę do szyby, zamknąłem oczy i pomyślałem, że to już koniec.

Minęło może piętnaście minut, a samochód zatrzymał się. Wysadzono nas na jakimś podwórku. Stojący tam dom był drewniany i dobrze oświetlony. Przed domem tym stało dwóch żandarmów z psami. Niemcy porozmawiali ze sobą i samochód, który nas przywiózł, odjechał. Ja i mój towarzysz niedoli zostaliśmy zaprowadzeni do podziemnej piwnicy. Był w niej długi korytarz, w którym po obu stronach były drzwi pozamykane na kłódki. Zostaliśmy zamknięci w jednym z tych przedziałów. Była noc i nie wiedziałem, gdzie jestem. W rozmowie z tym starszym panem dowiedziałem się, że był to Stancel z sąsiedniej wioski Raki. Pan Stancel zapalił zapałkę, żeby oświetlić pomieszczenie, w którym nas zamknięto. Widok był przerażający. Na ścianach i podłodze były ślady krwi. Obaj doszliśmy do przekonania, że wątpliwe to, czy wyjdziemy stad żywi.

W krótkim czasie, bo zaledwie po pół godziny po naszym zamknięciu, usłyszałem otwieranie się frontowych drzwi. Głośne kroki stawiane po betonowej posadce korytarza zatrzymały się przed drzwiami naszej suteryny. Otworzyły się drzwi, a jednocześnie wpadło silne światło prosto w oczy. Żandarm spisał nasze dane personalne. Nie wiem, co było dalej, bo poczułem potem silne uderzenie w głowę. Gdy odzyskałem przytomność, w celi było ciemno i cicho, tylko gdzieś w górze, przez okratowane okienko przedzierał się blask światła. Siedzieliśmy tak w milczeniu, rozważając dalsze nasze losy. W pewnej chwili usłyszałem turkot podjeżdżających wozów i krzyki niemieckie. Domyślałem się, że to podjechał transport, z którego uciekłem. Tak też było. Do suteryn zaczęto wprowadzać ludzi. Otworzyły się też drzwi do mojej celi, w których ujrzałem tych Niemców, którzy nas konwojowali. Jedni drugich zapytali, czy to właśnie my im uciekliśmy. Foldojć to potwierdził. Do naszego przedziału weszło około dwudziestu mężczyzn, a wśród nich mój stryj Bolek. Gdy mnie tylko zauważył, ze zdziwieniem zapytał, co ja tu robię. Opowiedziałem mu moją historię. Oddał mi mój prowiant – chleb i jajka, które dałem mu przed próbą ucieczki. Teraz powinny mi się przydać – tak powiedział stryj. Wątpiłem w te słowa, bo zupełnie nie wiedziałem, co rano Niemcy ze mną zrobią. Może pokazówkę za ucieczkę? Nadszedł dzień. Niemcy, po otwarciu drzwi głównych i w poszczególnych celach, wypędzili nas na plac.

Było to niezbyt duże podwórko we wsi Młynarze. Po ustawieniu nas w szeregach, jeden z żandarmów powiedział: „Ci, którzy wczoraj uciekli i zostali złapani, niech wystąpią". Zadrżałem, a po całym ciele przeszły mi ciarki. Spojrzałem na pana Stancela i pomyślałem, że jeśli on wystąpi to i ja za nim. Pan Stancel był starszy, więc i mądrzejszy. Nie wystąpił, a mi przyszło do głowy, że żandarmi dokładnie wiedzą, kto uciekł, gdyż wcześniej nas opisali. Bałem się. Wystąpiłem pierwszy, a za mną pan Stancel. Zabrano nas na posterunek. Gdy wszedłem do pokoju, żandarm wysunął krzesło spod stołu i kazał mi położyć się do góry tyłkiem. Sam wziął ze ściany gruby, gumowy bat. Rozpłakałem się prosząc, żeby mnie nie bił. Tłumaczyłem moją ucieczkę tym, że moja mama została w domu sama i chora, gdyż reszta rodziny, tata i brat byli na okopach. Żandarm chyba to zrozumiał, bo przykazał mi tylko, żebym więcej nie uciekał. Potem kazał mi wrócić do szeregu. Trochę odżyłem i pomyślałem, że ten chleb i jajka zdążę jednak zjeść sam.

Następnego dnia rozpoczęła się już praca. Był to listopad 1944 roku. Kwaterowaliśmy w Młynarzach. Zajęciem naszym było kopanie rowów–okopów i wycinanie drzew i krzewów. Codziennie prowadzono nas nad Narew do takich wsi jak Kołaki i Ogony. W tym czasie słychać już było strzały, wybuchy bomb i pokazywały się kłęby dymów, a nocami łuny miejscowości na wschód od Narwi. Był to znak, że front zbliżał się coraz bardziej. Wojska niemieckie i wachmani, którzy nas pilnowali, byli coraz bardziej zdenerwowani. A eskadry samolotów niemieckich coraz częściej odbywały swoje loty.

Każdego dnia wieczorem, po skończonej pracy, Niemcy ustawiali nas w szereg, a po sprawdzeniu stanu osobowego prowadzili do Młynarz, gdzie znajdowała się kuchnia i kwatery. Pewnego dnia, kiedy to Niemcy prowadzili nas z pracy przez wieś Młynarze, w jednym z gospodarstw, w bramie ujrzałem ojca. Gdy nadszedłem bliżej, ojciec chwycił mnie za rękę i wyciągając z maszerującego szeregu, szybko ukrył w oborze zamykając za nami drzwi. Widziałem jak kolumna szła dalej. Niemcy na szczęście nie zauważyli. Nie tracąc czasu wyszliśmy na podwórko, na którym stał koń zaprzężony do wozu. Siedział na nim mój młodszy o 7 lat brat Jędrek. Ojciec otworzył bramę i z chwilą przejścia kolumny, na końcu której szło dwóch wachmanów, ruszyłem wozem za Niemcami. Jechałem za kolumną do głównej szosy. Ojciec poszedł pieszo, a mi kazał jechać w kierunku Krasnosielca. W odległości trzech kilometrów spotkaliśmy się i razem wróciliśmy szczęśliwie do domu. Była to już czwarta z poważniejszych moich ucieczek, za które groziła mi nawet utrata życia.

Była już późna jesień 1944 roku. Coraz częściej tabory niemieckie jechały ze wschodu na zachód. Uciekając przed nadchodzącym frontem. Armia Radziecka doszła do Narwi. Wycofujące się wojska niemieckie zabrały nam młodą, trzyletnia, siwą kobyłkę, którą chowaliśmy od źrebaka. Ja sam ją objeżdżałem wierzchem, jeździłem na niej na łąki do Sulichy. Nie było we wsi konia, który by ją prześcignął. Często robiliśmy zawody–wyścigi na koniach, o których nawet rodzice nie wiedzieli. Niemcy, którzy cofali się przed frontem, zabrali nam naszą ukochaną kobyłkę. W zamian zostawili białą, kulawą szkapę, która nie nadawała się do dalszej jazdy, tym bardziej, że Niemcy musieli szybko uciekać. Bomby i pociski artyleryjskie padały coraz bliżej Krasnosielca. Zaszła konieczność usunięcia się od głównego traktu wycofujących się wojsk niemieckich. Groziło to śmiercią od bombardowań bądź złośliwych Niemców. Razem z całą rodziną wyjechaliśmy w tą kulawą kobyłę do Pogorzeli k/Jednorożca. Zabraliśmy ze sobą krowę i kilka młodych kurek. W Pogorzeli zamieszkaliśmy u państwa Połomskich. Moim zajęciem było zabezpieczanie siana dla krowy. Siano to zbierałem na łąkach. Jednego dnia wybrałem się na kulawej kobyle do Krasnosielca, żeby zobaczyć co się działo z naszym gospodarstwem. Mogłem to zrobić bez strachu, bo byłem młody i mały, Niemcy nie zwracali na mnie większej uwagi. Dojechałem tylko do Zaróż – trzy kilometry od Krasnosielca. Dalej jechać nie było możliwości, gdyż front zbliżał się bardzo szybko. Zmuszony byłem zostawić kulawą kobyłę, gdyż pieszo szybciej wróciłem do rodziców w Pogorzeli.

Rano 17 stycznia 1945 roku samoloty radzieckie zbombardowały szosę, którą uciekały wojska niemieckie. Wieś Jednorożec po zbombardowaniu stanęła w płomieniach. Podczas jednego z nalotów byłem w drewnianej ubikacji zwanej wychodkiem. W tym momencie spadła bomba tak blisko, że szrapnele–odłamki przecięły drzwi i ścianę wychodka. Centymetry dzieliły mnie od zranienia, a nawet śmierci. Po południu rozpoczął się atak artyleryjski. Jednocześnie ruszyła do natarcia piechota wojsk radzieckich. Zrobiło się prawdziwe piekło. Byłem w samym środku frontu. Obserwowałem tragedię wojskową. Widziałem na własne oczy, jak Niemcy uciekali pieszo, a Rosjanie ich gonili. Nastała noc. Zrobiło się tak cicho, jakby tu nic się nie wydarzyło. Upłynęło około dwóch godzin, gdy na podwórku pojawił się żołnierz radziecki w białym skafandrze, uzbrojony w automat. Żołnierz ten głośno zawołał: „ - Gier-mańców tu niet?". „Nie!" – odpowiedzieliśmy razem i wyszliśmy z różnych kątów. Nastąpiła chwila powitania i radość uwolnienia się z okupacji niemieckiej. Pierwszą moją myślą było to, że nie będę już musiał uciekać i ukrywać się. Do rana nikt z nas już nie spał.

Rano 18 stycznia 1945 roku, skoro świt, ojciec postarał się o konia, którego pożyczył od pana Deptuły w Jednorożcu, podobnież jakiegoś naszego kuzyna. Po załadowaniu na wóz naszego majątku, uwiązaniu do wozu krowy, ruszyliśmy do własnego domu w Sielcu Nowym (Kolonia). Już w Jednorożcu zostaliśmy zatrzymani przez wojsko radzieckie NKWD. Ojca wzięli na przesłuchanie, wrócił po trzech godzinach i pojechaliśmy dalej.

Szosa, którą wracaliśmy do domu, od Jednorożca do Drążdżewa była usłana trupami żołnierzy niemieckich i radzieckich. Trzeba było uważać i omijać, by ich nie rozjechać wozem. Ciekawe były widoki, kiedy za frontem podążały wojska radzieckie wozami drewnianymi ciągniętymi przez konie, woły i krowy, a przed nimi uciekały opancerzone, zmechanizowane wojska niemieckie. Tego samego dnia dotarliśmy do własnego domu. Widok, jaki zastaliśmy, był przerażający. Dom zniszczony przez bombę, stodoła spalona, a za nią leżał trup w niemieckim mundurze. W takiej sytuacji zmuszeni byliśmy zamieszkać w jednym z bunkrów niemieckich.

19 stycznia 1945 roku była piękna, słoneczna pogoda. Mama wypuściła swoje kurki na podwórko. Długo się nimi nie nacieszyła, gdyż w sąsiedztwie kwaterowali żołnierze rosyjscy i po kolejnej nocy kurek już na podwórku nie było. Ja też jeszcze nie spróbowałem wolności, a już ruscy żołnierze zabrali mnie i innych mieszkańców Krasnosielca do budowy mostu na Orzycu w Makowie Mazowieckim. Zawieźli nas późną nocą i umieścili w dużej piwnicy budynku znajdującego się przy Turbinie. Położyliśmy się spać na podłodze. Pośrodku tej piwnicy stała długa drewniana ława. Na ławie tej położył się Rusek z karabinem, który nas pilnował. Zauważyłem, że zasnął. Wykorzystałem ten moment i z kolegą Władkiem Szczepańskim udało się nam uciec. Była bardzo ciemna noc. Doszliśmy do rzeki, gdzie był budowany most. Zostaliśmy zatrzymani przez ruskich. Zaczęli nas wypytywać skąd wracamy, a ja bez namysłu odpowiedziałem, że z niewoli niemieckiej i idziemy do swoich rodzin. Ruski uwierzyli mi i przepuścili nas przez budowany most. Do domu miałem dwadzieścia kilometrów. Zaszedłem do niego, do swoich rodziców, jak już się dobrze rozwidniło.

Szczytno, 1948 r.

Gimnazjum Rolnicze w Szczytnie, klasa która jako pierwsza ukończyła tą szkołę, 1948 rok.
Od lewej stoją: 1. nn, 2. Dudek Wacław z Drążdżewa, 3. Surgał Stanisław z Drążdżewa, 4. Juniak Stanisław z Nowego Krasnosielca, 5. Franciszek Kurowski z Drążdżewa.
Od lewej siedzą: Modzelewski z Grąd, 2. Ludwik Brzeziński z Nowego Sielca, 3. nn. nauczyciel, 4. Dyrektor Gimnazjum Rolniczego, 5. Walendziak Zenon z Drążdżewa, 6. nn.

Rodzina nasza, po powrocie z ucieczki, została z jedną krową i bez dachu nad głową. Całe szczęście, że nikt nie znalazł ukrytego na polu żyta. Za dwieście kilogramów tego zboża, cieśla pan Mróz z Krasnosielca wyremontował nam dom, w którym po trzech miesiącach zamieszkaliśmy. Życie zaczęło się toczyć od początku. Trzeba było chodzić do szkoły, paść krowy i pomagać rodzicom w pracach domowych i polowych. Los nadal mnie nie oszczędzał. Wojna pozostawiła wiele nieszczęść. Mnie również to nie ominęło. W Wigilię Wielkanocną 1945 roku sąsiedzi Wołosz i Czarnecki jechali do Sulichy, by w kanałach torfowych materiałami wybuchowymi głuszyć i łapać ryby. Po drodze wstąpili po mnie. Granatów w tym czasie nie brakowało. Jeden z granatów, który wziąłem ze sobą, wybuchł mi w ręku. Całe szczęście, że był to blaszak tzw. zaczepny i porozrywał mi tylko dłoń u prawej ręki. Żeby się nie wykrwawić, Wołosz i Czarnecki zacisnęli mi powyżej dłoni rękę sznurkiem i szybko zawieźli do domu. Trudno opisać przeżycie, jakiego doznali rodzice, patrząc na mój wypadek. Mama obandażowała mi rękę, a starszy brat Ryszard w konie od wuja Kryszka, zawiózł mnie do szpitala w Przasnyszu. Zdawało się, że

droga ta była dłuższa niż moje dotychczasowe 16 lat życia.

W tym czasie szpital w Przasnyszu obsługiwany był przez wojskowych lekarzy rosyjskich. Operację mojej ręki zrobiono natychmiast. Gdy obudziłem się po narkozie, leżałem jeszcze na stole operacyjnym. Zauważyłem, że na tacy obok leżały moje trzy palce odcięte podczas operacji. Długi czas nie wierzyłem, że pozostały mi tylko dwa palce i to u prawej ręki. Ból i żal były tak silne, że nie można tego zapomnieć. W tej tragedii miałem jednak szczęście, że nie zginąłem na miejscu. A spotkało to mojego kolegę Wacka Dudka i wielu innych, którzy w podobnych okolicznościach ponieśli śmierć. Wojna pozostawiła wiele różnych materiałów wybuchowych, że do dziś są ofiary śmiertelne. Natura jednak pomaga człowiekowi dostosować się do bardzo trudnych sytuacji życiowych. Dwoma pozostałymi palcami u prawej ręki nauczyłem się pisać, pracować fizycznie łopatą, widłami, kosą, pługiem oraz siać zboże. Jednym słowem wykonywać wszystkie prace fizyczne w gospodarstwie rolnym.

Po ukończeniu szkoły podstawowej w Krasnosielcu w 1946 roku rodzice skierowali mnie do Państwowego Gimnazjum Rolniczego w Szczytnie. Przy tym moim inwalidztwie stałem się bardzo aktywnym sportowcem. Zauważyła to dyrekcja szkoły i skierowała mnie na kurs wychowania fizycznego w Ośrodku Szkoleniowym w Sierakowie k/Poznania. Kurs ten ukończyłem z wynikiem dobrym i otrzymałem dyplom z tytułem instruktora usportowienia wsi. Zdobyłem również tytuł instruktora pływania. W czasie nauki w Szczytnie wybrano mnie na przewodniczącego Spółdzielni Uczniowskiej. W tych czasach sami uczniowie prowadzili własną kuchnię i stołówkę. Wszelkie produkty żywieniowe dostarczali uczniowie od swoich rodziców. Szkoła mieściła się na ul. Polnej.

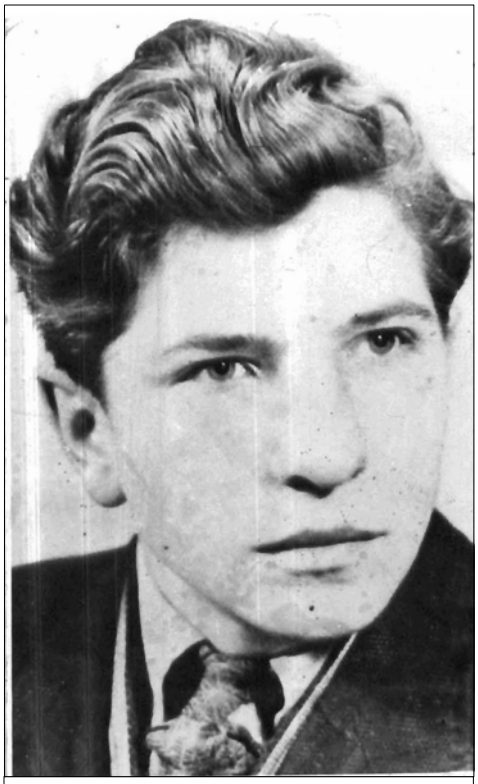

Ludwik Brzeziński, 18 lat

W tym samym budynku był internat, kuchnia i stołówka. Uczniowie tego Gimnazjum byli skoszarowani, a dyscyplina obowiązywała jak w wojsku. Ja przez dyrekcję byłem upoważniony do prowadzenia porannych i wieczornych apeli oraz obowiązkowej porannej gimnastyki. Każdej niedzieli, jako szef szkolnego hufca Służby Polsce miałem obowiązek prowadzić szkołę ze sztandarem do kościoła na mszę świętą. W roku 1948 moja klasa jako pierwsza w historii szkoły zdawała egzamin gimnazjalny. W roku tym szkoła liczyła 42 uczniów, z czego aż 23 to rodacy z gminy Krasnosielc, a byli nimi:

1. Juniak Stanisław z Nowego Krasnosielca,
2. Jastrzębski Czesław z Sielca Nowego,
3. Szewczak Stanisław z Drążdżewa,
4. Szewczak Mirosław z Drążdżewa,
5. Kurowski Franciszek z Drążdżewa,
6. Kurowski Ryszard z Drążdżewa,
7. Surgał Stanisław z Drążdżewa,
8. Dudek Wacław z Drążdżewa,
9. Kuśmierczyk Stanisław z Drążdżewa,
10. Walendziak Zenon z Drążdżewa,
11. Matyjasik z Drążdżewa,
12. Buczek z Drążdżewa Małego,
13. Szeczak Józef z Biernat,
14. Szewczak Edward z Biernat,
15. Żyrak Jan z Krasnosielca,
16. Zapisek Apolinary z Sielca Nowego,
17. Olzacki Józef z Raków,
18. Olzacki Stefan z Raków,
19. Zega z Raków,
20. Grzegorczyk Henryk z Pienic,
21. Modzelewski z Grąd,
22. Ptaszyński z Grąd i
23. Ludwik Brzeziński /autor tekstu/.

Po ukończeniu Państwowego Gimnazjum Rolniczego w Szczytnie w 1948 roku rozpocząłem naukę w Liceum Ogrodniczym w Olsztynie. Jako wzorowy uczeń zostałem wytypowany na jednoroczną praktykę rolniczą do Czechosłowacji. W tym czasie w szkołach następowała laicyzacja i usuwanie krzyży w budynkach szkół. Właśnie w Olsztynie na ul. Okrzei w mojej klasie został zdjęty krzyż przez jednego z uczniów. Ja jako wierzący nie mogłem się z tym pogodzić i po prostu na korytarzu pobiłem tego ucznia. Odczułem ten czyn i to bardzo szybko na własnej skórze. Dostałem się na czarną listę w Urzędzie Bezpieczeństwa. Wycofano mój wyjazd na praktykę do Czechosłowacji. Nie pomogły zaświadczenia i opinie dyrekcji z Państwowego Gimnazjum Rolniczego w

Całe Gimnazjum w Szczytnie w trakcie egzaminów końcowych pierwszego rocznika tej szkoły – uczniowie oraz rada pedagogiczna, 1948 rok. … spośród 42 uczniów, aż 23 było z Gminy Krasnosielc.

Szczytnie o wzorowym uczniu i aktywnym członku organizacji młodzieżowych. W tej sytuacji zmuszony byłem opuścić szkołę, co prawda na własną prośbę, ale nie było innego wyjścia.

W 1949 roku ukończyłem półroczny kurs dla księgowych, zorganizowany przez centralny Związek Gminnych Spółdzielni „Samopomoc Chłopska" w Mikołajkach. Po ukończeniu tego kursu otrzymałem nakaz pracy w Powiatowym Związku Gminnych Spółdzielni „SCh" w Górowie Iławieckim jako młodszy księgowy. I prawdą jest powiedzenie, że „nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło". Bo właśnie w tym Górowie Iławieckim zlokalizowanym na pograniczu Związku Radzieckiego, ja człowiek, który skończył dwadzieścia lat, spotkałem szczęście swojego życia. Maria Hadyniak – tak się nazywała najpiękniejsza dziewczyna, jaką spotkałem w moich młodzieńczych latach. Był to miesiąc maj – najpiękniejsza pora roku. Próba nawiązania znajomości nie była łatwa. Dopiero za czwartym podejściem udało się umówić na spotkanie z panią Marią. Maria pracowała w sklepie spożywczym. Miejscem pierwszego naszego spotkania była aleja lipowa prowadząca do parku miejskiego. Po dłuższym spacerze i rozmowie dowiedziałem się o tragedii życiowej, jaką przeszła pani Maria.

Otóż, wieś Kotów gmina Bircza powiat

Maria Hadyniak, 1949 r.

Przemyśl była miejscem, gdzie Maria się urodziła i mieszkała. Po śmierci generała Świerczewskiego, który zginął w Bieszczadach, rozpoczęła się akcja Wisła – tak się nazywało przesiedlenia ludności. Część ludności z tych terenów wywieziono do Związku Radzieckiego, a część na ziemię zachodnią i północną Polski. Tak się złożyło, że całą wioskę Kotów, wraz z rodziną Marii, wojsko rosyjskie otoczyło i wywiozło do Związku Radzieckiego. Maria w tym czasie przebywała u znajomej w innej wiosce. I została sama, bez rodziców, bez domu, który został spalony, bez żywności i wśród obcych. W takich warunkach zachorowała też na tyfus. Bez żadnej pomocy lekarskiej leżała sama w opuszczonym domu. Tylko od czasu do

Górowo Iławieckie, ul. Hoża 1, 1950 r.

czasu najbliższa znajoma, dalsza kuzynka Stefka, przynosiła jej wodę. Mieszkańcy, którzy pozostali, a także wojsko, omijali dom, w którym leżała chora Maria, w obawie przed zarażeniem. Tym bardziej, że na drzwiach tego domu widniał napis „Tyfus". Nie można było liczyć na większą pomoc, gdyż w całej tej wiosce Dobrzanka Mała, panowała epidemia tyfusu.

Odporność, silny organizm pozwolił Marii przeżyć. W 1947 roku Maria znalazła się w grupie osób i rodzin, które zostały przesiedlone z Bieszczad i osiedlone w Górowie Iławieckim, za Olsztynem. Osamotniona znalazła się na obcym terenie wśród obcych ludzi. Nie wiedziała, co się stało i gdzie przebywają jej rodzice z rodzeństwem. Wiedziała i zapamiętała, że miała stryjka w Ameryce i starszego brata we Francji. Właśnie za ich pośrednictwem i Czerwonego Krzyża po roku czasu dowiedziała się, gdzie przebywa jej rodzina.

Stryj z Ameryki i brat z Francji przysyłali Marii leki, żywność i odzież. Dzięki temu szybciej wróciła do zdrowia. W 1948 roku Maria dostała pracę jako ekspedientka w sklepie spożywczym Gminnych Spółdzielni. „SCh" w Górowie Iławieckim. Pierwsze spotkanie z panią Marią, jak już wspomniałem, odbyło się 15 lipca 1949 roku w pięknej alei lipowej parku miejskiego. Nie była to normalna randka, jaka bywa u młodzieży, gdzie jest dużo śmiechu, żartów i różnych wygłupów. Była to rozmowa o przeżyciach i tragediach, jakie każdy z nas mimo młodego wieku przeżył. Wspomnienia i opowieści pani Marii spowodowały, że razem się popłakaliśmy. Ja ze łzami w oczach powiedziałem, że nigdy jej nie zostawię i nie pozwolę więcej, by cierpiała.

Warunki życia w Górowie Iławieckim były ciężkie. Z reszta jak wszędzie po wojnie. Ale praca była i nadzieja na lepszą przyszłość. Z Marią zżywałem się coraz bardziej. Byłem bardzo mile zaskoczony, gdy pokazała mi dokumenty pozwalające na jej wyjazd do Francji na stałe i gdy oświadczyła jednocześnie, że nie wyjedzie z obawy na czekający ją tam los. Pokazała list, w którym napisała do brata we Francji, że nie jest już sama, ma przyjaciela i jest jej tu dobrze. Brat Janek, który wyjechał do Francji w 1937 roku w poszukiwaniu pracy, był w stanie w roku 1948 wyrobić odpowiednie papiery i ściągnąć siostrę do Francji. Zapewniał jej sklep, w którym by pracowała i była jednocześnie właścicielką. Jednak Maria wybrała mnie i pozostała w Polsce. W takiej sytuacji nie trzeba było długo czekać, za trzy miesiące był już ślub i wesele.

W Górowie Iławieckim przebywałem od 17 maja 1949 roku do kwietnia 1951 roku. W tym czasie pracowałem w Powiatowym Związku Gminnych Spółdzielni „SCh" jako młody księgowy. Po likwidacji tego związku pracowałem jako kierownik skupu i kontraktacji zwierząt, a następnie w Komitecie Kultury Fizycznej. W krótkim czasie spróbowałem różnych zawodów, i mówiąc szczerze nigdzie długo nie zagrzałem miejsca. Najbardziej odpowiadało mi zajmowanie się kulturą fizyczną, ponieważ byłem w ciągłym ruchu. Organizowałem wszelkiego rodzaju imprezy sportowe, biegi, wyścigi rowerowe, rozgrywki piłki nożnej i siatkowej, w których sam chętnie brałem udział.

Samo miasteczko jak i cały powiat Górowa Iławieckiego zostało zasiedlane w latach 1946 – 1949 przez ludność różnej narodowości. Byli Polacy z centralnej Polski, wśród których i ja się znalazłem, byli Ukraińcy, Białorusini, Litwini przesiedleni z kresów wschodnich oraz Niemcy, którzy pozostali po zakończeniu II wojny światowej. Różne narodowości i różne wyznania religijne takie, jak rzymsko–katolickie, greko–katolickie, prawosławne i ewangelickie. Mimo tak zróżnicowanej narodowości i wyznań religijnych ludność nawzajem się rozumiała, wspierała i współpracowała ze sobą. Sądziłem, mimo młodego wieku (21 lat), że w tym czasie wspólna bieda i trudne warunki po II wojnie były podstawą do wzajemnego zrozumienia i współżycia, bez względu na pochodzenie i wyznanie. Mogę tak stwierdzić, ponieważ osobiście przeżywałem i brałem udział w organizowaniu życia gospodarczego i społecznego na terenie Górowa Iławeckiego i okolic.

Maria Hadyniak, 1949 r.

Masowo wtedy organizowane przez miejscowe władze polityczne, gospodarcze i administracyjne wyjazdy w teren do poszczególnych gmin i wiosek w celu pomocy w organizowaniu życia gospodarczego, społecznego i kulturalnego. Ludność zamieszkująca wioski, a szczególnie osadnicy znad granicy radzieckiej, którzy byli zorientowani jak wygląda gospodarka kołchozowa, okazywali sprzeciw zakładaniu wspólnot wiejskich. Sam się o tym przekonałem. Pewnego dnia po otrzymaniu materiałów broszurowych zostałem wydelegowany z innymi agitatorami do wsi Kandyty, czterdzieści kilometrów od Górowa. Była ze mną pani Wiśniewska. W mieszkaniu, gdzie odbywało się zebranie zeszło się co najmniej sześćdziesiąt osób. Było już ciemno, a że we wsi nie było jeszcze prądu, oświetlenie dawały lampy naftowe. Gdy podczas zebrania pani Wiśniewska zaczęła czytać broszury o zespołach uprawowych i zrzeszaniu się rolników, obecni na zebraniu rolnicy zaczęli mocno przeszkadzać. Przekonywali, że znają już te kołchozy ze wschodu i na to się nie godzą. W pewnym momencie odezwał się nawet głos z sali: „panie Brzeziński, niech ta pani przestanie czytać, bo żywi stąd nie wyjdziecie". Zastanowiłem się chwilę i zwróciłem się do pani Wiśniewskiej, żeby przestała czytać. Zrozumiałem wówczas mieszkańców tej wioski. Ale bardziej zainteresowało mnie, skąd mnie – Ludwika Brzezińskiego – tam znali. Miałem niespełna 21 lat, pochodziłem trzysta kilometrów od moich rodzinnych stron, byłem tam po raz pierwszy w życiu między osiedleńcami z dalekiego wschodu Polski. Natychmiast zakończyłem zebranie i podziękowałem mieszkańcom za przybycie. Sam natomiast podszedłem do tej pani, która wymieniła moje nazwisko. Poprosiłem ją, by powiedziała mi skąd mnie zna. Nie chciała mówić, więc oświadczyłem twardo, że nie odjadę z Kandyd dopóki się wszystkiego nie dowiem. Po dłuższej rozmowie dowiedziałem się, że pani ta pochodziła ze wsi Łazy gminy Krasnosielc, sąsiedniej wsi, w której się urodziłem. Znała doskonale moich rodziców i mnie. Wówczas doszedłem do wniosku, że świat jest bardzo mały, wszędzie można spotkać swojego znajomego, że wszędzie trzeba umieć się zachować, bo nigdy nie wiadomo na kogo się trafi – wroga czy przyjaciela. Po całej tej rozmowie zostałem zaproszony na herbatę, przy której porozmawialiśmy o naszych, rodzinnych stronach, a czasu mieliśmy na to sporo, bo samochód przyjechał po nas dopiero nad ranem. Szczęśliwie wróciliśmy do Górowa. Wyjazd do Kandyd nie był owocny, bo nie udało nam się zorganizować zrzeszenia uprawowego rolników.

W Górowie Iławieckim mieszkałem w rynku na Kukawce, miałem jeden pokoik, bez światła i wody. Ale byłem zadowolony, bo obok przy ul. Hożej 1 mieszkała Maria Hadyniak wraz z kuzynką Stefanią Muzyka. Mieszkanie ich, jak na te czasy, było dobrze urządzone, a co najważniejsze było w nim światło i woda. Z wielką przyjemnością i zadowoleniem przyjmowałem zaproszenie na herbatkę, a w niedzielę na obiad.

Jak na młodego człowieka nie miałem zbyt dużo rozrywek. Zajmowałem się głównie grą w piłkę nożną, chodziłem do kina, lubiłem wyskoczyć z wędką na ryby i na zabawy taneczne. Od czasu zapoznania się z Marią dużo wolnych chwil też spędzaliśmy razem. Maria była piękną, młodą, lubianą dziewczyną, a do tego miała powodzenie. Po jednej z zabaw tanecznych w Dzikowie dziesięć kilometrów od Górowa w powrotnej drodze do domu szedł z nami Staszek Makiełkowski. Nawiasem mówiąc rodzice Staszka okazali dużą pomoc Marii w początkowym okresie po osiedleniu. Marię bolały nogi, bo miała niewygodne pantofle. Wyzuła buty i szła boso. Tak się złożyło, że ja zdążyłem wziąć jeden pantofel, a drugi chwycił Staszek, który też kochał się w Marii. Wyglądało to śmiesznie, ale i boleśnie, bo obydwaj nieśliśmy po jednym pantoflu przez prawie dziesięć kilometrów. Jednak z tego powodu nie wynikła żadna awantura, chociaż zazdrość była ogromna.

Ślub Ludwika i Marii Brzezińskich, 30 października 1949 r.

Spokojnie spędziłem czas w Państwowym Gospodarstwie Rolnym Dzikowo, gdzie w sierpniu 1949 roku braliśmy udział przy żniwach, była też i Maria.

Zestawialiśmy snopy żyta w kucki. Po ogłoszeniu przerwy na posiłek, Maria poprosiła mnie, bym przyłączył się do ich grupy i poczęstowała mnie kanapką. Przyznam, że nie miałem ze sobą nic do jedzenia. Ten fakt przekonał mnie, że Marysia ma dobre serce i można na nią liczyć w każdej sytuacji. Od tego czasu spotkania nasze odbywały się coraz częściej. Wreszcie w miesiącu wrzesień 1949 roku nadszedł czas na tak zwane oświadczyny, czyli poproszenie o rękę. Maria początkowo była ostrożna i niepewna losu, gdy wyjdzie za mąż za Ludwika, którego zna zaledwie dwa miesiące. Doradcą Marii w tej sprawie okazała się jej przyjaciółka Stefka Muzyka, z którą wspólnie przeżyły trudne chwile rozstania z rodzinami w 1947 oraz przesiedlenia. Pani Stefania powiedziała tak: „Słuchaj Marysia, jeśli Ludwik Cię kocha, to będzie Ci z nim dobrze".

No i stało się. Marysia zgodziła się, a ja byłem przepojony szczęściem. W tej sytuacji od razu powiadomiłem swoich rodziców, że staram się założyć rodzinę. W końcu września 1949 roku razem z Marysią pojechaliśmy do moich rodziców. Odniosłem wrażenie, że spodobała im się przyszła synowa. Wieść o moich zamiarach ożenku z Marią rozeszła się nie tylko po Górowie Iławieckim. Były różne próby, by do ślubu nie doszło. Co niektórzy próbowali przekonać Marysię, że gdzieś w świecie miałem dzieci i inne tego rodzaju historie. Jednak do rozbicia naszej miłości nie doszło.

Nic tak nie smakuje, jak świeży obiad i młoda żona

Ksiądz Bobiński, proboszcz parafii Krasnosielc, który przyjął i ogłaszał nasze zapowiedzi, ustalił dzień połączenia nas ślubem małżeństwa na 30 października 1949 roku. Targował się z moim tatą o kwotę jaką trzeba zapłacić, bym mógł żyć ze swoją żoną Marią. Nie odstąpił grosza od pięciuset złotych i tyle tatuś zapłacił. Gdy wychodziliśmy z plebani, ksiądz oprócz pochwalonki powiedział: „Panie Brzeziński, niech pan nie mówi, że tyle pan zapłacił za ten ślub". Ojciec odpowiedział: "Proszę księdza, ależ to jest grzech kłamać, trzeba zawsze mówić prawdę". - „Dobra, dobra" – odpowiedział ksiądz i poklepał ojca po ramieniu.

W dniu 30 października 1949 roku w kościele parafialnym w Krasnosielcu Maria Hadyniak i Ludwik Brzeziński zawarli związek małżeński. Ślubu udzielił ksiądz Bobiński. Wychodząc z kościoła byłem tak szczęśliwy, że podczas przyjmowania życzeń całowałem po rękach nawet swoich kolegów. Do ślubu wieziono nas bryczką zaprzężoną w piękne konie, a woźnicą był mój cioteczny brat Jan Alfred Czarnecki. W drodze powrotnej z kościoła zlał nas mocny deszcz. Wesele odbyło się u moich rodziców w Sielcu Nowym (Kolonii), a parze młodej i gościom przygrywał na skrzypkach Bogiel Norewski.

Rodzice moi pierwszą synową, a moją żonę, przyjęli do naszej rodziny nie tylko jako synową, ale jako córkę. Wiedzieli, że Marysia w Polsce jest sama, a jej rodzice i rodzeństwo zostali wywiezieni do Związku Radzieckiego. Dlatego robili wszystko, by zastąpić jej rodziców. Potwierdzały to fakty i dowody w codziennym życiu. Ja też byłem kochany przez swoich rodziców, ale na pierwszym planie była zawsze Marysia i stawali po jej stronie. Postępowanie i zachowanie Marysi w codziennym życiu zasługiwało na takie właśnie traktowanie i szacunek.

Po ślubie i weselu wróciliśmy do Górowa. Od chwili, kiedy się ożeniłem, moje życie stało się inne, nabrało innego charakteru. Po pracy nie chodziłem na spotkania z kolegami, czy do knajpy na piwo lub kielicha, a do domu. Bo w domu czekała na mnie moja żona. A prawdę mówiąc nic tak nie smakuje, jak świeży obiad i młoda żona. Po weselu i wykorzystaniu urlopu kontynuowałem pracę w Powiatowym Komitecie Kultury Fizycznej w Górowie. Zorganizowałem klub piłki nożnej pod nazwą „Gwardia", który wykazywał się dużą aktywnością. W pierwszej kolejności zbudowałem przy udziale magistratu boisko sportowe. Boisko to stało się miejscem treningów i meczy piłkarskich, a także wszelkich imprez świąt państwowych. Organizowano masowe imprezy takie, jak biegi narodowe i rajdy kolarskie. Trzeba stwierdzić, że młodzież chętnie uczestniczy-

ła w tych imprezach, a starsze społeczeństwo brało udział w tych widowiskach. Uważam, że zainteresowanie sportem cieszyło się powodzeniem dlatego, że w powiecie było jedno kino, jeden kościół i jedna knajpka, którą mieszkańcy nazywali „Pod Trupkiem". Takie warunki nie zaspokajały potrzeb społecznych i kulturalnych tego rejonu.

Mieszkańcy Górowa Iławeckiego jak i okolicznych wiosek w początkowym okresie lat 1949–1951 nie byli przywiązani do swoich domostw i gospodarstw. Nie remontowali budynków i nie inwestowali w rozwój swojej gospodarki. Jednym słowem nie byli pewni, co będzie jutro. Wiadomo, że zawsze po wojnie nie łatwo było wszystko uporządkować gospodarczo i organizacyjnie. Poza tym w okolicach grasowały różnego rodzaju bandy. Nocami wokół było słychać strzały. Osobiście też miałem kłopoty. Zostałem wysłany do obsługi zebrania Koła Młodzieży Wiejskiej we wsi Dwóżno. Zebranie przeciągnęło się do nocy. W drodze powrotnej (a chodziło się pieszo), w odległości około jednego kilometra od wioski, rozległy się strzały karabinowe czy pistoletowe. Natychmiast padliśmy w przydrożny śnieg – mówię padliśmy, bo była ze mną Marysia. Leżeliśmy bez ruchu do momentu, aż strzały ucichły a wokół nas nikogo nie było. Teczkę z dokumentami i protokołem z zebrania przysypałem śniegiem, a sami ruszyliśmy w stronę Górowa, do którego było jeszcze pięć kilometrów. Droga nocą i po śniegu bardzo nam się wydłużała. Do domu szczęśliwie wróciliśmy o godz. 23.00. Marysia została w domu, a ja wstąpiłem jeszcze na posterunek, choć nie łatwo było się do nich dostać. Poinformowałem komendanta o zdarzeniu, które mnie spotkało. Komendant wyznaczył uzbrojonego milicjanta i ruszyliśmy pieszo do miejsca, gdzie odbywała się owa strzelanina. Przeszliśmy drogę do Dwóżna i z powrotem, nikogo nie spotkaliśmy, ani do nas nikt nie strzelał. Ja po drodze odnalazłem teczkę z dokumentami i wszystko zakończyło się niby dobrze. Jednak w pamięci pozostał pewien strach i niepokój.

Niemałe też zaniepokojenie pojawiło się, gdy w 1950 roku wybuchła wojna w Korei. Wśród mieszkańców miasta i okolic zaczęły krążyć pogłoski, że to będzie znów wojna światowa, że nas znów stąd wypędzą i tego rodzaju rozważania. Niektórzy osiedleńcy zaczęli nawet opuszczać Górowo Iławieckie i wracać do centralnej Polski (Michalscy, Kuczyńscy). Większość jednak, a szczególnie osoby z kresów wschodnich uznali, że to miasto i te tereny są już ich miejscem życia i pracy. Ja, mając 22 lata, żonę i córkę Krystynę urodzoną 4 października 1950 roku, też rozważałem, jak postąpić w takiej sytuacji. Wspólnie z żoną postanowiliśmy, że łatwiej nam będzie, jeśli Marysia z córką wyjedzie do moich rodziców. Tak też się stało. W lutym 1951 roku żona i córka były już w Krasnosielcu. W niedługim czasie, bo zaledwie po dwóch miesiącach, po załatwieniu spraw formalnych i rozwiązaniu stosunku pracy, opuściłem Górowo Iławieckie. Miasto to, jak już wspominałem, było dla mnie szczęściem. Tu znalazłem swoją drugą połówkę i tu urodziło się moje pierwsze dziecko.

Mieszkanie pod jednym dachem z rodzicami nie trwało długo. Już w maju 1951 roku otrzymałem mieszkanie i pracę w Krasnosielcu. Przeprowadzka moja z Górowa Iławieckiego do

Rodzina Brzezińskich z Marysią, żoną Ludwika. 1949 rok.

Krasnosielca nie była trudna, gdyż w tym krótkim czasie dwóch lat mojej pracy nie zdążyłem się dorobić. Dla przykładu mogę podać, że cały mój majątek spakowałem w trzy walizki, a gołębie w osiem kartonów. Tatuś mój też lubił mieć gołębie w swoim gospodarstwie.

Dlatego też pierwszym naszym zajęciem było zabezpieczenie miejsca dla gołębi, a było ich ponad trzydzieści sztuk. Ubiliśmy z desek podłogę na całej górze nad chlewem ·i tam ulokowaliśmy całe stado tego ptactwa. Były różne rasy: pocztowe, garbonosy, winerki, nefki, kasztany i kozłowe. Po tygodniu czasu otworzyliśmy bęben i wszystkie gołębie zostały wypuszczone na powietrze. Była to niedziela, piękny i słoneczny poranek. Gołębie jak z procy wyfruwały w powietrze i unosiły się w górę zataczając coraz szersze kręgi. Całe stado pewien czas krążyły nad naszymi budynkami. W końcu zniknęły całkowicie. Nie było ich około czterech do pięciu godzin. Dopiero przed wieczorem pojedyncze osobniki spadały jak strzały z wysokiego nieba i osiadały na dachu lub bębnie, przez który wchodziły do środka swojego poddasza. Nie wszystkie jednak wróciły. Z trzydziestu sztuk wypuszczonych powróciło dwadzieścia cztery gołębie. Sześć z nich poleciało nie wiadomo gdzie, czy do swoich starych miejsc w powiecie Górowa Iławieckiego oddalonego o ponad dwieście kilometrów czy też w inne miejsca.

Rozpoczęliśmy swoje biedne, szczęśliwe życie

Do nowego naszego mieszkania w Krasnosielcu wprowadziliśmy się beż żadnych mebli. Co prawda było to jednopokojowe dwudziestopięcio metrowe mieszkanie, które spełniało rolę pokoju, kuchni i sypialni. Łóżko do spania, wyrko z desek zrobiła Marysia z moją mamą. Włożyła do niego siennik wypchany słomą i było już na czym spać. Szafę na ubrania kupił nam tatuś. Stół i krzesełka pożyczyliśmy od rodziców. No i tak ale rozpoczęliśmy swoje biedne, szczęśliwe życie. Ważne, że pracowałem i już w krótkim czasie mogliśmy sobie pozwolić na kupno nowych mebli. Były to łóżka, stół i krzesła zrobione na zamówienie u stolarza. Ogrzewanie mieszkania było bardzo trudne. Nie było pieca, a tylko kuchnia. Zimą trzeba było palić całymi dniami. Pewnej nocy 1952 roku obudził nas płacz naszej dwuletniej córeczki Krysi. Wstałem i próbowałem ją zabawić, ale po chwili upadłem na łóżko. Żona polała mnie zimną wodą i oprzytomniałem. W tym czasie także żona przewróciła się i upadła na łóżko, to ja z kolei ocuciłem ją wodą. Dopiero jak żona dobiegła do drzwi, które otworzyła przewracając się na nie i wołała pomocy sąsiadów, świeże powietrze dostające się do mieszkania dało nam świeży oddech i przytomność. Sąsiedzi usłyszeli wołanie Marysi i przyszli nam z pomocą. Okazało się, że w naszym domu było pełno czadu, który wydostawał się z kuchni. Życie naszej rodziny uratowała pierwsza córeczka Krystyna, której dokuczał trujący czad i swoim płaczem obudziła śpią-

cych rodziców. Od tej tragicznej nocy już nigdy nie zasuwaliśmy szybra w kuchni, chociaż w mieszkaniu było przez to dużo chłodniej.

Czasy powojenne były bardzo burzliwe i niespokojne. Byłem świadkiem wielu sytuacji, gdy po tak zwanym wyzwoleniu w latach 1945-1954, pojawiały się ataki nocne na posterunki milicji i urzędu bezpieczeństwa w Krasnosielcu. Jak tylko zapadał zmrok, od strony gminy Sypniewo, koło naszego domu w Sielcu Nowym (dawniej Sielc Kolonia) można było przez okno obserwować grupy uzbrojonych cywilów podchodzących do Krasnosielca. Była to partyzantka Narodowych Sił Zbrojnych i Armii Krajowej. Już od cmentarza rozpoczynały się strzały. Takie same grupy partyzantów wkraczały do Krasnosielca od strony gminy Płoniawy. Strzelanina trwała całymi nocami, ucichało dopiero po rozwidnieniu. Po takich atakach często na ulicach Krasnosielca leżały trupy. Podczas jednej nocy partyzantom udało się złapać kilku wyższych rangą milicjantów. Wyprowadzono ich do lasu pod Sławkami, tam ich rozebrano, przywiązano do drzew i rozstrzelano. Ciała ich są pochowane na cmentarzu w Krasnosielcu.

Ataki partyzanckie były nie tylko na posterunki milicji i urzędy bezpieczeństwa. Nocami zabierano z domów i mordowano tych, którzy należeli do partii lub innych organizacji. Tak było z Ryśkiem P. z mojej wsi, którego zabrano nocą i który nigdy już do domu nie wrócił. W 1952 roku pewnej nocy pukali też do naszego mieszkania pytając o Brzezińskiego. Żona odpowiedziała przecząco i podała inne nazwisko, więc odeszli. Ja w tym czasie należałem do Związku Młodzieży Polskiej i byłem przewodniczącym Koła w Krasnosielcu.

Nie wiem do dziś czy szwagier mojej mamy Łaskarzewski w Rawach był w partyzantce czy nie. Ale został aresztowany za fakt, że w nocy przyszła do niego partyzantka i zabrała mięso zabitego świniaka. Został posądzony za pomoc partyzantom. Po roku czasu zmarł w więzieniu. Grasowały i bandy złodziejskie, które rabowały okolicznych rolników. Mój tata otrzymał przydział i dostał z tak zwanego UNRA kobyłę ze źrebakiem. Po dwóch – trzech miesiącach nocą została skradziona przez jakąś bandę. Ja mając wtedy lat 16 ruszyłem w pościg i po śladach kopyt doszedłem do wioski Rawy gminy Sypniewo. Dalej nie mogłem już tropić, gdyż zbliżało się południe, a inne ślady zatarły trop. Wiedzieliśmy, że następnego dnia będzie jarmark w Goworowie za Różanem, gdzie odbywał się handel końmi. Tam też dotarłem, ale nie znalazłem naszej kobyły ze źrebakiem.

Pamiętam, że będąc jeszcze młodym chłopakiem, uczęszczającym do piątej klasy szkoły podstawowej, należałem do harcerstwa. W sąsiedniej wsi Zawady była zabawa taneczna na świeżym powietrzu. Poszliśmy z kolegami na tą zabawę. Wieczorem miałem sporo strachu. Byłem ubrany w mundurek harcerski. Podeszło do mnie trzech wysokich mężczyzn i zaczęli mnie wypytywać o różne rzeczy m.in. co to a mundurek i jaka to jest organizacja. Jak mogłem i umiałem, tak im tłumaczyłem. Panowie ostrym głosem powiedzieli: „jeśli chcę żyć, to żebym natychmiast stąd poszedł i więcej tego mundurka nie zakładał". Opuściłem zabawę i wróciłem do domu. Ale z harcerstwa nie zrezygnowałem.

Dom rodzinny Brzezińskich. Zdjęcie wykonane ok. roku 1965.

Od lewej: Ludwik Brzeziński, Czesław Brzeziński, Antonina Brzezińska i Maria Brzezińska na podwórku rodzinnym w Sielcu Nowym, 1957 rok.

Czas płynął, a władza ludowa, jak to się wtedy mówiło, umacniała się. Urząd Bezpieczeństwa i Komenda Powiatowa Milicji Obywatelskiej przeniosły się do powiatu w Makowie Mazowieckim. Krasnosielc jako osada i gmina pozostała ze swoimi prawami tj. Urzędem gminy z wójtem i Posterunkiem Milicji z komendantem Wawrzonkowskim. W Krasnosielcu powstała nowa instytucja pod nazwą Centralny Urząd Skupu i Kontraktacji. Ja zostałem powołany jako delegat i pełnomocnik do kierowania tą instytucją. Była to niezbyt zaszczytna i przyjemna praca. Celem tej instytucji było kontraktacja płodów rolnych i trzody chlewnej oraz nakładanie ilości kilogramów zbóż i trzody chlewnej na poszczególne gospodarstwa w zależności od ilości hektarów przeliczeniowych. Czyli obowiązkowe dostawy. Nie wszyscy rolnicy byli w stanie wywiązać się z tych obowiązków – kontyngentów. Szczególnie ci, którzy mieli więcej hektarów o lepszych klasach gruntów. Często musieli kupować od innych zboże, żeby wykonać plan i uniknąć grzywny, a nawet więzienia. A trzeba stwierdzić, że nad tymi sprawami czuwał patrol ze Służby Urzędu Bezpieczeństwa. Dużą pomocą dla mnie, by nie dopuścić do krzywd ludzkich i wykonać plany byli moi współpracownicy Zbyszek Gosiewski i Piotr Kędzierski, którzy razem ze mną dniami i nocami pracowali nad planowaniem i realizacją tych zadań. Każdy rolnik w gminie musiał mieć założoną kartotekę, a na niej ilość kilogramów zboża i żywca do oddania. Takich rolników było ponad dwa tysiące. Nie było komputerów ani kalkulatorów, każdą pozycję i cyferkę trzeba było wyliczyć i zapisać ręcznie. Na szczęście w grudniu 1952 roku uwolniłem się od tej pracy, trudnej i nieprzyjemnej. Zarząd Powiatowy Związku Młodzieży Polskiej w porozumieniu z Centralnym Urzędem Skupu i Kontraktacji w Warszawie przeniósł mnie do pracy w Zarządzie Powiatowym Związku Młodzieży Polskiej w Makowie Mazowieckim. Tu przez okres jednego roku zajmowałem się sprawami organizacyjnymi. Zapoznałem wszystkie gminy i wioski, w których były już koła młodzieżowe. Organizacje młodzieżowe w tych latach miały zadanie i obowiązek uczestniczyć we wszystkich zebraniach na tematy gospodarcze i polityczne oraz organizować różne festyny i imprezy kulturalno-rozrywkowe. Jedno z ważniejszych zadań było organizowanie nowych kół jak też werbowanie nowych członków. Chodziło o to, żeby młodzież w każdym środowisku nie pozostawała poza organizacją. Było nawet powiedziane, że

młodzież ze Związku Młodzieży Polskiej, to przyszli kandydaci na członków partii. Stąd taka troska i zainteresowanie młodzieżą, przez partie polityczne. Ja sam w roku 1952 wstąpiłem do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Uważałem wówczas, że będę mógł razem z innymi brać udział w rozwoju naszej wsi, gminy, powiatu i pomagać ludziom szczególnie biedniejszym w ich codziennych, trudnych sprawach. Życie na wsiach było naprawdę ciężkie. Wojna i front wojenny, który przeszedł w 1945 roku zniszczył budynki mieszkalne, gospodarcze i inwentarz żywy.

Z Krasnosielca do pracy w Makowie Mazowieckim dojeżdżałem rowerem (dwadzieścia pięć kilometrów). Zajęciem moim była praca z młodzieżą w terenie. Stawało się to dla mnie i mojej rodziny coraz bardziej uciążliwe. Otrzymałem ciekawą propozycję od dyrektora Państwowego Ośrodka Maszynowego w Makowie Mazowieckim, pana Wierzbickiego, przyjęcia mnie do pracy z zapewnieniem mieszkania. Mnie taka propozycja bardzo odpowiadała, tym bardziej, że żona urodziła drugą córkę Lidię. Po uzgodnieniu tej sprawy z Marysią wyraziłem zgodę i za porozumieniem stron 5 grudnia 1953 roku pracowałem już w Państwowym Ośrodku Maszynowym w Makowie. Zadaniem tego Ośrodka było w pierwszej kolejności obsługiwanie mechanicznie, agrotechnicznie i politycznie Rolniczym Spółdzielniom Produkcyjnym na terenie powiatu makowskiego. W wydziale politycznym tej firmy były zatrudnione cztery osoby, kierownik i trzech instruktorów. Zadaniem i obowiązkiem tego wydziału, a także i moim, było czuwanie nad właściwą organizacją i współpracą z Rolniczymi Spółdzielniami Produkcyjnymi.

W powiecie makowskim było ich siedemnaście. Wydział polityczny miał też obowiązek uczestniczyć w zebraniach członków i zarządów tych spółdzielni. Szczególną uwagę przywiązywano do zebrań sprawozdawczo–wyborczych, na których były zatwierdzane roczne plany produkcyjne i inwestycyjne. Pamiętam, jak na jednym z zebrań Rolniczej Spółdzielni Produkcyjnej w Smrocku przemawiał kierownik wydziału politycznego towarzysz Jan R., który zwrócił się do członków z uwagą, tu cytuję jego wypowiedź: „towarzysze, w waszej oborze zachodzi konieczność należycie ustawić byka". W rzeczywiści byk stał nierówno, bo obornik pod nim nie był równany ani usuwany. Ale nie ma się co dziwić. Kierownik był z zawodu szewcem, a że był aktywnym członkiem partii, dostał awans na kierownika. Długo to nie potrwało i kierownik został zwolniony. Stanowisko po nim objął towarzysz Władysław M. Uczestniczyłem z nim w zebraniu Rolniczej Spółdzielni Produkcyjnej w Łukowych. Trwała długa dyskusja. Jedni wychodzili, drudzy przychodzili, a kierownik za stołem prezydialnym zasnął. Co prawda była już późna godzina wieczoru. Zakończyła się dyskusja – nowy zarząd i delegata na zjazd powiatowy wybrano. Jednym słowem zebranie się zakończyło. Członkowie zaczęli wychodzić. W tym czasie obudził się towarzysz kierownik. Wstał i powiedział: „stop towarzysze, musimy jeszcze wybrać delegata na zjazd powiatowy". Wszyscy w śmiech, a przewodniczący zebrania wyjaśnił, że delegat już dawno wybrany, a kierownik przespał nasze zebranie. No i tak na wesoło wszyscy się rozeszli. Mój kierownik

1956 r., Tak wyglądaliśmy, kiedy po raz pierwszy zobaczyliśmy się z rodziną Marysi.

i ja wróciliśmy do Makowa saniami zaprzężonymi w pięknego konia.

Bywało i tak, że ja mając prawo jazdy tylko na motocykl, przyprowadzałem ciągniki z Ursusa jak traktorzysta, jadąc przez całą Warszawę. Byłem młody i ryzykantem, a kontrole drogowe nigdy mnie nie spotykały.

W styczniu 1954 roku zwolniło się mieszkanie w bloku, które obiecał mi dyrektor Państwowego Ośrodka Maszynowego. Po godzinach pracy samochodem ciężarowym Lublin pojechałem po swoją rodzinę do Krasnosielca. Zeszło się dość długo przy załadunku naszego majątku i rodziny. Dopiero na godzinę 22.00 przyjechaliśmy pod blok, w którym miałem zamieszkać. Okazało się, że mieszkanie te zajął towarzysz Władysław M., który pełnił obowiązki kierownika wydziału politycznego Państwowego Ośrodka Maszynowego. Na moje oświadczenie, że to mieszkanie mnie przydzielił dyrektor, Władysław M. podniósł palec prawej ręki do góry i powiedział: „ja tu rządzę". Zrodziła się trudna sytuacja. W samochodzie, pod blokiem siedziała przecież moja żona z dwoma małymi córkami, a na dworze mróz dwadzieścia stopni i śnieżyca. Zwróciłem się do dyrektora Państwowego Ośrodka Maszynowego, który mieszkał w tym samym bloku. Przedstawiłem mu tę sytuację, a dyrektor wzruszył ramionami i nic nie odpowiedział. Na parterze tegoż bloku mieszkał agronom pomowski, żona jego Wiesia M., która była pielęgniarką wyszła do samochodu i zabrała żonę z dziećmi do swojego mieszkania. Ja, młody człowiek, byłem tą sytuacją bardzo zdenerwowany i nie mogłem zrozumieć, że tacy ludzie jak Marian W. i Władysław M. mogą pełnić funkcje kierownicze, być na tak poważnych stanowiskach państwowych i partyjnych. Nie poddałem się i nie ustąpiłem. Przedstawiłem dyrektorowi nowe rozwiązanie tego problemu. Na pierwszym piętrze tego budynku, w kuchni sypiało trzech instruktorów rolnych. Zaproponowałem, żeby instruktorów tych przeprowadzić do pokoju w nowo wybudowanym biurowcu, a dziewczyny, które zajmowały mały pokój przenieść do pokoju na parterze, gdzie mieściła się nieczynna wówczas świetlica. Tak też się stało. Dyrektor wyraził zgodę. Dziewczyny i chłopcy, którzy już spali byli bardziej wyrozumiali jak starsi towarzysze. Opuścili sypialnie i poszli ze swoją pościelą i ciuchami do wspomnianych lokali. Ja, mając już do dyspozycji pomieszczenie dla rodziny, napaliłem w kuchni i zabrałem żonę z dziećmi od Wiesi M., której serdecznie podziękowałem za okazane serce i opiekę.

W ciepłym mieszkaniu, śpiąc na materacach doczekaliśmy następnego dnia. nie były to wygodne warunki, szczególnie dla małych dzieci. Drugi, większy pokój zamieszkiwali traktorzyści, którzy mało tego, że korzystali wspólnie z łazienki, to całymi nocami wyprawiali różne harce. Po dwóch może trzech miesiącach traktorzyści opuścili pokój i zamieszkali w nowo zbudowanym baraku. Doczekaliśmy się, że zamieszkaliśmy sami we wszystkich pomieszczeniach tj. kuchni, dwóch pokojach, łazience i korytarzu. Byliśmy zaniepokojeni jednak tym, że po każdej nocy na całym ciele naszych dzieci pojawiały się drobne, barwne plamki. Okazało się, że cały blok mieszkalny był opanowany przez pluskwy. Sąsiadka Wiesia M., która mieszkała na parterze mówiła, że u niej pod obrazami, na ścianach w sypialni były też takie robaki, ale to były biedronki. W tej sytuacji żonę z dziećmi wywiozłem do rodziców w Krasnosielcu, a w mieszkaniu zrobiłem dezynsekcję. Tak się złożyło, że ja w tym czasie wyjechałem na kurs do Ursynowa na dwa tygodnie. W okresie tym okna i drzwi były szczelnie pozamykane. Po powrocie z Ursynowa dowiedziałem się, że sąsiedzi też wytruli pluskwy (biedronki) w swoich mieszkaniach. Dezynsekcja była skuteczna, a w nowo wymalowanych pokojach zaczęło nam się dobrze mieszkać.

Obok zakładu były działki pracownicze, na których uprawiano ziemniaki i inne warzywa. Taką działkę ja również posiadałem. Zbudowałem też chlewik, w którym hodowałem kury, gęsi, kaczki i świnie – tuczniki. Prosięta i paszę otrzymywałem od swojego taty, mającego w swoim gospodarstwie maciory. Uboju tych świń – tuczników, które wyhodowałem, dokonywali prywatni rzeźnicy: Kulpanowski, Ozorkiewicz i Tyburski w zależności, który był wolny, a następnie sprzedawali na kilogramy w tzw. budkach na targowisku w Makowie Mazowieckim. W hodowli i uprawianiu działki bardzo dużo pomagała mi żona, która miała i tak dość dużo pracy w domu przy wychowywaniu dwójki małych dzieci. Ale była to bardzo duża pomoc w budżecie domowym. Moje za-

robki nie były wystarczające, żeby pokryć rodzinne potrzeby. Tym bardziej, że byliśmy młodzi, chcieliśmy iść na zabawę, do kina, ubrać się przyzwoicie, nie mówiąc o urządzeniu mieszkania. Sąsiedzi moi też posiadali działki i chlewiki, w których hodowali kury.

Dzieci nasze i sąsiadów, poza przedszkolem, bawiły się na podwórku, przed blokiem. Dzieci, jak to dzieci, nie zawsze grzecznie się bawiły. Uwagę najczęściej zwracała im sąsiadka Wiesia M., która często nawet krzyczała. Dzieciakom się to nie spodobało. Moje córki, Krystyna i Lidka, dzieci sąsiadów, Wiesiek Sz., Jurek, Zbyszek i Lalka W. postanowili odwdzięczyć się Wiesi M. jak się okazało i wydało, wybierali jajka z chlewika, które znosiły kury owej sąsiadki. Akcję tą zorganizowały tak, że najmłodsze dziecko stało na straży przed drzwiami i pilnowało wyjścia Wiesi M. z domu, wówczas miało głośno dać hasło; "Krysia, nakarm króliki". Zbyszek i Wiesiek wybierali jajka z kurnika, a następnie wspólnie zakopywali w piasku w odległości stu metrów od chlewika.

Był i taki okres, żeby zrobić coś dobrego pod hasłem „niewidzialnej ręki". Polegało to na tym, żeby zrobić coś dobrego innemu człowiekowi, żeby on nie wiedział, kto to uczynił. Dzieciaki nasze nie tylko psociły, ale starały się komuś zrobić niespodziankę. Pewnego dnia postanowiły, że pomogą dyrektorce Państwowego Ośrodka Maszynowego pani Wędzące, która mieszkała w sąsiednim budynku, skopać zagon, na którym co roku rosły kwiaty. Tak też i zrobiły. Były zadowolone, że zrobiły dobry uczynek jako „niewidzialna ręka". Okazało się, że rabatka ta była już obsiana. Myśli dzieciaków były dobre tylko o parę dni za późno. Pani dyrektor musiała jeszcze raz uporządkować swoją rabatkę.

Ja obok pracy zawodowej i w gospodarstwie przydomowym, od czasu do czasu jeździłem na ryby. Miałem swoje ulubione i zanęcone miejsca w Narwi koło Sielunia. Pewnego pięknego dnia spiesząc się zabrałem torbę ugotowanego grochu i na motocyklu WFM pojechałem łowić ryby. Gdy zajechałem na miejsce, a było to trzydzieści kilometrów od Makowa, zorientowałem się, że nie wziąłem wędek, które zawsze wiązałem do motoru. Nie było innego wyjścia jak wysypać groch do wody i wrócić zdenerwowanym do domu.

Od dnia 5 grudnia 1956 roku decyzją egzekutywy Komitetu Powiatowego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej zostałem zatrudniony w tymże komitecie jako instruktor rolny. Praca moja polegała na przebywaniu całymi dniami w terenie, spotykaniu się z mieszkańcami poszczególnych wiosek na zebraniach wiejskich i zebraniach organizacji partyjnych. A życie na wsiach było naprawdę ciężkie, szczególnie w rejonach gmin Rzewnie i Różan. Tam wioski nadnarwiańskie zostały najbardziej zniszczone przez działania wojenne. Większość budynków mieszkalnych i gospodarczych była całkowicie zburzona lub spalona. Stąd też zapotrzebowanie na materiały budowlane było bardzo duże i trudne do osiągnięcia. To samo było z kredytami na budowę domów i innych obiektów gospodarczych. Często pomagałem rolnikom w pisaniu podań o przydział materiałów budowlanych czy przyznaniu kredytu na budownictwo.

W poniedziałki każdego miesiąca mieliśmy odprawy w Komitecie Powiatowym partii,

1956 r., Tekliwka, Ukraina, spotkanie Marysi z rodziną po 10 latach rozłąki.

Paulina Hadyniak, mama Marysi, 1956 r., Tekliwka, Ukraina.

gdzie przedstawiałem najważniejsze sprawy do załatwienia dla poszczególnych mieszkańców - rolników wsi w moim rejonie. Starałem się nie wracać do tych gmin i rolników, dopóki nie załatwiłem im kredytu w banku czy przydziału materiałów budowlanych w Powiatowej Radzie. Miałem trochę sprawę ułatwioną, gdyż brałem udział w posiedzeniach i komisjach przyznających materiały budowlane i kredyty bankowe. Nie zależnie od tego nie wszystkie sprawy byłem w stanie sam załatwić. Wówczas z tymi kłopotami zwracałem się do sekretarza Komitetu Powiatowego z prośbą o interwencję. Był taki okres budowy pod hasłem „1000 szkół na 1000 lecie Polski". Właśnie w moim rejonie, w gminie Rzewnie nad Narwią zaplanowano budowę szkoły podstawowej we wsi Orłowo. O szkołę tą rozpoczęła się „walka" między dwoma wioskami Orłowo i Łachy. Spór ten trwał rok czasu. Sołtysi tych wiosek na zmianę przekonywali władze powiatowe w różny sposób, ażeby zdobyć tę szkołę dla swojej wsi. Bywało i tak, choć trudno powiedzieć i nazwać to łapówką, że jednego dnia sołtys wsi Łachy przyniósł ryby sekretarzowi Komitetu Powiatowego, a drugiego dnia uczynił to samo sołtys z rywalizującej wsi. Jednak władze powiatowe i oświaty rozwiązały ten problem w taki sposób, że szkołę pobudowano na granicy wiejskiej między Orłowem a Łachami i obie wioski musiały się z taką decyzją pogodzić.

Poza pracą i codziennymi zajęciami rodzinnymi coraz częściej w rozmowach wspominaliśmy rodzinę żony, która od 1946 roku zamieszkiwała teren Związku Radzieckiego. Żeniąc się z Marysią nie widziałem i nie znałem jej rodziców. Nawet nasz ślub w 1949 roku odbył się bez ich błogosławieństwa, a wesele bez ich obecności. Wiedzieliśmy, że zamieszkują w Tekliwce i pracują w Kołchozie „Majak" w Kotywce w Republice Ukraińskiej. W 1952 roku Marysia otrzymała list z narysowaną trumną i wiadomością, że jej tata nie żyje. Była to bardzo smutna wiadomość szczególnie dla żony, która rozstała się z ojcem bez pożegnania i w tak tragicznych okolicznościach.

W latach powojennych do 1956 roku było bardzo trudno, a nawet niemożliwe, przekroczyć granicę ze Związkiem Radzieckim, by chociaż odwiedzić swoich rodziców czy najbliższą rodzinę. Ja zapewniłem żonę, że nie spocznę, dopóki nie wykorzystam wszystkich możliwości, by spotkać się z rodziną Marysi. Wiedziałem, że w tym czasie rządziły tylko partie i decydowały o wszystkich sprawach politycznych, gospodarczych, a także społecznych. Dlatego też zdecydowałem się napisać prośbę do Sekretarza Rejonowego Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego w Husiatynach obłość Tarnopol, w której opisałem całą historię rozstania, okres tęsknoty i pragnienia spotkania się z najbliższą rodziną, matką, braćmi i siostrami. Trzeba przyznać, że treść mojej prośby została pozytywnie przyjęta przez Sekretarza Rejonowego w Husiatynach. Mama mojej żony została wezwana do rejonu partii w Husiatynach, gdzie była dokładnie przesłuchiwana czy treść mojej prośby była zgodna z rzeczywistością. Nie upłynęło miesiąc czasu, a Komitet Powiatowy Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej w Makowie Mazowieckim otrzymał pismo od Sekretarza Rejonowego z prośbą o przesłanie im opinii o Ludwiku Brzezińskim i jego rodzinie, który zwrócił się

o zezwolenie na przyjazd na ich teren. Oczywiście opinia moja i mojej rodziny nie budziła żadnej wątpliwości i zastrzeżeń. Sekretarz Komitetu Powiatowego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej w Makowie Mazowieckim towarzysz Sarna niezwłocznie po konsultacjach ze mną przesłał pozytywną moją opinie do Rejonowego Komitetu Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego w Husiatynach. Upłynęło może trzy miesiące, a ja i moja żona razem z dziećmi otrzymaliśmy urzędowe zaproszenie do odwiedzenia rodziny na terenie Związku Radzieckiego. Był to kwiecień 1956 rok.

Niespodziewana radość była połączona z płaczem. Mając zaproszenie skrzętnie rozpoczęliśmy przygotowania do wyjazdu. Chociaż nie było to najważniejsze, to trzeba było zakupić prezenty dla każdego z rodziny, chociaż skromne. W miesiącu maj 1956 roku wsiedliśmy do autobusu i całą rodziną ruszyliśmy w pierwszą podróż zagraniczną do rodziny. Najpierw do Warszawy, a z Dworca Wschodniego pociągiem dojechaliśmy do samej granicy w Brześciu. Tu mieliśmy przesiadkę do innego pociągu, który dowiózł nas do Lwowa. We Lwowie mieliśmy dużo kłopotów z dalszą podróżą, bo było takie przepełnienie ludnością, że nie można było dostać miejsca w pociągu mimo tego, że w Warszawie wykupiliśmy bilety docelowe. Po dwudziestu czterech godzinach udało się nam zdobyć miejsce w wagonie. Od Lwowa przez Tarnopol dojechaliśmy do Kopyczyniec. Tu przed wieczorem wysiedliśmy na peronie, z którego trzeba było iść pieszo cztery kilometry do Tekliwki, gdzie mieszkała rodzina Marysi. Z pięcio i dwu letnimi córkami oraz paczkami było to niemożliwe, a innej komunikacji nie było.

Wszędzie jednak trafiają się dobrzy ludzie. Podeszła do nas pewna starsza pani i po ukraińsku zapytała nas, skąd jesteśmy i do kogo przyjechaliśmy. Po krótkiej rozmowie zabrała żonę z dziećmi do siebie, mieszkała przy stacji, a mi wskazała drogę do wsi Tekliwka. Pamiętam, że szedłem na przełaj, na skróty, przez pola i łąki. W drodze spotkała mnie burza, a deszcz przemoczył do suchej nitki.

W końcu dotarłem do celu. Wstąpiłem do pierwszego domu, żeby zapytać, gdzie mieszka rodzina Hadyniaków. W progu zobaczyłem młodą dziewczynę i aż mnie zatkało, krzyknąłem: „Genia, to Ty?". „Tak" – usłyszałem odpowiedź. Była to młodsza siostra mojej żony, którą widziałem tylko na zdjęciu. Następnie wyszła mama Marysi. Było gorące powitanie ze łzami w oczach. Wyjaśniłem, że Marysia z dziećmi pozostała na stacji kolejowej u nieznajomej pani. Mama – teściowa, z którą dopiero po sześciu latach się spotkałem i poznałem założyła na siebie płaszcz, na głowę chustkę i razem ze mną poszła do przewodniczącego „Gołowy" – tak nazywano tu przewodniczącego kołchozu. Było już ciemno. W mieszkaniu „Gołowy" byli jacyś goście, bo stół był obficie zastawiony. Teściowa poprosiła go, by pozwolił swoimi końmi przywieźć jej córkę z dziećmi ze stacji kolejowej Kopyczyniec, która przyjechała z Polski. Kazał chwilę poczekać. Widziałem i słyszałem jak wezwał swojego fornala, któremu polecił przywieźć moją rodzinę ze stacji. Gdy dojechaliśmy na miejsce był już późny wieczór. Śpiące dzieci i pakunki załadowaliśmy na wóz o żelaznych kołach i po błocistej, gliniastej drodze dojechaliśmy do domu, gdzie po raz pierwszy od sześciu lat byliśmy z całą rodziną mojej żony. Nie było już jednak Marysi taty i siostry Józi, którzy zmarli po przesiedleniu. Rozmowa po tylu latach była tak ciekawa i przeplatana płaczem, że zapomniano o jedzeniu i spaniu, by odpocząć po bardzo długiej i uciążliwej podróży.

Dom, w którym mieszkała rodzina mojej żony, był zbudowany z gliny i podłogi też były gliniane. Były tu dwa pokoje i kuchnia, a przez ścianę był chlewik, gdzie stałą krowa, przebywały kury i gęsi. Warunki mieszkalne były bardzo trudne, szczególnie dla dzieci, gdyż była wilgoć. Mimo tego wychowały się w tym domu Józia, Genia, Teofil, Bogdan i Nadzia, bo tyle było rodzeństwa Marysi. Każda rodzina kołchozowa otrzymała działkę rolną czterdzieści arów, na której uprawiali głównie kukurydzę i ziemniaki. Wolno im było chować tylko jedną krowę z przychówkiem, jednego świniaka i drób, kury i gęsi. Pastwiska dla krów były wspólne. Pamiętam, że każdego dnia od każdej krowy trzeba było oddać kwartę mleka, którą odbierał jadący przez wieś woźnica z odpowiednim baniakiem na mleko. Teściowa moja w czasie kiedy sama pracowała w kołchozie, gdyż dzieci były jeszcze nieletnie, dostawała za cały rok pracy osiemdziesiąt kilogramów ziarna kukurydzy. Nic dziwnego, że każdy kołchoźnik idąc do pracy zabierał ze sobą pod pachą tzw. „anuszkę" czyli worek. Dlaczego nazywano to „anuszką", ano dlatego, że wracając z pracy kołchoźnik mógł coś w tym worku przemycić, a nóż uda się coś przynieść do domu. To była prawda, bo widziałem u teściowej, że na strychu suszyło się dużo więcej kolb kukurydzy niż zarabiała. Mimo tej biedy kołchoźnicy musieli płacić pewną sumę rubli na rozwój gospodarczy Związku Radzieckiego.

W czasie mojego tam pobytu przyszło dwóch przedstawicieli władzy radzieckiej i siłą zmuszali teściową do zapłacenia. Ja nie mogłem pozwolić na znęcanie się nad starszą kobietą, która w tak trudnych warunkach, będąc wdową wychowywała pięcioro dzieci. Wyjąłem swoje ruble i zapłaciłem. Wiedziałem, że teściowa naprawdę nie miała pieniędzy. Świniaka, którego w ciągu roku uchowała nie sprzedała, a zabiła, by miała dla dzieci i dla nas coś ugotować na obiad. Będąc w odwiedzinach zebraliśmy trochę rubli. Sprzedaliśmy trochę bluzeczek i innej odzieży. Sprzedaliśmy nawet swoje płaszcze gabardynowe, które wówczas były modne. Kupił je od nas komendant Milicji w Kopyczyńcach, męski dla siebie a damski dla żony. Postawił nawet za taką okazję pół litra gorzałki, którą wypiliśmy w jego domu. Poza tym wymieniliśmy w banku złotówki na ruble, których nie wolno było przewieźć przez granicę. Za pieniądze te miałem zamiar kupić sobie motocykl z kolaską (z boczną przyczepką), który nawet próbowałem zgodzić. Jednak wspólnie z żoną zrezygnowaliśmy z kupna tego motocykla. Były ważniejsze sprawy. Przebywanie przez cały miesiąc u teściowej było dla niej i jej rodziny dużym obciążeniem. Wyżywić przez miesiąc dziewięć osób w tak biednych warunkach było bardzo ciężką sprawą. Nie mogliśmy dopuścić do tego, by przez nasz przyjazd mama się zadłużyła. Staraliśmy się robić zakupy żywności i pokrywać inne wydatki. Mamie Marysi też było przykro, że nie mogła być na naszym ślubie i weselu i że nie dała nam żadnego prezentu. Obiecała nam, że jak się krowa ocieli, to cielaka uchowa dla nas. Było to naprawdę szczere, ale cóż więcej mam mogła nam dać, skoro żyła w biedzie kołchozowej. Serdecznie podziękowaliśmy za obiecany prezent. Przekonaliśmy jednak mamę, że najlepszym prezentem dla nas jest to, że po sześciu latach mogliśmy się spotkać i być serdecznie przyjętym u mamy w domu, jako rodzina już Brzezińskich.

Nasza obecność była wielkim zainteresowaniem tamtejszych mieszkańców. Większość z nich to byli ludzie przesiedleni z Polski, a głównie z województwa rzeszowskiego i lubelskiego. Chcieli się z nami spotkać, rozmawiać i dowiedzieć o dawnych swoich terenach, na których się urodzili i spędzili dużo czasu swojego życia. We wsi Tekliwka i Kotywka sąsiedzi zapraszali nas do swoich domów, by nas ugościć i porozmawiać. Nic w tym dziwnego, bowiem mieszkańcy tych wiosek byli całkowicie odcięci od świata. Wiadomości mieli tylko z kołchoźników, tak nazywali radia, które w każdym z ich domów pozakładała dzierżawa, czyli państwo. Radia te na okrągło informowało ich o osiągnięciach poszczególnych kołchozów i szybkim rozwoju gospodarczym Związku Radzieckiego. Mieszkańcy, którzy się z nami spotykali byli bardzo zdziwieni i zaskoczeni, że ktoś z Polski mógł do nich przyjechać. Byliśmy pierwszymi ludźmi, którzy od czasów przesiedlenia przekroczyli granicę i weszli na teren Związku Radzieckiego.

Nawet sam przewodniczący kołchozu z uwagi na mój przyjazd zainteresował się rodziną mojej teściowej. Objeżdżając swoje wioski kołchozowe zatrzymał się, gdy zauważył jak ja łopatą przekopywałem działkę ogrodową. Wysiadł z wozu i przyszedł do mnie. Przywitał się i zapytał, jak się tu czuję. Odpowiedziałem mu, że dobrze tak, jak widać. Kazał mi przestać pracować. Obiecał, że jutro przyśle człowieka z końmi i tę działkę zaorzą. Teściowa moja słysząc te słowa była bardzo zdziwiona, bo przez tyle lat nie było takiej sytuacji. Podeszła do mnie i zaproponowała, żebym przewodniczącemu dał flaszkę spirytusu, którą ze sobą przywiozłem. Nie zgodziłem się na to, spirytus ten przywiozłem po to, żeby wypić z rodziną za pierwsze spotkanie. Uważałem, że przewodniczącego kołchozu jest obowiązkiem pomagać słabym i biednym – tak przecież głosiło hasło Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego i władzy radzieckiej.

Następnego dnia z samego rana przyjechał człowiek w parę koni z pługiem. No i zaczęła się orka. Początkowo koniki ciągnęły pług normalnie. W krótkim czasie zaczęły słabnąć i co parę kroków stawały. Jeden z koni nawet upadł i trzeba było go podnosić. Były to małe, chude kucyki. W końcu konie odmówiły posłuszeństwa i nie chciały ciągnąć pługa. Teściowa wpadła na pomysł i wykruszyła parę kolb kukurydzy do opałki. Z tą opałką szła przed końmi, a one podążały za nią, żeby się posilić. Takim sposobem udało się zakończyć orkę na tym kawałku ogrodu. Trudna i smutna była to orka, ale prawdziwa. Teściowa i ja kazaliśmy przekazać przewodniczącemu podziękowania za udzieloną pomoc. Sąsiedzi, którzy przechodzili drogą zatrzymywali się, obserwowali jak oraliśmy i pytali „co to za święto u Hadyniaków, że kołchozowe konie orzą im ogród".

Była wiosna i wszyscy kołchoźnicy mieli bardzo dużo pracy. Po wykonanej pracy w koł-

chozie musieli dobrze się krzątać, żeby w porę zdążyć obrobić swoje działki. Wszystko wykonywali ręcznie, łopatą skopać działkę, zasadzić kukurydzę i ziemniaki oraz zasiać warzywa. Pracę tę wykonywali dopóki się nie ściemniło. Ciekawe było to, że po tak ciężkiej, całodniowej pracy nie szli spać, a zbierali się w grupie siadając w przydrożnym rowie i śpiewali różne pieśni. Bywało to dla mnie zdumiewające. Zdarzało się tak, że położyłem się spać, ale śpiew ten, który w wieczornej ciszy roznosił się nad całą wsią, powodował, że wstawałem i szedłem słuchać tych pieśni. Mimo tego, że nie wszystkie słowa rozumiałem, były śpiewane po ukraińsku, sama melodia nucona na głosy przez osoby starsze była naprawdę wzruszająca. Gdy kładłem się spać często myślałem nad tym, że w takiej biedzie i po ciężkim trudzie całego dnia ludzie ci, bez żadnych organizatorów zbierają się i wspólnie śpiewają znane im pieśni. Doszedłem do przekonania, że pomagało im to w uspokojeniu i przetrwaniu najtrudniejszych okresów w życiu.

Śpiewy były niezbędną częścią wszystkich spotkań, wesel i świąt rodzinnych. W czasie mojego pobytu świąt nie było, a kościoły były zamienione na magazyny. Na przykład w Kopyczyńcach w kościele był skup i magazyn butelek, a w Tekliwce magazyn nawozów sztucznych. Właśnie przed tym magazynem był plac, na którym bawiły się dzieci. Moje córeczki, Krysia i Lidka, również brały udział w zabawach z miejscowymi dziećmi. Nauczyły się nawet śpiewać piosenki o zajczyku, oczywiście po ukraińsku. Czas naszego pobytu podczas pierwszego spotkania z nieznaną mi jeszcze rodziną był ważnym przeżyciem, a szczególnie dla mojej żony Marysi. Jak wielkim szczęściem i radością było odnalezienie i spotkanie się ze swoją matką i rodzeństwem po tak długiej i tragicznej rozłące, wie tylko ten, kto to osobiście przeżył.

Ja, będąc zięciem i szwagrem w tej rodzinie, uczestniczyłem we wszystkich rozmowach, wspomnieniach i przeżyciach od czasu rozstania w 1946 roku. Najbardziej wzruszająca była opowieść mamy o tym, jak Rosjanie transportowali ich z Polski – Kotowa do Tekliwki. Wiezieni byli wozami zaprzężonymi w konie. Żywności nie było, gdyż nie zdążyli zabrać z domu. Tato był chorowity. Mama sama musiała w czasie transportu szukać żywności dla siebie i czworga małych dzieci. W czasie postoju brała co tylko było możliwe. Wioski, przez które przejeżdżali, były zniszczone przez wojnę, a ludność, jaką spotykali, była też bardzo biedna. Najczęściej żywnością zdobytą były resztki niezebranych brukwi, jakie można było znaleźć na przydrożnych polach oraz zielona komosa, zwana lebiodą. Po przyjeździe do Tekliwki przydzielono im dom, który był opustoszały. Mieszkańcy tego domu zostali przesiedleni w głąb Rosji. I tak rozpoczęło się ich nowe życie, w tym starym glinianym domu, bez podłogi i z połamanym dachem. Ze łzami w oczach kończyła teściowa opowieść i wspomnienia o tym nieszczęsnym przesiedleniu.

Po miesiącu pobytu u rodziny Hadyniaków nadszedł czas na powrót do własnego domu, do Polski. Pożegnanie było ze łzami w oczach. Nie było żadnej pewności, że będziemy mogli się jeszcze kiedyś spotkać. Byliśmy jednak zadowoleni, że udało nam się w ogóle zobaczyć i nawzajem poznać. Do stacji kolejowej w Kopyczyńcach odwieziono nas konnym wozem z kołchozu. 30 maja 1956 roku wieczorem wysiadłem na dworcu kolejowym we Lwowie, gdzie czekała na nas starsza siostra Marysi Stefka. Stefka pracowała jako służąca u Rosjanina, który był dyrektorem poważnego zakładu. Rano, następnego dnia wsiedliśmy do pociągu, którym dojechaliśmy do Granicy w Brześciu. Na odcinku trasy Lwów–Brześć Ruski kontrolowali, co pasażerowie przewożą do Polski. Ja nie obawiałem się żadnych kontroli, ponieważ wiozłem tylko zwykłe radio lampowe w oprawie drewnianej, co prawda było to naprawdę piękne i okazałe radio. Po powrocie do domu radio to było dla nas najważniejszą ozdobą naszego pokoju i pamiątką ze spotkania rodzinnego w Związku Radzieckim. Było też nowością dla nas i naszych sąsiadów, którzy zaczęli nas częściej odwiedzać, by wspólnie wysłuchiwać nadawanych popularnych słuchowisk.

Ludwik Brzeziński w czasie połowu.

Po powrocie od rodziny pierwszy Sekretarz Komitetu Powiatowego wezwał mnie do swego gabinetu i poinformował: „Towarzyszu Brzeziński, czekają was teraz spotkania ze społeczeństwem naszego powiatu. Byliście w Związku Radzieckim, zobaczyliście jak żyją tam ludzie i trzeba to naszemu społeczeństwu opowiedzieć". Byłem na tyle świadomy, że to co słyszałem i widziałem nie było można publicznie przekazać. Przedstawiłem Sekretarzowi rzeczywistą prawdę o pracy i życiu ludzi w kołchozie, a szczególnie o warunkach w jakich żyje tam moja teściowa z rodziną. Nic nie ukrywałem, mówiłem szczerze całą prawdę. Sekretarz bardzo spokojnie wysłuchał moich informacji. Po krótkim milczeniu Sekretarz powiedział, że skoro jest taka prawda, jaką usłyszał właśnie ode mnie, to nie będzie robić spotkań z naszą ludnością. Natomiast prawie w tym samym czasie na wycieczkę do związku Radzieckiego zorganizowana przez Komitet Wojewódzki Partii pojechała dyrektor Państwowego Ośrodka Maszynowego. Po powrocie miała szereg spotkań z mieszkańcami naszego powiatu. Miała co opowiadać, bo widziała dużo pięknych rzeczy w miastach i kołchozach. Ale była to wycieczka i pokazano jej to, co było przygotowane w programie. Ja pojechałem prywatnie i bywałem tam, gdzie nikt się mnie nie spodziewał. Wszędzie, w miasteczkach, kołchozie i wioskach zastałem taką prawdę, jaka istniała na co dzień i w rzeczywistości. Ja rozumiałem, że było to po wojnie, wszędzie były zniszczenia i bieda. Ale propaganda miała poważny cel w przyjaźni polsko–radzieckiej.

Pracując w Komitecie Partyjnym miałem sporo wolnego czasu. Zebrania wiejskie i partyjne, na których miałem obowiązek być i omawiać bieżące sprawy gospodarcze i polityczne odbywały się wieczorami. Mogłem więc w ciągu dnia załatwiać swoje sprawy domowe i rodzinne, a nawet połowić ryby w Narwi.

Pamiętam, pewnego dnia przyszedłem do pracy i przez głupie żarty spowodowałem dość nieprzyjemną sytuację. Otóż był to czwartek, a w środę na jarmarku Genia – sekretarka, i sprzątaczka kupiły kaczki, które wpuściły do wolnej wnęki biura komitetu i tam im dawały karmę. Biura były na pierwszym piętrze i z okna można było je obserwować. Zastałem przy jednym z okien sprzątaczkę obserwującą te kaczki. Była zdziwiona, że jedna z jej kaczek kuleje, nie wiedziała dlaczego. Ja nie wiele myśląc zażartowałem, że widziałem jak wczoraj sekretarka karmiła swoje kaczki, a jej odpędzała kijem i poszedłem do swojego pokoju. O godzinie 8.00 słyszę straszny krzyk i kłótnię. Sprzątaczka wyzwała sekretarkę Genię od koślunów i użyła innych wulgarnych słów. Genia była tym bardzo zaskoczona, bo przecież dobrze ze sobą żyły. Popłakała się i poszła na skargę do pierwszego Sekretarza. Ja zostałem natychmiast wezwany i w obecności sekretarki musiałem wszystko wyjaśnić. Powiedziałem całą prawdę i przyznałem się do żartu. Nie spodziewałem się, że wywoła to taką awanturę. W obecności Sekretarza przeprosiłem Genię, nawet ją ucałowałem. Sekretarz był człowiekiem wyrozumiałym i chociaż mój żart był nie na miejscu, to nie wyciągnął wobec mnie żadnych konsekwencji. Ja natomiast zrozumiałem, że nie zawsze i nie we wszystkich okolicznościach można sobie pozwolić na żart. Czas mijał, sprawa z kaczkami ucichła, kobiety się pogodziły, a ja nadal poważnie zajmowałem się pracą, która do mnie należała.

Mimo tego, że byłem pracownikiem Komitetu Powiatowego Partii zajmowałem mieszkanie służbowe w Państwowym Ośrodku Maszynowym. Dyrektor Państwowego Ośrodka Maszynowego w porozumieniu z Urzędem Miejskim postanowili przeprowadzić mnie z rodziną do budynku należącego do Urzędu Miejskiego. Było to mieszkanie w byłej buźnicy żydowskiej. Nie wyraziłem na to zgody. Wówczas dyrektor Państwowego Ośrodka Maszynowego

wniosła pozew do sądu o usunięcie mnie z pomowskiego mieszkania, w którym mieszkałem od stycznia 1954 roku przez dziesięć lat. Na rozprawie sądowej oświadczyłem, że bardzo chętnie się przeprowadzę do innego mieszkania, które nie będzie gorsze od tego, które obecnie zajmuję. Tym bardziej, że mam żonę i dwoje małych dzieci. Sąd przyznał mi rację. Dyrektor Państwowego Ośrodka Maszynowego wycofała swój wniosek o eksmisję.

W 1964 roku po interwencji Sekretarza propagandy towarzysza Bonisławskiego otrzymałem przydział na mieszkanie w nowo wybudowanym bloku na pierwszym piętrze, w którym były dwa pokoje, kuchnia, łazienka i korytarz. Mieszkanie to odpowiadało mojej rodzinie i wychowywaniu dzieci.

Rok 1964 nie był dla mnie najlepszy. Cieszyłem się, że przydzielono mi nowe mieszkanie, ale większym smutkiem był fakt skazania przez sąd mojego ojca, jako głównego księgowego w Gminnej Spółdzielni w Krasnosielcu, na dwa lata pozbawienia wolności. Karę taką otrzymał za niedopełnienie obowiązków służbowych. Przestępstwo polegało na tym, że nadpłacono wozakom za transport nawozów sztucznych ze stacji kolejowej Jastrząbka do magazynu w Krasnosielcu. Oskarżony został cały zarząd, prezes, zastępca i główny księgowy. Prezes otrzymał wyrok dwa i pół roku, główny księgowy dwa lata, zastępca prezesa, czyli drugi członek zarządu, który resortowo był odpowiedzialny za organizację transportu, za akceptację faktów i rachunków za usługi transportowe, został przez sąd uniewinniony. Dlaczego? Otóż należał on do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Brat jego pracował w Komitecie Centralnym Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej w Warszawie. Byłem świadkiem jak z Komitetu Powiatowego telefonicznie rozmawiał ze swoim bratem w Warszawie, informując go o tym, że został oskarżony za niewłaściwie wystawiane rachunki. Okazało się, że rozmowa ta odniosła skutek. Jak wspomniałem zastępca prezesa został przez sąd uniewinniony, ale w Gminnej Spółdzielni pracować już nie mógł. Za to otrzymał pracę jako przewodniczący Gminnej Rady Narodowej w Krasnosielcu. Ja próbowałem szukać pomocy dla ojca w Powiatowym Zarządzie Polskiego Stronnictwa Ludowego w partii, do której należał mój tata. Niestety nic to nie dało. Ojciec musiał odsiedzieć, co prawda za dobre sprawowanie i obsługę pasieki pszczelej w gospodarstwie więziennym został zwolniony po półtora roku. W tym czasie to ja musiałem opiekować się chorowitą mamą i gospodarstwem rolnym w Sielcu Koloni.

Rok 1965 przyniósł zmianę w moje pracy. W Makowie powstał nowy oddział Centrali Nasiennej. Byłem nawet zadowolony, gdy zaproponowano mi, żebym został kierownikiem tej placówki. Wyraziłem zgodę, ponieważ moja dotychczasowa praca wymagała ode mnie spędzania czasu w terenie, a zebrania wiejskie rozpoczynające się wieczorami często kończyły się późną nocą, z czego rodzina moja miała prawo do niezadowolenia. Zadania moje w Centrali Nasiennej polegały na kontraktacji i skupie nasion głównie takich roślin, jak: łubiny słodkie, peluszka, saradele i wyki. Kontraktowano też ziemniaki jadalne, przemysłowe i sadzeniaki. Rolnik – plantator, który zawarł umowę z Centralą Nasienną otrzymywał wysokiej klasy nasiona do produkcji dobrego materiału siewnego. Nasiona dostarczane do Centrali Nasiennej w ramach zawartej umowy były badane laboratoryjnie pod kątem czystości, wilgotności, siły kiełkowania i zdrowotności oraz ustalano ich klasę. Tak przebadane nasiona były przeznaczane do dalszej uprawy. Odpowiednio sklasyfikowane były rozprowadzane po całej Polsce i wysyłane za granicę. Ziemniaki sadzeniaki odmiany Pionier wysyłaliśmy do Bułgarii i Izraela, a jadalne odmiany wyszoborskie do Niemiec. Ziemniaki przemysłowe wysyłane były do gorzelni i krochmalni w kraju.

Ludwik Brzeziński, Dzbądz, 1993 r.

Największy problem był z magazynowaniem wyprodukowanych nasion, które początkowo były skupowane i magazynowane w drewnianej przybudówce przy młynie Krępskiego. Zapotrzebowanie na materiał siewny było duże, produkcja upraw zwiększała się z każdym rokiem. Zaszła pilna potrzeba budowy magazynu, który powstał w 1967 roku. Był on bardzo dobrze przystosowany do skupu każdej ilości nasion. Był wyposażony w odpowiednie maszyny i urządzenia do czyszczenia i suszenia nasion oraz laboratorium do badania materiału siewnego.

Walne Zebranie Spółdzielni Kółek Rolniczych w Krasnosielcu, 1978 rok – Dyrektor ds. Rolniczych – Ludwik Brzeziński odczytuje sprawozdanie.

Poza pracą zawodową, obowiązkami rodzinnymi zajmowałem się głównie wędkowaniem, sportem już mniej, chociaż bardzo lubiłem grać w piłkę siatkową. Wędkowanie od najmłodszych lat brało bardzo często górę nad wszystkimi innymi sprawami towarzyskimi i rozrywkowymi.

Urlopy wypoczynkowe, poza wyjazdami do rodziny w Związku Radzieckim, były wykorzystywane głównie do łowienia ryb w Orzycu, Narwi i jeziorach mazurskich. Nie znaczy to, że nie korzystałem z wycieczek, jakie były organizowane przez zakłady pracy. Najchętniej jednak lubiłem wycieczki we własnym zakresie i na własnym motorze. Pamiętam wspaniałą wycieczkę do Zakopanego. Ja z żoną na Jawie i brat z żoną na Junaku.

Kwaterę mieliśmy u górala pod Giewontem. Spacery po górach były wspaniałe. Na motocyklu WFM wspólnie z żoną przejechaliśmy całe Bieszczady, odwiedzając wieś Kotów, gdzie urodziła się Marysia. Po wiosce tej została tylko zniszczona cerkiewka. Żonie było bardzo przykro, że nie mogła znaleźć miejsca, gdzie stał jej dom, w którym się urodziła. Dopiero sąsiadka mieszkająca w nowo wybudowanym budynku wskazała, gdzie mieszkała rodzina Hadyniaków. Mimo, że od czasu całkowitego zniszczenia - spalenia wioski minęło dwanaście lat, można było znaleźć tylko zapadnięty dołek po studni i niewielką górkę po spalonym domu. Całe podwórko i pole było zarośnięte drzewami i krzewami. Droga przez wieś, która była dość szeroka, stała się wąską ścieżką. Wycieczka ta sprawiła żonie dużo smutnych i przykrych wspomnień dni i nocy, kiedy to miejscową ludność partyzanci z Ukraińskiej Powstańczej Armii i wojska polskie nawzajem mordowały się i wyniszczały. Odnowiły się też Marysi pamiętne chwile, kiedy nastąpiło rozstanie z rodziną, choroba tyfusu, którą przeżyła bez pomocy lekarskiej.

Większość wycieczek na motocyklu odbywaliśmy po terenach pojezierza mazurskiego. Jedną z takich wycieczek był wyjazd z kolegą Drożdżem. Ja z żoną i Janek ze swoją dziewczyną Genią. Ruszyliśmy na swoich WFM-kach. Do motocykli przywiązaliśmy namioty, garnki, patelnie i oczywiście wędki. Zatrzymaliśmy się w Szczytnie, gdzie zwiedziliśmy zamek krzyżacki i Szkołę Państwowego Gimnazjum Rolniczego, do którego niegdyś uczęszczałem. Następnie zaliczyliśmy Mikołajki, Kętrzyn i Gierłoż, gdzie mieściły się bunkry głównej kwatery Hitlera. W tym czasie jeszcze nie wszystkie komnaty były dostępne do zwiedzania. Ale już wówczas można było podziwiać grubość ścian betonowych, które miały chronić wodza faszystowskich Niemiec. Noce i odpoczynek spędzaliśmy nad jeziorami, gdzie stawialiśmy namioty. Posilaliśmy się głównie smażonymi rybami, które sami złowiliśmy. Po tygodniu czasu dotarliśmy do Tolkmicka nad Zalewem Wiślanym. Namioty rozbiliśmy w starym, zniszczonym i nieużywanym porcie rybackim. Byliśmy bardzo zmęczeni, bo tego dnia przejechaliśmy ponad sto pięćdziesiąt kilometrów. Dlatego też zaraz po kolacji każdy chciał jak najszybciej położyć się spać. Ja zdążyłem jeszcze zanęcić ryby w zalewie, żeby rano lepiej brały. Jeszcze przed wschodem słońca wstałem po cichu, żeby innych nie obudzić i łowiłem ryby. Zanęta pomogła, bo ryby brały dobrze, złowiłem piętnaście leszczy. W pewnym momencie usłyszałem krzyk Geni stojącej w piżamie przed namiotem. Natychmiast przybiegłem zobaczyć, co się stało. Początkowo pomyślałem, że kłóci się z Jankiem. Okazało się, że w namiocie Geni pojawiła się żmija. Mieliśmy zamiar spędzić tam około trzech dni, położenie było ładne i ryby brały, ale przez żmiję nie było już możliwości pozostania, nawet godziny dłużej. Trzeba było zwijać namioty i wracać do domu. W powrotnej drodze Janek z Genią wstąpili do swojej rodziny w Ostródzie, a my z Marysią szczęśliwie wróciliśmy do domu w Makowie Mazowieckim. Muszę przyznać, że moja WFM-ka sprawowała się dobrze, bezawaryjnie. Co prawda była prawie nowa.

W roku 1968 sprzedałem swoją WFM-kę, na której dojeżdżałem do pracy, jeździłem na ryby no i zwiedziłem wiele zakątków Polski. W tym czasie pracowałem w Rolniczej Spółdzielni Produkcyjnej w Chełchach–Kmiecych, jako agronom i kierownik produkcji, a zatrudniony byłem na etacie Prezydium Powiatowej Rady Narodowej Wydział Rolny w Makowie. Trudno było dotrzeć do pracy w odległości dziesięciu kilometrów bez żadnego pojazdu mechanicznego. Zdecydowałem kupić samochód, na co żona wyraziła zgodę. Prawo jazdy na prowadzenie samochodu już posiadałem, gdyż wcześniej ukończyłem kurs samochodowy i ciągnikowy. Wziąłem ze sobą córkę Krystynę, która miała już wtedy 17 lat i pojechaliśmy do Warszawy na giełdę przy ul. Wilczej. Kupiliśmy Syrenę. Była zniszczona, ale na chodzie. Zapłaciłem za nią dwadzieścia siedem tysięcy złotych i szczęśliwie przyjechaliśmy nią do domu. Niektórzy sąsiedzi śmiali się ze mnie, że kupiłem takiego grata. Ale żona moja była zadowolona. Długo się autem nie cieszyłem. Ciągle coś w nim szwankowało. Sprzedać go nie mogłem, bo nikt nie chciał kupić, nawet mechanik samochodowy. Odstawiłem Syrenę na plac, koło warsztatu,

Rodzina Brzezińskich na motocyklu.

W drodze do Zakopanego, 1964 r. Pierwszy stoi Junak mojego brata – Ryszarda Brzozowskiego, a za nim ja z żoną na Jawie 350 kupionej od Czarneckiego z Krasnosielca, handlarza wszystkim, powszechnie nazywanego Ersiekiem.

gdzie była stopniowo rozbierana na części. A ja byłem zadowolony, że pozbyłem się kłopotu.

Z rodziną mojej żony utrzymywaliśmy stały kontakt korespondencyjny. Pisaliśmy do siebie listy i informowaliśmy się nawzajem, co się dzieje w naszych rodzinach. Odwiedzaliśmy się co dwa, trzy lata. Większość wyjazdów odbywała się pociągami. Po kilku latach można było zauważyć, że z każdym rokiem warunki życia w Kołchozie polepszały się. Dzieci dorastały, teściowa miała już trochę pomocy. A młodzież była wychowywana w takich warunkach, że była przygotowana i zahartowana do najtrudniejszych prac. Najstarszy syn, Teofil, nauczył się zawodu stolarskiego i nawet był w tej dziedzinie majstrem w Kołchozie. Młodszy syn, Bogdan wyjechał do Lwowa, gdzie jako majster naprawiał dachy. Najmłodsza córka Nadia skończyła szkołę pedagogiczną i była kierowniczką kołchozowego przedszkola.

Od 1970 roku w odwiedziny do rodziny jeździliśmy już własnymi samochodami, najpierw Skodą 1000 MB, następnie Fiatem 125p i Mercedesem Benz. Było to dużym ułatwieniem, bo można było wszędzie dojechać i być niezależnym od rozkładów jazdy pociągów czy autobusów. Miałem możliwość zwiedzić Lwów, Tarnopol, Czortów, Husiatyń i zobaczyć zabytkowe, stare, drewniane cerkwie, które starałem się utrwalić na zdjęciach, jako szczególne pamiątki.

Podczas kolejnych odwiedzin bardzo zainteresowałem się akwenem w Tekliwce, który miał ponad sto hektarów powierzchni i był bardzo dobrze zarybiony karpiami. Nie było dnia, żebym·w czasie pobytu u rodziny, nie spędził nad nim z wędką parę godzin. Łowienie ryb na tym akwenie, który podlegał Kołchozowi, było zabronione. Byłem świadkiem jak łowiącego wędką ryby nauczyciela spotkał strażnik tego akwenu. Kazał mu natychmiast przestać łowić i wrócić do młodzieży szkolnej pracującej na polu. Nauczyciel nie usłuchał i pokazał jakąś legitymację. Strażnik powiedział, że tą kniszku czerwoną to możesz sobie wsadzić w żopu. Chwycił za wędki, które połamał i rzucił w wo-

dę. Nauczyciel nie wytrzymał nerwowo i chwycił strażnika za obszewki. Była szarpanina, w wyniku której została rozdarta soroczka – bluza strażnika. Za podarcie bluzy w czasie służby strażnika nauczyciel poszedł do ciurmy. Po niespełna pół godziny przyjechała milicja i zabrała nauczyciela. Jak się później dowiedziałem nauczyciel ten dostał wyrok jednego miesiąca do odsiadki za znieważenie urzędnika państwowego na służbie i podarcie na nim munduru. Ja jako gość z Polski byłem uprzywilejowany i mogłem swobodnie i legalnie łowić ryby. A to dlatego, że siostra żony Nadia, która była kierowniczką przedszkola w Kołchozie, zwróciła się z prośbą do Goławy – przewodniczącego Kołchozu, żeby pozwolił mi, jako szwagrowi, na łowienie ryb wędką. Przewodniczący zgodził się i dał pismo, w którym napisał: „pozwalam na łowienie ryb w akwenie na odcinku wsi Tekliwka Ludwikowi Dzierżyńskiemu". Zmienił moje nazwisko z Brzezińskiego na Dzierżyńskiego. Widocznie uważał, że jak z Polski, to musi być Dzierżyński. Ale to nikomu nie przeszkadzało, nawet strażnikowi, z którym się codziennie spotykałem, a nawet jednego dnia wypiliśmy flaszkę bimbru.

Była i taka sytuacja, a byłem nad wodą z bratem Andrzejem, który razem z nami przyjechał, że przyszło do nas dwóch młodych mężczyzn z wędką i zaproponowali nam jej kupno. Zażądali pół litra wódki. Nie mieliśmy czym łowić, więc się zgodziliśmy. Poszedłem do żony siostry Geni i przyniosłem te pół litra wódki. Młodzieńcy wzięli wódkę i odeszli, a my dostaliśmy wędkę i byliśmy bardzo zadowoleni, że mamy czym łowić. Po około pół godziny przyszło do nas trzech innych mężczyzn, którzy stwierdzili, że to jest ich wędka, którą im skradziono. Nie pomogły żadne tłumaczenia, wędkę musieliśmy oddać, by uniknąć awantury.

Po każdym pobycie u rodziny na Ukrainie trzeba było wracać do własnego domu. W jednym z powrotów pociągiem zostałem po raz pierwszy bardzo szczegółowo zrewidowany przez służby radzieckie. Każda walizka, paczka i torebki były wywracane do dna. Nawet ubrania moje, żony i dzieci były sprawdzane jakąś aparaturą. Kontroler musiał coś podejrzewać, bo nawet radio na baterie rozebrał w drobiazgi, ale na szczęście nic nie znalazł. Na kilka kilometrów przed dojazdem do granicy, Ruski zamykali wszystkie toalety w wagonach. Mnie po tej kontroli, nie wiem czy ze strachu, zachciało się siku. Nie miałem innej możliwości jak tylko wyjść na zewnątrz, między wagony i załatwić swoją potrzebę. Zauważył to strażnik kolejowy i solidnie mnie ochrzanił, że opuściłem przedział i oszczałem wagon. Na granicy w Brześciu było trochę czasu zanim będą podstawione wagony do Warszawy. Wykorzystałem ten czas i zwiedziłem piękną cerkiew, w której w tym czasie odprawiało się nabożeństwo. W podstawione polskie wagony na spokojnie wsiedliśmy i szczęśliwie dojechaliśmy do Warszawy, skąd autobusem dotarliśmy do Makowa Mazowieckiego.

W 1985 zmarła mama Marysi, a moja teściowa, która przeżyła 82 lata. Rodzeństwo – braci i siostry Marysi odwiedzaliśmy jeżdżąc własnymi samochodami. Z mogiły mamy i taty żony, którzy spoczywają na cmentarzu w Tekliwce, przywiozłem torebkę ziemi i usypałem przy grobie moich rodziców w Krasnosielcu, gdzie do dziś zapalamy znicz za ich pamięć.

Czesław Brzeziński z synami: Ludwikiem, Ryszardem i Andrzejem, 1960 r.

Moja praca zawodowa była zawsze związana z rolnictwem. Byłem zadowolony, że będąc dyrektorem Spółdzielni Kółek Rolniczych w Szelkowie, udało mi się zorganizować pracę tak, że spółdzielnia ta była wzorem do naśladowania. Powiatowy Związek Kółek Rolniczych organizował spotkania dla innych dyrektorów, żeby brali przykład z Szelkowa jak należy kierować takim zakładem usługowym. Spółdzielnia Kółek Rolniczych Szelków wybiła się na czoło w powiecie makowskim spośród dziesięciu takich zakładów. Ale obok tego przeżyłem sporo kłopotów. W stosunku do mnie było pewne zaniepokojenie i podejrzenie, że na Brzezińskiego nie ma żadnych skarg od pracowników i rolników. Muszą tam być jakieś konszachty i kombinacje. Na pewno nie wszyscy i na czas byli obsługiwani, ale rolnicy byli w stałym kontakcie z bazą maszynową i orientowali się, kiedy będą im wykonane usługi w pracach polowych i żniwnych. Pracownicy – traktorzyści i kombajniści zarabiali więcej niż dyrektor. Więc dlaczego mieli się skarżyć.

Zdarzyła się taka sytuacja, że trzeba było zmienić przewodniczącego gminnej Rady Narodowej w Szelkowie. Towarzysz Marian D. musiał odejść. Najlepiej pasowało mu być dyrektorem Spółdzielni Kółek Rolniczych, a że był to aktywny działacz Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej więc Sekretarz Rolny Komitetu Powiatowego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej w Makowie z udziałem przewodniczącego Powiatowego Związku Kółek Rolniczych w Makowie towarzysza Jana B. starali się tę sprawę Marianowi D. pozytywnie załatwić. Zaczęto na mnie szukać podejrzeń (haków), które pozwoliłyby zwolnić mnie z pracy. Wspólnie z Marianem D. wykorzystali okazję, kiedy to poszedłem do baru na śniadanie z Chełchowskim – kombajnistą, który w tym czasie był na urlopie. Gdy kończyliśmy śniadanie, przy naszym stoliku zjawili się Sekretarz Rolny i towarzysz Jan B. Nie mówiąc nam smacznego i bez powitania ostrym głosem usłyszałem, że od dziś nie jestem już Dyrektorem Spółdzielni Kółek Rolniczych. Zdziwiony zapytałem, dlaczego? Odpowiedzią było to, że po barach w godzinach pracy się nie chodzi. Jutro nastąpi przekazanie zakładu towarzyszowi Marianowi D. mówiąc szczerze zatkało mnie to całkowicie. Na śniadanie do tego baru przychodziłem dosyć często, bo nie zawsze zdążałem zjeść je w domu. Poza tym przez siedem lat mojej pracy miałem same pochwały, nigdy żadnego upomnienia ani nagany. Na drugi dzień przyjechał z Powiatowego Związku Kółek Rolniczych z Makowa Mazowieckiego Roman Zalewski, zastępca Jana B. i zaczęliśmy przekazywanie Spółdzielni Kółek Rolniczych towarzyszowi Marianowi D. Po kilku dniach zakończono inwentaryzację i sporządzono protokół zdawczo – odbiorczy. Wszystko odbywało się prawidłowo i bez żadnych zakłóceń. Marian D., jako przejmujący, pojechał na rowerze do baru po flaszkę gorzałki i przekąskę. W tym czasie przed biuro zajechała czarna Wołga, z której wysiadł towarzysz Drabiński, Sekretarz organizacyjny Komitetu Powiatowego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej i towarzysz Chrzanowski, zastępca Sekretarza Rolnego Komitetu Wojewódzkiego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej w Warszawie. Po przywitaniu się powiedzieli, że wracają właśnie z odpustu w Świętej Rozalii (bo był to dzień 4 września). W luźnej rozmowie, w obecności całej komisji wypytywali o różne sprawy, jak się pracuje i jak funkcjonuje Spółdzielnia Kółek Rolniczych. Ja przedstawiłem w skrócie stan gospodarczy i organizacyjny, a księgowa Alina M. stan finansowy. W tym momencie wrócił Marian D. przywożąc w reklamówce gorzałkę i zakąskę. Towarzysz Drabiński znając Mariana D. zapytał go, co tu robi. Otrzymał odpowiedź, że przejmuje Spółdzielnię Kółek Rolniczych. Protokół zdawczo–odbiorczy nie był jeszcze podpisany. Księgowa nie wytrzymała i z płaczem powiedziała, że nie ma żadnych podstaw, by zmieniać dyrektora w naszej Spółdzielni Kółek Rolniczych. Że przed przyjściem Brzezińskiego zakład ten miał duże straty, a obecnie mamy zyski i rolnicy są zadowoleni z naszych usług. Po wysłuchaniu danych o szelkowskiej Spółdzielni Kółek Rolniczych i rozmowach z członkami komisji, towarzysz Chrzanowski kazał przerwać przekazywanie i pracować na dotychczasowych zasadach. Pożegnali się, wsiedli do czarnej Wołgi i odjechali. Marian D. zachował się nienagannie. Gorzałkę, którą kupił, wypiliśmy wspólnie z całą komisją i w przyjemnym nastroju opuściliśmy zakład pracy. Dziwny zbieg okoliczności, bo dzięki odpustowi w Świętej Rozalii i towarzyszowi Sekretarzowi

pozostałem nadal dyrektorem Spółdzielni Kółek Rolniczych, a Marian D. otrzymał pracę jako drogomistrz w gminie Szelków. Mój bezpośredni przełożony Jan B. początkowo unikał ze mną rozmów i spotkań. Jednak po pewnym czasie przeprosił mnie za tę decyzję, tłumaczył się tym, że nie miał innego wyjścia, bo taka była decyzja towarzysza Sekretarza Rolnego. Pomimo tego, że nie doszło do zwolnienia mnie z funkcji dyrektora, to atmosfera i stosunek do mnie zmienił się i był odczuwalny.

Po dwóch latach postanowiłem napisać podanie do Zarządu Wojewódzkiego Kółek Rolniczych w Ostrołęce o przeniesienie mnie ze stanowiska dyrektora w Szelkowie na stanowisko zastępcy ds. rolnych w Spółdzielni Kółek Rolniczych w Krasnosielcu. Sprawę tego przejścia wcześniej już miałem uzgodnioną z dyrektorem Spółdzielni Kółek Rolniczych w Krasnosielcu Milewskim. Poza tym w Sielcu Nowym k/Krasnosielca mieszkali moi rodzice, którzy byli już w starszym wieku i wymagali opieki i pomocy w pracy na gospodarstwie rolnym, które już w 1962 roku rejentalnie mi przekazali. Wojewódzki Związek w Ostrołęce wyraził zgodę na moją prośbę i z dniem 13 października 1977 roku pracowałem już w Spółdzielni Kółek Rolniczych w Krasnosielcu jako zastępca dyrektora ds. produkcji rolnej.

Po dwóch latach pracy w Krasnosielcu w 1979 roku zmarła moja mama, która przeżyła 76 lat. Pochowana została na cmentarzu w Krasnosielcu. Tata został w domu sam, gdyż synowie mieli pozakładane rodziny poza domem. Ryszard, najstarszy syn, z żoną Elą mieszkali i pracowali w Warszawie. Andrzej, najmłodszy, z żoną Urszulą mieszkali w Makowie Mazowieckim. Najbliżej rodziców byłem ja i mimo tego, że mieszkałem z rodziną w Makowie, to największa możliwość udzielania pomocy była z mojej strony.

W latach 1978-79 na terenie gminy Krasnosielc grasował podpalacz, który w krótkim czasie podpalił kilka budynków gospodarczych i jeden wiatrak. Między innymi spłonęła stodoła mojego taty. Było to straszne, bo pożary wybuchały nocą. Jak się później okazało podpalaczem był sąsiad naszego gospodarstwa, młody 25 letni Wojtek K. W czasie, gdy płonęła nasza stodoła, Wojtek był obecny i próbował nawet gasić ogień. Śledztwo udowodniło mu winę podpalania. Na rozprawie sądowej zapytany dlaczego podpalił stodołę sąsiadowi, odpowiedział, że gołębie Brzezińskiego siadały na jego zasiane zbożem pole. Sąd nie wydał żądnej kary, gdyż podpalacz został uznany za psychicznie chorego.

Po tych tragicznych przeżyciach, śmierci mamy i spaleniu stodoły uznałem, że nie można taty zostawić samego. Tej samej nocy zabrałem tatę do swojego domu w Makowie. Nie można było zostawić go samego. Każdej nocy sąsiad mógł podpalić dom, gdyż był na wolności, a wówczas byłaby jeszcze większa tragedia. Początkowo tata nie chciał się zgodzić, bo nie chciał się rozstać z domem, w którym się urodził, założył swoją rodzinę, wychował trzech synów i przeżył 76 lat.

Cmentarz Orląt Polskich, Lwów, Ukraina 1998 r., M. L. Brzezińscy z córką Krystyną

Spółdzielnia Kółek Rolniczych w Krasnosielcu była rozbudowaną instytucją. Posiadała cztery filie, które były wyposażone w sprzęt maszynowy, ciągniki, kombajny i warsztaty remontowe. Posiadała też gospodarstwo rolne sto siedemdziesiąt hektarów. W gospodarstwie tym obok upraw polowych była prowadzona hodowla zwierząt, bydła opasowego, tuczu trzody chlewnej i odpajalnia cieląt. Stan trzody chlewnej był utrzymywany w granicach tysiąca sztuk, sto sztuk bydła opasowego i sto dwadzieścia sztuk cieląt. Taka hodowla wymagała dużego nakładu pracy i dobrze zorganizowanej obsługi w żywieniu i opiece weterynaryjnej. Trudne to było dla mnie zadanie, gdyż mieszkałem w Makowie, a dojazdy szczególnie zimą były uciążliwe. Zima 1979/80 roku, którą nazwano „zimą stulecia" spowodowała, że w odpajalni cieląt w Krasnosielcu popękały rury i grzejniki, brak było wody i prądu. To samo było w Woli, gdzie było trzymane bydło opasowe, popękały mechaniczne poidełka, a drogi dojazdowe (pięć kilometrów) były zasypane śniegiem, że ciągnikiem na gąsienicach przez dwa dni nie można było dowieźć paszy. W bazie hodowlanej trzody chlewnej w Pienicach, gdzie wiaty, w których trzymano świnie, nie były ocieplane. Pasza i woda w korytach zamarzała. Droga z Makowa do Krasnosielca była nieprzejezdna. Były tak ogromne zaspy śnieżne, że ani przez Zamość, ani przez Płoniawy nie kursowały autobusy. Co gorsze, dyrektor naczelny, główny księgowy i ja mieszkaliśmy w Makowie. Do pracy w Krasnosielcu musieliśmy docierać pieszo, a przejść dwadzieścia cztery kilometry po zaspach śnieżnych było nie lada wyzwaniem. Nie byliśmy w tym osamotnieni. Razem z nami drogę tą pokonywali prezesi Gminnej Spółdzielni „SCh" Kimona i Konikiewicz oraz komendant posterunku Milicji Kluczek, którzy też mieszkali w Makowie, a pracowali w Krasnosielcu. Dlatego też była konieczność nocowania w Krasnosielcu, żeby na czas być na miejscu pracy i czuwać nad sytuacją kryzysu tej zimy. Sypiało się w biurach, które też nie były ogrzewane z powodu awarii urządzeń instalacji centralnego ogrzewania.

Zima ta spowodowała duże straty nie tylko w urządzeniach wodociągowych i grzewczych, ale i w hodowli inwentarza żywego. Sprawozdania składane do Zarządu Wojewódzkiego Kółek Rolniczych w Ostrołęce z produkcji zwierzęcej, a szczególnie zużycie pasz na jeden kilogram przyrostu żywej wagi tuczników, były niezadowalające, gdyż przekraczały ustaloną pięciokilogramową normę. W naszych sprawozdaniach norma ta była przekroczona o dwa kilogramy i wynosiła siedem kilogramów. Takiego sprawozdania nie chciał od nas przyjąć Zarząd Wojewódzki. Prezes Zarządu Wojewódzkiego Kółek Rolniczych w Ostrołęce wezwał dyrektora Milewskiego i mnie jako zajmującego się produkcją rolną, hodowlaną i oświadczył nam, że takiego sprawozdania nie może wysłać do Centralnego Zarządu Kółek Rolniczych w Warszawie. Zasugerował, żebyśmy zmienili to sprawozdanie na takie, w którym zużycie pasz będzie zgodne z ustaloną normą. Jak to zrobić musieliśmy pomyśleć sami. Wróciliśmy do Krasnosielca i księgowość sporządziła nowe sprawozdanie zgodnie z ustaloną normą, które Zarząd Wojewódzki przyjął.

O tej fikcji wiedziała nawet lustracja Zarządu Wojewódzkiego, osobiście Józef G. i Henryk A., którzy gościli w naszej Spółdzielni Kółek Rolniczych. Dyrektor Spółdzielni Kółek Rolniczych zażądał od księgowości wyliczenia, o jaką ilość kilogramów paszy przekroczono normę. Następnie sporządzono komisyjny protokół strat na tę ilość paszy, która przekroczyła normę. Uzasadniono to ciężką zimą, roztopami śniegu i zalaniem paszy w magazynie. Taki fikcyjny protokół został uzgodniony i podpisany przez komisję w składzie:

1. zastępca dyrektora ds. produkcji rolnej
2. inspektor Zarządu Wojewódzkiego Kółek Rolniczych
3. agronom Urzędu Gminy
4. przewodniczący Związków Zawodowych
5. magazynier

Ustalono również, że ta rzekomo zmoczona i stęchła pasza zostanie przekazana do nadleśnictwa dla dzikich zwierząt. Mając taki dokument pojechałem wspólnie z magazynierem Jurkiem C. do leśniczego w Łazach. Po przedstawieniu całej prawdy leśniczemu magazynier wypisał kwit magazyn wydał dla nadleśnictwa z określoną ilością paszy, a leśniczy podpisał kwitując odbiór. Zdawało się, że sprawa została zakończona i dokumentalnie uzasadniona. Wiedzieliśmy, że jest to niezgodne z prawdą, ale był to tzw. okres sukcesów i wiele fikcyjnych rzeczy się działo. Okazało się, że historia z tą paszą nie miała jeszcze końca. Ja przeszedłem na rentę, bo jak już wspomniałem, po śmierci mamy tata zamieszkał z nami w Makowie. Gospodarstwo rolne, które było mi przekazane, trzeba było obrobić. Dyrektor naczelny Spółdzielni Kółek Rolniczych Czesław M. szykował się przejść do pracy w Szelkowie, a Spółdzielnię Kółek Rolniczych Krasnosielc przejmował Jerzy M., który był zastępcą do spraw technicznych. Jerzy M. wiedział o tych niezgodnych z rzeczywistością sprawozdaniach paszowych.

Nie wiem jakim sposobem sprawa trafiła do Komendy Wojewódzkiej w Ostrołęce. Rozpoczęło się śledztwo i dochodzenie w tej sprawie. Przesłuchano siedemdziesięciu świadków. W końcu po dwóch latach dochodzenia sprawa trafiła do Sądu w Przasnyszu. Zgodnie w przepisami odpowiedzialność padła na dyrekcję, a głównie na mnie jako resortowo odpowiedzialnego za produkcję rolno–hodowlaną. Wszyscy uczestnicy tej fikcji zaczęli się bronić różnymi sposobami. Ja na obronę miałem protokół komisji, który jak się okazało zaginął z moich akt. Po pewnym czasie dowiedziałem się, że protokół ten wykradła mi z biurka pani inspektor Wojewódzkiego Związku. Dyrektora Czesława M., jak mi sam powiedział, bronił brat, który był Komendantem Milicji w Łomży. Pozostałem sam bez żadnego adwokata, tylko z prawdą, jaką zapamiętałem. Co gorsza, że wobec mnie były fałszowane i zbierane podstępnie dowody. Na przykład Henryk A. i Józef G. z lustracji Wojewódzkiego Związku zmusili do podpisania oświadczenia przez magazyniera Jerzego C., które sami napisali w takiej treści, że to ja swoim samochodem wywoziłem paszę treściwą z magazynu w Pienicach. Po zapoznaniu się z tym oświadczeniem zmuszony byłem pojechać do magazyniera i wyjaśnić czy to, co w tym oświadczeniu podpisał, jest prawdą. W obecności swojej żony i teściów rozpłakał się mówiąc, że Henryk A. i Józef G. zmusili go do podpisania tego oświadczenia. Po dłuższej rozmowie i wyjaśnieniach niektórych spraw zapytałem, czy podpisze mi teraz oświadczenie stwierdzające nieprawdę w oświadczeniu podpisanym dla Henryka A. i Józefa G. Magazynier zgodził się i od razu napisał ręcznie oświadczenie o treści: „Oświadczam, że oświadczenie, że Brzeziński wywoził paszę treściwą z magazynu w Pienicach, napisali i zmusili mnie do podpisania Józef G. i Henryk A. zastraszając mnie, że jeśli nie podpiszę to sam pójdę siedzieć. Jest to nieprawdą, Brzeziński paszy nie wywoził.” Za takie oświadczenie i podpisanie podziękowałem magazynierowi, a rodziców jego przeprosiłem za to, że późną nocą zakłóciłem im spokój.

Spotkanie Marysi z bratem, Francja, 1981 r.

Zabytkowa Cerkiew w Czortkowie, Ukraina, 2006 r.

Na sprawach sądowych w Przasnyszu broniłem się sam, bez adwokata. Uważałem, że sam wiem najlepiej jak to było i taką prawdą posługiwałem się na wszystkich czterech rozprawach. Na jednej z rozpraw, kiedy był przesłuchiwany magazynier, podałem sędziemu oświadczenie podpisane przez Jerzego C.– magazyniera. Gdy sędzia poprosił świadka o wyjaśnienie, które z oświadczeń jest prawdziwe, magazynier spuścił głowę i na pewien czas zamilkł. Po czym powiedział, że prawdziwe jest te, które własnoręcznie napisał i dał Brzezińskiemu. Inspektor Zarządu Wojewódzkiego Kółek Rolniczych, która nadzorowała i kontrolowała pracę Spółdzielni Kółek Rolniczych nie została nawet powołana na świadka, chociaż podpisała fikcyjny protokół strat. Dyrektor naczelny został wyłączony z oskarżenia i występował w roli świadka. Jednym słowem głównym winowajcą tych fikcyjnych sprawozdań zostałem ja. Wreszcie po dwóch latach procesu zapadł wyrok. Podstawowym przestępstwem było to, że świnie zjadły za dużo paszy i sfałszowanie dokumentów sprawozdawczych. Ale trzeba zrozumieć, że było to zrobione w okresie

propagandy sukcesów i sprawozdania musiały być takie, jakie żądają wyższe władze, a nie zgodne z rzeczywistością. Oberwało mi się za to dwa lata w zawieszeniu.

Było to straszne przestępstwo, wyrok mój i jego wagę przestępczą można porównać do wyroku sądowego Ministra Obrony Narodowej, który za stan wojenny w 1981 roku, gdzie zginęło ponad sto osób, a tysiące było internowanych, otrzymał też dwa lata w zawieszeniu. Na tej podstawie można stwierdzić, że sądy polskie uznały te dwie sprawy o równym ciężarze gatunkowym i jednakowym stopniu szkodliwości. Sąd który mnie sądził w 1980 roku był PRL-owski, niektórzy mówili nawet komunistyczny, a ten który sądził w 2012 roku Ministra Obrony Narodowej był demokratyczny w wolnej Polsce. Moja rodzina i ja bardzo mocno to przeżyliśmy. Sprawa ta przekonała mnie, że nie zawsze można liczyć na swoich kolegów i ufać swoim przyjaciołom. - Będziesz dobrym, gdy będą z ciebie korzystali i będą potrzebować twojej pomocy, ale jeśli tylko ci się noga podwinie wykręcą się do ciebie plecami i będą się starać ciebie unikać. Ale takie to już jest życie.

Miasto Maków Mazowiecki nigdy w swojej historii nie miało tak dużego i szybkiego rozwoju, jak w latach 1950-1980. Przedsiębiorstwa, zakłady pracy, szkoły rosły jak grzyby po deszczu. Można by przytoczyć takie przedsiębiorstwa, jak: Państwowy Ośrodek Maszynowy, który wprowadzał mechanizację w rolnictwie i świadczył usługi w uprawach polowych i mechanicznego zbioru płodów rolnych; ZREMB - zakład o wielkich halach produkcyjnych produkujący elementy budowlane i inne urządzenia, produkcja tego zakładu szła na cały kraj i inne państwa w Europie, zatrudniał ponad osiemset osób; Unitra – Unitech BOLT zatrudniał siedemset pracowników różnych branż, produkował wszystkie rozmiary śrub, nakrętek, wykonywał odlewy części do ciągników i samochodów osobowych, wentyli samochodowe oraz okna i drzwi dla firm budowlanych, części i elementy tu produkowane były eksportowane do wielu krajów Europy, zakład wybudował nawet dwa bloki na trzydzieści rodzin dla swoich pracowników; WARSEP – zajmował się transportem, świadczył usługi nie tylko firmom i zakładom budowlanym, ale i ludności z terenu powiatu, produkował też elementy budowlane; Przedsiębiorstwo Robót Budowlanych budowało i prowadziło nadzór budowlany nie tylko w Makowie, ale w całym powiecie; Spółdzielnia Inwalidów zatrudniała inwalidów z całego regionu makowskiego i przasnyskiego. Pracownicy tej spółdzielni zajmowali się głównie krawiectwem w zakładzie i w swoich domach. Szyli ubrania robocze, bluzy, spodnie, kombinezony i rękawice. Była to naprawdę instytucja, która dawała nie w pełni sprawnym fizycznie ludziom pewne zadowolenie i satysfakcję w ich życiu; Składnica Maszyn Rolniczych – zaopatrująca w sprzęt i narzędzia rolnicze nie tylko rolników, a także organizacje rolnicze powiatu makowskiego; Stacja i Baza PKS, która ułatwiała przemieszczanie się ludności w całej Polsce; Nowoczesny Szpital Powiatowy, zbudowany przy pomocy Duńczyków. Został on ośrodkiem leczenia nie tylko chorych powiatu makowskiego, ale i sąsiednich powiatów. Powstały takie ośrodki zdrowia we wszystkich gminach naszego powiatu. Zbudowano także cztery szkoły, dwie podstawowe, Liceum Ogólnokształcące i Zasadniczą Szkołę Zawodową. Szkoły powstały także w każdej gminie, a nawet w wielu wioskach. Powstał też Dom Kultury, w którym organizowano różne występy artystyczne i wyświetlano filmy. Młodzież miała swoje miejsce, gdzie mogła się spotkać i uczestniczyć w różnych tzw. kółkach zainteresowań. Następnie pobudowano trzy przedszkola, trzydzieści trzy bloki mieszkalne trzy i czteropiętrowe dla co najmniej dziewięciuset rodzin. Poważna to była pomoc dla mieszkańców i osób dojeżdżających do pracy w rozbudowującym się wówczas mieście Maków Mazowiecki, w którym po wojnie występował poważny brak mieszkań. Zarobki w w/w zakładach nie były wysokie, ale kto chciał pracować ten pracę miał zapewnioną. Było nawet powiedziane, że praca jest obowiązkiem każdego obywatela. Towary przemysłowe i spożywcze były szybko wykupywane. Sklepy często świeciły pustkami, a przed sklepami ustawiały się kolejki, przed dostawą towaru. Ta sytuacja była dowodem, że ludzie mieli pieniądze, tylko podaż była mniejsza od popytu. Przemysł nie był w stanie zaspokoić potrzeb społeczeństwa. Większość towarów spożywczych i przemysłowych była przeznaczona na eksport, głównie na rynki wschodnie.

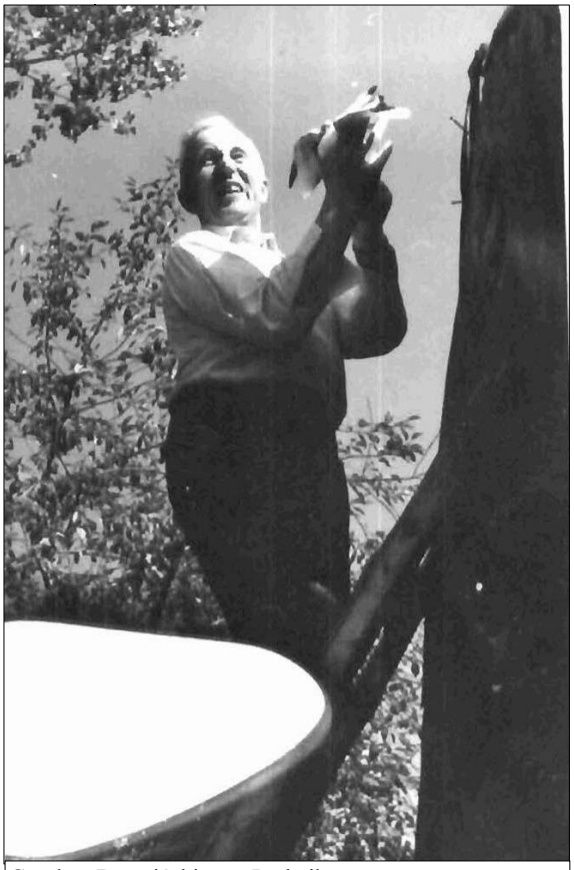

Czesław Brzeziński, tata Ludwika

Szkoda, że wszystkie inwestycje i zakłady pracy po przejęciu władzy przez Solidarność w 1989 roku zostały sprywatyzowane lub zlikwidowane. Większość zatrudnionych zostało pozbawionych pracy. Przykro było patrzeć jak całe rodziny, które pracowały w Państwowym Gospodarstwie Rolnym, zza płotów swoich zagród obserwowały zbieranie kombajnami zboża, pszenicy, rzepaku i buraków przez prywatnego właściciela pola, na którym pracowało całe ich pokolenie i miało zabezpieczone warunki życia. Minister Sprawiedliwości za rządów Prawa i Sprawiedliwość proponował, by budynki po zlikwidowanych Państwowych Gospodarstwach Rolnych zamienić na areszty i więzienia, gdyż na obecną chwile były przepełnione. Trudno zrozumieć czy była to troska o niszczące się budynki czy też troska o człowieka.

Solidarność po raz drugi zaczęła wychodzić z protestami na ulicę, nie przeciw władzy Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej, ale przeciw tej władzy, którą sama zdobyła i przekazała w ręce prywatnych kapitalistów, których celem było nie dobro ludzi pracy, a ich własny interes. A miało być tak dobrze. W Państwowym Gospodarstwie Rolnym Bazar w Makowie Mazowieckim pracownicy zbuntowali się i nie dopuścili do sprzedaży swego gospodarstwa. Zaspawali bramę i nie wpuścili Agencji Rolnej i bogatych kupców. Nie pomogła nawet interwencja policji. Do dziś dnia gospodarstwo to istnieje, prowadzi produkcję rolną i fermę kurzą zaopatrując mieszkańców Makowa w świeże jaja. Rodziny mają zapewnione warunki do życia i nie muszą wyjeżdżać do pracy w Warszawie czy za granicą.

Ja będąc rencistą miałem dużo wolnego czasu. Moje hobby wędkarskie było w pełni zaspokojone. Jednak bez żadnej pracy – mając 53 lata było trochę głupio żyć. Najpierw zająłem się robieniem przyczepek na kółkach samochodowych. Byłem z zawodu agronomem, ale ta robota przynosiła mi satysfakcję i zadowolenie, nie mówiąc już o dodatkowych pieniądzach, których nigdy nie było za wiele. Udało mi się wyprodukować dziewięć sztuk takich przyczepek. Z pierwszego modelu sam do dziś korzystam, chociaż minęło już ponad trzydzieści lat. Następnie zmontowałem małą krajzegę i tokarkę do drzewa. Obie te maszyny były napędzane prądem elektrycznym. Te urządzenia pozwalały mi wykonywać wszelkiego rodzaju kwietniki, kinkiety i toczone nogi do ław i stolików pokojowych oraz taboretów. Muszę przyznać, że przez co najmniej dwa lata miałem sporo zamówień na ten asortyment.

Dzięki mojej żonie miałem możliwość dwukrotnie odwiedzić Francję. Pierwszy raz byłem w czerwcu 1981 roku. Zaprosił nas brat Marysi, Jan Hadyniak, który pracował i mieszkał w Buwi od 1937 roku. Miasto to liczyło osiemdziesiąt tysięcy mieszkańców i leżało w północnej części Francji. Przebywaliśmy tam cały miesiąc. W tym czasie zwiedziłem ważniejsze zabytki w Buwi, Paryżu i historyczne zamki w najbliższych rejonach. Umożliwił nam to syn Janka – Piotr, który własnym samochodem obwoził żonę i mnie po wszystkich miejscowościach. Jestem mu za to serdecznie wdzięczny, bo zobaczyłem dużo ciekawych rzeczy. Brat Marysi był bardzo chorowity, męczyła go silna astma. W dwa miesiące po naszym wyjeździe zmarł. Tak to wyglądało, że zaprosił swoją siostrę, bo miał potrzebę zobaczenia się z Marysią przed swoją śmiercią. Rozstali się w 1937 roku i nie widzieli się przez czterdzieści cztery lata. To spotkanie było ich pożegnaniem.

W maju 1983 roku z okazji osiemdziesiątych urodzin naszego taty Czesława zorganizowaliśmy spotkanie całej naszej rodziny. Najpierw

zrobiliśmy pamiątkowe zdjęcie rodzinne przed blokiem naszego mieszkania, na którym byli tata Czesław, jego trzej synowie Ryszard z żoną Elżbietą, Ludwik z żoną Marią i Andrzej z żoną Urszulą, troje wnucząt Krystyna, Lidia i Małgorzata oraz troje prawnucząt Paweł, Agnieszka i Ilona. Brak było tylko naszej mamy Antoniny, która zmarła w 1979 roku.

Po tym fakcie weszliśmy do mieszkania, gdzie był już przygotowany obiad. Zasiedliśmy do stołu, jubilat na honorowym miejscu. Najstarszy syn Ryszard wręczył tacie album z rodzinnymi zdjęciami. Tato zaczął oglądać zdjęcia i w pewnym momencie zaczął coś bardzo niewyraźnie mówić, a nawet panować nad ruchami swoich rąk. Natychmiast wezwałem pogotowie, które zabrało tatę do szpitala. W szpitalu lekarze zdiagnozowali wylew krwi do mózgu. Zauważyliśmy, że atak tej choroby nastąpił w momencie, gdy tato zobaczył zdjęcie mamy w trumnie. Domyślamy się tylko, że wywołało to silne wzruszenie, a następnie wylew. W szpitalu tata nie odzyskał przytomności i po dwóch dniach zmarł. Pogrzeb odbył się w rodzinnej miejscowości i pochowany został na cmentarzu w Krasnosielcu, gdzie spoczywa we wspólnej mogile ze swoją żoną, a naszą mamą.

Po raz drugi odwiedziłem Francję w 1987 roku. Tym razem zaproszenie przysłała nam córka Stefania, nieżyjącego już ojca Jana Hadyniaka, która mieszkała w Dyżonie, bardziej na południu Francji. Na to zaproszenie pojechaliśmy zbiorowo, ja z żoną, córka Krystyna z mężem Waldkiem i mój brat Andrzej. Odważyliśmy się wyruszyć własnymi samochodami – Fiatami 126p, a odległość do pokonania wynosiła dwa tysiące kilometrów w jedną stronę. Pojazdy nasze, powszechnie nazywane maluchami, były tak załadowane paczkami i kartonami na dachach, że wyglądały jak tabor cygański. Do granicy niemieckiej dojechaliśmy o dwadzieścia cztery godziny za wcześnie. Zgodnie z wizą nie mogliśmy przekroczyć granicy wcześniej i zmuszeni byliśmy czekać do następnego dnia. Wszystko by było dobrze, gdyby nie to, że przechodzący Niemcy zatrzymywali się przy naszych pojazdach. Było to dla nich widowisko, które ich bawiło i rozśmieszało. Wytykali palcami nasze auta i kartony na dachach przykryte folią. Żeby uniknąć tych upokorzeń i szybko odjechać z punktu granicznego, trzeba było dodatkowo opłacić. Mieliśmy ze sobą trochę dolarów. Złożyliśmy się i żądaną sumę wpłaciliśmy w urzędzie granicznym. Pozwoliło nam to odjechać z tego miejsca i zaoszczędzić sobie dalszych upokorzeń ze strony niemieckich gapiów.

W trasie, jaką pokonywaliśmy, musieliśmy bardzo uważać. Szczególnie na autostradach, gdzie nasze maluchy nie utrzymywały prędkości jeżdżących tam samochodów osobowych, a nawet i ciężarowych. Wyprzedzające lub mijające nas Tiry swoim pędem szarpały naszymi maluchami. Trzeba było dobrze trzymać kierownicę, by zachować równowagę. Nie byłem przyzwyczajony do tak długich podróży i tak szybkiego ruchu na autostradach. Jazda stawała się monotonna i usypiająca, tym bardziej w dni upalne. Miałem moment, że zacząłem łamać mnie sen i tylko dzięki Waldkowi, który siedział obok mnie i trącił mnie łokciem krzycząc co ty robisz, uniknąłem wypadkowi. Ocknąłem się ale na poboczu ściąłem jeden ze stojących tam na szczęście plastikowych słupków. Dobrze, że nie jechałem pasem szybkiego ruchu. Następną moją wpadką było nie wyrobienie się na światłach na skrzyżowaniu w mieście Dyżon. Zostałem trącony w lewy, przedni błotnik. Nie było to mocne uszkodzenie, ale wymagało naprawy warsztatowej. Klosz lampy przedniej został całkowicie zniszczony. Mandatu nie zapłaciłem, ale policja spisała protokół, w którym określili szkody mojego malucha. Kierowca, który mnie potrącił, nie poniósł żadnej szkody, gdyż miał mocny zderzak w swoim pojeździe.

Po trzech dniach podróży dotarliśmy do celu. Odnalazłem ulicę w Dyżonie, na której mieszkała bratanica Stefania Hadyniak. Mieliśmy trochę kłopotu. Gdzieś po trasie, na terenie Francji zgubił się mój brat Andrzej, który jechał swoim samochodem. Nie wiedziałem czy zabłądził czy miał wypadek. Przyjechał dopiero późnym wieczorem, o dziesięć godzin później ode mnie. Jak się wytłumaczył, było to tylko błądzenie. Z resztą nic dziwnego, nie znał języka francuskiego, a po trasie wszystko było napisane po francusku.

28 maja 1983 r., Rodzina Brzezińskich, ostatnie zdjęcie z tatusiem.

Pogrzeb dziadziunia Czesława Brzezińskiego, 1983 r.

Będąc we Francji chciało się trochę zarobić, tym bardziej, że był to okres winobrania i była okazja. Bratanica i jej mąż, który był policjantem, załatwili nam pracę przy zbiorze tych winogron. Codziennie przez tydzień dowozili nas na bardzo dużą plantację winogron, gdzie od rana do wieczora zbieraliśmy owoce. Była to bardzo ciężka praca przy niskich krzakach, więc cały czas trzeba było być schylonym lub na kolanach. Człowiek cierpiący z powodu dolegliwości kręgosłupa musiał się przez cały dzień naprawdę porządnie namęczyć, by zarobić te parę franków. Właścicielem tej plantacji był Ukrainiec spod Rzeszowa. Każdy robotnik miał wyznaczony swój rządek do zbioru, a na kilka rządków był tragarz, który podstawiał i odnosił kosze z winogronami na przyczepy. Ja ze swoim krzyżem nie czułem się najlepiej, gdyż w minionym okresie przechodziłem kilka leczeń szpitalnych. Nie zawsze mogłem podążyć ze wszystkimi. Często byłem popędzany przez brygadzistę – syna właściciela plantacji, który używał nawet przykrych dla mnie słów. Ale pracowałem na własne życzenie, a że chciałem zarobić, musiałem znosić bóle krzyża i ubliżające słowa ekonoma. Dobrze, że po tygodniu czasu zbiory się zakończyły, bo nie wiem czy dłużej bym wytrzymał.

Żona moja i córka Krystyna były również zatrudnione przy zbiorach, ale u innej plantatorki, która – jak mi mówiła Marysia - była bardzo dobrą kobietą i łagodnie traktowała swoich pracowników.

Po zbiorze i dwudniowym odpoczynku Stefania zaproponowała mi, żebym przeprowadził remont jej mieszkania. Remont miał dotyczyć zbudowania ściany w pokoju na pierwszym piętrze oraz wymiany zewnętrznej ściany parterowej na szerokie szklane drzwi rozsuwane, z wyjściem na ogród. Prawdę mówiąc zawodem moim była praca w rolnictwie. Wiedziałem, jak uprawiać rolę, jak siać, jak nawozić i jak zbierać zboże i rośliny okopowe. Wiedziałem też jak prowadzić hodowlę bydła czy trzody chlewnej, bo tego się uczyłem i w tym pracowałem. Ale żeby remontować budynki – nigdy tego nie robiłem. Długo się nad tym zastanawiałem, nawet moja żona nie potrafiła mi w tej sprawie doradzić. Chociaż zawsze mogłem na nią liczyć. W końcu pomyślałem sobie, przecież to wszystko robią ludzie, dlaczego ja miałbym tego nie zrobić. No i się zgodziłem. Podejmując się tego zadania liczyłem na pomoc brata i zięcia. Chociaż wiedziałem – znając ich zainteresowania, że nie są w stanie pomóc mi w tej dziedzinie. Waldek znał się trochę na elektryce i spawaniu, zaś Andrzej nie miał zielonego pojęcia. Ze Stefanią nie spisałem żadnej umowy, bo była by to wielka odpowiedzialność, robiłem to ot tak po prostu, bo ona sobie tego życzyła, a ja nie chciałem brać pełnej odpowiedzialności za tak poważną robotę. Zrobiłem zamówienie na materiały, jakie były potrzebne do zrobienia tego remontu. Osobiście z mężem Stajani jeździłem po zakupy wapna, cementu, cegły i innych materiałów niezbędnych do tej pracy. Najtrudniejszą i najbardziej odpowiedzialną sprawą było zburzenie ściany parterowej, na której oparty był cały pion piętrowego budynku. Mogłoby to w każdej chwili runąć. Użyłem do tego długiej czterometrowej stalowej szyny, która została oparta na filarach. Szyna ta utrzymywała cały ciężar zewnętrznej ściany piętrowego budynku. Bogu dzięki udało się, a chałupa się nie zawaliła. Byłem zadowolony, że udało mi się wykonać tak poważną robotę, a jednocześnie odpłacić się Stefanii za zaproszenie nas do siebie na trzydzieści dni, zapewniając mieszkanie i wyżywienie.

Skończył się nam czas pobytu we Francji. Załadowaliśmy swoje pojazdy i wczesnym porankiem ruszyliśmy w powrotną drogę do domu. Do granicy polskiej dojechaliśmy późnym wieczorem. W Zgorzelcu odnalazłem swoją cioteczną siostrę Kwiatkowską, która tu mieszkała od kilku lat. Po przespaniu nocy, co prawda nie wszyscy na łóżkach, ale wypoczęci ruszyliśmy swoimi niezawodnymi maluchami do Makowa Mazowieckiego.

W domu oczekiwali nas pozostali członkowie rodziny. Po powrocie z Francji kontynuowałam pracę w Unitra–Unitech BOLT. Nie ukrywam, że rzadko kto w swojej karierze zawodowej przeszedł tyle instytucji i zakładów pracy co ja. Do tej pory naliczyłem piętnaście różnych zakładów, w których co prawda długo miejsca nie zagrzałem. Co ważniejsze, nigdy nie spotkało mnie dyscyplinarne zwolnienie. Zawsze przechodziłem z jednego zakładu do drugiego za porozumieniem stron. Ostatnim miejscem mojej pracy, w której dorabiałem już jako emeryt, był Unitra–Unitech BOLT w Makowie Mazowieckim. W firmie tej pracowała też moja żona Marysia, córka Lidka i jej mąż Zbyszek. Były to lata 1986–2001. Dla mnie było to korzystne, bo miałem kontakt z ludźmi, nie musiałem siedzieć w domu. Ponieważ byłem zapalonym wędkarzem, wybrano mnie na prezesa Zarządu Koła Związku Wędkarskiego przy zakładzie pracy. Funkcję tą pełniłem przez piętnaście lat. Pracę zawodową zakończyłem 31 maja 2001 roku na własną prośbę, mając 73 lata. Stałem się prawdziwym emerytem.

Maria Brzezińska w Pawłówku. Lata ’80.

Maków Mazowiecki, 30.X.1999 r., 50 rocznica ślubu Ludwika i Marii Brzezińskich.

W swoim okresie pracy tj. od 1949 do 2001 roku zostałem doceniony i odznaczony trzykrotnie. Najpierw przez władze Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej w roku 1974, od których otrzymałem medal trzydziestolecia Polski Ludowej. Następnie Zarząd Główny Polskiego Związku Wędkarskiego w 1995 roku uznał, że zasłużyłem na brązową odznakę, w 2001 roku na złotą i medal za zasługi w rozwoju wędkarstwa. Za najważniejsze odznaczenie uznałem medal za długoletnie pożycie małżeńskie, które otrzymaliśmy w 1999 roku od obecnego wówczas Prezydenta Polski Aleksandra Kwaśniewskiego, a którą wręczył nam Starosta Powiatu Makowskiego. Uroczystość z tej okazji, czyli Złotych Godów, odbyła się w Urzędzie Miejskim w Makowie Mazowieckim, którą zorganizowała ówczesna kierownik Urzędu Stanu Cywilnego Elżbieta Mierzejewska.

Było to naprawdę piękne i uroczyste przyjęcie. Była orkiestra, koncert życzeń i stół obficie zastawiony. W uroczystości tej uczestniczyły władze powiatowe i miejskie oraz zaproszeni członkowie naszej rodziny. O naszym pięćdziesięcioleciu pożycia małżeńskiego nie zapomniał też proboszcz parafii makowskiej. Z tej okazji została odprawiona msza święta z błogosławieństwem na dalszą drogę naszego życia w zdrowiu i miłości. Wychodząc z kościoła organista zagrał nam pięknego marsza Mendelsona.

Od czerwca 2001 roku byłem już całkowicie wolny od pracy zawodowej. Pozostały mi tylko obowiązki domowe i rodzinne oraz satysfakcja, że mimo starszego wieku mogę jeszcze pomóc swoim dzieciom, wnukom i prawnukom.

Miejsce na wypoczywanie i spędzanie wolnego czasu rodzinie i sobie załatwiłem już wcześniej, bo w 1975 roku. Zawdzięczam to swojej córce Krystynie, która mieszkała w Pułtusku. Pewnej niedzieli zaprosiła mnie z żoną, byśmy poszli razem z nią i jej mężem Waldkiem do Pawłówka. W wiosce tej, nad Narwią, po zlikwidowanym ośrodku turystycznym miał swój domek Witek Koczkodon – szwagier Waldka. Miejsce to bardzo nam się spodobało. Zapoznałem się z sołtysem wsi Stanisławem Bala, z którym dogadałem się w sprawie kupna działki. Ponieważ grunt ten należał do wspólnoty wiejskiej, więc decyzję o sprzedaży tej działki musieli podjąć mieszkańcy tej miejscowości. Zgoda taka zapadła. Spisaliśmy protokół, a ja zapłaciłem określoną sumę. Sołtys i mieszkańcy pieniądze pobrali, a protokół podpisali. Nie był to prawny dokument nabycia działki, a tylko prywatna umowa między mną a wspólnotą wiejską. Byłem jednak bardzo zadowolony, że posiadłem tam działkę. Pozwalało mi to na postawienie jakiegoś domku letniskowego.

We wsi Rostki koło Szelkowa mieszkał obywatel Fabisiak, który był cieślą i zajmował się budową domków i innych budynków. Znałem się z nim od dłuższego czasu, więc nie było większych trudności, by postawił mi taki domek. Sam opracowałem projekt jak ma on wyglądać. Drzewo w postaci klocy zakupiłem w leśnictwie na Wąskim Lesie. Cieśla drzewo to przerobił na poszczególne elementy, z których można było zestawić odpowiedni budynek. Tak przygotowany materiał w postaci podwalin, belek, opasi, desek i innych niezbędnych elementów przewiozłem do Pawłówka. Tu, na nabytej działce, przy udziale cieśli zestawiliśmy wszystkie elementy i stanął domek. Co prawda na palach, ale to dlatego, że teren był niski i przy wyższym poziomie wody mogło grozić podtopieniem, co z resztą i tak nastąpiło w 1979 roku.

Pawłówek zimą. Rok 2006.

Córka Krystyna Szulc w czasie powodzi w Pawłówku, 1979 r.

Sąsiadami naszej działki byli państwo Kurowscy z Warszawy. Na swojej działce korzystali z campingu. W ramach pomocy sąsiedzkiej, ja jako „fachowiec" obudowałem i zadaszyłem ten domek campingowy. Powiększyło to jego użytkowość o duży taras i sporą kuchnię. Wspólnie z panem Kurowskim wykopaliśmy studnię na pięć kręgów. Żeby nie czerpać wody wiadrem, postarałem się o elektryczną pompę pływającą. W czasie podłączania i uruchomienia tej pompy prąd tak mnie poraził, że zdążyłem tylko krzyknąć: „Marysia, ratuj!" i straciłem przytomność. Padając zawiesiłem się na płocie. Na szczęście w pobliżu była żona, która chwyciła mnie za rękaw i oderwała od prądu, a wnuczka Ilona natychmiast wezwała pogotowie. Nie wiem jak długo leżałem nieprzytomny. Pogotowie podobno przyjechało bardzo szybko, mimo odległości dziesięciu kilometrów. Córka Krystyna wyjechała nawet na kręte, leśne drogi, by wskazać drogę karetce na naszą działkę. Przytomność zacząłem odzyskiwać dojeżdżając do Pułtuska. W drodze byłem reanimowany przez lekarza z pułtuskiego szpitala, któremu na drugi dzień podziękowałem za uratowanie życia. Wolą Bożą udało się mnie uratować, a sam przekonałem się, że nie wszystko jeszcze potrafię zrobić.

Niestety lekarzom w makowskim szpitalu nie udało się uratować życia mojego młodszego brata Andrzeja, który zmarł na raka w 2001 roku mając 66 lat. Pochowany został w grobowcu rodzinnym na cmentarzu w Makowie Mazowieckim. Trzy lata później w 2004 roku zmarł mój drugi starszy brat Ryszard, mając 78 lat. Przyczyną śmierci był wylew krwi do mózgu. Pochowany został na cmentarzu Wólka Węglowa w Warszawie. Śmierć braci, a wcześniej moich rodziców były dla mnie szczególnie bolesnym i trudnym przeżyciem. Zostałem sam, jako ostatni z naszego rodu, noszący nazwisko Brzeziński. Ale takie jest życie, z którym trzeba się pogodzić, chociaż jest trudne do zniesienia.

Wracając do Pawłówka muszę stwierdzić, że cały urok działki i stojącego na niej domku polega na tym, że jest ona usytuowana nad rzeką Narew, w odległości pięćdziesięciu metrów, wśród krzewów i drzew. Z drugiej strony rozciągają się łąki, starorzecze i lasy. Takie środowisko sprzyja i daje ostoje dzikiej zwierzynie i dzikiemu ptactwu. Nic dziwnego, że w odległości stu metrów od naszego domku na drzewach olchy zagnieździła się kolonia czapli, licząca ponad pięćdziesiąt rodzin – gniazd. W szuwarach starorzecza łabędzie zakładają gniazda, z których wyprowadzają młode do Narwi, prowadząc je koło naszego domku. Jest to piękny widok, jak na przedzie idzie samiec, za nim od czterech do sześciu sztuk młodych, a na końcu idzie samica.

Krzyk żurawi i klekot bocianów jest słyszany od wczesnej wiosny, aż do ich odlotów czyli do sierpnia. Bociany zbierają się w duże stado na łące, skąd zbiorowo odlatują. Żurawie ustawiają się w klucze, z krzykiem wznoszą się w górę i giną na horyzoncie. Słowiki, których jest niezliczona ilość koncertują od wczesnego ranka do późnej nocy. Milkną jakby ich w ogóle nie było, gdy wylęgają się młode, wówczas zajmują się karmieniem i wychowaniem piskląt. Szpaki i sikorki są stałymi mieszkańcami, ponieważ zbudowałem im sporo klatek, z których chętnie korzystają. Odwdzięczają się za to pięknymi trelami. W okolicznym lesie jest rezerwat Bartnia – nazwa ta prawdopodobnie pochodzi od tego, że kiedyś w tych lasach było dużo pni pszczelich, z których wybierano miód. Dziś gromadzą się dzikie zwierzęta, jak: łosie, jelenie, dziki i sarny. Można je spotkać przed wieczorem, gdy wychodzą żerować na okolicznych łąkach. Można też zobaczyć orły, jastrzębie, a nawet czarne bociany. W rezerwacie tym rosną olbrzymie dwustuletnie będące pod ochroną sosny. Wielką szkodę wyrządziły bobry, które wycięły na poboczach i burtach rzeki Narew prawie wszystkie krzaki wiklinowe, a nawet grube drzewa osiki i wierzby. Wpłynęło to ujemnie na piękny widok okolicy.

Dla mnie Pawłówek był i jest największą atrakcją w łowieniu ryb na wędkę. Począwszy od małych płotek do szczupaków, kleni, leszczy, lin czy karpi, które sięgają do czterech kilogramów wagi. Trafiały się i takie sztuki, które nie pozwoliły wyciągnąć się z wody i dość często urywały niewytrzymującą ciężaru i siły ryby żyłkę. Są to przeważnie sumy. Sam miałem taką przygodę, kiedy to co najmniej pół godziny – będąc na łódce – zacięty sum ciągnął mnie z łódką po Narwi. Nie dał się ani na moment zatrzymać, podciągnąć pod wierzch wody, bym mógł go chociaż zobaczyć. Okazało się, że stalowy przepon był za krótki i sum swoimi ostrymi zębami przeciął żyłkę. Sum się uwolnił, a ja do dziś nie mogę sobie tego podarować. Była to naprawdę ryba mojego życia, której nie udało mi się złowić, a nawet zobaczyć.

Pawłówek. Od lewej: Ryszard Mierzejewski, Henryk Ślesicki, Ludwik Brzeziński, Hubert Borysewicz

Imieniny Ludwika Brzezińskiego, życzenia składa prawnuczek Krystian, syn Pawła, 2012 r.

Maria i Ludwik Brzezińscy w Pawłówku

Sąsiad Kurowski nie nacieszył się długo swoją działką, ani łowieniem ryb. Choroba tak go przycisnęła, że w 1985 roku zmarł. Żona jego Barbara osamotniona, miała trudności z dojazdami tu z Warszawy. Zdecydowała sprzedać swoją działkę. Bardzo dużo pracy włożyłem w postawienie na betonowe słupki i obudowaniu tego campingu. Uznała, że domek ten i działkę powinna mi sprzedać. Tak też się stało. Domek po Kurowskich stał się moją własnością, chociaż też tylko na prywatną umowę. Dopiero w 2006 roku po trzydziestu pięciu latach użytkowania, za tzw. zasiedlenie sąd w Pułtusku wydał orzeczenie o przyznaniu praw własności tych działek Ludwikowi i Marii Brzezińskim oraz Krystynie Szulc, z wpisaniem do ksiąg wieczystych. Już jako pełnoprawny właściciel wspólnie z Krystyną dokonaliśmy ogrodzenia, obsadzenia krzewami ozdobnymi całej działki oraz innych niezbędnych remontów i napraw domków letniskowych. Muszę przyznać, że bardzo dużo pomogli mi w tym koledzy – przyjaciele: Henryk Ślesicki, Ryszard Mierzejewski i Hubert Borysewicz.

W okresie letnim Pawłówek stał się dla mnie i mojej rodziny drugim domem. Warunki pobytu były i są odpowiednio zapewnione. To znaczy, że jest gdzie ugotować posiłek, bo jest kuchnia gazowa, światło elektryczne, co pozwala na słuchania radia i oglądanie telewizji, studnia głębinowa z hydrantem, można zrobić sobie zimny prysznic i podlewać kwiatki. Po całodziennej pracy można wypocząć i wyspać się w trzech pokojach, które mogą pomieścić dwanaście dorosłych osób. A że działka jest ogrodzona, można rozbić dowolną ilość namiotów. Większość uroczystości rodzinnych i nie tylko, takich jak imieniny, urodziny czy inne rocznice i okoliczności odbywały się i odbywają na działce.

Ludwik Brzeziński w Pawłówku.

Potrawy są przygotowywane w kuchni lub na grillu, który sam zbudowałem, a wieczorem przy ognisku pieczemy kiełbaski popijając tym, czym kto sobie życzy. Naprawdę czas w okresie letnim jest miło i wesoło spędzany.

Ale jest takie powiedzenie, że nieszczęścia chodzą po ludziach. Właśnie takie nieszczęście spotkało moją żonę Marię. W dniu 16 marca 2008 roku żona skarżyła się na wysokie ciśnienie, szybkie bicie serca, słabość i odczuwanie kłucia w głowie. Zawiozłem żonę na pogotowie. Dyżurny lekarz pogotowia zbadał żonę i stwierdził, że wszystko jest w porządku. Żona tłumaczyła, że skończyły jej się leki od serca, które brała każdego dnia. lekarz wysłuchał, ale recepty na ten lak nie wypisał. Gdyby żona została skierowana do szpitala może nie doszłoby do tego, co stało się następnego dnia. 17 marca 2008 rok w domu leżąc w swoim pokoju usłyszałem niezrozumiałe słowa i wołanie żony, która przebywała w drugim pokoju. Szybko do niej poszedłem, a Marysia leżała już na podłodze. Próbowałem ją podnieść pytając co jej jest, ale nic nie odpowiedziała. Z dużym trudem posadziłem na wersalce żonę, która bezwładnie się zsuwała. Nie mogłem się od niej niczego dowiedzieć, sam też nie wiedziałem, co się mogło stać. Wezwałem pogotowie ratunkowe. Lekarz, który przyjechał stwierdził, że jest to paraliż spowodowany udarem mózgu. Szybko zabrali Marysię do szpitala.

Po dwóch tygodniach żona odzyskała tylko przytomność. Urazy mowy i ogólny bezwład pozostały. Na sali ogólnej leżała przez dwadzieścia dni. Następnie przeniesiono żonę na salę, gdzie miała przechodzić rehabilitację. Sala ta miała powierzchnię w granicach trzynastu metrów kwadratowych, a stały w niej cztery łóżka z chorymi, czyli na osobę przypadało trzy i pół metra kwadratowego. W tak małej sali przebywały trzy zdrowsze panie, które były w stałym ruchu, bez przerwy opowiadały różne historie, a na dodatek włączały telewizor, by oglądać jakieś filmy i seriale. Było to bardzo męczące i trudne do wytrzymania dla tak chorej osoby, potrzebującej ciszy i spokoju. Będąc przy żonie w szpitalu przez trzydzieści osiem dni i nocy miałem możliwość zobaczyć, jak wygląda opieka i pomoc ludziom bardzo chorym, którzy nie mogą mówić ani przewrócić się z boku na bok. Były noce, że niektóre pielęgniarki pełniące nocne dyżury w swoim pokoju (dyżurce), pijąc kawę czy herbatę, były tak rozbawione, że ich rozmowy i śmiech zakłócały chorym ciszę nocną. Zdarzyło się tak, że chora z sąsiedniego łóżka poszła zawołać pielęgniarkę po zwróceniu uwagi, że moja żona bardzo źle się poczuła. Pielęgniarka przyszła, ale zamiast podziękować tej pani ochrzaniła ją i powiedziała, żeby się więcej nie wtrącała, bo to nie są jej sprawy. Niektóre siostry przynosząc obiad stawiały go na szafce koło łóżka i odchodziły. Trzeba było prosić by nakarmiły żonę (zanim obiad wystygnie), gdyż jest sparaliżowana. Często padały słowa „niech pan sam nakarmi żonę". Próbowałem, ale mi to nie wychodziło, bo prawą rękę mam niesprawną, a lewą było bardzo niewygodnie. Z pomocą przyszły mi córki, które na zmianę pełniły dyżur przy łóżku mamy. Karmiły, prześcielały pościel, a nawet umyły. To samo czyniła wnuczka Ilonka, która odwiedzała babcię Marysię w szpitalu.

Maria i Ludwik Brzezińscy, Wenecja, 1996 r.

Rodzina i przyjaciele w Pawłówku

Byłoby krzywdzące i niesprawiedliwe, gdybym powiedział, że wszystkie pielęgniarki nie troszczyły się o chorych. Większość sióstr to naprawdę pielęgniarki, które z wielką troską i odpowiedzialnością podchodziły do pacjentów. Te pielęgniarki, których zachowanie wpłynęło na moją negatywną ocenę ich pracy to jednostki podrywające opinię naprawdę solidnym i uczciwym siostrom. Nie znam nazwisk wszystkich pielęgniarek, dlatego wymienię tylko jedną z tych, która zasłużyła na pochwałę, Zofia Chrzanowska. Pielęgniarka ta nie tylko w czasie swojego dyżuru pilnowała, by leki były na czas przyjęte, pościel zmieniona. Pilnowała i dbała o higienę osobistą chorych, karmiła tych, którzy sami sobie nie radzili. Nauczyła żonę

samodzielnego jedzenia i to nie tylko kaszki mannej.

Po trzydziestu ośmiu dniach pobytu mojej żony w szpitalu, poszliśmy z córką Krystyną do gabinetu lekarza, żeby poznać opinię na temat stanu zdrowia Marysi. Spotkała nas bardzo przykra i smutna informacja. Usłyszałem z ust pani doktor, że nie ma nadziei na przeżycie żony w tej chorobie. Zrozumieliśmy, że w tej sytuacji nie możemy pozwolić na dalszy pobyt żony w szpitalu.

Piszę to w krytyczny sposób mając na myśli tylko ratowanie życia mojej ukochanej żony. Następnego dnia tj. 26 kwietnia 2008 roku zabrałem ze szpitala do domu żonę, która nie mogła mówić ani chodzić. Ja musiałem się stać lekarzem, pielęgniarzem i kucharzem oczywiście przy pomocy córek. Początkowe noce, na zmianę z córką Lidką spaliśmy na materacu przy wersalce żony, żeby być jak najbliżej i móc jak najszybciej udzielić niezbędnej pomocy. Krystyna zakupiła aparat elektroniczny, który w razie zagrożenia poprzez naciśnięcie guzika wzywał pomoc medyczną pod wskazany adres. Ja zakupiłem wózek inwalidzki, żeby można było chorą przemieszczać, a nie utrzymywać tylko w pozycji leżącej. Już po kilku dniach pobytu Marysi w domu zauważyłem na jej twarzy zmiany, które jak się domyślałem, były efektem jej lepszego samopoczucia. Nastąpiło w jej organizmie pewne odprężenie. Odchodził ten psychiczny ciężar szpitalny. Zaczęła się czuć pewniej w swoim domu, wśród swoich najbliższych. Wracała jej świadomość. Wiedziała, że aby wrócić do zdrowia musi jeść, by mieć siłę, ćwiczyć, by wróciła sprawność fizyczna.

Po kilku tygodniach domowego leczenia, ćwiczeń i masaży, nastąpiła niewielka poprawa. Ręce i nogi zaczęły funkcjonować, a z ust wydobywały się pojedyncze słowa. Leki otrzymywała takie, jakie były stosowane w szpitalu. Głównym pożywieniem były płatki jęczmienne i owsiane gotowane na mleku. Mijały miesiące bardzo trudne w moim życiu, ale pełne nadziei, że żona wróci do zdrowia. Cieszył mnie każdy zrobiony kroczek, każde wypowiedziane słowo i to, że zaczęła już samodzielnie zjadać posiłki, posługując się łyżką i widelcem. Mogła też już zawołać, żeby pomóc jej usiąść lub wstać z łóżka. Mogę powiedzieć, że żona zaczynała życie po raz drugi – uczyła się jeść, chodzić, mówić.

Po roku czasu okazało się, że domowe leczenie i rehabilitacja było skuteczne. Żona o własnych siłach stawała na nogi, zaczęła chodzić i wyraźniej mówić. Można już było się porozumieć. Jestem święcie przekonany, że niezależnie od naszej pomocy, żona swoim hartem i silna wolą sama w sobie pokonała tę chorobę. Razem z wnuczką Ilonką zawieźliśmy żonę do lekarza rodzinnego na kontrolę. Pani doktor,

Maria i Ludwik Brzezińscy, 25 sierpnia 2012 roku, ich córki Krystyna i Lidia oraz wnuki i prawnuki: Paweł z synem Krystianem, Agnieszka z synem Kasjanem, Ilona z synem Adrianem.

gdy zobaczyła Marysię chodzącą o własnych siłach i mówiącą wyraźnym głosem, była bardzo zdziwiona i wzruszona. Wstała zza biurka, podeszła do żony i serdecznie ją uściskała. Z pewnością przypomniała sobie swoje słowa wypowiedziane mi wówczas w szpitalu.

Dziś tj. *1 grudnia 2012 roku* jestem zaliczany do ludzi starszego pokolenia, a nawet starego, bo przeżyłem 84 lata. W miarę swoich możliwości i pamięci starałem się opisać niektóre fakty z mojego życia. Przyznam, że nie jestem poetą ani pisarzem, stąd też wspomnienia moje nie będą doskonale napisaną opowieścią, ale gwarantuję, że prawdziwą. Większość moich przeżyć rodzinnych, towarzyskich, wyjazdów zagranicznych do Włoch, Francji, Bułgarii i na Ukrainę zostało upamiętnione na setkach zdjęć zgromadzonych w albumach oraz na filmach.

Pozostawiam tez album z klanem rodziny Brzezińskich, od pradziadka do prawnuków. Nie udało mi się w moim życiu w całości spełnić staropolskiego powiedzenia, że „prawdziwy mężczyzna w swoim życiu powinien dokonać trzech rzeczy: postawić dom, zasadzić drzewko, spłodzić syna". Dom zbudowałem, co prawda letniskowy, za to zapewniłem dzieciom i sobie mieszkania własnościowe. Drzewek posadziłem sporo. Nie spełniłem najważniejszego – nie spłodziłem syna. To właśnie stało się przyczyną tego, że nie mam następcy. W takiej sytuacji będę ostatnim z rodu Brzezińskich wywodzących się z Kolonii, noszącym nazwisko swoich przodków. Po mojej śmierci nazwisko Brzeziński będzie tylko wspomnieniem.

Podsumowując swoje 84 lata, jakie udało mi się przeżyć stwierdzam, że największą moją radością i zadowoleniem jest to, że w 63. rocznicę mojego ślubu i pożycia małżeńskiego z Marysią otrzymałem od swoich córek Krystyny i Lidki gratulacje i życzenia o takiej treści:

Kochani Rodzice

W dniu 63 Rocznicy Ślubu przyjmijcie najserdeczniejsze gratulacje oraz życzenia spokoju i zdrowia na dalsze lata wspólnego życia.
W tym szczególnym dla Was dniu pragniemy do życzeń dołączyć podziękowania. Dziękujemy za życie, które nam daliście, za miłość i trud wychowania.
Za przykład dawany całym swoim życiem, za oparcie, które wciąż nam dajecie.
Życzymy Wam, aby miłość, wokół której skupiają się Wasze dzieci, wnuki i prawnuki, pozostała nienaruszona przez kolejne lata.
Kochające córki
Krystyna i Lidka
29.X.2012 r.

Serdecznie Wam za to dziękuję

Maków Mazowiecki, 2012 r.

Udział duchowieństwa katolickiego z powiatu makowskiego w powstaniu styczniowym

„Braciom poległym za wolność Ojczyzny - wdzięczni rodacy”

mgr Dariusz Wojciech Budny

Wprowadzenie

Dla wielu mieszkańców naszego powiatu pierwsze miesiące 2013 roku kojarzyć się będą ze 150 rocznicą wybuchu powstania styczniowego i walkami stoczonymi na terenie naszej gminy. Poszczególne gminy naszego powiatu uczczą w sposób niezapomniany te ważne dla nas Polaków wydarzenia. W Gminie Sypniewo już w grudniu 2012 roku odbył się pierwszy Powiatowy Konkurs Historyczny im. Anny Milewskiej-Nesterowicz, którego hasłem przewodnim była „150 rocznica wybuchu powstania styczniowego”, muszę przyznać, że jako nauczyciel gąsewskiej szkoły, historyk, patriota, zaproponowałem tą tematykę bliską memu sercu. Gmina Płoniawy wsparta przez Powiat Makowski oraz moją skromną osobę w najbliższym czasie zorganizuje uroczystości, których apogeum nastąpi podczas nadania mostowi na rzece Orzyc w miejscowości Podoś imienia księdza Stanisława Pomirskiego.

W artykule tym chciałbym przybliżyć sylwetki dwóch księży, patriotów Stanisława Pomirskiego – wikarego z Płoniaw oraz Franciszka Archanioła Rutkowskiego – wikarego z Krasnosielca.

Powstanie - po co i dlaczego?

Jak dobrze wiemy w roku 1795 Rzeczpospolita Obojga Narodów zniknęła z map Europy. Rosja, Austria i Prusy postanowiły na trwałe usunąć z map nasz kraj i takie słowa jak Polska, Polak…

Zamieszczony powyżej miedzioryt jest graficznym przedstawieniem rozbiorów Polski. Polacy nigdy nie pogodzili się z utratą niepodległości, organizowali powstania mające na celu odrodzenie państwa Polskiego. W latach 1863/64 miało miejsce powstanie styczniowe, które w sposób szczególny związane jest z naszą gminą. W planach powstańczych opracowanych przez Jarosława Dąbrowskiego i Zygmunta Padlewskiego region Puszczy Myszynieckiej miał odegrać szczególną rolę w tym zrywie narodowowyzwoleńczym. Przywódcy powstania liczyli na możliwość schronienia się wojsk powstańczych w lasach obszaru Północnego Mazowsza, poza tym miejscowa ludność wspierała powstańców w okresie insurekcji kościuszkowskiej i powstania listopadowego więc stronnictwo Czerwonych liczyło, że po raz kolejny mieszkańcy Mazowsza w tym także ziemi krasnosielskiej w sposób aktywny wspomogą czyn powstańczy.

il. 1. „Kołacz Królewski” ze zbiorów D. Budnego.

Główną przyczyną tego powstania była chęć odzyskania niepodległości. Od 1856 roku, czyli porażki Rosji w wojnie krymskiej wzrosły nastroje niepodległościowe wśród mieszkańców powiatu makowskiego. Dużą rolę w szerzeniu myśli niepodległościowych odegrał Kościół katolicki. W sposób szczególny w naszym powiecie działalność mającą na celu odzyskanie niepodległości prowadzili młodzi księża. W chwili wybuchu powstania duchowieństwo nawoływało podczas kazań do wstępowania w szeregi powstańcze. Po raz kolejny na ustach wielu Polaków pojawiły się hasła „Bóg, honor, Ojczyzna”.

Bitwy i potyczki w naszej okolicy

Głównym celem powstańców w dniu wybuchu powstania, czyli w nocy z 22 na 23 stycznia 1863 roku było opanowanie większych miast. W Krasnosielcu stacjonowało 200 strzelców nieżnogorodzkiego pułku piechoty, silniej obsadzone były Pułtusk, Przasnysz, Ostrołęka. Noc styczniowa zakończyła się niepowodzeniem, a w szeregach powstańczych pojawiło się zwątpienie…

2 lutego 1863 roku z rejonu Krasnosielca do komory celnej w Dąbrowie wyruszył oddział dowodzony przez Skowrońskiego. 8 lutego doszło do bitwy pod Podosiem. Grupa około 70 powstańców została zaskoczona przez oddział składający się z blisko 500 Moskali. Powstańcy walczyli dzielnie jednak ulegli przeważającym siłom wroga. 17 poległo na miejscu, wśród nich dowódca tej partii powstańczej Tytus Szteinkeler, do niewoli dostała się reszta oddziału z wyjątkiem jednego powstańca, który jak głosi legenda schronił się na Szklanej Górze w miejscowości Gąsewo.

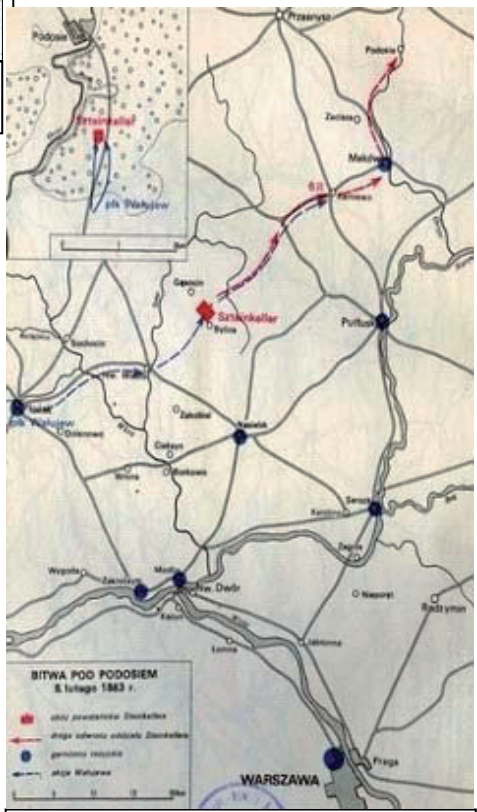

il. 2. Bitwa pod Podosiem, fragment mapy ze zbiorów D. Budnego

12 marca 1863 roku doszło do bitwy pod Drążdżewem, oddział płk Padlewskiego został rozbity w nierównej walce przez Moskali. Blisko 50 powstańców poniosło śmierć, wśród poległych znalazł się bliski przyjaciel Padlewskiego a zarazem Komisarz Rządu Cywilnego Edward Rolski.

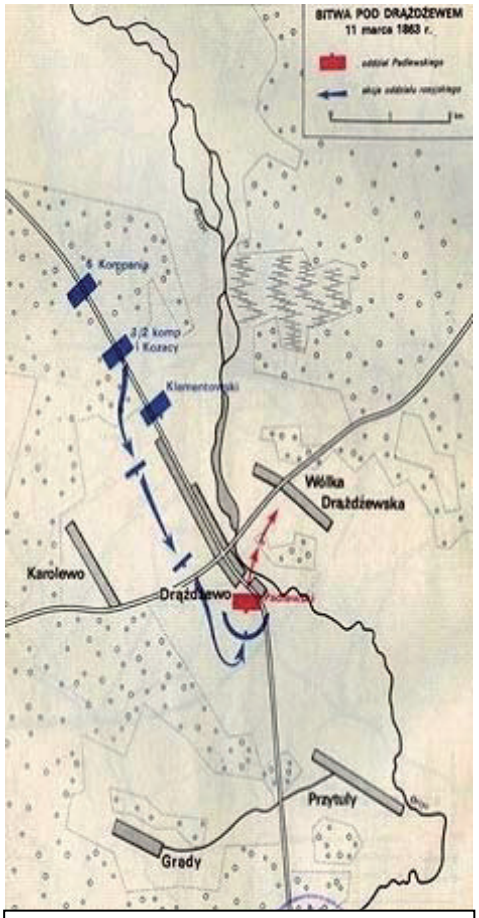

il. 3. Bitwa Pod Drążdżewem. ze zbiorów D. Budnego

Warto podkreślić to, że Edward Rolski jest patronem Szkoły Podstawowej w Drążdżewie. Historycy nie są zgodni co do daty bitwy pod Drążdżewem większość podaję datę 12 marca, część natomiast twierdzi, że bitwa ta miała miejsce 11 marca.

Ostatnim akordem walk powstańczych na terenie ziemi krasnosieleckiej była bitwa na „Polskiej Kępie", czyli „wyspie" na Orzycu w pobliżu Drążdżewa, należy podkreślić to, iż potyczka ta jest jedną z niewielu w której górą byli powstańcy. Oddział kpt. Józefa Trąbczyńskiego przez 3 czerwcowe dni i noce pomiędzy 27 a 29 VI 1863 r. bohatersko stawiał opór Rosjanom. Oddział ten zadał dotkliwe straty Moskalom, jednak musiał opuścić „Polską Kępę", ponieważ skończyły się zapasy żywności i amunicji. Walki powstańcze w naszej gminie wraz z zakończeniem tej potyczki dobiegły końca. Rozpoczął się okres represji, które dotknęły naszych przodków.

Ksiądz Franciszek Archanioł Rutkowski

Wikarym w Krasnosielcu przed wybuchem powstania styczniowego był ksiądz Franciszek Archanioł Rutkowski, natomiast proboszczem ksiądz Walenty Pęszyński (proboszcz w latach 1842–1883).

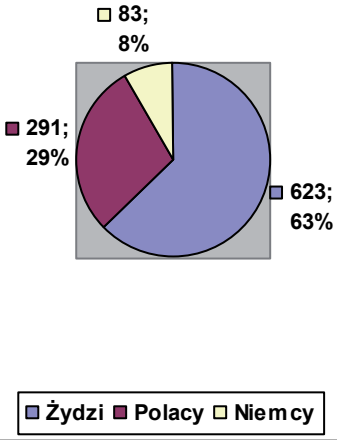

il. 4. Ludności miasta Krasnosielca w roku 1860. opracowanie D. Budny.

Powyższy wykres przedstawia podział ludności miasta Krasnosielca ze względu na narodowość. Polacy w tym czasie stanowili jedynie 29% mieszkańców miasteczka. Jednak do Krasnosielca w niedzielę, Święta, dni jarmarczne i targowe napływały masy ludności polskiej z sąsiednich miejscowości. Ważnym miejscem spotkań Polaków w okresie przed powstaniem styczniowym był nasz Kościół Parafialny. Płomienne kazania głosił w nim ksiądz Rutkowski. Do dnia dzisiejszego zachowało się niestety niewiele informacji na temat tego kapłana. Wiemy, że ksiądz Rutkowski urodził się w roku 1815. święcenia kapłańskie przyjął z rąk biskupa płockiego około roku 1840. Do Krasnosielca przybył mając blisko 40 lat i podczas pracy z wiernymi z naszej parafii miał zapewne przygotować się do objęcia probostwa w jednej z parafii naszej diecezji. Bez wątpienia był osobą wykształconą wiadomo, że przed powstaniem styczniowym odbył podróż do Rzymu, co zwróciło na niego uwagę władz carskich. Świadomy niepowtarzalnej szansy na odzyskanie niepodległości przez Polskę na skutek osłabienia Rosji w wyniku klęski w wojnie krymskiej, a także zaangażowania pozostałych zaborców w sytuację na Zachodzie naszego kontynentu ksiądz Rutkowski w swoich kazaniach pełnych patriotyzmu, podnosił na duchu naszych przodków. W prywatnych rozmowach z wiernymi z naszej parafii omawiał szanse i zagrożenia wynikające z wybuchu kolejnego powstania przeciw znienawidzonemu zaborcy. Podróżując po Europie obserwował narastanie tendencji zjednoczeniowych w Niemczech i Włoszech, które w sposób szczególny budziły obawę naszych zaborców Prus i Austrii. Poza tym wiedział, że w wojnie krymskiej (1853 – 1856) przeciw Rosji walczyli Turcy, ale także Anglia i Francja. Wielu Polaków liczyło na pomoc tych państw w kolejnym powstaniu przeciw Rosji. Wiemy na pewno, że jeszcze przed wybuchem powstania w 1861 roku wikariusz parafii św. Jana Kantego, ks. Franciszek Rutkowski trafił do twierdzy Modlin, jako podejrzany o współpracę z tajnymi związkami działającymi na rzecz sprawy narodowej. Podczas kazań głoszonych przez księdza Rutkowskiego wierni śpiewali tzw. „zakazane" polskie hymny.

Ksiądz Rutkowski więziony był w twierdzy modlińskiej wraz z innymi patriotami przez kilka lat. 26 lutego 1864 roku biskup płocki przesłał władzom carskich listę kapłanów diecezji płockiej więzionych za udział bądź wspieranie czynu powstańczego jak i przygotowań do powstania. Wśród więzionych kapłanów wymieniony jest ksiądz Franciszek Archanioł Rutkowski wikary parafii Krasnosielc, powiatu makowskiego, guberni płockiej. Przyczyną uwięzienia naszego krasnosieleckiego wikarego było jawne wspieranie czynu powstańczego, głoszenie rewolucyjnych kazań, śpiewanie wraz z wiernymi „zakazanych" polskich hymnów narodowych, a także zagraniczna podróż odbyta przez duchownego po klęsce Rosji w wojnie krymskiej. Bez wątpienia ksiądz Rutkowski gdyby przebywał na wolności w czasie prowadzenia walk powstańczych na terenie ziemi krasnosieleckiej przyczyniłby się do aktywniejszego udziału ludności naszych ziem w powstaniu. Najprawdopodobniej walczyłby słowem ze znienawidzonym zaborcą, być może zorganizowałby oddział powstańczy jak uczynił to na Podlasiu

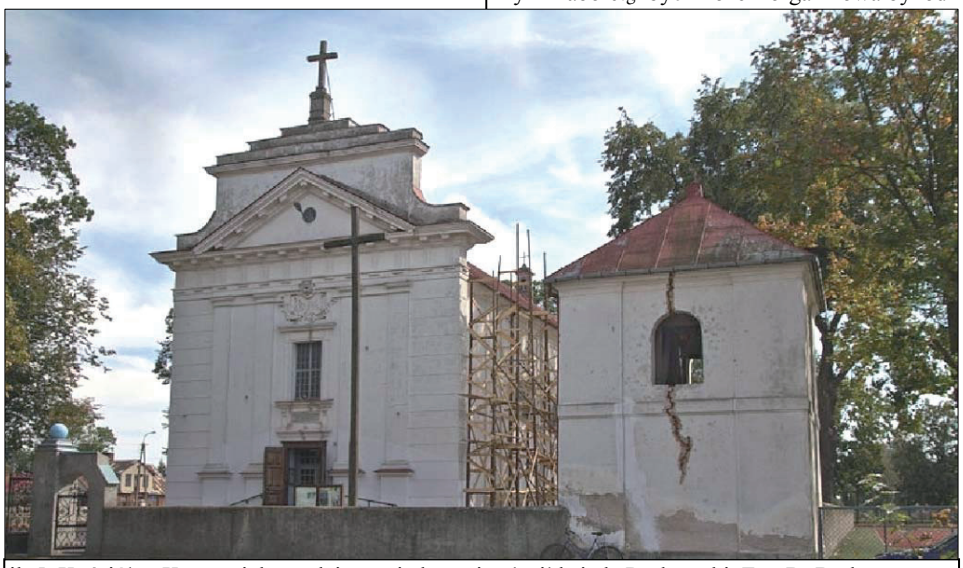

il. 5. Kościół w Krasnosielcu, gdzie swoje kazania głosił ksiądz Rutkowski. Fot. D. Budny

ksiądz Stanisław Brzóska. Te pytania, przypuszczenia zostaną bez odpowiedzi, faktem natomiast jest to, że ksiądz Rutkowski przeciwstawił się zaborcy. Za co został już w czasie przygotowań do powstania aresztowany. Bez wątpienia dla władz carskich stwarzał duże zagrożenie, skoro już w 1861 roku trafia do twierdzy modlińskiej, w więzieni przebywa do 4 marca 1864 r. (21 lutego wg kalendarza juliańskiego). Tego dnia wojskowe władze rosyjskie zwolniły księdza Franciszka Rutkowskiego z więzienia carskiego. Za swoją patriotyczną postawę ksiądz Rutkowski był represjonowany (ponad 3 letni pobyt w twierdzy), a po odzyskaniu wolności był pod stałą obserwacja władz carskich.

Tyle informacji posiadam na temat księdza Franciszka Archanioła Rutkowskiego, bojownika za wolność Ojczyzny, naszego wikarego, dla którego sprawa niepodległości Polski była bez wątpienia wartością nadrzędna, za którą gotów był poświęcić wiele. Jakie były dalsze losy tego kapłana niestety nie jestem w stanie na dzień dzisiejszy napisać, ciągle poszukuje informacji na ten temat. Wiadomo natomiast, że postawa naszego wikarego zachęciła wielu mieszkańców naszej gminy do aktywnego wsparcia czynu powstańczego. Ksiądz Rutkowski jako dobry pasterz dał przykład swoim „owieczkom".

Wielu naszych rodaków, mieszkańców ziemi krasnosieleckiej wzięło udział w walkach w okresie powstania styczniowego. Wielu z nich zginęło, trafiło do więzień carskich lub na Syberyjską katorgę. Rosjanie postępowali bezwzględnie z naszymi rodakami. Jeden z sołtysów z naszego powiatu za to, iż nie poinformował władz carskich o tym, że w jego wsi schronili się powstańcy został „od ręki" bez sądu skazany przez płk Wałujewa na Syberyjską katorgę. Aresztowany nocą wraz z żoną został od razu poddany każe chłosty, jemu jako sołtysowi wymierzono 100 batów, jego żonie „tylko" 50. Następnie zostali nago w mroźną zimową noc przepędzeni 4 razy przez miejscowość „w tą i z powrotem" jedynie po to, aby inni mieszkańcy wiedzieli co czeka Polaków wspierających powstanie lub ukrywających powstańców. Małżeństwo to bez prawomocnego wyroku sądowego, bez pożegnania z rodziną, pozostawiając kilkoro małych dzieci zostało popędzone na Sybir. Po 2 latach marszu zostają osądzeni przez sąd, wyrok sądu jest „dość łagodny" zdaniem sędziego za swój czyn 9 lat spędzą w miejscu zesłania, po to aby ponieść „sprawiedliwą" karę za swoje postępowanie.

Nasza gmina została ukarana również tym, że Krasnosielc po upadku powstania styczniowego utracił prawa miejskie. Można by mnożyć kolejne przykłady karania Polaków za udział w tym powstaniu jednak nie to jest tematem moich dzisiejszych rozważań. Bez wątpienia słowa księdza Rutkowskiego wielu naszych przodków wzięło sobie głęboko do serca i nie zostali oni obojętni w chwili gdy Ojczyzna ich wzywała. Wielu z nich, być może i sam ksiądz Rutkowski umierali z poczuciem dobrze spełnionych obowiązkach wobec Boga i Ojczyzny.

Po powstaniu styczniowym proboszczem naszej parafii nadal pozostał ksiądz Walenty Pęszyński, mogiła w której został pochowany znajduje się na naszym parafialnym cmentarzu. Wystarczy wejść bramą główną na nasz cmentarz skręcić w prawo stronę przejść około 30 metrów wzdłuż muru, stanąć i spojrzeć przed siebie. Wtedy wśród wielu wspaniałych błyszczących nagrobków zobaczymy starą zniszczoną wykonaną z metalu mogiłę w której spoczywa ksiądz Pęszyński, świadek wydarzeń i walk z okresu powstania styczniowego, nasz duszpasterz a zarazem przełożony księdza Rutkowskiego.

il. 6. Mogiła na cmentarzu w Krasnosielcu gdzie spoczywa ksiądz Pęszyński. Fot. D. Budny, styczeń 2013 r.

Gdyby stare nagrobki mogły do nas przemówić, bez wątpienia dowiedzieli byśmy się więcej o tych wydarzeniach z przed 150 lat, które miały miejsce na tej ziemi, po której my teraz chodzimy. Dzięki wielu bohaterom z tego okresu możemy żyć w wolnym, niepodległym suwerennym kraju. Musimy jednak pamiętać, że niepodległość nie została „dana nam na zawsze" oraz, że „Naród który nie zna swojej przeszłości, traci prawo do przyszłości".

il. 7. Portret księdza Stanisława Pomirskiego, fot. D. Budny, marzec 2013r.

57 lat katorgi księdza Stanisława Pomirskiego

W tej części mojego artykułu chciałbym przybliżyć sylwetkę wikarego z Parafii Płoniawy, który za wspieranie powstania oraz za dokonanie pochówku powstańców poległych pod Podosiem stał się ofiarą represji carskich.

Stanisław Pomirski pochodził z Północnego Mazowsza. Urodził się 5 maja 1835 roku w Turzy Wielkiej w ziemi zawkrzeniskiej w Parafii Lipowiec. Pochodził ze szlacheckiej rodziny. Nauki pobierał w szkole ojców reformatorów z Żurominie, gzie otrzymał świadectwo o dobrej nauce i obyczajach. Do Seminarium Duchownego w Płocku został przyjęty 7 września 1853 roku. 24 maja 1858 roku przyjął święcenia kapłańskie i został skierowany do pracy jako wikary w Parafii Płoniawy w powiecie makowskim w guberni płockiej.

Ten młody i gorliwy kapłan wrażliwy był nie tylko na sprawy ściśle duszpasterskie, ale na wszystko, co wiązało się z życiem jego podopiecznych. W latach 60–tych XIX stulecia dochodziły z Warszawy do Makowa Mazowieckiego, Krasnosielca, Płoniaw, echa manifestacji patriotycznych, jakie przetoczyły się przez stolicę Królestwa Polskiego. Wydarzenia związane w wybuchem powstania styczniowego1863 roku znalazły na Mazowszu wielu zwolenników także w szeregach duchowieństwa.

Wśród zwolenników powstania był także młody wikary z Płoniaw ksiądz Stanisław Pomirski. Włączył się on do akcji popierających moralnie i materialnie działalność powstańców. Za swoją postawę podobnie jak wielu innych duchownych i świeckich Polaków zapłacił cierpieniem i poniewierką.

21 maja 1863 roku Konsystorz Generalny w Pułtusku przesłał do Biskupa Ordynariusza w Płocku raport zawiadamiający o aresztowaniu proboszcza i wikariusza Parafii Płoniawy. Oto jego treść:

„W końcu miesiąca kwietnia roku bieżącego podpułkownik wojsk carsko-rosyjskich w Przasnyszu konsystujący, przechodząc z oddziałem przez wieś kościelną Płoniawy, wstąpił do tamtecznego proboszcza ks. Morawskiego i ustnie mu polecił, aby ze swoim pomocnikiem ks. Stanisławem Pomirskim udał się do Pułtuska i przedstawił się naczelnikowi wojennemu. Spełniając dany sobie rozkaz, powołani kapłani w dniu 1 maja roku bieżącego przybyli do Pułtuska, a po przedstawieniu się osobiście naczelnikowi wojennemu przyaresztowani zostali, nie poczuwając się do żadnej winy. W godzinę potem ks. Morawskiemu pozwolono wrócić do domu, a ks. Pomirskiego zatrzymano, który dotąd pod aresztem pozostaje".

Jeszcze przed wysłaniem oficjalnego raportu do Biskupa Płockiego Konsystorz Pułtuski skierował do naczelnika wojennego pułtuskiego pismo w sprawie uwolnienia księdza Pomirskiego. W odpowiedzi dowiedział się, że bez upoważnienia naczelnika wojennego ksiądz Pomirski z aresztu nie może być uwolniony. W areszcie pułtuskim ksiądz Stanisław przebywał do końca maja.

31 maja wraz z innymi aresztantami został przewieziony i umieszczony w kazamatach modlińskich. Na skutek rozkazu komendanta fortecy Modlin z dnia 15 lipca 1863 roku rozpoczęło się śledztwo w sprawie młodego wikarego Parafii Płoniawy – Stanisława Pomirskiego. Głównym zarzutem było oskarżenie, że ksiądz wikary głosił „rewolucyjne" treści podczas pogrzebu 21 zamordowanych powstańców we wsi Podoś, w Parafii Płoniawy w lutym 1863 roku. Akta zakończonej sprawy przesłano 16 lipca 1863 roku do wojennego naczelnika oddziału płockiego.

9 września 1863 roku naczelnik wojenny oddziału płockiego przesłał do kancelarii wykaz oskarżonych, których sprawy prowadziła Komisja Polowo-Wojennego Sądu przy modlińskiej twierdzy. W wykazie tym figurował ksiądz Stanisław Pomirski, jako aresztowany i osadzony w politycznych kazamatach fortecy modlińskiej, która go utrzymuje. Wspomniana Komisja zakończyła sprawę 31 sierpnia 1863 roku i akta przesłała do wojennego naczelnika oddziału płockiego.

Księga kancelarii komendanta miasta Warszawy, do której wpisano wszystkich zesłanych podała, że księdza Stanisława Pomirskiego, wikariusza Parafii Płoniawy, powiatu makowskiego, guberni łomżyńskiej sądziła Komisja Polowo-Wojennego Sądu przy namiestniku Królestwa Polskiego o udział w powstaniu. Konfirmacja pełniącego naczelnika Królestwa Polskiego pozbawiła księdza Pomirskiego wszystkich praw stanu i zesłała go na katorżne roboty do jednej z syberyjskich fortec na lat 8, dokąd został wysłany z Warszawy 24 listopada 2863 roku.

Biskup płocki Wincenty Popiel upomniał się 26 stycznia 1864 roku u naczelnika wojennego okręgu płockiego o księdza Stanisława i przesłał mu rubrycelę na rok 1864. Naczelnik odpowiadając biskupowi poinformował, że rubrycelę polecił księdzu dostarczyć. W miesiąc później, 26 lutego 1864 roku biskup Popiel przedstawił Głównemu Dyrektorowi Komisji Rządowej Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego listę więzionych kapłanów diecezji płockiej, a wśród nich wymienia też księdza Stanisława Pomirskiego.

W listopadzie 1863 roku opuścił ksiądz Pomirski kazamaty modlińskie i wraz z innymi skazańcami przewieziony został koleją do Tobolska, gdzie znalazł się 26 grudnia tegoż roku. Po krótkim pobycie w Tobolsku odbywał etapami pieszą podróż do Irkucka.

Miejscem katorgi dla księdza Pomirskiego była Siwakowa koło miasta Czyty. Zakuty w kajdany dźwigał je bez przerwy kilka lat. Dwa lata pracował przy budowie barek na rzece Amur, a ponad dwa i pół roku odbywał karę w kopalni srebra w Akatui.

Dekret carski z 1870 roku zmienił los skazańca wysyłając go do Tunki na tzw. „posielenie". Była tam spora grupa księży skazanych za podobne czyny. W 1875 roku rząd carski

il. 8. Obraz Aleksandra Lessera przedstawiający pogrzeb ofiar manifestacji patriotycznych. Ze zbiorów D. Budnego.

il. 9. Pochód na Sybir, obraz Artura Grottgera. Ze zbiorów D. Budnego.

pozwolił księdzu Pomirskiemu na zamieszkanie w europejskiej części cesarstwa i od 1876 roku ksiądz Stanisław przebywa w Sławianoserbsku w guberni ekaterynosławskiej. 6 sierpnia 1883 roku ówczesny biskup płocki Kacper Borowski wstawił się do wojennego jenerała gubernatora o uwolnienie z wygnania księdza Pomirskiego, jednak była to prośba bezskuteczna.

W kwietniu 1890 roku władze rządowe zgodziły się, aby ksiądz Pomirski został osiedlony w Kijowie bez prawa przebywania na terenach dawnego Królestwa Polskiego. Nie mógł więc powrócić w rodzinne strony na Północne Mazowsze.

Pozostając w Kijowie prawie 30 lat i pomagając duchowieństwu parafialnemu jako misjonarz dawał świadectwo jako prawy sługa Boży i miłośnik Ojczyzny. Otoczony powszechną czcią przez Polonię kijowską dał się poznać jako mąż wielkiej pokory i skromności, gorącej wiary i niezwykle czystego, kryształowego charakteru. W 1908 roku obchodził 50–lecie, zaś w 1918 60–lecie kapłaństwa w Kijowie. W uzasadnieniu zasług ówczesny biskup łucko-żytomierski Karol Antoni Niedziałkowski odznaczył księdza Stanisława godnością honorowego kanonika kapituły ołyckiej.

Latem 1919 roku za spełnianie obowiązków kapłańskich dla Polaków władze bolszewickie aresztowały 84–letniego starca i wtrąciły go do więzienia, w którym spędził przeszło miesiąc. Wszyscy jego towarzysze pamiętali te chwile pobytu w strasznym bolszewickim więzieniu. Ksiądz Pomirski podczas tego aresztu wprowadził specjalny tryb życia dla współwięźniów niedoli. Wspólne odmawianie modlitw, pocieszanie na duchu oraz błogosławieństwo skazańców maszerujących na śmierć stały się więzienną codziennością. Najwięksi zbrodniarze zwracali się do niego z czcią, prosząc o błogosławieństwo, pociechę religijną i pojednanie z Bogiem. Wypuszczony na wolność, skorzystał z pobytu wojsk polskich w Kijowie i w maju 1920 roku powrócił z rodzinne strony do miejscowości Kowalkówek. Zamieszkał przez jakiś czas w Szreńsku u swoich krewnych.

W kilka miesięcy po powrocie w rodzinne strony w sierpniu 1920 roku był świadkiem nawały bolszewickiej na Polskę i Mazowsze, ale był także świadkiem triumfu katolickiej Polski nad wschodnim najeźdźcą, który czy to pod postacią butnego caratu, czy krwawego bolszewizmu, występował nadal przeciwko Narodowi polskiemu.

W niepodległej Polsce ksiądz Stanisław Pomirski otoczony był powszechną czcią, była to swoistą nagrodą jaką odbierał za swoje poświęcenia dla dobra naszego kraju. W maju 1923 roku ksiądz Pomirski obchodził 65–lecie kapłaństwa. Z tej racji zasłużonego jubilata Prezydent Rzeczypospolitej Stanisław Wojciechowski odznaczył orderem „Polonia Restituta". W dekrecie o nadaniu tego odznaczenia prezydent napisał:

il. 10. Cud nad Wisłą. Ze zbiorów D. Budnego.

„Nadaję księdzu Stanisławowi Pomirskiemu za zasługi położone dla Rzeczypospolitej Polskiej na polu działalności cywilnej w okresie walk o niepodległość w r. 1863 odznakę krzyża kawalerskiego orderu Odrodzenia Polski".

Gazeta Warszawska podając biogram odznaczonego kapłana pisała:

„Bohaterskiemu kapłanowi i męczennikowi przesyłamy należny hołd, a młodym pokoleniom wskazujemy go jako najpiękniejszy wzór cnot obywatela Polaka".

Ostatnie lata ksiądz Pomirski dożywał wśród rodziny i krewnych. Zmarł 6 grudnia 1929 roku, pochowany został w grobowcu rodzinnym na cmentarzu w Dąbrowie. Najwyższy Władca powołał go do innego życia, aby obdarzyć go wieńcem sprawiedliwości za trudy i znoje ponoszone przez długie lata dla Boga i Ojczyzny.

Z listów zesłańca – księdza Stanisława Pomirskiego

W ostatniej części mojego artykułu chciałbym przedstawić kilka fragmentów listów, których autorem jest ksiądz Pomirski. W listach tych mamy przedstawiony zapis kilku epizodów syberyjskiej katorgi.

6 stycznia 1864 Tobolsk

„Kazamaty modlińskie pożegnałem 26 listopada 1863 r., a 26 grudnia 1863r stanęliśmy w Tobolsku, dokąd przybyliśmy koleją i na saniach. Stąd ruszyliśmy pieszo z rozmaitymi zbrodniarzami, jednakowo z nimi ubrani jako aresztanci. Kto miał na to, mógł na swój koszt jechać, ale zawsze pod konwojem. Ostatecznie skazany jestem do katorgi przy jednej z twierdz guberni irkuckiej na lat 8. Spodziewam się za 7 lub 8 miesięcy stanąć na miejscu mi przeznaczonem. Pieszo po tej Syberii azjatyckiej niespora wędrówka, a szczególnie tej porze. Ci, którzy już przyszli z etapem mówią, że taka podróż to coś okropnego, nie do opisania. Można sobie wyobrazić, sądząc choćby z samego tylko towarzystwa takiego rodzaju ludzi, pominąwszy głód, zimno i robactwo wszelkiego rodzaju i gatunku. Tyfus zaczyna po trochu wojować, z naszego grona braci zatrzymuje ich po szpitalach i nawet wpędza do grobu. Obecnie tu u nas jest wszystkich w Tobolsku z górą 100, w tem księży 8, jeden diakon i jeden kleryk. Razem na jednej Sali 76 gotowych

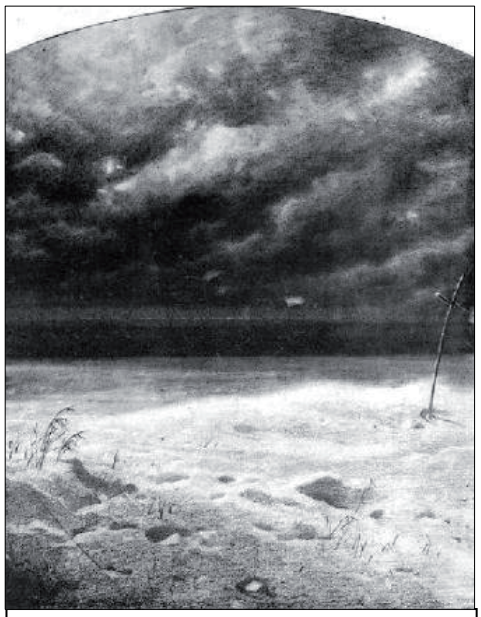

il. 11. Sybir, Artur Grottger , z zasobów internetu.

do drogi w każdej chwili do wymarszu. Proszę mi przysłać jak najprędzej rubrycelę, a jeśli łaska i gramatykę francuską i słownik francusko- polski. Chciałbym na próżno tu nie marnować czasu. Przepraszam za ten list, bo tu u nas, jak w obozie. Jedni śpiewają, drudzy grają inni skrzeczą. Wesoło, choć bieda gniecie.

ks. Stanisław Pomirski

14 kwietnia 1864, Tomsk

Kochany Księże Kanoniku!

Rubrycelę z Konsystorza odebrałem. Z Tobolska wyszedłem 15 stycznia br. i tu w Tomsku dnia 8 kwietnia br. po odbytej podróży z górą 1500 wiorstowej stanąłem przy jakim zdrowiu, pomimo wszelkich, nie do uwierzenia, nieprzyjemności i trudów… Jutro spodziewamy się wyruszyć w dalszą podróż, do Krasnojarska, a następnie do Irkucka, a potem może i dalej. Tu złączyłem się z ks. Rennerem i ks. Ambrożym Grzymałą, z którymi wyprawiono nas razem z Pułtuska do Modlina… Przyjmij uściśnięcie dłoni przyjaciela wygnańca. Stanisław Pomirski.

Kolegom moim załączam pozdrowienia bratnie. Mojego proboszcza proszę przy sposobności uściskać.

ks. Stanisław Pomirski

4 października 1865 r. Siewakowa

Drogi Księże Kanoniku!

Ostatni Wasz list odebrałem 14 sierpnia roku zeszłego, a na moje pisanie z Irkucka i Siewakowy, dotąd nie mam odpowiedzi, co mnie bardzo niepokoi. Odzwałem się kilka razy do mego stryja, lecz zawsze bezskutecznie … Widzę, że mnie wszystko opuszcza. Rzucony tu jestem na pastwę zawistnego losu, bez pociechy żadnej i nadziei, który jako swą ofiarę prześladuje tak nielitościwie. Niechże się stanie… Proszę o rubrycelę na rok bieżący. Od 20 stycznia br. zostaję we wsi Siewakowie, położonej od miasta Czyty o 30 wiorst.

Buduję tu na rzece Ingodzie tzw. barże, któremi corocznie na wiosnę, spławiają rozmaite przedmioty, bydło i produkta, w jakie Sybir obfituje, na Amur. Przy tej więc Fabrycemu, „inwentarz kazionny", używani jesteśmy do rozmaitych robót…

ks. Stanisław Pomirski

10 lutego 186 6r., Siewakowa

Dawno już, bo od czternastego sierpnia zaprzeszłego roku nie miałem wiadomości… Postanowiłem sobie obecnie na los szczęścia posłać kilka wyrazów i powiadomić, że w tem samem miejscu, niby to już na stałe, pozostaję…. Załączam tu drugostronnie kilka wierszy od ks. Morawskiego, prosząc o przesłanie mu takowych…

List z datą 21 sierpnia roku zeszłego odebrałem tu w połowie stycznia. Niezmiernie mnie ucieszył, bo to pierwszy z tego miłego mi ustronia i od lubych osób… Zapytujesz mnie, Drogi Księże, jak postąpić z pozostałymi rzeczami mojemi. Róbcie z niemi, jak uznacie za stosowne, proszę mi tylko przesłać jeśli można surdut syberynowy – ten z potrzebami, kołdrę watową, z parę sztuk bielizny i ze dwoje spodni, których największy brak czuć się daje, gdyż kajdany ogromnie prędko je niszczą, ale to aż w miesiącu sierpniu i nie w przód, aż jeszcze raz napiszę i wskażę miejsce, gdzie przysłać, bo być może w inne miejsce przeniosą mnie. Zdrów jestem, tylko trochę przygłuchy po chorobie…

ks. Stanisław Pomirski

5 sierpnia 1866 r., Siewakowa

Kochany Księże Józefie!

Upływa kilka miesięcy naszego wzajemnego milczenia. Spieszę się przesłać parę wyrazów z tego miejsca ciągłej tęsknoty za tem i tymi, co się pokochało i pozostawiło z tej tęsknoty i ciężkiej pielgrzymki życia… O, bo Ty może nie znasz, co to jest tęsknota wygnańca?

Zmniejszono nam Ukazem katorgę o połowę, mniej letnich wysyłają na osiedlenie do Irkuckiej czy Krasnojarskiej guberni, a nam pozostałym zdjęto kajdany…. Mamy tu ciągły deszcz, a stąd wilgoć niesłychana, zwłaszcza w ziemiankach, bo trzeba wiedzieć, że znaczna część z naszego towarzystwa pobudowała sobie ziemianki i w nich mieszka, a większość znakomita zajmuje troje koszar. Dałby Bóg, żeby tylko stąd nie wywiązały się choroby…

10 października 1867 r., Akatua

Kochany Księże Józefie!

Po odebraniu Twego listu daty 19 września 1864r., pierwszy dopiero w lipcu z dnia 14 marca roku bieżącego otrzymałem. …

Powiadamiam, że przysłane mi 30 rubli i wszystkie rzeczy przysłane odebrałem 5 lipca. Kołdra i surdut są w dobrym stanie, reszta prawie niezdolna do użycia. Spodnie te lepsze mole zupełnie pocięły, a czego one nie popsuły, to do reszty tak odległa podróż zniszczyła, materiału nawet na czapkę z nich nie wybierzesz. Pomiędzy koszulami znalazłem dwie ze znaczkami C czy G i T, nie moich tylko formę koszul mających… Za dni dwanaście kończy się rok mego w Akatui pomieszkania. Jest to jedno z najcięższych więzień, Do stu osób tu się zmieści. Wszystkich prawie katorżnych nas tu zebrano z różnych prowincji, diecezji i klasztorów, prócz chorych do robót niezdolnych. Współdiecezjanie i koledzy załączają Ci ukłony…

Twój brat Stanisław Pomirski

29 stycznia 1869 r., Irkuck

Kochany Józefie!

Wszystkie listy i przesyłki o których mi piszesz odebrałem. Z dawnego mojego mieszkania wyruszyłem 3 września roku zeszłego, a do Irkucka przybyłem 21 stycznia rb. i w tych dniach zapewne wysłany zostanę do miejsca nam wyznaczonego, o którem Ci już uprzednio donosiłem. Mój bracie! Może po obejrzeniu się na miejscu poproszę Was o obligi.

Nie dodając ani nie ujmując nawet jednego wyrazu, na nagłówku pisać: bracie lub kochany przyjacielu… Twój kochający Cię Stanisław.

10 maja 1869 r., Irkuck

Zapewne już odebrałeś moje dwa listy z Irkucka pisane, jeden z datą 29 stycznia, drugi 1 lutego r. b. Piszę obecnie już z miejsca przeznaczonego mi na mieszkanie… Po czterech latach katorgi… dosłużyłem się wreszcie, choć w części, prawa człowieka, bo przestano już mnie uważać jako inwentarz skarbowy. Wolno mi więc teraz bez konwojowego z bagnetem w ręku używać przechadzki w pewnym obrębie i odwiedzać innych kolegów tu zesłanych, uprawiać ziemię, a jeśli zasiew się urodzi i nikt go nie zabierze, to nawet i zebrać go pozwolono - rozumie się, że grunt trzeba wynająć.

Teraz proszę o nadesłanie oblig i to, jeśli można, w krótkim czasie, bo ciężko utrzymać się i kwaterę zapłacić z tego, co tu nam dają… Jest tu nas spora paczka… trzeba tylko w przysłaniu zastosować się i zachować to, co pisałem w liście z Irkucka…

Potrzebny jest mi zegarek, bo ten, który wywiozłem ze sobą, strawiły dawno ciężkie czasy… Zaadresujesz do Tunki. Koszta, jakie tylko być mogą, proszę wliczyć w rachunki oblig. Daruj, że Cię zatrudniam swemi potrzebami ufając, że choć nie będę miał szczęścia wywdzięczyć się, to Bóg litościwy policzy Ci to w rachunek zasług Twoich… Wszyscy znajomi pozdrawiają serdecznie….

Stanisław

22 czerwca 1869 r., Irkuck

Kochany Józefie!

Z listów kilku moich powinieneś się dorozumieć, że piszę „krzywą" drogą. Ciekawy jesteś, czemu się zajmuję? Pisałem Ci już. Teraz dodaję, że żyję prawie po zwierzęcemu, gdyż prawie wszystkie starania łoże na to, by głód nie dokuczył, a palce i łokcie, aby bardzo nie ukazywały się światu. Umysł leży sobie w odrętwieniu teraz, bo z książką bardzo rzadko się widuję. Pragnąłbym zając się książką i życzyłbym sobie rzucić tę gastronomię obrzydłą, ale cóż zrobić? Chcąc żyć trzeba jeść, a chcąc jeść, trzeba pracować. Podług kontraktu, mój gospodarz do kwatery dał mi kawałek ziemi przy domu. Skopałem go, posadziłem trochę kartofli, posiałem troszkę i warzywa, wodę noszę, a ta nie jest bardzo blisko, i polewam, to oczyszczam z chwastu i mozolę się, a nie wiem, czy będzie co z tego, bo robactwo podcina młodym roślinom korzonki, znowuż sadzę nowe, parę razy na dzień i znowu to samo… Chciałem już rzucić zupełnie, ale mi żal pracy podjętej, może i przyjdzie do tego później. Jeszcze na domiar złego wczorajszego dnia (21 czerwca) spadł śnieg, okrył ziemię i leżał dość długo… A zanadto rozbrajałem się, czas nagli oddać list, o którym przed godziną nie marzyłem nawet…

Stanisław

26 października 1869 r., Tunka

Kochany Księże Józefie!

Wszystkie rzeczy, prócz jednej chustki, która mogła bardzo łatwo zatracić się przy rewizji, oddano mi w całości i dobrym stanie. Dzięki stokrotne za to. Zaopatrzyłeś mnie tak we wszystko, że ja sam nie pamiętałbym o tem. Buty z długiemi cholewami dla mnie za wielkie, ale za to dla mego towarzysza są dobre, trzeba wiedzieć, że obuwie jest tu bardzo pożądaną rzeczą…

Tunka dość rozwlekła. Mieszkamy porozrzucani na różne strony. Chcąc kogoś odwiedzić, to trzeba czasem 7 i 8 , a może i więcej wiorst zrobić, kurs taki niezły, z czoła pocieknie, a ja na domiar i czasu nie mam. Pisząc do mnie, nie adresuj „Księdzu", mogę mieć z tego względu nieprzyjemności. Jeszcze pozbawiony jestem praw. Teraz pozostaję w kategorii posieleńców, a dopiero kiedyś, kiedy może zamieszczony zostanę do drugiej kategorii, to jest do „żytieli"… proszę nie zapomnieć o rubryceli na rok przyszły…

Stanisław Pomirski

15 listopada 1869 r. Tunka

Kochany Księże Józefie!

Jakieś dziwne uczucia i przeczucia miotają mną na przemian, tak, że sam sobie z nich sprawy zdać nie jestem w stanie. To tęsknota mnie ogarnia za krajem za Wami, to znowu obraz śmierci staje przed oczyma i Bóg wie, co tłoczy mi się i to gwałtownie do głowy i serca. … Żyjemy tylko z dnia na dzień i oczekujemy zmiłowania Bożego wszyscy, jak jest nas tu w Tunce 145 osób.

Urodzaje mamy tu bardzo nędzne, na kwiat zboża i na sam czas nalewania po suszy spadł śnieg, potem niezły mrozek, o który tu nie trudno, a w końcu prawie ciągle deszcze, kuso więc będzie z nami…

Stanisław

17 kwietnia 1871 r., Tunka

Kochany Księże Józefie!

Nie doczekawszy się jeszcze odpisu, niepokoję Cię… Chciałem prosić, jeśli można o nadesłanie mi pieniędzy na rachunek długu. Zaniepokojony jestem bardzo, bo nie mam mieszkania. Spółka, w jakiej dotąd byłem, rozrywa się. Przyczyna tego leży w tutejszych mieszkańcach, odpowiedniego kąta nie można dostać. Przenosiny i stosunki, od których niepodobna się uchronić, tak nam dokuczyły, że za jaką cenę postanowiłem się od nich uwolnić… Zachciało się nabyć jaką budę, wyporządzić i zamieszkać w niej tylko z kolegą, już jako właściciel…

Stanisław
20 sierpnia 1871 r., Tunka

Drogi Księże Józefie!

Dnia wczorajszego odebrałem list z datą 24 czerwca rb., dziękuję uprzejmie za łaskawą pamięć i dobre serce. Donoszę, że już od trzech miesięcy mieszkam niby to we własnej chacie. Kupiłem ją na dziesięć lat za 80 rubli, zapłaciłem z góry 40 rubli, a po upływie pięciu lat obowiązany jestem druga połowę zapłacić. Do tego mam gruntu ¼ dziesiatyny. Spokojniejszy teraz jestem, bo mi nikt nie powie „ubierajeties". Zdrów jestem, bo praca nie pozwala chorować…

Stanisław

Pamięć o księdzu Pomirskim

W 150 rocznicę bitwy pod Podosiem zorganizowane zostały uroczystości, których kulminacyjnym punktem było odsłonięcie i poświęcenie pamiątkowej tablicy w kościele w Podosiu.

Poświęcenia tablicy dokonał biskup senior diecezji łomżyńskiej Tadeusz Zawistowski.

il. 12 Poświęcenie tablicy w Podosiu przez biskupa Tadeusza Zawistowskiego.
Fot. D. Budny luty 2012 r.

Słowo końcowe

Duchowieństwo odegrało bardzo ważną rolę w dążeniach Polaków do odzyskania niepodległości. Przykłady księdza Rutkowskiego oraz księdza Pomirskiego doskonale obrazują nam zaangażowanie tej grupy w czyn narodowowyzwoleńczy. Należy pamiętać również o tym, że to zaangażowanie zostało okupione przez duchownych cierpieniem , więzieniem, lub zsyłką na Sybir, jak było w przypadku księdza Pomirskiego.

il. 13 Pamiątkowa tablica umieszczona w kościele w Podosiu. Fot. D. Budny luty 2012 r.

Bibliografia:

Chądzyński Zbigniew, „Wspomnienia powstańca z lat 1861–1863", Warszawa 1963
Grzybowski Michał Marian, Syn ziemi Zakrzeńskiej, ks. Stanisław Pomirski, Płock 1994
Grzybowski Michał Marian, Jubileusz 600–lecia parafii Krasnosielc 1386–1986, „Studia Płockie", 1987 tom XV s. 2005
Juszkiewicz Ryszard, Powstanie styczniowe na Północnym Mazowszu, Warszawa
Kieniewicz Stefan, Powstanie Styczniowe, Warszawa 1972
Kubicki Paweł, Bojownicy kapłani za sprawę ojczyzny i kościoła 1861 – 1915, tom II, Sandomierz 1933
Powstanie styczniowe na Mazowszu Północnym, pod. red. Aleksandra Kociszewskiego, Warszawa – Ciechanów 1994

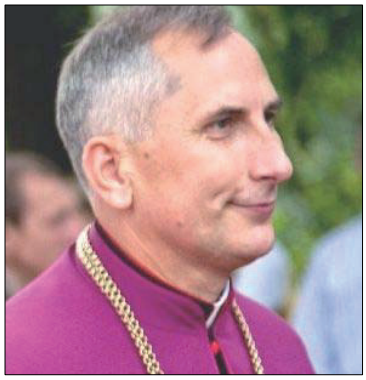

Operari - sperare!

Działalność pasterska i społeczna ks. Kardynała Aleksandra Kakowskiego na stolicy arcybiskupiej w Warszawie

ks. Marek MAKOWSKI

Złocić się już poczęła na drzewach nasza polska jesień, pola ogarniała uroczysta cisza, z czystych, ale pobladłych błękitów, spoglądało na ziemię rozgorzałe słońce. A na łany pachnące świeżością zoranych skib wyszedł gospodarz tej swojej ziemicy i, znacząc ją świętym znamieniem, począł miarowym, lecz spokojnym ruchem, rozrzucać po czarnych skibach siewne ziarno. Blaskami ogarniało go słońce niby nimbem świetlistym i złociło mu ziarno, które, dostojnym ruchem dłoni i w namaszczonym zamyśleniu, obficie rozsiewał po ziemi. Czy mu się z wiosną zaruni, czy się obficie rozpleni, czy owoc bogaty przyniesie? Jeden to tylko wie Bóg! *Śmiertelnym oczom nie sposób zamgloną przyszłość przeniknąć.* Lecz czemuż w tym siewnym trudzie miałby się wyzbyć nadziei, że Najwyższy Siewca rozbudzi życie w tym ziarnie, któremu dał rodzajną moc? Więc pełen ufności, gdy przyjdzie pora siewna, gospodarz znów wyjdzie na zorane łany i w namaszczeniu, jakby sprawował święty obrzęd, niestrudzenie rozrzucał będzie ziarno na tej umiłowanej swojej ziemi.

Święty to trud i święte ufanie! („Wiadomości Archidiecezjalne Warszawskie", R. 29: 1939 nr 1 s. 27-47)

I. Zarys programu

W roli włodarza-siewcy wyszedł o jesiennej porze na rozległe, polskie łany nowy Pasterz, którego posłał do serca Polski słodki Papież Pius X. Posłał Go „jako ojca i pasterza dusz". Ks. Kardynał Aleksander Kakowski, Arcybiskup-Metropolita archidiecezji warszawskiej, po przyjęciu sakry biskupiej w dn. 22.VI 1913r. w Petersburgu, odbył uroczysty ingres dnia 14. IX t.r. do archikatedry św. Jana w Warszawie. Powitały Go dzwony kościelne, powitało Go drogie miasto. Ale nade wszystko radośnie powitały Go serca: - serca kapłańskie i serca wiernego ludu.

A On, ze wzruszeniem ogarnął te ziemie miłującym wzrokiem i, nim siewny swój obrzęd rozpoczął, serdeczne uczynił wyznanie: „Kocham ten kraj i tę ziemię, na której wzrastałem, wychowałem się i kształciłem - miłuję ten naród, z którego pochodzę, którego kość z kości, krew z krwi i ciało z ciała jestem; czuję, jak on czuje, myślę, jak on myśli, mówię, jak on mówi, cierpię, gdy on cierpi, a raduję się, gdy on się raduje".

Po takim wyznaniu mógł już Arcypasterz rozpocząć apostolską siejbę, ufny, że ziarno w Jego sercu ogrzane, a miłującą dłonią rozrzucane, przyjmie się w duszach rodaków i spodziewanym nagrodzi owocem.

Podejmując urzeczywistnianie pragnień Piusa X, by „wszystko odnowić w Chrystusie", wybrał Arcypasterz to hasło nadziejne: *„Operari, sperare!* - pracować i nie tracić nadziei!"

Jakież to ziarno rzucał, Dostojny Siewca, w ten dzień pamiętny 14 września 1913 r.? Jakiego plonu wówczas się spodziewał? W wygłoszonym przez się ingresowym orędziu nowomianowany Arcypasterz Warszawski, dał zwięzły program swej pasterskiej działalności.

Myśl podstawowa orędzia pasterskiego - to wniesienie sztandaru Chrystusowego w życie narodu, rozbitego w swej spoistości waśniami społecznymi i politycznymi.

Próba związania Arcypasterza z jakąkolwiek grupą będzie bezcelowa wobec tego zdecydowanego oświadczenia: „jako Chrystus, przyszedłszy na świat *stał się wszystkim dla wszystkich,* tak ja, przyszedłszy do was, wszystkim pragnę służyć".

Stąd też „stronnictwem moim — zaznacza Arcypasterz — wszyscy ludzie dobrej woli, których bez różnicy wzywam do współpracownictwa, aby pocieszone były serca, spoiwszy się w miłości".

Z gorącą troską zwraca się najpierw Arcypasterz do młodzieży. Patriotycznym tonem nabrzmiałe są słowa do niej skierowane: „Na barki twoje, Młodzieży Ukochana, składa Opatrzność wszystkie nasze pragnienia i umiłowania... Ku Tobie przeto spoglądamy ufnym okiem, iż w znoju i łzach budzone dzieło dobra publicznego rozwijać będziesz, może nawet lepiej od nas...".

Czymże tę młodzież nakarmić, dokąd ją prowadzić? Jasna na to odpowiedź pasterskiego orędzia: „Pokarm, który ci daje Kościół - wiara twoich praojców - nie skwasi twojej duszy ani opęta Twych skrzydeł; owszem, otworzy dla Twego lotu szerokie horyzonty, w których i rozum odnajdzie czystą prawdę, i wola wielkie ideały. Dobra sprawa, a tej przecie służyć pragniesz, wymaga czystych serc i czystych rąk: odtrąć więc wszelkie pokusy i zwodnicze nawoływania, a idź za Tym, Który w osobie młodzieńca ewangelicznego wezwał ciebie: „Pójdź za mną"!

Rodzina …

Wie to kardynał, że należyte ukształtowanie młodego pokolenia do czekających je zadań, w ogromnej mierze uzależnione jest od wpływu wychowawczego rodziny.

Musi to być rodzina na zasadach religijnych zbudowana, by posiadała należyty autorytet dawany przez żywy przykład praktycznych cnót chrześcijańskich. „W was też, Rodzice, -głosi orędzie- widzę najdroższych sercu memu współdziałaczy w mej pracy pasterskiej i do wiernej pomocy odwołuję się przede wszystkim, abyśmy ręka w rękę szli w zabiegach około duchowego dobra młodego pokolenia".

A zwracając się do ludu, ks. Arcybiskup wyraża radość z powodu podjętych wysiłków „celem podniesienia duchowego i materialnego dobrobytu ludu". Serce jednak Arcypasterza niepokoi troska, że „w trop za tymi chwalebnymi usiłowaniami nie idzie podniesienie obyczajowego poziomu ludu", więc przed wywrotowymi działaczami, mówił: „Kto sieje wiatr, zbiera burzę, kto więc usiłuje szerzyć wśród was nienawiść, rozdwojenie i niezgodę, kto chce pozbawić was tej najpotężniejszej wartości, jaką jest wiara, ten nie przyjacielem wam, ale wrogiem zdradliwym". Nakłania więc do zaufania względem swoich pasterzy, a zamknięcia uszu na podstępne podszepty.

Gdy zwraca się do świata robotniczego, w całej wyrazistości zarysowuje się przed nim sprawa socjalna. Przypominając postać Leona XIII, pisze Arcypasterz, że: „Biskupowi katolickiemu nie wolno być obojętnym na te społeczne zmagania się, nie wolno nim być, zarówno ze względu na swoje stanowisko obywatelskie, jak i na posłannictwo pasterskie, a tym bardziej, gdy na czoło walki wysuwają się obłudni agitatorzy, którzy przyrzekają robotnikom pomyślność i dobrobyt, pod warunkiem wyrzeczenia się Boga, wiary i przykazań Pańskich, targają węzły rodzinne, szczepią nienawiść jednych ku drugim, wydzierają miłość ojczyzny i uwłaczają posłannictwu Kościoła Chrystusowego".

Jakiż na to ratunek? Otóż *„akcja katolicka* - odpowie z naciskiem Arcypasterz - *demokracja chrześcijańska,* dobrze kierowana i prawidłowo rozwijana, zapewnią klasie robotniczej i w ogóle ludowi roboczemu szczęście doczesne, prowadząc go do szczęścia wiecznego".

Cóż jednak przyczyni się najskuteczniej do rozwiązania kwestii społecznej? Otóż praktycznie stosowana sprawiedliwość, a zwłaszcza miłosierdzie chrześcijańskie. Stąd też pisze Arcypasterz:

- „Wznoście świątynie Pańskie, skądby modlitwy pobożnych ulatywały przed Majestat Najwyższego;

- zakładajcie ochronki i szkoły, gdzieby dziatwa od zarania żywota swego przywykała do dobrych obyczajów i pożywała zdrowy pokarm nauki;

- budujcie domy dla służby folwarcznej i robotników, aby ze zdrowiem ciała szło zdrowie duszy".

Słowem, szeroko pojęta akcja charytatywna.

Oczywiście wszystkie te zalecenia o tyle będą skuteczne, o ile wierni będą konsekwentnymi katolikami. „Być katolikiem, to znaczy żyć po katolicku, nie tylko na pokaz, ale i w pełni świadomości katolickiej". Dlatego domaga się Arcypasterz od wiernych nauki katolickiej, praktyk katolickich, przywiązania do Kościoła katolickiego, odwagi w wyznawaniu swej wiary - „po katolicku wreszcie działać, walczyć, miłować i umierać".

Przyjęcie w Prezydium Rady Ministrów z okazji uchwalenia nowej konstytucji

Otwarcie wystawy jubileuszowej artysty malarza Wojciecha Kossaka w Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie. Uczestnicy otwarcia jubileuszowej wystawy. Widoczni m.in. generał Edward Rydz-Śmigły, kardynał Aleksander Kakowski, malarz Wojciech Kossak, (z lewej z wąsami), prezydent Warszawy Stefan Starzyński, profesor Józef Ujejski (I rząd 2. z prawej).

To jest zasadnicza treść pierwszego listu pasterskiego Księdza Kardynała Aleksandra Kakowskiego. Są to niewątpliwie wskazania i rady, ale jest to zarazem program działania samego Arcypasterza. Tak też pojęli współcześni to pierwsze orędzie pasterskie.

Publicysta „Słowa" (nr 260) określa je jako „znakomite w swej skupionej mocy, w treściwym, a tak wszechstronnym ogarnięciu najważniejszych zagadnień życia religijnego i społecznego". Podobnie ocenia powitalne orędzie Księdza Arcybiskupa - Bolesław Koskowski, pisząc w „Kurierze Warszawskim" (nr 256), że „mamy tutaj cały program działania w sprawie robotniczej, daleki, jak widzimy, od bierności, od ograniczania się na stereotypowych naukach moralnych".

Siejba to niewątpliwie piękna, bo w rozsłonecznieniu duszy dokonana i ziarno też dorodne, bo z zasobnych spichlerzy Kościoła dobyte, przeto i plonu bogatego spodziewać się można. Niech nam jednak wolno będzie dziś - wobec zamkniętej księgi życia ks. Kardynała Kakowskiego- sprawdzić i ustalić czy, o ile ten program został urzeczywistniony, czy optymizm, jakim tchnie ten program, przez czyn i działanie został potwierdzony.

II. Urzeczywistnienie programu

Działalność pasterską ks. Kardynała Kakowskiego, prowadzoną niestrudzenie na przestrzeni 25 lat, i to w warunkach niezwykłych, nie jest łatwo zobrazować. Próba jej naszkicowania obejmie trzy dziedziny, a więc: a) organizacyjną, b) społeczną, c) wychowawczą.

A) ***Działalność organizacyjna***

obejmuje te wszystkie troski, zabiegi i zarządzenia, które mają na celu usprawnienie zarządu rozległą archidiecezją, spotęgowanie życia religijnego i podniesienie poziomu etycznego osób podległych jurysdykcji arcybiskupiej. Cóż zatem w tej dziedzinie zostało dokonane?

Purpurat, obejmując ogromną archidiecezję, liczącą ponad 2 miliony 100 tysięcy wiernych, zatroskał się o to, by potrzeby życia religijnego dusz - Jego pieczy powierzonych- były należycie i sprawnie zaspakajane, a dopływ jurysdykcji kościelnej był odpowiednio regulowany.

Jednym z pierwszych aktów prawnych był nowy podział archidiecezji na dekanaty. Liczba ich z 14 została pomnożona do 24. Celowość tego zarządzenia ujawniła przede wszystkim wojna, podczas której łączność duchowieństwa i wiernych z władzą archidiecezjalną była znacznie utrudniona, pełniejsza jurysdykcja księży dziekanów, czuwających bezpośrednio nad życiem religijnym i karnością mniej rozległych obszarów, była skuteczniej administrowaną.

Ogromnej doniosłości była zainicjowana przez ks. Kardynała sprawa podziału archidiecezji i powołanie w czerwcu 1921 r. diecezji łódzkiej.

Również w roku 1925, przy nowym rozgraniczeniu diecezji przez Stolicę Apostolską, część archidiecezji przypadła diecezji podlaskiej i płockiej. Tylko względy natury duszpasterskiej skłoniły ks. Arcybiskupa do przeprowadzenia tych zmian.

Jeszcze większe znaczenie posiada dla należytej obsługi wiernych tworzenie nowych parafii. Na rządy ks. Kardynała przypada erygowanie 70 parafii - z tego dla samej Warszawy przybyło aż 20 nowych ośrodków parafialnych. Kto zna warunki pracy duszpasterskiej w naszym kraju w okresie przedwojennym oraz rozrost miast po wojnie, wymagający szczególnej troskliwości o życie religijne przedmieści, dopiero zdoła należycie ocenić znaczenie przebudowy organizacyjnej dotychczasowej struktury życia parafialnego.

Nie daje to jednak pełnego obrazu aktywności organizacyjno-administracyjnej Arcypasterza. Dopiero wniknięcie w całość dokonanej pracy twórczej, której celem było dostarczenie ludowi dostatecznej liczby świątyń, może wprawić czytelnika w zdumienie.

Według kompetentnych obliczeń ks. kan. W. Celińskiego (Cf. „Wiadomości Archidiecezjalne Warszawskie" nr 4 (38), liczba nowo wzniesionych kościołów za rządów ks. Kardynała A. Kakowskiego wynosi - 73, z tego w Warszawie - 19. Liczba kościołów restytuowanych, odbudowanych i powiększonych sięga - 43. Do tego dochodzą kaplice erygowane przez Jego Eminencję w liczbie 153, z tego przypada na Warszawę - 70. Imponująca liczba 267 kościołów i kaplic, przysporzonych archidiecezji, sama przez się zastanawiająca, nabiera tym większej wymowy, że przypada na okres powojennego zniszczenia i zubożenia kraju. Daje to chlubne świadectwo zabiegliwości duchowieństwa, ofiarności ludu, ale też i niezwykłemu rozmachowi organizacyjnemu Arcypasterza - wszak bez Jego inicjatywy, polecenia, rady, zachęty różnorodnej pomocy i uruchomienia środków materialnych – nic się przecież nie działo.

Uroczystość poświęcenia Szpitala pw. św. Antoniego (prowadzonego przez Siostry Elżbietanki) przy ulicy Goszczyńskiego w Warszawie.

Kościół pw. św. Wojciecha przy ulicy Wolskiej w Warszawie. Fragment fasady po pożarze. Widoczny m.in. kardynał Aleksander Kakowski.

W tym samym kierunku, mającym za cel sprostowanie życia religijnego wiernych, zmierza usiłowanie ks. Kardynała, by odnowić i zorganizować życie zakonne. I pod tym względem wyniki są znakomite. W okresie przedwojennym archidiecezja posiadała zaledwie jeden zakon męski i trzy żeńskie. Dzięki życzliwości i zabiegom Jego Eminencji liczba ta powiększyła się znacznie, gdyż wynosi - 14 męskich i 21 żeńskich zakonów i zgromadzeń, będących w posiadaniu 28 domów męskich i 91 żeńskich (Cf. ks. W. Celiński, tamże). Rozrost zatem ogromny, a trudno w tym nie widzieć znakomitej pomocy w duszpasterskiej pracy kleru archidiecezjalnego.

Bardzo doniosłą pozycją na terenie organizacji religijnej wiernych jest rozkwit duszpasterstwa szkolnego, a zwłaszcza utworzenie duszpasterstwa akademickiego, co dało znakomite, wprost epokowego znaczenia wyniki. Sprawą wielkiej wagi w zakresie organizacyjnym było utworzenie wydziału teologicznego przy Uniwersytecie Warszawskim. Sprawa ta, posiadająca znaczenie ogólnopolskie, została przeprowadzona w porozumieniu z konferencją Episkopatu, w pełnym oparciu o Stolicę Apostol-

ską. Jak była trudną ze względu na stanowisko władz okupacyjnych, świadczą mozolne pertraktacje z kompetentnymi instancjami od sierpnia 1915 r. do maja 1918 r.

Mimo różnorodnych trudności, stanowcza postawa ks. Arcybiskupa odnośnie uprawnień władzy duchownej - zwyciężyła. Zorganizowany wydział teologiczny i otworzony przy nim konwikt dla słuchaczy teologii, stanowią doniosłą pozycję zasług dla kultury i wiedzy kościelnej w Polsce.

Okolicznością niezwykle korzystną dla tworzącego się fakultetu było to, że organizujący go ks. Arcybiskup posiadał w dziedzinie wyższego szkolnictwa kościelnego rozległe doświadczenie jako niedawny rektor petersburskiej Akademii Duchownej.

Mówiąc o organizacji studiów kościelnych, należy tu wspomnieć troski i zasługi ks. Kardynała około seminarium wyższego, by stanęło na wysokim poziomie naukowym i wychowawczym. Ujawnia się to w pomnażaniu katedr i doborze odpowiednio przygotowanych profesorów. Ma tu znaczenie również i zabezpieczenie potrzeb materialnych tej uczelni duchownej, czego dowodem jest nabycie folwarku Czubin i oddanie go na potrzeby seminarium.

Celem przygotowania młodzieży do studiów teologicznych zakłada ks. Kardynał niższe seminarium duchowne w Warszawie, oddając do jego użytku nowy gmach przy Bazylice Najświętszego Serca Jezusowego oraz stwarzając dlań podstawy materialne.

Szkicując obraz działalności ks. Kardynała Aleksandra Kakowskiego w zakresie organizacji kościelnej, należy wspomnieć o doniosłym akcie prawnym w życiu nie tylko archidiecezji warszawskiej, ale niewątpliwie całej katolickiej Polski. Mam na myśli odbyty w lipcu 1922 r. Synod Archidiecezjalny.

To nie tylko wznowienie starej, kościelnej tradycji, przerwanej przez smutne dzieje porozbiorowej Polski, ale zarazem pierwszy krok w odrodzonej ojczyźnie, wiodący ku organizacji życia religijnego na podstawach nowego Kodeksu Kanonicznego Piusa X i zmienionych warunków i form społecznych i politycznych narodu. Statuty synodalne starannie opracowane pod kierownictwem Arcypasterza, znawcy prawa synodalnego w Polsce, stały się prawzorem do podobnych poczynań dla innych pasterzy - biskupów.

Ograniczając się do wskazania tych kilku, wielkiej doniosłości osiągnięć ks. Kardynała w zakresie organizacyjno-kościelnym, pomijam cały szereg zabiegów i prac na tym polu, choćby wspomnieć sprawy kapituł, biblioteki, archiwum itp. Wszystko to wskazuje na ogrom dokonanej pracy, rzucającej się w oczy, a posiadającej znaczenie trwałe i nieprzemijające.

Prezydent RP Ignacy Mościcki i ks. kardynał Aleksander Kakowski.

B) ***Działalność społeczna***

Równolegle z szeroką działalnością organizacyjno-administracyjną rozwija ks. Kardynał *działalność społeczną.* Już w pierwszym swym orędziu wypowiadał myśl, że duchowieństwo nie może być obojętne na sprawy swego narodu i społeczeństwa. Wskazania encyklik społecznych papieża Leona XIII, a później Piusa XI mają pobudzać duszpasterstwo do pracy dla ludu i wiernych, również poza kościołem.

Wybuch wojny światowej przyniósł za sobą różnorodne biedy i niedole. Wielki jałmużnik świata- Benedykt XV - organizował dzieła miłosierdzia i opieki. W jego też ślad wkraczali biskupi świata katolickiego, tą drogą kroczył również Arcypasterz warszawski. Zatem szeroko pojęta akcja charytatywna.

Piękną inicjatywę ujawnia odezwa pasterska z dnia 10. XI 1915 r., polecająca biedne i opuszczone dzieci i sieroty miasta Warszawy opiece mieszkańców wsi, którym łatwiej w porze zimowej o wyżywienie. Odezwa ta znalazła należyty odgłos w sercach zarówno wieśniaków, jak i ziemian, przez co uratowane zostały liczne zastępy wynędzniałych dzieci i młodzieży.

Opiekę nad różnorodną biedą swoich wiernych, podejmował ks. Arcybiskup nieustannie w czasie srożącej się wojny. Ujawniło się to szczególnie na wysokim urzędzie Przewodniczącego Rady Regencyjnej w ciągłych interwencjach wobec władz okupacyjnych na rzecz pokrzywdzonych przez gwałty i rekwizycje wojsk i administracji niemieckiej.

Gorący oddźwięk w sercu Arcypasterza znalazły także potrzeby żołnierza polskiego. W orędziu z dnia 31 lipca 1920 r. znajdujemy to szczególne zalecenie ks. Arcybiskupa: „Zaoszczędzone przez wiernych z odmówienia sobie przyjemności i zachowania postu pieniądze oraz wszystkie ofiary zebrane na tacę w dn. 8. VIII w kościołach, winny być przeznaczone w całej archidiecezji na żołnierza polskiego".

A gdy już odniesionym zostało zwycięstwo, poleca ks. Kardynał w swej odezwie z dn. 30. X 1920 r. zorganizować pomoc dla żołnierza, wzywając zwłaszcza rodziny polskie, by umiliły żołnierzowi na froncie wieczór wigilijny. Kto zna psychologię żołnierza, a widział naocznie ciężkie, bo głodowe ówczesne lata, wie, jak ogromne znaczenie moralne posiada każdy przejaw serca i łączności z żołnierzem!

Skoro już mowa o działalności charytatywnej, trzeba zaznaczyć, że rozwija się ona za przewodem Arcypasterza w całej archidiecezji. Prowadzą ją parafie, prowadzą zakony i zgromadzenia, prowadzą specjalne stowarzyszenia, jak: stowarzyszenie św. Wincentego à Paulo, różne sodalicje itd.

Ks. Kardynał tę zbożną działalność pragnie usprawnić i postawić na należytym poziomie, odpowiadającym wymogom nowoczesnej akcji opiekuńczej. W tym celu eryguje dnia 15. IX 1930 r. „Katolicki Związek Instytucji i Zakładów wychowawczych i opiekuńczych archidiecezji warszawskiej „Caritas". Wydany pod koniec tegoż roku list pasterski o miłosierdziu jest uzasadnieniem i zachętą do gorącego poparcia tej zbożnej sprawy. Jak pożyteczną i dobroczynną w skutkach okazała się ta instytucja, świadczą doroczne sprawozdania zarządu „Caritas". Tysiące rodzin pozbawionych pracy i ogromne rzesze dzieci ratuje od zagłady tak zorganizowane miłosierdzie ludzkie.

Czytając historyczną odezwę ingresową ks. Arcybiskupa Kakowskiego z dn. 14. IX 1913r., uderzy każdego użyta w niej nazwa „akcja katolicka". Niewątpliwie cała działalność ks. Arcybiskupa, jego listy pasterskie, zarządzenia kurialne, wykazują żywe zainteresowanie sprawą uspołecznienia wiernych i wprowadzenia ich w sferę apostolskiej działalności.

Nic też dziwnego, że te myśli, plany i zamierzenia, nurtujące w duszy ks. Arcybiskupa, były częstym przedmiotem rozmów i wynurzeń między ówczesnym Nuncjuszem Apostolskim - ks. A. Rattim.

I niewątpliwie też nie pozostały bezpłodne. Dzięki temu ks. Kardynał Kakowski ujawnia znakomite wyczucie zamierzeń społeczno-

-apostolskich Ojca św. Piusa XI w szeroko prowadzonej Akcji Katolickiej.

Odbyty pod przewodnictwem ks. Kardynała w roku 1926 Zjazd Katolicki w Warszawie, przyczynił się do zorganizowania akcji katolickiej wśród wiernych. Zjazd ten „postanowił opasać kraj cały potężną organizacją Ligi Katolickiej, mającej stworzyć z katolików, tak kapłanów, jak i świeckich, jednolity obóz, a w szczególności zaprząc do akcji katolickiej, społecznej ludzi świeckich, jako współpracowników w dziele szerzenia Królestwa Bożego na ziemi".

Wydany zaś dnia 11. II 1927 r. list pasterski ks. Arcybiskupa o Lidze Katolickiej, wprowadzał w życie powzięte uchwały Zjazdu, stając się fundamentem i niejako konstytucją wielkiego dzieła. Liga Katolicka w 1929 r. została przekształcona na „Akcję Katolicką", stając się umiłowanym dziełem swego Dostojnego Organizatora.

Prace organizacyjne Akcji Katolickiej posuwają się stale naprzód i to zarówno w centrali, jak i w terenie.

Uwieńczeniem olbrzymiego dzieła, jakim się staje Akcja Katolicka, jest budowa wspaniałego „Domu Katolickiego" w stolicy. Dom Katolicki pn. „im. Piusa XI" został oddany do użytku 23. II 1936 r. Pomieścił w nim ks. Kardynał centralne organizacje Akcji Katolickiej oraz instytucje pomocnicze. Wykonany według planów znakomitego architekta Szyllera i ozdobiony płaskorzeźbami cenionego artysty W. Durka, Dom Katolicki odpowiada znakomicie swemu przeznaczeniu- do dziś istniejący Hotel Roma.

W tym to „Domu Katolickim" otworzył ks. Kardynał Wyższy Instytut Wiedzy Religijnej, który od roku 1937 spełnia doniosłą misję podniesienia poziomu wykształcenia teologicznego wiernych. Instytut otrzymał pierwszorzędne siły naukowe, ciesząc się zawsze szczególną opieką Arcypasterza.

Rozwijająca się również i w terenie Akcja Katolicka, wydaje już swoje owoce, organizując i szkoląc katolików w pracy społecznej i wychowując na wartościowych i dzielnych obywateli Kościoła i Narodu. Powstałe blisko 80 domów parafialnych podnosi znakomicie życie społeczne niedostatecznie jeszcze wyrobionego naszego ludu.

C) Działalność wychowawcza

*k*s. Kardynała Aleksandra Kakowskiego ogarnia i wypełnia całe życie kapłańskie.

Zarówno na urzędzie profesora seminarium, jak później na stanowisku regensa Seminarium Metropolitalnego w Warszawie i wreszcie pełniąc zaszczytne obowiązki rektora Akademii Duchownej w Petersburgu, kierował się ks. Kardynał tą naczelną zasadą, by młodzież duchowną należycie przysposobić do godnego spełniania obowiązków duszpasterskich w swoim narodzie, wśród swego społeczeństwa.

Tą myślą były przeniknięte wykłady, zgoła wówczas niedozwolone, zarówno języka, literatury i historii polskiej, jak i wykłady z zakresu polskiego prawa kościelnego.

Toteż wychodzili i z Seminarium Duchownego i z Akademii kapłani o wielkim poczuciu obywatelskim i społecznym, gorliwi duszpasterze i działacze wśród ludu polskiego.

Działalność wychowawczą rozwijał ks. Arcybiskup - słowem, a więc w przemowach i kazaniach, - piórem - w orędziach i listach pasterskich, - i wreszcie czynem, organizując instytucje i popierając wszelkie poczynania o charakterze wychowawczym.

Uroczystość poświęcenia sztandaru Państwowej Szkoły Handlowej przy ul. Pankiewicza 3 w Warszawie. Kardynał Aleksander Kakowski po poświęceniu sztandaru szkolnego.

Jakież są zasadnicze idee, które ożywiają działalność wychowawczą Arcypasterza warszawskiego?

Nie trudna na to odpowiedź: wprowadzenie Ewangelii w życie, i to zarówno w życie jednostki, jak i w życie społeczne. To jest idea naczelna. Ona to dopiero rozgałęzia się na różne dziedziny życia, ujawniając całe bogactwo swej treści. Z niej wypływa idea miłości Kościoła, miłości Ojczyzny, miłości bliźnich.

Stąd właśnie czerpać będą nieodpartą siłę wszystkie rady, wskazówki i zarządzenia o charakterze wychowawczym. One to dopiero będą zdolne wychować człowieka bożego, walczącego o urzeczywistnienie Królestwa Chrystusowego we własnej duszy i w życiu społecznym.

Szczególnie cenne i praktyczne są pouczenia ks. Arcybiskupa o miłości Ojczyzny, którą pojmuje jako szczytną służbę narodową, jako powszechny obowiązek obywatelski.

Powołany na urząd Arcypasterza stolicy w przełomowych czasach, ks. Kardynał Kakowski nie ustaje w swych zabiegach, by wspomóc odradzającą się Ojczyznę w jej wysiłkach, zmierzających do zabliźnienia ran powojennych, wyzbycia się śladów niewoli i zorganizowania sił wewnętrznych, gwarantujących jej potęgę i należyty rozwój. Długoletnia niewola, niszczycielska wojna, obłąkańcza i bezbożna rewolucja rosyjska, nie sprzyjały należytemu wychowaniu udręczonego narodu. Zakradał się duch anarchii w organizujące się życie społeczne i państwowe, egoizm klasowy i partyjny rozsadzał spoistość narodu, a podważenie fundamentów świętości rodziny - groziło upadkiem najważniejszej instytucji wychowawczej, jaką jest rodzina.

Na te grożące niebezpieczeństwa nie mógł obojętnym okiem patrzeć ani Pasterz, ani Patriota. Więc pracował i uczył niestrudzenie. Pracował u podwalin państwowości polskiej, organizując, jako Regent, obok innych dziedzin życia przede wszystkim szkolnictwo, ale pracował głównie jako Pasterz-wychowawca.

25 lat pasterzowania na stolicy warszawskiej to jeden ciąg wychowawczego trudu ks. Kardynała nad opanowaniem anarchii obyczajowej i społecznej narodu oraz organizowanie dodatnich sił - upadłych nieraz na duchu czy nie dość aktywnych żywiołów katolickich. Ks. Kardynał zdecydowanie przeciwstawiać się będzie wszelkiemu rozprzężeniu, wiodącemu do rozproszkowania twórczych sił narodu.

O znaczeniu etyki w życiu narodu i konieczności stosowania nakazów moralnych w organizującym się państwie, wielokrotnie pouczał

Zakończenie półkolonii letnich w Warszawie zorganizowanych przez Związek „Caritas". Kardynał Aleksander Kakowski udziela błogosławieństwa dzieciom.

w swych listach Dostojny Arcypasterz.

Szczególne i nieprzemijające znaczenie posiada jednak list pasterski ks. Kardynała do wiernych z dnia 30. V 1936 r. Mamy w nim jasno wyłożoną naukę o państwie i władzy państwowej, o potrzebie autorytetu wspartego powagą Bożą, o konieczności sprawiedliwego ustawodawstwa, o wychowaniu religijnym w rodzinie i szkole.

Wyrazem wzajemnego stosunku Kościoła i państwa „powinna więc być łączność, porozumienie między władzą świecka i kościelną, współpraca i pomoc dla obopólnej korzyści i pożytku państwa i Kościoła. – Piotr Skarga mówi, że religia i stan duchowny w ciele Rzeczypospolitej, jest jako serce ukryte wewnętrzne, z którego żywot wieczny pochodzi, a rząd świecki jako głowa. Gdy wiara katolicka i duchowny stan naruszony jest, jako ranne serce prędko śmierć Rzeczypospolitej przychodzi. Gdy też rząd słabuje i boleje, jako głowa chora - władza wszystkich członków ginie i Rzeczpospolita wszystka upada".

Uderzająca jest i wzruszająca zarazem nieustanna zapobiegliwość ks. Kardynała Kakowskiego o zjednoczenie duchowe narodu. Ucisza więc namiętności, nakłania do zgody, już to serdecznym napomnieniem, już to ojcowską prośbą, już to groźbą kary Bożej, wiszącej nad nami.

Toteż brzmią nieraz słowa Arcypasterza pogłosem żalów i utyskiwań świątobliwego ks. Skargi, jakby nasycone jego miłością i przestrogą.

W liście swym ogłoszonym na Boże Narodzenie w 1922 r., pisze ks. Kardynał te gorące słowa: „A, jeżeli się nie pogodzicie i nie pojednacie, jeżeli w rozterkach i kłótni trwać dalej będziecie, jeżeli władzy swojej szanować nie będziecie, to Polska nasza, gorąco przez wiek cały oczekiwana i pożądana, ta ukochana Polska nasza, jak cudem pomocy Bożej i wspólnym trudem naszym powstała, tak runie i upadnie z winy naszej... W dniu Bożego Narodzenia, gdy się rozlega głos Aniołów, wieszczących pokój na ziemi, odwołuję się do wszystkich ziomków moich, wzywam wszystkich braci Polaków do zgody, do pojednania... Podajmy sobie dłonie w miłości braterskiej, niech ustaną na zawsze i zamilkną wszystkie niesnaski partyjne!"

Podobne zaklęcia i wołania o zgodę czytamy w orędziu z okazji wypadków majowych w 1926 r., w którym Arcypasterz zbolałym sercem woła do swych rodaków: „Zaklinam was na Boga i dobro drogiej nam wszystkim Ojczyzny, zachowajcie spokój i godność obywatelską, niechaj nikt nie ośmieli się zakłócić porządku i ładu w tak poważnej i decydującej dla narodu chwili".

Akordem grozy brzmią słowa ks. Kardynała w liście do wiernych z 1936 r., gdy mówi o niezgodach, nienawiściach i walkach w łonie narodu: „Dziś więc te same przestrogi wznawiam, przypominam, powtarzam, jako pasterz od Boga i Stolicy Świętej wam dany(…). Z obowiązku więc swego pasterskiego do was wołam i z serca ojcowskiego was napominam".

Niebezpieczeństwo bliskie, jako dawniej było, wróg czyha na zgubę naszą, wróg zewnętrzny, odwieczny, potężny, który 100 lat z górą panował nad nami. Ale i wróg wewnętrzny,

Kardynał Aleksander Kakowski

komunizm, odrzeć was chce z wolności waszej, którą się szczycicie, z majętności waszych, które posiadacie i chce strącić nas w otchłań tej strasznej nędzy i tego spodlonego niewolnictwa, w którym jęczą miliony bratniego narodu, obrócone w stan bydląt raczej niż ludzi. Wielka burza wisi nad nami. Tylko prawdziwy duch polski i katolicki, duch wiary uratować nas może. Niech tedy ożyje, niech zapanuje w sercach waszych, w duszach waszych. To jest jedyne zbawienie narodu i państwa".

Ogromnej doniosłości wychowawczej jest wydany list ks. Kardynała z okazji srebrnych godów biskupich i objęcia rządów archidiecezji (wrzesień 1938 r.). List ten, skierowany do młodzieży, tchnie ojcowskim uczuciem Pasterza-patrioty, któremu leży na sercu szczęśliwa przyszłość Ojczyzny w oparciu o nauczycielski autorytet Kościoła. Ogarniając całą młodzież, kieruje jednak ks. Kardynał szczególnie gorące słowa do młodzieży akademickiej — wszak widoczne odradzanie ducha religijnego tej warstwy młodzieży, może napawać krzepiącą nadzieją na przyszłość.

Z prostotą i szczerością, którą tak młodzież ceni, daje Arcypasterz swoje cenne wskazania: „Z uczuciem głębokiej radości stwierdzam - czytamy w tym znakomitym orędziu - że polska młodzież katolicka stanowczo odwróciła się od złudnych pouczeń „etyki niezależnej" i mocną stopą stanęła na gruncie etyki religijnej, moralności z Boga idącej i na Bogu opartej. Fakt ten napawa naród niepłonną nadzieją, że fale brudu i załamań moralnych, osobistych i rodzinnych, które dotknęły wyższe i niższe warstwy społeczeństwa polskiego i tyle złego przykładu dały i tyle obrazy Boskiej spowodowały, nie dotrą do młodego pokolenia. Młodzież nasza polska i katolicka, daje już dziś rękojmię, że jak w tej chwili, tak i w przyszłości, potrafi przeciwstawić się nieobyczajności osobistej i rodzinnej".

Troska o przyszłość narodu wkłada w usta ks. Kardynała rady i upomnienia dla młodego pokolenia. Odważnie wskazuje Dostojny Autor listu również i wady młodej generacji Polaków. Zalicza do nich przede wszystkim „brak miłości wzajemnej w młodym pokoleniu". Na pytanie: „o co się spieracie?", czytamy- „odpowiadam Wam z głębokim przekonaniem: idzie Wam o drobiazgi, o szczegóły. Różnice pomiędzy Waszymi poglądami są tak nikłe, że przy dobrej woli, przy wzajemnej miłości moglibyście ich wcale nie zauważyć". Polska już jest - czytamy dalej – „Cieszmy się nią i kochajmy ją! Siłami wspólnymi budujmy jej przyszłość! W jedności i łączności siła nasza! Trzeba tylko, abyśmy się wzajemnie pokochali".

Ten list pasterski Dostojnego Arcypasterza jest ukoronowaniem Jego wychowawczej działalności całego życia. Młodzież, zwłaszcza akademicka, przyjęła go z głęboką wdzięcznością, czemu dała wyraz w licznych artykułach, w złożonym adresie i urządzonej ku czci Arcypasterza akademii (27. XI 38 r.). Jak list ten jest żywotny, świadczy o tym jego komentowanie na licznych zebraniach dyskusyjnych różnych organizacji akademickich.

* * *

Przechodząc do zakończenia tego krótkiego szkicu działalności pasterskiej i społecznej ks. Kardynała A. Kakowskiego, pragnę zauważyć, że jest ona urzeczywistnieniem szeroko zakrojonego programu w słynnym Jego ingresowym orędziu z dnia 14. IX 1913 r.

Nie będzie chyba zawierać przesady stwierdzenie, że dokonany trud pasterski w ćwierćwieczu rządów na stolicy warszawskiej, znacznie przerasta zapowiedzi tego historycznego orędzia; wszak prace ks. Kardynała znacznie przekraczają zasięg archidiecezji.

Historycy niemało trudu poświęcili i wiele poświecą, by w pełni odsłonić różnorodny, a głęboko sięgający wpływ ks. Kardynała Kakowskiego na kształtujące się życie religijne, narodowe, państwowe i społeczne zmartwychwstałej Polski.

Archiwa państwowe i kościelne, polskie i watykańskie, kryją przebogaty materiał dziejów Kościoła i Narodu, związanych najściślej z osobą Arcypasterza stolicy.

A pamiętniki osób wybitnych, dorzucą niemało światła do zimnych nieraz dokumentów archiwalnych, by w żywym blasku ukazać postać Dostojnego Purpurata.

Szkic, który Państwu przedstawiłem, o pasterskim i społecznym trudzie księdza Kardynała Aleksandra Kakowskiego - rozpoczął obraz siewcy, który się w złotym słońcu miarowo pochyla się, gdy ziarno rzuca w role. Czy nie zawiodły nadzieje? Czy trud siewcy jest plenny i owocny?

Sam Bóg błogosławił temu świętemu trudowi i świętemu ufaniu, gdy dał pełne i obfite ziszczenie tej nadziejnej dewizie, którą podyktowała i wiara, i miłość Pasterza wedle serca Bożego.

Operari - sperare! Przez święty trud i święte ufanie.

ks. Marek Makowski
proboszcz parafii w Świętym Miejscu

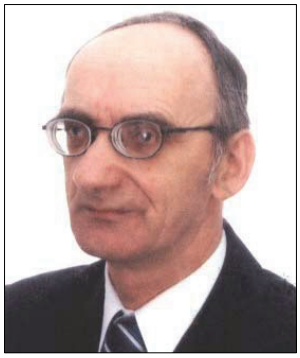

Cezary Kocot (1929-2013)

Tadeusz KRUK

Najpiękniejszą radość sprawia
odkrywanie niezwykłości
w rzeczach najbardziej
zwyczajnych (R. Kapuściński)

- takim mottem opatrzył Cezary Kocot swój artykuł pt. *Drążdżewo w czasie wojen napoleońskich* zamieszczony w pierwszym Krasnosielckim Zeszycie Historycznym (KZH nr 1/2010). We wprowadzeniu redakcyjnym znalazło się stwierdzenie: „Praca C. Kocota (…) jest wynikiem pasji, potrzeby serca i umysłu. Podczas wieloletnich poszukiwań materiałów źródłowych, zgromadził on bogatą wiedzę ukazującą nam nieznane dotychczas fakty i wydarzenia. Pisząc o historii, której uczestnikami byli dziadkowie naszych dziadków, Autorzy opracowań budują tożsamość społeczną nie tylko drążdżewiaków i krasnosielczan, ale wszystkich, którzy na Ziemi Krasnosielckiej mieszkają".

Było to zaledwie trzy lata temu. Obaj byliśmy pierwszymi autorami tekstów do pierwszego wydania KZH. Nie przypuszczałem, że po tak krótkim czasie będę pisał o Nim już tylko w czasie przeszłym.

Niestety, to prawda. W pierwszych dniach stycznia 2013 roku nadeszła wiadomość o Jego śmierci. Na tablicy ogłoszeń w Drążdżewie pojawił się nekrolog, a wierni zgromadzeni w niedzielę (6 I) w drążdżewskim kościele dowiedzieli się o tym również z ogłoszeń parafialnych: „W minioną środę 2 stycznia 2013 r. zmarł w Warszawie w wieku 83 lat Cezary Kocot, syn Władysława Kocota, zasłużonego pedagoga, byłego nauczyciela i kierownika szkoły w Drążdżewie.

Śp. Cezary Kocot był z wykształcenia historykiem sztuki, z zamiłowania popularyzatorem historii powszechnej ze wskazaniem na epokę napoleońską i powstańczą; wielki patriota, regionalista, znawca i piewca chlubnych dziejów rodzinnego Drążdżewa i okolic. Autor książki *Drążdżewo - kościół drewniany, otoczenie historyczne* oraz innych opracowań historycznych o tematyce lokalnej (…).

Pogrzeb odbędzie się w Warszawie 9 stycznia; o godz. 11.00 zostanie odprawiona Msza św. w kościele Najświętszego Zbawiciela, po czym nastąpi złożenie zwłok na cmentarzu Bródnowskim.

Polecajmy duszę śp. Cezarego Bożemu miłosierdziu" - zakończył ks. prob. Leszek Kamiński.

Nekrologi i kondolencje zamieściła prasa stołeczna. Zmarł „po ciężkiej chorobie", „kochający rodzinną Ziemię mazowiecką i jej historię, niezwykle koleżeński i oddany przyjaciołom i rodzinie". Żegnamy „naszego Kolegę, Przyjaciela ze szkolnej ławy w Przasnyszu - koleżanki i koledzy z Warszawskiego Środowiska Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Przasnyskiej".

Cezary Kocot (1929-2013)

Pożegnały Go także *Wieści znad Orzyca*: „Cezary Kocot z wykształcenia historyk sztuki, z zamiłowania popularyzator historii powszechnej ze wskazaniem na epokę napoleońską i powstańczą; wielki patriota, regionalista, znawca i piewca chlubnych dziejów rodzinnego Drążdżewa i okolic, sympatyk Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Krasnosielckiej. Autor opracowań historycznych o tematyce lokalnej zamieszczanych na łamach *Wieści znad Orzyca i* w Krasnosielckich Zeszytach Historycznych".

Mszę św. za spokój duszy śp. Cezarego Kocota odprawił 30 stycznia 2013 r. w kościele w Drążdżewie ks. kan. Andrzej Groblewski.

Kim był Cezary Kocot?

Najlepiej odpowie treścią własnego życiorysu (z 27 marca 2008 r.):

„Urodziłem się 18 sierpnia 1929 r. w Rogowie na płn.-wsch. Mazowszu w gospodarstwie rolnym rodziców mojej Mamy Genowefy z Chrzanowskich. Ojciec Władysław, nauczyciel szkoły w pobliskim Chodkowie-Załogach, pochodził również z rodziny rolników ze Szczeglina Starego k. Gąsewa. Do lat 16 mieszkałem we wsi Drążdżewo, gdzie ojciec otrzymał stałą posadę nauczyciela szkoły podstawowej. Wychowywałem się w domu z siostrą Donatą ur. 1932 r., Haliną ur. 1934 r., bratem Januszem ur. 1946 r. i Jerzym ur. 1948 r. W latach 1939-1945 ojciec był internowany do oflagu w Murnau.

Część szkoły podstawowej ukończyłem na lekcjach tajnych, które udzielał mi ks. Wincenty Walendziak. Maturę zdałem w Liceum Ogólnokształcącym w Olsztynie (1950). Przedtem naukę gimnazjalną odbyłem w Przasnyszu i Szczytnie. Studia historii sztuki na Uniwersytecie Warszawskim zakończyłem dyplomem I-go stopnia 20 kwietnia 1954 r. i - następnie - II-go stopnia 2 kwietnia 1963 r. oraz pracą magisterską pod kier. prof. Władysława Tomkiewicza pod tytułem: „Architektura kościoła barokowego i klasztoru w Miedniewicach". Tezy promotora do tej pracy obejmowały: - architektura baroku w Austrii; - malarstwo ścienne baroku w Polsce; - twórczość Palloniego; - rozwój portretu polskiego od końca XVIII do połowy XIX w.

Pracę zawodową w Ministerstwie Kultury i Sztuki podjąłem:
1953-54 - Komisja Badań Dawnej Warszawy;
1954-55 - Muzeum Narodowe w Warszawie - instruktor oświatowy zbiorów muzealnych;
1955-58 - Centralny Zarząd Muzeów i Ochrony Zabytków - inspektor zabytków;
1958-70 - Urząd Konserwatora Zabytków miasta stołecznego Warszawy - inspektor zabytków pod dyrekcją inż. arch. Jana Dąbrowskiego;
1970-73 - Muzeum Literatury im. A. Mickiewicza - kustosz zbiorów sztuki;
1973-87 - Biuro Dokumentacji Zabytków - ewidencja, ekspertyzowanie oraz stan zachowania wieluset obiektów sztuki na zlecenie Woj. Konserwatora Zabytków: Rzeszowa, Lublina, Poznania, Płocka, Ostrołęki, Warszawy i woj. warszawskiego (umowy o dzieło).
1955 r. - ślub z Wiesławą z Mędlińskich, magistrem prawa UW.
1956 r. - urodziła się córka Magdalena, która uzyskała tytuł mgr historii sztuki na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego.
1968 r. - urodził się syn Wojciech Jerzy, obecnie profesor w katedrze prawa cywilnego UW.
Od 26 VII 1984 r. córka zamężna za prof. Rolandem Hetzerem, kardiochirurgiem, dyrektorem kliniki w Berlinie; troje wnuków.
25 marca 1965 r. uzyskałem srebrną odznakę „Za opiekę nad zabytkami". W roku 1965/66 uzyskałem stypendium rządu francuskiego do Paryża.

W przekazie drukowanym zostawiłem tytuły opracowań: „Pamiątki mickiewiczowskie" w: „Zbiory mickiewiczowskie Muzeum Literatury w Warszawie", Warszawa 1973; „Nowo odkryty obraz gotycki z Wielunia (ok. 1470 r.)" w: „Biuletyn Historii Sztuki", 1983; „Drążdżewo - kościół drewniany, otoczenie historyczne", 2007.

W roku 1955 otrzymałem naganę z ostrzeżeniem od wicedyrektora Muzeum Narodowego w Warszawie za opuszczenie części dnia pracy wynoszącej 15 minut [Cóż za skrupulatność! - TK}.

12 października 1969 r. zostałem mianowany na stopień porucznika rezerwy. W roku 1986 - 87 ukończyłem kurs pszczelarski w Warszawie z praktyką w pasiece ojca w Drążdżewie. W latach 1973/74, 1978, 1987-92, 1994 wyjeżdżałem turystycznie do USA, gdzie przebywa, od przeszło stu lat, rodzina ojca i matki. 22 listopada 1995 wystąpiłem w Sądzie Rej. w Warszawie o przyznanie mi emerytury z zaliczeniem części lat przepracowanych na podstawie umowy o dzieło. W roku 1995 zakupiłem w Wólce Drążdżewskiej teren rolny, po opuszczonym gospodarstwie Zakrzewskiej - Rudawskiej, wznosząc tam dom mieszkalny.

W roku 2006 znalazłem się na „Liście Wildsteina" jako TW, czym głęboko zostałem dotknięty. Praca w ochronie zabytków, a zwłaszcza zabytków ruchomych, w Urzędzie Konserwatora miasta pozostawała m.in. w zainteresowaniu tajnych służb. Obiekty sztuki były przedmiotem handlu, kradzieży, nielegalnego wywozu za granicę i porachunków pomiędzy ich dysponentami, często nieuprawnionymi do ich władania. Miałem urzędową powinność odnieść się do indagacji tych służb odnośnie wartości artystycznej i historycznej przedstawianych mi zabytków. Nadto wyjazd stypendialny do Francji mógł również stanowić punkt odniesień dla samozwańczych lustratorów (…)".

Treść niebanalna, jako że bohater życiorysu, Cezary Kocot był osobą nietuzinkową. Historyk, erudyta, patriota, regionalista, społecznik. W uzupełnieniu dodam, że na podstawie jego dokumentacji opracowanej w latach 80. XX w. odtworzono stałą ekspozycję wnętrza Domu Kuncewiczów w Kazimierzu Dolnym (Maria Kuncewiczowa, znana pisarka, jest m.in. autorką zekranizowanej powieści pt. *Cudzoziemka*).

Kultywował tradycje wyniesione z domu rodzinnego. Były one dla niego świętością.

- *Rano wyjeżdżam do Warszawy. Wybieramy się z żoną na akademię z okazji Święta Niepodległości* - oznajmił mi kiedyś w listopadowe popołudnie. Podobnych budujących wypowiedzi i zachowań było co niemiara. On był po prostu sobą.

Sympatyk rodu Krasińskich i epoki napoleońskiej. Wielki miłośnik Drążdżewa i okolic, badacz i popularyzator tutejszej historii. A czynił to, oczywiście z pobudek patriotycznych, ze znawstwem i czystą pasją. Kosztem własnego czasu i nakładów. Zrozumie to każdy, kto sam prowadził czasochłonne kwerendy. A te były udziałem, by nie powiedzieć codziennością, pana Cezarego.

Odwiedzał też miejsca pamięci narodowej. Czynił to niestrudzenie przy każdej nadarzającej się okazji.

- *Jutro wybieram się na Polską Kępę, ponieważ pojutrze wracam do Warszawy, a muszę zrobić zdjęcia po byłych powstańczych okopach* - oznajmił mi pewnego popołudnia. I pojechał na miejsce bitwy, pomimo deszczu, 6 km, rowerem.

Wiele uwagi poświęcił wyjaśnieniu historii kopca zwanego umownie napoleońskim. W 1985 r. sporządził jego opis, w którym napisał m.in.: „Kurhan przydrożny z krzyżem i płotem ogrodzenia w pobliżu cmentarza grzebalnego, stary trakt Drążdżewo - Krasnosielc. (…) Historia - uwaga: pomnik z uwagi na charakter płotu w stylu empire mógł być wzniesiony dla

Cezary Kocot z autorem, 2008

uczczenia poległych w czasie insurekcji Kościuszkowskiej i wojen napoleońskich, bądź też w czasie powstania listopadowego 1831 roku. Związanie zatem Edwarda Rolskiego z tym kurhanem jest błędne. (…) Na około dwumetrowym kopcu ziemnym krzyż żeliwny w drobnej parceli grodzonej żeliwnym płotem. Krzyż łaciński prosty. Krawędzie trzonu i ramion obrzeżone sprofilowaną listwą. Na okrajach ramion i na wierzchu krzyża nakładki prostokątne. (…) Płot i krzyż osadzone w betonowej niefortunnej nadbudowie kopca. Płot w dolnej części wtopiony w beton. W licu nadbudowy betonowej tablica z białego marmuru z inskrypcją: „W tym miejscu spoczywa dowódca oddziału powstaniec bohater Edward Rolski zginął w czasie bitwy z kozakami carskimi w folwarku Drążdżewo w 1863 r.". Stan zachowania i potrzeby konserwatorskie: „pasyjka krzyża wymieniona, pierwotna złocona, skradziona w 1941 roku". Fatalna nadbudowa cementowa kurhanu! Błędne odniesienie zgonu Edwarda Rolskiego do czasu znacznie wcześniej postawionego pomnika. Należy usunąć nadbudowę cementową, podnieść nieco nasyp, a krzyż i plot osadzić na fundamencie krytym ziemią".

Po latach powrócił do tematu kopca wykazując ponad wszelką wątpliwość, że ów kurhan został „… usypany w majątku Wawrzyńca Krasińskiego, który wraz z generałem Izydorem Krasińskim i jego bratem Hilarym uczestniczył w wyprawie napoleońskiej do Rosji, gdzie pod Berezyną ponieśli klęskę w 1812 r. Dramatyczny splot wydarzeń wojennych, do których doszła klęska pod Lipskiem w 1813 r. i upadek Księstwa Warszawskiego w tymże roku, Krasińscy upamiętnili monumentalną mogiłą". (17.01.2008)

Nie godził się ze wskazywaniem na tenże kopiec, jako miejsce spoczynku Edwarda Rolskiego, od 1969 r. patrona szkoły w Drążdżewie, pisząc: „Wybrano kurhan ziemny oddalony od kościoła, który upamiętnia inne, wcześniejsze [niż powstanie styczniowe - TK] o ok. 50 lat dzieje polskiej i europejskiej historii. Tam też - niezgodnie z historią - zainstalowano tablicę poświęconą Rolskiemu i Godło Państwa". (16.01.2008)

Liczne pisma „o odkłamanie prawdy historycznej", kierowane do odpowiednich władz przyniosły spodziewany skutek. Kurhan został odrestaurowany, sporna tablica zastąpiona właściwą o treści: *W hołdzie żołnierzom poległym w wojnach napoleońskich Drążdżewo, 2008 r.,* co Cezary Kocot odnotował z pełną satysfakcją: „Tablica inskrypcyjna, położona w październiku 2008 r. na kopcu sepulkralnym, w pobliżu cmentarza grzebalnego w Drążdżewie, stanowi wydarzenie historyczne. Przypomina hołd złożony żołnierzom poległym w wojnach napoleońskich, wyjaśnia znaczenie pierwotne obiektu i skłania do badań nad dziejami tego zabytku pamięci narodowej".

Swoimi odkryciami i dokonaniami chętnie dzielił się ze społeczeństwem. Publikował na łamach *Wieści znad Orzyca* i w Krasnosielckich Zeszytach Historycznych. Nadzwyczaj ciekawą prelekcję o pochodzeniu nazwy Drążdżewo wygłosił 30 września 2007 r. w drążdżewskim kościele. „W języku staropolskim - mówił wówczas - mianem drządż lub drzażdż określano drzazgi, chrust, gałęzie, chwasty i trząski naniesione przez wezbrane potoki, strumienie lub fale po obfitym deszczu czy gwałtownych roztopach i osadzane na obrzeżach „roboczego koryta".(…) Charakterystyczne dla naszej osady duże ilości drządżdżu dostarczała obszerna dolina Orzyca".

Należy podkreślić, że do parafii i kościoła żywił szczególny sentyment. Opracował i wydał własnym sumptem publikację pt. *Drążdżewo - kościół drewniany, otoczenie historyczne.* (2008) Jako mieszkaniec Warszawy był przewodnikiem po stolicy naszej wycieczki szkolnej, złożonej z uczestników I Konkursu Wiedzy o Ziemi Krasnosielckiej.

- *Pierwszym punktem wycieczki* - relacjonowały potem jej uczestniczki - *było zwiedzanie Starówki warszawskiej, której bogatą przeszłość przybliżył nam pan Cezary Kocot, rodowity drążdżewiak. Dzięki niemu dowiedzieliśmy się, co to jest prawo magdeburskie, jak nazywają się poszczególne kamienice Starówki oraz*

nauczył nas jak poznawać style architektury. Wytłumaczył, jak ciężko było przedostać się przez mury obronne średniowiecznej Warszawy. (*Wieści* 27/2009)

Cezary Kocot z sentymentem powracał pamięcią do lat dzieciństwa. W chwili wybuchu II wojny światowej miał zaledwie 10 lat. Mroczne lata wojny i okupacji, w niepewności jutra, spędził w Drążdżewie z matką i siostrami. W tym czasie jego ojciec przebywał, jako jeniec, w oflagu w Murnau, w Niemczech. Rodzina utrzymywała z internowanym dosyć systematyczną korespondencję. Informowano się nawzajem o wszystkim, na co pozwoliła cenzura. Oto kilka cytatów z listów kilkunastoletniego Cezarego do ojca:

- Kochany Tatusiu. Ja w tą zimę dużo skorzystałem w nauce. Zdaje mi się, że już tak dużo wiem dobrych rzeczy. Danusia z Halinką też się uczą, ale z tym niedobrze, że nie ma zeszytów, tylko Mamusia musi nam robić z papieru, ale i o papier jest bardzo trudno. (21.02.1943)

- Jestem zdrów, po trochu się uczę. Krowa pasie się na Gierówce i tam ją co dzień ganiam. Króliki chowają mi się dobrze, mam ich około 25. (19.05.1943)

- W ciągu lata kąpałem się w Orzycu dość często, pływać umiem. W Rogowie byłem na żniwach i pomagałem im, dostałem od babci szczeniaczka (...). Króliki chowają mi się dobrze. Pracy około gospodarstwa mamy dużo. (...) Na zimę już przygotowaliśmy drzewa i siana dla krowy. (18.08.1943)

- Pracy około ogródka mamy niemało, zbieramy: fasolę, mak, groch, co nam się dobrze obrodziło. Tylko ze zbiorem jabłek ktoś nas uprzedził i niemało nam zerwał. (22.09.1943)

- Po trochu się uczymy i co możemy pomagamy Mamusi. Gospodarka dobrze nam się wiedzie. Królików mam 14, angory i zwykłe. Mamy pieska Bryśka, kotkę, krówkę, osiem kur i dwie kaczki. Taka jest nasza cała gospodarka. (22.02.1944)

- Miodobranie w tym roku jest opóźnione, bo jest zimno i deszczowo, na zakwitnięcie jabłoni i wisien padł mróz, owocu mało, najwięcej jest porzeczek, malin i truskawek, drzewa sobie już uzbieraliśmy 4 wozy. (28.06.1944)

A innym razem matka dodała: - *Bardzo mnie to cieszy, że Czarek chętnie wstaje rano i pracuje, co dzień idzie do mszy św. służyć.* (10.04.1942).

Z powyższych treści wynika, że Cezary, pomimo młodego wieku, był silną podporą dla osamotnionej matki i młodszych sióstr. Czuł się odpowiedzialnym współgospodarzem, i rzeczywiście nim był. I jak prawdziwy gospodarz bardzo lubił zwierzęta i dbał o nie. Wielokrotnie wspominał o pewnym epizodzie z początku wojny, gdy musiał rozstać się z ulubionym pieskiem. Przypadek ten tak opisała matka w jednym z listów do ojca: - *Psa, wyszedł rozkaz, żeby zaprowadzić do Krasnosielca, Czarek płacze, ale trzeba. Już od rana całą szosą prowadzą psy i koty. Co za straszne czasy nastały, wszystko przeszkadza.* (23.04.1940) Po ponad dwóch latach, rozgoryczony Cezary napisał: - *Psów we wsi nie chowają.* (4..09.1942)

Z racji rozległej wiedzy posiadał też rozliczne zainteresowania, jednak w biogramie ograniczył się do czterech: historia, architektura, pszczelarstwo i praca na działce. Wyznawał zasadę: *Co masz zrobić jutro, zrób dziś.*

Dom Cezarego Kocota na Górce

I tak czynił.

Przeprowadził mnóstwo rozmów z mieszkańcami Drążdżewa i okolic na temat przeszłości tych stron.

- Wracam od księdza proboszcza; byłem u Mirka Szewczaka i Janka Jóźwiaka, poodwiedzałem sąsiadów i znajomych na Górce - to częste wyjaśnienia absencji przy kolejnym naszym spotkaniu.

Życzliwą atmosferę tych spotkań potwierdzają zgodnie we wspomnieniach Jego przyjaciele, znajomi i sąsiedzi:

Grzegorz Bąkowski: *Rodzina Kocotów mieszkała z synem Cezarym u moich dziadków Sielskich na Górce. Trwało to może rok lub półtora. Cezary miał wtedy ze trzy lata. Fakt ten potwierdza moja mama Lucyna Bąkowska z d. Sielska. Potwierdzał to również sam Cezary, że zapamiętał jakąś babcię (Sielską), jakieś kwiatki w ogródku, które wtedy, na swój sposób, pielęgnował.*

Cezary miał sentyment do Drążdżewa Górki. Dobry sąsiad, chociaż mieszkał trochę dalej. Jak przyjechał z Warszawy to wszystkich odwiedzał, tu na Górce. Był dla nas życzliwy, a my dla niego. Miał od nas pomoc sąsiedzką, np. transportem przy budowie, przy rolniczym zagospodarowaniu działki. Działkę pod budowę domu na dawnym placu po Rudawskich, a jeszcze wcześniej po Zakrzewskiej, odkupił od nas. Akt sprzedaży nosi datę 23 sierpnia 1995 r. Na otwarcie domu zaprosił nas z całą rodziną. Ostatni raz wiedzieliśmy się może wiosną, w maju 2012 r.

Alina Białczak: *Pan Cezary Kocot często nas odwiedzał, pamiętał o naszych imieninach, składał życzenia osobiście lub telefonicznie. Byliśmy u niego na Górce całą rodziną, z wnukami. Cieszył się z powrotu w rodzinne strony. Oprowadzał po pięknej, zadbanej posesji. Z mężem dyskutowali na tematy historyczne, głównie dotyczące ciekawej przeszłości Drążdżewa, czasów powstania styczniowego, Edwarda Rolskiego, obecnego patrona tutejszej szkoły, itd. Był człowiekiem rozległej wiedzy i zainteresowań, godnym szacunku i uznania.*

Jadwiga Grabowska: *Rodzinę Kocotów mam od zawsze głęboko w sercu. Byliśmy ze sobą spokrewnieni. Cezarego znałam osobiście zaledwie kilka lat. Był człowiekiem otwartym i gościnnym. Świetnie radził sobie w kuchni. Chętnie oprowadzał po swojej zadbanej posesji w Drążdżewie, na Górce. Dumny był z pięknego ogrodu, którym opiekował się osobiście, i w którym ciągle eksperymentował. Był wdzięcznym rozmówcą i słuchaczem. Miał swoje życiowe zasady, których się trzymał. I za to Go ceniłam.*

Ks. Andrzej Groblewski: *Moje bliższe spotkanie ze śp. Cezarym Kocotem miało miejsce, gdy jako pracownik ministerstwa kultury robił inwentaryzację dzieł sztuki w naszym kościele. Z zawodu bowiem był historykiem sztuki. Taką inwentaryzację robił prawdopodobnie we wszystkich lub prawie wszystkich kościołach diecezji płockiej. Wtedy zobaczyłem, że był człowiekiem wielkiej delikatności i kultury. Jako patriota drążdżewski chciał mieszkać w Drążdżewie. Kupił działkę, na której zbudował dom i zadbał o jego otoczenie: drzewa, klomby, chodniki, ogrodzenie. Wszystko starannie zadbane, gustownie.*

Kiedy wyłonił się problem miejsca pochówku Edwarda Rolskiego zaczął badać wiek kurhanu, który uważano za grób Edwarda Rolskiego. Doszedł do wniosku, że metalowy płotek na tym kurhanie jest starszy, niż czas powstania styczniowego. Starzy mieszkańcy Drążdżewa pamiętają, że Chrystus na krzyżu był pozłacany, kurhan nie był zalany betonem. Kształt płotka na tym kurhanie i kształt krzyża, które były podobne do takich na Cmentarzu Powązkowskim, pochodziły z czasów wojen napoleońskich.

Jako historyk sztuki porównaniom tym poświęcił sporo czasu. Miał bowiem także mieszkanie w Warszawie, gdzie długo mieszkał. Dom w Drążdżewie traktował jako dom wczasowy.

Ważnym argumentem na pochowanie Edwarda Rolskiego przy kościele był fakt, że przecież dowódcy nie pochowaliby oddzielnie od swoich żołnierzy. Takimi przemyśleniami dzielił się ze mną, przed śmiercią, śp. Cezary Kocot.

Jan Jóźwiak: *Cezary był moim kolegą z dzieciństwa i niedalekim sąsiadem. Razem chodziliśmy do szkoły. Odwiedzał mnie przy każdej okazji, a najczęściej w ostatnich latach, gdy zamieszkał na Górce. Bardzo często we trzech - Czarek, Mirek Szewczak i ja - wracaliśmy do wspomnień z dzieciństwa i młodości. On bardzo interesował się historią tutejszą, więc mieliśmy wiele wspólnych tematów. Ale szybko nas ubywa…Czarek to już trzeci z dobrych kolegów w ostatnich miesiącach po Wacku Kaczyńskim i Waldku Flanczewskim. Śnił mi się raz. Byliśmy na Świętym Miejscu, on na drodze żwirowej, ja na asfalcie...*

Alina Kacprzyńska: *Z rodziną Kocotów znaliśmy się od zawsze. Przez lata pani Kocotowa, mama Cezarego, korzystała z usług krawieckich mojej mamy. Cezary Kocot przyjaźnił się z moim bratem. Znali się z Polski, brat studiował w Warszawie z jego szwagrem Stanisławem, mężem Haliny. Najbardziej zaprzyjaźnili się w Stanach. Bardzo dobrze poznaje się ludzi za granicą. U mnie bywał często, jak tylko wracał z Warszawy.*

Cezary był przyjacielem naszego domu, był dobrym człowiekiem. Wiele mi w życiu pomógł. - „Jak ci coś potrzeba, to do mnie dzwoń, ja ci zawsze pomogę". Zwierzał mi się z różnych sekretów. Uskarżał się czasem na brak kontaktu z pewnymi osobami. Przez niektórych był źle rozumiany.

Był człowiekiem wykształconym, mądrym, inteligentny i kulturalnym. Posiadał bogate słownictwo i wielką wiedzę. Telefonował często, pytał o moje zdrowie, o brata, o bratową, o rodzinę. Zawsze na imieniny przychodził z kwiatami. Podkreślał swój sentyment do Drążdżewa. Działkę odkupił od Henryka Bąkowskiego.

Daniel Kacprzyński: *Pan Cezary był bardzo dobrym, życzliwym sąsiadem. Kontaktowy i rzeczowy, przyjaźnie nastawiony do ludzi. Mieliśmy ze sobą bardzo dobre relacje.*

Zofia Kowalewska: *Pan Cezary, jak ostatnio odjeżdżał z działki, 20 sierpnia 2012 r., to wracał się z pięć razy. Obchodził dom dookoła, zaglądał wszędzie - na strych, do piwnicy, sprawdzał. Podobnie Jego córka Magda. Przeczuwał chyba, że więcej już tu nie przyjedzie. A w Warszawie, 1 grudnia, na miesiąc przed śmiercią, to oprowadził mnie po miejscach, gdzie najczęściej bywał, gdzie poszukiwał materiałów do historii Drążdżewa. Na pogrzebie to miejscowy ksiądz tak Go wychwalił, za pracę dla tamtej parafii, za wystrój kościoła…*

Był bardzo dobrym sąsiadem. Życzliwy, pomocny, dobry człowiek.

Wanda Olender: *Pan Cezary bywał u nas bardzo często. Przyjeżdżał rowerem. Jego żona też do nas przychodziła. Bardzo lubił szarlotkę.*

- Wandzia, jak masz szarlotkę, to zadzwoń. Sam też często dzwonił, przy różnych okazjach: pamiętał o imieninach, przysłał życzenia, przynosił kwiaty, robił zdjęcia. Gdy rozpoczął budowę dom na Górce, to ja wtedy zaczęłam obchodzić jego rodziców. Zajmował jeden pokój. Gotowałam obiady dla nich trojga. Zięć, Jacek, był przy budowie jego domu od samego początku. Mąż, Mieczysław, też tam pracował, zalewali wszystkie posadzki. Pytał ich często o poradę. W ogóle to mógł się pobudować na działce przy rodzicach, ale wybrał tę opuszczoną posesję. Był załamany sprzedażą ojcowizny. Bardzo przeżył pożar rodzinnego domu w 2006 r. Snuł plany na dalsze zagospodarowywanie swojej działki. Był człowiekiem zorganizowanym. Lubił porządek. Miał poczucie piękna.

Od prawej - Tadeusz Machnowski (poeta), Cezary Kocot i autor, 2008

Stanisława Płóciennik: *Działkę po Rudawskich, na której się pobudował odkupił od Bąkowskich, a o pośrednictwo w transakcji poprosił moją teściową Henrykę Płóciennik, która 23 lata temu wracała z USA do Polski. W New Jersey oboje mieszkali przy jednej ulicy. Dom postawił kilkanaście lat temu. Jesienią 2011 r. zmienił pokrycie dachu, na blachę. W 2012 r. był na działce 10 maja (pomimo, że chory, to posprzątał wokół domu, nawet posadził jeszcze kwiaty). Ostatnio był na 18 sierpnia, na swoje urodziny. W grudniu, w czasie choroby, na wiadomość od żony, że posiadłość w Drążdżewie sprzedana odpowiedział: To dobrze.*

Pogrzeb odbył się w Warszawie 9 stycznia 2013 r. Byłam wśród kilkorga parafian z Drążdżewa. W pożegnaniu ksiądz wymienił zasługi Zmarłego i rodziny dla parafii (np. pani Wiesia służyła poradnictwem prawnym podczas stanu wojennego, a pana Cezary wykonał jakieś plany dla kościoła).

Cezary Kocot był towarzyski, skrupulatny w rozliczeniach, kontaktowy. Dużo mu szyłam i przeszywałam. Odwiedzał nas, zapraszał także do siebie. Kiedy już nie miał samochodu korzystał z autobusu. Często na zakupy jeździł do Przasnysza.

Katarzyna Płuciennik: *Pan Cezary Kocot był człowiekiem godnym szacunku. Nie znałam go długo, ale wystarczająco, żeby mieć o nim bardzo dobre zdanie. Mieszkał w Warszawie, ale większość czasu spędzał tu, na Wólce. Kochał to miejsce. Był miłośnikiem historii, fascynowała go też przyroda. Wszystko musiało być w jak najlepszym porządku. Grządki kwiatowe wypielone, trawniki przystrzyżone, drzewa i krzewy odpowiednio przycięte. Uwielbiał również ptaki. Z myślą o nich siał dużo słoneczników, karmę także kupował. Budował i rozmieszczał karmniki.*

Każdy dzień miał zaplanowany. Pracował na działce i w domu od rana do późnego wieczora. Byliśmy zdziwieni skąd ma tyle sił. Mimo sędziwego wieku trzymał się wspaniale. Niekiedy, do pomocy przy cięższych pracach, wynajmował kogoś z miejscowych, często młodzież.

Pan Cezary był kulturalny, uprzejmy, mądry i miły. Był sąsiadem spokojnym. Lubił do nas przychodzić. Pytał o wszystkich, jak się mamy, czy zdrowi, co słychać? Ne zapominał o uroczystościach, jak imieniny, czy jakieś rocznice. Składał życzenia. Przynosił kwiaty z własnego ogródka. A z okazji Wielkanocy obdarowywał sąsiadów baziami z własnej działki.

Nie przeszkadzał mu krzyk, hałas i głośne zabawy dzieci. Częstował je słodyczami. Czasem zrobił pamiątkowe zdjęcie. Każdy jego przyjazd ze stolicy na działkę oznajmiał nam charakterystyczny hałas walizki na kółkach ciągniętej po kamiennej dróżce.

Ale wszystko mija. To pierwsza wiosna i lato tu, bez naszego sąsiada. I jak pomyślimy, że nie będzie tu już Pana Cezarego nigdy więcej, to łezka się w oku kręci…

Sławomir Rutkowski: *Cezary Kocot, syn Władysława - to w mojej rodzinie postać trochę zaczarowana, a to głownie przez swojego ojca i własną nietuzinkowość.*

O Kocotach słyszałem zawsze z szacunkiem - a była to wiedza zbiorowa i tzw. długoterminowa mojej rodziny. Bez wnikania w szczegóły, aksjomatem dla mnie było, że jest to opinia zasłużona.

Mój niezwykły teść „obchodził" przez wiele lat pszczoły u Władysława. Pamiętam dzień kiedy jego córka - Donata, przywiozła w obszernych garnkach, samochodem osobowym, część miodu, który tata wziął dzień wcześniej od pszczół dla Kocotów – a było to już po śmierci Władysława. Miód ten był podziękowaniem za pracę w pasiece i opiekę nad nią. Był to miły gest, kolejny ze strony Kocotów.

Samego Pana Cezarego poznałem przy okazji opublikowania przez niego opracowania „Historia kościoła drewnianego w Drążdżewie" – opracowanie to było niezwykłe. Sam fakt, że człowiek stąd - z wioski Drążdżewo, pisze takie rzeczy - było niezwykłe, niecodzienne i wyjątkowe.

Udało mi się kilkakrotnie z Panem Cezarym porozmawiać, biła z niego olbrzymia wiedza i pasja historyczna oraz taka niecodzienna celowość działania. Rozmawialiśmy o kolejnych badaniach przeszłości tej Ziemi, o kopcu, o kurhanie ziemnym, który pokrył się o ohydo! betonem, o kuźni, o tamie i rudzie darniowej, o budynku ponapoleońskim i jego nie ogląda-

nych piwnicach, o wielu sprawach, o których tylko z Panem Cezarym można było rozmawiać ...

Pamiętam jego kawę z imbirem ...

Pamiętam rozmowy o okresie napoleońskim oraz kompletowanie i recenzowanie jego tekstu o nim. Spotkania przy ocenie map z tamtego okresu, zaangażowanie w to Zbyszka Żebrowskiego i naszej wspólnej pasji. Pamiętam, gdy wychodząc od Pana Cezarego z ostateczną wersją tekstu „Drążdżewo w czasie wojen napoleońskich" pomyślałem ... a może nie wydawać tego w Wieściach, tylko stworzyć coś extra – typowo historycznego! – i to był początek Krasnosielckich Zeszytów Historycznych. Pamiętam zimę, kiedy chodziliśmy po stawie u Daniela Kacprzyńskiego fotografując resztki pali po tamie i dymarkach ... Pamiętam jego ukochane podwórze, kwiaty, piwniczkę, rośliny, i wnętrze domu pełne przedmiotów mających dla Niego iście magiczne znaczenie. Tu kredens, tam obraz, tu rycina, tam mapa – wszystko to było wyjątkowe, we wszystkim czuło się rękę i pasję Pana Cezarego - niezwykłą rękę i niezwykłą pasję.

Pamiętam jego stłumione niezadowolenie publikacją „Władysław Kocot – listy i pamiętniki ...", gdyż był zdania, że jeszcze na nie za wcześnie. Jedynie szacunek dla inicjatorki tego przedsięwzięcia - siostry Donaty, kazał mu nie ingerować aktywnie przeciw tej publikacji.

Pamiętam wspominanie urodzin i imienin w Drążdżewie, obchodzonych wspólnie, rozmowy wtedy prowadzone, emocje ... Pamiętam tak niedawne jeszcze telefony Pana Cezarego do moje teściowej Zofii w przeddzień jej imienin – ta pamięć była czymś niezwykle miłym.

Pan Cezary był mocnym człowiekiem, mądrym i niezwykle inteligentnym, czasem niecierpliwym. Ludzie tacy budują, kierują, tworzą, stawiają wyzwania innym, wyznaczają kierunki dla wielu. Czasem ich inicjatywa i bezkompromisowość budzi sprzeciw otoczenia. Wymagają od innych wiele, samemu robiąc jeszcze więcej.

W słowach tych prawdziwych, chcę wyrazić swój szacunek dla Pana Cezarego. Podziękować mu za to, co zrobił dla poczucia wartości naszej lokalnej wspólnoty.

Dziękuję Panie Cezary.

Wacława Skrobecka: *Cezarego Kocota wspominam bardzo życzliwie. Dzieciństwo spędził w bezpośrednim sąsiedztwie Szczepańskich i Skrobeckich - rodzin ze strony mojego męża Stanisława. Dlatego często - podczas odwiedzin - wracał pamięcią do tamtych ciężkich, wojennych czasów. Dyskutowali również na inne tematy, głównie lokalne, ponieważ Pan Cezary żywo interesował się Drążdżewem, jego historią i teraźniejszością. Kontaktował się z nami także telefonicznie, np. z okazji świąt lub imienin, czy tak po prostu z pytaniem o zdrowie, co nowego w Drążdżewie. I nie były to pytania tylko kurtuazyjne i zdawkowe, ale takie zwyczajne, serdeczne. Jako dobry sąsiad towarzyszył nam w chwilach trudnych, jak choroba w rodzinie, czy śmierć męża. I takim pozostał w naszej pamięci.*

Mirosław Szewczak: *Cezary Kocot po wojnie był najpierw w Przasnyszu, potem chyba w Szczytnie, był też w Toruniu, i chyba w Olsztynie. Ja z bratem kształciliśmy się w Szczytnie w zawodzie rolniczym, on chciał iść w ślady ojca nauczyciela. Z dyplomem został w Warszawie, tam otrzymał mieszkanie.*

Cezary Kocot, 2008

Czarek zawsze dzielił się ze mną swoimi planami dotyczącymi Drążdżewa i jego przeszłości. Konsultował pewne sprawy. Miał swoją wizję dla starego kościoła drążdżewskiego. Bardzo przeżywał obecność na liście Wildsteina.

Byliśmy z synem Andrzejem w Warszawie na jego pogrzebie. Tamtejszy ks. prob. emocjonalnie podkreślił bezinteresowne zasługi Cezarego w sporządzaniu projektów konserwatorskich dla kościoła i zaangażowanie pani Wiesławy, która w stanie wojennym udzielała także bezinteresownych porad prawnych.

Jacek Ślaski: *Przy budowie domu pana Cezarego na Górce pracowałem od samego początku. Byłem też u niego w Warszawie. Darzył ludzi zaufaniem. Zostawiał mi klucze na czas swego wyjazdu do stolicy.*

Anna i Kazimierz Warych: *Mieszkamy tu od 1968. Budowałem Cezaremu Kocotowi dom od podstaw (fundament zrobił murarz Dobrzyński). Plac odkupił od Bąkowskich - początkowo nie chcieli sprzedać, ale jakoś uparcie ich przekonał. Wcześniej tu mieszkali Rudawscy, a oni mieli tę posiadłość od Zakrzewskiej.*

Cezary był dobrym sąsiadem; odwiedzał nas często tak po prostu, i z okazji np. imienin. Ostatnio był u nas z kwiatami na Anny (26 lipca 2012). Kwiaty miał z własnego ogródka. A na swojej posesji przebywał ostatni raz w sierpniu na swoje urodziny [ur. 18 sierpnia 1929 - TK]. *Pobyt trwał kilka dni przed i po urodzinach. Miał wtedy bardzo dużo gości, przede wszystkim z rodziny. W czasie tego pobytu prawie codziennie na kilka godzin wyjeżdżał gdzieś z córką Magdą - może do lekarza,, może w odwiedziny. O swojej chorobie mówił otwarcie, cieszył się z pomocy zięcia, lekarza. Miał nadzieję na wyzdrowienie. Jednak ostatnio opadał z sił, miał kłopoty z utrzymaniem równowagi. Dał naszej wnuczce kilka książek historycznych, z myślą o dobrym wykorzystaniu.*

Znałem Cezarego od dawna, ponieważ kontaktowałem się z jego ojcem Władysławem, z którym mieliśmy wspólne zainteresowania pszczelarstwem. Cezary lubił przyrodę, dokarmiał ptaki, rozmieszczał dla nich klatki lęgowe. Był człowiekiem towarzyskim, oczytanym. Lubił porządek w domu i otoczeniu. Ciągle coś sadził, siał, pielęgnował. U niego nawet w kotłowni nie było kurzu! Działkę kupił z myślą o pełnej samodzielności (na ojcowiźnie pewnie ta swoboda była ograniczona). Na moją uwagę po co się budować na stare lata (miał wtedy skończone 60), odpowiedział, że to właśnie najlepsza pora, bo za młodu o tym się nie myśli. Liczył na dłuższe życie, miał w rodzinie długowiecznych [ojciec Cezarego Władysław dożył stu lat - TK].

Byłam tam u niego w domu ze dwa razy, ale ze słyszenia wiem, że było urządzone gustownie. Od nas dobry widok na całą posesję, więc wiedzieliśmy o jego pobytach, powrotach i wyjazdach. A przy okazji życzliwe, sąsiedzkie dopilnowanie całej posiadłości.

Na pogrzebie była nasza córka oraz Zosia Kowalewska i Stasia Płóciennikowa.

Krótkimi wspomnieniami podzieliły się także osoby pragnące zachować anonimowość. Ich wypowiedzi sprowadzają się do stwierdzeń w rodzaju:

- Za mało znałam/znałem pana Kocota, a szkoda.

- Nie miałam/miałem z Nim bliższych kontaktów, ale znam Jego dokonania.

- Pan Cezary był człowiekiem kulturalnym, taktownym. Prawdziwy patriota.

* * *

Znałem Go od zawsze, ale bezpośrednie nasze kontakty trwały zaledwie przez kilka ostatnich lat. Początek był nadzwyczaj prozaiczny - poprosił mnie o przepisanie pewnego rękopisu, ponieważ nie posługiwał się komputerem. I tak się zaczęło - od zbieżnych zainteresowań, czyli od bliższego poznawania historii lokalnej. Przyszłe, niekończące się rozmowy, często w plenerze, dotyczyły praktycznie wszystkich

tematów odnoszących się do naszej małej ojczyzny. Czerpałem z bogatych zasobów Jego rozległej wiedzy.

Genowefa Kocot z dziećmi. Dziewczynki trzymają lalki od ojca. 21 marca 1941 r. Pierwszy z prawej to Cezary Kocot.

Pan Cezary potrafił interesująco prowadzić rozmowę na każdy temat. Oprócz dzielenia się ze mną kolejnymi odkryciami z udanych kwerend, chętnie dyskutował z żoną o uprawie warzyw, kwiatów czy krzewów. W nawale prozaicznych zajęć pamiętał o danych obietnicach, tych drobnych, na pozór nieistotnych, prozaicznych. - *Pani Danusiu, przywiozłem dla pani obiecany krzew róży.*

Poczytuję sobie za honor, że miałem okazję i przyjemność współpracować z Panem Cezarym Kocotem, m.in. przy opracowywaniu dziejów drewnianego kościoła i parafii, historii rodu Krasińskich czy w kwestii wyjaśnienia miejsca spoczynku Edwarda Rolskiego. „Ze wspomnieniem miłej współpracy" - napisał mi w dedykacji opracowania *Drążdżewo - kościół drewniany, otoczenie historyczne*.

Tu dodam, że miał realną wizję ratowania drewnianego kościoła, tu na miejscu, w Drążdżewie. Dlatego bardzo ubolewał nad faktem jego translokacji do Sierpca w 2007 r. - *Panie Tadeuszu* - powtarzał wielokrotnie - *ten kościół powinien był pozostać u nas. Należało jedynie czynić usilne zabiegi o pozyskanie funduszy na jego renowację, konserwację i rozbudowę. Osobiście żałuję, że będąc wówczas za granicą, nie mogłem włączyć się w te działania. A potem już było za późno...*

Skrupulatnie dokumentował przebieg demontażu tej zabytkowej świątyni. Z pietyzmem przechowywał fragmenty desek, obramowań, dekoracji czy nawet gwoździe. O tych detalach, jak i o całym zabytku snuł ciekawe opowieści. W ogóle żył tutejszą, lokalną historią.

Jednak bezwarunkowa jednomyślność nie była wpisana w naszą znajomość i współpracę. Trafiały się, owszem, i pewne rozbieżności - chociażby przy inicjatywie nadania rondu w Drążdżewie imienia ks. Stefana Morki. Tu akurat miał odrębne niż ja zdanie, które zaakcentował w kontrwniosku: „Wyróżnienie księdza Stefana Morko w pamięci parafian zasługuje na poparcie. (…) Jakkolwiek z szacunkiem można odnieść się do inicjatywy (…), to jednak obiekt, wskazany jako nośnik takiej pamięci, nie został wybrany stosownie". (2010)

Taka postawa świadczyła o Jego silnej osobowości. Potrafił jednoznacznie i stanowczo wyrazić swój pogląd, zdanie, opinię na dany temat. Upomnieć się o swoje. I tu tkwiła Jego wielkość.

Z licznych rozmów z Panem Cezarym najbardziej utkwiła mi w pamięci jednak ta ostatnia, telefoniczna (imieninowa, z 28 października 2012 r.), której obszerne fragmenty przytaczam:

- Wszystkiego najlepszego panu, a małżonce, pani Danusi, pomyślności, a zwłaszcza dobrego zdrowia.

- Dziękuję, dziękujemy Panu za pamięć. (...) Dawno się nie widzieliśmy, nie mieliśmy okazji porozmawiać.

- No tak, może się spotkamy - porozmawiamy, bo jest zawsze o czym pogadać.

- Oczywiście, temat zawsze się znajdzie.

- A ja jestem pod opieką lekarza, niestety.

- Słyszałem o Pańskiej niedyspozycji, współczuję...

- Ale, zapewniam pana, że nic, nic mnie nie boli, nic nie cierpię. Wie pan co, musiałem wystawić dom na sprzedaż.

- Tak słyszałem. I tutaj osobiście czuję duży dyskomfort, ponieważ rodzina Państwa Kocotów była z Drążdżewem związana od dziesięcioleci...

- Widzi pan, ale ta formuła domu, samochodu to mi już minęła ...Jakiś wyjazd wycieczkowy, ciekawy, to też już mi minęło… Tak, że ze spokojem przyjmuję ten los, który mi Najwyższy wyznaczył…

- Bądźmy najlepszej myśli.

- Ja jestem dobrej myśli, zwłaszcza, że nie cierpię nic!

- To dobrze…, życzę Panu powrotu zdrowia…

- Dziękuję bardzo serdecznie, dziękuję, panie Tadeuszu. Dowidzenia…

* * *

Cezary Kocot zmarł dwa miesiące później…

Spoczywa na Cmentarzu Bródnowskim w Warszawie.

Requiescat in pace.

Tadeusz Kruk

Genowefa Kocot z dziećmi na tle domu w Drążdżewie, 16 kwietnia 1942 r. Drugi z lewej to Cezary Kocot.

Bibliografia:

Cezary Kocot, Kościół drewniany w Drążdżewie, *Wieści znad Orzyca* 2007, nr 6

Cezary Kocot, Historia nazwy „DRĄŻDŻEWO", *Wieści znad Orzyca* 2007, nr 8.

Cezary Kocot, Odnowienie kurhanu ziemnego w Drążdżewie, *Wieści znad Orzyca* 2008, nr 18.

Cezary Kocot, *Edward Rolski, Powstaniec Stycznia w dniu 11 marca 1863 roku w Drążdżewie, Wieści znad Orzyca* 2008, nr 21.

Cezary Kocot, Warszawska Starówka bez tajemnic, *Wieści znad Orzyca* 2009, nr 27.

Małgorzata Nadwodna, Joanna Różacka, Historia i przyszłość, *Wieści znad Orzyca* 2009, nr 27.

Cezary Kocot, Drążdżewo w czasie wojen napoleońskich, Krasnosielcki Zeszyt Historyczny, 2010, nr 1.

Cezary Kocot, Dawny przemysł w Drążdżewie, Krasnosielcki Zeszyt Historyczny, 2010, nr 2.

Cezary Kocot (biogram) w: Stanisław Pajka, Słownik Biograficzny Kurpiowszczyzny XX wieku, Kadzidło 2008.

Władysław Kocot, Pamiętniki i korespondencja z lat 1920, 1939-1945, Pułtusk 2010.

Relacje ustne lub pisemne mieszkańców Drążdżewa.

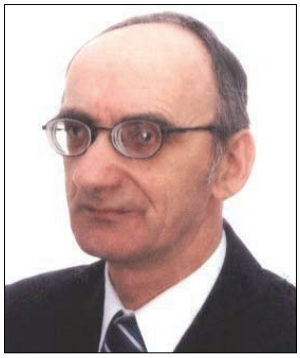

Moje
Kurpi poznawanie

Tadeusz KRUK

Z czasów wczesnego dzieciństwa utkwiły mi w pamięci strzępy niezliczonych rozmów prowadzonych przez starszych, w domu rodzinnym i na tzw. wsi. Rozmówcami byli niejednokrotnie ludzie już wiekowi, których metryka urodzenia sięgała końca lat 70. XIX wieku. Dyskusje dotyczyły najczęściej spraw dnia codziennego, ale żeby przedstawić prawdziwy obraz życia, wracano też często do wydarzeń z przeszłości. Słuchałem z zaciekawieniem, nie zawsze rozumiejąc o co chodzi. Niemniej, coś tam w pamięci pozostawało. Stopniowo skromniutka wiedza dziecka zaczęła wykraczać poza własne podwórko i swoją wieś. Zaczęły się pojawiać, nieznane dotąd, nazwy miejscowości znacznie oddalonych od rodzinnego Drążdżewa. Z tych większych to Krasnosielc i Jednorożec. Ten ostatni był jednoznacznie utożsamiany z Kurpiami.

Nie jestem w stanie powiedzieć, kiedy po raz pierwszy usłyszałem o innych kurpiowskich miejscowościach, jak Baranowo, Myszyniec czy Kadzidło, albo o Kurpiowszczyźnie czy o Puszczy Zielonej. Początkowo te nazwy brzmiały obco, ale powtarzane, z czasem oswoiły ucho i zapadły w pamięć. Ciekawe były rozmowy w kręgu rodzinnym, ponieważ dotyczyły osób bliskich. Poznawałem stopniowo zawiłe koligacje rodzinne, sięgające korzeniami gdzieś, właśnie, na Kurpiowszczyznę.

- *Franek to pochodzi z Czerwińskich, a Heńkowa to z Rycicy, oboje z parafii baranowskiej* - słyszałem częstokroć o dwojgu kuzynach. W podobny sposób docierały do mnie informacje o pochodzeniu znajomych i osób zupełnie mi nieznanych. Dowiadywałem się niekiedy znienacka, że t e n jest Kurpiem, a znów t a m t e n ożenił się gdzieś na Kurpiach. Zamiennie używano synonimu - puszcza. A na pytanie, gdzie to dokładnie jest, padało zazwyczaj: to daleko. Dla dziecka to d a l e k o brzmiało niemal jak sztampowy początek bajek: *Za górami, za lasami, za rzekami…* A i rzeka rzeczywiście była wymieniana - rzeka Orzyc, jako swoisty, umowny punkt graniczny z ową Kurpiowszczyzną.

Ta tajemnicza kraina położona była więc na pewno za Orzycem, co nie oznaczało, że rozpoczynała się dosłownie tuż na jego lewym brzegu. Bo pierwszy lepszy mieszkaniec zza Orzyca, twierdził, że to jeszcze dalej, ba, dużo dalej. Wypadało na Gaczyska, Rupin i Jastrząbkę. I dalej, w kierunku Baranowa, Dylewa, Kadzidła i Myszyńca. W ucho wpadały też nazwy jeszcze innych miejscowości, jak np. Brodowe Łąki, Zawady, Czarnotrzew. Pojawiały się też nazwy rzek: Narew, Omulew, Płodownica i Rozoga. Najczęściej jednak w rozmowach przewijało się Baranowo, zazwyczaj w kontekście comiesięcznych jarmarków oraz z racji kursujących stamtąd, przez Drążdżewo, autobusów do Przasnysza i jednego do Warszawy. Ten nawet miał potoczną nazwę - *baranowiak* (w odróżnieniu od *chorzelaka*). Był rozpoznawalny ze znacznej odległości po charakterystycznym brzmieniu klaksonu.

T. Kruk po praz pierwszy przy szkole w Bakule-Ziomku, sierpień 1978

Autobusy do Przasnysza nadjeżdżały, od strony Baranowa, zazwyczaj już wypełnione pasażerami. Podążali nimi ludzie do swego powiatowego miasta do lekarza i szpitala, na targi i jarmarki, i w sprawach urzędowych. W sezonie wzmożonych robót polowych, w każdy poniedziałek lub pierwszy dzień poświąteczny jechali na zarobek, jako robotnicy najemni; kobiety i mężczyźni w sile wieku i młodzież płci obojga. Funkcjonowały określenia: *być na robocie za Przasnyszem, iść na pielenie, na buraki, na żniwa czy wykopki za Przasnysz.*

Pierwsze pewne informacje o tej nieznanej mi wówczas krainie, czyli o Kurpiowszczyźnie, miałem z przekazów rodzinnych. Niektóre poznałem w formie humorystycznej. Mama wielokrotnie opowiadała o swoim pobycie na weselu kurpiowskim (lata 30. XX w.) w Czerwińskich. Urzeczona bogactwem wspaniałych obrzędów, widzianych wówczas oczyma nastolatki, wracała do nich przy każdej nadarzającej się okazji, opisując wesele z detalami. Szczególnie dwa epizody utkwiły mi w pamięci. Pierwszy, gdy jeden z zaproszonych gości, przyjezdny, znaczną część imprezy spędził poza domem weselnym, ponieważ nie znając miejscowych realiów, dawał z początku zbyt hojne datki do kapelusza, i zabrakło mu gotówki na dalszy udział w kolejnych odsłonach zabawy. - *Braciszku* - żalił się potem do pana młodego - *trzeba było powiedzieć, jakie tu zwyczaje, to bym się był lepiej przygotował.* Drugi wątek dotyczył muzykantów z Lipy. Ci, wyczerpani, po dwóch dobach intensywnego grania, opuścili potajemnie odpoczywających weselników, gdyż zanosiło się na dalszy, bezterminowy ciąg zabawy. Rejterada, nastąpiła we wtorek nad ranem. Instrumenty - pedałówka, skrzypce i bęben - ukryto na wozie, z wracającymi w okolice Drążdżewa gośćmi, natomiast muzykanci, a było ich trzech, poszli pieszo bocznymi drogami.

Trzeba przyznać, że przez długie lata moja wiedza o Kurpiowszczyźnie i jej mieszkańcach była bardzo skromna, szczątkowa. I pochodziła przede wszystkim ze źródeł już wymienionych. Bo w szkole poznawałem historię różnych regionów Polski, ale o Kurpiowszczyźnie nie było osobnych tematów. Jedynie mój polonista, pan Franciszek Dawid, podkreślał swoje kurpiowskie pochodzenie. Urodził się w Czarnotrzewiu, i tam spędził wczesne dzieciństwo. Często, w barwnych opowieściach, wracał do rodzinnej wsi nad Omulwią. Przy okazji zawsze dorzucał jakąś anegdotę. Jedna z nich dotyczyła podróży babci pana Franciszka na odpust do Świętego Miejsca. Babcia, mając do pokonania ponad 30 km, poprosiła męża, żeby ją odwiózł chociaż w okolice Drążdżewa. Dzia-

dek chętnie przygotował zaprzęg, wsiadł na wóz, a żonie polecił… prowadzić krnąbrne woły, tłumacząc się tym, że w drodze powrotnej będzie przecież zdany jedynie sam na siebie, więc niech chociaż w jedną stronę nóg sobie zaoszczędzi. Praktycznie o d w o ż o n a babcia dotarła do celu pieszo…

Dalsze wiadomości zdobywałem na własną rękę, np. z prasy i w bezpośrednich kontaktach z różnymi ludźmi, m.in. od kolegów ze szkoły średniej, wywodzących się spod Dylewa czy Myszyńca. Były ciekawe same przez się, i zaskakujące, że to w sumie tak blisko, po sąsiedzku przecież, a ja dowiaduję się z takim opóźnieniem. W podążaniu tropem ciekawości dopomógł mi - jak to zazwyczaj w życiu bywa - przypadek. W poszukiwaniu przysłowiowego miejsca na ziemi, trafiłem w latach 70. na Kurpiowszczyznę. I to w roli nauczyciela, do wiejskiej szkoły. Najpierw za Myszyniec, potem za Baranowo. Stałą przystanią okazała się szkoła w Bakule-Ziomku. Odległość pomiędzy obu wsiami wynosi kilkaset metrów. Na pytanie o powód nietypowej nazwy wyjaśniono mi, że szkoła stoi wprawdzie na gruncie ziomkowskim, ale poprzednio właścicielem tej posesji był mieszkaniec Bakuły, więc spór rozstrzygnięto kompromisowo, nadając placówce dwuczłonową nazwę. Potem wielokrotnie miałem okazję wyjaśniać tę ciekawostkę innym, np. koleżeństwu po fachu, najczęściej podczas podpisywania listy obecności, poza macierzystą gminą.

Sama nazwa Bakuła była mi znana i bardzo bliska z całkiem innej przyczyny - tak brzmiało rodowe nazwisko mojej matki. Pierwszy raz postawiłem tu nogę, w ramach rekonesansu, na niecałe dwa tygodnie, przed rozpoczęciem pracy. Po wyjściu z autobusu, widząc rozwidlenie dróg, zapytałem kogoś o tę w stronę szkoły. Wskazał uprzejmie, aczkolwiek ze zdziwieniem w oczach, że ktoś pyta o coś tak oczywistego, jak droga z Bakuły do Ziomku. Przybyłem, zobaczyłem i - spodobało mi się. Pierwsze wrażenie w nowym miejscu pracy i zamieszkania było bardzo pozytywne. Na potwierdzenie prawdziwości słów dodam, że ta moja, prozaicznie rozpoczęta, przygoda z Kurpiowszczyzną trwała nieprzerwanie ponad 25 lat!

W nowym środowisku z ciekawością rozglądałem się ja, z nie mniejszą uwagą patrzono na mnie. Ludzie, jak wszędzie, lubią o nowym wiedzieć coś więcej. Nikogo tu wcześniej nie znałem, więc każda rozmowa była świetną okazją do zawarcia znajomości. Przy dalszej wymianie zdań okazywało się, że rozmówcy mieli jakieś kontakty z moimi stronami rodzinnymi, głównie z racji przejazdu do Przasnysza. Ale nie tylko, bo ktoś miał rodzinę niedaleko, albo kolegę z wojska, pracy lub ze szkoły, a niektórzy znajomych, chociażby z… jarmarków. Tematów nigdy nie brakowało. Chętnie wdawałem się w krótsze i dłuższe pogawędki. Jedną z takich sposobności były szkolne wywiadówki. Poza tym spotkania gdzieś po drodze, na rybach i grzybach, albo w klubie „Ruchu" lub na przystanku autobusowym. Dołączali wówczas inni, przypadkowi rozmówcy. Nieraz podczas takich rozmów samorzutnie rodziły się zabawne sytuacje, jak następująca:

Na przystanku siedzi grupka osób. Większość czeka na autobus. Starszy pan, który przysiadł się dla towarzystwa, zagadnął znajomego, dużo młodszego od siebie?

- *A ty, gdzie teraz jesteś?*

- *W Warszawie* - odrzekł ten, zgodnie z prawdą.

- *Gdzie?* - dopytuje się głuchy dziadek.

- *W Warszawie* - odpowiada głośno, po raz drugi, zagadnięty.

- *Gdzie?!* - dziadek obcesowo ponawia pytanie.

- *Blisko!* - odkrzykuje pytany.

W uszach pytającego, wyraz *blisko*, zabrzmiał jak *Kalisko*, czyli nazwa sąsiedniej wsi, więc zdenerwowany mówi:

- *To ty, leniu, do Kaliska na pekaes cekas?!*

Gdy już jest mowa o wsiach kurpiowskich, to dodam, że niektóre są bardzo rozczłonkowane, mają po kilka przysiółków. Z tej racji o jednej z nich słyszałem wielokrotnie zabawną dykteryjkę, jak to pewien obcojęzyczny żołnierz, tuż po froncie w 1945 r., nie mógł się z niej wydostać. - *Kakaja eto dzierewnia?* - pytał. Słysząc w odpowiedzi nazwę wsi, szedł krętymi dróżkami przed siebie, we wskazanym kierunku. Widząc kolejne zabudowania, pytał znów: - *Kakaja eto dzierewnia?* - Odpowiedź, zgodnie z prawdą, była ta sama. Błąkając się nadal po lasach, pomiędzy kolejnymi przysiółkami, gdy usłyszał po raz, nie wiadomo który, że to wciąż ta sama wieś, siarczyście zaklął, po czym wyraził zdziwienie jej wielkością: - *Kakij eto bolszyj gorod!*

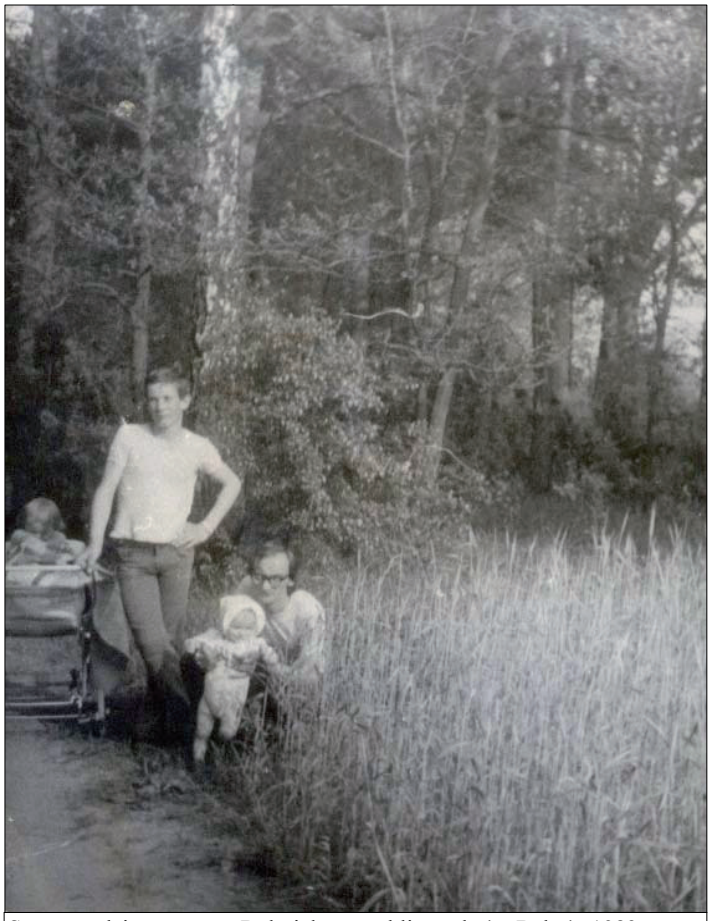

Spacer rodzinny w tzw. Dębniaku w pobliżu szkoły, Bakuła 1982

Przed bacznym okiem ciekawskich nic nie umknęło, w myśl przysłowia, że wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi. Tym bardziej, że dla niektórych normalnością była codzienna, poranna sąsiedzka wizyta, czy odwiedziny sąsiada przy jakimkolwiek zajęciu - w domu, w polu, w obejściu. Odwiedzający, już z daleka, bez zbędnych wstępów, rozpoczynał rozmowę, co wyglądało na kontynuację poprzedniej. Przekraczający próg domostwa pozdrawiał obecnych słowami: *Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus*, a ci odpowiadali: *Na wieki wieków. Amen*. Widząc kogoś przy pracy, należało powiedzieć: *Szczęść Boże*. Pozdrowiony odpowiadał: *Bóg zapłać*. Tu warto dodać, że nie było w zwyczaju pukać do drzwi. Co więcej, w nie tak znowu odległych czasach, tu nie zamykano mieszkań na klucz, a wstęp na podwórko też był wolny!

Bardzo religijnie obchodzono święta i inne uroczystości kościelne. Pokonywano bez szemrania, najczęściej pieszo, kilometrowe odległości do kościoła parafialnego w Baranowie. W każdą pierwszą niedzielę miesiąca, na wspólną modlitwę, zbierali się po domach, członkowie kółek różańcowych. Przez cały maj, wierni gromadzili się na wspólne nabożeństwa maryjne pod przydrożnym krzyżem. Wnętrza domów zdobiły liczne święte obrazy, a w niektórych można było spotkać także „święty kąt", czyli domowy ołtarzyk. Wielkim przeżyciem dla rodziny była doroczna wizyta duszpasterska miejscowego księdza zwana kolędą. Był to praktycznie dzień wolny od zbędnych zajęć. Mieszkanie posprzątane, domownicy odświętnie ubrani i cierpliwie oczekujący na dostojnego gościa.

Sąsiedzi i znajomi w odniesieniu do siebie nie używali zwrotu *pan*, *pani*. Zwracano się więc do mężczyzn po prostu: *Bakuło, Gradzie, Grzybie, Mydło, Orle*, a do niewiast o tych nazwiskach: *Bakułowo (Bakulino), Gradzino, Grzybko, Mydłowo, Orlino*. Z głębokim szacunkiem natomiast odnoszono się do osób starszych, np. *Babciu, popilnujecie mi dzieci?*; *Dziadku, może wam w czym pomóc?*; *Grzybko, czy jedziecie z nami na jagody?* Większość mieszkańców, zwłaszcza noszących to samo nazwisko miała (i ma), bardziej lub mniej trafne, przydomki, np. *Pawlak* (od Pawła) czy *Janiak* (od Jana). To jedyny sposób na odróżnienie we wsi kilku rodzin Mydłów, Orłów, Grzybów itd., w dodatku o powtarzających się imionach. Również przydomki, ale często o zabarwieniu pejoratywnym, nosiły (i noszą) także niektóre wsie. Tu wystarczyło nieopatrznie wypowiedziane słowo, by spotkać się z żywą reakcją np. *Malonów*, *Rejbaków*, *Kołnierzy* czy *Krzyżaków*. Na tolerancję, do pewnego stopnia, mogą liczyć nowo przybyli. Jednak, ku przestrodze, przyda się stara, dobra i sprawdzona rada - po prostu należy wiedzieć, co się mówi, a nie na odwrót.

Zaaklimatyzowałem się szybciej niż mogłem przypuszczać. Tak w pracy, jak i w miejscu zamieszkania. Wszędzie miałem blisko, życzliwi sąsiedzi dookoła. Na miejscu sklep i poczta. Bardzo dobre połączenie autobusowe. Czas wolny miło upływał mi w klubie „Ruchu". W moim przypadku szczególnie miło, ponieważ gospodyni obiektu, pani Danuta Mydło (dla miejscowych *Pawlakówna*), w przyszłości została moją żoną. Rodowita Kurpanika, z dziada pradziada, czyli „pniok". A są jeszcze „krzoki" (ci, którzy zamieszkali na Kurpiach) i „ptoki" (ci, którzy urodzili się na Kurpiach, ale mieszkają poza regionem). Zgodnie z takim podziałem byłem na pewno „krzokiem". Tu, w Bakule i Ziomku, wychowywały się i uczęszczały do „mojej" szkoły nasze dzieci - Donata i Janusz.

Jak zatem widać, z Kurpiowszczyzną związałem się ściśle poprzez świadomy wybór, pracę zawodową i koneksje rodzinne. Jako nauczyciel miałem sposobność przez ćwierć wieku poznawać „na żywo" historię, tradycje i zwyczaje kurpiowskie i - co najważniejsze - autentycznych mieszkańców, włącznie z ich niepowtarzalną, barwną gwarą, której sam chętnie używałem. I tak mi już do dzisiaj pozostało. W bezpośredniej konfrontacji okazało się, że radzę sobie całkiem nieźle. Ze zdumieniem stwierdziłem, że znaczny zasób słownictwa wyniosłem… z domu rodzinnego. Były wprawdzie pewne różnice w wymowie, ale w sumie niewielkie. W tej sytuacji nowe wyrazy przychodziły mi z łatwością. Gorzej jest z pisaniem, zwłaszcza, że dopiero dwa lata temu (2010) ukazały się zasady pisowni dialektu kurpiowskiego.

Pierwsza, niepowtarzalna dla mnie okazja do spotkań i dłuższych rozmów, z poszczególnymi mieszkańcami Bakuły nadarzyła się niebawem, jesienią 1978 r., gdy zostałem powołany na rachmistrza spisowego. Po dziesięciu latach, w tej samej roli, odwiedziłem wszystkich mieszkańców Ziomku. Byłem mile zaskoczony ciepłym i serdecznym przyjęciem, wcale nie jako urzędnik, a ktoś bliski. Czułem się niekiedy nieswojo, bo młody, czyli bez większego doświadczenia życiowego, po drugie obcy (bo „krzok"), a tu takie zaufanie. Od prywatnych rozmów i zwierzeń, skarg i narzekań, porad w różnych sprawach, aż do próśb np. o mediację w zatargach rodzinnych i sąsiedzkich. No i ta prawdziwa gościnność, szczerość i życzliwość.

- Te wycinanki, to dla pana, tak na pamiątkę, ode mnie.

- Panie, a zna pan torf? Bo jak nie, to ja przyniosę. I pan zobaczy, i dzieciom na lekcji pokaże. Panie, kiedyś to się tylko torfem paliło.

- Niech pan przyjdzie z koszem po jabłka. Latoś obrodziły nad podziw.

Dowiadywałem się o ludziach i zdarzeniach lokalnych. Po prostu, żywa lekcja historii.

- A u nas przed wojną, proboszczem w Baranowie to był ks. Trzaskoma. Zginął w obozie. To był ksiądz! Albo, panie, jeszcze wcześniej był taki ksiądz Skierkowski, co zbierał pieśni kurpiowskie…

- A po froncie, tu w szkole kierownikiem był niejaki Flunt, a ostatnio Konkiel. Znał pan go?

- Nie, nie znałem.

- To, szkoda. A jaki rygor trzymał! Panie, to był nauczyciel!

T. Kruk z wychowankami, kl. V, 1990

Rok szkolny 1998-99.

Przy okazji tych spotkań przekonałem się, że ludzie z natury mają potrzebę wygadania się. Dotyczy to szczególnie osób starszych, którzy już po stokroć opowiedzieli bliskim wszystko, z detalami. Cieszą się więc ze znalezienia cierpliwego słuchacza. Potrafią otworzyć się przed nim na oścież. I czują się dowartościowani. Starałem się, w miarę możliwości wówczas i w przyszłości, tym oczekiwaniom sprostać. Zdarzały się także wyjątki, że wystarczyło tylko człowieka wysłuchać. I dość. No bo jak zareagować na takie „perełki" przekazywane z najgłębszym przekonaniem o ich prawdziwości?

Otóż pewien wiekowy pan, któremu rzeczywistość mieszała się z fantazją, po zwerbowaniu chociażby jednego słuchacza (najlepiej przybysza, takiego jak ja), raczył go niesamowitymi opowiastkami. W jednej nich znalazł się w sytuacji biblijnego Jonasza. Pewnego razu, podczas łowienia ryb nad Omulwią w okolicach Rudy (tj. Brodowych Łąk), został zaatakowany i połknięty przez... rekina. Mimo beznadziejnego położenia zachował zimną krew. Przez cały czas liczył na pomoc. I ta nadeszła w okolicach Czarnotrzewia, gdzie rekina zaatakowali pobliscy chłopi. W ruch poszły podręczne narzędzia, jak kosy, widły, cepy, kłonice, siekiery. Połknięty, słysząc znajome głosy, prosił o ostrożność: - *„Chłopy, uwazajta, bo ja tu siedzę!"*. Szybkim ruchem przeciął kozikiem brzuch potwora i wydostał się na wolność. – *A mięsa starczyło dla wszystkich* - zapewniał.

Opowiadał też, jak innym razem, a było to tuż po wojnie, wspólnie z kimś z rodziny i sąsiedztwa uruchomił zepsuty czołg stojący za stodołą.

- Założylim mu koła i jeździlim po podwórzu.

Zainteresowania regionem rozwijałem w bezpośrednich kontaktach z uczniami przygotowując ich do różnotematycznych konkursów, np. do udziału w „Turnieju Wiedzy o Kurpiowszczyźnie". Zacieśnieniu tych kon-

taktów sprzyjały kolejne rajdy rowerowe bądź kuligi po okolicy, lub wycieczki turystyczno-krajoznawcze po regionie. Wraz z uczniami wielokrotnie odwiedzałem Zagrodę Kurpiowską w Kadzidle, Skansen Kurpiowski w Nowogrodzie, Muzeum Kurpiowskie w Ostrołęce, Rezerwat „Czarnia" i liczne miejsca pamięci narodowej, np. pomnik w Bandysiach, cmentarz wojenny za Majkiem. Był to bezpośredni kontakt z historią i jej świadkami. Z sentymentem wspominam liczne spotkania i rozmowy z ciekawymi ludźmi; np. z jednego z pierwszych pobytów w Nowogrodzie utkwiła mi w pamięci miła rozmowa z wiekowym Janem Świderskim, współpracownikiem samego Adama Chętnika.

Do poznawania ludzi i regionu wykorzystywałem wszelkie nadarzające się sposobności i okazje. Chętnie włączałem się w lokalny nurt życia społeczno-kulturalnego. Byłem członkiem obwodowych komisji wyborczych, Komisji Oświaty przy Radzie Gminy Baranowo, prezesem ZNP w tejże gminie. Dzięki temu, czyli licznym wyjazdom w teren, do ciekawych miejsc i na spotkania z interesującymi ludźmi, miałem informacje o Kurpiowszczyźnie z pierwszej ręki.

Jako naród słyniemy z wielu pozytywnych wzorców, a w tym z gościnności i humoru. Nie może zatem być inaczej na Kurpiach. Gościnność tutaj wzorowa, taka prawdziwa. Potrafią też humorystycznie wykorzystać niepowtarzalne walory swojej gwary, co obrazują poniższe przykłady:

W autobusie pełnym podróżnych, zmierzających na baranowski jarmark, rozmawiają głośno dwie znajome, mieszkanki sąsiednich wsi:
- *Jak tam z tem wasem zięciem, psije?*
- *Psije! Gada, ze psiół, psije i psiół będzie.*
- *A nie bzije was, jak kiedyś?*
- *Teraz mnij, bo chory…*

Tytułem komentarza, do powyższej rozmowy, niech będzie lokalne, żartobliwe dopowiedzenie, że niektórzy piją *dzień w dzień, a w święto dubelt* (podwójnie).

Butelkowy temat zamyka gwarowa reklama bezalkoholowego piwa kozicowego, regionalnego napoju sporządzanego na bazie jagód jałowca: - *Psij, Kurpsianko, psiwo z psianką*!

Pewnego razu, w okresie przedżniwnym, usłyszałem ożywioną rozmowę toczoną przez dwoje wiekowych sąsiadów.
- *Od nas to się pójdzie na pole na trzy kosy* - rzekł staruszek - *ja z kobitą, Staśki oboje i młodzi oboje. To się zetnie raz-dwa.*
- *Ozorem to wszystko można* - odrzekła z przekąsem wiekowa sąsiadka.

Gdy przed 30 laty obiegły świat doniesienia o AIDS i o sposobach zarażenia wirusem HIV, pojawiło się zaraz kurpiowskie rozszyfrowanie skrótu choroby: *A ZIDZIS! (A widzisz, doigrałeś się!).*

No i kurpiowski dowcip z brodą:
- *Jasiu, wymień trzy zwierzęta na zet.*
- *Zilk, ziezióra i zając.*

Na podkreślenie stanowczości i chłopskiego uporu, zresztą nie zawsze uzasadnionego, też się znajdzie jasne i klarowne określenie: *Bzij, zabij*.

Normalnością były sąsiedzkie spotkania na ławce przy drodze (częste widoki w niedzielne popołudnia). A tematów na długie godziny takich nasiadówek nigdy nie zabrakło.

Lekcja historii w kl. V, 2002

Lekcja historii w kl. VI z żołnierzem Księstwa Warszawskiego (nb. b. wychowankiem), 2003

Pewnego razu w licznym gronie zaśmiewano się z wpadki skarbnika pewnej lokalnej organizacji, człowieka doskonale znanego obecnym. Chodziło o to, że tenże otrzymał swego czasu pulę znaczków do rozprowadzenia wśród członków związku, do którego należał, z adnotacją: *40 szt. á 2,50 zł wysłać*. Przekonany, że takie tanie, bo wyszło mu po 6 groszy za sztukę, po prostu je… rozdał, a skromną należność pokrył z własnej kieszeni. A gdy nadawca upomniał się o pozostałe 97,50 złotych, ten nie mógł wyjść z osłupienia:
- *Jak to? Przecież wyraźnie pisało, żeby 2,50 wysłać"!*

Ktoś, niejako przy okazji, przypomniał sobie o przypadku całodziennego zajęcia rozmową, przez sąsiadów pewnego wiejskiego gaduły, udającego się rano na pole z furą obornika. Płynęły godziny, zmieniali się rozmówcy, a on wytrwale rozprawiał, w kłębach tytoniowego dymu, na wszelkie możliwe tematy. A gdy się spostrzegł, że słońce jest już nad zachodem i czas na wieczorny *oporządek* - najzwyczajniej… zawrócił na podwórze, przekładając wyjazd z cuchnącym towarem na jutro.

Szampański nastrój podtrzymał następny rozmówca, niedawno wżeniony do wsi. - *Przez lata* - mówił - *mój znajomy, co zimę pożyczał ode mnie śraski, bezterminowo, chociaż w żartach dorzucał, że tylko do wiosny…Ale nigdy sam nie oddawał, i jeszcze nosem kręcił, jak się upominałem o jej zwrot. Kiedyś mu mówię, żeby sobie kupił, jak tak lubi kuligi i inne wyjazdy. - Nie taka mi pilna - odburknął. - Ale znów przyszedł po Nowym Roku pożyczyć, że musi przywieźć księdza na kolędę. Głupio było odmówić, więc pożyczyłem.*

- A co to się nie wyrabiało w półpoście! - dorzucił na zachętę do dalszych wspomnień ktoś z wiecujących.

- No zdarzało się nieraz i żelaźniak wciągać na dach chlewa, czy stodoły... Bo pozamieniane furtki i bramy, albo wymazane drzwi i okna to było… takie normalne. Temat chwycił i każdy miał coś do dodania, w czym uczestni-

OPINIE

Blaski i cienie życia na wsi

TADEUSZ KRUK — nauczyciel w Szkole Podstawowej w Bakule, gm. Baranowo (O-sieleckie):

— Od 1978 roku pracuję w Szkole Podstawowej w Bakule-Ziomku. Tutaj założyłem rodzinę. Żona Danuta pracuje w miejscowym klubie „Ruchu". Mam dwoje dzieci — siedmioletnią Donatę i rok młodszego Janusza.

— Bakuła jest średniej wielkości wsią sołecką, liczy około 160 mieszkańców. We wsi działa KGW, OSP i ZSMP. Młodzież zrzeszona w ZSMP organizuje wieczorki taneczne, dyskoteki, podejmuje prace społeczne. W świetlicy odbywają się seanse filmowe, projekcje bajek dla dzieci, spotkania z przedstawicielami prasy, prelekcje i odczyty...

— W macierzystej szkole uczę m.in. historii. Praca z młodzieżą daje mi satysfakcję. Poprzez bezpośredni kontakt z uczniami i ich rodzicami jest mi łatwiej uczestniczyć w rozwiązywaniu problemów młodych ludzi. Uważam, że uczeń potrzebuje indywidualnego potraktowania jego — wydawałoby się — nawet błahych spraw. W miarę możliwości i umiejętności staram się tym wymaganiom sprostać. Na ogół podopieczni nie nastręczają większych kłopotów wychowawczych. Ci bardziej ambitni potrafią zrekompensować trud włożony w ich edukację wzorowym zachowaniem, dobrymi wynikami w nauce i zaangażowaniem społecznym.

— Życie na wsi ma swoje blaski i cienie. Tych ostatnich jest niestety dość dużo. Znam je i odczuwam jako mieszkaniec i nauczyciel. Oświata boryka się z wieloma trudnościami. Np. pięćdziesięcioletni budynek naszej szkoły wymaga rozbudowy i modernizacji, lecz leży to obecnie w sferze marzeń. Również mieszkania wynajmowane nauczycielom (nie ma domu nauczyciela) nie zawsze odpowiadają dzisiejszym standardom.

— Potrzeb jest mnóstwo, są one często rozważane przez różne gremia i instytucje. Jednak ciągle brak środków. W nadmiarze natomiast jest w oświacie „ważnych" szkoleń, konferencji oraz zajęć typowo urzędniczych, o których śmiem twierdzić, iż w znacznej części nikomu i niczemu nie służą.

NASZA WIEŚ

28.10.1987

Zanotował: ZG

T. Kruk - wzmianka prasowa, 1987

czył lub o czym słyszał, jak np. o podłożeniu pod kwokę… bocianiego jaja.

- I nikt się nie odgrażał, tylko cierpliwie czekał do kolejnej okazji, żeby się „odwdzięczyć" - podsumowano zgodnie przed rozejściem się do gospodarskich zajęć.

Jak to w życiu bywa, są wzloty i upadki, są blaski i cienie. Á propos tych ostatnich - w 1987 r. mieliśmy, oboje z żoną, możliwość wypowiedzenia się do gazety „Nasza Wieś" w serii „Ludzie kurpiowskiej wsi". Chętnie skorzystaliśmy z niecodziennej, jak na ówczesne czasy, okazji. Żona zaprezentowała się jako kierowniczka miejscowego Klubu Prasy i Książki „Ruch" (czerwiec 1987). Natomiast ja, w artykule „Blaski i cienie życia na wsi", jako nauczyciel zahaczyłem, ze zrozumiałych względów, o oświatę. Gazeta ukazała się z datą 28 października, co odebrałem jako nietypowy prezent imieninowy.

LUDZIE KURPIOWSKIEJ WSI

Danuta Kruk

Bakuła to duża sołecka wieś leżąca z dala od głównych dróg. Jest tu ośmioklasowa szkoła podstawowa, sklep, poczta, punkt skupu mleka, świetlica i klub „Ruchu". Właśnie w świetlicy i klubie, mieszczących się w budynku remizy strażackiej, skupia się życie społeczne i kulturalne tej dużej i ludnej rolniczej osady. Pomieszczenia klubowe są niewielkie. Panuje tu jednak zawsze duży ruch. W klubie lub w świetlicy odbywają się zebrania wiejskie, spotkania członków organizacji młodzieżowych i KGW. Najchętniej do klubu przychodzą dzieci i młodzież. Pani Danuta Kruk, która od ponad 10 lat kieruje klubem i świetlicą, dla nich głównie organizuje różne zajęcia świetlicowe, projekcje filmowe, wieczory bajek, spotkania z ciekawymi ludźmi, wystawy książek i pogadanki. Urządza też okolicznościowe wystawki rysunków dziecięcych, a przy okazji eksponuje własne gobeliny. Jej zamiarem jest spopularyzowanie tkactwa i haftu artystycznego wśród członkiń miejscowego KGW. To tradycyjne rękodzielnictwo było ongiś bardzo popularne w okolicy.

Dzięki pracowitości i umiejętnościom organizatorskim pani Danuty klub w Bakule wyróżnia się spośród pozostałych placówek tego typu w gminie Baranowo dobrą pracą z młodzieżą. Kierowniczce i radzie społecznej klubu w tej pracy pomaga mąż pani Danuty, **Tadeusz Kruk**, nauczyciel miejscowej szkoły.

NASZA WIEŚ NR 25
2 21.06.1987 (ZG)

Ludzie kurpiowskiej wsi - wzmianka prasowa, 1987

OPINIE

Blaski i cienie życia na wsi

TADEUSZ KRUK - nauczyciel w Szkole Podstawowej w Bakule, gm. Baranowo (Ostrołęckie):

- Od 1978 roku pracuję w Szkole Podstawowej w Bakule-Ziomku. Tutaj założyłem rodzinę. Żona **Danuta** pracuje w miejscowym klubie „Ruchu". Mam dwoje dzieci - siedmioletnią **Donatę** i o rok młodszego **Janusza.**

- Bakuła jest średniej wielkości wsią sołecką, liczy ok. 160 mieszkańców. We wsi działa KGW, OSP i ZSMP. Młodzież zrzeszona w ZSMP organizuje wieczorki taneczne, dyskoteki, podejmuje prace społeczne. W świetlicy odbywają się seanse filmowe, projekcje bajek dla dzieci, spotkania z przedstawicielami prasy, prelekcje i odczyty.

- W macierzystej szkole uczę m.in. historii. Praca z młodzieżą daje mi satysfakcję. Poprzez bezpośredni kontakt z uczniami i ich rodzicami jest mi łatwiej uczestniczyć w rozwiązywaniu problemów młodych ludzi. Uważam, że uczeń potrzebuje indywidualnego potraktowania jego - wydawałoby się - nawet błahych spraw. W miarę możliwości i umiejętności staram się tym wymaganiom sprostać. Na ogół podopieczni nie nastręczają większych kłopotów wychowawczych. Ci bardziej ambitni potrafią zrekompensować trud włożony w ich edukację wzorowym zachowaniem, dobrymi wynikami w nauce i zaangażowaniem społecznym.

- Życie na wsi ma swoje blaski i cienie. Tych ostatnich jest niestety dość dużo. Znam je i odczuwam jako mieszkaniec i nauczyciel. Oświata boryka się z wieloma trudnościami. Np. pięćdziesięcioletni budynek naszej szkoły wymaga rozbudowy i modernizacji, lecz leży to obecnie w sferze marzeń. Również mieszkania wynajmowane nauczycielom (nie ma domu nauczyciela) nie zawsze odpowiadają dzisiejszym standardom.

- Potrzeb jest mnóstwo, są one często rozważane przez różne gremia i instytucje. Jednak ciągle brak środków. W nadmiarze natomiast jest w oświacie „ważnych" szkoleń, konferencji oraz zajęć typowo urzędniczych, o których śmiem twierdzić, iż w znacznej części nikomu i niczemu nie służą.

Zanotował: ZG

Tygodnik Nasza Wieś, 28.10.1987 r.

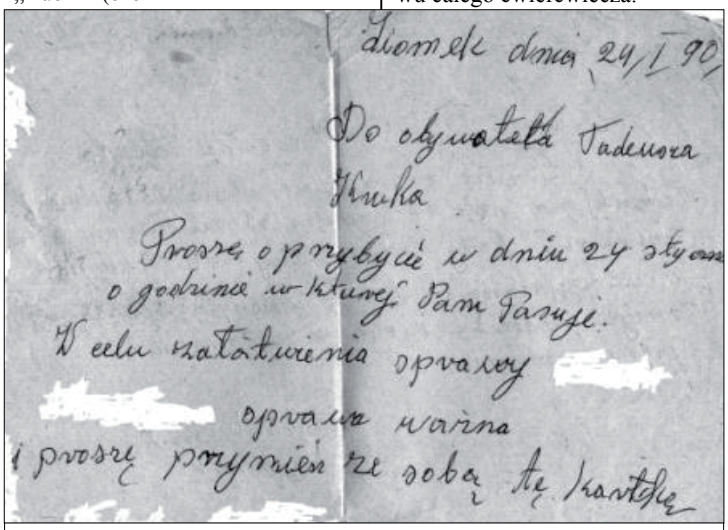

Ziomek dnia 24/I 90

Do obywatela Tadeusza Kruka

Proszę o przybycie w dniu 24 stycznia o godzinie 10 do Sali Pana Pawła. W celu załatwienia sprawy sprawa ważna i proszę przynieść ze sobą tę kartkę

Korespondencja z rodzicem, 1990

Powaga powagą, ale szczypta swojskiego szkolnego humoru też się przyda.

W początkach swojej pracy koleżanka rozdzieliła dwóch zacietrzewionych uczniów. Próbując znaleźć przyczynę nieporozumienia między nimi, poprosiła ich o wyjaśnienie zajścia. I takowe usłyszała. Wypowiedzieli się chętnie, krótko i na temat:

- Bo un my rozder letniak.

- To un psirsy zder my cubek.

- A po coś mnie rznął w lepe?

Zdumiona pani, niewiele rozumiejąc z potoku obopólnych oskarżeń, doprowadziła obu delikwentów do wzajemnych przeprosin. Potem poznała znaczenie nowych słów: *letniak - marynarka, cubek - czapka, lepy - usta.*

Pewnego razu napisałem kartkę do ojca, którego syn sprawiał kłopoty wychowawcze. Prosiłem rodzica o przybycie do szkoły w określonym dniu i godzinie na posiedzenie rady pedagogicznej. Podałem kartkę przez tegoż ucznia, który nazajutrz przyniósł ją z drugostronną adnotacją poczynioną ręką ojca. Rodzic zapraszał mnie do siebie, do domu, zaznaczając, żebym koniecznie zabrał tę kartkę ze sobą.

Z kolei inna koleżanka, podczas rozmowy z pewnym ojcem, wypomniała mu, że robi plotki na jej temat.

- Ale, pani, ja się wcale na panią nie gniewam - odparł z głupia frant.

- *To raczej ja powinnam się na pana pogniewać* - odparła skonsternowana nauczycielka.
- *Nie, pani, nie ma za co* - rzekł rozbrajająco.

Podczas przerwy wszedł do pokoju nauczycielskiego uczeń, którejś z klas początkowych. Coś mówił, ale gwar obecnych i hałas z korytarza zagłuszały jego słowa. Usłyszałem tylko ostatni wyraz: *wołają*. Pytam go, kogo wołają? W odpowiedzi usłyszałem:
- *Ciebie, Kruku!*

W Ogrodzie Botanicznym, podczas wycieczki szkolnej, zainteresował się naszą grupą ktoś z jednego z telewizyjnych programów dla dzieci. Zgrabnie poruszał się na hulajnodze. Poprosił dzieci o grupowe wystąpienie w jednej ze scen. Objaśnił szczegóły, zrobił kilka prób. Zadanie dzieci polegało na zbiorowej pogoni za uciekającym aktorem. Gdy ten w pewnej chwili rozpoczął inscenizowaną ucieczkę, a uczniowie jeszcze stali w miejscu, myśląc, że to kolejna próba, wówczas jeden z naszych uczniów krzyknął na całe gardło: - *Gónta go!* Rozwrzeszczana gromada ruszyła z kopyta, biegnąc znacznie dalej, niż było trzeba. Kamerzyści przerwali nagrywanie. Po czasie próbę powtórzono. Obyło się już bez niespodzianek.

Uczniowie potrafią zaskoczyć w różnoraki sposób, bardzo często również na piśmie: - *Chłop powoli bronował, bo kamienie właziły mu między zęby* - napisał jeden z nich w rozprawce o pracy na roli.

Lata spędzone na Kurpiowszczyźnie wspominam ze szczególnym sentymentem. Obecnie, w rodzinnym Drążdżewie, nad tym samym, wymienionym na wstępie Orzycem, chętnie wracam - myślami i w opowieściach - do utrwalonych obrazów znad Płodownicy i Omulwi. A jest do czego powracać. Przed oczyma suną gwarne sznury wozów konnych (z biegiem czasu wypierane przez ciągniki rolnicze) do Baranowa - w niedziele i święta do kościoła lub w poniedziałki, po dwudziestym, na jarmark. I gremialny powrót tychże ludzi w jarmarczne przedpołudnie, z przystankiem przed szkołą, by wręczyć dziecku coś na pamiątkę z wyjazdu. A przy okazji by zamienić słowo z nauczycielami. I ta niepowtarzalna atmosfera wiejskiej szkoły. Ożywają wspomnienia choinek szkolnych, podczas których korytarz z trudem mieścił chętnych przybyłych na przedstawienie. I uczniowie docierający pieszo do szkoły; ci z bliska i ci mający znacznie dalej, i choć najkrótszą drogą, a jednak liczoną w kilometrach. Najdalej miały dzieci z Rycicy. Szły dróżkami przez pola i łąki, pokonując po drodze mostek na Płodownicy, w miejscu zwanym zwyczajowo Zastawka. Zimą, po obfitych opadach śniegu, rodzice, idąc jako pierwsi, torowali im przejście przez zaspy. We znaki dawały się im też wiosenne roztopy. Powyższych „atrakcji" miałem okazję doświadczyć, docierając tą trasą przez rok (1993-94) na nauczanie indywidualne.

Niestety, żywa tradycja i dawne zwyczaje kurpiowskie odchodzą, by nie powiedzieć, że przeszły do historii. To już nie są te same obrazy codziennego, wiejskiego życia, widziane i podziwiane przez Adama Chętnika, Zofię Niedziałkowską, Henryka Syskę czy Stanisława Pajkę. Ich miejsce zajęła nowoczesność. Tu już nie ma barci i bartników. Tu już nie używa się żaren. Krosna też poszły w odstawkę. Nie słychać skrzypienia studziennych żurawi, ani

Boisko szkolne - powitanie wiosny, 21 marca 2000

Sentymentalne odwiedziny, boisko szkolne w Bakule-Ziomku, 2012

tętentu końskich kopyt… Nie słychać też, na co dzień, gwary w czystej postaci, ani pieśni tak skrzętnie zbieranych przez księdza Władysława Skierkowskiego. Ale są nadal ci sami ludzie - Kurpie, potomkowie prawowitych i pracowitych mieszkańców Puszczy. Jeszcze nieliczni z nich, tu i ówdzie, kultywują na własną rękę niegdysiejsze popularne zajęcia jak plecionkarstwo, tkactwo, wycinankarstwo i koronkarstwo. Inni, działając prężnie w lokalnych stowarzyszeniach, próbują ocalić od zapomnienia wiekowy dorobek przodków. Podoba mi się ich przysłowiowa, dobrze rozumiana upartość w dążeniu do celu. Dlatego w 2002 r. z przyjemnością rozpocząłem czteroletnią współpracę ze Związkiem Kurpiów, jako autor krzyżówek o tematyce regionalnej zamieszczanych na łamach miesięcznika „Kurpie". Był to swoisty sprawdzian mojej wiedzy o Kurpiowszczyźnie. W tym okresie byłem jeszcze bardziej, niż dotąd, pilnym i uważnym czytelnikiem wszelkich wydawnictw o tematyce kurpiowskiej. Z kolei w 2005 roku szczęśliwy los zetknął mnie z wybitnym regionalistą, piewcą Kurpiowszczyzny, doktorem Stanisławem Pajką. Przez cztery lata miałem przyjemność współpracować z Nim w zakresie pozyskiwania i opracowywania materiałów do „Słownika biograficznego Kurpiowszczyzny XX wieku". Cenne dzieło doktora Pajki trafiło do rąk czytelników, a mnie pozostała satysfakcja z pogłębienia wiedzy o regionie i jego mieszkańcach.

Z przyjemnością podkreślam, że na Kurpiowszczyźnie, wśród życzliwych ludzi, przeżyłem piękną przygodę swego życia. Dosyć często, przy różnych okazjach, spotykam dawnych znajomych, w tym swoich byłych uczniów i wychowanków (a było ich ponad pięciuset). Nawet krótka, przypadkowa wymiana zdań przywołuje masę wspomnień. To miłe i sympatyczne znaleźć po latach wspólne tematy, znacznie wykraczające poza zdawkowe - *co tam u pana słychać?*

Stwierdzam zatem, bez ogródek i bez kadzenia, że gdybym miał powtórzyć swój wybór, padłby on ponownie na Kurpiowszczyznę.

Tadeusz Kruk
Drążdżewo Małe, maj 2012

Od redakcji: Praca nagrodzona w konkursie *Kurpie we wspomnieniach* w kategorii: *Ty o lesie ciągle marzysz…* ogłoszonym przez Związek Kurpiów, Ostrołęka 2013.

Warszawska nekropolia Powstańców Styczniowych

Wojciech TRĄBCZYŃSKI

Pamięć o bohaterach narodowych, czy doniosłych wydarzeniach historycznych, wzmaga się w okresie stosownych rocznic, szczególnie tych okrągłych. Rocznicom tym towarzyszą obchody, niekiedy bardzo uroczyste, takie jak akademie okolicznościowe, manifestacje, artykuły wspomnieniowe, wystawy itp. 70. rocznica wybuchu Powstania Styczniowego, przypadająca 22 stycznia 1933 r., stwarzała w odrodzonej Ojczyźnie sposobność do uczczenia pamięci bojowników walk o niepodległość z rosyjskim caratem, a zarazem wyrażenia hołdu żyjącym jeszcze uczestnikom patriotycznego zrywu 1863 r. W związku z tym, na mocy zarządzenia Prezydenta RP, w przededniu rocznicy, 365 weteranów odznaczono Krzyżami Niepodległości z Mieczami i nadano je wszystkim poległym, zesłanym, więzionym i zmarłym powstańcom.

Józef Piłsudski otaczał weteranów 1863 r. szczególną troską i szacunkiem. Już od 1919 r. uczestnicy powstania, jako uznani weterani w liczbie 3644, korzystali - z rozkazu Naczelnika Państwa - z uprawnień żołnierzy Wojska Polskiego, to jest: m. in. otrzymali honorowe stopnie podporucznika, dożywotnie pensje państwowe i prawo noszenia specjalnego umundurowania. Weterani mieli uprawnienia do mieszkania w utworzonych specjalnie dla nich schroniskach. W Schronisku Weteranów, zorganizowanym w 1924 r. w Warszawie, mogło przebywać 20 podopiecznych.

W 1916 roku, wkrótce po ustąpieniu zaborcy rosyjskiego, żyjący jeszcze powstańcy zorganizowali się w Stowarzyszeniu Wzajemnej Pomocy Uczestników Powstania 1863/1864. Znane było także Towarzystwo Weteranów 1863, gdyby ograniczyć się do terenu Warszawy i Mazowsza. Wszakże, wobec gwałtownie malejącej liczby członków: żyjących w kraju powstańców było jeszcze ponad 3500 w 1919 r., 1970 w 1923 r., 258 w dniu obchodów rocznicowych, czyli 22 stycznia 1933 r., a tylko 52 w 1938 r., funkcje opiekuńcze przejęło Towarzystwo Przyjaciół Weteranów, z mjr. Władysławem Dunin-Wąsowiczem jako prezesem zarządu.

W jubileuszowym 1933 r., Towarzystwo podjęło inicjatywę założenia wydzielonej kwatery powstańców na Cmentarzu Wojskowym w Warszawie. Projektantem kwatery C13, która uzyskała ostateczną postać w 1938 r., został Wojciech Jastrzębowski. Aktualnie opiekę nad kwaterą sprawuje młodzież ze Szkoły Podstawowej nr 30 w Warszawie, której w 1934 r., w sposób uroczysty, nadano imię „Powstańców 1863 r."

Nad kwaterą rozpościera swe ramiona wysoki krzyż metalowy, zwieńczony ciernistą koroną, z okazałym ryngrafem z wizerunkiem Matki Boskiej na tle trójpolowego herbu Rzeczypospolitej. Na półkolistej wnęce ściany okalającej nekropolię widnieje napis:

BOHATEROM POWSTANIA 1863 R.

i medalion przedstawiający pieczęć Rządu Narodowego. Kwatera liczy 68 identycznych mogił, luźno rozmieszczonych w czterech rzędach, obwiedzionych kamiennymi krawężnikami jeszcze nie widocznymi na archiwalnych fotografiach ze stycznia 1936 r. Wszystkie mogiły opatrzone są jednolitymi metalowymi tablicami z imieniem, nazwiskiem, wiekiem i datą śmierci spoczywającego powstańca, przy czym wiarygodność tej ostatniej informacji bywa kwestionowana niekiedy przez wnikliwych badaczy. Tym nie mniej, wskazująca na dużą rozpiętość wieku czynnych powstańców, z przewagą młodych chwytających za broń. Dwie trzecie z nich to młodzież w wieku od 16 do 24 lat. Wśród mogił wyróżnia się rozmiarami, w środku pierwszego rzędu, nagrobek Edmunda Taczanowskiego, najstarszego stopniem wojskowym, bo generała, i wiekiem w czasach Powstania, a także naczelnika wojskowego województw kaliskiego i mazowieckiego, najwcześniej z pośród pozostałych, już w 1879 r., zmarłego uczestnika Powstania, z których większość zakończyła swe sędziwe życie w latach trzydziestych ubiegłego wieku. Wśród nich liczni pensjonariusze wspomnianego Schroniska Weterana w Warszawie.

Początkowo, już od 1934 r. dokonywano pochówków prochów przeniesionych z innych cmentarzy. Zapewne jednym z pierwszych był Bolesław Jędrzejowski, który zmarł w 1908 r., drugi oprócz Taczanowskiego, w tej kwaterze, który nie dożył odzyskania niepodległości. Ostatnim pochowanym w kwaterze jest por. Mamert Wandalli, historyk, literat, malarz i poeta, który zmarł 3 listopada 1942 r. w wieku lat 97, niemal do końca życia aktywny społecznie w środowisku swoich współtowarzyszy powstańców, powszechnie uznany za ostatniego żyjącego powstańca styczniowego. (Jest pogłoska, że takim ostatnim powstańcem był Feliks Bartczuk, zmarły 9 marca 1946 r., w Kosowie Lackim, w wieku prawie 100 lat). Najstarszy pochowany w kwaterze, Jan Wojtkiewicz przeżył 100 lat do 31 listopada 1935 r.

Pogrzebani w kwaterze C13 uczestnicy zmagań w latach 1863-1864 mieli różnorodny udział w tym patriotycznym zrywie, począwszy od bezpośrednich walk z bronią w ręku, aż do pełnienia funkcji dowódczych, administracyjnych czy dyplomatycznych. Przykładem choćby cztery kobiety, kurierki, łączniczki Rządu Narodowego, dostarczające broń, pielęgnujące rannych, które tu znalazły miejsce ostatniego spoczynku. Podobnie różnie potoczyły się koleje życia tych ludzi po Powstaniu, gdy było rzadkością, aby uniknęli represji takich jak więzienie, katorga, zsyłka, konfiskata majątku, zmuszenie do emigracji, pozbawienie praw, nie mówiąc o wielce prawdopodobnym uszczerbku na zdrowiu.

Należy zauważyć, że niektórzy polegli powstańcy styczniowi zostali pochowani także na warszawskich cmentarzach wyznaniowych, na przykład: Władysław Adolf Loth (1836-1863) na Cmentarzu Ewangelicko–Augsburskim, Mikołaj Epstein (1833-1863) na Cmentarzu Żydowskim.

Na ścianie zamykającej kwaterę C13 umieszczono 268 imiennych tablic memoratywnych poświęconych postaciom związanym z różnorodnymi wydarzeniami okresu Powstania Styczniowego. Wśród wymienionych z imienia i nazwiska są ludzie więcej lub mniej znani - choćby z tytułu zajmowanego stanowiska - co nie mówi o poziomie poniesionych ofiar czy położonych zasług dla sprawy Powstania i nie może być przyjęte za podstawę szczególnego wyróżnienia. Przy takim założeniu, kierując się dostępnością informacji - na ogół szczupłych - udało się ustalić nazwiska kilku poległych w 1863 r., są to:

1. Stanisław Radoński lat 28, 17 lutego pod Miechowem;
2. Gustaw Rola-Sujkowski lat 30, 5 marca pod Pieskową Skałą;
3. Korneliusz Pisarzewski lat 21, 17 marca pod Działoszycami;
4. Jan Krukowski, 24 kwietnia pod Józefowem;
5. Strzeżysław Rodziewicz, 28 maja pod Władykami na Litwie;
6. Józef Podhajecki lat 17, 10 czerwca pod Borkami;
7. Józef Trąbczyński, 16 lipca pod Szygami.

Obszerną grupę stanowią zesłańcy syberyjscy, których losy były bardzo różnorakie:

- Wojciech Czaykowski lat 48, w lipcu 1864 r. zakatowany w Permie;
- przywódcy Powstania Zabajkalskiego: Władysław Kotkowski, Jakub Reiner, Gustaw Szaramowicz i Narcyz Gliński, 27 listopada 1866 r. rozstrzelani w Irkucku;

- Julian Marczewski (ur. 1834), po 10 latach w wojsku, zesłany do Semipałatyńska gdzie zmarł w 1918 r.;
- Wojciech Sieńkowski po 2 latach roty aresztanckiej zmarł na Syberii w 1868 r.;
- Narcyz Wosiński po 4 latach katorgi w Chersoniu osiedlony w gub. Tobolskiej, tam zmarł 1889 r.

Inne miejsca zsyłki powstańców występujących na tablicach to: Czyta, Ekatierynosław, Tomsk, Tiumeń, Astrachań, Ekatierynburg, Tobolsk, Penza, Chersoń, Kurgana. Straceni w publicznych egzekucjach, jeszcze na terenach rodzimych w Wilnie to: Zygmunt Sierakowski, lat 36, naczelnik wojenny województwa. kowieńskiego i Tytus Dalewski, lat 22, sekretarz Rządu Narodowego.

Jakże różne były losy uczestników zrywu 1863 r., którzy uszli z życiem z walk i represji popowstaniowych, niech świadczy kilka przykładów:

- Michał Heidenreich-Kruk, naczelnik wojenny województw podlaskiego i lubelskiego, po odniesionych doniosłych zwycięstwach mianowany generałem. Emigrant, brał udział w wojnie francusko-pruskiej 1870-1871 r.;
- Benedykt Dybowski, komisarz Rządu Narodowego na Litwę i Białoruś, zesłaniec i podróżnik, badacz fauny jeziora Bajkał, Dalekiego Wschodu i Kamczatki, profesor Uniwersytetu Lwowskiego, członek Polskiej Akademii Umiejętności. Dożył 97 lat w II Rzeczypospolitej;
- Konstanty Dalewski, emigrant, rozstrzelany 27 maja 1871 r., podczas Komuny Paryskiej w wieku 34 lat;
- Ks. Stanisław Pomirski już jako kapłan odbył 8 letnią katorgę. Po wieloletnim osiedleniu w Tunce, prowadził działalność duszpasterską w Kijowie, a potem w Polsce po ewakuacji w 1920 r. Zmarł w 1929 r. w rodzinnej miejscowości na Mazowszu dożywszy 94 lat;
- Aleksander Krukowiecki, hrabia, organizator oddziału i uczestnik walk pod Imbramowicami i Glanowem, jako oficer i obywatel austriacki był posłem na Sejm Galicyjski.

Ciekawym akcentem w serii tablic memoratywnych na murze jest większa, dwujęzyczna, poświęcona

PAMIĘCI
BRACI WĘGRÓW
UCZESTNIKÓW
POWSTANIA
STYCZNIOWEGO

Warszawska nekropolia to jedno z zachowanych miejsc składania hołdu i wyrażania wdzięczności pogrzebanym powstańcom za ich podjęcie walki z przeważającą siłą zaborcy rosyjskiego. Teraz, gdy odzywają się głosy „dosyć tego cierpiętnictwa", przypominanie znaczenia bezinteresownej ofiarności tych ludzi staje się szczególnie ważne i potrzebne dla ugruntowania patriotyzmu i uratowania od zapomnienia kawałka naszej chlubnej historii.

Wojciech Trąbczyński

Działania wojenne roku 1915. w czasie I wojny światowej w rejonie powiatów przasnyskiego i makowskiego

Zbigniew LORENC

Wydarzenia lat 1914-1918 przetrwały w pamięci następnych pokoleń zaledwie dwadzieścia lat. Przyćmiły je wydarzenia i rozmiary dramatu, jakim była II wojna światowa. I wojna światowa na ziemiach polskich postrzegana jest głównie przez pryzmat kampanii w Prusach Wschodnich i przełomu gorlickiego. Niewiele informacji posiadamy zwłaszcza na temat przełamania frontu pod Przasnyszem latem 1915 r. Przyczyną takiego stanu rzeczy jest fakt, iż nie ukazała się dotychczas żadna obszerna monografia na ten temat. Dlatego chciałbym przybliżyć mało znany przebieg działań wojennych, które na stałe wpisują ziemie nad Orzycem w wydarzenia lat 1914–18.

Operacja przasnyska

Do pierwszych walk w rejonie Przasnysza doszło w listopadzie i grudniu 1914 roku. W tym okresie wielu mieszkańców Jednorożca zostało zmuszonych do szukania schronienia w pobliskich wioskach. Pod koniec grudnia ustaliła się linia frontu, Przasnysz pozostał po stronie rosyjskiej.

W lutym 1915 r. okolice Przasnysza ponownie stały się areną działań militarnych. 17 lutego grupa armii gen. von Gallwitza rozpoczęła natarcie z rejonu Chorzel na Jednorożec, mając za zadanie zdobycie Przasnysza. Rezerwowe jednostki niemieckie zajęły Szlę oraz dotarły w rejon na zachód od Jednorożca. Pomimo utrudnień w postaci roztopów, już 23 lutego Przasnysz został okrążony i następnego dnia zdobyty po szturmie.

Rosjanie po przeprowadzeniu przyspieszonej koncentracji oddziałów przystąpili do kontrataku. 27 lutego przypuścili szturm na Przasnysz, który do godziny 19.00 opanowali. Brak skoordynowanych działań między oddziałami rosyjskimi pozwolił Niemcom wycofać się na umocnione pozycje nad rzeką Orzyc i na południe od Chorzel.

Po przegrupowaniu sił Niemcy postanowili odbić Przasnysz. 7 marca zaatakowali po linii Chorzele – Jednorożec. Jednakże zamiar zdobycia Przasnysza nie powiódł się. Miasto pozostało w rękach rosyjskich. Walki na tym odcinku frontu przyjęły charakter pozycyjny, a w drugiej połowie marca praktycznie zamarły.

Bitwa przasnyska

Sytuacja przed rozpoczęciem bitwy pod Przasnyszem

Wiosną 1915 r. sytuacja państw centralnych nie była najlepsza. Na froncie zachodnim Niemcy i Austro-Węgry przeszły do defensywy. Sytuacja sojusznika była jeszcze gorsza, Austro-Węgry poniosły do tego czasu szereg porażek. Na wschodzie część Galicji znalazła się w rękach rosyjskich. Przez całą zimę toczyły się walki w Karpatach, przez które Rosjanie chcieli wyjść na Nizinę Węgierską[1]. Pomimo ogromnych strat cel sztabowców rosyjskich nie został osiągnięty. W maju 1915 r. Niemcy przejęli dowodzenie na froncie wschodnim. Niemieckie naczelne dowództwo zdecydowało się na przeniesienie na ten front główny ciężar działań wojennych. Podjęto plan ofensywnego przełamania frontu w zachodniej Galicji. W tym celu Niemcy wycofali z Francji kilka dywizji i utworzono nową XI Armię niemiecką. W ofensywie miała wziąć udział również IV Armia austro–węgierska pod dowództwem arcyksięcia Józefa Ferdynanda. Dowódcą całej operacji został gen. płk August von Mackensen. Przełamanie miało wykonać 20 dywizji, które liczyły w sumie 357 400 żołnierzy. Wsparcie artyleryjskie miało im zapewnić ponad 1100 dział i moździerzy. Rosjanie w rejonie Gorlic posiadali 17 dywizji liczących 219 000 żołnierzy[2].

Dnia 2 maja nastąpiła ofensywa w rejonie Gorlic. Uderzenie to przełamało front i wdarło się w głąb terytorium przeciwnika. Zachodnie ziemie rosyjskie zostały zagrożone po raz pierwszy od wojen napoleońskich. Ponadto bitwa gorlicka złamała rosyjską siłę zaczepną, która nie była zdolna do ofensywy[3].

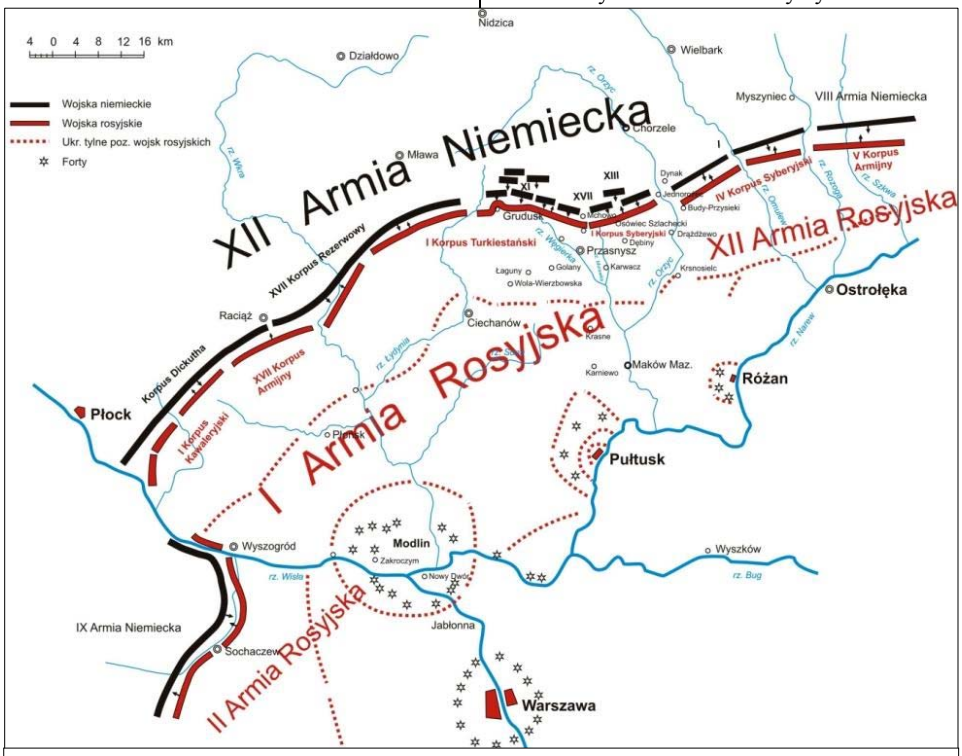

Sytuacja przed rozpoczęciem bitwy pod Przasnyszem.

Latem 1915 r. sytuacja militarna państw centralnych na wszystkich frontach wyglądała już zdecydowanie lepiej, aniżeli na wiosnę. Generał Erich von Falkenhayn, jako dowódca niemieckiego sztabu generalnego, chciał zjednoczyć wysiłki armii niemieckiej i austriackiej i w ten sposób zmusić Rosję do separatystycznego pokoju. W tym celu zaplanował potężny manewr, który miał doprowadzić do otoczenia kilku rosyjskich armii. Niemcy liczyli na powtórzenie Sedanu, ale w znacznie większym rozmiarze.

[1] K. Kumaniecki, Strategia wielkiej wojny 1914-1918, Kraków-Warszawa 1921, s.54.

[2] J. Pajewski, I wojna światowa 1914-1918, Warszawa 2005, s. 282 – 283.

[3] M. Gilbert, I wojna światowa, Poznań 2003. s. 183.

Według planu Falkenhayna, armia gen. von Galwitza miała atakować z północy przez rzekę Narew w kierunku na Siedlce. Następnie miała wyjść naprzeciw armiom gen. Augusta von Mackensena, które powinny postępować w kierunku północnym pomiędzy rzekami: Wisłą i Bugiem. Głównodowodzący wschodnim frontem gen. Paul von Hindenburg oraz jego dowódca sztabu gen. Ludendorff mieli inne plany. Według ich planów, należało obejść od północy twierdzę Kowno, wyjść na Wilno i dalej na Mińsk. Taki manewr mógł głęboko oskrzydlić prawe skrzydło wojsk rosyjskich i zagrozić ich tyłom.

Dnia 2 lipca 1915 r. na naradzie w Poznaniu osobista ingerencja cesarza Wilhelma II spowodowała, że Hindenburg poszedł na ustępstwa, w wyniku których Niemcy równocześnie przeprowadzili dwa uderzenia[4], co było zjawiskiem niezwykle rzadkim w ich praktyce. Ponadto oba uderzenia zrealizowane zostały niewystarczającymi siłami, co doprowadziło do ograniczonego ich sukcesu[5]. Pierwsze uderzenie miało nastąpić w kierunku północnym na Kowno, gdzie doszło do bitwy pod Szawlami. Natomiast drugie uderzenie wychodzące z rejonu Nidzica–Chorzele w kierunku dolnej Narwi miało być zrealizowane przez armię gen. von Galwitza. Dla wykonania tego uderzenia

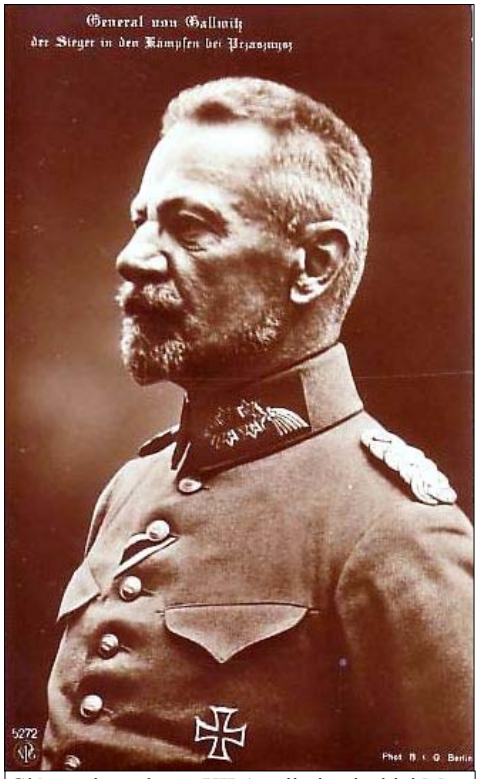

Głównodowodzący XII Armii niemieckiej Max von Gallwitz. Fotografia ze zbiorów Mirosława Krejpowicza.

osłabiona została IX Armia niemiecka, znajdującą się na ważnym warszawskim kierunku, z której składu zabrano trzy dywizje[6]. Pomimo tego, że siły von Galwitza zostały przemianowane na XII Armię, były nadal niewystarczające. Z tego powodu zostały wzmocnione ciężką artylerią w liczbie ok. 60 baterii, tj. ok. 240 dział. Oprócz tego Hindenburg powstrzymał wysłanie dwóch dywizji wyznaczonych do uderzenia na Kowno. Główny wysiłek armii niemieckiej miał zostać skierowany wzdłuż osi Przasnysz – Pułtusk. Pozostałe armie państw centralnych na froncie wschodnim otrzymały zadanie, współdziałania z wyżej wymienionymi natarciami głównymi[7]. Były to armie niemieckie: X, VIII na północy, IX i grupa Worscha w centrum oraz XI i IV austro–węgierska na południu[8].

Generał von Hindenburg ze swoim sztabem obserwują działania w ramach bitwy przasnyskiej na odcinku walk pod Przasnyszem. Fotografia ze zbiorów Mirosława Krejpowicza.

Położenie sił po stronie niemieckiej

XII Armia gen. von Gallwitza zajmowała obszar (odcinek) ponad 140 km od rzeki Rozoga w okolicy Myszyńca do Wisły w rejonie Płocka. Na jego lewym skrzydle znajdowała się VIII Armia gen. Scholtza, a na prawym IX Armia księcia Leopolda Bawarskiego. Gallwitz otrzymawszy rozkazy przygotował plan działań, zgodnie z którym do 5 lipca siły korpusu zajmowały położenie:

a) I Korpus Armijny gen. Ebena (24 bataliony[9], 6 szwadronów[10], 160 dział) – zajmował pozycje od wsi Zalesie (na rz. Rozoga) do wsi Dynak, czyli teren ponad 30 km, średnio na 1 km przypadało około 1000 żołnierzy i 5 dział.

b) XIII Korpus Armijny gen. von Wattera (36 batalionów, 9 szwadronów, 296 dział) – zajmował pozycje od wsi Jednorożec (nad rzeką Orzyc) do wsi Mchowo (przy drodze Chorzele - Przasnysz), na terenie ok. 15 km, średnio przypadało 3000 żołnierzy i 20 dział na 1 km.

c) XVII Korpus Armijny gen. von Panewitza (24 bataliony, 6 szwadronów, 24 dział) – zajmował pozycje na zachód od wsi Mchowo na terenie 10 km, średnio na 1 km przypadało 3000 żołnierzy i 24 działa.

d) XI Korpus Armijny gen. von Pluskowa (24 bataliony, 6 szwadronów, 256 dział) - zajmował pozycje dalej do wsi Kluszewo (nad rz. Łydynia), na terenie około 10 km. Na 1 km przypadało 3000 żołnierzy i ponad 25 dział.

e) XVII Rezerwowy Korpus gen. Surena (18 batalionów, 4 szwadrony, 124 działa) - zajmował pozycje od wsi Kluszewo do miasta Raciąż na terenie do 40 km, co daje na 1 km 400 żołnierzy i 3 działa.

f) Połączony Korpus gen. von Dickhutha (20 batalionów, 4 szwadrony, 108 dział) - zajmował pozycje od miasta Raciąż do wsi Słupno (nad rzeką Wisłą) na terenie do 40 km, na 1 km przypadało ok. 500 żołnierzy i 3 działa.

g) Rezerwa Armii – znajdowała się w rejonie wsi Szumsk:

- 36 Dywizja Piechoty (12 batalionów, 3 szwadrony i 72 działa),
- Brygada Landwery gen. Pfeila (6 batalionów),
- Brygada Kirasjerów Gwardii (8 szwadronów i 6 dział) [11]

Razem w skład armii gen. von Galwitza wchodziły: 164 bataliony, 37 szwadronów i 1256 armat. Do rozpoczęcia bitwy liczba żołnierzy w XII Armii osiągnęła 177 000, ponadto w czasie bitwy oddziały niemieckie zostały wzmocnione dwiema dywizjami piechoty. Ostatecznie siły niemieckie powiększono do 188 batalionów, 41 szwadronów i 1382 dział.

[4] A. Wap, Twierdza Osowiec, Białystok 1994, s. 58, K., Kumaniecki , Strategia…, s. 56.

[5] Г. Корольков, Праснышское сражение 1915, Москва - Ленинград 1928, s. 9, Pajewski J., s. 284, Г. Корольков, Сражение под Шавли, Москва - Ленинград 1926, za: http://www.grwar.ru/library/Korolkoff-Shavly/SB_00.html.

[6] Według Witosława Porczyńskiego, były to 4 dywizje, Patrz: W. Porczyński, Przełamanie pozycji rosyjskich pod Przasnyszem w r. 1915, Bellona 1931 T. 38 [z. 4], s. 219.

[7] Tamże, s. 219.

[8] A. Wap, Twierdza…, s. 58.

[9] Batalion - zasadniczy pododdział taktyczny w różnych rodzajach wojsk; wchodzi w skład pułku lub brygady, może być samodzielny; w lotnictwie odpowiednikiem batalionu jest eskadra, w artylerii — dywizjon; nazwę batalion spotyka się od XVI w., w Polsce — od pocz. XVIII w.

[10] Szwadron - pododdział kawalerii, od XVII w. w armiach europejskich zastąpił kompanię.

[11] Г. Корольков, Праснышское…, s. 11–12.

Położenie sił po stronie rosyjskiej

Naprzeciwko XII Armii niemieckiej pomiędzy rzekami Rozoga i Wisła znajdowały się: lewa flanka XII Armii Czurina – IV Korpus Syberyjski gen. Syczewskogo i cała I Armia gen. kawalerii Litwinowa. IV Korpus Syberyjski zajmował teren między rzekami Rozoga i Orzyc naprzeciw I Korpusu niemieckiego. Na lewym skrzydle I Armii po lewej stronie Wisły znajdowała się II Armia[12].

W nocy z 4 na 5 lipca I Armia zakończyła przegrupowanie (wydzielono II Korpus Syberyjski i odesłano go do III Armii) i częściowo zajęła takie położenie:

a) I Korpus Syberyjski gen. Pleszkowa zajmował wraz z 2 Dywizją Syberyjską rejon od wsi Jednorożec do wsi Mchówko. Druga dywizja korpusu znajdowała się w rezerwie armii. Korpus miał w swoim składzie 16 batalionów, 6 sotni[13] i 60 dział. Zajmował teren ok. 15 km, mogąc przeciwstawić XIII korpusowi niemieckiemu na każdym kilometrze około 800 żołnierzy i 4 działa.

b) I Korpus Turkiestański gen. Szeidemana zajmował obszar od wsi Mchówek do wsi Pomiany nad rzeką Łydynia. 11 Dywizja Syberyjska zajmowała odcinek frontu naprzeciw XVII i XI Korpusów niemieckich. Na tym terenie znajdowało się 16 batalionów i 40 armat. Na kilometr przypadało ok. 700 żołnierzy i 1-2 armaty. Od rzeki Łydynia do rzeki Wkra na obszarze ok. 30 km znajdowały się 1 i 2 Turkiestańskie Brygady Strzeleckie, co dawało na 1 km ok. 500 żołnierzy i mniej niż 2 działa. Skład korpusu liczył: 35 batalionów, 22 sotnie i 104 działa.

c) XXVII Korpus gen. Bałanina zajmował obszar ok. 35 km od wsi Kondrajec Szlachecki do wsi Łoniewo. To daje na 1 km około 800 żołnierzy i poniżej 3 dział.

d) I Korpus Kawalerii gen. Oranowskiego zajmował pozycje na obszarze od wsi Łoniewo do rzeki Wisły i do wsi Drwała.

e) Twierdza Nowogieorgijewsk (Modlin) liczyła 3 brygady „opołoczenia" – pospolitego ruszenia i ponad 1000 dział. W rejonie Wyszogrodu stacjonował, wysunięty z twierdzy Modlin oddział, którego zadaniem było obserwacja Wisły.

f) Rezerwa armii - 1 Dywizja Syberyjska (16 batalionów, 36 dział) znajdowała się w rejonie Łukowo.

Nie licząc garnizonu twierdzy, w składzie I Armii znajdowało się 99 batalionów i 108 szwadronów. Łącznie dawało to 106 960 żołnierzy[14].

Armia niemiecka przeciwko 377 rosyjskim armatom miała 1256 dział, posiadając prawie czterokrotną przewagę. Ponadto Gallwitz rozwinął swoje wojska tak, że na obszarze między rzekami Orzyc i Łydynia (po obydwu stronach Przasnysza), na froncie 35 kilometrów, skupił doskonale uzbrojone siły (84 bataliony i 792 działa[15]), czym stworzył dla siebie sprzyjające

Żołnierze niemieccy w lesie pod Obórkami. Fotografia ze zbiorów Mirosława Krejpowicza.

warunki dla wykonania uderzenia. Wsparta artylerią piechota, mogła z łatwością złamać opór Rosjan na omawianym odcinku. Litwinow natomiast całą armię równomiernie rozciągnął wzdłuż linii całego frontu[16].

Dnia 5 lipca 1915 r. na naradzie w dowództwie rosyjskiego frontu północno – zachodniego wydano następujące zarządzenia:

- II Armia miała za zadanie osłaniać Warszawę od zachodu; gdy zakończy się ewakuacja, I Armia rozpocznie odwrót.
- I Armia miała za zadanie osłaniać od północy II Armię, a swój odwrót koordynować z II Armią.
- XII Armia zaś swój odwrót miała uzgodnić z I Armią[17].

Według planów niemieckich ich wojska miały przejść do natarcia na całym froncie. Główne natarcie miało nastąpić na odcinku między rzekami Łydynią i Orzycem. Plan von Gallwitza z dnia 5 lipca 1915 r. przedstawiał się w następująco:

Po pierwsze: centralne uderzenie miało zostać przeprowadzone 12 lipca 1915 r. dwoma silnymi natarciami po obu stronach Przasnysza:

a) zachodnim – pod dowództwem gen. von Galwitza, siłami Korpusów XI (gen. von Pluskowa) i XVII (gen. von. Panewitza), które miały nacierać w pasie od rzeki Łydyni: Łysakowo, Opinogóra, Krzynowłoga Mała, Mchowo, Bogate,

b) wschodnim – XIII korpus gen. von Wattera miał nacierać na lewo (wschód) od XVII korpusu do rzeki Orzyc włącznie.

Po drugie: Lewe skrzydło – I Korpus wzmocniony siłami landszturmu miał za zadanie osłaniać główne uderzenie od wschodu, obejmując swym zasięgiem odcinek pomiędzy rzekami Orzycem a Rozogą. 2 Dywizja gen. Falcka miała za zadanie współdziałać z XIII korpusem.

Prawe skrzydło – XVII Korpus miał dodatkowo ubezpieczać siły nacierające od zachodu, zaś Korpus gen. Dickutha miał nacierać w kierunku twierdzy Modlin.

Ponadto plan zawierał szczegółowe zadania dla sił biorących udział w działaniach przełamujących dnia 12 lipca 1915 r. W ten sposób korpusy atakujące na zachód od Przasnysza miały za zadnie przełamać:

XI Korpus linie nieprzyjaciela na odcinku Grudusk–Pawłowo, XVII korpus – linie obronne na odcinku Zberoż, wzgórze 154 znajdujące się na północnym wschodzie od Olszewca, XIII Korpus - linie na wschód od Przasnysza, na odcinku Osowiec Kmiecy–Jednorożec[18].

Dnia 5 lipca 1915 r. rozpoczęły się na tyłach umocnień rosyjskich roboty mające na celu zbudowanie nowych umocnień na linii Krasnosielc – Podoś – Szczuki – Ciechanów – Płońsk – Wyszogród. Zakończenie tych prac wymagało jednak ok. 3 tygodni czasu. Tymczasem po stronie niemieckiej przygotowania do ofensywy prowadzone były z wielkim rozmachem. Wszelkie działania, celem zachowania tajemnicy przed wrogiem, realizowano w godzinach nocnych[19]. Ponadto już kilka nocy przed rozpoczęciem natarcia została wysunięta część okopów niemieckich na przedpole pozycji przeciwnika. Nie mogło to ujść uwadze sztabowców rosyjskich. Jednakże nie zdawali oni sobie sprawy z ilości nagromadzonego wojska i sprzętu.

Pierwszy dzień bitwy 13 lipca 1915 r.

O północy z 12 na 13 lipca panowała gęsta mgła. Niemcy zaczynali niepokoić się, ponieważ widoczność była ograniczona, co utrudniało obserwację pola walki. Jednakże przed świtem mgła zaczęła się rozrzedzać się i o godzinie 4.45 rozległy się pierwsze niemieckie wystrzały. Działania na odcinku przasnyskim obserwowali Hindenburg i Ludendorff [20] (patrz: rys.) Do godziny 5.00 na całym froncie od rzeki Orzyc do rzeki Łydyni rozpoczął się silny ostrzał. Powyżej 800 dział niemieckich prowadziło intensywny ogień, który gromił rosyjskie okopy 2 i 11 Dywizji Syberyjskich. Nie było słychać pojedynczych wystrzałów, tylko zwar-

[12] И. И. Ростунов, Русский фронт Первой Мировой Войны, Москва 1976, s. 258.

[13] Sotnia - konny pododdział w wojskach kozackich odpowiadający szwadronowi (ok. 100 ludzi).

[14] Г. Корольков, Праснышское…, s. 12–13.

[15] Według I. I. Rostunowa Niemcy posiadali na omawianym odcinku 860 dział, patrz: И. И. Ростунов, Русский фронт…, s. 258

[16] W, Porczyński, Przełamanie…, s. 223, Г. Корольков, Праснышское…, s. 16.

[17] И. И. Ростунов, Русский фронт…, s. 258, W. Porczyński, Przełamanie…, s. 220 -221.

[18] Tamże, s. 228 - 229.

[19] Tamże, s. 230 – 231.

[20] R. Waleszczak, Przasnysz i powiat przasnyski w latach 1866-1939, Przasnysz 1999, s. 198.

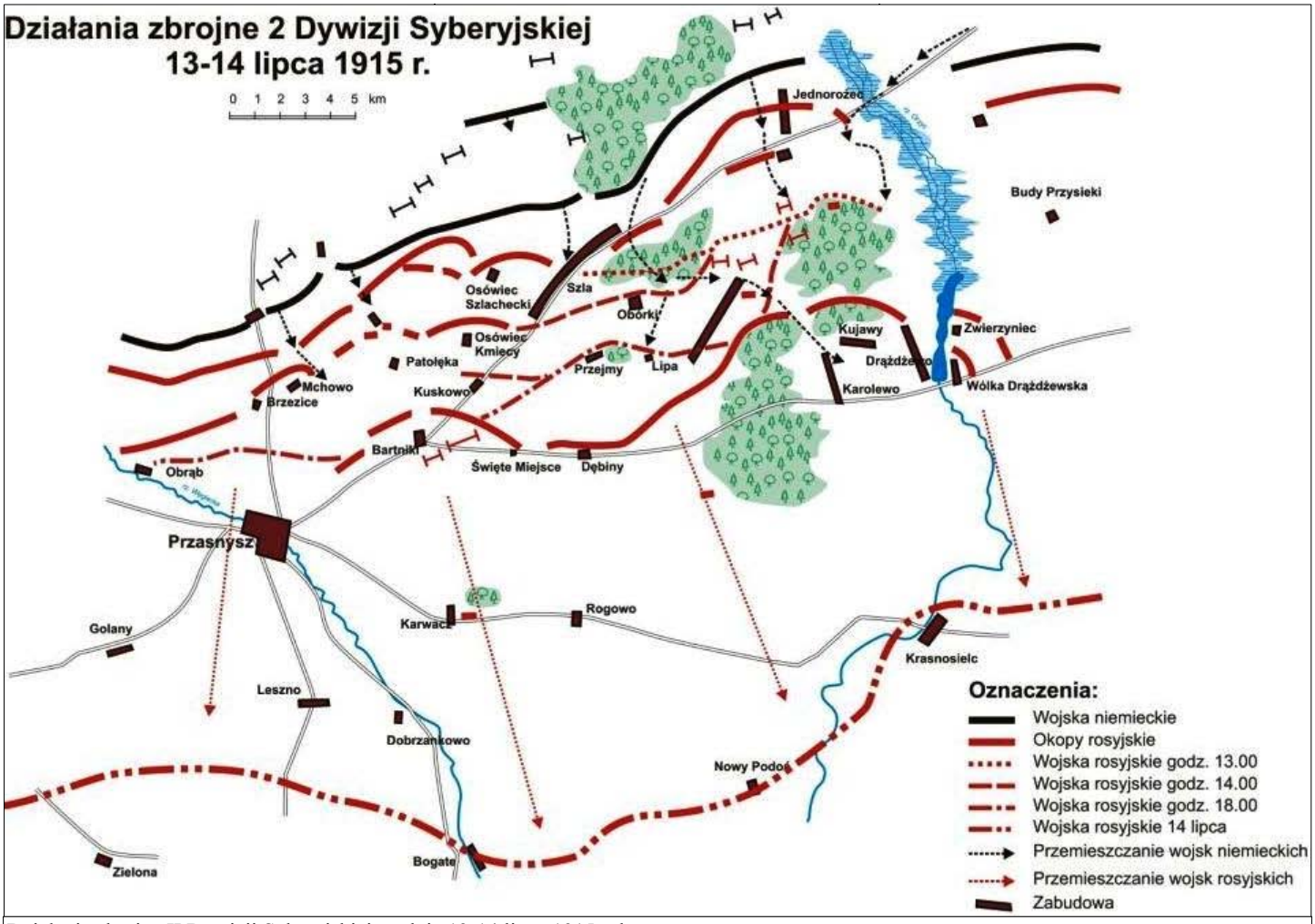

Działania zbrojne II Dywizji Syberyjskiej w dnia 13-14 lipca 1915 rok.

tą kanonadę, a kłęby kurzu i dymu skryły całą pierwszą linię obrony. Ciężkie pociski burzyły schronienia. Na okopy spadł zwarty deszcz pocisków ze szrapneli. Rosyjskie baterie nie były w stanie odpowiedzieć na tak zmasowany ostrzał.

Około godziny 6.30 niespodziewanie nastąpiła zupełna cisza i niemieccy zwiadowcy zaczęli szybko zbliżać się do rosyjskich okopów. Zawiązała się najpierw rzadka, ale potem częstsza strzelanina karabinowa. Około godziny 7.00 kanonada odnowiła się z jeszcze większą siłą, gdyż przyłączyły się do niej miotacze min, które czyniły jeszcze większe zniszczenia[21].

W czasie przygotowania artyleryjskiego strona rosyjska poniosła bardzo duże straty. Według wyliczeń, osiągnęły one do 30% składu kompanii rozmieszczonych na pierwszej linii obrony[22]. O godzinie 9.00 XI Korpus zaczął atak, zaś XIII Korpus wstrzymał się do godziny 9. 45. Kwadrans później, jako ostatni, ruszył do natarcia XVII Korpus. Z początkiem ataku ogień artyleryjski nie ustawał. W tej sytuacji dowództwo rosyjskie zdawało sobie sprawę, że Niemcy przygotowują się do silnego natarcia, mającego na celu przełamanie linii frontu.

Walka drugiej Dywizji Syberyjskiej

Na froncie 2 Dywizji Syberyjskiej ogień baterii niemieckich osiągnął największe nasilenie do godziny 5.15. Najsilniejszy ostrzał koncentrował się od wsi Jednorożec po skraj lasu przy wsi Obórki. W rezultacie, pomimo wyprowadzenia żołnierzy z okopów, straty były znaczne. Wiele okopów zostało zniszczonych całkowicie, część zasypanych. Pomimo tego, upadku ducha walki nie dało się zauważyć, a strzelcy przygotowywali się do obrony.

Niemiecki atak rozpoczął o godzinie 9.45. Lewoskrzydłowy pułk 4 Dywizji Piechoty Gwardii atakował z wielką energią i bardzo szybko rozbił 6 Pułk Syberyjski pod Jednorożcem. Następnie atak Niemców doprowadził do opanowania okopów i wzniesienia Czerwona Góra, co dało możliwość oddziałom 2 Dywizji Piechoty (z I Korpusu) zajęcia grobli i mostu przez rzekę Orzyc[23]. Atak oddziałów 3 Dywizji Piechoty na skraju lasu koło wsi Obórki został odparty. Rosjanie bardzo zaciekle bronili tego odcinka, kryjąc się w lejach po wybuchach pocisków, gdyż okopy zostały zniszczone w wyniku ostrzału artyleryjskiego. Wkrótce zaczął się atak na sąsiadujący z lewej strony 43 Pułk Syberyjski. W między czasie niemiecka 4 Dywizja Gwardii niespodziewanie zaatakowała 13 kompanię 5 Pułku Syberyjskiego. Dowódca odcinka – Jeleniew, skierował w ten rejon część rezerw, a sztab dywizji wysłał do wsi Bartniki batalion 2 Pułku Syberyjskiego. Niemcy, korzystając z sukcesu, obeszli flankę 8 batalionu Pułku Syberyjskiego i wdarli się w okolice lasu koło wsi Obórki, zajmując teren. W ten sposób zagrozili tyłom prawego odcinka 2 Dywizji Syberyjskiej. W tej sytuacji wprowadzono do walki wszystkie rezerwy, nawet batalion 8 Pułku Syberyjskiego, który był w rezerwie dywizji[24]. Część 3 Dywizji Piechoty niemieckiej, zgromadziwszy się przy wsi Oględa Szlachecka, wzmocniły swój napór po dolinie rzeki Murawka. Frontalne ataki Niemców na pozycję przy wsi Osówiec Szlachecki odbijały się od 5 Pułku Syberyjskiego wspieranego przez 7 batalion Pułku Syberyjskiego. Pod osłoną tych ataków 4 niemiecka Dywizja Gwardii stopniowo wprowadzała w rejonie miejscowości Obórki batalion za batalionem i zaczęła napierać na 8 Pułk Syberyjski, doprowadzając do walk na bagnety.

Przewaga liczebna strony niemieckiej doprowadziła do wycofania rosyjskich oddziałów do wschodniej i południowej części lasu. Jednocześnie 3 niemiecka Dywizja Piechoty obeszła z prawej strony Osówiec Szlachecki przez wieś Szla. W tej sytuacji 5 Pułk Syberyjski zaczął wycofywać się na pozycje na linii wsi Osówiec Kmiecy-Kot. Pomimo prób utrzymania odcinka, Rosjanie zostali zmuszeni do opuszczenia pierwszej linii okopów.

Do godziny 14. 00 front 2 Dywizji Syberyjskiej ciągnął się północnym skrajem lasu na północ od Drążdżewa, wschodnim skrajem lasu koło wsi Obórki do południowych peryferii wsi Szla i Osówiec Kmiecy[25]. Pospiełow bał się nowego wyłomu w okręgu Szla i rozkazał batalionowi 2 Pułku Syberyjskiego zająć na wszelki wypadek pozycję na linii wsi Kuskowo. W ten sposób pierwsza linia obrony została

[21] Г. Корольков, Праснышское…, s. 36.
[22] И. И. Ростунов, История Первой Мировой Войны 1914 – 1918 Т. 2, Москва 1975, s. 37.
[23] Porczyński W., Przełamanie…, s. 237.
[24] Г. Корольков, Праснышское… , s. 39.
[25] W. Porczyński, Przełamanie…, s. 237.

opuszczona. Sztab korpusu, bojąc się o lewą flankę dywizji z uwagi na wykrytą chwiejność 43 Pułku Syberyjskiego, rozkazał idącemu przez Przasnysz 1 Pułkowi Syberyjskiemu zająć pozycję na północ od Przasnysza wzdłuż linii wsi Bartniki – Obrąb.

Generał Litwinow był niezadowolony z powodu wycofania się dywizji z pierwszej linii obrony i nakazał bezwzględne utrzymanie się na pozycjach. Zgodnie z tym żądaniem sztab korpusu zamierzał utrzymać się do nadejścia ciemności, a potem odejść na drugą linię obrony.

Generał Watter zdecydował się kontynuować natarcie. Chciał zaatakować w rejonie lasu koło Obórek, następnie uderzyć w kierunku wsi Dębiny. Tym samym, planował jeszcze raz przedrzeć się przez centrum II Dywizji Syberyjskiej. Uderzenie miała wspierać 3 Dywizja Piechoty, rozwijając natarcie wzdłuż rzeki Murawki. 4 niemiecka Dywizja Gwardii miała uderzyć z lewej strony. W tym celu należało zająć wschodni skraj lasu drążdżewskiego[26]. Zadanie udało się wykonać do godziny 15.00, a do godziny 16.00 - wyprzeć część 7 Pułku Syberyjskiego z rejonu wsi Obórki. Atak oddziałów niemieckich był tak szybki, że zdołały okrążyć dwie rosyjskie kompanie. Jednak nie udało im się przebić dalej.

Prawie równocześnie 3 niemiecka Dywizja Piechoty we wsi Szla zaczęła okrążać wieś Osówiec Kmiecy. Kompanie 7 i 5 Pułków Syberyjskich musiały się wycofać. Do godziny 17.00 Osówiec Kmiecy był w rękach Niemców. Rosjanie wycofywali się pod silnym ostrzałem artyleryjskim do wsi Bartniki Koło godziny 18.00 front 2 Dywizji Syberyjskiej przechodził po północnym skraju lasu drążdżewskiego, dalej równolegle do wsi Lipa do okopów drugiej linii, przez południowe peryferie Lipy do lasu przy wsi Przejmy i dalej, w kierunku na wzgórze 58,7. Stąd okopami drugiej linii dookoła wsi Bartniki a następnie do wsi Obrąb. 5 i 7 Pułki Syberyjskie utrzymywały się w rejonie Lipy i w lesie koło miejscowości Przejmy. Natomiast w rejonie Bartnik zebrało się tak mało obrońców, że skierowano tu ostatnie dwa bataliony 2 Pułku Syberyjskiego.

2 Dywizja Syberyjska straciła ok. 50% swojego składu, a jej pozycje były rozciągnięte. Potrzebowano natychmiastowego wzmocnienia. Lewa flanka XIII Korpusu Niemieckiego pozostawała pod lasem w rejonie Drążdżewa i gen. Watter zdecydował się wzmocnić tu napór swych wojsk. Atak na umocnienia w rejonie Drążdżewa nastąpił z trzech stron. Przeprawiające się z lewego brzegu rzeki Orzyc oddziały 2 Dywizji Piechoty atakowały wzdłuż rzeki, 4 Dywizja Gwardii nacierała z północy i zachodu. Sztab korpusu, licząc, że 2 Dywizja Syberyjska jest atakowana nie mniej niż siedmioma niemieckimi pułkami (w rzeczywistości było to 10 pułków) nie widział możliwości utrzymania się nawet na drugiej linii obrony. Rozesłano wskazówki, zgodnie z którymi, w razie zagrożenia należy wycofać się na tylną pozycję, wytyczoną na linii Krasnosielc - Podoś.

Około godziny 20.00 Niemcy przypuścili atak na umocnienia w rejonie Drążdżewa. Największy sukces osiągnęli dzięki wojskom atakującym ze strony wsi Lipa. To tu udało im się przedrzeć przez las i wyjść do wsi Karolewo, co zagroziło wycofaniu się 6 Pułku Syberyjskiego z drążdżewskiego Lasu. Atakowany z trzech stron pułk przeszedł w rozsypkę. Nie licząc na wsparcie, około godziny 22.00 Muchanow zdecydował o wycofaniu się w kierunku Krasnosielca. W ten sposób lewa flanka 10 Dywizji Syberyjskiej została otwarta. Niemcy zdobyli wieś Kujawy[27]. Poza odwrotem Muchanowa, front nie uległ przesunięciu. Z nastaniem nocy walka cichła. Niemcy osiągnęli linie wsi Kujawy – Obórki - Osówiec Kmiecy. Generał Watter pomimo tego, że posiadał świeżą 26 Dywizję Piechoty, która wprowadzona do działań mogła dokończyć pogromu 2 Dywizji Syberyjskiej, zdecydował się wykonać rozkazy Gallwitza, który nakazał zatrzymać natarcie.

Jednorożec po bitwie. Fotografia ze zbiorów Mirosława Krejpowicza.

W czasie walki tylko 2 Dywizja Syberyjska straciła łącznie 37 oficerów i 5553 zabitych i rannych żołnierzy. Napór dziesięciu pułków niemieckich wspomaganych potężną artylerią okazał się zbyt duży. Niemcy przesunęli się wzdłuż Orzyca o 10 km w rejon wsi Szla o 6 km i w rejonie wsi Mchówek o 3 km. Mając podwójną przewagę w piechocie i zużywając przy tym ponad 2 miliony pocisków, potrzebowali zaledwie 3 godzin do zajęcia pierwszej linii obrony wojsk rosyjskich.

Pierwszy dzień bitwy pod Przasnyszem zakończył się po 21 godzinach walki. W nocy z 13 na 14 lipca 1915 r. I Armia Rosyjska wycofała się na tyłowe pozycje na linii umocnień Ciechanów - Krasnosielc. [28]

Odwrót przebiegał nadzwyczaj spokojnie. Strona niemiecka praktycznie nie zauważyła tego manewru. Do godziny 8. 00 wszystkie oddziały I Korpusu Syberyjskiego oderwały się od głównych sił niemieckich na odległość 7 - 12 km i zakończyły zajmowanie nowych pozycji. Obsadziły odcinek od folwarku Bagienice znajdujący się na północny wschód od Krasnosielca do folwarku Augustów. Na prawym skrzydle 2 Dywizja Syberyjska zajęła odcinek wzdłuż rzeki Orzyc. Jej przedmoście znajdowało się w Krasnosielcu i wsi Podoś. Od przedmościa w miejscowości Podoś zaczynało się prawe skrzydło 1 Dywizji Syberyjskiej, która zajęła trzema pułkami linię Płoniawy – Wielodróż – Augustów. 1 Syberyjski Pułk Piechoty stanowił odwód korpusu w rejonie Młodzianowa. Aby uniknąć okrążenia, wojska rosyjskie bez walki oddały Przasnysz, a wraz z nim ufortyfikowane pozycje[29].

Drugi dzień bitwy 14 lipca 1915 r.

Generał von Gallwitz o odwrocie Rosjan dowiedział się dopiero o godzinie 6.00 rano. Około południa zarządził atak, którego celem miało być przełamanie drugiej pozycji obrony Rosjan. Jednakże w nocy z 13 na 14 lipca pogoda zaczęła się zmieniać. Rano zaczął wiać zimny i silny wiatr, a koło godziny 10.00 nad polem bitwy przeszła wielka ulewa.

[26] Г. Корольков, Прасныишское…, s. 40.

[27] W. Porczyński, Przełamanie…, s. 240.

[28] И. И. Ростунов, Русский фронт…, s. 259.

[29] T. Święcki, F. Wybult,, Mazowsze Płockie w czasach I wojny światowej i powstawania państwa polskiego, Warszawa 1933, s. 81, A. Dobroński A., Walki w rejonie Przasnysza w I wojnie światowej, w: Tradycje niepodległościowe na północnym Mazowszu w XIX i XX wieku, Przasnysz 2002., s. 65, Patrz też: Depeschen nach Berichten des Wolff´schen Telegr.-Bureaus, Nationaler Verlag, Berlin 1915 http://www.stahlgewitter.com/15_07_17.htm.

W krótkim czasie wszystkie gruntowe drogi przekształciły się w grząskie błoto, które przylepiało się do obuwia i do kół furmanek. Posuwające się do przodu kolumny wojsk niemieckich grzęzły w błocie i rozciągnęły się. W tej sytuacji główne natarcie niemieckie zostało przełożone na drugi dzień. Dało to stronie rosyjskiej potrzebny czas dla ulepszenia swojej linii okopów. W tym czasie na nową linię obrony przybyły również odwody. Uzupełniono także braki w amunicji, jednak nadal występował ogromny deficyt na tym polu.[30]. Tego dnia XIII Korpus niemiecki atakował między rzeką Orzyc z jednej strony i Murawką oraz Węgierką z drugiej strony. Generał Watter podzielił swoje siły na trzy części: pierwsza – w składzie brygady 2 Dywizji piechoty (która miała przeprawić się przez Orzyc obok wsi Jednorożec) i całej 4 Dywizji Gwardii, miała atakować w pasie od Orzyca do linii wsi Lipa – Łazy – Sulicha; druga - w składzie 3 Dywizji piechoty - miała atakować w pasie od poprzedniej linii do linii wsi Kuskowo – Rogowo - Płoniawy, trzecia (prawe skrzydło) - w składzie 26 Dywizji piechoty - miała atakować w pasie od wskazanej powyżej linii do rzeki Murawka i Węgierka. Główne siły niemieckie stanęły na linii północnych peryferii wsi Przytuły i na północ od wsi Łazy. 3 Dywizja Piechoty doszła tylko do rejonu wsi Suche, gdzie zatrzymała się na nocleg. Czołowe oddziały nie przesunęły się dalej jak do rejonu wsi Płoniawy. Prawe skrzydło, gdzie nacierała 26 Dywizja Piechoty przemieszczało się szybciej, gdyż drogi w tym rejonie były w lepszym stanie. Około godziny 20.00 niemieckie baterie rozpoczęły ogień.

Trzeci dzień bitwy 15 lipca 1915 r.

W wyniku przeprowadzonego rozpoznania lotniczego gen. von Gallwitz zdecydował się poprzedzić atak solidnym przygotowaniem artyleryjskim, które rozpoczęło się o godzinie 5.00. Gallwitz wyznaczył jako zadanie dla atakujących korpusów, przełamanie nowo ufortyfikowanej linii obronnej Ciechanów – Bogate – Krasnosielc.

W wyniku rozpoznania rozmieszczenia pozycji rosyjskich gen. Watter podjął decyzję o sforsowaniu Orzyca w rejonie wsi Podoś. Zmasowane ataki na pozycje I i II Dywizji Syberyjskich, pomimo przygotowania artyleryjskiego, nie przyniosły rezultatów i zostały odparte. Dowódca XIII Korpusu niemieckiego gen. Sztaabs od godziny 9.30 do 22.00 osiem razy wydawał rozkaz do ataku. Każde natarcie otrzymało przygotowanie artyleryjskie. Pomimo tego wszystkie próby 3 Dywizji Piechoty wspartej 4 Dywizją Gwardii zostały przez 7 Pułk Syberyjski odparte[31].

Czwarty dzień bitwy 16 lipca 1915 r.

Minął kolejny dzień walk, a oddziałom niemieckim nie udało się sforsować Narwi. Generał von Gallwitz zaczynał obawiać się o losy bitwy. Zdecydował podzielić się swoimi wątpliwościami z gen. Ludendorfem, nie bez jego wpływu zdecydował się na zmianę planów natarcia. Lewe skrzydło uderzeniowe miało zadać rozstrzygający cios. XIII Korpus z 2 Dywizją Piechoty miały sforsować Orzyc, a następnie nacierać na Różan. Natomiast XVII Korpus miał sforsować Węgierkę i okazać wsparcie XIII Korpusowi. W tym czasie XI Korpus z 50 Dywizją Rezerwową powinien kontynuować natarcie na Pułtusk. I Korpus powinien nacierać na Ostrołękę. Natomiast XVII Korpus Rezerwowy Korpus i Korpus Dickutha powinny zacząć oblężenie Modlina od północy i zachodu[32].

Dowódca I Armii gen. Litwinow pozostawił swobodę działania przeciwnikowi. Ponadto nie zdawał sobie dokładnie sprawy z położenia na froncie[33].

Położenie walczących stron w dniach 15-17 lipca 1915 r.

O godzinie 5.00 rano 16 lica 1915 r. baterie niemieckie rozpoczęły przygotowanie artyleryjskie. Około 9.00 na odcinku 1 Dywizji Syberyjskiej rozpoczęło się natarcie niemieckie. Do godziny 11.00 udało im się opanować miejscowość Żbiki Wielkie i folwark Helenowo. Jednak w widłach rzecznych Orzyca i Węgierki, gdzie odcinka broniły 2 i 3 Syberyjskie Pułki Piechoty, ataki niemieckie zostały odparte

Na odcinku frontu, którego broniła 2 Dywizja Syberyjska, natarcie niemieckie koncentrowało się głównie na przeprawach w Krasnosielcu i wsi Podoś. Około godziny 12.00 oddziałom niemieckim, atakującym w kierunku na Podoś, udało się zdobyć most i przedostać na wschodni brzeg rzeki Orzyc. Około 13.00 silny kontratak rosyjski zmusił Niemców do wycofania się na zachodni brzeg Orzyca. Jednak w godzinach popołudniowych równoczesne natarcia niemieckie po obu stronach rzeki doprowadziły do zdobycia Krasnosielca.

[30] W. Porczyński., Przełamanie…, s. 244–245.
[31] Г. Корольков, Прасныщское… , s. 82 - 83.
[32] Tamże, s. 97-98.
[33] Tamże, s. 98–99.

Piąty dzień bitwy 17 lipca 1915 r.

Generał von Gallwitz zdecydował się sforsować Narew. Za najdogodniejszy dla tego działania uznał odcinek między Różanem i Pułtuskiem. Ponadto pozycje te były solidnie umocnione i dlatego sforsowanie rzeki między nimi dawało możliwość wyjścia na ich tyły, co przyśpieszyłoby zdobycie tych punktów[34].

Według rozkazu Galwitza z 17 lipca 1915 roku postawił on swoim oddziałom na omawianym odcinku frontu następujące zdania:
- XIII Korpus Wojskowy powinien zawładnąć Krzyżewskimi Górami i otworzyć sobie drogę na Różan;
- XVII Korpus Wojskowy, nacierając przez Maków, miał osiągnąć Szelków.

Około północy zostały rozesłane rozkazy von Gallwitza do poszczególnych oddziałów. Jednakże ok. 8.00 otrzymał on nowe wskazówki ze sztabu Hindenburga. Nowe zadania dla jednostek niemieckich były prawie analogiczne jak te, które zostały rozesłane o północy. Tylko niektóre dywizje zostały zmuszone do zmiany kierunku natarcia. Spowodowało to zatrzymanie rozpoczętego przemieszczenia korpusów. Dlatego mogły uderzyć dopiero koło południa, co pośrednio dało Rosjanom więcej czasu na przygotowanie się do odparcia ataku[35].

Podobnie jak w poprzednich dniach natarcie niemieckie poprzedziło przygotowanie artyleryjskie. Jednak strzały nie były zbyt celne i nie wyrządziły dużych szkód w oddziałach rosyjskich. Po południu oddziały niemieckie przystąpiły do ataku. Do najcięższych walk tego dnia doszło na odcinku frontu, którego bronił I Korpus Syberyjski. Wszystkie ataki łącznie z najsilniejszym w rejonie wsi Młodzianowo, gdzie Niemcy starali się sforsować Orzyc, nie powiodły się. Oddziały niemieckie opanowały tylko wieś Chełchy, jednakże nie udało im się przełamać linii frontu na tym odcinku[36]. Oddziały rosyjskie starały się również zatrzymać Niemców na linii Ośnica – Karniewo. Jednak ok. 15.30 zostały zmuszone do wycofania się na linię frontu Chrzanowo Marki – Pomaski Kownaty.

7. Żołnierze niemieccy na moście w pobliżu Krasnosielca. Fotografia ze zbiorów Mirosława Krejpowicza.

Po południu 35 i 36 Dywizje niemieckie atakowały coraz śmielej. Zamiarem Niemców było zdobycie Makowa i wyjście na tyły oddziałów rosyjskich broniących się na wschód od Orzyca[37]. Generał Pannewitz nakazał przeprawienie lewej flanki 35 Dywizji Piechoty przez Orzyc na południe od wsi Młodzianowo. Oddziały niemieckie w składzie 26 i 35 Dywizji Piechoty przesunęły się naprzód i około godziny 18.00 miały już miejsce silne walki na północ, zachód i południe od Makowa. Generał Litwinow, nie widząc innej możliwości zarządził odwrót[38].

Forsowanie Narwi

Dnia 18 lipca 1915 r. oddziały niemieckie wskutek dużych strat własnych zostały zmuszone wstrzymać natarcie[39]. Pierwsza faza operacji, która miała na celu sforsowanie Narwi zakończyła się. 19 lipca wszystkie oddziały rosyjskie stanęły na linii Narwi na południowy zachód od Ostrołęki. Dnia 20 lipca rozpoczęło się niemieckie natarcie, którego celem było sforsowanie Narwi. W połowie lipca przedmoście Różana obsadził XX Korpus Syberyjski mający za zadanie obronę tego odcinka. Twierdza w Różanie była atakowana przez wojska niemieckie od 22 lipca 1915 r. Pomimo wsparcia artylerii, fortyfikacje nie zostały zdobyte. Kolejne natarcia, mimo wzmocnień, również nie dały rezultatu. Rosjanie wycofali się w nocy z 23 na 24 lipca. W związku z tym, iż wojska niemieckie sforsowały Narew na innym odcinku, w tym czasie rozpoczęły się zaciekłe walki o uchwycenie przyczółków na lewym brzegu rzeki. Po opanowaniu twierdz w Różanie i Pułtusku w ręce Niemców dostała się znaczna ilość sprzętu i uzbrojenia pozostawionego przez Rosjan. Ostatecznie walki, których celem było sforsowanie Narwi, trwały 10 dni i pociągnęły za sobą znaczne straty w ludziach i sprzęcie[40].

W tym samym czasie od południa atakowały: XI Armia niemiecka oraz II i IV Armie austro–węgierskie. Wkrótce zajęły: Lublin (30 lipca), Chełm (1 sierpnia) i Dęblin (4 sierpnia). Tego samego dnia armia niemiecka atakowała Warszawę[41].

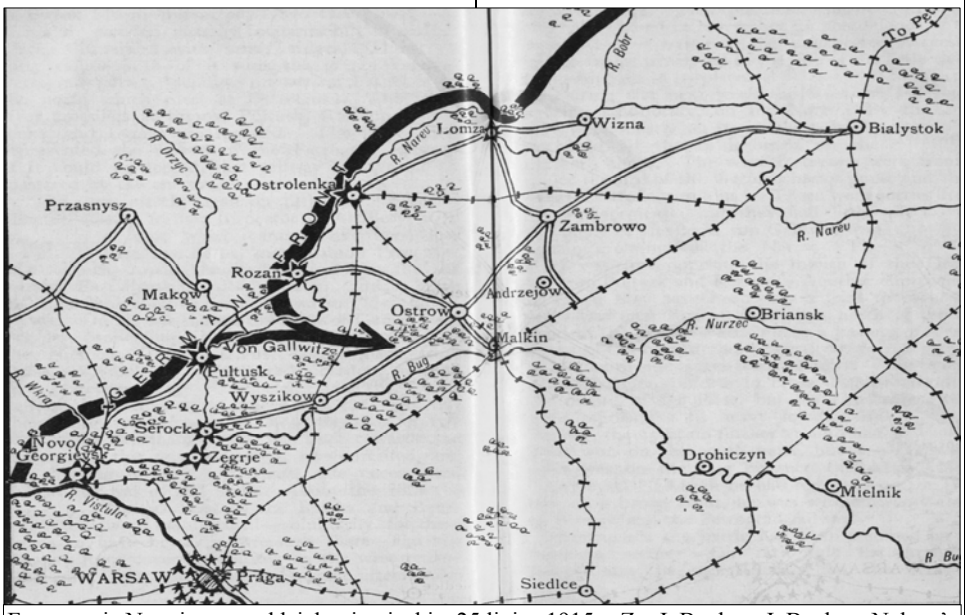

Forsowanie Narwi przez oddziały niemieckie. 25 lipiec 1915 r. Za: J. Buchan, J. Buchan, Nelson's History of The War, Volume VII.

[34] Tamże…, s. 120.
[35] W. Porczyński, Przełamanie…, s. 258.
[36] Г. Корольков, Прасныщское… , s. 126.
[37] W. Porczyński, Przełamanie…, s. 260.
[38] Г. Корольков, Прасныщское… , s. 131 – 132.
[39] И. И. Ростунов, Русский фронт…, s .259.
[40] Fortyfikacja, t. IV, Warszawa – Kraków 1996. J. Pajewski, Pierwsza…, s. 285, W. Łaskarzewski, J. Chorzępa „Przedmoście Różan", Przasnysz 2001, patrz też: „Sieg über die russische 5. Armee bei Schaulen - Die Narewfestungen Rozan und Pultusk erstürmt - 120000 Russen seit 14. Juli gefangen" http://www.stahlgewitter.com/15_07_24.htm.
[41] Patrz: „Der Westteil von Iwangorod genommen - Die Armee des Prinzen Leopold von Bayern greift Warschau an" za: http://www.stahlgewitter.com/15_08_04.htm.

Już 5 sierpnia oddziały niemieckie weszły do opuszczonej przez wojska rosyjskie Warszawy[42]. W końcu 20 sierpnia po zaciętych walkach oddziały niemieckie zdobyły twierdzę Modlin[43].

Podsumowując należy stwierdzić, że cel jaki zakładała sobie strona niemiecka, nie został osiągnięty. Pomimo tego, że XII Armia znacznie zbliżyła się do Narwi, po drodze unicestwiając wiele rosyjskich pułków, to sama poniosła również duże straty własne (20%). Generał von Gallwitz stworzył grupę uderzeniową, która przełamała linie frontu, ale nie była w stanie zrealizować ofensywy, głównie ze względu na wyżej wspomniane straty własne. Na skutek wielu wyżej wymienionych błędów von Gallwitza jak i samego dowództwa (interwencja Ludendorffa), przeciwnik zdołał uniknąć pogromu, wycofując się aż za Narew. Największym błędem po stronie niemieckiej było to, że na froncie wschodnim równocześnie odbywały się dwa uderzenia. Pierwsze generała Belowa na północ od Kowna (Bitwa pod Szawlami), drugie generała von Gallwitza (Bitwa Przasnyska). W końcowym rozrachunku siły na obydwu kierunkach okazały się niewystarczające. Na skutek tego ani pod Szawlami, ani pod Przasnyszem nie udało się Niemcom odnieść sukcesu strategicznego na miarę Gorlic.

Dowództwo rosyjskie również nie stanęło na wysokości zadania. Jednak zacięty opór wojsk rosyjskich nad Narwią nie pozwolił Niemcom osiągnąć celu głównego. Jednocześnie umożliwił wycofanie oddziałów carskich z łuku warszawskiego[44].

W Bitwie Przasnyskiej Niemcy stracili łącznie 199 oficerów i 8772 żołnierzy, w tym 1563 zabitych, 6429 rannych, a 720 zaginęło bez wieści. Do niewoli rosyjskiej dostało się 427 żołnierzy. Straty po stronie rosyjskiej były znacznie wyższe i wyrażają się takimi danymi: 361 oficerów i 39 434 żołnierzy, z tej liczby około 12% zabitych, ponad 37% rannych i około 50% zaginionych bez wieści. Liczba żołnierzy rosyjskich wziętych do niewoli niemieckiej to około 40 oficerów i ponad 16 000 żołnierzy. Ponadto strona rosyjska utraciła: 12 dział, w tym 2 ciężkie; 48 karabinów maszynowych; ponad 30 000 karabinów.

Sytuacja po zakończeniu działań zbrojnych

W czasie wyżej wspomnianych walk, najbardziej ucierpiała okoliczna ludność. Czego nie zniszczyła wojna, tego dokonały wycofujące się wojska rosyjskie, które stosowały taktykę *„spalonej ziemi”*. Widzimy niespotykaną we wcześniejszych wojnach falę cierpień tych ludzi i zniszczeń ich mienia. W gminie Jednorożec nie było miejscowości, która nie poniosła żadnych strat. Sama miejscowość Jednorożec, gdzie w lipcu nastąpiło przełamanie frontu, została zniszczona i spalona niemal w 100 %. Podobny los spotkał pobliskie wsie Budy i Nakieł. Wieś Lipa ocalała tylko w połowie. Mieszkańcy powracający do swoich miejscowości często nie potrafili odnaleźć miejsc, gdzie stały ich domy. Wokół panowały głód i nędza oraz epidemie groźnych chorób, prowadzące do zapaści demograficznej[45].

Pola, lasy i łąki zostały pocięte okopami, zasiekami oraz umocnieniami obronnymi. W tej sytuacji wiele pól uprawnych leżało odłogiem. Przystępując do prac polowych okoliczna ludność musiała oczyścić je najpierw z niewybuchów i niewypałów oraz z wszelkiego rodzaju broni i amunicji, a także z drutów kolczastych[46].

Mieszkańcy żywili się tym co oferowała im natura. m.in. łapali ryby w pobliskiej rzece Orzyc. W najtrudniejszym okresie odżywiali się pokrzywami i komosą, a także odkopywali

Drążdżewo rok 1915. Foto ze zbiorów Mirosława Krejpowicza.

Cmentarz wojenny w Jednorożcu, założony w 1915 r. Fotografia ze zbiorów Mirosława Krejpowicza.

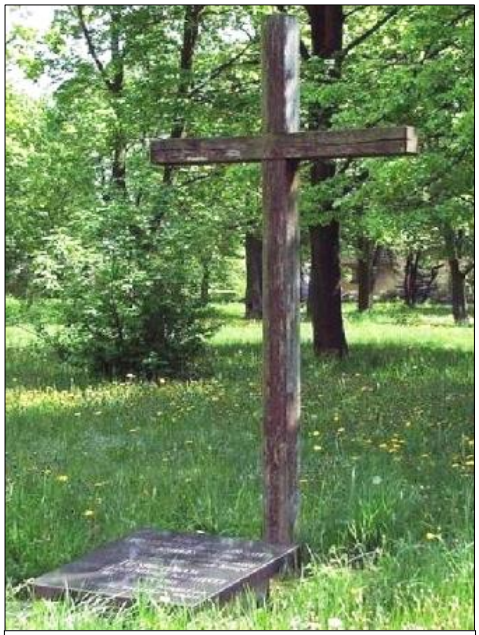
Zbiorowa mogiła żołnierzy niemieckich w Makowie. Foto. Z. Lorenc.

[42] J. Pajewski, Pierwsza…, s. 285 -286, http://www.stahlgewitter.com/15_08_05.htm, A. Wap, Twierdza…, s. 59.

[43] Według M. Gilberta do niewoli dostała się 90 tysięczna załoga twierdzy, w tym trzydziestu generałów, Patrz: M. Gilbert, Pierwsza…, s. 196 – 197.

[44] A. Dobroński, Walki …, s. 67.

[45] T. Święcki, F. Wybult, Mazowsze…, s. 81 - 82. R. Waleszczak Przasnysz…, s. 203.

[46] Wspomnienia S. Wilgi, „Smutna Dola Wioski Jednorożec”, kserokopia rękopisu w posiadaniu autora, s. 94, 101 -102. patrz też: „Kurier Płocki” nr 61, 129/1915.

kopce ze zgniłymi ziemniakami, suszyli je i robili z nich mąkę. Następnie głównym pożywieniem ludności były: marchew, kartofle i brukiew. Chleb natomiast był pod przydziałem w każdej rodzinie, ponieważ sam wypiek był utrudniony. Ziarno mielono w żarnach, gdyż młyny znajdowały się pod kontrolą Niemców, rekwirujących każdą ilość ziarna [47].

Władze okupacyjne gnębiły ludność nie tylko barbarzyńskimi kontrybucjami, ale też m.in. wywózkami na roboty do Niemiec. Nasilały się one zwłaszcza w okresie prac polowych.

Niemcy wybudowali również sieć dróg z Przasnysza w kierunku Baranowa i Janowa. W ten sam sposób połączone zostały też Chorzele z Flambergiem (Opaleniec) oraz Krasnosielcem.

I wojna światowa postrzegana jest głównie jako „nie nasza wojna", jednak linie okopów i cmentarze wojenne z okresu I wojny światowej stały się ważnym elementem naszego pejzażu. Największa nekropolia z tego okresu na Mazowszu znajduje się w Jednorożcu. W powiecie makowskim również zachowało się kilka cmentarzy z tego okresu. Przy drodze z Nowego Podosia do wsi Suche, w lesie, na terenie prywatnym, położony jest cmentarz żołnierzy niemieckich. W Makowie Mazowieckim na ulicy Stanisława Moniuszki znajduje się zbiorowa mogiła żołnierzy niemieckich. Obecny kształt obiektu nie przypomina cmentarza, który został zniszczony w okresie II wojny światowej. W miejscowości Łazy przy trasie Ostrołęka – Przasnysz usytuowany jest cmentarz żołnierzy niemieckich, który nie posiada mogił. Również cmentarz w miejscowości Suche w gminie Płoniawy – Brawura, na którym spoczywają żołnierze rosyjscy i niemieccy nie posiada mogił. Największa i najlepiej zachowana nekropolia w powiecie makowskim znajduje się w lesie w pobliżu Kaszewca w gminie Różan. Mniejszy i gorzej zachowany cmentarz wojenny położony jest w miejscowości Chełsty. Natomiast na zachód od wsi możemy natrafić na kilka mogił ziemnych.

Odwiedzając te miejsca, pamiętajmy o żołnierzach, którzy posłuszni rozkazom walczyli i zginęli na obcej ziemi. Wielu spośród nich stanowili Polacy, ubrani w mundury mocarstw zaborczych.

Zbigniew Lorenc

Cmentarz w miejscowości Łazy przy drodze Nr 544 z Krasnosielca na Przasnysz. Foto. Z. Lorenc.

Bibliografia

I. Źródła.

1. Depeschen nach Berichten des Wolff´schen Telegr.-Bureaus, Bd. 1, Berlin 1915, za: http://www.stahlgewitter.com.
2. Białoszewski Cz., Wspomnienia (Zbiory Muzeum Historyczne w Przasnyszu).
3. "Frankfurter Zeitung" 1915, za : http://www.stahlgewitter.com.
4. Szczepański J. (red.), Mazowsze Północne w XIX-XX wieku. Materiały źródłowe 1795-1956, Warszawa - Pułtusk 1997.
5. Śmieciński J., Moje wspomnienia o Przasnyszu i powiecie przasnyskim w latach 1920 - 1945 (Zbiory Muzeum Historyczne w Przasnyszu).
6. Wilga S., „Hystorja pierwszej Wojny Światowej", kserokopia rękopisu w posiadaniu autora.
7. Wilga S., „Smutna Dola Wioski Jednorożec", kserokopia rękopisu w posiadaniu autora.

II. Opracowania polskojęzyczne.

1. Bazylow L., Wieczorkiewicz P., Historia Rosji, Wrocław 2005.
2. Białczak A., Dzieje Baranowa oraz ziem nad Płodownicą i Omulwią, Baranowo – Ostrołęka 2005.
3. Boruta T., Wieś mazowiecka w czasie I wojny światowej, w: Wieś – chłopi – ruch ludowy na północnym Mazowszu w XX w., Ciechanów 1996.
4. Dąbrowski J., Wielka wojna 1914 - 1918, cz. 2, Warszawa 1937.
5. Dobroński A., Łomża w latach 1866-1918, Łomża – Białystok 1993.
6. Dobroński A., Walki w rejonie Przasnysza w I wojnie światowej, w: Tradycje niepodległościowe na północnym Mazowszu w XIX i XX wieku, Przasnysz 2002.
7. Encyklopedia wojskowa, t.V iVI, Warszawa 1914.
8. Gilbert M., I wojna światowa, Poznań 2003.
9. Holzer J. Europa wojen 1914-1945, Warszawa 2008.
10. Jakowlew W. W., Szmakow N., Fortyfikacja stała przed i w czasie I wojny światowej, Przasnysz 2004.
11. Kumaniecki K., Strategia wielkiej wojny 1914-1918, Kraków-Warszawa 1921.
12. Limanowski Z., Zniszczenia wojenne w budowlach byłego Królestwa Polskiego, Warszawa 1918.
13. Łaskarzewski W., Chorzępa J., Przedmoście Różan, Przasnysz 2001.
14. Mitkiewicz L., Bitwa zimowa na Mazurach (6-21 II 1915 r.), Warszawa 1936.
15. Nowowiejski A., Płock. Monografia historyczna, wyd. II, Płock 1930.
16. Odziemkowski J., Warszawa i Mazowsze w walce o niepodległość kraju w latach 1794 – 1920, Warszawa 2001.
17. Pajewski J., I wojna światowa 1914-1918, Warszawa 2005.
18. Piekałkiewicz J., Kalendarium wydarzeń I wojny światowej, Warszawa 1988.
19. Porczyński W., Przełamanie pozycyj rosyjskich pod Przasnyszem w roku 1915, „Bellona" t. XXXVIII, 1931, z. 2.
20. Showalter D. E., Tannenberg 1914. Zderzenie imperiów, Warszawa 2005.
21. Świecki T., Wybult F., Mazowsze Płockie w czasach I wojny światowej i powstawania państwa polskiego, Warszawa 1933.
22. Waleszczak R., Chorzele. Zarys dziejów, Chorzele 1992.
23. Waleszczak R., Przasnysz i powiat przasnyski w latach 1866-1939, Przasnysz 1999.
24. Wap A., Twierdza Osowiec, Białystok 1994.
25. Wiest A., Historia I wojny światowej, Warszawa 2003.
26. Zawadzki B., Studia z wojny światowej, Warszawa 1924.
27. Zgórniak M., 1914-1918, Studia i szkice z dziejów I wojny światowej, Kraków 1987.

III. Opracowania obcojęzyczne

1. Борисов А., Праснышская операция, „Военно - исторический журнал", 1941, № 3.
2. Buchan J., Nelson's History of the War, vol. VI, London, Edinburgh, Dublin and New York.
3. Гофман М., Война упущенных возможностей, Москва - Ленинград 1925.
4. Корольков Г., Лодзинская операция 2 ноября - 19 декабря 1914 г., Москва 1934.
5. Корольков Г., Праснышское сражение 1915, Москва - Ленинград 1928.
6. Корольков Г., Сражение под Шавли, Москва - Ленинград 1926.
7. Незнамов А., Стратегический очерк войны 1914—1918, Москва 1922.
8. Радус-Зенкович Л., Отчего 1. русская армия Ренненкампфа в августе 1914 г. не помогла 2. русской армии Самсонова, „Военно-Исторический сборник", 1920, № 4.
9. Ростунов И. И., Русский фронт Первой Мировой Войны, Москва 1976.
10. Stone N., The Eastern Front 1914 - 1917, New York 1975.

[47] Wspomnienia S. Wilgi, op.cit., s. 96, 103, 105, 129, T. Boruta, Wieś mazowiecka w czasie I wojny światowej, w: Wieś – chłopi – ruch ludowy na północnym Mazowszu w XX w., Ciechanów 1996.

Panorama społeczno-polityczna powiatu makowskiego po zakończeniu II wojny światowej.

cz. IV

Polska Partia Socjalistyczna w powiecie makowskim (1945-1948)

Wojciech ŁUKASZEWSKI

Polska Partia Socjalistyczna była partią o wieloletnich tradycjach. W szeregach ugrupowania politycznego, które powstało w 1892 r. w Paryżu, byli m.in.: Józef Piłsudski i Stanisław Wojciechowski. W swoim programie politycznym PPS deklarowała wolność, niepodległość oraz suwerenność Polski. Jednak w wyniku II wojny światowej oraz jej następstw politycznych, we wrześniu 1944 r. powstała Polska Partia Socjalistyczna tzw. „odrodzona”,

Edward Osóbka-Morawski. Wikipedia.

która silnie związana była z Polskim Komitetem Wyzwolenia Narodowego. W swoim programie odcinała się od przedwojennych tradycji i historii. Podkreślała konieczność sojuszu z Polską Partią Robotniczą oraz Związkiem Sowieckim. Nowa PPS zerwała kontakty z przedwojennymi socjalistami oraz przywódcami ruchu socjalistycznego na emigracji. Niezależni socjaliści nazywali PPS „koncesjonowaną” lub nawet „fałszywą”. Głównymi przywódcami „koncesjonowanej” PPS byli: Józef Cyrankiewicz, Edward Osóbka-Morawski, Stanisław Szwalbe, Bolesław Drobner.

W celu uwiarygodnienia intencji partii w społeczeństwie, próbowano pozyskać do PPS-u Zygmunta Żuławskiego oraz socjalistów pozostających nadal w konspiracji. Jednak w wyniku decyzji kierownictwa partii do układu pomiędzy „niezależnymi”, a „koncesjonowanymi” socjalistami nie doszło. Opozycjoniści próbowali nawet w październiku 1945 r. powołać konkurencyjną Polską Partię Socjalno-Demokratyczną, jednak władza odmówiła zarejestrowania PPSD. W wyniku kolejnych rozmów, Żuławski wraz z grupą opozycyjną postanowił wejść do PPS-u. Pozostała część socjalistów, która wyrażała dezaprobatę wobec mariażu z komunistami zaprzestała działalności politycznej bądź też udała się na emigrację. Jednak pomimo pozornego zjednoczenia działaczy socjalistycznych, pomiędzy „dysponentami PPR” a grupą Żuławskiego powstawały coraz wyraźniejsze tarcia. Żuławski sprzeciwiał się coraz ściślejszej współpracy z Polską Partią Robotniczą. Czarę goryczy przelała sprawa zaangażowania się PPS po stronie komunistów w referendum ludowym z czerwca 1946 r. oraz koncepcja wystartowania do wyborów do Sejmu we wspólnym bloku z ugrupowaniami dyspozycyjnymi wobec Moskwy. Zygmunt Żuławski ostatecznie wystąpił z szeregów partii w październiku 1946 r. [1]

Założenia programowe PPS-u były przedstawione na XXVI Kongresie. Zawarto w nich zapisy o umocnieniu sojuszu ze Związkiem Sowieckim oraz Polską Partią Robotniczą. Ponadto wygłaszający swe referaty socjaliści próbowali odciąć się od antybolszewickiej przeszłości PPS-u. [2]

Tabela 1. Stan liczbowy członków PPS w powiecie makowskim wg stanu na wrzesień 1947r.

ogółem	aktyw	fizyczni	umysłowi	chłopi	przybyło	ubyło
174	20	40	66	68	11	0

Źródło: Archiwum Akt Nowych (AAN), Polska Partia Socjalistyczna (PPS), Wydział Ogólno-Organizacyjny KW Warszawa, Sprawozdania, 1946-1947, sygn. 235/VII-266, k. 66.

W Makowie Mazowieckim Polską Partię Socjalistyczną zawiązano stosunkowo późno, gdyż dopiero w połowie 1945 r. W lutym kolejnego roku partia liczyła tylko 33 członków.[3] Jednak szeregi socjalistów powoli się zwiększały, gdyż już na początku 1947 r. partia liczyła 300 członków. W 1946 r. przewodniczącym Komitetu Powiatowego był Władysław Zakrzewski w Makowa Maz., sekretarzem Teofil Czapla a skarbnikiem Alojzy Kluczek. [4] W sierpniu 1948 r. makowski PPS liczył 21 kół. W gminie Krasnosielc był 1 radny z PPS-u, w gminie Perzanowo – 3 radnych, w Różanie 7 radnych, a w gminie Karniewo - 5 radnych.

PPS nie posiadał większych wpływów w lokalnym środowisku politycznym. Jego przywódcy nie potrafili w żaden sposób zagrozić priorytetowi rosnącej w powiecie powoli, aczkolwiek systematycznie Polskiej Partii Robotniczej. PPS sukcesywnie stawała się marionetką w rękach komunistów. Jednak pomimo marginalizacji PPS-u w powiecie funkcjonariusze Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Makowie Mazowieckim postanowili inwigilować socjalistów, zresztą taki los spotkał również inne partie polityczne, organizacje młodzieżowe i społeczne. W grudniu 1946 r. sekretarz Komitetu Powiatowego PPS w Makowie Maz. został zwerbowany do współpracy przez Wydział IV Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego i otrzymał pseudonim operacyjny „Rawicz”. [5]

Począwszy od roku 1947 liczba członków partii zwiększała się, powstawały nowe koła. W kwietniu 1947 r. w powiecie makowskim powstały 2 koła PPS: we wsi Łukowe, gm. Karniewo, liczące 100 członków oraz w Karniewie liczące 15 członków. [6] W grudniu 1947 r. partia w powiecie liczyła 412 członków. Jak już wcześniej wspomniałem, żadna partia i organizacja polityczna nie mogła ostać się bez swojego „anioła stróża” z PUBP i w styczniu 1948 r. makowska „bezpieka” zwerbowała do współpracy, na podstawie materiałów kompromitujących, członka partii, nauczyciela Witolda Zduniaka. [7]

Podczas reorganizacji Powiatowego Komitetu PPS jego przewodniczącym pozostał wspomniany agent „bezpieki” W. Zduniak, wiceprzewodniczącym – Wacław Ostrowski, również nauczyciel; sekretarzem został Antoni Maliszewski oraz skarbnikiem – Walerian Bardzki. W Zarządzie makowskiego PPS było aż 5 wtyczek UB. Czterech z nich nosiło pseudonimy: „Zuch”, „Wiosna”, „Karłacz”, „Łagodny”. [8]

Tabela 2. Skład Zarządu Komitetu Powiatowego PPS w powiecie makowskim wg stanu na 10.10.1946 r.

Skład Zarządu Komitetu Powiatowego PPS wg stanu na 10.10.1946 r.	
Funkcja	Imię i nazwisko
Przewodniczący	Józef Młodawski
sekretarz	Józef Bargiewski
skarbnik	Zbarzewski
członek Zarządu	Rosłon

Źródło: Źródło: AAN, Polska Partia Socjalistyczna, Wydział Ogólno-Organizacyjny – KW Warszawa – Struktura Organizacyjna 1946-1948, sygn. 235/VII-258, k.29-32.

Podczas zbliżania się procesu zjednoczeniowego, masowo zaczęto usuwać członków reprezentujących tzw. prawicowy kierunek w PPS.

W powiecie makowskim w ramach czystek usunięto 78 członków PPS. Usuniętych członków określano kułakami, posiadaczami ziemskimi, byłymi członkami organizacji podziemnych, łapownikami, spekulantami i obcymi klasowo. [9]

Tabela nr 3. Zestawienie liczbowe członków PPS wykluczonych z partii w październiku 1948 r. w powiecie makowskim

Powody wykluczenia				Razem:
Odchylenia prawicowe	Obcość klasowa	Spekulacja i handel	Nałogowe pijaństwo	
53	3	2	4	**62**

Źródło: AAN, PPS, Wydział Ogólno-Organizacyjny – KW Warszawa 1948, sygn.235/VII-269, k. 4.

Tabela nr 4. Skład socjalny członków PPS wykluczonych z partii w październiku 1948 r. powiecie makowskim

robotnicy	chłopi	rzemieślnicy	pracownicy umysłowi	wolne zawody i kupcy	inni	Razem:
17	17	5	37	6	3	**85**

Źródło: AAN, PPS, Wydział Ogólno-Organizacyjny – KW Warszawa 1948, sygn.235/VII-269, k. 3a.

Los krajowej PPS skupiającej 500 tysięcy osób przypieczętował w grudniu 1948 tzw. kongres zjednoczeniowy, podczas którego partia formalnie połączyła się z komunistyczną Polską Partią Robotniczą. Faktycznie natomiast została przez nią wchłonięta, tworząc Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą.

Po II wojnie światowej „koncesjonowana" Polska Partia Socjalistyczna posiadała własną organizację młodzieżową, którą była Organizacja Młodzieżowa Towarzystwo Uniwersytetów Robotniczych (OM TUR). W dniach 8-9 paź-

dziernika 1944 r. w Lublinie odbył się zjazd „koncesjonowanej" Polskiej Partii Socjalistycznej, na którym podjęto decyzję o reaktywowaniu OM TUR.

W powiecie makowskim OM TUR w połowie roku 1947 liczył 73 członków. [10] Miejscowy PUBP zwerbował do współpracy Instruktora Powiatowego OM TUR, którego zadaniem miała być walka z Sadowską, członkinią OM TUR, która występowała przeciwko Polskiej Partii Robotniczej i Związku Walki Młodych. [11]

Jak widzimy zarówno w działalności PPS jak i OM TUR nie mogło być mowy o jakiejkolwiek samodzielności i suwerenności. Makowska „bezpieka" znała każdy krok swojej sojuszniczej partii, aby móc wyeliminować we właściwym czasie jej zapalne ogniwa.

Wojciech Łukaszewski

Przypisy:

[1] - J. Holzer, *PPS. Szkic dziejów*, Warszawa 1977, s.198-200.
[2] - B. Syzdek, *Polska Partia Socjalistyczna w latach 1944-1948*, Warszawa 1974, s. 146-147.
[3] - K. Dobrosielski, *Życie społeczno-gospodarcze i polityczne powiatu makowskiego w latach 1945-1975* [w:] *Maków Mazowiecki i Ziemia Makowska*, Warszawa 1984, s.222.
[4] - Archiwum Miasta st. Warszawy, Oddział w Pułtusku (APP), Starostwo Powiatowe w Makowie Maz. 1945-1950, sygn.30, d.n.s.
[5] - Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej (AIPN), sygn. 0206/68, k.144.
[6] - Ibidem, k.195.
[7] - Ibidem, k.290.
[8] - Ibidem, k.300.
[9] - AIPN 0206/68, k.365.
[10] - AIPN 0206/68, k.219.
[11] - Ibidem, k. 211. Informator makowskiego OM TUR nosił pseudonim "Deszcz". AIPN 0206/68, k.112.

Kilka uwag do historii Krasnosielca

Adam A. PSZCZÓŁKOWSKI

Szanowny Czytelniku

Przejrzałem wstecz wszystkie „Zeszyty Historyczne", skupiając się na tych artykułach, które się tyczą historii Krasnosielca sprzed 1824 roku. Porównałem je z pracami księdza Michała Grzybowskiego i Urszuli Dembickiej. Niestety wszędzie powielane są pewne błędy. W moim artykule również. Najważniejsze kwestie - które wypada dziś sprostować, a które, mam nadzieję, zostaną niedługo opublikowane w moim dłuższym artykule tyczącym się prywatnych miasteczek w ziemi ciechanowskiej, podaję niżej w punktach.

1. Sielc nabył od Ciemniewskich Jan Bonawentura Krasiński w latach 1697-1701. To już było podane w moim tekście z 2010 r. I to nadal potwierdzam [patrz: „Krasnosielecki Zeszyt Historyczny", nr 2, kwiecień 2010, s. 7-9].

2. Wszystko wskazuje na to, że o prawa miejskie dla Sielca wystarał się Błażej Krasiński (wnuk powyższego Jana Bonawentury) - od Stanisława Leszczyńskiego, w okresie gdy ten był po raz drugi królem Polski. Więc gdzieś między 1733 a początkiem 1736 roku. Dlatego brak dokumentu w Metryce Koronnej. Należałoby sprawdzić, czy akta czynności Stanisława Leszczyńskiego jako króla Polski nie znajdują się w Archiwum w Nancy we Francji.

3. Jeden z licznych spadkobierców Błażeja (zmarłego w 1751 a nie w 1752 roku, jak się powszechnie błędnie podaje), to Jan Chryzostom Krasiński biskup loryneński, a nie Jan Kanty! Napis w kościele w Krasnosielcu wygląda bardzo podejrzanie. Odnoszę wrażenie, że powstał na przełomie XIX i XX wieku.

4. Nazwę Krasnosielc wprowadził biskup Jan Chryzostom już w 1753 r., ale prawnie utrwalił jego bratanek Kazimierz (o czym już wcześniej pisałem).

5. Liczba Żydów w Krasnosielcu w 1781 r. wynosiła 70 osób powyżej 2 roku życia (więc wszystkich mogło ich tam być około 80). Dysponuję ich pełną listą - wraz z imionami i numerami domów. Natomiast wszelkie dane dotyczące liczebności tej grupy, podawane we wcześniejszych artykułach (znakomicie wyższe – 243 opodatkowane głowy) obejmują cały kahał krasnosielski. A ten kahał to także Przasnysz, Chorzele i Baranowo! [AGAD, ciechanowskie grodzkie relacje i oblaty, sygn. 79, k. 288v- 291v].

6. W 1781 r. Kazimierz Krasiński uzyskał od Stanisława Augusta odnowienie praw miejskich wraz z określeniem terminów targów (w poniedziałki) i 4 jarmarków (w dniach 21 stycznia, 26 marca, 29 czerwca i 1 listopada). Dokument znajduje sie w 3 niezależnych źródłach. [AGAD, Sigilata, sygn. 35, k. 14v; AGAD, Księgi Kanclerskie Metryki Koronnej, sygn. 70, dział II, k. 38-39; AGAD, przasnyskie ziemskie wieczyste, sygn. 23, k. 144 i n.].

7. W 1786 r. Kazimierz Krasiński prosił o zmiany - i otrzymał 4 nowe jarmarki (w miejsce starych - na Świętego Wawrzyńca Męczennika, Świętego Mateusza Apostoła, Świętego Andrzeja Apostoła, nazajutrz po Św. Stanisławie Biskupie). Nie było zatem powiększenia do 8 jarmarków, choć wiem, ze było to błędnie interpretowane już w początkach XIX w. Dokument jest w dwóch niezależnych źródłach. W przypadku 1781 i 1786 należy jeszcze znaleźć petycje Kazimierza do króla. Muszą znajdować się w zbiorach Archiwum Głównego Akt Dawnych w Warszawie [AGAD, Sigilata, sygn. 35, k. 254, AGAD, Księgi Kanclerskie, sygn. 80, dział II, k. 73-75].

8. Grób Kazimierza Krasińskiego wraz z epitafium i barwnym portretem – chyba nieznanym w ikonografii, znajduje się obecnie w Woli Kiełpińskiej koło Serocka. Oglądałem to epitafium w lipcu 2012 r.

9. Treść dokumentu wydzielającego kahał krasnosielski od makowskiego brzmi następująco:

Przasnysz, 19 grudnia 1780 r. Oblata złożona do ksiąg ziemi ciechanowskiej w Przasnyszu przez Jakuba Kobylińskiego.

Między Kahałem Makowskim czyniącym przez Józefa Lewkowicza, Herszka Gersinowicza starszych kahalnych z jednej strony, a żydami Miasta Krasnosielca JW-o Kazimierza Hrabi Krasińskiego Oboźnego Wielkiego Koronnego dziedzicznego obywatelami przez Berka Józefowicza i Moszka Jakubowicza czyniącemi z rugiej strony stanęła wiecznemi czasy trwać mająca komplanacja w ten niżej opisany sposób. I o to iż lubo żydzi krasnosielscy i inni z dóbr klucza tegoż i starostwa przasnyskiego jako też i Bagienic dotąd do Kahału Makowskiego należeli, a że Jaśnie Wielmożny Oboźny W. K. w pomienionym mieście swoim Krasnosielcu dla wygody tamecznych żydów obywatelów, nowy kahał przedsięwziął, i już do tego przyzwoite poczynił kroki, więc ażeby na potym między, makowskim dawnym a krasnosielskim nowym, kahałami żadne niewstrzynały się kwestyje, Kahał Makowski będąc u siebie przeświadczony, że JW. Hrabia Krasiński Oboźny W. Koron. dóbr z przyległościami dziedzic prawnie i sprawiedliwie w dobrach swoich krasnosielskich i Starostwie Przasnyskim żydów będących i być mogących od dependencji Kahału wyżej rzeczonego Makowskiego odrywa, a miasteczku swoim Krasnosielcu zwanym kahał ustanawia, unikając prawnych kroków i owszem szukając spokojności dobrowolnie też dobra wszystkie krasnosielskie i dziedziczne w powiecie tamtym i okolicy będące oraz Starostwo Przasnyskie i Bagienice na zawsze nieodmiennie imieniem całej Synagogi z potomkami i sukcessorami swemi odstępują i zpod zwierzchności swojej wypuszczają i wsie Suche i Sławki z klucza krasnosielskiego do tegoż Kahału Krasnosielskiego nowo erygować się mającego dobrowolnie przyłączają. Kahał zaś Krasnosielski nowo erygowany mając wzgląd na upadek Kahału Makowskiego i za odstąpienie dopiero wyrażonych wsi to jest Suchego, Sławków i Bagienic, dobrowolnie corocznie dwoma ratami złotych polskich sto pięćdziesiąt, to jest na każdą ratę, po złotych siedemdziesiąt pięć wypłacać przyrzekają, której kwoty zawsze wypłacać się mającej termin od Św. Jana w roku 1781-m zaczynać się ma i póki rabina w Krasnosielcu niebędzie, póty pod sąd rabina makowskiego należeć będą, po obraniu zaś rabina w Krasnosielcu, Kahał Makowski pod jakimkolwiek bądź praetextem zwierzchności przywłaszczać sobie, ani więcej do Kahału Krasnosielskiego nowo erygowanego i do parafii jego z dóbr i wsi wyżej wyrażonych składających się interesować się niema, a pogłówne z dóbr tych należące do czasu lustracji nastąpić mającej do Makowa wypłacać się będzie. I jako to wszystko co się wyżej wzmiankowało, nieprzerwanie z potomkami i sukcessorami swemi, dotrzymują obydwie strony tak na to się własnemi podpisują rękami i na tę ugodę wieczyście trwać mającą w grodzie roborować przyrzekają. Działo się dnia 6-tego Grudnia 1780-go roku w Warszawie.

Dopisek: *Tę zgodę żydów moich z Kahałem Makowskim approbuję. Kaz. Krasiński O[boźny] W[ielki] Kor[onny], manu propria* [AGAD, przasnyskie ziemskie wieczyste, sygn. 23, k. 122 i n.].

Pozdrawiam, Adam A. Pszczółkowski

Scytowie i Sarmaci

Paweł WŁODARSKI

Scytowie. Rekonstrukcja.
http://s1.pokazywarka.pl/i/1554995/903419/thescythians700300bc019gs.jpg

Scytowie byli ludem pochodzenia indoeuropejskiego, należeli do grupy północnoirańskiej, a ich język należał do dialektów indoirańskich. Scytowie na stepach rozpościerających się na północnym wybrzeżu Morza Czarnego, utworzyli pewien organizm polityczny, wywierający znaczny wpływ na potęgi polityczne i militarne tamtego okresu, a także w silnym stopniu oddziaływali na tereny barbarzyńskie w Europie. Lud ten był także poprzednikiem na terenach nadczarnomorskich Sarmatów, z którymi próbowała powiązać swoje dzieje szlachta polska.

Chronologia, historia, miejsce
Geneza

Różne są teorie na temat pochodzenia Scytów, a temat sam w sobie stanowi obszerne zagadnienie badawcze. Trudno tu wchodzić w szczegóły. Moim zdaniem wystarczy powiedzieć, że jak w przypadku wielu ludów, teorie o pochodzeniu są trzy: autochtoniczna, allochtoniczna i tych dwóch synkretyczna. W przypadku pierwszej należałoby, aby ją udowodnić, wykazać ciągłość kulturową na terenach nadczarnomorskich. W drugim należałoby wykazać jej brak, a do tego znaleźć jeszcze ślady tej kultury, starsze ślady, gdzie indziej. W przypadku teorii synkretycznej należy znaleźć zalążek materialnej kultury gdzie indziej, ale ostateczny jej rozwój nastąpić miałby na terenach nadczarnomorskich.

Wcześniejsze kultury archeologiczne z tych obszarów to kultury grobów: jamowych, katakumbowych i zrębowych. Żadna z tych nie zawiera zalążków najważniejszych wyznaczników kultury Scytyjskiej. Natomiast znaleziska z Azji Centralnej je posiadają, do tego dochodzi przekaz Herodota, mówiący że Scytowie uciekli ze swoich siedlisk przed Massegotami (są jeszcze dwa przekazy, ale nawet sam Herodot uważał je za bajki, a wiązały się one ściśle z mitologią grecką: w myśl pierwszej Scytowie mieli pochodzić od któregoś z synów Heraklesa, w myśl drugiej pochodzili od Targitaosa, syna Zeusa), dlatego skłonny jestem do opowiedzenia się za allochtonizmem Scytów.

Trzecia teoria, synkretyczna, o pochodzeniu Scytów zawsze w jakimś stopniu, nawet minimalnym, jest słuszna, chociażby dlatego iż w późniejszym okresie część Scytów dała się zhellenizować, czyli azjatyccy przybysze przyjęli wzorce zastanej kultury. Do wiedzy bez apelacyjnej należy ta o poprzednikach Scytów na tym obszarze. Był to lud Kimmerów, podobnie jak Scytowie poświadczeni w literaturze antycznej, jednak zasadniczo się od nich różniący.

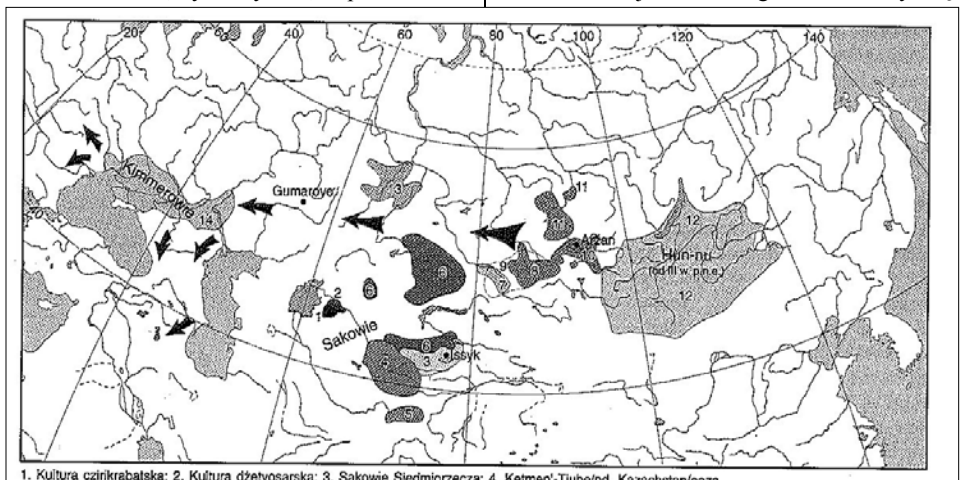

1. Kultura czirikrabatska; 2. Kultura dżetyosarska; 3. Sakowie Siedmiorzecza; 4. Ketmen'-Tjube/pd. Kazachstan/oaza taszkencka/Fergana; 5. Sakowie Pamiru; 6. Kultura tasmolińska; 7. Kultura cziliktinska; 8. Kultura pazyryksk a + typ karakobiński; 9. Wcześni koczownicy Ałtaju; 10. Kultura ujukska (Tuwa); 11. Kultura tagarska; 12. Kultura mogił płytowych (od III w. p.n.e. — Hun-nu); 13. Kultura bajtawska (wraz z typem nosiłowskim i worobiewskim); 14. Kultura czernogorowska

Ryc. 372. Ugrupowania koczownicze w Azji Centralnej w VIII-VII w. p.n.e. i kierunki przemieszczeń grup wczesnoscytyjskich (horyzont Gumarovo)

Kozłowski 1999.

„15 Oto na was sprowadzę naród z daleka, domu Izraela - wyrocznia Pana. Jest to naród niepokonany, naród starożytny, naród, którego języka nie znasz ani nie rozumiesz, co mówi. 16 Jego kołczan jest niby grób otwarty, wszyscy [mężowie] są bohaterami.

17 Pochłonie twoje żniwa i twój chleb, pochłonie twoje córki i twoich synów, pochłonie twoje owce i twoje bydło, pochłonie twoje winnice i twoje drzewa figowe. Zniszczy orężem twoje miasta warowne, w których ty pokładasz nadzieję." – taki tekst pojawia się w miejscu wizji proroka związanej z najazdem koczowników.

Ok 630 r. p.n.e. Scytowie dalej byli w sojuszu z Asyrią, broniąc jej przeciwko Kimmerom, wtedy ciągle jeszcze groźnym. Ale już w 612 r. p.n.e. wraz z Medyjczykami i Babilończykami zdobyli Niniwę i przyczynili się do upadku Asyrii, nie tracąc zapewne na pozycji w regionie, bo już w 605 r. p.n.e. wzięli udział w bitwie pod Karkemisz między Babilonem a Egiptem, o czym świadczą ich charakterystyczne grociki znalezione na polu bitwy.

Mapa Asyrii w VII w. p.n.e.
http://upload.wikimedia.org/wikipedia/commons/thumb/f/f3/Mapa_Asyrii.png/1024px-Mapa_Asyrii.png

Uczestniczyli też w długotrwałej wojnie między królem Medów Kyaksaresem(625-585) a królem Lidii Alyattesem (605-562). Wojna zakończyła się w 585 r. p.n.e., ale Scytowie musieli być dość niewygodnym sojusznikiem, bo Kyaksares wymordował wszystkich, zaproszonych przez siebie na ucztę, dowódców scytyjskich. Związane to było zapewne z charakterem scytyjskiego społeczeństwa, którego warstwa wojowników grabiła wszystko co mogła. Nie mniej wydarzenie to doprowadziło do zniknięcia Scytów z terenów bliskowschodnich.

Scytowie nad Morzem Czarnym

Przepędzeni przez Medów Scytowie wycofali się na swoje koczowiska na Przedkaukaziu. Stąd rozpoczęli swoją ekspansję na stepy nadczarnomorskie. W tym czasie swoje kolonie zakładali tam Grecy, którzy handlowali z ludami tamtych terenów produkującymi zboże.

Wojownik scytyjski.
http://s1.pokazywarka.pl/i/1554995/675568/d88aef044c86.jpg

Scytowie zajmując te tereny i podporządkowując sobie te rolnicze ludy przejęli kontrolę nad tym handlem, czerpiąc z tego ogromne zyski. Do tego dodać należy ich fenomen militarny, dzięki któremu mieli także stały dostęp do niewolników. To spowodowało znaczne wzbogacenie się, przede wszystkim, scytyjskiej arystokracji. Obszary, które w tym czasie zajmowali, zostały mianowane nazwą Scytia. Według podań Herodota był to kwadrat, którego bok sięgał 20 dni drogi, czyli około 700 km. Podstawę tego kwadratu stanowiło północne wybrzeże Morza Czarnego, a dwa jego boki to rzeki Dunaj i Don.

W 514 r. p.n.e., kiedy Scytowie byli u szczytów swojej potęgi wyprawił się na nich król perski, Dariusz I Hystaspesa. Jak podaje Herodot prowadzona przez niego armia liczyła 700 tys. żołnierzy. Nawet jeśli Herodot przesadził, to i tak musiało ich być dużo. Scytowie nie podjęli normalnej walki, kręcili się po swoim terytorium, atakując mniejsze oddziały Perskie, palili zapasy, zasypywali studnie. Prowadzili typową wojnę podjazdową. Dla Persów ten sposób prowadzenia walk okazał się niezwykle wyczerpujący i czasochłonny. Dariusz podjął decyzję o wycofaniu się z terenów Scytii, nie uzyskawszy spodziewanych korzyści, jakimi miało być odcięcie Greków od dostaw zboża z tych rejonów. Warto zaznaczyć iż Scytowie mogli prowadzić walkę w ten sposób, ponieważ nie budowali żadnych stałych osiedli, których musieliby później bronić. Po tych wydarzeniach nastał względnie długi czas pokoju. Scytowie żyli względnie spokojnie, utrzymywali kontakty z sąsiadami. Klimat w tamtym czasie także był korzystny, wilgotny, umożliwiający Scytom spokojną wegetację na terenach stepowych. Oczywiście ten wojowniczy lud nigdy nie zaprzestał wojowania, w tym czasie jednak militarna uwaga Scytów skupiła się prawdopodobnie na północ, w kierunku terenów zajmowanych przez kulturę łużycką.

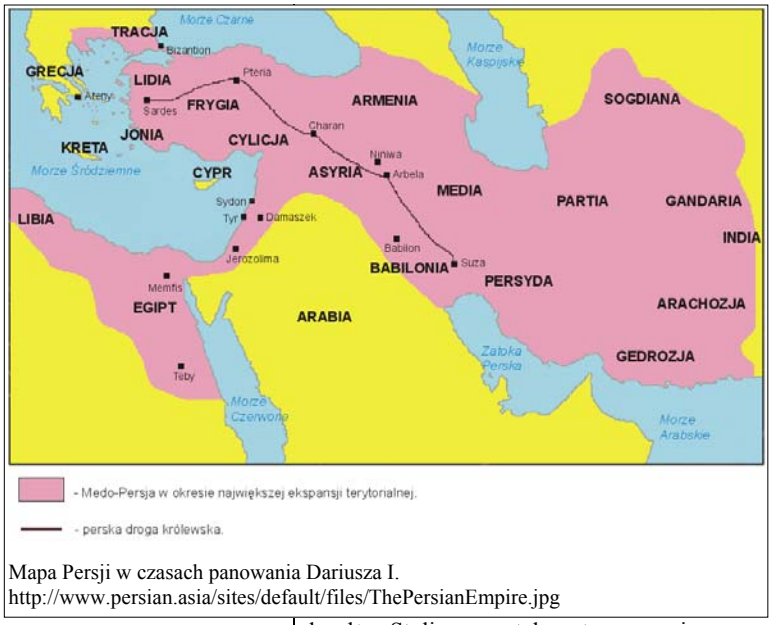

Mapa Persji w czasach panowania Dariusza I.
http://www.persian.asia/sites/default/files/ThePersianEmpire.jpg

Schyłek panowania Scytyjskiego

Problemy spowodowali prawdopodobnie sami Scytowie. W skutek nadmiernej eksploatacji stepów nadczarnomorskich te zaczęły wysychać, choć zadziałały zapewnerównież inne czynniki klimatotwórcze. Efektem tego były kolejne przesunięcia koczownikówz Azji Centralnej w końcówce wieku V p.n.e. i przez większą część trwania wieku IV. W tym czasie zainteresowanie scytyjskie skupia się na zachodzie, gdzie król Ateas wchodzi w konflikt z Macedończykami, zyskującymi na sile pod wodzą Filipa II. Decydująca bitwa miała miejsce w bliżej nieznanym miejscu nad Dunajem w roku 339 p.n.e. W jej trakcie poległ Ateas, który miał w tamtym czasie liczyć niemal 100 lat. Porażka zahamowała ekspansywność Scytów, jednak w roku 331 p.n.e. ci w dalszym ciągu byli w stanie pokonać 30 tysięczną armię Zopyriona, namiestnika Aleksandra Wielkiego.

Macedonia Filipa II. http://altiok.blox.pl/resource/AFTER_PHILIP.gif

Wsparli także ok. 310 r. p.n.e. Satyra walczącego o tron Bosforu. W 313 r. p.n.e. Scytowie przegrali po raz kolejny, tym razem z Lizymachem, władcą Tracji. Ze stepów natomiast wypierali ich Sarmaci nacierając na Scytów od wschodu. Doprowadziło to do zepchnięcia Scytów na niewielki obszar Małej Scytii, tj. stepowej części Krymu i tereny Dobrudży. Stolicą powstałego tam organizmu politycznego był Neapol Scytyjski, miasto położone na przedmieściach dzisiejszego Symferopola.

Okres ten to czas konfliktów z Chersonezem. Wpolitykę tego regionu coraz częściej angażowali się także Sarmaci, istnieją legendarne przesłanki o pomocy jakiej udzieli Chersonezonczykom w trakcie oblężenia ich miasta przez Scytów (odsiecz królowej Amage na czele 120 wojowników).

W 110 r. p.n.e. Scytowie oblegają Chersonez po raz drugi, tym razem wspólnie z Sarmatami (Roksolanami). Tym razem oblężone miasto wspomaga król Pontu, Mitrydates VI Eupator. Licząca 6 tys. ludzi armia pod wodzą Diofantosa zdobywa też Neapol Scytyjski, na stronę Mitrydatesa przechodzi także Olbia, będąca do tej pory pod wpływem Scytów.

Scytowie zmieszali się z przybywającymi na tereny nadczarnomorskie Sarmtami, z którymi byli spokrewnieni etnicznie i kulturowo. Ich resztki przetrwały nawet do najazdu Hunów w 395 r. n.e.

Podział etniczny Scytów

Według przekazu Herodota Scytowie nie byli jednolitym ludem. W swoim dziele wymienia on wiele nazw własnych poszczególnych ugrupowań etnicznych wchodzących w skład królestwa scytyjskiego.

I tak między dolnym Dnieprem i Donem zamieszkiwali tzw. Scytowie Królewscy. Byli oni, według Herodota, najdzielniejszymi ze wszystkich Scytów i pozostałych uznawali za swoich niewolników. Na terenach na północ od Scytów Królewskich zamieszkiwali Scytowie koczownicy, a zajmowali się, jak określa ich miano, koczowaniem, bo, za Herodotem „ani nie sieją, ani nie orzą". Dalej wymienić należy Scytów-oraczy, którzy, wnioskując z Herodotowych słów: „nie dla pożywienia sieją zboże, lecz na sprzedaż", trudnili się produkcją i eksportem płodów rolnych. Wywodzili się zapewne z miejscowej ludności podbitej przez Scytów, a po części z Scytów osiadłych, którzy porzucili koczownictwo.Wymienieni zostali jeszcze Scytowie-rolnicy, znajdujący się na naddnieprzu, między Scytami-oraczamia Scytami koczownikami. Dalej, na północ, z ziemiami Scytów miały sąsiadować lud takie jak Agatyrsi, Neurowie, Androfagowie, Melanchlajnowie. Za Donem swe siedliska mieli Sauromaci, a na północ od nich Budynowie i Gelonowie.

Gospodarka scytyjska

Scytowie byli ludem koczowniczym. Mieli dwa główne sposoby utrzymania: wojna i hodowla bydła. W przypadku pierwszej dziedziny powiedzieć należy, że urządzali częste wyprawy łupieżcze, sięgające nawet terenów dzisiejszej Polski, zamieszkałej wówczas przez ludność kultury łużyckiej. O ich obecności świadczą liczne znaleziska scytyjskich grocików w spalonych osadach z tego okresu, a także słynny skarb z Witaszkowa.

Scytowie sprowadzili na obszary nadczarnomorskie nowy gatunek bydła, o czym świadczą materiały kostne. Hodowane przez Scytów bydło było krótko- lub zupełniebezrogie, czym odróżniało się od spotykanego do tej pory na tym obszarze. Bydło dawało mięso, mleko i skóry. Ponadto hodowali jeszcze konie, co było raczej oczywiste, ze względu na sposób prowadzenia walk i trybu życia. Liczne stada wymagały ciągłego poszukiwania nowych pastwisk. To z kolei wygenerowało sposób w jaki Scytowie mieszkali. Jak podaje Hipokrates mężczyźni niemal cały czas przebywali na koniach, a kobiety podróżowały i mieszkały na wozach, co skutkowało, według tego autora, ich ogromną tuszą.

Kolejnym istotnym czynnikiem w gospodarce Scytów była pośrednia rola w handlu zbożem między koloniami greckimi na wybrzeżu Morza Czarnego, a rolnikami strefy leśnostepowej.

Ponadto produkty roślinne potrzebne były Scytom do uzupełnienia ich mięsnej diety. Na handlu tym Scytowie wzbogacili się, zwłaszcza ich arystokracja, ponadto następował przepływ wzorców kulturowych.

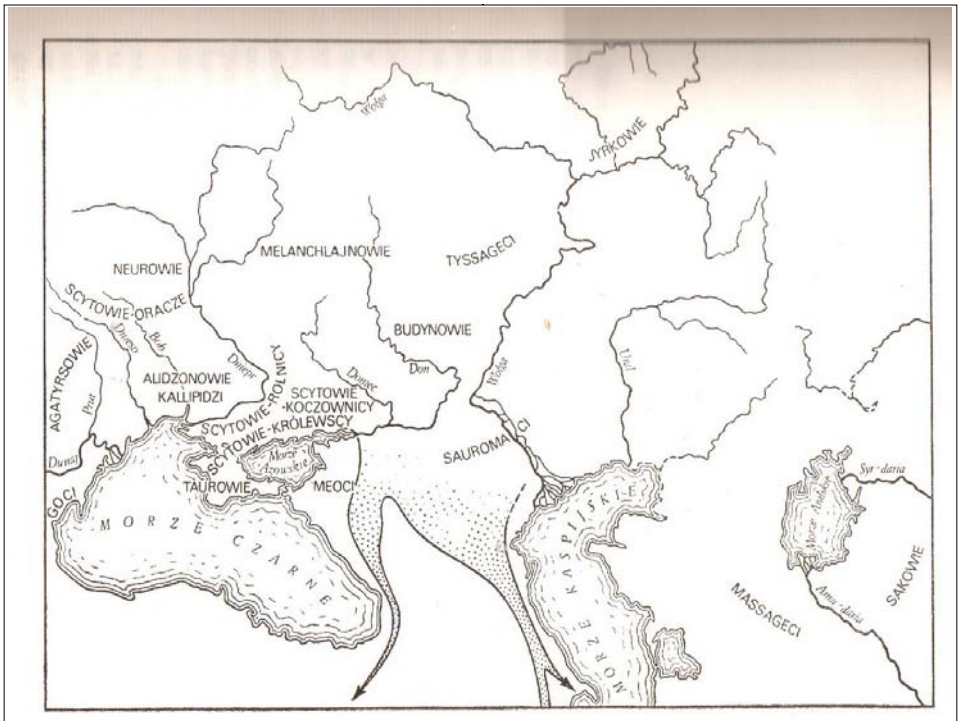

Rozmieszczenie plemion scytyjskich. Smirnov 1974.

Kurhany arystokracji scytyjskiej

Wzbogacenie się wyższej warstwy społecznej dzięki wojnom i handlu umożliwiło im wytworzeni charakterystycznej i niezwykle rzucającej się w oczy formy pochówku tejże warstwy. Formą tą były kurhany znane z wielu stanowisk takich jak Czertomłyk czy Gajmanowa Mogiła. Opiszę tu jednak, jako dobry przykład takiego kurhanu, kurhan ryżanowski, ponieważ ten został zbadany przez ekspedycję polskich archeologów.

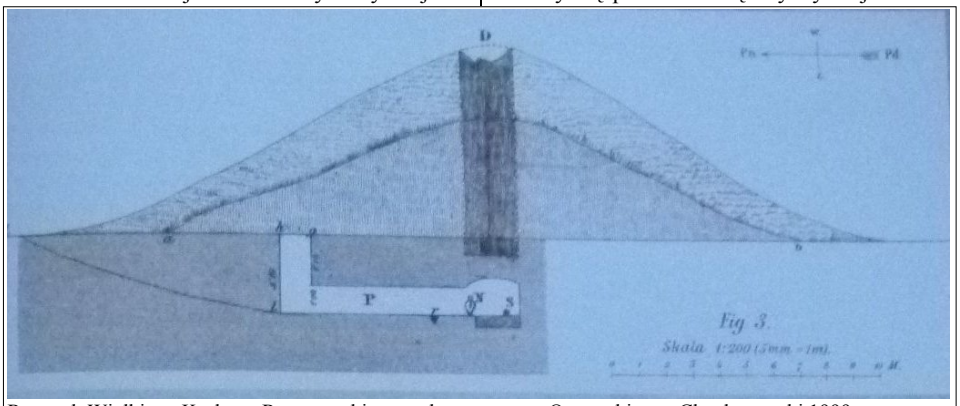

Rysunek Wielkiego Kurhanu Ryżanowskiego wykonany przez Ossowskiego. Chochorowski 1999.

Pochówek Księcia w Wielkim Kurhanie Ryżanowskim. Chochorowski 1999.

Kurhan ten miał ok. 5 m wysokości i przeszło 40 m średnicy podstawy. Otoczony był rowem szerokości od 2 do 3 m a głębokim na 1,5 m. Do wnętrza prowadziły dwa przejścia, południowo-wschodnie dla wchodzących i północno-zachodnie dla wychodzących. Przy wyjściu znaleziono ślady uczt odbytych na cześć zmarłego.

Wejście do komory głównej znajdowało się na wysokości 2,6 m od poziomu terenu, a szyb do niej prowadzący miał 12 m^2 powierzchni.

Na dnie szybu w oddzielnych jamach znajdowały się pochówki mężczyzny-wojownika i jego konia. Pochówek wojownika złożono przy wejściu do komory grobowej, wydrążonym w ściance szybu i zasłoniętym ścianką z dębowych belek. Był to pochówek towarzyszący jednego z giermków króla, prawdopodobnie rytualnie uduszonego w trakcie uroczystości pogrzebowych na cześć zmarłego władcy. Miał on służyć swojemu władcy podobnie jak czynił to za życia. Dlatego też w miejscu jego pochówku złożono strzały.

Na głębokości 4 m znajdował się główny pochówek kurhanu, w komorze grobowej o 16 m^2 powierzchni. Gliniane ściany udrapowane były białą tkaniną, a podłoga wyłożona była matami z łyka i sitowia. W komorze znajdowała się atrapa pieca.

Czaszka Księcia z Ryżanówki ze złotym naszyjnikiem. Chochorowski 1999.

Mężczyzna tam pochowany miał 40-50 lat, był wysokim, jak na tamte czasy, mierzył 175 cm. Spoczywał na drewnianych marach na wznak, na posłaniu z trawy, przykryty niedźwiedzim futrem. Mężczyzna był ubrany w charakterystyczny dla Scytów strój, składający się ze spodni w kolorze czerwonym, białego kaftana przewiązanego pasem, włosymiał spięte czerwoną przepaską. Na szyi spoczywał złoty naszyjnik zakończony ornamentem w formie lwów.

Na wyposażenie grobowe składało się: sztylet z rękojeścią okutą złotą blachą, sajdak z kompozytowym łukiem refleksyjnym i zapasem strzał (94 sztuki) z grotami z brązu, 2 zapasowe kołczany ze strzałami (łącznie 265 sztuk), wiązka 5 dzirytów i włóczni.

Pochowany tu władca prawdopodobnie zginął od uderzenia w głowę z lewej strony.

Komora przypominała pomieszczenie mieszkalne, a zmarłego wyposażono w naczynia z jadłem i napojem oraz innymi przedmiotami codziennego użytku.

Ozdoby stroju kobiecego świadczą o przeszłym zwyczaju Scytów, którzy wraz z władcami grzebali ich żony. Jednak w czasie powstania Wielkiego Kurhanu Ryżanowskiego zwyczaj ten został zastąpiony złożeniem do grobu stroju kobiecego. Miał on symbolicznie oznaczać obecność małżonki władcy.

Nie mniej, kiedy małżonka zmarła już śmiercią naturalną, została pochowana w pobliżu męża. W tym celu wkopano się pod kurhan i utworzono nową komorę grobową, mniejszą, jednak równie bogato wyposażoną. W niej złożono doczesne szczątki zmarłej księżnej.

Podobnie jak w przypadku pochówku władcy, u progu tejże komory grobowej znalazł się pochówek towarzyszący. Złożono w nim kilkunastoletnią dziewczynkę, mającą służyć księżnej po śmierci.

Pektorał zdobiony stylem animalistycznym. http://cudaswiata.files.wordpress.com/2008/02/skifska_pecktoral_clear.png

W przypadku obu pochówków widoczna jest ogromna różnica w bogactwie wyposażenia. Pochówki władców zawierają liczne ozdoby wykonane z drogich materiałów, natomiast pochówki towarzyszące są niezwykle ubogie. Świadczy to o wielkiej różnicy społecznej pochowanych tam osób.

Nie można też pominąć faktu, iż Wielki Kurhan Ryżanowski jest pierwszym, od ponad wieku, przebadanym pochówkiem tego typu, który nie został obrabowany ani w starożytności, ani współcześnie. Dzięki temu zachowało się wiele ważnych informacji, a sam kurhan może stanowić źródło analogi dla innych tego typu pochówków.

Inne znaleziska archeologiczne

Spośród zabytków archeologicznych nie można pominąć opisania tzw. triady scytyjskiej, to jest uzbrojenia, uprzęży i ozdób w stylu animalistycznym, będącymi w źródłach archeologicznych charakterystycznymi wyznacznikami kultury scytyjskiej.

Uzbrojenie

W skład oręża Scytów wchodził przede wszystkim łuk refleksyjny ze strzałami uzbrojonymi w charakterystyczne grociki wykonane zazwyczaj z brązu. Prócz tego używali mieczy

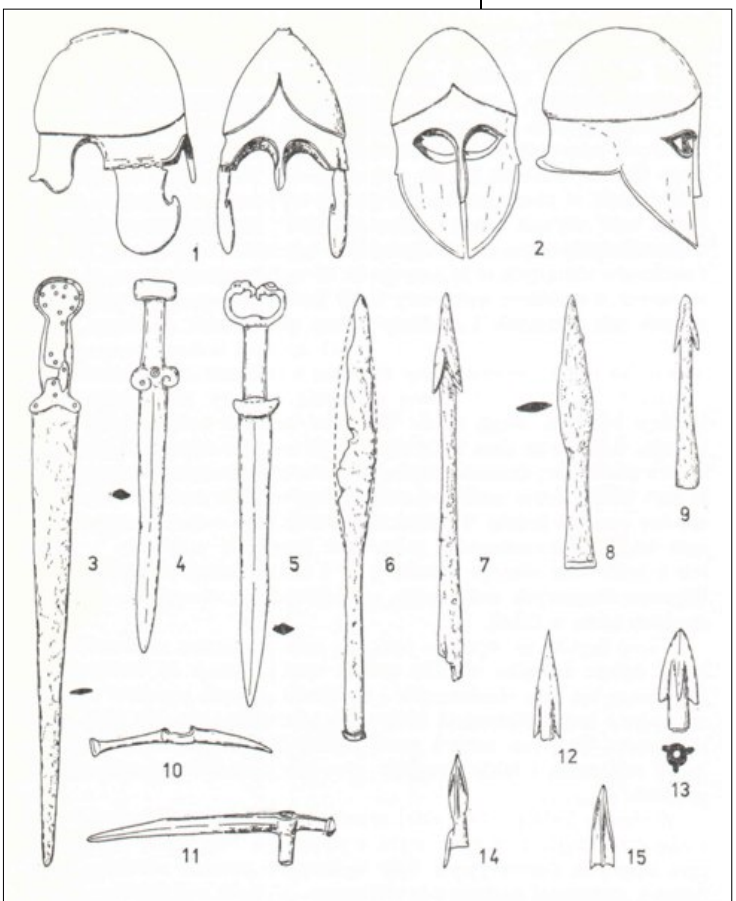

Uzbrojenie Scytów. http://realtkaniny.pl/wordpress/wp-content/uploads/2010/12/Wyroby-metalowe-kultury-scytyjskiej.jpg

żelaznych, dość krótkich (tzw. akinakes) o charakterystycznym sercowatym jelcu, toporów żelaznych oraz włóczni i oszczepów zbrojnych w żelazne groty. W walce posługiwali się do obrony tarczą, a niektórzy wojownicy nosili pancerze z naszytych łusek brązowych lub żelaznych i niekiedy hełmy pochodzenia greckiego.

Ozdoby z Wielkiego Kurhanu Ryżanowskiego. Chochorowski 1999.

Styl Animalistyczny

Najczęściej występującym motywem dekoracyjnym były stylizowane postacie zwierzęce połączone z motywami pochodzenia roślinnego.

W stylu scytyjskim - obok pewnej stylizacji - mamy też bardzo naturalistyczne i wręcz ekspresyjne przedstawienia niektórych postaci zwierzęcych czy też scen figuralnych.

Wśród motywów pochodzenia zwierzęcego można wyróżnić zarówno postacie zwierząt realnych, występujących w eurazjatyckiej strefie stepowej czy leśno-stepowej (najbardziej powszechne jest przedstawienie jelenia), jak też zwierząt orientalnych, a także zwierząt mitycznych, związanych z tradycją orientalną.

Bogato zdobiono wyroby metalowe, a także wykonane z innych surowców.

Uprząż

Była zdobiona stylem animalistycznym.

Ślady Scytów na ziemiach współczesnej Polski

Kultura Scytyjska nigdy nie dotarła na nasze ziemie, jednak liczne są ślady obecności tu tego ludu, co łączy się z ich łupieżczymi wyprawami. Byli na Dolnym Śląsku, na Kujawach, a także po wschodniej stronie Wisły, w okolicach Tarnobrzega, Rzeszowa czy Lublina. Być może zapuścili się także za północną Wisłę. W zgliszczach archeolodzy często znajdowali charakterystyczne dla Scytów groty strzał oraz szkielety wojowników i ich ofiar.

W Wicinie w Zielonej Górze natrafiono nawet na szczątki kobiet i dzieci, które kryły się z dobytkiem w wykopanych w grodzie jamach. Prawdopodobnie udusiły się podczas pożaru grodu.

Na ziemiach polskich znajdowano też fragmenty scytyjskiej uprzęży, ozdób i broni białej z tego okresu.

Istnieje też teoria, według której to łupieżcze wyprawy Scytów przyczyniły się do upadku kultury łużyckiej, zajmującej w tamtym okresie większość terytorium współczesnej Polski.

Paweł Włodarski /Karolewo/

Od Redakcji: Paweł Włodarski studiuje obecnie na Wydziale Archeologii Uniwersytetu im. Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie.

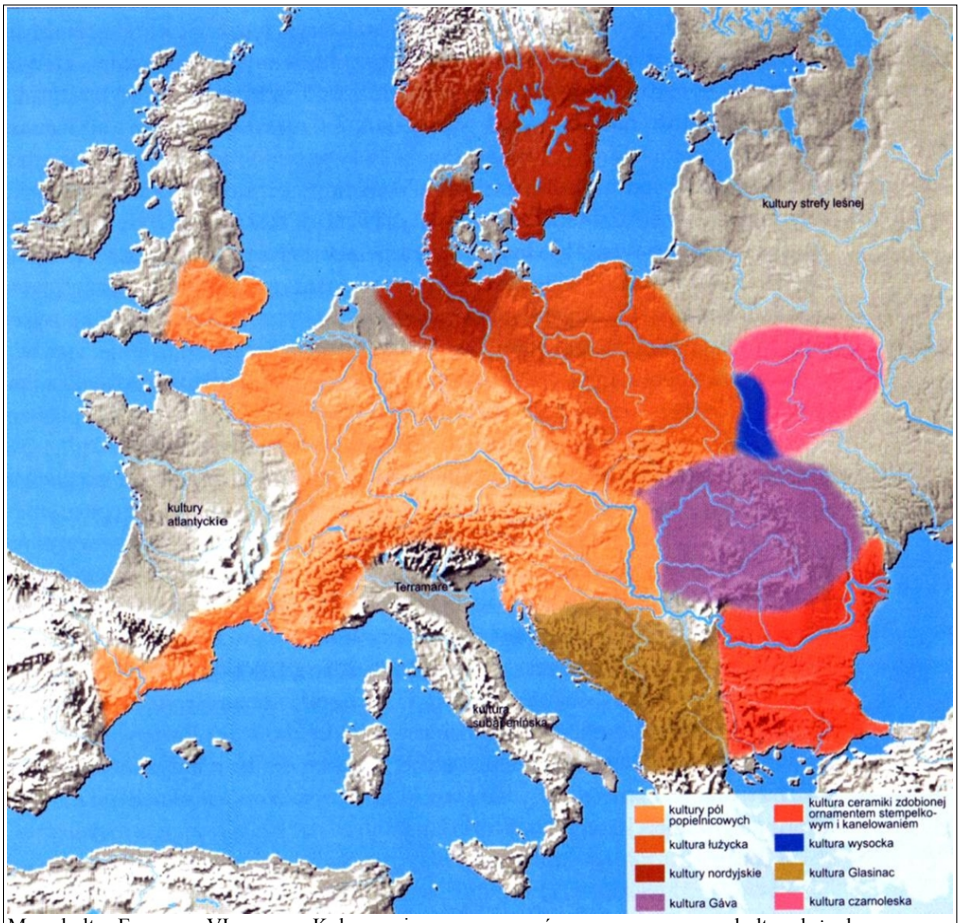

Mapa kultur Europy w VI w. p.n.e. Kolorem ciemnym pomarańczowym zaznaczona kultura łużycka. http://www.home.umk.pl/~jacgac/mapaPola.jpg

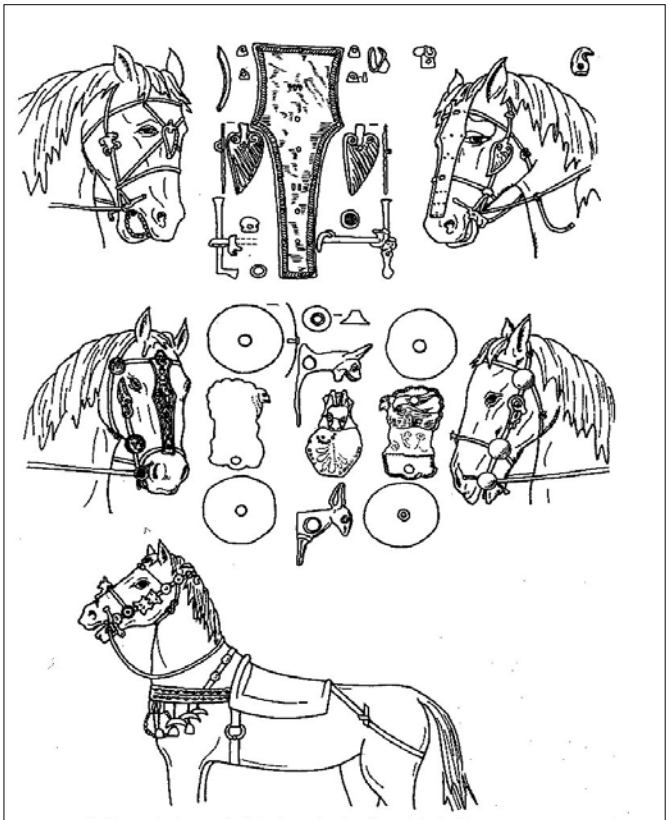
Uździenice scytyjskie. Kozłowski 1999.

Bibliografia:

Chochorowski, J. 1999. *Wielki kurhan ryżanowski: przewodnik po wystawie "Tutanchamon ukraińskich stepów", marzec-wrzesień 1999 r.* Kraków. Muzeum Archeologiczne.

Herodot. *Dzieje.*

Kozłowski, J.K. red. 1999.*Encyklopedia Historyczna Świata.* s. 30, 264-265, 314-315, 317, 320-321, 323, 325-326, 334, 344, 353, 366, 386, 399. Kraków. Agencja Publicystyczno-Wydawnicza Opres.

Kubczak, J. 1978. *Kurhany arystokracji scytyjskiej*. Poznań. Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza.

Smirnov, A. 1974. *Scytowie.* Warszawa. PIW.

1999. *Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Biblia Tysiąclecia.* Wydawnictwo Pallottinum.

Krasnosielcki Zeszyt Historyczny
bezpłatny dodatek specjalny do społecznego miesięcznika „Wieści znad Orzyca”, TPZK

Wydawca: Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Krasnosielckiej, 06-212 Krasnosielc, ul. Rynek 39a, tel. 29 71 75 205
Nr konta TPZK: 29 8917 0001 0000 1544 2000 0010 Bank Spółdzielczy w Krasnosielcu
Redaktor wydania: Sławomir Rutkowski kom. 697 030 115 rutkowski.plus@gmail.com
Redaktor wydania zastrzega sobie prawo do skracania i adiustacji publikowanych tekstów, a także opatrywania ich własnymi tytułami. Poglądy wyrażane w artykułach są poglądami ich autorów, a nie wydawcy. Wydawca może wykorzystywać powtórnie lub udostępniać materiały wcześniej opublikowane przez TPZK.

Nakład: 1 000 egz. Druk: Drukarnia J.J. Maciejewscy, Przasnysz ul. Gdańska 1